ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1898.

TOM III.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XCI.

WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Kapucyńska № 7.

1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Сентября 1898 года.

SPIS RZECZY.

Str.

1. Rzeczy społeczne i spółczesne.

2. Filozofia, psychologia i socyologia.

3. Beletrystyka.

4. Nauki przyrodnicze.

5. Historya i biografia.

6. Rozbiory i sprawozdania.

SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNA

w teoryi ewolucyi.

Teorya ewolucyi stała się dzisiaj, jak wiadomo, trwałą zdobyczą także i nauk społecznych, a do rozwinięcia jéj i szczegółowego opracowania w tym zakresie przyczynił się bez kwestyi najwięcéj—Herbert Spencer. Wywody Spencera jednak w wielu punktach, zwłaszcza na polu etyki społecznéj, nie mogą zadowolić nauki. Wielki myśliciel angielski jest bowiem, mimo wszystkich swych zasług, jednostronnym i skrajnym indywidualistą, zwolennikiem niemieszania się państwa w życie społeczne. Nic dziwnego, że wobec tego pojawiły się ostatniemi czasy prace, które mają na celu poglądy Spencera uzupełnić. Na jedną z prac takich, wybitniejszą, chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników „Ateneum".

Jest to praca Böscha — docenta filozofii na uniwersytecie w Zürichu — która wyszła jeszcze w r. 1896 pod tytułem: „*Die entwickelungs-theoretische Idee socialer Gerechtigkeit. Eine Kritik und Ergänzung der Socialtheorie Herbert Spencers.*" Zürich. Speidel, 1896, str. 247 [1]). Autor stara się przedstawić, jak powinien wyglądać ideał organizacyi ekonomicznéj i społecznéj w myśl zasad nauki ewolucyjnéj.

---

[1]) Zaznaczamy przytém zgóry, że w artykule niniejszym nieraz wyjdziemy po za granice pracy omawianéj.

Zaczyna od tego, że w krótkim Wstępie podnosi przedewszystkiém znaczenie, jakiego dziś nabrały idee społeczne. Szerokie masy proletaryatu wyczekują — jakgdyby nadejścia Mesyasza — pojawienia się państwa przyszłości, które ma wszystkie ich pragnienia i nadzieje ziścić. Jak ono będzie wyglądać, nie kłopoczą się o to i nie troszczą: byle tylko raz runęła dzisiejsza organizacya społeczna, którą uważają za źródło wszystkiego złego. Jeszcze przed laty 18-tu mógł Dubois-Reymond w swym odczycie „Historya kultury a nauki przyrodnicze” nazwać poprostu ten nastrój klas niższych „psychozą” i zapewniać, że dzisiejsza organizacya społeczna stoi na dosyć silnych podstawach, aby się porywów szaleńców nie obawiać. Jeszcze przed 20-tu laty, gdy pobita i upokorzona Francya pokonała mimo to tak rychło komunę, można było wmawiać w siebie, że warstwy niezadowolone z dzisiejszego stanu rzeczy poważnéj siły nie przedstawiają. Dziś jednak, gdy ta „psychoza” robi coraz dalsze i dalsze postępy, gdy w stolicy Niemiec przy wyborach do parlamentu na sześć okręgów wyborczych uzyskała większość aż w pięciu, gdy we Francyi oddawna w izbie deputowanych stanowi czynnik, z którym się trzeba liczyć, a w autonomii miejskiéj zdobywa jedno miasto po drugiém, gdy nawet w trzeźwéj Anglii klasa robotnicza, już tak dawno zorganizowana, przestaje być obojętną „dla muzyki przyszłości”,—tego rodzaju poglądy nie są już uzasadnione! Uznają to téż dzisiejsze społeczeństwa cywilizowane. Uznają, że nędzy całych klas, stojącéj w jaskrawéj i rażącéj sprzeczności z bogactwem i zbytkiem kultury nowoczesnéj, z dobrobytem „dziesięciu tysięcy u góry”, nie można przyjmować poprostu za konieczność naturalną, wynikłą z praw przyrody, któréj odwrócić niepodobna. Uznają, że w skargach „wydziedziczonych”, w narzekaniach na wyzysk, chociaż nieraz przesadnych, tkwi ziarno prawdy. Szerokie koła ludzi wykształconych chłoną chciwie literaturę odnoszącą się do kwestyi społecznéj i w części litością, w części roztropnością powodowane, nabywają coraz silniejszego przekonania o konieczności reform społecznych.

Naturalnie, nie braknie téż i zapatrywań przeciwnych, nie braknie takich, którzy częścią z interesu, częścią z pesymizmu, twierdząc, że reformy na nic się nie przydadzą, bo człowiek zgóry i zawsze skazany jest na cierpienia, bronią dzisiejszéj organizacyi gospodarczéj i społecznéj.

Przy roznamiętnieniu, jakie panuje po obu stronach, naturalném jest, że każdego obrońcę dzisiejszego stanu rzeczy przeciwnicy piętnują zaraz mianem egoisty, lub uważają go za człowieka zgryźliwego. Jest to jednak błędném, czego najlepszym dowodem—stanowisko, jakie

zajął w ostatnich czasach w téj wymianie zdań filozof angielski — Herbert Spencer.

Potężny wiedzą, jak olbrzym, wmieszał się między walczące partye i — rozdzielając razy zarówno między socyalnych demokratów, jak i zwolenników reform społecznych — stanął w obronie dzisiejszych podstaw organizacyi społecznéj! Posądzać go o interesowność lub pesymizm niepodobna! Cały jego zawód naukowy, jego poprzednie prace świadczą przeciw temu. Nie wahał się on wypowiadać gorzkich prawd społeczeństwu angielskiemu i jest jednym z tych — dzisiaj rzadkich — pisarzy, z których dzieł wieje optymizm, widoczną jest wiara w lepszą przyszłość ludzkości. Nie można też go uważać za niekompetentnego w téj sprawie; mniemać, że powodowany próżnością zboczył z właściwego pola swych badań naukowych. Owszem, jest on w kwestyi społecznéj jak mało kto inny kompetentnym, bo już przed laty 54 rozpoczął swój zawód naukowy pracą „O właściwym zakresie działania rządu", a jeżeli późniéj zwrócił się na pole filozofii przyrody i biologii, to tylko po to, aby uzyskać szerszą podstawę dla swych poglądów społeczno-teoretycznych. To też śmiało mówi sam o sobie, że poglądy te „są owocem pracy duchowéj całego jego życia", a zastanawiać musi tylko ostateczny rezultat, do którego doszedł: przekonanie, które wypowiada jako wynik swéj filozofii, „że życie gospodarcze reguluje się samo przez się, że współdziałanie gospodarcze ludzi ukształtowuje się bez mieszania się państwa, jakgdyby z konieczności naturalnéj w sposób najkorzystniejszy dla wszystkich, byle tylko państwo postarało się o utrzymanie porządku prawnego!..."

Bösch przyznaje, że i Spencerowi nie udała się obrona téj manchesterskiéj tezy, mimo to twierdzi, że poglądy filozofa angielskiego w całéj téj kwestyi pełne są tak oryginalnych i cennych myśli, że mimo błędów w szczegółach, w podstawie swéj zasadniczéj, w punkcie wyjścia staną się z pewnością trwałą zdobyczą nauki. Godzi się więc w każdym razie poznać poglądy te — wypowiedziane jeszcze raz, najdokładniéj może, w IV części spencerowskich „Zasad Etyki": w „Sprawiedliwości". I do tego też, do przedstawienia zapatrywań Spencera przystępuje Bösch w rozdziale drugim swéj pracy.

Punktem wyjścia poglądów społecznych Spencera jest wedle Bönscha [1]) u t y l i t a r y z m, czyli pojmowanie, że prawo i moralność mają za cel zapewnić jak największéj ilości członków społeczeństwa, ogółowi — możliwie wielką dozę szczęścia. Temu celowi jedynie mają służyć wszelkie urządzenia prawne, wszelkie przepisy moralne, a zarzut —

---

[1]) Zdanie to, jak zaznaczymy niżéj, nie jest słuszne.

robiony zwykle utylitaryzmowi — że dla takiego celu trudno uzyskać zgodne współdziałanie wszystkich, bo nietylko różne rasy ludzkie, ale nawet jednostki, każda inaczéj szczęście pojmują, odpiéra Spencer, twierdząc, że urządzenia społeczne nie mają wprost tworzyć szczęścia, mają tylko stworzyć warunki, w którychby każdy bezpiecznie i w spokoju pracą własną mógł urzeczywistniać swój ideał szczęścia. Urządzenia te muszą być daléj tego rodzaju, aby nie znosiły koniecznego czynnika rozwoju — który występuje w rozwoju wszelkich organizmów w przyrodzie, a tak samo społeczeństw ludzkich — naturalnéj selekcyi, pozostawania przy życiu najdzielniejszych, najlepiéj do warunków bytu przystosowanych indywiduów. Ograniczenia prawne wolności jednostek muszą się więc redukować tylko do *minimum*, potrzebnego dla uniknięcia starć i utrzymania porządku, każdy zaś ma w tych warunkach własną pracą, własną dzielnością dobijać się powodzenia, na jakie zasłuży. I w tém właśnie tylko, w proporcyonalności odpłaty do trudu, powodzenia do zasług każdego polega sprawiedliwość społeczna. Skutkiem tego tylko dzielni, umiejący się przystosować do warunków bytu będą pozostawać przy życiu, inni ginąć, a gatunek, rasa będzie się przez to doskonalić, wyżéj rozwijać.

Od téj zasady, że każdy ma sam o siebie dbać i troszczyć się, uznaje Spencer tylko dwa wyjątki: jednym jest pielęgnowanie i wychowanie przez starszych młodego pokolenia, drugim — obrona społeczeństwa na zewnątrz. Wyjątki te widzimy już i u zwierząt, w społeczeństwach ludzkich nabiérają one większego znaczenia. Pierwszy prowadzi do tworzenia urządzeń familijnych, drugi—wojskowych. Uznając doniosłość wojen, walk pomiędzy sobą ras ludzkich, jako czynnika rozwoju na bardzo prymitywnym stopniu kultury, w czasach najdawniejszych, nie staje Spencer wcale w obronie dzisiejszego militaryzmu, wojen dzisiejszych. To, co miały zrobić wojny, w swoim czasie już zrobiły: wytworzyły rasy dzielne i energiczne, gubiąc słabsze, wytworzyły potrzebne dla ładu społecznego stosunki władzy i zależności, dziś są tylko przeszkodą w rozwoju pokojowym społeczeństw, wywołują zdziczenie umysłów, zatracenie poczucia prawa i sprawiedliwości.

Urządzenia familijne i ich formy omówił Spencer szczegółowo już w swych „Zasadach socyologii", w „Sprawiedliwości" dotyka ich tylko krótko, wychodząc z milczącego założenia, że monogamia jest dla stosunków cywilizowanych i normalnych jedyną odpowiednią formą rodziny, i wskazując, jakie normy winno państwo wydać dla uregulowania stosunków majątkowych małżonków, zabezpieczenia praw dzieci i t. d. Zresztą zaś zaznacza, że właściwe kierownictwo i utrzymanie ładu w rodzinie należy jéj saméj zostawić: nie jest to rzeczą państwa. Od-

różnia też ściśle etykę rodzinną od etyki państwowéj. Uznając zaś za cele etyki państwowéj: ochronę jednostki przeciw innym jednostkom, żyjącym w tém samém społeczeństwie, jakotéż przeciw obcym społeczeństwom, bierze w „Sprawiedliwości" jako właściwy temat swych badań tylko — cel pierwszy.

W jakiż sposób ma tedy państwo chronić jednostkę przeciw samowoli jednostek innych, żyjących w tém samém społeczeństwie? Nakładając pewne ograniczenia wolności każdego obywatela, czyli — co na jedno wyjdzie — zabezpieczając mu pewne prawa. Za prawa takie uważa dzisiaj Spencer: prawo do bezpieczeństwa osobistego, wolnego ruchu i zmiany miejsca, używania zasobów przyrody, jak powietrza, światła i ziemi, prawo do własności majątku, własności duchowéj (utworów talentu), prawo darowywania, zapisywania i testowania, wolnego handlu i obrotu majątkiem, wolnego zarobku, prawo wolności wiary i wyznania, wolności mowy i prasy. Charakterystyczném przytém dla dzisiejszych poglądów Spencera jest to, że gdy w r. 1850 w pierwszém wydaniu swéj „Statyki społecznéj" przemawiał za równém prawem wszystkich w społeczeństwie do użytkowania ziemi, za jéj upaństwowieniem i wypuszczaniem w dzierżawę tym, którzy zechcą ją do pracy używać — dzisiaj przyznaje wprawdzie, że odpowiadałoby to ideałowi sprawiedliwości, sądzi jednak, że nie jest to możliwe do zrealizowania. Raz z powodu, że trudno wyśledzić jaką część dzisiejszéj wartości każdego gruntu (już od tak dawna uprawianego i meliorowanego) przypisać przyrodzie, a jaką pracy tak dzisiejszych posiadaczy, jak też ich poprzedników. A przecież tylko do pierwszéj części miałby ogół prawo i to rozumie się za wynagrodzeniem właścicieli! Powtóre samo wykupno gruntów przez państwo zdaje mu się pod względem finansowym ryzykowném. Wreszcie obawia się w razie upaństwowienia ziemi niebezpieczeństw gospodarki urzędniczéj. Odstąpienie to od dawniejszego zapatrywania musi témbardziéj uderzać, że zaraz na początku następującego rozdziału „Sprawiedliwości" (XVI-go) przyznaje, że przeprowadzenie równego prawa wszystkich w społeczeństwie do ziemi jest konieczną podstawą dla sprawiedliwego uregulowania prawa własności, a prawo własności uważa za punkt centralny całéj organizacyi społecznéj.

Zabezpieczenie wszystkich praw powyższych jednostce jest ideałem prawnym organizacyi społecznéj, a do tego ideału zbliżały się i zbliżają coraz więcéj prawa pozytywne różnych społeczeństw w swym rozwoju dziejowym. Najbardziéj oddalone od niego są — jak nas uczy historya — państwa i społeczeństwa wojownicze, militarnie zorganizowane, które wymagały zawsze silnego i monarchicznego rządu a zupełnego oddania się, przystosowania obywateli do celów wojennych. Nawet

państwa dzisiejsze, dopóki będą w konieczności bronienia się przeciw nieprzyjaciołom zewnętrznym, nie mogą się oddać w zupełności ochronie obywateli wewnątrz swych granic. Dopiéro gdy nastąpi redukcya wojsk i zmniejszenie ofiar, jakie dziś każdy obywatel ponosi na cele wojskowe, w zupełnie pokojowém państwie odpadną te ograniczenia wolności, które z dobrem obywateli nie mają związku, a państwo takie będzie mogło zabezpieczyć jednostkom wszystkie prawa, których się domaga idealna organizacya społeczna. Państwo to, zdaniem Spencera, będzie jedynie z a k a z y w a ć jednostkom, czego mają zaniechać, zakréśli im tylko granice, których w działalności swéj przekraczać nie mogą; natomiast nie będzie im nakazywać, co mają czynić, bo dla pokojowéj kooperacyi jednostek nie trzeba żadnego kierownictwa państwowego. Formą główną takiéj kooperacyi jest podział pracy, który występuje raz jako rozdział zadań produkcyjnych w społeczeństwie między różne zawody, gałęzie produkcyi, powtóre jako współdziałanie większéj ilości ludzi w obrębie pewnéj gałęzi produkcyi przy pracy, któréj jeden nie byłby w stanie wykonać. Jedno i drugie powstaje samo przez się, jakgdyby z praw przyrody; kooperacya tworzy się, bo leży w interesie przystępujących do niéj. Tak samo interes prywatny wywołuje, zdaniem Spencera, najlepszą formę wynagrodzenia za pracę. Przy organizacyi państwowéj wynagrodzenia za pracę, przy pensyi, płacy, jaką pobiérają funkcyonaryusze państwowi, miara odpłaty zawisła od opinii ich przełożonych, którzy — o ile nie należą do ludzi baczących wciąż i na każdym kroku na dobro ogółu (a jakże mało jest takich!) — nie mają osobistego interesu postępować jak najsprawiedliwiéj przy wymiarze téj odpłaty, stosować ją ściśle do dzielności, rezultatów pracy podwładnego. Inaczéj przy prywatnéj organizacyi wynagrodzenia za pracę: rzemieślnik np. w miarę tego, czy będzie należycie pracował, dobrego towaru dostarczał, będzie miéć klientów albo nie; do jego dzielności zastosuje się z reguły odpłata. Przy służbie publicznéj więc związek między pracą a odpłatą za nią jest pośredni, sztuczny, przy wynagradzaniu prywatném pracy związek ten jest naturalny, bezpośredni. Egoizm, ten najsilniejszy bodziec działalności ludzkiéj, każe tym, którzy pracują, dokładać jaknajwięcéj starań, bo wiedzą, że wedle tego otrzymają wynagrodzenie, z drugiéj strony każe tym, co płacą, płacić jedynie za dobrą i należytą pracę. Organizacya taka prywatna wynagradzania za pracę będzie jednak mogła dopiéro należycie się rozwinąć w państwie, które straci charakter militarny, w przyszłém państwie pokojowém.

Państwo to zarazem straci charakter oligarchiczny, który odpowiada tylko państwu militarnemu, a przekształci się w organizacyę demokratyczną, zdecentralizowaną, ku czemu już dzisiaj idzie rozwój

społeczny. Spencer przestrzega jednak przed zbyt szybkiém postępowaniem w tym kierunku, występuje zwłaszcza przeciw powszechnemu i bezpośredniemu prawu wyborczemu, po którém wielu spodziéwa się ziszczenia ideału organizacyi prawno-państwowéj, zabezpieczenia jednostkom wszystkich ich praw zasadniczych. Jest to branie środka, który ma dopiéro do celu prowadzić, za sam cel! Wolność wszystkich, uregulowanie takie władzy państwowéj, by tę wolność jak najmniéj krępowała, to bez kwestyi cel ostateczny organizacyi prawno-państwowéj.

Czy jednak do tego celu co innego raczéj nie prowadzi, jak powszechne głosowanie? Doświadczenie Francyi i Ameryki, wyrobienie się w pierwszéj, mimo powszechnego głosowania, rządów biurokacyi, wydawanie zaś w Stanach Zjednoczonych ustaw nieraz bardzo przeciwnych wolności osobistéj (za takie ustawy uważa Spencer przepisy przeciw alkoholizmowi!) przemawiałyby przeciw powszechnemu głosowaniu. Występując tak energicznie przeciw téj instytucyi, nie podaje jednak Spencer ze swéj strony, na czém miałoby polegać najlepsze zabezpieczenie wolności i praw zasadniczych obywateli: wspomina tylko ogólnikowo, że do udziału w rządach powinno się powoływać nie jednostki, ale interesa społeczne, różne zawody i to w stosunku do ich ważności.

Przestrzega daléj przed dopuszczeniem kobiét do praw politycznych. Chce uczynić dostępnemi dla nich wszelkie zawody i zajęcia, godziłby się nawet na przyznanie im pewnego wpływu w administracyi lokalnéj, lecz stanowczo jest przeciwny dopuszczeniu ich do władzy ustawodawczéj i rządu państwa. Dwóch przymiotów, jakich właśnie działalność na tém polu wymaga: zimnéj krwi i patrzenia w dalszą przyszłość, brakuje kobiétom. Ulegają one chętnie urokowi potęgi i siły, mają w sobie skarby uczucia, a tém samém natura wskazała im ich stanowisko. Wybiérając więc za męża człowieka dzielnego i energicznego, zapewniają przejście tych przymiotów na potomstwo, skłonne zaś do opiekowania się tém, co wątłe i delikatne, potomstwo to najlepiéj wychowują.

Jeszcze energiczniéj, niż przeciw przyznaniu praw politycznych kobiétom, występuje Spencer przeciw opiekowaniu się przez państwo „wydziedziczonymi", „ekonomicznie słabszymi". Pomysły odnośne wyszły, jego zdaniem, głównie z egoizmu tych, co téj opieki szukają, i stały się dziś prawdziwą epidemią. Wszystkie ustawy dla ochrony robotników, wszystkie urządzenia dobroczynne ze strony państwa uważa wprost za naruszenia wolności osobistéj obywateli, a nakładanie w tych celach (nawet na oświatę ludową!) podatków za no-

wy rodzaj robocizny, niewoli, którą wolni obywatele muszą dzisiaj znosić!...

Że myśl popierania rozwoju społecznego przez rozszerzanie działalności państwowéj na nowe i coraz nowe zakresy jest sama w sobie błędna, wskazuje, zdaniem Spencera, analogia rozwoju organizmów w przyrodzie. Tam tylko na najniższym szczeblu życia zwierzęcego widzimy, że jeden i ten sam organ spełnia wszystkie funkcye: oddychania, przyjmowania pokarmu i t. d. W miarę, jak posuwamy się w skali organizmów w górę, przekonywamy się, że dla każdéj funkcyi wytwarza się osobny organ.

Miałożby tylko w życiu społecznèm być inaczéj, a państwo, zamiast zrzucać z siebie coraz funkcye, które równie dobrze i lepiéj potrafią pełnić organizacye prywatne, wyszłe z inicyatywy jednostek (np. prywatne koleje, banki, stowarzyszenia), miałoby owszem funkcye wszystkie coraz więcéj w ręku swych skupiać?!... I te funkcye, które musi pełnić, jak: obronę organizmu społecznego na zewnątrz, utrzymanie porządku prawnego wewnątrz tegoż, pełni nieraz niedostatecznie, cóżby było dopiéro, gdyby działalność państwa rozstrzeliła się na liczne pola. Gospodarka urzędnicza ze swemi złemi następstwami, brak dostatecznéj kontroli jéj ze strony ogółu, bo uwaga ogółu musiałaby się kierować na tyle różnorodnych zakresów działalności państwowéj, byłyby tylko skutkiem tego. Utylitaryzm prawdziwie naukowy dedukcyjny — tak nazywa i Spencer swe poglądy etyczno-społeczne — tém się różni właśnie od nienaukowego, płytkiego, indukcyjnego, że nie patrzy na korzyści chwilowe, najbliższe, lecz sięga głębiéj do praw zasadniczych, na których się opiéra życie społeczne. I z praw tych wyprowadza, że cała działalność państwa winna się ograniczyć do zabezpieczenia obywatelowi warunków, wśród których każdy mógłby spokojnie a własną działalnością stworzyć sobie los, na jaki zasługuje, zdobyć sobie swoją pracą—odpowiednią sprawiedliwą odpłatę. Nawet oświata, którą dzisiejsze państwo, zachowując wciąż jeszcze charakter militarny, ujęło w swoje ręce, bo przystosowując wszystko do celów karności, musi w tym kierunku i szkołami kierować, powinna być rzeczą inicyatywy, działalności prywatnéj. Odpadną wówczas wszystkie złe skutki dzisiejszego wychowywania państwowego: urabianie ludzi wedle szablonu, zabijanie w nich wszelkiéj inicyatywy i samodzielności!...

Jednèm słowem — stając w jaskrawéj opozycyi z dzisiejszym duchem czasu — oświadcza się Spencer w swéj „Sprawiedliwości", jako stanowczy zwolennik tak zwanego państwa prawnego, państwa, które ma ograniczyć swą działalność jedynie do utrzymania porządku praw-

nego. Tylko takie państwo, zdaniem jego, potrafi ziścić sprawiedliwość społeczną, nie znosząc koniecznego czynnika wszelkiego rozwoju—selekcyi naturalnéj.

Przedstawiwszy tak zwięźle poglądy Spencera na sprawiedliwość społeczną, przystępuje autor omawianéj przez nas pracy w następnych rozdziałach do ich analizy i krytyki. Podnosi przedewszystkiém zaraz w rozdziale trzecim (zatytułowanym „Sprawiedliwość społeczna i jéj dobroczynne skutki"), jako dowód, że Spencer sam dokładnie i jasno nie zdaje sobie sprawy, czém ma być sprawiedliwość społeczna, to, że w różnych ustępach swych prac różnie ją określa. Raz mówi, że każdy ma dostać odpłatę stosowną do swéj działalności, to znów, że człowiek dzielny nie powinien być pozbawiany przez mniéj dzielnych swego dorobku, wreszcie w „Sprawiedliwości" określa jako ideał organizacyi społecznéj, aby każdy otrzymał rezultat swéj pracy.

Do tak sformułowanego pojęcia sprawiedliwości, które przypomina bardzo „prawo do zupełnego rezultatu pracy", o jakiém marzą socyaliści, nawiązuje Bösch swe dalsze wywody.

W pierwotném stadyum gospodarki ludzkiéj, gdy gospodarstwo każdéj rodziny stanowi odrębną i zamkniętą w sobie całość gospodarczą, która własną pracą, nie rachując na pomoc sąsiadów, stara się zaspokoić wszystkie swoje potrzeby, ideał Spencera jest łatwy do zrealizowania: każda rodzina zbiéra i konsumuje to, co sama wyprodukowała [1]. Ale dziś, gdy tysiące gospodarstw pracuje nietylko obok siebie, ale i dla siebie, przy podziale społecznym pracy, gdy każdy dostaje odpłatę za swą pracę dopiéro po całym szeregu aktów obrotu i za pośrednictwem pieniądza, jakże oznaczyć ów „sprawiedliwy" udział każdego w rezultacie, który wydała zbiorowa praca wszystkich? Prace współdziałających różnią się między sobą nietylko ilościowo (jeden pracował np. dwa razy tyle co drugi), ale i jakościowo? Czyż wynagradzać tak samo pracę genialnego pisarza lub malarza i pracę zwykłego robotnika rolniczego?

Spencer zaznacza w „Sprawiedliwości" ogólnikowo, że gra podaży i popytu uwzględni jedno i drugie, potrafi zastosować wynagrodzenie pracy tak do jéj ilości, jak i jakości; w jaki atoli sposób ma się to odbywać, bliżéj nie wykazuje. Uzupełniając go w tym względzie, stara się Bösch w dłuższym wywodzie rozpatrzéć działanie podaży i popy-

---

[1]) Bardzo trafnie przedstawił ostatniemi czasy ten typ gospodarstwa zamkniętego czasów pierwotnych i jego przemianę w dzisiejsze „gospodarstwo społeczne" Bücher w swéj pracy *Die Entstehung der Volkswirtschaft*. Tübingen, 1893 roku.

tu i dochodzi do rezultatu, że z jednéj strony najlepiéj dokonywują one rozdziału zadań produkcyi między poszczególne gospodarstwa w obrębie jednego społeczeństwa i podziału społecznego pracy, z drugiéj strony wywołują — a przynajmniéj gdyby nie czynniki stające na przeszkodzie — mogłyby wywołać rozdział ogólnego rezultatu produkcyi, odpowiadający ideałowi sprawiedliwości, bo zastosowany do ilości i jakości pracy każdego współpracownika.

Rozdziału zadań produkcyi między poszczególne gospodarstwa dokonywują najlepiéj, bo produkcya stara się zastosować zawsze do potrzeb. W miarę jak zwiększa się popyt na pewien produkt, a tém samém jego ceny i wynagrodzenia pracujących idą w górę, zwiększa się i produkcya; w miarę jak popyt się obniża — a następować to będzie już w części jako dalszy skutek podnoszenia się cen — produkcya obniża się również. Porusza się między pewném *maximum* a *minimum*, około pewnego stanu przeciętnego, od którego daleko nigdy nie odbiega.

Tak samo jednak ma się rzecz z wynagradzaniem pracy, z płacą. W każdym dziale produkcyi najwyższa płaca odpowiada *maximum* produkcyi, najniższa jéj *minimum*, a punkt średni, około którego oscyluje zwykle płaca, odpowiada normalnemu stosunkowi między podażą a popytem, przy którym produkcya potrafi potrzeby społeczeństwa najlepiéj pokryć. Ten punkt średni, płaca przeciętna, normalna, jest znowu w każdym dziale produkcyi, przy różnych rodzajach pracy, różny. Wynagradzanie prac różnéj jakości stosuje się do tego, czy społeczeństwo tego rodzaju pracy więcéj lub mniéj potrzebuje (więc znowu do popytu!), i do tego, czy o kwalifikacye, zdolności do téj pracy łatwo czy trudno (więc do podaży sił i talentów odpowiednich!). Gdy poszukiwanie pewnego rodzaju pracy jest bardzo wielkie, a mało kto jest do niéj uzdolniony, wynagrodzenie pracy — jak to widzimy na honoraryach słynnych pisarzy, śpiewaków — dochodzi niezwykłych rozmiarów.

Gra podaży i popytu więc sama przez się jest w stanie regulować płace i to przy każdym rodzaju pracy w stosunku prostym do ilości pracy; przy różnych rodzajach pracy zaś w ten sposób, że każda wyżéj kwalifikowana praca otrzymuje tę nadwyżkę, jaka jest potrzebna, aby pokryć najlepiéj popyt ze strony społeczeństwa za pracą tego rodzaju.

Wypowiedziawszy tę tezę, zastrzega jednak Bösch zaraz — przewidując zarzuty ze strony socyalistycznéj i innéj — że przedstawia ona tylko prawdę względną, warunkową. Tak działałaby gra podaży i popytu przy stosunkach gospodarczych jak najprostszych, jak najmniéj skomplikowanych, t. j. gdyby czynnik naturalny produkcyi: ziemia

była do dyspozycyi każdego w ilości nieograniczonéj i gdyby do życia i pracowania wystarczała sama praca i dzielność osobista. Tymczasem w rzeczywistości i w jednym i w drugim kierunku rzecz ma się wprost przeciwnie. I ziemia, ten niezbędny czynnik produkcyi, istnieje tylko w ograniczonéj ilości, a pod względem urodzajności przedstawia całą skalę stopni, i do życia i produkcyi trzeba prócz pracy—kapitału. A to jest powodem, że rozdział rezultatów zbiorowéj produkcyi, któryby przy prostych całkiem warunkach gospodarczych, pod wpływem saméj podaży i popytu, jak najlepiéj się ułożył, komplikuje się, że powstają rodzaje przychodów nie wywołane pracą, jak: renta gruntowa, zysk przedsiębiorczy, procent, które z rezultatu zbiorowéj pracy niemałą część zabiérają.

Zastrzegając, że nie myśli wyjaśniać znaczenia ekonomicznego tych zjawisk, że poddaje jedynie ocenie etycznéj, przystępuje Bösch do téj oceny w ten sposób, że najpierw w tym samym trzecim rozdziale swéj pracy rozpatruje korzyści dla ogółu, jakie przedstawiałaby taka idealna organizacya, w któréj każdy mógłby otrzymać za swoją pracę wynagrodzenie zastosowane do jéj ilości i jakości, następnie zaś w rozdziale czwartym („Sprawiedliwość społeczna a rzeczywistość") bada, czy i o ile korzyści te zmniejszają się przy rozdziale dochodów, jaki się odbywa w dzisiejszym ustroju gospodarczo społecznym.

Zdaniem jego, dopiéro przy idealnéj organizacyi społecznéj osiąga ludzkość w pełni korzyści wynikłe z pożycia społecznego, i otwiéra się jéj droga do dalszego rozwoju na przyszłość. Im pierwotniejszą, im mniéj doskonałą jest organizacya społeczna, tém mniejsze stawia wymagania etyczne swym członkom, ale też i mniejsze im zapewnia korzyści. Dopiéro przy wyrobioném bezpieczeństwie prawném mogą się rozwinąć: obrót i podział społeczny pracy i korzyści, jakie stąd płyną dla jednostek. A dopiéro przy zapewnieniu pracującym wynagrodzenia proporcyonalnego do ich pracy będą oni pracować z należytą energią i gorliwością, a produkcya należycie się rozwinie. Niewola, poddaństwo tamują, jak nas poucza historya, produkcyjność społeczeństw, właśnie dlatego, że poddany i niewolnik nie pracują z tą energią i ochotą, co człowiek wolny, pracujący dla siebie, a nadzorujący ich marnują niepotrzebnie na ten cel swoje siły zamiast pracować.

Energia, którą człowiek może w kierunku gospodarczym rozwinąć, jest dwojakiego rodzaju: raz czynna, która polega właśnie na pracowaniu; powtóre, odporna, polegająca na odmawianiu sobie pewnych przyjemności, spożywania natychmiastowego rezultatów swéj pracy, na szczędzeniu. Przez szczędzenie uwalnia człowiek siebie lub drugich od pracy pewnéj na przyszłość, jest to niejako praca z góry, naprzód wy-

konana. Przez szczędzenie można sobie i swojéj rodzinie zapewnić późniejsze pożycie bez pracy: odpoczynek albo możność dalszego kształcenia się, przygotowania do pracy wyższéj, lepiéj płatnéj, wymagającéj wyższych kwalifikacyi. A takie same korzyści płyną ze szczędzenia dla całego społeczeństwa. Mając pokrycie dla potrzeb koniecznych, niezbędnych, które czekać nie będą, zwraca się ono ku pracy w nowych zakresach, nowych działach, może osiągać wyższe zadania cywilizacyjne. Tak więc, jak energia czynna, tak samo dla rozkwitu społeczeństw potrzebne jest szczędzenie, a gdy głównym bodźcem do szczędzenia jest prawo spadkowe, które każdemu zapewnia zatrzymanie tego, co zapracuje, dla jego dzieci i wnuków, przeto okazuje się dla idealnéj organizacyi społecznéj konieczném zachowanie prawa spadkowego. Prawo spadkowe ma wprawdzie i swe ujemne strony, bo przeszkadza naturalnéj selekcyi: nie wiele warci dla społeczeństwa i mniéj dzielni ludzie wskutek odziedziczonego majątku są w stanie utrzymać się przy życiu i miéć powodzenie, gdy dla społeczeństwa byłoby lepszém zostawanie przy życiu i powodzenie tylko dzielniejszych; ale z drugiéj strony korzyści ze szczędzenia wynikłe równoważą te strony ujemne.

Idealna organizacya społeczna, o sprawiedliwym t. j. proporcyonalnym do ilości i jakości pracy rozdziale dochodów [1]), a zatrzymująca zarazem prawo spadkowe, dozwoli jednak ludzkości nietylko jak najlepiéj wyzyskać korzyści wynikłe z pożycia społecznego, z kooperacyi w produkcyi. Organizacya ta poprze téż potężnie dalszy przyszły rozwój ludzkości.

Przedewszystkiém na drodze psychologicznéj, bo podniecając jak najsilniéj energię do pracy każdéj jednostki, zachęcając ją do szczędzenia, wyrobi rasę skrzętną, zapobiegliwą, rozwijającą swą działalność na coraz to nowych polach cywilizacyjnych. Właściwości te zaś raz nabyte przeniosą się drogą dziedziczności, drogą już fizyologiczną, na dalsze pokolenia. Nie trzeba przytém popadać w błąd, w który zwykle popadają przeciwnicy ewolucyonizmu, a nawet niektórzy jego zwolennicy, jak Nietzsche, i mniemać, że przyjęcie ewolucyi i selekcyi naturalnéj, jako czynnika rozwoju ludzkości, musi się łączyć z coraz większém wyrabianiem egoizmu w ludzkiéj naturze. Słyszymy często, że konsekwencyą ewolucyonizmu ma być przedewszystkiém doskonalenie rasy, gatunku. Nie można bawić się w sentymentalizm, trzeba

---

[1]) Bösch zastrzega przytém wyraźnie, że ten „sprawiedliwy“ rozdział dochodów nie wykluczy nietylko nierówności dochodów, ale i nierówności posiadania i majątku (str. 117 i 118).

uznać, że wyzyskiwanie słabszych przez silniejszych jest rzeczą zupełnie zgodną z prawami natury i słuszną. Niech słabsi, ci, którzy do życia i jego warunków nie mogą się przystosować, giną, a silniejsi tylko, dzielniejsi niech zostają przy życiu!... Tego rodzaju zdania i poglądy, które wypowiadają często przeciwnicy etyki ewolucyjnéj, których oddźwięki rzeczywiście spotkać można u Nietzschego w jego „nadczłowieku", są — wypaczeniem teoryi ewolucyi. Ta bowiem, mówiąc o rozwoju, ma na myśli rozwój człowieka i w kierunku duchowym, coraz szlachetniejsze kształtowanie się życia ludzkości! Nie chce wcale rozwijać coraz i rozniecać egoizmu ludzkiego, owszem chce go ograniczyć jak najdokładniéj i do pewnych tylko celów. Lecz naturalnie— dodaje Bösch [1]) — że teorya i etyka ewolucyi nie może stanąć na stanowisku tych, którzy głoszą braterstwo ludzi w tym duchu, iż nie chcą, aby nikt cierpiał, i myślą wszystkim zapewnić życie i zaspokojenie potrzeb!...

I jeszcze przed dwoma błędami — jako niezgodnemi z teoryą ewolucyi i należytym rozwojem społecznym—przestrzega Bösch, przed chęcią sztucznego regulowania mnożenia się społeczeństw, tak zwanym Nowo-Malthusianizmem i przed komunizmem. W kierunku pierwszym powinny społeczeństwa ludzkie spuścić się na naturę, na to, że ona najlepiéj potrafi zapobiedz tak niebezpieczeństwom przeludnienia, jak wyludnienia. Badania naukowe każą przypuszczać, że w miarę postępu i rozwoju cywilizacyi coraz więcéj energii zużywa się w człowieku na jego życie indywidualne, coraz mniéj na reprodukcyę. Mnożenie się społeczeństw ludzkich na wyższych stopniach cywilizacyi słabnie, zmniejsza się samo przez się. Komunizm zaś — a rozumié przezeń Bösch wszelką organizacyę społeczną, któraby każdemu bez względu na jego pracę i działalność zapewniała dział równy w rezultacie produkcyi zbiorowéj — zabiłby energię wszelką w człowieku, ochotę do pracy. Dział każdego musi być nierówny, bo proporcyonalny do jego pracy, tylko nierówność tę należy zredukować do możliwego *minimum*. Nie ulega bowiem wątpliwości, że im mniejsze są różnice w rozdziale dochodów, tém większe zadowolenie ogólne, suma szczęścia, jaką rozdział ten wywołuje.

Taki rozdział dochodów i organizacyę społeczną, któraby go wywoływała, poleca Bösch jako — ideał, jako sprawiedliwość społeczną. Przy nim ludzkość najlepiéj wyzyska korzyści zbiorowego pożycia, on ją najsilniéj posunie ku dalszemu rozwojowi w przyszłości, rozwojowi

---

[1]) Czytelnicy zechcą pamiętać, że streszczamy wciąż poglądy Böscha, naszezdanie o tém wypowiemy niżéj dopiéro.

tak materyalnemu jak duchowemu. Ten ideał rozdziału dochodów odpowiada najlepiéj naszemu poczuciu moralnemu, prawu wewnętrznemu, życiowemu, które niezaprzeczenie odzywa się w człowieku...

Jakież to prawo? Odpowiedzią na to zamyka Bösch trzeci, najdłuższy rozdział swéj pracy, poświęcony analizie idealnéj organizacyi społecznéj i jéj korzyści.

Filozofia z czasów po Odrodzeniu, odrzuciwszy Objawienie nadnaturalne, starała się je zastąpić objawieniem naturalném, chciała we właściwościach fizycznych i psychicznych człowieka dopatrzéć praw dla jego zachowania się etycznego, będących niejako wyrazem woli Stwórcy. Coś podobnego znachodzi się jeszcze u Spencera, w jego agnostycyzmie. Uważa on prawa rządzące wszelkiém życiem w świecie, jako wypływ potęgi „niepoznawalnéj”, stojącéj po za światem zjawisk, a sprawiedliwy, odpowiadający etyce ustrój społeczny, za wyraz właśnie téj siły nierozpoznalnéj, siły, którą wierzący uznaje za—Boga. Uczucia moralne w człowieku są oddźwiękiem téj siły w świadomości człowieka [1].

Bösch podnosi, że zdania te u Spencera, który w całéj filozofii swéj nie zna jakiéjś odpłaty w życiu przyszłém, sprawiedliwości przez Boga wymierzanéj, są tylko frazesem. Przyznaje, że dla wierzącego może zgodność nakazów religii z zasadami sprawiedliwego pożycia społecznego, do jakich dojdzie przez rozumowanie, stanowić tém silniejszą pobudkę do działania etycznego; agnostyk jednak musi szukać kryterym moralnego przedewszystkiém drogą analizy rozumowéj.

Otóż najwyższém prawem życia, prawem dla woli ludzkiéj jest: unikać cierpienia, szukać przyjemności. Każdy chciałby więc właściwie przykroić dla siebie cały porządek społeczny, tak aby zapewniał mu jak najmniéj cierpień, a najwięcéj przyjemności. Wnet jednak musi przyjść do przekonania, że to nie jest możebne, że trzeba i drugich uwzględnić, dla nich porobić ustępstwa, zadowolić się porządkiem społecznym, który nietylko jego dobro, ale i dobro innych ma na oku. Pogodzenie się z takim porządkiem nie jest jednak tylko ustępstwem wymuszoném na egoizmie każdéj jednostki, następuje ono w części i dobrowolnie, ze współczucia, sympatyi dla drugich. Współczucie to u różnych ludzi jest mniéj lub więcéj wyrobione, ale każdy do pewnego stopnia odczuwa i szczęście wszystkich także jako swoje i wprost sobie go życzy.

---

[1] Por. Spencer. *Justice* (tłóm. francuskie Castelota). Paris, Guillaumin et C., 1893, 3, ustęp końcowy, 35.

Z tych psychologicznych motywów przychodzą ludzie, zdaniem Böscha, do postawienia jako najwyższego kryteryum etycznego: możliwie największego dobra ogółu, a prawdziwość tego możemy stwierdzić ile razy chodzi w życiu o postawienie nowych norm prawnych lub etycznych. Te motywa psychologiczne (szukanie szczęścia a unikanie bólu) uważa téż on za źródła, z których płyną uczucia etyczne w człowieku, uczucia skłaniające go do szanowania urządzeń prawnych i moralnych istniejących (str. 171). Rzuciwszy to ogólnikowe — a jak wykażemy niżéj stanowczo błędne — twierdzenie, nie tłómaczy Bösch bliżéj genezy uczuć etycznych: jest to wedle niego rzeczą psychologii moralnéj. Podnosi tylko jeszcze, że ogół uczuć etycznych, sumienie w człowieku zowią zwykle głosem Bożym, że Spencer nazywa uczucia te oddźwiękiem siły niepoznawalnéj w całéj naturze występującéj i że spencerowski ten pogląd przypomina starożytnych stoików i ich nakaz moralny: żyć w zgodzie z naturą, zastosować prawa pożycia ludzkiego społecznego do praw natury [1]).

* * *

Rozdział czwarty pracy Böscha zajmuje się zbadaniem, o ile zboczenia od idealnego rozdziału dochodów, jakie przedstawia rzeczywistość, dochody nieproporcyonalne do pracy i nią niezasłużone, szkodzą dobru społecznemu.

Za takie dochody uważa Bösch, jak wynika już z tego co wprzód mówiliśmy: zysk przedsiębiorczy, rentę gruntową a poniekąd i procent.

Co do zysku przypomina, że były zawsze przy podziale społecznym pracy jednostki, które nie pozbywały się rezultatu swéj pracy, lecz tylko swéj siły roboczéj. Tę siłę ktoś kupował, zużytkowywał, a rezultat kupionéj tak pracy sprzedawał na swój rachunek. Od wprowadzenia maszyn i rozwinięcia produkcyi przemysłowéj na wielką skalę, która zatrudnia większą ilość robotników, około 50, 100, nieraz 200 przy produkowaniu jednego wytworu w wielkich masach, klasa robocza, pozbywająca tylko swe siły na cudzy rachunek, wzrosła niesłychanie i od tego czasu wyrobił się głównie typ nowoczesnego wielkiego przedsiębiorcy, który, posiadając na własność potrzebne do produkcyi urządzenia fabryczne, maszyny i t. d., stara się o potrzebne surowce,

---

[1]) Że przypisywanie takiego zapatrywania stoikom jest zupełném ich nierozumieniem, wykażemy niżéj.

każe je robotnikom za zapłatę obrabiać czy przerabiać i — na swój rachunek sprzedaje.

Jeżeli rozpatrzymy wydatki tego przedsiębiorcy, widzimy, że polegają one: 1) na zapłaceniu robotników, 2) zapłaceniu surowców, opału, wogóle wytworów pomocniczych potrzebnych do fabrykacyi, 3) na normalném oprocentowaniu włożonego w przedsiębiorstwo kapitału stałego i obrotowego, 4) na opędzeniu kosztów ciągle potrzebnych reperacyi, 5) wreszcie—wedle okoliczności—na amortyzacyi kapitału, włożonego w maszyny. Dochody zaś jego polegają na sumie pieniędzy uzyskanéj ze sprzedaży gotowych fabrykatów i ewentualnych odpadków produkcyi. Dochody te, przewyższając zwykle znacznie wspomniane wprzód wydatki, tworzą zysk przedsiębiorcy przemysłowego, wynagrodzenie za jego pracę, t. j. podjęcie się produkcyi w interesie społeczeństwa, zorganizowanie jéj należyte, kierowanie nią. Obok tego typu przemysłowego przedsiębiorcy występuje jeszcze drugi typ przedsiębiorcy handlowego, który, pośrednicząc w sprzedaży gotowych produktów między producentami a konsumentami, za to sobie zysk liczy.

Otóż, jeżeli rozpatrzymy pracę, za którą jeden i drugi rodzaj przedsiębiorców pobiera wynagrodzenie, zwane zyskiem, przychodzimy, zdaniem Böscha, do przekonania, że praca ta daleko lepiéj jest wynagradzana, aniżeli praca nietylko téj saméj, ale znacznie wyższéj kwalifikacyi w innych zawodach. Praca ta nie stoi wyżéj pod względem wymagań, jakie stawia pracującemu, niźli praca adwokata, inżyniera, lekarza, bardzo często stoi niżéj, a już z pewnością ustępować musi pracy technika-wynalazcy, badacza naukowego. Czémże się dzieje, że praca ta przedsiębiorcy, nie dorównywająca w kwalifikacyi innym, pobiera mimo to wynagrodzenie lepsze? Czemu gra podaży i popytu, którą rozpatrywaliśmy wyżéj, nie wyrówna tego wynagrodzenia przedsiębiorców z wynagrodzeniami innych pracujących? Czemu wszyscy nie stają się przedsiębiorcami i nie obniżą przez konkurencyę zysku przedsiębiorczego? Odpowiedź jest prosta. Bo do tego trzeba miéć własny kapitał! Bez kapitału nie można zakładać przedsiębiorstwa i pobierać zysków przedsiębiorczych, a tak nadaje posiadanie na własność kapitału tym, którzy go włożą w przedsiębiorstwo, możność pobierania dochodów wyższych, aniżeli dochody podobnéj, a nieraz wyższéj pracy, nie wyposażonéj w kapitał. Zysk przedsiębiorczy jest rodzajem monopolu, wynikłego z posiadania kapitału. Otóż, oceniając etycznie monopol ten, wypowiada Bösch przekonanie, że jakkolwiek przedsiębiorcom należy się bez kwestyi za ich pracę, jako wymagającą specyalnych i większych kwalifikacyi, wynagrodzenie wyższe, to jednak, o ile wynagrodzenie to przewyższa wynagrodzenie podobnéj, a nawet

wyższéj pracy w innych zawodach, monopol zysku przedsiębiorczego jest szkodliwy dla ogółu. Narusza bowiem zasadę proporcyonalności dochodu do pracy, zmniejsza tém samém ogólne uczucie zadowolenia, szczęścia w społeczeństwie, a wskutek tego osłabia energię do pracy. Naturalnie, podwójnie wystąpią te szkodliwe skutki, gdy przedsiębiorcy starają się zysk swój mniéj godziwemi sposobami podnieść, gdy w drodze zmów między sobą, tak zwanych *trustów*, *ringów*, *karteli* dążą do zgniecenia ekonomicznego słabszych współkonkurentów, aby, zawładnąć wyłącznie targiem, wyzyskują konsumentów, albo obniżają płace robotnikom!...

Jeszcze więcéj niż zysk przedsiębiorczy naraża, zdaniem Böscha, zasadę sprawiedliwego, t. j. proporcyonalnego do pracy rozdziału dochodów w społeczeństwie—renta gruntowa. Jest to dochód specyalny właścicieli gruntów, wynikły stąd, że obszary ziemi — w krajach gdzie wszystka ziemia jest już zajęta na własność, — nie dadzą się powiększać. Tymczasem zaludnienie i jego gęstość wzrasta, środki obrotu i komunikacyi ulepszają się wciąż, popyt więc na ziemię czy do uprawy, czy pod budowy i urządzenia fabryczne, wciąż wzrasta! Stąd ceny produktów rolnych, leśnych i górniczych i ceny ziemi saméj idą w górę. Właściciel ziemi pobiera pewną nadwyżkę dochodu, któréj nie zawdzięcza pracy, a nadwyżka ta, skapitalizowana zgóry, występuje w cenie gruntów, powodując nieraz — zwłaszcza przy gruntach miejskich—już po upływie krótkiego czasu znaczny przybytek w majątku właściciela. Otóż niezasłużony ten dochód z ziemi i niezasłużony przybytek w majątku, spowodowany wzrostem wartości ziemi powinny, zdaniem Böscha, dostawać się w udziale nie jednostkom, lecz ogółowi, całemu społeczeństwu. Dostając się jednostkom, naruszają znowu, i to w daleko wyższym stopniu niż zysk przedsiębiorczy, zasadę proporcyonalności dochodu do pracy, osłabiają tém samém energię do pracy w społeczeństwie i jego rozwojowi szkodzą. Mniéj dzielnym i mniéj wartym członkom społeczeństwa daje to nieraz możność utrzymania się przy życiu i dobicia się powodzenia kosztem dzielniejszych!... Bösch wskazuje, że na téj drodze właśnie i głównie objawia się szkodliwe działanie prawa spadkowego—za którego zatrzymaniem, jak zaznaczyliśmy wyżéj, przemawiał. Gromadzone z pokolenia na pokolenie zyski przedsiębiorcze i przychody z ziemi wytwarzają milionowe fortuny i to najczęściéj w ręku takich, którzy ich użyć z korzyścią dla społeczeństwa, pracować przy pomocy tych kapitałów nie chcą i nie umieją. Szkodzi to, jak łatwo ocenić, selekcyi naturalnéj i tamuje rozwój społeczny, a jeżeli na obronę wielkich majątków i klasy „dziesięciu tysięcy z góry” przytaczają zwykle argument, że wyższa duchowa kultura,

nauka, sztuka rozwinąć się mogą dopiero przy istnieniu warstw majętnych, któreby mogły się im swobodnie oddawać lub je popierać, to ten argument dziś nie jest już na czasie. Nauce oddają się obecnie nie bankierzy i milionerzy, lecz ludzie ze stanu średniego właśnie, a popierać sztukę potrafiłby ogół, społeczeństwo całe, daleko lepiéj niż jednostki, które to czynią dla próżności i nieraz właśnie zły wybór robią. Nadto przy usunięciu monopolu, jaki nadaje zysk przedsiębiorczy, i niezasłużonych dochodów, wynikłych z renty gruntowéj, przy idealnym rozdziale dochodów odpadłyby też, zdaniem Böscha, małżeństwa zawierane z interesu pieniężnego, które na drodze fizyologicznéj i psychologicznéj rozwojowi społecznemu tylko szkodzą!

Najwzględniejszym okazuje się Bösch dla procentu. Ten, zdaniem jego, stanowi konieczną nagrodę za szczędzenie, a tém samém, jakkolwiek zasadę proporcyonalności dochodu do pracy także narusza, zatrzymać go dziś jeszcze musimy. Wobec obniżania się jednak ciągłego stopy procentowéj w krajach cywilizowanych, wyraża Bösch nadzieję, że z czasem może i ta nagroda za szczędzenie stanie się zbędną, że społeczeństwa tak się przyzwyczają zbierać i szczędzić, że wystarczy jako podnieta do tego minimalna stopa procentowa, np. 1% (str. 114—116).

Przedstawiwszy tak zboczenia dzisiejsze od idealnego rozdziału dochodów, od „sprawiedliwości społecznéj" w swém rozumieniu, stara się Bösch jeszcze pod koniec tego czwartego rozdziału swéj pracy sprostować mylne, jego zdaniem, poglądy Spencera na społeczną sprawiedliwość.

Sprawiedliwości społecznéj nie odpowiada państwo czysto-prawne, jakiego chce Spencer, państwo, które ograniczyłoby swą działalność do zabezpieczenia i ochrony rozdziału dochodów, stosunków posiadania i majątku, jakie z saméj gry podaży i popytu wynikną. Państwo musi działać i pozytywnie: wkraczać i wglądać w sprawy, których przeprowadzenia wymaga dobro ogółu, używać, gdzie tego trzeba, przeciw jednostkom przymusu. I budowa dróg, regulacya rzek i wód, i banki, koleje, ochrona robotników wymagają wdawania się państwa w sferę działania jednostek, a zupełnie błędnie uważa to Spencer za naruszanie wolności indywidualnéj. Dzieje się to właśnie celem zastosowania działu ze zbiorowego rezultatu produkcyi, jaki każdy ma dostać, do jego pracy, dzieje się to dla sprawiedliwości. Tak samo nakładanie ciężarów, podatków dla celów ogólnych: na oświatę ludową, zakłady, urządzenia naukowe, szpitale, domy przytułku i t. p., byle nie przekraczało właściwéj miary, nie sprzeciwia się, owszem odpowiada sprawiedliwości społecznéj.

*
* *

Ostatni, piąty rozdział swéj pracy poświęca Bösch zbadaniu, jakie są widoki zbliżenia rzeczywistości do ideału sprawiedliwości społecznéj, który wyżéj przedstawił. Rozdział ten najsłabszy z całéj pracy, bo autorowi zbywa na dostateczném wykształceniu ekonomiczném, przejdziemy krótko.

Do zniesienia z czasem zysku przedsiębiorców handlowych, zysku kupieckiego, doprowadzi zakładanie stowarzyszeń konsumcyjnych. W miarę ich rozwijania ustanie monopol kupców. Stowarzyszenia te będą oczywiście też wynagradzać swoich funkcyonaryuszy wyższych i niższych, ale tylko tak, jak inną pracę podobnéj kategoryi. Będą mogły sprzedawać zaś taniéj, bo odpadną im liczne wydatki, jakie dziś kupcy muszą ponosić: wysyłanie komiwojażerów, anonse, reklama i t. d.

Zysk przedsiębiorców przemysłowych zaś usuną: najpierw lepsza organizacya kredytu, która ułatwi każdemu chętnemu podejmowanie przedsiębiorstw, powtóre stowarzyszenia produkcyjne, przedsiębiorstwa akcyjne, które już John Stuart Mill słusznie nazwał zjawiskiem społeczném o charakterze demokratycznym.

Wszystko to razem w połączeniu z obniżeniem minimalném stopy procentowéj i upaństwowieniem renty gruntowéj—które też projektuje, Bösch, jak zaraz zobaczymy—i w połączeniu ze zmniejszaniem się przybytku ludności, zmniejszy nędzę dzisiejszą niższych klas społecznych, podniesie je duchowo i moralnie, nauczy kooperacyi i współdziałania.

Szkoła do takiéj kooperacyi proletaryatu jest już dziś stworzona, są nią stowarzyszenia zawodowe robotnicze.

Przeciw *trust*om, *kartel*om i tego rodzaju nadużyciom samopomocy będzie musiało państwo użyć siły, a niektóre przedsiębiorstwa, których pozostawianie w rękach prywatnych byłoby niebezpieczném, jak koleje, przejąć na siebie. Ochrona robotników musi tak długo pozostać, aż rozwijająca się coraz organizacya zawodowa i polityczna stanu robotniczego uczyni ją zbędną.

Rentę gruntową musi państwo stanowczo upaństwowić i grunta wiejskie wypuszczać w dzierżawę tym, którzy na nich zechcą dla siebie i swéj rodziny gospodarować, za czynszem oznaczanym w drodze licytacyi, zatém przez grę podaży i popytu, co usunie, zdaniem Böscha, wszystkie niebezpieczeństwa wynikłe z oznaczania tego czynszu przez władze państwowe. Czynsz ten na téj saméj drodze będzie można co pewien peryod obniżać lub podwyższać. Sam jednak Bösch przyznaje, że niema pojęcia, jakby przeprowadzić to upaństwowienie renty w okolicach, gdzie rolnicy nie mieszkają po wsiach, lecz zdala porozrzucani

od siebie, jak w górach, tudzież, jak w drodze podatku upaństwowić rentę z gruntów miejskich!...

Co się tyczy kollektywizmu zupełnego, to twierdzi Bösch, że w naszych czasach, gdy jesteśmy blizcy wynalezienia statków powietrznych, dających się kierować, i latania, nie można żadnych idei organizacyjnych uważać zgóry za utopię! I kolektywizm jednak, któryby upaństwowił całą produkcyę i pod swe kierownictwo zagarnął, nie mógłby zapewniać wszystkim równego całkiem dochodu: owszem, musiałby, jeżeliby energia i chęć do pracy nie miały zginąć, wprowadzić proporcyonalność wynagrodzenia do pracy i dozwolić dziedziczenia oszczędności z rodziców na dzieci!...

W krótkiém „Zakończeniu" podnosi wreszcie autor, że do czasów Sokratesa filozofia grecka zwracała uwagę tylko na świat zjawisk zewnętrznych otaczających człowieka, a dopiero Sokrates nadał jéj kierunek badania i wewnętrznego, psychicznego ustroju człowieka. Podobnie i nauka nowoczesna w ostatnich dziesiątkach lat zadługo i zanadto wyłącznie zajmowała się badaniem natury, zaniedbując zagadnienia psychologiczne i etyczne. Teraz musimy do tych zagadnień powrócić: możemy i w nich porobić odkrycia, które pod względem dobroczynnych swych skutków dla ludzkości dorównają: parze, elektryczności i postępom chemii!... Będzie to wedle Böscha zadaniem nadchodzącego, dwudziestego stulecia.

*
* *

Praca, którą wyżéj streściliśmy, miała być — jak to sam autor w jéj tytule przyznawał—uzupełnieniem poglądów społecznych Spencera i ich krytyką.

Krytyka, jak widzimy, poszła w jednym tylko kierunku: gdy Spencer, jako przesadny indywidualista, chciał działalność państwa na polu społeczném zredukować *ad minimum*, zostawiając wszystko prywatnéj inicyatywie, konkurencyi i współubieganiu się jednostek, Bösch—przejęty poglądami szkoły tak zwanéj etycznéj w ekonomii społecznéj, zwłaszcza niemieckich pisarzy—chce nadzwyczaj daleko idącego mieszania się państwa, reform społecznych, które graniczą z pomysłami socyalistów. Upaństwowienie renty gruntowéj jest to plan bardzo śmiały, który brać pod uwagę możnaby chyba w odległéj przyszłości, nie w czasach dzisiejszych, w okresie ciągłych przesileń agrarnych, powszechnéj obniżki renty gruntowéj!... Tak ten zaś projekt, jak myśl zniesienia zysku przedsiębiorczego, podnosi autor całkiem ogólnikowo, nie rozpatrując krytycznie możliwości lub niemożliwości przeprowadzenia tych planów,

ani zarzutów, które dałyby się przeciw nim podnieść; nieraz wprost naiwnie przyznaje, że nie zdaje sobie sprawy, jakby to się dało przeprowadzić (str. 243). Czy jest to wynikiem niedostatecznéj znajomości strony ekonomicznéj tych zagadnień?... [1]). Niektóre wywody zdawałyby się do takiego mniemania upoważniać.

Słusznem jest w każdym razie twierdzenie, że kierunek, w którym będzie się głównie posuwać praca na polu reform społecznych, wskazuje już dzisiaj — organizacya zawodowa pracujących. Należało tylko właśnie przynajmniéj zaznaczyć, w jaki sposób organizacya ta — dobrowolna, czy zapoczątkowana przez państwo — może wpłynąć na złagodzenie antagonizmu między kapitałem a pracą, na zbliżenie przedsiębiorców do robotników, na umiarkowanie wreszcie zysku przedsiębiorczego. Autor zastrzegł wprawdzie, że całą kwestyę tego zysku i inne „zboczenia od ideału organizacyi społecznéj" chce rozebrać tylko ze strony etycznéj, nie ekonomicznéj (str. 78), lecz skoro wplatał i tak na różnych miejscach tyle — niepotrzebnych nieraz — wywodów ekonomicznych, mógł i téj kwestyi więcéj uwagi poświęcić. Doprowadziłoby go to zaś i do cennych — rezultatów etycznych! Rozpatrzenie samorządu organizacyi zawodowych, decentralizacyi władzy, jaką one będą musiały wytworzyć, dałoby mu najlepsze wskazówki, co do tego na jakiéj drodze może w przyszłości nastąpić należyte rozgraniczenie sfery działania jednostki a społeczeństwa, pogodzenie wolności indywidualnéj i przymusu społecznego... Autor poddał krytyce poglądy Spencera na sprawiedliwą organizacyę społeczną właśnie tylko na tym punkcie; oświadczył się—i słusznie—przeciw spencerowskiemu przecenianiu wolności jednostki, a za przymusem społecznym, sam jednak nie umie podać, jak daleko ma sięgać ten przymus i dlaczego godzi się on z wolnością jednostek! [2]).

Tyle o krytyce spencerowskich poglądów u Böscha, a zarazem o idei sprawiedliwości społecznéj, jaką spotykamy u obu tych pisarzy ewolucyjnych.

Postaje nam jeszcze powiedzieć słów parę o ich poglądach etycz-

---

[1]) Autor jest docentem filozofii, nie ekonomii społecznéj.

[2]) Jednostki związane w organizacyę zawodową będą zarazem władzą lokalną, będą w pewnym szerokim dosyć zakresie same sobą rządzić, nakładać swéj wolności, w miarę uznania potrzeby, mniéj lub daléj idące ograniczenia. Na téj drodze niewątpliwie będzie się w przyszłości poruszał rozwój społeczny. Ciekawą tę kwestyę, którą tu tylko możemy zaznaczyć, rozbiéra szerzéj w ostatnich czasach Prins w cennéj pracy: „*L'organisation de la liberté et le devoir social*". Bruxelles-Paris, 1895.

nych wogóle, w tym bowiem kierunku idzie znowu „uzupełnianie” Spencera przez Böscha.

Otóż Bösch, rozprowadzając szerzéj w niektórych punktach poglądy etyczne Spencera, nazywa je—jak to zaznaczyliśmy już wyżéj—utylitaryzmem. Jest to — jakkolwiek i sam się Spencer do utylitaryzmu przyznaje — mieszanie pojęć etyki utylitarnéj i etyki rozwojowéj, ewolucyjnéj.

Utylitaryzm ścisły, jaki reprezentuje np. John Stuart Mill, nie oglądając się na rozwój ludzkości, uznaje za etyczne to, co zapewnia możliwie wielką dozę szczęścia jak największéj ilości jednostek w społeczeństwie. Etyka ewolucyjna ma na oku dalszy rozwój ludzkości, wedle niéj etycznėm jest to, co temu rozwojowi służy.

Otóż jasném jest, że tak etyka spencerowska, jak i poglądy etyczne Böscha, nie są utylitaryzmem w ścisłém tego słowa znaczeniu, lecz — etyką ewolucyjną. Mają bowiem na oku rozwój dalszy ludzkości, do tego zastosowują kryteryum etyczne i pojęcie sprawiedliwości.

Jak cała teorya ewolucyi, tak i etyka na niéj oparta dozwala w ramy swe ująć różne zapatrywania. Można pogodzić ją z wierzeniami religijnemi, przyjąć sprawiedliwość Bożą i sankcyę nadprzyrodzoną dla działań ludzkich, można też starać się uzasadnić jéj kryteryum etyczne [1]) drogą czysto rozumową. Tą drugą drogą postępuje Spencer, a jeszcze więcéj Bösch. Spencer, jak to nadmieniliśmy wyżéj, mówi przynajmniéj o poczuciu etycznėm wrodzoném człowiekowi, o głosie sumienia, jako o odbiciu téj potęgi niepoznawalnéj, która objawia się w całéj przyrodzie. Bösch, uzupełniając, jak sądzi, Spencera, stara się wyprowadzić te uczucia z najwyższego wedle niego prawa życia ludzkiego, którém jest: szukać szczęścia, unikać cierpienia. O ile rozumiemy wywody Böscha — na tym punkcie dość ogólnikowe i niejasne — człowiek, stosując się do tego „prawa”, w nim się odzywającego, nabywa uczuć altruistycznych (!). Jako na przykład podobnego zapatrywania, „przystosowywania praw pożycia ludzkiego do praw natury”, wskazuje Bösch na—starożytnych stoików.

Jest to zupełne nierozumienie praw rozwoju natury ludzkiéj, nierozumienie Spencera, którego uzupełnieniem mają być te poglądy, nierozumienie wreszcie stoików!

---

[1]) Powiadamy „kryteryum etyczne“, bo o ile idzie o genezę ostateczną uczuć etycznych, o cel, do którego cały rozwój etyczny ludzkości ma zmierzać, bez tłómaczenia metafizycznego, religijnego, jak niżéj jeszcze wykażemy, obejść się nie można.

Stosowanie się do prawa powyższego, postawionego przez Böscha, byłoby postępowaniem z egoizmu tylko, byłoby życiem wedle praw przyrody, natury wogóle, ale nie natury ludzkiéj!

„Prawa przyrody — powiada słusznie Huxley [1]) — mają wpływ tém większy na rozwój społeczny, im na niższym stopniu znajduje się poziom moralny społeczeństwa.” Wówczas też — w najpierwotniejszych stadyach cywilizacyi — jednostka każda stara się rzeczywiście szukać dla siebie tylko szczęścia a unikać cierpienia, walka o byt sroży się w całéj pełni, słabsi giną a zostają przy życiu tylko fizycznie silniejsi, lepiéj przystosowani. Już pierwszy postęp społeczny jednak, pierwsze lepsze unormowanie stosunków społecznych nie oznacza nic innego, jak: usunięcie wpływów przyrody na życie społeczne, a wprowadzenie na ich miejsce — wpływów moralnych. Odtąd rozwój społeczny staje się etycznym, a wynikiem jego jest: nie pozostawanie przy życiu najsilniejszych, najdzielniejszych fizycznie, lecz moralnie lepszych. W miejsce stosowania się ślepego do zachcianek egoistycznych, w miejsce egoizmu, który rzeczywiście każe każdemu szukać własnego tylko szczęścia a unikać bólu, występuje u jednostek coraz większe panowanie nad sobą; w miejsce bezwzględnego zwalczania, pokonywania współzawodników, uznanie i w nich bliźnich, oszczędzanie ich, nawet udzielanie im pomocy. Skutkiem tego nie pozostają wprawdzie przy życiu najdzielniejsi, najlepiéj przystosowani, ale za to możliwie największa ilość jednostek ludzkich [2]).

Że o takiém zastąpieniu zupełném egoizmu przez altruizm myśli i Spencer, nie ulega wątpliwości. Powiada przecież, że „altruizm osiągnie z czasem taki stopień rozwoju, iż dorówna uczuciom rodzicielskim”. I wedle niego rozwój ludzkości jest przedewszystkiém etyczny, a stan idealny, niejako wiek złoty, na który on w przyszłości wskazuje, w którym zniknie zupełnie antagonizm między jednostką a społeczeństwem, w którym każdy z najżywszą przyjemnością — rozumié się duchową — będzie działał etycznie a nawet poświęcał siebie dla drugich, to nic innego jak „królestwo Boże” każdego wierzącego w nie!... Jasném jest jednak, że na drodze stosowania się ślepego jednostek do rzekomego prawa życiowego, które stawia Bösch, na drodze

---

[1]) Por. Huxley. „*Sociale Essays*“ (tłóm. niem. Tillego). Weimar, 1897. „*Ethik und Entwicklung*“, str. 285.

[2]) Por. Huxley, j. w., str. 286. W ten sam sposób pojmuje rozwój społeczny Beniamin Kidd w swéj cennéj pracy o ewolucyi społecznéj, z którą niedawno „Ateneum“ zapoznało swych czytelników. Por. Kidd. „*Sociale Evolution*“ (tłóm. Pfleiderera). Jena, 1895, zwłaszcza str. 55 i nast., str. 263 i nast.

stosowania się do natury, przyrody, ten stan nie da się nigdy osiągnąć!

Nie pojmowali też wcale tak „życia wedle natury" stoicy. Rozróżniali oni naturę wogóle (przyrodę, świat otaczający człowieka) i naturę ludzką wewnętrzną, a w téj znowu: niższą, zwierzęcą jéj stronę i wyższą. Otóż żyć wedle natury znaczyło u nich: żyć wedle wyższéj natury ludzkiéj, żyć cnotliwie [1]).

W przyjmowaniu więc z jednéj strony rozwoju etycznego, moralnego ludzkości, a przypuszczaniu ze strony drugiéj, że rozwój ten nastąpi na drodze prostego „przystosowywania praw pożycia ludzkiego do praw natury", do głosu, który każdemu każe szukać własnego szczęścia—leży sprzeczność i główny błąd Böscha!

Błędem Spencera zaś — a tak samo każdéj teoryi ewolucyjnéj, która stara się rozwój etyczny ludzkości wyprowadzić z jéj rozwoju intelektualnego [2]) — jest, jak słusznie Kidd podnosi [3]), nieuznawanie tego, że ze wszystkich właściwości natury ludzkiéj rozum (intellekt) jest czynnikiem najbardzéj indywidualnym, egoistycznym, anti-socyalnym i sam z siebie tylko daléjby się w tym kierunku rozwijał.

„Gdybyśmy oczekiwali — powiada Kidd—od uczucia w jednostce, które ją przedewszystkiém do starania się o własne interesa pobudza (egoizmu), że podda się pod wpływem rozumowania uczuciu, popychającemu jednostkę do poświęcania się dla drugich (altruizmowi), w tym celu, aby popiérać rozwój ogólny dla jednostki zupełnie obojętny, byłoby to tylko zupełném nieuznawaniem istotnego stanu rzeczy." Wszak trudno wystawić sobie silniejsze uczucia altruistyczne, aniżeli rodzicielskie, a jednak jest to faktem niezaprzeczonym, który każdy może obserwować, że sam rozwój intelektualny, bez kształcenia uczuć

---

[1]) Huxley, j. w., str. 280. Por. téż cytaty ze stoików u Huxleya w przypisku 15-ym, str. 307.

[2]) Utylitaryzm ścisły przyjmuje zachodzącą już zgóry identyczność interesów jednostki i interesów ogółu: jednostka potrzebuje tylko przyjść do poznania tego, aby działać moralnie. Spencer, stając na gruncie rozwojowym, posuwa się o krok daléj. Identyczność ta nie zachodzi jeszcze, ale nastąpi: antagonizm między jednostką a społeczeństwem zniknie, skoro jednostki udoskonalą się do tego stopnia, że przyjemnością dla nich będzie robić dobrze. Nastąpi to zaś drogą własnego odczuwania, poznawania, przeświadczenia się o tém każdéj jednostki („Dane etyki", rozdz. XIII, zwłaszcza str. 92 i rozdz. XIV). — Przecież przyjemność, jaką jednostka odczuwa, robiąc dobrze, przypuszcza, że ta jednostka jest już etycznie rozwiniętą! Musiały się w niéj wprzód już uczucia altruistyczne nagromadzić i rozwinąć. Spencer przypuszcza zaś, że dopiéro na drodze odczuwania przyjemności, ewentualnie oczekiwania jéj w przyszłości, uczucia te się wyrabiają.

[3]) Kidd, j. w., str. 268.

moralnych, nawet te naturalne, instynktowne uczucia osłabia i zabija. Czyż nie mamy w literaturze naszych czasów prac, w których twierdzi się z emfazą, że „jest coś wzruszająco-niedorzecznego w poświęcaniu się z generacyi na generacyę ludzi dorosłych dla swych dzieci"? Czyż nie widzimy, że w społeczeństwach, w których kształcenie rozumu bierze górę nad kształceniem uczuć, rozprzęga się moralność, życie rodzinne, znikają uczucia z niém związane? [1]).

Sam rozwój poznania, inteligencyi, nie doprowadzałby więc ludzi do tego, aby uznawali, że trzeba w interesie ogólnego przyszłego rozwoju poświęcać siebie i swój egoizm. Doprowadza ich do tego dopiéro inny wyższy czynnik, który miarkuje egoizm ludzki, wychowuje moralnie ludzkość, a czynnikiem tym są —wierzenia religijne.

Na najniższych stopniach cywilizacyi pierwsze niejasne uczucia etyczne wypływają już, jak się zdaje, z łączności pierwotnych grup społecznych, węzłami krwi związanych (rodziny, rodu, szczepu). Egoizm grupowy bierze górę nad egoizmem jednostkowym z powodu mało rozwiniętéj indywidualności jednostek i pochłania go. W miarę jednak właśnie, jak rozwój postępuje, wyrabia się indywidualność, inteligencya jednostek, a tém samém egoizm jednostkowy; miarkują go jedynie, wychowują etycznie społeczeństwa ludzkie — wierzenia religijne. Na tém polega znaczenie społeczne religii. Właśnie teorya ewolucyi, przyjmując rozwój etyczny ludzkości, ciągłe jéj doskonalenie się, zmusza wprost do uznania, obok rozumu ludzkiego, wyższego, uzupełniającego go czynnika rozwojowego—religii [2]).

Dr. Władysław Pilat.

[1]) Kidd, j. w., str. 269 i przypisek 2-gi na téj stronie, str. 258 i n.

[2]) Kidd, j. w., str. 270. Tę samą myśl nieco inaczéj rozwinął świéżo H. R. Marshall w pracy „*The religions instinct*", zamieszczonéj w czasopiśmie angielskiém „*Mind*", nr. 21, ze stycznia 1897 r. Por. streszczenie téj pracy w „Przeglądzie Filozoficznym", rok I, zeszyt 1, str. 142 i 143.

Jadwiga Tarłówna.

DRAMAT DZIEJOWY

w 5-ciu aktach.

OSOBY:

BOGDAN LEPUSZANO, hospodar wołoski.
HIERONIM SIENIAWSKI, wojewoda ruski.
MIKOŁAJ TARŁO, chorąży lwowski.
REGINA TARŁOWA, wdowa.
JADWIGA TARŁÓWNA, jéj córka.
MARCIN OSTROWSKI, pisarz ziemski przemyski.
JAKÓB LEŚNIOWSKI, podczaszy lwowski.
JÓZEF POBIDZIŃSKI.
MICHAŁ ŁYSAKOWSKI.
JAN PŁAZA.
MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI.
STANISŁAW STARZECHOWSKI.
KAZIMIERZ MŁODECKI.
JAN ZEBRO.
HERBURT.
HANNA POŁOŃSKA.
KRYPSKI, dworzanin Sieniawskiego.
Rybałt.
Zakonnica.
GRETA, HALSZKA, DOROTA } dziewczęta krakowskie.

AGATA, żebraczka.
Marszałek dworu Tarłów.
Pokojowiec Sieniawskiego.

Dworzanie. — Żołnierze. — Górale. — Lud krakowski. — Słudzy obojéj płci. — Muzykanci.

Rzecz dzieje się w drugiéj połowie wieku XVI.

AKT I.

Podwórze gospody w pobliżu zamku królewskiego w Krakowie, oddzielone od ulicy murem, z wchodem przez otwartą bramę. W głębi na tylnéj dekoracyi w pewném oddaleniu Wawel i zamek. Z prawéj gospoda. Kilka stołów i ławek po obu stronach sceny. Przez wejście wbiegają Halszka, Dorota, za niemi Greta.

Halszka. No, chwała Bogu!
Dorota. Bogu w niebie chwała!
Halszka. O Jezu Chryste, tom się zestrachała!
Dorota. I ja też.
Greta. Głupie, wżdyć nie było czego.
Halszka. Nie było? Żacy gdy za tobą biegą,
By za przepiórką sokół z pazurami?
Greta. O wielkie dziwy! Mruga żak i mami
Słodkiemi słowy. Wżdyć cię nie podrapie.
Halszka. Za rękaw chwyta.
Greta. Niechaj sobie łapie,
Co mi to szkodzi?
Dorota. I tyś umykała.
Greta. Toć wiecie, żem ja w kompanijce trwała,
Wy w nogi i ja z wami, by bezemnie
Nie było tęskno.
Dorota. Jezu!
Greta. Eh, daremnie
Was strach zdejmuje.
Halszka. A nuż przyjdą żaki?
Greta. To sobie będą. Chłop nie ladajaki,
Co na studencką dał się kondycyją.
Dorota. Spokojnych ludzi po ulicach biją.
Halszka. Nie przepuszczają, czy chłop, czy niewiasta.
Dorota. Toć dawno trza ich było wygnać z miasta,
Wyświecić.

Greta. Za co?

Dorota. Boć niecnotę płodzą.

Greta. Eh, a spozierasz, czy snadź nie nadchodzą.

Gospodarz (wychodząc z domu). Co, panny, chcecie? Mam napoje różne.
Do mnie tu ludzie wstępują podróżne,
Bo tego, co mam, nie znajdziesz w Krakowie,
Chociażbyś cały zbiegł. Niech każdy powie,
Co zajrzał chocia raz do méj gospody.
Mam wina drogie, przewyborne miody.
Cóż? wina? miodu?

(Halszka, Dorota, Greta kręcą głowami).

Choć po szklance piwa,
Takiego żadna nie piła jak żywa.

(Dziewczęta poglądają na siebie. Do bramy zagląda Starzechowski).

Starzechowski. Hej, hej, są tutaj.

Halszka, Dorota. Jezu, napastniki!

Greta. Nie wrzeszczyć! Cóż to? Z lasu wpadł zwierz dziki?

Żebro (zaglądając do bramy). No chodźcie!

Młodecki (u wejścia na podwórze). Chodźmy.

(Wchodzą Starzechowski, Żebro, Młodecki).

Gospodarz (kłaniając się). Trunki drogie, tanie,
Wszystkiego u mnie w bród na zawołanie,
Więc mi witajcie, szlachetni panowie.

Starzechowski. No, będziem pili?

Młodecki. Toć się wie.

Żebro. Za zdrowie.
Podwiczek gładkich.

Starzechowski. No i panny społem.

Halszka. Wżdyć nas niechajcie!

Młodecki. Baby pod kościołem
Żak się nie czepi.

Starzechowski. Ale gładkie dziewy
Kompania dla nas.

Greta. Wróbla nie na plewy
Łapają.

Starzechowski. Prawda!

Młodecki. Wiemy, mościa Greto!
Dla panien trzeba potrząsnąć kaletą.

Gospodarz. Toć święta prawda.
Starzechowski. Mamyć w wackach grosze.
Posłuchaj, brzęczą. (Pobrzękuje workiem).
Żebro. Nie od kształtu noszę
U pasa worek.
Gospodarz. Służę waszéj cześci.
Młodecki. No, naprzód dawaj dla mdłéj płci niewieściéj
Słodkiego miodu (Gospodarz kłania się).
Żebro. Nam zaś to, co *natum*
W węgierskiéj ziemi, u nas *educatum*. (Gospodarz odchodzi na prawo).
Starzechowski. No, panny gładkie, aż uścisnąć chce się
(Chce uścisnąć Halszkę).
Halszka. La Boga, rety!
Greta. Nie krzycz, boś nie w lesie.
Starzechowski. Nie sroż się, panno! Azaż moja wina,
Że mię za tobą gna moc Kupidyna?
Halszka. Niech ten Kupidryn indziéj gdzie się zwróci.
(Gospodarz wnosi wino i miód).
Młodecki. (Z komiczną przesadą).
Amora strzałą w głębie serc ukłuci,
Ochłody żebrzem z miłościwéj ręki.
Za serc ulżenie hojne damy dzięki.
(Gospodarz nalewa szklanki).
Żebro. Niech żyje gładka panieńska uroda!
Gospodarz. No, pijcież, panny! Miód to istna woda!
(pół-głosem do żaków)
Na oko słaby, prędko główki skręci,
A wtedy cnoty nie obronią święci.
(Przez bramę wchodzi Rybałt).
Rybałt. Ha, *bonum diem*, przezacni żakowie,
Niedarmo macie ostry rozum w głowie,
Bo, acz daleko jeszcze do wieczora,
Na pełną szlankę u was zawdy pora,
A przy podwiczce zaraz dojrzeć żaka.
Ha, młodość, bujność!
Żebro. No, patrzcie prostaka.
Starzechowski. Ty czego, chłopie?
Rybałt. Chłop, nie chłop, mój panie.
Na szatę okiem spójrz wprzód, nim witanie
Obcemu rzeknie gęba.

Młodecki. Łeb jak strzecha
Z chałupy chłopskiéj
Żebro. Poznać wnet, żeś klecha.
Rybałt. Jam kantor, uczny człek, więc się w drużynę
Studencką godzę. *Loquamur latine.*
Starzechowski. Ho, ho, łacinnik!
Młodecki. *Domini cantores,*
Amatis wódkam inszosque humores.
Rybałt. Ej, nie dworować! Weźmiesz po łbie kijem!
Gdy humor we łbie, to na umor bijem.
Starzechowski. Te kije na nas jeszcze rosną w lesie.
Młodecki. A co na klechę... każdy w garści niesie.
Żebro. Precz ruszaj, póki grzbiet masz cały, zdrowy.
Starzechowski, Młodecki. Precz! (Grożą kijami).
Rybałt. Czart was bierz! (ucieka, z głębi wchodzi Sęp Szarzyński).
Starzechowski, Młodecki, Żebro. Ha, uciekł!
Młodecki. Co, gość nowy?
Starzechowski. Nie w porę przyszedł.
Sęp. Gospodarzu, piwa!
Panowie, czołem!
Młodecki. Gładko się ozywa.
Coś polityki zarwał młodzieniaszek.
Żebro. Chodź, chodź waść do nas.
Sęp. Gdzie mnie do igraszek,
Mnie ważna sprawa wiedzie do Krakowa.
Młodecki. Tak młody jesteś, a hukasz by sowa
Ponuro.
Starzechowski. Kto waść?
Sęp. Taki, który w rzędzie
Waszmościów może niezadługo siędzie,
Bom ja wędrowiec, który chciwie szuka
Onego źródła, zkąd płynie nauka,
A wy, jak tuszę, *domini* studenci.
Żebro. Ho, ho, *beanus!*
Młodecki. On wié, co się święci,
Że wara od nas, póki nie ochrzczony.
Sęp. Wżdyć nie z pogańskiéj przychodzę ja strony.
Młodecki. *Beanus!*
Sęp. Cóż to?
Żebro. Ryba i zwierz niemy!
Starzechowski. Studentem będziesz, gdy cię oskrobiemy,

A wtedy chodzić będziesz na zaloty,
Na pełne czasze.
Sęp. Bynajmniéj ochoty
Ja nie mam trawić młodych lat w swywoli,
W rozpuście grzesznéj. Z ojców idę roli
Jedynie po to, by sposobić ducha
Ku zacnym czynom, dusza moja głucha
Na złe pokusy i podszepty biesa.

Młodecki. W czas mięsopustny będziesz Herkulesa
W *theatrum* grywał, jako na rozstaju
Rozkoszą gardzi i do cnoty kraju
Swe kroki zmierza.

Starzechowski. *Bene*, rzecz skończona!
Już gotowego mamy histryjona.

(Z głębi wchodzi Agata, żebraczka).

Agata. Panowie moi, wielce miłościwi,
Dostatnio Pan Bóg was odziewa, żywi,
Opatrzcie przeto mnie, bom biédna, słaba.

Starzechowski. A to, kto taki?

Agata. Kto? Żebraczka, baba.
Toć widzisz przecie, panie miłościwy.

Młodecki. Żeś baba, widzim.

Starzechowski, Żebro. Ha, ha!

Agata. Wielkie dziwy!
Co wam tak śmieszne? Zmarszczki, czy łachmany?
Masz gładkie liczko, panku mój kochany,
Lecz się i ono z wiekiem przeistoczy.

Żebro. Co? Wróżby umiesz?

Agata. Stare moje oczy
O kroków setkę nic nie dojrzą, ale
W przyszłości cieniach czytam doskonale
I lepiéj czytam, niźli z ksiąg żak w szkole,
Każdemu zgadnę jego przyszłą dolę.

Młodecki. Więc wróż nam!

Agata. Rękę daj, paneczku drogi.

Młodecki (wyciągając rękę). No, cóż mię czeka?

Agata. Ława i batogi.

Młodecki. Przeklęta baba!

Agata. Z rodzicielskiéj ręki,
Bo więcéj pijesz, niż się uczysz.

Starzechowski. Dzięki.
Za takie wróżby!
Agata. Tobie insze powiem.
Starzechowski. Mów, mów, u czarta! (wyciąga rękę).
Agata. Ty nie igraj zdrowiem.
Starzechowski. Co przez to myślisz?
Agata. Zdrowie miéj na pieczy,
Bo, acz w młodzieńczych leciech miłość k rzeczy,
Niewiasty ręka często zdradnie pieści,
Gdy zdrów być pragniesz, zdala od niewieściéj
Pieszczoty.
Żebro (wyciągając rękę). Cóż ja?
Agata. Po krótkiéj nauce
Na wojnę pójdziesz.
Żebro. Wrócę, czy nie wrócę?
Agata. Nie badaj radziéj... No, panowie, proszę,
Za wróżby biednéj babie dajcie grosze.
Starzechowski, Młodecki, Żebro. Masz masz, idź sobie.
Sęp. Masz tu i odemnie.
Agata. Co? Srebrną sztukę dajesz? Niedaremnie
Szlachetność patrzy z twarzy urodziwéj.
Powróżę tobie, będziesz-li szczęśliwy,
Czy téż niedola czyha na cię sroga.
No, pokaż rękę... Boisz się?
Sęp. Ja Boga
Jednego boję się... Wróż! (wyciąga rękę)
Młodecki. Nuż co złego
Wywróży babsko.
Sęp. Doli naszéj strzegą
Anioły Pańskie, dzierżąc w dłoni silnéj
Przyszłości wagi. Wróż więc.
Agata. Nieomylny
Niebiosów wyrok przeznaczył ci w życiu...
Nie, schowaj dłoń twą... niechaj się w ukryciu
Przyszłości tai, co i tak w godzinie
Właściwéj kiedyś niechybnie wypłynie.
Dziś, kiedy z ciebie dzielny młodzieniaszek,
Pędź sobie żywot bez trosk, wśród igraszek,
Niewinnych uciech słodycz pij do syta,
Niech o nic więcéj dusza twa nie pyta,

By nie truć serca w nazbyt wczesnéj porze.
Sęp. Toć rzekłem... wróż mi... Przeznaczenie Boże,
Wiem, nie do szczęścia stwarza ród śmiertelny.
Wróż... zniosę wszystko.
Agata. Wiedz-że więc, ty dzielny
Młodzianie, że ci długich lat nie dano.
Sęp. Niech sławie służą, a wiekiem się staną,
Niech w nich żywota pełna treść się zmieści,
A więcéj nie chcę.
Agata. Nieskąpo boleści
Sądzono ci jest.
Sęp. I to mię nie straszy.
Żebro. To śmiałek jakiś, co go nie zjeść w kaszy.
Młodecki. Takiego byle słówkiem nie przepłoszy.
Agata. Mieć będziesz chwile niebiańskiéj roskoszy,
Lecz od zgryzoty serca nie ustrzegą,
Od świata weźmiesz, co w nim najgorszego,
To mu zostawisz, co najlepsze w tobie.
Sęp. Więc niech to żyje wiecznie, kiedy w grobie
Przedwcześnie legnę po mozolnéj pracy.
Nie cały umrę, jak śpiéwa Horacy.
Za wróżbę dzięki ci... No, masz tu jeszcze.
(Daje Agacie piéniądze).
Agata. Bóg zapłać, panie. I to ci obwieszczę,
Że taka dola, jaka ciebie czeka,
Nie dla zwykłego sądzona człowieka.
(Odchodzi głębią).
Młodecki. Gdy ci tak krótko życia wymierzono,
Nie żałuj sobie, czarę napełnioną
Wychylaj do dna, rozkosz sam mierz sobie
Podwójną miarą, abyś potém w grobie
Nie pożałował, gdy zapóźno będzie,
Żeś nie do syta użył
Żebro. Miéj na względzie,
Że komu śpieszno do końca obiada,
Ten szybko łyka i za trzech zajada.
Starzechowski. No, chodźże do nas! Patrzaj, szklanka wina
Pełniutka, aż się pieni, a dziewczyna
Źrenicą słodko wabi. Mościa Greto,
Figlarne oczki wielką są zaletą,

Świętoszkom zmącą strojoną postawę.

Greta. Niech się więc ku nam nawrócą łaskawe
Waszmości względy. Bliżéj do nas, proszę,
No, bliżéj!

Starzechowski. Wabi jako lis kokoszę.

(Młodecki i Żebro śmieją się).

Żebro. Hej, Greto, niech twe łapki go pochwycą.

Greta. No, pójdźcież, panie! (bierze za rękę Sępa)

Sęp (odtrącając Gretę). Precz, precz, ladacznico!

Greta. Co? Co? Waść szczekasz by pies...

Młodecki. Prosim waści,
Za zęby język, bo cię kto namaści
Przez łeb na odlew.

Żebro. Warczy, chocia niemy!

Starzechowski. Już przed *beanią* ciebie okrzeszemy,
Więc strzeż się waszeć!

Młodecki. Zuchwalec prawdziwie!
Te panny przy nas...

Sęp. Jak chwast przy pokrzywie.

Starzechowski. Kto tu pokrzywą, chwastem? Kto?

Młodecki. Niech prawi,
Co przez to myśli!

Sęp. Gdyście tak ciekawi,
To powiem prawdę w nieobłudnéj szacie,
Iż wstyd, że młodość swą sprośnie nurzacie
W kałuży... z wina szklanką, przy podwice...

Młodecki. Kazanie prawi.

Żebro. Mnich! mnich!

Starzechowski. Milcz, bo chwycę
Do ręki szablę.

Sęp. Na słowo mam słowo,
A na zaczepkę téż szablę... gotową,
By nią odpowiedź dać, jak przynależy.

Starzechowski. Zamilknij, bo cię... (dobywa szabli)

Sęp (dobywa szabli). Wyzwól mię z obierzy,
Wszechmocny Panie!

Młodecki, Żebro. Weźmiesz po łbie, chwacie!

Halszka, Dorota. O Jezu, bić się będą!

Greta. Co się macie

Jak sarny płoszyć... głupie... że po uchu
Chłop chłopa płatnie!
(Halszka i Dorota uciekają głębią).
Starzechowski, Młodecki, Żebro (nacierając). Nuże, broń się zuchu!
Sęp. Ha, na jednego trzech—to rozbój prawy! (odbija natarcie)
Starzechowski. Dalibóg, prawda! Stójcie! (opuszczają szable)
Młodecki. Junak żwawy
I mądrze gada! Ktoś ty? Niechże wiemy!
Starzechowski. Kto jesteś? Mówże, wżdyć nie jesteś niemy.
Żebro. Azali wstydasz się nazwiska swego?
Sęp. Jać mam się wstydać! Niech mię święci strzegą!
Mych ojców mianem człek się nie zakrztusi.
Starzechowski. Mów, skąd przybywasz.
Sęp. Dość z daleka, z Rusi.
Młodecki. *Rutenus gente!*
Sęp. Ze krwi mazowieckiéj...
Aż z płockiéj ziemi przybył nasz szlachecki
Ród na Czerwoną Ruś...
Starzechowski. Lichać ma głowa!
Toć my się znamy. Jesteś tam od Lwowa,
Powinnych naszych syn, z pobliskiéj wioski.
Sęp. Jam Sęp Szarzyński.
Starzechowski. A jam Starzechowski.
No, bracia moi, ptaszek to nielada!
Już ci oddawna wieść o nim powiada,
Że go w kolébce muzy kołysały
Parnaską pieśnią. — Snadź do wielkiéj chwały
Dla ojców twoich i ojczyzny miłéj
Matczyne piersi mlekiem cię żywiły.
Młodecki. Mruk jednak, jakby miał iść między mnichy.
Sęp. Jam sługa Pański pokorny i cichy.
Jeżeli Bóg mi i Niebieska Pani
Dar pieśni dali, to na to, bym w dani,
Hołd Niebu składał rymem i w pokorze
Natchnioném słowem głosił dzieła boże...
I... dzieła ludzkie, gdy te Bogu miłe,
Więc zanim zyszczę przedwczesną mogiłę,
Skwapliwie pełńcie godne mężów dzieła,
By muza moja opiewać je wzięła.

Co pieśń uwieczni, by w marmurze wykuł.
Starzechowski. Z zanadrza tobie wyziera fascykuł.
Snadź to są wiersze.
(Wydobywa Sępowi z zanadrza zwitek papiéru).
Młodecki. Wiersze! Cny poeto,
Prosimy, czytaj nam!
Sęp. Małąć zaletą
Kraszone jeszcze... świéże jako grosze
Z pod stempla.
Żebro. Czytaj.
Sęp. Jeno kornie proszę,
By tu nie mierzyć miarą zoilową,
To próba pióra, nieudolne słowo.
Starzechowski. Ten *versus* o czém?
Sęp. O szlacheckiéj cnocie.
Młodecki. To dla nas, wżdyć to o naszym klejnocie.
Sęp (czyta). Zacni się ludzie rodzą także z zacnych,
Znać w koniach sztuki ojczyste, lękliwych
Mężna orlica gołębi nie rodzi,
Ani mdły zając z dużych lwów pochodzi.
Starzechowski. Wybornie rzekłeś! Z ojców cnych cne syny,
A stare herby najlepsze wawrzyny.
Sęp (czyta). Wszakże rozmnaża cnoty przyrodzone
Ćwiczenie, czynią serce utwierdzone
Piękne nauki, tych kiedy dostaje
Szlachetne plemię szpecą złe zwyczaje.
Młodecki. Ha, dokąd zmierza!
Żebro. Patrzaj go, jak kręci.
Starzechowski. Niech czyta. Wiedziéć będziem, co się święci.
Sęp (czyta). Śmiał się waleczny...
Greta. Jezu, Panie złoty!
Czy my tu na to, by czytać bazgroty?
Wolelibyście radziéj pić...
Starzechowski. U czarta!
Więc nasza cnota uszu twych nie warta?
Azali nudzisz się?
Greta. I jak, mój panie!
Starzechowski. To ruszaj sobie na karku złamanie.
Greta. Gdy tak, to pójdę. Sługa waszmość pana.
Żebro. Stój, Greto!

Młodecki. Niechaj idzie do szatana!
(Greta odchodzi głębią).

Sęp (czyta). Śmiał się waleczny Rzym z syna onego
Ojca, dzielnością przełomion którego
Straszny Hannibal i fortunną zbroję
Musiał opuścić i ojczyznę swoję.

Starzechowski. Dalipan, prawda! Śmiechuć to przyczyna,
Gdy z cnego ojca widzim błazna syna.

Sęp (czyta). Ale nie przestał na tym między bogi
Chwalon Alcydes, że go gromem srogi
Ociec urodził, bo wolał dzielnością
Swą słynąć, niźli rodzaju zacnością.

Droga ku sławie w zacnym urodzenie
Domu, nie sama sława. Przeto w cenie
Kto chce być, porzuć nikczemne zabawy,
Nie na herb przodków patrz, ale na sprawy.

Starzechowski. O prawda! Porzuć nikczemne zabawy,
Nie na herb przodków patrz, ale na sprawy!
(Z głębi wchodzą Sieniawski, Płaza i dworzanie).

Płaza. Hej, gospodarzu!

Gospodarz. Służę Waszéj Cześci!

Sieniawski. Czy w waszym domu dzisiaj się pomieści
Podróżny człowiek?

Gospodarz. Kto? Czy Miłość wasza?

Sieniawski. Niech to aspana wcale nie przestrasza,
Że z sobą mały ludzi orszak wiodę.

Gospodarz. Na waszą służbę calutką gospodę
Oddaję.

Płaza (oglądając się wkoło). Troszkę to domostwo ciasne.

Sieniawski. Bywało, w szczerém polu nieraz zasnę,
Pod głowę kamień... burka i gotową
Łożnicę miałem... Wszakże dziś nad głową
Pragnąłbym strzechy i... kielicha wina.

Gospodarz. Do usług Waszéj Cześci... Snadź węgrzyna
W spleśniałéj flaszy?

Sieniawski. Dawaj, byle żywo!
W spiekocie miałem drogę utęskliwą,
Bom do Krakowa śpieszył jak na gody.
Przybywam w końcu, aż nigdzie gospody

W calutkiém mieście wolnéj nie najduję.
Czyż mamy w lesie nocować jak zbóje?
No, prędzéj wina! Ha, prawda... gawędą
Sam go zabawiam. (Gospodarz odchodzi —
do dworzanina) Niech tutaj przybędą
Co prędzéj nasze wozy, które stoją
Pod miastem.
(Dworzanin odchodzi.—Gospodarz wraca z butelką wina i puharami).
Płaza. Azaż pod tą strzechą twoją
Dość miejsca będzie dla wozów i koni?
Gospodarz. Dalipan, nie wiem.
Sieniawski. Nie? To je osłoni
Namiotek z płótna, co go z sobą wożę.
Nie taki nocleg dawały mi boże
Zrządzenia w życiu... nierzadko w obozie
Stawałem w polu na deszczu lub mrozie,
Lub na spiekocie, co gorzéj dojmuje,
A spałem lepiéj niż w łożu, choć szuje
Tatarskie wkoło nas krążyły zdala
I wyły głosem wilka lub szakala.
Lecz przeszło wszystko... nie będę się żalił.
Nim zmarzł na mrozie, ni w słońcu się spalił.
I acz się piąty krzyżyk na kark skrada,
Dalekać jeszcze odemnie szkarada
Starości, jeszczem w pełnéj życia sile
I żar młodości wrze w każdziutkiéj żyle.
Bo za lat młodych nie wino, lecz wodę
Pijałem, zdala mijając gospodę,
Nie tak jak teraz panowie studenci.
Starzechowski. Mościwy panie!...
Płaza. Wiemy, co się święci.
Pan ojciec w domu dziadowskie kolczugi
Zastawił żydom — sprzedał w polu drugi
Na pniu plon cały, mienia mu połowa
Przepadła, byle wysłać do Krakowa
Synaczka swego po mądrość, co z księgi
Profesor w głowy kładzie, lecz mitręgi
Książkowéj, szkolnéj synek nie ciekawy,
Bo woli szukać wesołéj zabawy
Gdzieś po gospodach...

Starzechowski. Nie urągaj, panie!
Wprzód pomyśl raczéj, czy twe urąganie
Dotyka onych, którzy zasłużyli.
Młodecki. Niech Wasza Miłość...
Sieniawski. A więc wzrok nas myli?
Więc one flasze wina, te puhary
Nie są świadkami?
Płaza. Do nich nie trza wiary
Przykładać? Prawdaż, przezacni żakowie?
Starzechowski. Ten skrypt najlepiéj Waszéj Mości powie,
Jak jest niesłuszna ta zaczépka wasza.
Płaza. Skrypt profesorski, przy nim wina flasza,
Popłukać trzeba taki pokarm ducha,
Lecz pełen wina brzuch niechętnie słucha
Mądrości nauk.
Starzechowski. Czytaj, zacny panie!
Sieniawski. Co? Wiersze polskie?... Jestem niesłychanie
Ciekawy... O czém?... Płoche snadź amory.
Płaza. A coby na to rzekły profesory?
Starzechowski. Przeczytać proszę!
Sieniawski. O szlacheckiéj cnocie!
(Czyta po cichu) Hm, dobrze, dzielnie! Na marmurze, w złocie
Te wszystkie słowa wyryćby potrzeba,
A kto to pisał?
Starzechowski (wskazując na Sępa). On!
Sieniawski. O, waszeć z nieba
Dar cudny wziąłeś, przezeń zyszczesz sławę
Snadź większą jeszcze niż przez czyny krwawe.
(Czyta) „Nie na herb patrzaj"...
Płaza. Ha, plebejusz pono,
Lecz warteś herbu...
Sęp. Już nas uszlachciono,
Bo ród Szarzyńskich herb Junoszę trzyma.
Sieniawski. Co? Sęp Szarzyński?
Płaza. Czy syn Joachima?
Sęp. Tak, zacny panie!
Płaza. Znam, lwowski podstoli.
Hm, z Zimnéj Wody... człek, co nie pozwoli
Swojego dotknąć... cudzém téż nie wzgardzi...
Zawzięty pieniacz...

Sęp. Sępy... ludzie twardzi
W ojczystéj cnocie... Ręczę prze Bóg żywy,
Że i mój rodzic człek prawy, uczciwy.
Płaza. Nie przeczę...
Sieniawski. Bardzo to waści zaszczyca,
Że tak gorąco bronisz czci rodzica;
A że i piórem służysz dobréj sławie,
Więc bardzo proszę, pomnij to łaskawie,
Że w mych Brzeżanach czekam na waszmości
Przybycie, aby w rzędzie miłych gości
Młodziana podjąć, co się z czasem chwałą
Okryje.
(Za sceną słychać głos trąb, bębnów i bicie w dzwony)
Co to?
Sęp. Coś się w mieście stało!
Sieniawski. By jeno ogień nie był tu przyczyną.
Gospodarz. Tak samo było dzisiaj przed godziną.
(Z głębi wchodzi dworzanin.)
Sieniawski. Co się tam dzieje?
Dworzanin. Nie wiem, jaśnie panie.
Gospodarz (poglądając przez wejście).
Od rynku jakaś jazda i bieganie,
Rząd konnych, wozów ku zamkowi jedzie.
Starzechowski. Złocona króla karoca na przedzie,
Za nią tłum innych... (z głębi wchodzi Herburt)
Powiedz nam kamracie...
Herburt. Co to takiego, pewno zapytacie.
A k'rzeczy było trawić czas w tym szynku!
Tam Kraków cały zebrał się na rynku,
By ujrzéć cudny widok... hołd Bogdana.
Hospodar ukląkł na oba kolana
I jako każą obyczaje stare,
Królowi przysiągł trwale chować wiarę.
Oj, był to widok!...
Sieniawski. Boże nad gwiazdami!
Więc znów Wołosza szuka związku z nami,
Więc znów się wraca dawna ojców chwała,
Byleby teraz unia była trwała
I naród, który kark giął aż do ziemi
Przed Turkiem, pojął, iż związek z wolnemi

To pewna tarcza szczęścia i swobody.
O Polsko, niech się z tobą cne narody
Dla dobra świata łączą na wsze wieki,
Pod paweż twojéj chroniąc się opieki!

Herburt (wyglądając przez bramę)
Przez Boga, co to? Konie rozszalałe
Wprost pędzą ku nam.

Żebro (przybiegając do bramy). Oba by śnieg białe...
Karocę wloką...

Młodecki. Mkną, jak błyskawicą.

Starzechowski. W karocy panie dwie...

Gospodarz. Jeśli nie chwycą
I nie wstrzymają koni, jako z procy
Wypadną.

Żebro. Daléj!

Sęp. Bieżmy ku pomocy!

Starzechowski. Co żywo bieżmy (Wszyscy czteréj wybiegają).

Gospodarz. Cóż tu poradzicie?
Tu łacno ponieść szwank lub stracić życie.

Sieniawski (wyglądając z bramy)
Ha, żwawe chłopcy! Patrzcie, jednéj chwili
Wstrzymali konie! Dzielnie się sprawili!

Gospodarz. Lecz biednym paniom coś się złego stało,
Bo tutaj niosą jedną z nich... omdlałą...

Płaza. Zabitą może.

Gospodarz. Niebiosa łaskawe,
Ratujcie!

(Sęp i Starzechowski wnoszą Jadwigę omdlałą, za nimi biegnie Regina, daléj Młodecki, Żebro i Herburt, za nimi tłum ludzi, zwabionych ciekawością).

Regina. Wody!

Sęp. Tutaj ją na ławę
Połóżmy! (Składają Jadwigę na ławie).

Sieniawski. Kto to?

Regina. Córka ma Jadwiga!
Ratunku! Boże! Życie w niéj zastyga!
Ratunku!

Sęp. W usta wpuśćcie trochę wina!

Starzechowski (do Reginy). Spokoju, pani!

Sęp. Otwierać poczyna
Powieki.

Jadwiga. Matko!

Regina. Żyje, wielki Boże!
Jadwiga. O matko!
Regina (podając jéj wino) Pij, pij, snadź ci to pomoże.
Sęp. Rozwiążcie rzemień, co ją koło pasa
Uciska.
Sieniawski. Boże, co za dziwna krasa!
Urodzie tutaj suknia nic nie przyda.
Cudniejszą chyba nie była Cypryda,
Gdy na świat wyszła z białéj morskiéj piany.
Jak ślicznym jesteś, kwiatku ty liliany!
Wysławiać krasę twoją słów nie stanie.
O jak zazdroszczę tobie, cny młodzianie!
Jak ty być młodym, nie przekwitłym mężem,
Zdobyłbym sobie ją pieśnią, orężem,
Wszyściutkie skarby me oddałbym za nią,
By jeno w domu mym została panią.
Cóż tak poglądasz frasobliwie?
Sęp. Panie!
Sieniawski. O wiem, wiem, co się w twojém wnętrzu stanie.
Łuk wystrzelony, wypadła już strzała
I w samo serce tknęła cię... Rzecz mała!
Tak młodym jesteś... ona niemal dziecię,
Przed wami jeszcze wszystko na tym świecie...
I droga prosta do ślubnego wieńca.
Najmożniejszego masz dziś sprzymierzeńca,
Tę młodość twoją.
Sęp. Jestem człek ubogi!
Sieniawski. Więc skarby zdobądź i rzuć jéj pod nogi.
(Z głębi wpada Bogdan i kilku dworzan).
Bogdan. Przez Boga! Co się stało?... Mów! Gdzie ona?
Gospodarz. Kto taki, panie?
Bogdan. Moja narzeczona!
Gospodarz. Snadź ona pani?
Bogdan. Boże, wieść straszliwa
Mych uszu doszła. Chwała Bogu, żywa!
Jadwiga. I cała, dzięki Niebu. A niewiele
Nie dostawało, byś mię w ziemskiém ciele
Nie ujrzał więcéj, miłościwy panie.
Bogdan. Nikt nie przewidzi z rana, co się stanie
Pod wieczór... Boże! Jakże pełen dumy
Jechałem z rana, patrząc na te tłumy,

Co mię radosnym okrzykiem witały.
Ach, chwila jedna, a ze szczytu chwały
I szczęścia spadłbym aż na dno rozpaczy!
Wolałbym wtedy—ach!—kosztur żebraczy
Od tronu w Jassach, gdybym jego chwałą
Otoczyć nie mógł téj, którą wybrało
Me wierne serce.

Regina. Podziękujmyż Bogu,
Że nas zachował na zaguby progu
Rękoma panów tych, co zatrzymali
Shukane konie.

Bogdan. Taki czyn się chwali
Wam, cni młodzianie.—Przyjmcie dzięki nasze!
Za zdrowie pani méj niejedną czaszę
Wychylcie! Chciałbym spłacić to sowicie,
Więc bierzcie worek ten... w nim, jak widzicie,
Czerwońce same. (Rzuca worek na stół).

Młodecki. Panie, szlachcic prawy...

Bogdan. Ach, z niewdzięczności nie chcę nabyć sławy.

Starzechowski. Przezacny panie, chocia gdzieś tam macie
Na tronie siedziéć...

Sęp. Pozwól, miły bracie..
Niech Wasza Miłość za złe nam nie bierze,
Że wam powiemy otwarcie i szczerze,
Iż pobudziła nas nie chęć zapłaty
Biedz na ratunek...

Bogdan. Jestem dość bogaty...
Ten dar mię dzisiaj wcale nie zuboży.

Starzechowski. Niech go do kiesy Wasza Miłość włoży.

Bogdan. Cóż robić? Sprawa z wami nie tak łatwa.
O wiem, wiem dobrze, jak koronna dziatwa
Jest dumną, hardą... Jednak ja zostanę
Dłużnikiem waszym.

Sęp. Długi niespłacane
Na każdym ciążą i o każdéj porze.

Bogdan. Wszechmocny Pan mi wkrótce dopomoże
Tron przynależny posiąść, przyjdźcież wtedy
Do Jass, powitam was nie jak czeredy,
Najemne zgraje, ale wam zaszczytów
Nie będę skąpił—każdemu z Lechitów
Dostojeństw będą otworzone wrota.

Regina. Tymczasem niechaj łaskawa ochota
Do naszéj wioski Czapli was przywiedzie.
Niebiosom dzięki, jeszcze w naszéj biedzie
Szlacheckiéj stanie na tak zacnych gości
Przyjęcie.

Sęp, Starzechowski, Młodecki, Żebro, Herburt.
Słudzy my Waszych Miłości.

Bogdan. Na Wawel teraz! Do mojéj karocy
Niech panie siądą. Za wasz czyn pomocy,
Młodzieńcy, dzięki jeszcze raz. Panowie
Czekają na nas w zamku. Król się dowie
I wraz z nim wszyscy będą to wiedzieli...
Zaprawdę serce w nim się uweseli,
Gdy przy biesiadzie rozpowiem o młodzi,
Co się tak dzielną w jego państwie rodzi.
Bywajcie zdrowi!

Jadwiga, Regina. Niech Bóg w szczęściu chowa!

(Bogdan, Regina, Jadwiga wychodzą i siadają do karety, stojącéj przed bramą — tłum rozchodzi się).

Sieniawski. Więc to on, Bogdan, Wołoszyn, a owa
Dziewica cudna—narzeczona jego.
Snadź aniołowie Pańscy dróg jéj strzegą,
By ją dochować dla przyszłości świetnéj.
Ciekawym, jaki wydał ród szlachetny
Tę śliczną dziewę.

Herburt. Z Tarłów onać idzie.

Sieniawski. Znać, iż z zacnego domu, że we wstydzie
I poczciwości cna ją macierz chowa...
Boć to jéj matka?

Herburt. Tak, po Tarle wdowa.

Sieniawski. Więc ten Wołoszyn jest jéj oblubieńcem
I on jéj skronie ma otoczyć wieńcem
Książęcym... Jego ojca, Lepuszana,
Mikołaj, rodzic mój—wszak to rzecz znana—
Na tron wołoski wywiódł ze zwykłego
Bojarów rodu.—Jak to lata biegą!
Dziś syn ma na tron wieść córę téj pani.
(do Sępa) Młodzianie, widzisz... ktoś wstał od nas raniéj,
I skarb na drodze nalazł.

Sęp. A więc ona
Już jest dla świata na wżdy utracona!
Ach, po co, po co przeszłaś po méj drodze,
Zjawisko cudne!... Losy trapią srodze
I naumyślnie jasną błyskawicę
Rzuciły, iżby oślepić źrenice,
A potém wtrącić w ciemność, co boleśnie
Dojmować będzie.

Sieniawski. Oj, wstałeś dość wcześnie,
By na swéj drodze naleść dziwne ziarno,
Co ci wyrośnie z czasem dolą czarną.
Zaprawdę, teraz nie zazdroszczę tobie.
Ja snadź ukoję ból mój prędko w grobie,
A ty, nieszczęsny, będziesz nosił skrycie
Głęboką ranę wnętrzną całe życie,
A od młodości progów do mogiły
Daleka droga.

Sęp. Jak to?

Sieniawski. Zbierz twe siły
I precz uciekaj, choć na świata krańce,
Pomiędzy Niemce, Włochy, lub pogańce,
W bojowéj wrzawie stłumisz ból serdeczny,
Lub w ksiąg fortecy osiądziesz bezpiecznéj,
I w mądrość starych wieków zatopiony,
Nie będziesz pragnął chwały, bogactw, żony,
W spokoju przejdziesz tory drogi chlubnéj.
Inaczéj biada ci! Ten posiew zgubny
W takowy wzrośnie chwast, iż w tobie zgłuszy
Wszyściutkie szczęście młodocianéj duszy.
Że prawdę mówię, snadź ci przyszłość powie.

(Za sceną słychać turkot i trzaskanie z biczów).

Płaza (zajrzawszy przez bramę). To nasze wozy!

Sieniawski. Czołem, cni panowie!

(Odchodzi na prawo, za nim Płaza, dworzanie).

AKT II.

Sala w zamku Czaplińskim; w głębi zamiast ściany otwarte arkady, po za któremi widać ogród. Przy zastawionych stołach siedzą Ostrowski, Leśniowski, Pobidziński, Łysakowski, Starzechowski, Płaza, Sęp, Regina, Jadwiga, Hanna, szlachta i dworzanie, muzykanci.

Ostrowski (z puharem w ręce).
O miłościwe panie i panowie,
Gdy wino szumi w puharach i w głowie,
Pozwólcie czynić rzecz śród tego koła.
Jak ludzka pamięć sięgnąć w przeszłość zdoła,
W czaplińskim zamku gościom z dobréj woli
Nie żałowano ni chleba, ni soli.

Płaza. Chciéj waszmość dodać, ni mięsa, ni wina.

Ostrowski. Lecz tak gościnnie, jak pani Regina,
Nie podejmował snadź nikt do téj chwili,
Aż nadto daje znać, jako jéj mili
Pod strzechą goście. Wznieśmy więc, panowie,
Puhary w górę! Prze szacowne zdrowie
Cnéj gospodyni! Wiwat, niechaj żyje!

Wszyscy. Niech żyje! Wiwat! (Piją, fanfara).

Leśniowski. Zanim skłonią szyje
Poddanych krocie przed téj majestatem,
Rodziciel któréj był nam panem bratem,
Prędkiego życząc spełnienia nadziei,
Hospodarowéj przyszłéj więc z kolei
Wypijmy zdrowie... prze Jadwigi zdrowie!
Niech żyje!

Wszyscy. Wiwat! (piją, fanfara).

Regina. I w czynie i w słowie
Wyrazić trudno, jak jestem przejęta
Wdzięcznością! Gościa podjąć toż to święta
Powinność—więcéj nic—a zwłaszcza w chwili,
Tak wielce gdyście serc swych nakłonili
Ku onéj sprawie, co dla Tarłów rodu
Takowy splendor niesie.

Pobidziński. Bez powodu
Nie zlewa Pan Bóg łask swych na nikogo,
Nie darmo daje wam nadzieję błogą

Zaszczytów świetnych. Tarłów ród nie lada,
Tradycya wiele o nim rozpowiada.
A więc wypijmy to ostatnie zdrowie
Za jego chwałę. *Vivant* cni Tarłowie!

Wszyscy. Niech żyją! (Piją, fanfara).

Płaza. Dość już. *Punctum!* Czas do domu!
W noc późną droga niemiła nikomu.

Ostrowski. Acz to nie pięknie jechać w takiéj chwili,
Gdy goście suto zjedli i wypili,
Lecz niema rady! Szybko czas ucieka
I niejednemu droga dość daleka.
Cna gospodyni, dzięki za przyjęcie
Gościnne, hojne—lecz już na tém święcie
Zbyt długo bawim – bywajże nam zdrowa!
Niech dom wasz cały Pan w swéj łasce chowa.

Regina. Odjeżdżać chcecie? Azaż wam niemiły
Nasz dom ubogi?... Czyż się uprzykrzyły
Starania wszelkie, aby wam uciechą
Umilić pobyt wasz pod naszą strzechą?
O mili goście, dziś nam nakazano
Od losów czekać na wieść pożądaną,
Obecność wasza nam czekanie skraca.

Leśniowski. Musimy jechać.

Regina. Nadaremna praca,
Bo gdy was własna nie trzyma ochota,
To zamknąć każę wsze dokoła wrota
I drogę z zamku bierzcie szturmem chyba.

Pobidziński. Wpadliśmy w matnię, jako w siatkę ryba.

Łysakowski. Jesteśmy w jassyr chwyceni znienacka,
I nas i serca nasze więzi chwacka
Niewiasta—zuch ten, co się dziś obroni.

Leśniowski. Gdy nam nie puszczą i wozów i koni,
Musimy zostać.

Płaza. Radzi jednak w duszy.

Ostrowski. Snadź nam sądzono utonąć na suszy.

Regina. Przedwczesna wiosna przygrzéwa nam mile,
W ogrodzie na nas nowe krotochwile
Czekają. Proszę panów, jeśli łaska.

(Wychodzi do ogrodu, za nią część gości.—Pozostają Ostrowski, Leśniowski, Pobidziński, Łysakowski, Płaza, Starzechowski. Słudzy uprzątają stoły).

Ostrowski. To białogłowa!
Leśniowski. Niewiasta, u dyaska,
Nad męże dzielna!
Łysakowski. Sławać i jéj będzie,
Gdy państwo swoje Bogdan znów posiędzie.
Płaza. Wołoskie państwo to przepiórcze pole.
Ja sobie mierność mą szlachecką wolę
Nad panowanie w Jassach, nad tą zgrają,
Gdzie władcy jeden drugiego spychają
Na łeb na szyję. Iwon śmiać się musi,
Że nasz Bogdanek włóczył się po Rusi,
U panów możnych żebrząc wspomożenia.
I z czémże poszedł?
Ostrowski. Z czém? Waść nie wymienia,
Jakowi męże na tron go prowadzą.
Płaza. O wiem, są dzielni, lecz rady nie dadzą,
Bo garść ich tylko, tam zastępy całe,
Więc tamci wezmą państwo... ci czczą chwałę.
Zawczesne jeszcze tryumf i festyny.
Już tylko czekać jakowéjś nowiny,
Przeczucie moje nigdy mię nie myli,
Że nasi w bitwie jako lwy się bili,
Lecz pod przewagą sił ulegli w końcu;
Niepogrzebione ciała schną na słońcu,
A gdzieś na spisie głowa Bogdanowa.
Ostrowski. Eh, waść złe wróżby hukasz wżdy jak sowa.
(Goście parami lub po kilka osób przechodzą po ogrodzie, między nimi Sęp i Jadwiga).
Łysakowski. W przyrodzie cuda, jeszczeć niema końca
Kwietniowéj pory, a już promień słońca
Niezwykłém ciepłem do przechadzki wzywa.
Snadź wszystko wróży, że będzie szczęśliwa
Jadwiga.
Leśniowski. Niech jéj szczęście trwale sprzyja!
Ostrowski. Co to za młodzian przy niéj się uwija,
Jak muszka wkoło pięknego oblicza?
I ona jemu skwapliwie użycza
Uwagi chętnéj? Szepce jéj do ucha
Snadź coś słodkiego, bo go mile słucha,
I usta lekko krzywią się w uśmiechu.

Płaza. Oj, żeby z tego nie przyszło do grzechu,
Boć przecie do niéj droga zagrodzona;
Już ci nie wolna, ale narzeczona
Po zaręczynach, a te są jak śluby.
Starzechowski. Z podejrzeń niechaj nikt nie szuka chluby.
Ten młodzian nie jest chłystek ladajaki.
(Sęp i Jadwiga rozstają się.—Jadwiga odchodzi wgłąb. — Sęp zbliża się powoli do rozmawiających).
Płaza. Znać z miny, że się nie między prostaki
Wychował.
Starzechowski. Tak jest, wieszcz to z łaski Bożéj.
Płaza. *Epitalamium* pewnie tutaj tworzy
Na ślub Bogdana. Zyskać trza na czasie,
By wiersz gotowy trzymać już w zapasie.
Z nim wczas wystąpić niemała zaleta.
Starzechowski. Niech waszmość nie drwi, prawyć to poeta,
W łacińskim, polskim równie biegły rymie,
A muza jego nigdy się nie zdrzymie,
Acz Homerowa nieraz zamykała
Do snu swe oko.
Sęp. Wszystka ta pochwała
Przesadą cuchnie, ręczę wam, panowie,
Cny Starzechowski ubrdał sobie w głowie,
Żem mistrzem pieśni, a jam tylko żakiem.
Płaza. Zkąd się tu wziąłeś waść, zdarzeniem jakiém?
Sęp. Najprostszém w świecie. Nie tak zbyt odległa
Krakowska szkoła, by tam nie przybiegła
Wieść, jako Bogdan lud orężny zbiera.
Niejeden rzucił książki—i mnie szczera
Ochota zdjęła szablę chwycić w dłonie,
By córę Tarłów osadzić na tronie,
Lecz się spóźniłem.
Płaza. Dość wcześnie na gody
Zdążyłeś waszeć... Ha, cóż?... Taki młody
Snadź więcéj przyda się tu na festynie,
Niż tam gdzieś w polu... przynajmniéj nie zginie,
Lecz za to może coś zaginąć w domu.
Starzechowski. Coś waść przymawiasz?
Sęp. Komu? Rzeknij, komu?
Ostrowski. Nikomu chyba... Ot, tak sobie baje...
Płaza. Tak, baję tylko... jednak mi się zdaje,

Że muz kochanka wpuszczać w dom rzecz ślizka,
Bo można czasem dożyć widowiska,
Co będzie komuś snadź nie zbytnio k rzeczy.
Bo któż, u dyaska, tak się ubezpieczy,
By córze wieszcz się nie zakradł w serduszko,
Gdy słodkie wiersze pocznie kłaść jéj w uszko.
A tu nie zawsze z czułém słowem serce,
Do rymu mogą iść ślubne kobierce,
I bywa także, iż z wyrazem miłość
Takowa w rymie splącze się zawiłość,
Iż rodzic za nią gorzkie łzy wypłacze.

Sęp. Przez Boga, czylim wszedł między puhacze
Lub kruki, co mi kraczą o sromocie?
Jam syn szlachecki, uchowany w cnocie,
Mądrością książek napawan, acz młody,
Mógłżebym życzyć sromoty i szkody
Domowi, który mi otworzył wrota?
Niech się zawstydzi złośliwa ochota
I oczy sprośne, co złe widzą wszędzie,
Acz go tam niema, nie było... nie będzie.
(Wychodzi do ogrodu, za nim Starzechowski).

Ostrowski. Jak szablą rąbnął!
Łysakowski. Młodzieniaszek hardy!

(W ogrodzie odzywa się muzyka — w głębi przechodzą zamaskowani panowie i panie).

Maszkary! Cóż to? Snadź będą galardy
W ogrodzie pląsać.
Płaza. Hm, hm, moda nowa!
Na twarzy larwa, suknia pstra, godowa,
Człowiecze, zgaduj, kto ci prawi baje
Pod larwą skryty. Mnie się wszakże zdaje,
Że póki nasi tych włoskich nie znali
Wymysłów, kryli twarz larwą ze stali,
Ojczyzna kwitła bezpieczna, szczęśliwa.
Od Włochów do nas te zamorskie dziwa
Z sałatą, piżmem przyszły, aż wstyd prawie,
Sromota! Chodźmy przyjrzéć się zabawie!
(Odchodzi w głąb).

Łysakowski. Ha... ha... jak pędzi, acz zwie to sromotą.
Ostrowski. Nie wszystko, co się świeci, bierz za złoto.

(Wszyscy wychodzą w głąb — z lewéj wchodzi kilku służących, za nimi wbiega marszałek).

1 sługa. La Boga, maski!

2 sługa. Jezu, co za dziwy!

Marszałek. Precz, do roboty każdy! Przez Bóg żywy!
Zaledwie gędźba zabrzmi gdzie, u kata,
Aliści wszystko wnet mi się rozlata.
Na gapia każdy by szalony bieży.

1 sługa. Niech pan nie zrzędzi... Wżdyć się tak należy.
I pan i sługa do zabawy dąży.

(Z prawéj wchodzi Mikołaj Tarło).

Mikołaj. Co się tu dzieje?

2 sługa. Jezu! Pan chorąży!

1 sługa. Do stóp się pańskich ścielem.

Mikołaj. Dobrze, dzieci.
Poprosić pani niechaj który leci (1 sługa wychodzi na prawo).
Cóż to jest u was? Gędźba i maszkary?

2 sługa. Dziś festyn tutaj.

Mikołaj. Festyn? Nie do wiary!

(Z głębi wchodzi Regina).

Ha, pani siostra!

Regina. Witam, panie bracie!

Mikołaj. Zdarz Pan Bóg szczęście! Cóż to dzisiaj macie?
Dzień uroczysty? Z jakiéjż to przyczyny
W czaplińskim zamku tak gęste festyny,
Iż wieść się o nich aż u mnie odbiła,
W méj cichéj wiosce?

Regina. Wszak każdemu miła
Zabawa, zwłaszcza gdy Bóg zdarza gości.
Acz dla spóźnionych pozostają kości —
Jak to przysłowie mówi—alеć, bracie,
I was czém będzie przyjąć w biednéj chacie.

(Do sług) Héj, przygotować mięsa kęs i wina.

(Marszałek i słudzy odchodzą na lewo).

Mikołaj. Daj, siostro, pokój. Jakaż to przyczyna
Festynów ciągłych?

Regina. Przyjeżdżają goście
Z powinszowaniem.

Mikołaj. Lepiéj Boga proście
W pokorze, skrusze, by tak skończył dzieło,
Jak się pod dobrą wróżbą rozpoczęło.

Sąż wieści? Czy już wyprawa skończona?
Zdobytoż Jassy? Pobito Iwona?
Czy już przybyły posły Bogdanowe
Oznajmić, że pan włożył na swą głowę
Książęcy wieniec i jedynie czeka,
By narzeczona zdążała zdaleka
Z nim tron podzielić? No, cóż mówią posły?

Regina. Ostatnie wieści o tém nam doniosły,
Że Bogdan z wojskiem stoi po za Prutem.

Mikołaj. To wiem już dawno—jak wykute dłutem
W pamięci noszę. Niech was to nie mami.
Pomiędzy onym Prutem i Jassami
Rozległa przestrzeń. Wiedzieć trzeba o tém,
Iż na niéj mogą nasi ledz pokotem
Po stokroć razy. Wtedy swoją głową
Ozdobi Bogdan wieżę Serajową.

(W głębi ukazują się maski. Jadwiga w masce, w sukni różowéj, z lutnią w ręku, za nią kilku młodzianów i Sęp).

Maszkary? Co to? Jakaż to panienka
W różanéj szacie, a w ręku luteńka?

Regina. W różanéj? z lutnią? Toć to strój Jadwigi.

Mikołaj. Młodzieńcy biegną za nią na wyścigi.
Maszkary piękna rzecz—czas przy nich bieży
Na skrzydłach—miłać zabawa młodzieży.
Pod larwą zbliżać się do panien snadno.
Lecz bywa, czasem rzeczy ztąd wypadną
Niepożądane.

Regina. Jak to brat rozumie?

Mikołaj. Baczenie dawaj, czy w młodzieży tłumie
Ktoś na się więcéj oka córy twojéj
Nie zwraca...

Regina Niechaj pan brat się nie boi,
Zabawęć lubi... dziwnaż? Wżdyć jest młoda,
Lecz żadna z tego nie wyniknie szkoda.

Mikołaj. Ha, dałby Pan Bóg... chętnie temu wierzę.
Atoli pani siostrze powiem szczerze,
Iż pomnę dobrze, jak tutaj niemało
Węgierskich, polskich panów przyjeżdżało
Po rękę panny. . alić w jednéj chwili
Przystała, gdy jéj Bogdana raili,

Acz jestem pewny, że dla tego gacha
Z miłości nie schła.
Regina. Niech cię to nie stracha.
Wiedziałać, że to wola ma... życzenie
Samego króla.
Mikołaj. Że ma w prawéj cenie
Matczyną wolę... wierzę... lecz sto razy
Dla panny niczém królewskie rozkazy,
Jeżeli afekt pobudza inaczéj.
Niech zatém matka na to dobrze baczy,
Czy się nie dzieje czasem coś na stronie,
Bo któż uręczy, że w dziewiczém łonie
Serduszko jeszcze śpi...
Regina. O... śpi... rzecz pewna.
Mikołaj. Tak jako w bajce zaklęta królewna.
Lecz strzedz jéj... sprawy nie zasypia swojéj
Czart. Może blisko już gdzieś przy niéj stoi
Królewicz cudny, co ją ze snu zbudzi.
A nuż niesława pójdzie między ludzi.
Regina. O panie bracie, jać się nie powstydzę
Za moją córkę... Nieraz o Jadwidze,
Jéj imienniczce, a świętéj królowéj,
Powiadam, jako ręki Jagiełłowéj
Nie odtrąciła, acz to był mąż z boru,
A ona dziecię wykwintnego dworu.
Mikołaj. Snadź gorzéj raził królewską pieszczochę,
Niż Bogdan, co się między nami trochę
Już przetarł — jednak jakiż zysk Korona
Z tych ślubów wzięła! I krew Jagiellona
Jak się na tronie naszym przerodziła!
A choć to obca, jednak tyle miła
Polakom! Boże! Azaż naléść w świecie
Zacniejszych królów, a jeżeli przecie
Ktoś lepszy z panów w sąsiedniéj krainie,
To w nim zaiste krew Jagiełłów płynie.
Regina. Niech więc wołoskich książąt teraz nasza
Krew zacna Tarłów szlachci i okrasza
I niech ten związek wsze nadzieje ziści,
Przynosząc trwałe ojczyźnie korzyści.
Mikołaj. Lecz baczyć trzeba, by wciąż była dzieckiem,
By amor serca sidłem swém łowieckiem

Nie chwycił. Jeśli w wolne serce wpadnie
Skra, taki pożar może wzniecić zdradnie,
Iż chyba przymus nakaże Jadwidze
Pójść do ołtarza.

Regina. Przymusem się brzydrzę.
Ufając Niebu, cieszmy się nadzieją,
Iż rzeczy pójdą należną koleją...

(Z lewéj wchodzi sługa).

Mikołaj. Co powiész?

Sługa. Stół już dla Waszéj Miłości
Nakryty.

Regina. Proszę. U nas nikt nie pości.

(Mikołaj, Regina i sługa odchodzą na prawo — z głębi wbiegają Jadwiga i Hanna w maskach).

Jadwiga. Czyż zgadli, ktom ja?

Hanna. Toć się wié, téj chwili.
Atoli sobie drogę już zmylili,
Bo nas szukają gdzie najgęstsze drzewa,
A że my tutaj, nikt się nie spodziewa.
A gonią że nas .. Jeden jakieś karty
Uronił. (Ogląda kartki) Proszę, wiersze by na żarty.

Jadwiga. Posłuchaj, Hanno — moją weź maszkarę,
A mnie daj swoją. Idź tam między stare
Jasiony, wódź ich po całym ogrodzie.
Mnie dajcie tutaj spocząć na swobodzie.

(Mieniają się kostyumami).

Hanna. Gdy pani każe... Z jakiego powodu,
Ciekawam...

Jadwiga. Hanno, idź, idź w głąb ogrodu.
Za tobą niechaj idą na przegony.
Daj mi te karty... idź już!

(Hanna odchodzi w głąb. — Jadwiga rozwija wiersze).

Wieszcz natchniony
Coś w rymy złożył... (Czyta) Toć to on!... Zaiste,
To jego wiersze dźwięczne a ogniste.

(Czyta po cichu, potém głośno).

„Ozdobo ziemie, szczęśliwy, szczęśliwy,
Komu cię Pan Bóg naznaczył życzliwy,
Komu cię Hymen słowy statecznemi
I pochodniami przyłączy wiecznemi."

Szczęśliwy! Każdy w ten sens się ozywa,
A któryż spyta, czy ona szczęśliwa?
Tak... oni pragną szczęścia... lecz dla siebie,
Acz ich zamysłów budowa zagrzebie
Ją jak w mogile. Idź pod nóż, ofiaro!
To dla nich szczęściem, co dla ciebie karą.
Milcz, serce, na twe jęki będą głusi...
W tém oni widzą szczęście... tak być musi.
(Z głębi wchodzi Sęp. — Jadwiga chce odejść).

Sęp. Choć chwilę jeno...

Jadwiga. Nie... nie... ani chwili!
Wszak widzisz, że mię wszyscy odstąpili,
Boć wiedzą, żem jest żądna samotności.

Sęp. Na chwilę... kilka słów... kroplę litości
Dla nieszczęsnego miejże w sercu.

Jadwiga. Czemu?

Sęp. Rozmowa krótka snadź da strapionemu
Pociechę, któréj dusza jego czeka.

Jadwiga. Więc mów, lecz śpiesz się... pomnij... czas ucieka,
Czyś zgadł, kto jestem?...

Sęp. Choćbyś się i była
Po stokroć niby Proteusz mieniła,
Chociażbyś czapkę niewidzialną wzięła,
Lub nawet we mgłę, w nic się rozpłynęła,
Jeszczeby we mnie przeczucie odgadło,
Że jesteś blisko. Jak czyste zwierciadło,
Tak pamięć moja postać twą odbiła.
Gdzież twa maszkara? Gdzieś lutnię rzuciła
Tę, w którą bijasz ręką lilijaną?

Jadwiga. Więc zdejmę larwę, skoro mię poznano.
Snadź tego pragniesz? (Zdejmuje maskę).

Sęp. Czego sobie życzę,
Azali wiem ja sam? Patrzéć w oblicze
Anielskie... rozkosz, lecz dla duszy matnia.
Nie... ja rozmowy pragnę, co ostatnia
W mém życiu będzie.

Jadwiga. Azaż dobrze słyszę?

Sęp. Tam w polu dawno moi towarzysze,
A ja czekałem pośród krotochwili,
Aż mi sromotę w oczy wyrzucili
Niebacznem słowem ..

Jadwiga. Azalim co rzekła?

Sęp. Tyś święta, pani, lecz złość godna piekła
Podejrzeń w oczy mi bluzgnęła pianą;
Godzinyć nie ma, jak mi wytykano
To, przed czém w głębiach wzdrygnęła się dusza.

Jadwiga. Przez Boga, powiédz, co cię tak porusza.

Sęp. Nie żądaj... przyjmij pożegnania słowa.
Niech Pan niebiosów w szczęściu ciebie chowa.
Gdy jutro chadzać będziesz tam po błoniu,
Ja wdal popędzę na mym bystrym koniu,
Odjadę, zanim słonko sen twój spłoszy.

Jadwiga. Odjedziesz? dokąd?

Sęp. Na pola Wołoszy.

Jadwiga. Przez Boga, po co?

Sęp. Tam się nasi biją.
Z pohańcem sprośnym. Sama wiész, o czyją
Tam idzie chwałę. I ja niech nałożę
Żywotem moim...

Jadwiga. Boże, wielki Boże!
Ach czemuż jątrzysz w piersi ranę srogą!

Sęp. Co mówisz, pani? Wszak tą krwawą drogą
Do tronu dojdziesz...

Jadwiga. Kto wam to powiada,
Że tronu pragnę?... Ach, biada mi, biada!
Więc na to brodzić mam przez krwawe fale,
By zyskać, czego nie pożądam wcale?
Ty nie odjeżdżaj... błagam... rozkazuję...
Ja nie chcę tego, by pogańscy zbóje
Wznosili ostre szable nad twą głową.
Za taką cenę nawet być królową
Nie pragnę.

Sęp. Darmo, sławy twéj my strzeżem.

Jadwiga. Jeżeli moim pragniesz być rycerzem,
Idź, ogłoś wszemu światu, że Jadwiga
W głębinach duszy na wszystko się wzdryga,
Co w jéj imieniu tu i tam się dzieje,
Że jakiekolwiek nastąpią koleje,
Jéj klęską tryumf waszego oręża.

Sęp. Więc nie chcesz tego, co ci dają, męża?...
W milczeniu twojém przepaść się odkrywa.

Jadwiga. Na dnie jéj dojrzysz, jakem nieszczęśliwa.

Ty nie odjeżdżaj,... mnie tu z mą rozpaczą
Nie pozostawiaj... Może przeinaczą
Obroty losu to, co przeznaczono.

Sęp. Więc Bogdanową nie chcesz zostać żoną?

Jadwiga. Nie badaj!... Błagam... miéj litość nademną.
Ciekawość pragniesz nasycić... tajemną,
Żałosną skargą, którą Niebu jeno
Odsłaniam w modłach. Ach, jakowąż ceną
Kupuję spokój, co na licach gości,
By nikt nie dojrzał na nich méj żałości!

Sęp. O, pani, rzeknij słowo, a krew moję
Wycedzę wszystką...

Jadwiga. Zmilknij, ja się boję,
Gdy krew wspominasz... Boże, mocny Boże,
Czyż mi sądzono, bym na straszne morze
Puściła łódź swą?... Boże, ja utonę.

Sęp. Wżdy gotów jestem na waszą obronę.

Jadwiga. Od strasznéj doli chyba Bóg obroni.

Sęp. O pani, pozwól dotknąć się twéj dłoni
Ustami. Niechaj jawnie to wypowie
Mą cześć dla ciebie. Hospodar w Krakowie
Przed królem klęknął w hołdzie... Bóg wié, czyli
Tak szczerym jak mój hołd w obecnéj chwili,
Gdyż i ja także zginam me kolana. (Przyklęka)
O pani szczęsna, od losów wybrana,
Przyjm hołd ten korny w żegnania godzinie
Od tego, który rad dla ciebie zginie,
I daj całować kornie dłonie twoje.
(Chwyta rękę Jadwigi i okrywa pocałunkami).

Jadwiga. Nie... nie chcę... zostań! Śmierci twéj się boję.
(Z prawéj wchodzą Mikołaj i Regina — Sęp zrywa się i staje obok zmieszanéj Jadwigi).

Mikołaj. No, wszak mówiłem... Patrz, królewna nasza...

Regina. Przez Boga!

Mikołaj. Niech się matka nie przestrasza.
Królewna śpiąca... królewicz ją budzi...
To jeno szczęście, że zdala od ludzi,
Bo ci by radzi wnet to roztrąbili. (Przystępuje bliżéj)
Młodzianie!

Sęp. Wasza Miłość się tu myli.

Mikołaj. Żeś klęczał, tego przecie nie zamażem.
Dla młodych cudne panny są ołtarzem,
Więc ten, ów klęknie uwielbieniem zdjęty.
Lecz w tym ołtarzu jest już inny święty.
Wszak waść wiész o tém?

Sęp. Wiem.

Mikołaj. Wiész? To nie cuda!
Nie wiedziéć jeno mogłaby obłuda.

Regina. Jadwigo!

Jadwiga. Matko, tu się nic nie stało.

Regina. Czyż stać się mogło? Wszak wiem, że cię białą
Lilijką w domu wychowałam w cnocie
I niewinności nadobnéj, jak w złocie
Oprawny klejnot.

Mikołaj. Ktoś ty, panie młody?

Sęp. Szarzyński.

Mikołaj. Z Sępów rodu, z Zimnéj Wody?
O wiem... wiem... dobra krew waszmość zaszczyca,
Więc powiész prawdę... Moja synowica
Po co tu przyszła... o czémże rozmowę
Z waszmością wiodła?... No, mów! Dałbym głowę,
Iż o miłości... Wszak to nie nowina,
Że skoro młodzian z panną rzecz poczyna,
To się wnet miłość w dyskurs im zaplącze.

Sęp. Przezacny panie!...

Mikołaj. Pozwól, niech dokończę.
Nie miałbym za złe ja takiéj rozmowy,
Jeśliby blisko stał już wóz gotowy
I waszmość z panną powiózł do ołtarza...
Lecz, jak to często w świecie się wydarza,
Rzecz się nie składa, jakbyśmy żądali.
Już narzeczony inny jest. Na szali
Fortuny inny los już odważony.

Sęp. Powstrzymaj, panie, sąd twój ukwapiony.

Mikołaj. Więc cóż tu było?

Sęp. Posłuchajcie, proszę.
Odjeżdżam jutro rano na Wołoszę
Dać żywot za tę, co ma być władczynią
W tameczněj stronie... Azaż mię obwinią
Twe usta, panie, wierząc oczom jeno?

Jadwiga. Niech on nie jedzie... Matko... taką ceną

Kupować nie chcę mego wywyższenia...
Ja nie chcę... mówię... nie chcę...

Mikołaj. Niech się zmienia
Twój zamiar... chocia piękny bez pochyby...

Sęp. Ja pragnę zginąć.

Mikołaj. Zginąć chcesz? A gdyby
Ofiary życia losy nie przyjęły?

Jadwiga. On jest poetą... niech innemi dzieły
Zdobywa sławę wieczną, niezachwianą.

Mikołaj. Jak tuszę, zginąć nie będzie ci dano,
Chociażbyś tego pragnął sam koniecznie.
Dla ciebie jednak byłoby bezpiecznie
Gdzieindziéj szukać slawy choć z oręża.

Sęp. Do słońca kwiat się zwraca, serce męża
Za słońcem idzie. Toć moje pragnienie!

Mikołaj. Jać mówię, strzeż się słońca... raczéj w cienie
Uciekaj... Słońce w tobie serce spali
Na popiół... Wiész ty, co może być daléj?

Regina. Tak, czy wy wiécie?

Mikołaj. Nuże, spójrz mi w oczy.
Sam nie wiész, jakie brzemię pierś ci tłoczy.
Ty zbadaj siebie... Wierz mi... jać nie szydzę...
Zbadawszy, poznasz, że w naszéj Jadwidze
Coś więcéj widzisz niż hospodarową...
Jać wierzę, iż ty dla niéj nawet głową
Nałożyć gotów...

Sęp. Dobrze widzisz, panie.

Mikołaj. Więc niech na większą ofiarę cię stanie.

Sęp. Na wszystkiem gotów...

Mikołaj. Jeśli tak, u kata,
To uchodź od niéj choćby na kraj świata.

Regina. Natura człecza, pomnij, nazbyt krucha.
Gdy iskra padnie, płomień wnet wybucha
I nie przewidzisz, co ten pożar spali.

Mikołaj. Czy wiész, dlaczego myśmy obiecali
Jadwigi rękę Bogdanowi? Ścisły
Rachunek zmierzył plany i zamysły.
Kojarzy hymen państwa i narody.
Więc wara psuć to dzieło, panie młody.

Sęp. Onemu dziełu służyć pragnę.

Mikołaj. Hola!
Wprzód pytaj, czyli będzie nasza wola
Twe służby przyjąć...
Sęp. Azaż nie zechcecie?
I czemu?
Mikołaj. Różnie bywa na tym świecie...
Przyjmujesz cudzą służbę, jakbyś długi
Zaciągał... Kto wié, czybyś za usługi
Nie żądał kiedyś nagrody takowéj,
Iż za nią wasze płaciłyby głowy?
Sęp. Jak mam rozumiéć twoje słowa, panie?
Mikołaj. Wymowy teraz na to mi nie stanie.
Sam pomyśl — młody rycerz, ozdobiony
Zasługą męstwa, wobec pańskiéj żony,
Co nań nie krzywo patrzy... toć to przecie...
Sęp. Przestańcie, panie, bo snadź to powiecie,
Co będzie krzywdą ciężką i zelżeniem
Téj, któréj nawet podejrzenia cieniem
Urazić nie chcę i nigdy nie chciałem.
Jać zasłoniłbym cześć jéj mocnym wałem.
O pani, wierz mi... czyste moje chęci.
Na zawsze żegnam cię... miéj mię w pamięci,
Wiernego sługę, coć służyć nie może.
Daleko będę, zanim ranne zorze,
W okienko twoje zaglądając, ciebie
Ze snu obudzą. Wyrok ciężki w niebie
Dla ciebie nawet zginąć nie pozwala.
Mikołaj. On żąda, abyś żył, lecz od niéj zdala.
Sęp. Bądź zdrowa, pani! Tam, gdzie słońce wschodzi,
Na ciebie czeka już pośród powodzi
Zaszczytów szczęście, z dawna przyrzeczone
Od dobrych losów. Ja w przeciwną stronę
Odjeżdżam, goniąc słońce zachodzące,
Zostawiam jeno życzenia gorące,
By ci się wszystko według woli działo.
(Do Mikołaja i Reginy).
Więc spełniam waszą wolę, a za trwałą
Gościnność, proszę, przyjmcie dzięki szczere.
(Wychodzi na prawo).
Mikołaj. Tak się więc stało litera w literę,
Jak przewidziałem...

Regina. Ty masz rozum w głowie,
Nie darmo „głową" prosty lud cię zowie.
(Mikołaj kiwa ręką i odchodzi na prawo).
O droga córo, dość już téj zabawy.
Idź, spocznij, bo nas jutro inne sprawy
Ze snu obudzą... będzie ich niemało.
Śpij, śpij spokojnie!
(Całuje w głowę Jadwigę i wychodzi na prawo).
Jadwiga (z westchnieniem). Tak się stać musiało!
(Z głębi wbiega Hanna i zdejmuje kostyum).
Hanna. Przez Boga, pani, weź już swą maszkarę.
A toć ściągnęła na mnie całą chmarę...
Zaledwiem weszła... już mię rój młodzieży
Oblega w koło, wszędy za mną bieży...
Wodziłam ich też po całym ogrodzie,
Aż jeden w końcu poznał mię... po chodzie,
Czy po postawie.
Jadwiga. Kto?
Hanna. Jegomość Płaza.
Ten chadza za mną wciąż... Czystać obraza
Zalotnik taki!... Czyżby mu się było
Bezżeństwo niecne w końcu uprzykrzyło,
Czy też swywoli chłopu się zachciało?
A jeno patrzéć, aż będzie miał białą
Pod gębą brodę... Czyżby mię za żonę
Chciał pojąć?... Boże, wstydem się zapłonę,
Że czart mi nadał takowego gacha.
Toć wolałabym już z konopi stracha,
Co wróble płoszy.
Jadwiga. Zmilknij, Hanno droga!
Hanna. Panienko, co to?... Blada!... drży... Przez Boga,
Co się tu stało?...
Jadwiga. O, nie pytaj wcale!
Hanna. Coś się musiało stać, to doskonale
Ja widzę... Co to jest?
Jadwiga. Do méj komnaty
Chodź! chodź!.. Złożymy te cudackie szaty.
Już dość, dość na dziś wszelkich krotochwili.
(Z prawéj wchodzą sługa i Młodecki w ubraniu wojennêm).
Sługa. I pan chorąży i pani tu byli
Przed chwilą właśnie...

Młodecki. Szukaj ich... (Sługa odchodzi na lewo — do Jadwigi). O pani!
Niech Wasza Miłość przedwcześnie nie gani
Nas, że wracamy nie z tém, co być miało.

Jadwiga. Przez Boga, panie, powiédz, co się stało.

(Z lewéj wbiega Regina, za nią Mikołaj, daléj Sługa).

Regina (do Sługi). Gdzie, gdzie ten rycerz?

Młodecki. Na Waszych Miłości
Usługi... Z wojny wracam...

Mikołaj. Takich gości
Witamy mile. Co niesiesz dobrego?

Młodecki. Niech święci Pańscy wszystkich tutaj strzegą.
Skończona wojna...

Regina. Boże, jak mi w łonie
Kołacze serce!

Mikołaj. Bogdan więc na tronie
I waszmość tutaj w poselstwie przysyła?

Młodecki. Jakżebym pragnął, by wieść taką była.
Niestety, jednak...

Regina. Boże!

Mikołaj. Co, u kata!
Czyż co innego niesiesz?

(Z ogrodu przychodzą goście, — niektórzy w kostyumach, — na przodzie Starzechowski).

Starzechowski. Z końca świata,
Z dalekiéj wojny witać cię potrzeba.

Wiele głosów. Co nam przynosisz?

Młodecki. Z wyrokami Nieba
Daremna walka... aleśmy spełnili
Powinność... wszyscy jako lwy się bili...
Zwycięstwem wróg się wcale nie poszczyci.

Płaza. Mówiłem... bili się... jak lwy... lecz zbici
Wracają do nas... stało się na mojém.

Ostrowski. A waść rad temu.

Młodecki. Nie... bynajmniéj bojem,
Lecz głodem, liczbą przeważną zmuszono
Nas ujść z Wołoszy...

Płaza. Więc już za skończoną
Miéć trzeba wojnę. Ha, niech sobie chwałę
Zabiera dyabeł... dość, gdy kości całe

Przywlecze rycerz pomyślnie do domu.
Już tak na świecie... co sądzone komu,
To go nie minie...
Ostrowski. Ten przybył zdaleka
I ledwie prawi... a z ust waści rzeka
Wymowy grozi powodzią w złéj chwili.
Mikołaj. Przez Boga, dajcież mówić!... Czyście zbyli
Rozumu? Mówże, mów nam, cny rycerzu,
Jak się to stało...
Młodecki. Wszystko jak w pacierzu
Zupełna prawda, co wam teraz powiem.
Najwaleczniejszych rycerzy gdy mrowiem
Obsiądą wrogi, to ich w końcu zmuszą...
Płaza. Wziąć za pas nogi i uciekać z duszą.
Ostrowski, Łysakowski, Leśniowski. Zamilknij waszmość!
Młodecki. Znacie już nasz zwyczaj;
Wprost pędź do boju, wrogów nie obliczaj
I nie ustępuj, aż zwyciężysz wroga,
Lub ciałem legniesz, dusza zaś do Boga
Odejdzie. Nikt tam nie szczędził żywota,
Bo wszak każdego z nas własna ochota
Nie żaden przymus wyprowadził w pole.
Lecz nie człek sobie, jeno Bóg mu dolę
Wymierza — tryumf w Jego tylko dłoni.
Regina. Rycerzu, powiédz, azaż w téj pogoni
Złych losów Bogdan?...
Młodecki. Zginąć był gotowy,
Lecz z łaski bożéj włos mu nie spadł z głowy.
On niezadługo tu przed wami stanie.
Regina. O chwałaż Tobie, wszechmogący Panie!
Mikołaj. Z podwórca jakiś tentent dolatuje.
Snadź on przybywa.
Regina (do Jadwigi). Co twe serce czuje
W téj chwili, córko?
Jadwiga. Jestem ślepa, głucha
Na wszystko, co się dzieje... W głębi ducha
Jakoweś jeno przeczucie się kryje...
(Z lewéj wchodzi Sługa).
Sługa. Hospodar przybył! (Z lewéj wchodzi Bogdan z orszakiem).
Wszyscy. Wiwat, niechaj żyje!

Bogdan. Me służby zacnym paniom. Wszystkim czołem.
Szczęśliwy jestem, że was tylu społem
Powitać mogę dziś...

Wszyscy. Waszéj Miłości
Pokorni słudzy...

Bogdan (do Reginy). Macie tutaj gości,
Snadź się zjechali na jakieś festyny,
Więc je przerwałem, lecz nie z mojéj winy...

Mikołaj. Już przedtém, panie, wszystko się przerwało.

Bogdan. Bo wam mój poseł rzekł już, co się stało:
Nieprawdaż? Pewnie takich smutnych wieści
Nikt się nie spodział?

Ostrowski. Tak jest, stąd boleści
Na licach naszych widzisz, panie, ślady.

Bogdan. Ja przedewszystkiém miałbym płakać zdrady
Okrutnych losów... Lecz nie... żyję jeszcze
I co innego wkrótce wam obwieszczę,
Gdy Bóg na niebie i fortuna zdarzą.
Nie szedłbym tutaj z taką śmiałą twarzą,
Jeślibym ręce w bezsilnéj rozpaczy
Opuszczał marnie...

Wszyscy (między sobą). Jak to? Co to znaczy?

Bogdan. Za małe wojsko miałem ja zaiste,
Jeśliby było potrojne, dwoiste,
To wobec znanéj Lechitów odwagi
Nietylko Iwon wziąłby ciężkie plagi,
Lecz nawet sułtan sam, acz król nad króle,
Przed nami z trwogi zadrżałby w Stambule.

Płaza. A co? Mówiłem, że ich było mało.

Bogdan. Zbyt mało, prawda, lecz się wielką chwałą
Okryli wszyscy. Jeśli znów wyruszą
W zwiększonym pocztcie, nie ucieknie z duszą
Zuchwały Iwon—pod miecz zegnie szyję,
Jak niegdyś Tomża... niech wié, że ja żyję
I nie wyrzekłem się mojego prawa
Do ojcowskiego tronu.

Ostrowski. Śmiałość dawa
Zwycięstwo... śmiały w końcu wygrać musi.

Leśniowski. Masz, hospodarze, przyjaciół na Rusi
I na wszech ziemiach Rzeczypospolitéj...

Na twoje słowo sypnie się obfity
Junaków poczet ze wszech stron...
Starzechowski. O, panie,
Niejeden młody na wasze wezwanie,
Miast gnuśnieć marnie w domowéj zaciszy,
Za szablę chwyci, skoro znów posłyszy
O wojnie, co da Polsce hołdownika.
Nadzieja dziwna duszę mą przenika,
Że ci na Rusi spory hufiec zbiorę.
Młodecki również nie skryje się w norę;
Po Małéj Polsce krewnych ma on roje,
Z nich wielu pójdzie pod chorągwie twoje.
Gdzie Sęp? I on téż nie od kształtu głowa.
Niech jeno prędko rusza do Krakowa.
Tam jak Tyrteusz pieśnią młodych wzbudzi.
Nie zbraknie Waszéj Miłości tu ludzi,
Co mężném sercem wywalczą zwycięstwo.
Ostrowski. Bądź dobréj myśli, panie — patrz, jak męstwo
Gra w młodych piersiach...
Młodecki. Pójdziem po raz drugi,
By nieść ci wiernem sercem swe usługi.
Koronę będzie nosić twoja głowa.
Szlachta (wznosząc szable do góry). Hóspodar wiwat!
Inni. I hospodarowa!

AKT III.

Sala w zamku Tarłów w Czapli. — Służba uwija się sprzątając. — Z prawéj wchodzi Hanna.

Hanna. A, co ja widzę? Czemu się guzdrzecie?
Hej, daléj, żwawo! Toć widzicie przecie,
Że czas już... prędzéj...
(Z lewéj wchodzi Płaza).
Płaza. Sługa waszmość panny.
Hanna. Ha, już pan Płaza... proszę...
Płaza. Jak świt ranny
Rumieńczyk pała na twarzy różanéj,
Letniczek świeży... cudnie sfałdowany.

Hanna. Azaliż dziwne?... Wszakże mamy gości.
Płaza. Jam także gościem.
Hanna. To nie dla waszmości.
Bądź tego pewien...
Płaza. Panienka by osa,
Języczek żądło, a ostry jak kosa.
Hanna. A, cóż stąd?
Płaza. Panna ze mnie się natrząsa,
Boć wolałaby chłopca gołowąsa,
A on tymczasem wroga w polu goni.
Hanna. Tam waści niema — waść żałuje dłoni
Dla szabli, snadź jéj to dogodzi lepiéj,
Gdy niewiast suknie szarpie.
Płaza. Boć to krzepi
I uwesela.
Hanna. Cóżeś, zacny panie,
Uwidział do mnie, iż wciąż jak nasłanie
W ślad za mną chadzasz?
Płaza. Bom rozmiłowany
W nadobnéj Hannie.
Hanna. No, dziw niesłychany!
Płaza. Czyliżbym bawił tu nad pożądanie,
Jeśliby nie to mocne przywiązanie,
Gorący afekt ku waszmości pannie?
Chciéj wierzyć, proszę, iż mnie nieustannie
Płomienie palą, trawi żar miłości.
Hanna. Ah, widzę, jako miłość panu kości
Już wysuszyła, aż wyschłeś na szczapę!
Czy chcesz mnie złudzić, bym ci lazła w łapę?
No, jeśli szczere chęci, mości panie,
To nie trać czasu na próżne gadanie,
Przysyłaj swatów, daj na zapowiedzi,
Uwierzę wtedy, że waść tu nie siedzi
Daremnie, że dba o mnie cokolwieczek.
Płaza. Eh, pannom zaraz chodzi o ślubeczek.
Mościwa panno, zwolna... nie tak żwawo...
Jest czas na wszystko...
Hanna. Kręcisz w lewo, prawo,
By lis ogonem. Na dziwne oględy
Przyjeżdżasz waszeć tędy i owędy,

Nie ślub na myśli mając, lecz swawolę.
Azali sądzisz, że wywiedziesz w pole?
O gdybyś nawet po mnie jechał w cugi
Poszóstne, wiodąc dworzan szereg długi,
Chociażbyś kwiaty sypał mi pod nogi,
W pierścieniu dawał rzadki kamień drogi,
Jeszczebyś odszedł z koszem niby zmyty.
A to mi śliczne szczęście i zaszczyty
Zalotnik taki!

Płaza. Pannie snadź to w głowie,
Że się wokoło niéj kręcić panowie
Bogaci będą, by rój złotych muszek.

Hanna. Waść idź po żonę do onych pań duszek,
Z któremiś swoje przemarnował lata.
A dyabeł nasłał mi takiego swata!

Płaza. Tak aśćka śpiéwasz?

Hanna. Nie zdradzieckim głosem,
Boć przecie wąsów nie noszę pod nosem.

Płaza. Weź w rękę księgę, jakiéjbądź jest treści,
I co w niéj najdziesz? O zdradzie niewieściéj.
O, wyście dla nas jak... na nożu szczerba!
Gdy cesarzowéj chciało się pasierba
Zagubić... tak się jęła sztuką całą,
Iż siedmiu mędrców ledwie radę dało.
A co tam było krętactw i mitręgi.
Czy znasz te dzieje?

Hanna. Kto te pisze księgi?
Niewiasty czy też chłopi?

Płaza. Toć że przecie
Mężczyźni leją światło po wszem świecie.

Hanna. A o mężczyńskiéj czy też piszą zdradzie?

Płaza. Nie... nie czytałem.

Hanna. Waszmość o szkaradzie
Wciąż myślisz jeno... Zaiste, gość słodki,
Po panach jeździ, aby nosić plotki,
We wodzie czystéj mącić dla połowu
Jakowéj rybki. Jeśli waszmość znowu
Zaloty zwróci do mnie podejrzane,
Jać w odpowiedzi dłużną nie zostanę
I waść się skryjesz aż do mysiéj dziury.

(Z prawéj wchodzi Starzechowski).

Starzechowski. Wszem służby moje!
Płaza. Jakież konjunktury
Przywiodły waszmość aż w tutejsze progi?
Jak mi się zdaje, kęs już czasu srogi,
Co waści nasze nie widziały oczy.

Starzechowski. Przeróżne sprawy miałem... Czas się toczy,
Więc snadź z łaskawéj wypadłem pamięci.

Płaza. Niecałkiem przecie...
Starzechowski. Co się u was święci?
Mospanie Płazo, minać nie wesoła.

Płaza. Jak tu weselić się, gdy źle dokoła?
Dziś złe planety przewodzą nad światem.
Ten wrogiem bywa, co być winien bratem,
Z pohańcem w sojusz chrześcianin wchodzi,
Nad starych większy rozum chcą mieć młodzi.
Nabrała buty ona płeć bezwąsa
I z nas się, mężczyzn, zuchwale natrząsa.
Gdzie rzucisz okiem, wszędzie fałsz, niewiara,
A jeno patrzéć, rychło boża kara,
Zaraza, wojna lub głód srogi spadnie,
By świat za grzechy pokarać przykładnie.

Starzechowski. A to ci prawie, że aż się zadyszał.

Hanna. Świat ma się skończyć, żeś waszmość usłyszał,
Co ci się przecie zdawna należało.

Płaza. Was, białegłowy, zwalczać żadną chwałą.

Hanna. A być zwalczonym zasię wielkim wstydem,
Boć wy Goliatem, my jeno Dawidem.

Płaza. Kto tam do ładu dojdzie z tą płcią białą!
No, powiédz lepiéj, co się z waścią działo.
Na Rusi miałeś werbować rycerzy
Dla hospodara, który z serca wierzy,
Że mu z pod ziemi zastępy wyrosną.
To było... kiedy?... Aha, pomnę... wiosną.
I jeśli przytém snadź waszego sługi
Nie zwodzi pamięć... minął rok i drugi,
A tu na wojnę muchy się nie gonią.

Starzechowski. Waść chciałbyś, żeby jeno machnąć dłonią,
A już się rzeczy wywiną jak z płatka.
Wszak zaszła tutaj plątanina rzadka.
Król Zygmunt umarł jakoś niespodzianie,

Elekcya przyszła... na nasze wezwanie
Naonczas ludzie byli trochę głusi.

Płaza. Bo mają rozum tam u was na Rusi.
Podpłomyk w piecu, ogień tęgi płonie,
A ty w płomienie pchajże obie dłonie,
By go ktoś inny zjadał z wielkim smakiem.

Hanna. Niech czart to bierze z porównaniem takiém!

Płaza. A teraz jakże?

Starzechowski. Wszystko się zmieniło.
Już mamy króla, rządy... Z nową siłą
Ruszymy w pole.

Płaza. Tak jak wprzódy pono.

Starzechowski. Eh, co waść pleciesz!...

Płaza. Już raz odpalono
Bogdana... Jeszcze chce drugiego guza.

Starzechowski. A może teraz Iwona wytuza.
I wtedy mu się dostała nauka,
Że nasi wiedzą, co wojenna sztuka.

Płaza. O, wtedy poszli zbrojnie i buńczucznie,
A nim ruszyli, krzykiwali hucznie,
Gębami młócąc, by w stodole cepy,
Że łby tureckie będą jako rzepy
W kawały siekać, samego Iwona
Tak zjedzą łatwo, gładko, jak kapłona
Dostatni szlachcic w obiad sobie zjada.
Ot, poszła w pole zuchwała gromada.
I co sprawiła, chełpiąc się tak hojnie?
Po trzech miesiącach było już po wojnie.
I dziś tak będzie.

Hanna. Dziwny to wróżbita!
Jak puszczyk wieszczy, acz go nikt nie pyta.

Starzechowski (do Hanny). Jest tu kto u was?

Hanna. A jest... pan chorąży.

Starzechowski. To dobrze, w samą porę Bogdan zdąży,
Boć ma tu przybyć... Pisał do mnie w liście,
By się z nim zjechać dzisiaj. Oczywiście,
Że lada chwila mieć go tu będziecie.

Płaza. Ciekawym, co on wskórał tam po świecie.

Hanna. Narada pewnie będzie.

Płaza. Gdy ta ściele
Do tronu drogę... radźcież, bo wesele

Już czas wyprawić, zbyt się długo zwleka,
A tu czekamy, no... i panna czeka.
(Odchodzi na prawo).

Starzechowski. Co to za człowiek!
Hanna. Wciąż by młyn klekoce.
Gadałby tylko całe dnie i noce,
Przygania wszemu, niby satyr z lasu,
Takiego słuchać jeno szkoda czasu.
Waść powiédz radziéj, jakież tam nowiny,
Bo, jako tuszyć śmiem, nie bez przyczyny
On zjazd dzisiejszy...
Starzechowski. A czas! Czas nadchodzi,
By się spełniło to, czego my, młodzi,
Pragniemy... by już raz hospodarową
Została wasza panienka...
Hanna. No, słowo
Już wyrzeczone... niech się z czynem złączy.
Starzechowski. Czekanie każde kiedyś się zakończy.
Cóż się tu dzieje?
Hanna. Czy o nią waść pyta?
Starzechowski. No, o nią.
Hanna. Księgi jeno ciągle czyta,
Jak zakonnica, psując sobie oczy,
I acz nie płacze, poznasz wnet, że tłoczy
Jéj serce jakieś niespożyte brzemię.
Czasami całe godziny wzrok w ziemię
Wlepiony trzyma.
Starzechowski. Ulżysz jéj boleści,
Gdy jéj opowiész one nowe wieści.
Hanna. Azaliż tego waść jéj sam nie powie?
Starzechowski. Powiedziéć radbym, ale mi o zdrowie
Panienki idzie. — Acz ciężko dać wiarę,
Zdarzenia były, że radość nad miarę
Zgon z sobą niosła. Przykładów niemało..
Hanna. Atoli więcéj ludzi umiérało
Z utrapień wielkich i żałości srogiéj...
(Z prawéj wchodzi Jadwiga).
Jadwiga. Pan Starzechowski!
Starzechowski. Ścielę się pod nogi,
Pokorny sługa.

Jadwiga. Przyjm mój pokłon, proszę.

Hanna (półgłosem). No, mówże, waszmość!

Starzechowski. Dobrą wieść przynoszę.

Jadwiga. Takowe rzeczy bardziéj pożądane,
Niż skarb na drodze.

Starzechowski. Wróżą prędką zmianę
Waszego losu.

Jadwiga. Czy tak?

Starzechowski. Będzie wojna!

Jadwiga. Co mówisz? Boże! Jam już tak spokojna
W méj duszy była, że mi błogiéj ciszy
Nic nie zakłóci, że już nie posłyszy
Me ucho ryku trąb i groźnéj wrzawy.
I któż wam mówił, żem ja żądna krwawéj
Kąpieli waszéj?... Kto przed wami kłamie,
Że jestem potwór, zlęgły w smoczéj jamie,
Co jeno żyje krwią?

Starzechowski. Pani, przez Boga,
Jam jechał pewny, że ona wieść błoga
Strapione serce wasze uweseli.

Jadwiga. Jest matka, stryj mój, niech waszmość udzieli
Im téj nowiny... Najdą ją ucieszną.

Starzechowski. A Wasza Miłość?

Jadwiga. Azaliż mi śpieszno
Wyjeżdżać z zamku?... Waszmość idź do stryja,
Do mojéj matki... idź... idź.. (Starzechowski kłania się i odchodzi na prawo) Wszystko mija,
Największa radość, szczęście niezmierzone,
Strapienie jedno trwa wciąż... W którą stronę
Obrócisz oczy, zewsząd się wynurza
Ponura żałość... Ledwie jedna burza
Minęła, druga już się znowu zbiera.

Hanna. Lecz ona burza dla was znów otwiera
Nadzieję szczęścia... Jako przynależy,
Wprzód Mars skrwawiony, za nim Hymen bieży.

Jadwiga. Więc wprzódy muszą ludzkiéj krwi potoki
Popłynąć, dymy wzbić się pod obłoki,
Nim Hymen zleci. Azaż on położy
Kres wszelkim smutkom... Może będzie gorzéj,
Boć i on niesie pochodnię.

Hanna. Cóż z tego?

Jadwiga. Pochodnia pali... niech się jéj więc strzegą
Niebaczni ludzie... Nieraz się zdarzyło,
Iż się w jéj ogniu niejedno spaliło
Człowiecze szczęście.

Hanna. Jakież dziwne myśli!

Jadwiga. Nie dziwne... proste... Pomyśl jeno ściśléj,
Tak, pomyśl, Hanno. Losy tego chciały,
Żem się zrodziła pośród téj płci białéj,
Dla któréj każdy w uściech słodycz samą
Najduje, ale nawet jéj przed bramą
Nie wolno stanąć, by ujrzéć zdaleka,
Kto ten, co po jéj rękę się przywleka.
Z nim pierwéj inni wiodą o nią targi,
Gdy skończą, jéj iść każą — lecz do skargi
Jéj ust roztworzyć nie dopuści wola
Ich, bo są starsi. — Takać nasza dola!

Hanna. Azali ciebie kto, panienko, zmusza?

Jadwiga. W mém ciele gdyby żyła męska dusza,
Jeślibym szablę dzierżyć mogła w dłoni,
Bachmata dosiąść, co kopytem dzwoni,
Zaiste pewnym nie byłby żywota,
Bezbożna kogo zdjęłaby ochota
Na wolność moją targnąć się zuchwale.

Hanna. Co ona prawi? Boże, czy snadź w szale
Nie pomąciły się jéj ducha siły?
Panienko... bój się Boga... Jezu miły,
Jak patrzy przed się osłupiałém okiem!

Jadwiga. Gdy na nas luną nieszczęścia potokiem,
Przyniosą w końcu skutek wielce błogi,
Że już nie zrani serca oścień srogi.

Hanna. Panienko złota!

Jadwiga. Fortuna tak hojna!
Już zakończona jedna straszna wojna...
Gotują nową... nowa zaś przyniesie
Utrapień, bólów, zgryzot, jak drzew w lesie,
Aż serce do nich zwyknie i zostanie
Od głazu twardszém.

Hanna. Miłosierny Panie!
Litości nad nią!

Jadwiga. Nie módl się... nie!... modły
Bluźniercze, Hanno, do tego przywiodły,
Że dziś we złotym pijemy puharze
Trucizny wszelkie... na nasze ołtarze
Stawiamy dzisiaj nie Pana nad pany,
Lecz najsprośniejsze pogańskie bałwany,
Znaczenie, złoto, potęgę i... zgubę.
Tak, zgubę w końcu... to, co miało chlubę
Nam przyniéść, w końcu hańbą nas okryje.
Ah, na cóż, na cóż ja na ziemi żyję?

Hanna. Panienko, bój się Boga — krzyżem świętym
Odegnaj takie myśli.

Jadwiga. Źle zaczętym
Zamysłem wszystko źle się skończyć musi.

Hanna. Ach, przestań, przestań! To złe ciebie kusi.
Weź lepiéj księgę, lutnię — gędźba czysta
Da spokój duszy. Wszak Dawid lutnista,
Na arfie grając, żydowskiego króla
Zaciekłość koił.

Jadwiga. Azaliż Saula
Mam w sobie duszę? Azaż palec Boga
Mnie wytknął?... Dobrze, dobrze, Hanno droga,
Więc przynieś lutnię... ulży snadź boleści...
Tak, przynieś, przynieś! (Hanna odchodzi na lewo).
Przynoszą mi wieści,
Lecz jednéj, jednéj nigdy nie zasłyszę.
Tak, muszę znosić tę okropną ciszę
I nic nie zmąci jéj, choćby nowina,
Że nienawidzi mnie, że mię przeklina.
Na zachód odszedł — słońce w tamtą stronę
Codziennie chodzi... jasne, wyiskrzone,
Lecz go zapytać nadaremna praca,
Bo do nas inną stroną się zawraca,
I nawet ptaszek, choć przyleci z drzewa,
Pod którém siadał, o nim nie zaśpiéwa.
Jak się zaczęło, wszystko tą koleją
Już pójdzie .. trzeba żegnać się z nadzieją.

(Z lewéj wbiega Hanna).

Hanna. Panienko... jest już... właśnie z konia zsiada...
Przyjechał... jest już...

Jadwiga. Kto?
Hanna. Hospodar!
Jadwiga. Biada!
Męczarnia moja ciężka się ponowi.
Azali go już ujrzeli domowi?
Hanna. Ujrzeli... jeden z wieścią szedł do pani.
Jadwiga. Pozostań tutaj! (Odchodzi na lewo).
Hanna. On przyjechał dla niéj,
A ona dziwnie jakoś rzecz swą sprawia,
Odchodzi... mnie tu samą pozostawia.
Ach, co tu będzie,.. z strachu aż truchleję.

(Z głębi wchodzi Bogdan z kilku dworzanami, którzy niebawem odchodzą).

Bogdan. Hej, mościa panno, co się u was dzieje?
Hanna (kłania się). Pokorna sługa! Wszystko, jak bywało.
Bogdan. A ja sądziłem, że się tu coś stało.
Przyjeżdżam przecież niezbyt niespodzianie,
A nikt nie wyszedł na moje spotkanie.

(Z prawéj wchodzą Regina i Mikołaj Tarło).

Regina. Witamy Waszą Miłość w naszéj chacie.
Mikołaj. Pokorni sludzy!
Bogdan. Witam .. Jak się macie?
Mikołaj. Niezgorzéj jakoś, Panu Bogu dzięki!
Bogdan. Niezgorzéj? Przecie na was z hojnéj ręki
Wciąż szczodre dary los powodzią leje.
Mikołaj. Atoli nasze najlepsze nadzieje
Coś się nie pełnią...
Bogdan. Z czyjéj że to winy?
Wszak się odbyły dawno zaręczyny.
Do ślubum gotów... czemuż wy zwłóczycie?
Regina. Wszak Wasza Miłość wié to należycie,
Że sobie ślubów gorąco życzymy.
Bogdan. Eh, wasze słowa są jak one dymy,
Co w górę idą i wiatr je rozprasza.
Mikołaj. Nie tajno Waszéj Miłości, co nasza
Umowa pierwszym warunkiem stawiała.
Bogdan. Z fortuną trzeba zawrzéć pakt, by cała
Rzecz poszła gładko według woli waszéj.
U licha, przecież nie dam zjeść się w kaszy,

Dość siły jeszcze mam, iżby na siodło
Koniowi wskoczyć. Acz się nie powiodło
W imprezie pierwszéj, miłościwy panie,
Com postanowił, to się z czasem stanie,
Lecz czekać trzeba.

Regina. Takić los człowieka!
Co pożądane, wżdy mu się przewleka.
I one śluby za zrządzeniem Nieba
W odwłokę idą.

Bogdan. Raz już skończyć trzeba.

Regina. Jam pełnić waszą wolę wżdy gotowa.

Mikołaj. Lecz zobopólna zastrzegła umowa,
Że przed weselem... Waszą Miłość proszę
Przypomnieć sobie.

Bogdan. Azaż w wacku noszę
Ów tron tam w Jassach, by go waszéj córze
W podarku ślubnym złożyć?

Mikołaj. Znów powtórzę,
Iż punkt to pierwszy, na nim wszystko stawa.

Bogdan. Do tronu przecież nie zbyłem się prawa.

Regina. Że na nim Wasza Miłość znów zasiędzie,
Wierzymy mocno.

Mikołaj. Wtedy wszystko będzie
Spełnione święcie w sens naszéj umowy.

Bogdan. Was nie przekona i świętemi słowy,
Wciąż jedna piosnka uszy mi rozdziera.

Regina. Atoli tak być musi.

Mikołaj. To chęć szczera
Waszego dobra, panie... i naszego.

Bogdan. A gdzież Jadwiga?... Niechże po nią biegą...
Niech przyjdzie!

Regina. Hanno, wołaj tu panienki.

(Hanna odchodzi na lewo),

Bogdan. Wam jednéj rzeczy jeszcze brak... maleńkiéj,
Atoli drogo kupić ją potrzeba.

(Z lewéj wchodzi Jadwiga).

O witaj! Gdyby z wysokiego nieba
Słoneczko zeszło, jeszczeby tak ludzi
Nie ucieszyło, jak twe przyjście budzi
Wesele we mnie... Azali dasz wiarę?

Jadwiga. Twa łaska dla nas, panie, jest nad miarę.

Bogdan. O nie patrz na mnie takim zimnym wzrokiem,
Przez Boga, nie patrz... We mnie się potokiem
Wezbrały wszelkie czucia, które żywię
Dla ciebie, droga.. Jakże utęskliwie
Jechałem tutaj... Po co?... Bóg wié jeno.
Tak, będziesz miała wszystko... drogą ceną,
Najdroższą nawet kupić ci to muszę,
Acz przyjdzie oddać skarby, żywot, duszę...
Och, będziesz miała.

Jadwiga. Co mieć będę, panie?

Bogdan. Och, wszystko, wszystko na twe zawołanie,
Z pod ziemi choćby dobyć to musiano...
Posłuchaj, droga... zaraz jutro rano...
Nie... bądźcie zdrowi... i ty bywaj zdrowa,
Natychmiast jadę.

Regina. Dokąd?

Bogdan. Do Krakowa.

Rogina. Pan Starzechowski zjechał tu i czeka
Na Waszą Miłość...

Bogdan. Listem go zdaleka
Wezwałem, żeby przybył...

Mikołaj. I nowiny
Ucieszne wcale przywiózł.

Bogdan Z téj przyczyny
Pojedziem zaraz obaj... Niech się zbiera
Do drogi... Prawyć to człek, nie przechera,
Co przyrzekł, zdzierżył... oby tak zdzierżyli
I inni, którzy naonczas dobyli
Swych szabli z pochew...

Mikołaj. Dotrzymają słowa.

Bogdan. Więc trzeba zaraz jechać do Krakowa.
Wszak nie odmówi król swéj aprobaty.

Dworzanin (wchodząc zgłębi). Pan wojewoda ruski.

Mikołaj. Co? Zakaty,
Tak niespodzianie! Coś się wydarzyło!

(Zgłębi wchodzi Sieniawski, za nim orszak dworzan, którzy niebawem odchodzą).

Sieniawski. Powitać wszystkich memu sercu miło.

Mikołaj, Regina. Pokorne służby me Waszéj Miłości.
Sieniawski. Me służby paniom... Widzę tu i gości.
Cny hospodarze, czołem...
Bogdan. Witaj, panie!
Sieniawski. Snadź to wam dziwno, że tak niespodzianie
Przybywam... Ważne wiodą mię tu sprawy.
Mikołaj. Zasiądźcie, proszę.
Sieniawski. Pan Bóg tak łaskawy,
Iż, hospodarze, tutaj was najduję.
Bogdan. Za względy wasze z góry już dziękuję.
Sieniawski. Przedwczesne dzięki, bo to, co przynoszę,
Snadź wam nie będzie miłém... ale proszę,
By na mnie żadnéj nie kłaść tutaj winy,
Bo, co się dzieje, to nie z méj przyczyny.
Bogdan. Więc co to? Z czyjéj? Niech mię Niebo skarze,
Gdy co rozumiem.
Sieniawski. Wiem... wiem, hospodarze,
Boć wojewoda wszystko wiedziéć musi,
Więc wiem o waszych zabiegach na Rusi.
Lecz wam oznajmiam, by to miéć na względzie,
Iż z téj imprezy nic a nic nie będzie.
Bogdan, Mikołaj, Regina. A to dlaczego?
Sieniawski. Bo rzecz zakończona,
Kdyż wkrótce zjedzie poselstwo Iwona,
By hołd królowi złożyć, jak należy.
Bogdan. Co? hołd Iwona? I król mu uwierzy?
Toć przywłaszczyciel... szalbierz... jego celem
Oszukać jeno...
Sieniawski. Kto przywłaszczycielem,
Kto prawym panem u was, kto tu zgadnie?
Bogdan. A jednak czyliż odgadnąć nie snadnie?
Mojemu ojcu przed latami wielu
Nie mówił rodzic wasz: przywłaszczycielu,
Lecz sam mu berło książęce dał w dłonie.
Sieniawski. Możnaby wiele prawić o koronie,
O którą u nas Mars często pochodnię
Zażegał. Powiem jeno, gdyby zgodnie
Nasz król i sułtan mnie ją oddawali,
Jeszczeby na mych postanowień szali

Przeważył stokroć mierny stan szlachcica.
Mikołaj, Regina. Dlaczego, panie?
Sieniawski. Azaż tajemnica,
Jak dla Wołocha lekką dobra wiara,
Jak nie o szczęście ojczyzny się stara,
Lecz o to, aby sprzedać jak najdrożéj
Chociażby ojca swego? Z kary bożéj
Pohaniec od nich wżdy łup dobry złowi.
Wszak on Wołoszę sprzedał Iwonowi.
Bogdan. Ha, mniejsza o to... Czy tam Iwon knowa
Jakową zdradę, tém się moja głowa
Nie będzie teraz wcale kłopotała.
Ten hołd królowi dla mnie též rzecz mała.
Ja swoich najdę, którzy pójdą ze mną,
Bo przecież rzeczą nie jest to tajemną,
Iż mam tu swoich.
Sieniawski. Boże miłosierny,
Azaliż nadszedł taki czas niezmiernéj
W ojczyźnie naszéj szczęśliwości, żeby
Przelewać polską krew gdzieś bez potrzeby?
Azaliż jest jéj nazbyt? A co będzie,
Gdy wici wezwą nas; kto na koń siędzie,
Jeżeli w polach wołoskich pokotem
Koronne syny legną za obrotem
Nie swojéj sprawy? Azaliż Tatary,
Narzędziem ciągłém będąc Niebios kary,
Nie najeżdżają naszéj biednéj ziemi?
Więc nie pozwolim, abyście, płonnemi
Zamysły łudząc lud niedoświadczony,
Ogałacali nas z własnéj obrony.
Bogdan. Przez Boga, wszyscy już mię opuszczają!
Sieniawski. Gdy chcesz, najmitów werbuj między zgrają,
Co się bezładnie gdzieś po stepach włóczy.
Bogdan. Ach, doświadczenie jakżeż gorzko uczy!
Co pierwsza chwila nie da ci szczęśliwa,
Już potém całkiem wniwecz się rozpływa.
Mikołaj. Nie, nie poddawaj się, panie, rozpaczy.
Bogdan. Daremnie walczyć z losem, gdy inaczéj
Postanowiono tam gdzieś po za światem.
Ach, niech się dzieje, jak chce los... A zatém

Niech Iwon państwem włada bez przeszkody;
Mnie miléj będzie używać swobody
W ojczyźnie waszéj, w téj ziemi wolności.
Wszak dość bogaty jestem, żeby włości
Obszerne kupić sobie gdzie na Rusi.
O droga, bądź spokojna, mnie nie kusi
Czczy blask korony i berło zwodnicze,
Mnie stokroć milsze szczęście i słodycze
Żywota w ciszy przy téj, któréj serce
Nad skarby cenię... Więc ślubne kobierce
Rozścielmy tutaj.

Mikołaj. Jeno pomyśl, panie,
Z umową naszą co się wtedy stanie?

Bogdan. Z umową co się stanie? Cóż u czarta?
Azaliż ona zapisana karta
Jest cyrografem, stawionym na duszę,
Iż co do joty wszystko spełnić muszę?

Mikołaj. Jak wasza wola... U nas inna wiara.
Kto się zapisał na co, ten się stara
Wszyściutko spełnić... wszystko... co do joty.

Bogdan. Więc mię usidlić chcecie w mocne sploty,
Jak pająk muchę?

Mikołaj. Któż tu myśli o tém?
Lecz jeśli sprawy pójdą tym obrotem,
O którym prawisz, panie miłościwy,
Azaliż wtedy jeszcze będą dziwy,
Że pakt nasz cały wniwecz się obróci?

Bogdan. Czyż wy jesteście ze wstydu wyzuci?

Regina. Azaliż to się stanie naszą winą?

Bogdan. Szalbierstwem, fałszem, kłamstwem ludzie giną,
A prawda zbawia! Precz obłudne słowa!
Jadwigi rękę czyś mi dać gotowa?
Mów, mów otwarcie... nie zachodź zdaleka.

Regina. Gdy Wasza Miłość tronu się wyrzeka,
To zrzec się musi i Jadwigi ręki.

Bogdan. Już odsłonięte wszystko, Niebu dzięki!
Więc to był handel jeno?... Oczywiście...
Tę cudną dziewę wy mnie sprzedaliście
I za nią tron ów w Jassach był zapłatą!
A ty, Jadwigo, nic nie rzekniesz na to?

Jadwiga. Co mam rzec, panie?

Bogdan. Mów, bo twe milczenie
Byłoby dla mnie jako objawienie
Okropnéj prawdy, w którą... nie uwierzę.

Jadwiga. I cóż mam mówić?

Bogdan. Wszystko, byle szczerze.

Jadwiga. Więc żądasz, by ci odkryły me słowa
Tę tajemnicę, którą pierś ma chowa.
Azaliś pytał ty mnie onéj chwili,
Gdy mnie przed laty z tobą zaręczyli?
Pamiętasz?... Drżałam blada jako chusta.
Niech ci odpowiedź dadzą one usta,
Co w onym czasie za mnie ci mówiły.

Bogdan. Azaliż dobrze słyszę?... Brak mi siły
Rozbierać ciemną twoich słów zagadkę.

Jadwiga. Tu widzisz, panie, stryja... moją matkę.
Naonczas jeno słuchałeś, co oni
Mówili... i dziś słuchaj...

Bogdan. W jakiéjż toni
Zagrzązłem!.. Cóż więc?

Mikołaj. Wszak mówimy jasno.

Sieniawski. Jesteście jako ten, co mu zatrzasną
Drzwi przed obliczem...

Bogdan. Co? Drzwi przed obliczem!
Czémż jestem dla nich?

Sieniawski. Czém? W téj chwili... niczém.
No, gościem... U nas gość w takowéj chwili
Rozumié wszystko... wcale się nie myli
I jeśli konia uwiązał u płota,
To go odwiąże wnet, boć wielka cnota
Wyjeżdżać w porę...

Bogdan. I ja wnet wyjadę...
Boć trudno znosić obłudę i zdradę.

Regina. Nie naszać to jest...

Mikołaj. Losy was zdradziły.

Bogdan. Ja żyję jeszcze... jeszcze się z zawiłéj
Wyplączę matni... i indziéj są ludzie,
I jeszcze kiedyś po wojennym trudzie
Mojego ojca berło znów posiędę,

Atoli więcéj kołatać nie będę
Do waszéj bramy...
Regina. Byłaby to praca
Daremna... kto tak wyjeżdża, nie wraca,
A choćby wrócił, bram mu nie otworzę.

Bogdan (do Jadwigi). Ty, cudna panno, zamknij się w klasztorze,
Bo zyszczesz karę, którą znoszą hardzi...
Ja tobą gardzę dziś... i każdy wzgardzi.

Mikołaj, Regina. Co mówisz, panie?

Bogdan. Bo któż w dziewosłęby
Swych swatów przyśle po tém?

Sieniawski. Darmoś zęby
Wyszczerzył niby wilk, gdy mu odbiorą
Z paszczęki zdobycz. Idzieć to nie sporo!
Lecz, hospodarze, pomnij dobrze o tém,
Że u nas dziewy to nie wasz pod płotem
Rzucony owoc niegodnéj rozpusty.
A skąd wam przyszło hańbić swemi usty
Dziewicę w zacnym domu urodzoną?
Królewską gdyby miała zostać żoną,
Cesarską nawet, mogę to rzec śmiele,
Jeszczeby dla niéj nie było za wiele
Zaszczytu...

Bogdan. Jednak skoro świat się dowie...

Sieniawski. Że panna wolną... ze wszech stron panowie
Przybywać będą... jutro już... Azali
Wam nie wiadomo, jako się zjeżdżali,
Nim tych zaręczyn pieczęć nie zamknęła
Wrót przed wszystkimi? Nie, nie, tego dzieła
Owocem nie jest dla niéj potępienie!
Ujrzycie, w jakiéj u świata jest cenie
Tak zacna dziewa... Gdy wyroki boże
Rozrządzą... jutro już... kto wié... dziś może
Zalotnik przyjdzie prosić o jéj rękę.

Jadwiga (do siebie). O Boże wielki, ukróć moją mękę.

Bogdan. Co? jeszcze dzisiaj?

Sieniawski. Nie szydźcie... dziś jeszcze,
Boć wam i wszystkim wobec tu obwieszczę
To, że Sieniawski, dziedzic wielkiéj chwały,
Wielkiego mienia, swój dostatek cały
Wraz z ręką u stóp téj dziewicy składa.

Mikołaj, Regina. Co mówisz, panie?

Bogdan. Wszak jasno powiada
Pan wojewoda... trochę niespodzianie...
Och, oni będą radzi téj zamianie.

Sieniawski. Tak, słusznie... słusznie... będzieć to zamiana.
Sieniawskich imię zna ród Lepuszana,
Nie tajnoć światu, że ich to prawica
Przed laty wielu waszego rodzica
Na tron wywiodła... Gdzie Sieniawscy byli,
Tam karki gięły się... lecz ani chwili
Przed nikim oni nie zgięli kolana.
Idź, idź w pokoju, synu Lepuszana.
Gdy cię opuścił Bóg, idź swoją drogą.
Bo po co ciągnąć dziewę tę niebogą
Aż w przepaść, co się u twych stóp otwiera?

Bogdan. Tak radzisz, panie?

Mikołaj. Rada dobra, szczera.

Regina. I nasza takaż!

Bogdan. Więc igraszką było
To wszystko, co się w domu tym pełniło!
I ja, com niósł im nawet blask korony,
Odchodzę smutny, potępion, wzgardzony.
Lecz otrząsając z szaty proch, straszliwe
Przekleństwo strząsam na was... Niech wam mściwe
Potęgi wszelkie zamysły pomącą.
Niech wszystko, czego pragniecie gorąco,
W nieszczęście, w klęskę waszą się obraca...
Niech...

Sieniawski. Przestań, panie! To bezbożna praca
Niebiosa kusić, co już swój wydały
Niezmienny wyrok... Idź, nie szukaj chwały
W niegodnych przekleństw ohydnéj szkaradzie!

Bogdan. Ach, oby kiedyś i wam też na zdradzie
Stanęła!

Sieniawski. Cicho! Opuść już te progi!
Niech w one mury spokój wróci błogi.

(Bogdan odchodzi drzwiami wgłębi).

Jadwiga (rzucając się w objęcia Reginy).
O matko, matko!

Regina. Bądź... bądź na to głucha.
Szalonych przekleństw Niebo nie wysłucha!

Mikołaj. Cny wojewodo!

Sieniawski. Niechaj się nie biedzi
Twój umysł, panie... Nie chcę odpowiedzi
Wprzód, nim się biedne dziecko uspokoi.
Zostawiam sprawę tę rozwadze twojéj.
Gdy w niéj dojrzeje pewny rozmysł, całą
Imprezę spełnim...

Jadwiga. Tak się stać musiało!

(Dok. nast.) *Bronisław Grabowski.*

GLADSTONE.

E se'l mondo sapesse l'cuor chégli ebbe
Assai lo loda, e piu lo loder ebbe.
Dante, Paradiso VI. 141.2.

W dniu 19 maja — w dniu Wniebowstąpienia — umarł William Ewart Gladstone, wielki mąż stanu, największy jakim poszczycić się może świat brytański w ciągu naszego stulecia, jedna z najczystszych, najwspanialszych osobistości, jakie znaleść można na kartach historyi. Przez lat sześćdziesiąt służył w zawodzie publicznym swemu narodowi i wszystkim wielkim sprawom, które zaprzątały świat cywilizowany. Jeżeli śmierć jego oddźwiękła żałobném echem w sercach wszystkich jego rodaków, to i świat postronny uczuł ją głęboko. Oddawna figura „Wielkiego Starca" stała się popularną w najoddaleńszych zakątkach. Gdy historycy przyszłych czasów poszukiwać będą działaczy, w których uosabia się najwybitniéj nastrój i geniusz naszego stulecia, trudno będzie im znaleść typ doskonalszy, niż Gladstone. Objął on je całe prawie, a wychowawszy dwa pokolenia, stał się niby instytucyą, do któréj za życia jego wiązała się legenda. Obecnie pasmo tego życia się przerwało, i łatwo zrozumieć, że ubytek tego zapaśnika, co kierował losami największego z państw i co charakterem osobistym, zarówno jak darami swego umysłu zasługiwał na cześć i wywoływał podziw, musi być odczuty jako strata dotkliwa. Pora jest przypomnieć główne momenta tego bezprzykładnego zawodu publicznego i skréślić najwy-

datniéjsze rysy jego fizyognomii, zanim rączy prąd cząsu wysunie na pierwszy plan nowych działaczy. Ale jacykolwiek oni będą, nie łatwo im przyjdzie na tak podniosłe wznieść się wyżyny i w tak posągowych zarysować się kształtach. Od postaci Gladstona bije łuna moralnego ferworu, humanitaryzmu, która nie tylko daje klucz do władzy, jaką sobie zdobył wśród swego narodu, lecz z któréj płynie wysoka nauka dla wstępujących do czynnego życia pokoleń.

William Ewart Gladstone urodził się w Liverpool'u 29 grudnia 1809 r. Zauważono, że w tym samym roku przyszli na świat Alfred Tennyson, najpiérwszy z poetów, i Karol Darwin, najpiérwszy z uczonych angielskich naszego stulecia. Wrzała wtedy wojna hiszpańska, król Jerzy III zasiadał na tronie, a jego rządy, zarówno jak Jerzego IV, Wilhelma IV i Wiktoryi, snuły się za jego życia, którego główna waga przypada jednak całkowicie na to ostatnie panowanie.

Rodzina Gladstonów, która w dawniéjszych wiekach pisała się Gladstane, jest czysto szkocką, i wiele rysów charakteru narodowego Szkotów było widocznych u wielkiego męża stanu, który sam wielkie znaczenie do tego pochodzenia przywiązywał. Ród Gladstonów był starożytny i wzmianki o nim znajdują się w kronikach już w XIII stuleciu. Zdaje się, że należał do zamożnych i wpływowych aż do początków XVIII stulecia. Podupadł wtedy majątkowo, i Tomasz Gladstone, dziadek Williama, przeniósł się z południowéj Szkocyi do Leith, zajmując się handlem zbożowym, a najstarszy syn Tomasza, John, jako młodzieniec przybył do Liverpoolu, który się stał gniazdem rodziny Gladstonów przed końcem zeszłego wieku.

John Gladstone, wielce zdatny i energiczny młodzieniec, wszedł tam do znacznéj firmy kupieckiéj, a wyratowawszy tę firmę od upadku przez śmiałą operacyę w Stanach Zjednoczonych, stał się jéj współwłaścicielem. Po upływie lat kilkunastu, położenie jego ustala się, wzrasta i staje się jednym z „książąt handlowych" pierwszego rynku handlowego w Anglii. Przychodzi do znacznego majątku, który, jak to było wówczas powszechném u kupieckich magnatów, polegał na własności niewolników. Chociaż nie ma najmniéjszéj poszlaki ażeby on był surowszym właścicielem niewolników od innych posiadaczy plantacyi w koloniach, bunt 1823 r. w Demerara wszczął się w jego dobrach, a imię Johna Gladstona znajduje się często w parlamentarnych ankietach, które poprzedziły zniesienie niewolnictwa. Gdy do skupu przyszło, otrzymał za swoich niewolników pokaźną sumę 75 tys. f. szt. Szczegół ten jest ciekawy, wykazując w jakiéj sferze młody William wychowywał się i wzrastał. Ojciec jego był nie tylko w dziedzinie ekonomicznéj gorącym zwolennikiem przywilejów, ale i w politycznéj należał do gorli-

wych torysów. Jako jeden z przywódzców téj partyi, zaprosił był Canninga, aby został reprezentantem Liverpoolu w parlamencie. Dom jego na Rodney Street stał się wtedy ogniskiem agitacyi wyborczéj i z balkonu jego tryumfujący Canning przemawiał wraz z Johnem Gladstonem do wyborców. Przyjaźń, jaką zawiązał z wielkim ministrem, ujawniła się w mianowaniu go baronetem.

Sir John Gladstone, który miał, jak to jest zwyczajem bogaczy angielskich, dom podmiejski, ożenił się był z Anną Robertson, należącą do znakomitéj rodziny szkockiéj, skoligaconéj z królewskim domem Stuartów. Była to kobieta piękna, okazała i wielkiéj dystynkcyi towarzyskiéj, która obdarzyła swego małżonka sześciorgiem dzieci, ale nie zdaje się, aby jéj wpływ umysłowy oddziałał był na dziatwę. W podmiejskim domu *sir* Johna w Seaforth i jego parku wychowywała się ona wygodnie, dostatnio. Cały tryb życia, całe otoczenie, świat, który tam uczęszczał, nosiły cechę wyborową, arystokratyczną, nacechowaną politycznym i religijnym konserwatyzmem, i łatwo zrozumiéć, że takie, a nie inne zasady wynieśli z domowego ogniska synowie. Najstarszy syn, *sir* Tomasz Gladstone, pozostał aż do saméj śmierci zażartym torysem; nie odznaczał się atoli wyjątkowemi zdolnościami; młodszy, Robertson, posiadał je wprawdzie w wysokim stopniu, ale nie zajął w społeczeństwie żadnego wyższego stanowiska, które za to w tak potężnych rozmiarach dostało się w udziale trzeciemu, Williamowi. Ojciec, którego rodzicielska powaga panowała nad całym domem wszechwładnie, zabawiał się z synami w dyalektyczne rozprawy. Każda, najdrobniejsza sprawa stawała się przedmiotem dyskusyi przedłużonych, argumentacyi i nie tylko logika rozumowań, ale i dar wymowy kształciły się u nich z dzieciństwa.

Mając lat jedenaście, wszedł William do szkoły w Eton, gdzie go już dwaj starsi bracia poprzedzili. Nie potrzeba podnosić wysokiego znaczenia i wpływu, jaki życie szkolne wywiera na młodzież angielską i jak się tam charakter jéj wyrabia, a reputacya rozpoczyna. Stąd wynoszą się związki koleżeńskie, które na dalszy bieg życia oddziaływają, a przywiązanie do szkoły trwa u uczniów do grobowéj deski. „*Floreat Etona!*” nigdy nie zostawiało Gladstona obojętnym. Najbliższymi jego przyjaciółmi w ciągu pięcioletniego pobytu w Eton byli Fryderyk Tennyson, brat poety i sam poeta, Arthur Hallam, unieśmiertelniony w *In Memoriam*, Kinglake, późniejszy historyk wojny krymskiéj, James Bruce, lepiéj znany jako lord Elgin, Karol Canning, wice-król Indyi, i wielu innych. Nie odznaczał się on żadnemi wyjątkowemi talentami w szkole, ale był uczniem pracowitym, pilnym, biegłym w językach klasycznych. Z pomiędzy różnych gałęzi sportu, uprawianych namiętnie

przez młódź szkolną, szczególniéj lubował się w wodnym, i łódź jego, mknąca po rozkosznéj dolinie Tamizy, musiała być świadkiem niejednego wybuchu entuzyazmu młodzieńczego. Jest tysiące anegdot o wpływie, jaki wywierał na kolegów, i o powadze, jaką sobie wyrobił, stawając w obronie słabszych, sprzeciwiając się dręczeniu zwierząt, etc. Istnieje pomiędzy uczniami szkół publicznych stowarzyszenie, ukształtowane na wzór parlamentu, gdzie się odbywają rozprawy publiczne. Wyrobił on tam sobie wcześnie reputacyę mówcy, a słynną była w szkole mowa, jaką wypowiedział o wpływie oświaty na lud. Gdy weźmiemy na uwagę, że wygłosił on takie opinie w 1823 r., kiedy były one jeszcze nowością, potępianą przedewszystkiem w kołach, do których on przez urodzenie i wychowanie należał, to można było zawczasu przeczuć, że nie będzie łatwém nagiąć jego umysł pod jarzmo stronnicze. Był także redaktorem i głównym współpracownikiem miesięcznika, wydawanego przez uczniów, i tam mieszczą się pierwsze próby jego pióra, w których jeżeli nas zadziwia wczesna dojrzałość myśli, to śmieszy pompatyczność i emfaza formy.

W 1827 r. opuszcza Eton, a w następnym wstępuje na uniwersytet w Oxfordzie, do kollegium Christ Church. To, co powiedzianém było wyżéj o wpływie szkoły na kształcącą się w niéj dziatwę, ma daleko wyższe zastosowanie w życiu uniwersyteckiém. Każda z dwóch *alma mater* angielskich wyciska niezgładzone piętno na umyśle swych alumnów. Gladstone urobiony został przez Oxford. Do ostatnich dni życia całém sercem przylgnął do téj instytucyi i kochał fanatycznie nieledwie każdą cegłę jéj hall i kollegiów. Wybrany przez uniwersytet swój następnie, jako poseł do parlamentu, uważał to za najwyższy zaszczyt, jaki go mógł spotkać; boleśnie cierpiał, gdy ten węzeł przecięty został, a gdy na śmiertelném łożu otrzymał adres pożegnalny od ciała uniwersyteckiego, drętwiejącą już ręką wyraził swą wdzięczność i niezwykłe wzruszenie, co nim wtedy owładło. Był on przedstawicielem w całém tego słowa znaczeniu doktryn, które przemagały w pierwszéj ćwierci naszego stulecia w Oxfordzie i które poniekąd przemagają tam podziśdzień. Padły one na grunt jakby umyślnie dla nich przygotowany. O tendencyach zachowawczych i wysoce religijnych, spotęgował je jeszcze w tém środowisku. Traktaryanizm i puseizm, cały potężny ten ruch religijny, który w kilkanaście lat późniéj miał się tam zrodzić i pchnąć Newmana do katolicyzmu, nie był się jeszcze wówczas rozpoczął, a ernestianizm, t. j. zwierzchnictwo państwa nad kościołem, był mu zawsze wstrętnym. Chciał on ich związku, jako dwóch potęg równoważnych. Przywiązany był gorliwie, fanatycznie nieledwie do kościoła anglikańskiego i wiarę, dziecięcą, naiwną wiarę tę zachował

aż do ostatka. Podstawą jego wiary było Pismo Ś-te i tradycyonalna historya kościoła. Pragnął zjednoczenia wszystkich wyznań, ale ponieważ pragnął go w imieniu anglikanizmu, nie było podobieństwa, ażeby się jego marzenie urzeczywistniło. Nie potrzeba zapewne przypominać jego stanowiska wojowniczego względem katolicyzmu, o czém kilka jego broszur wymownie świadczyło. Wobec tego, podejrzenie, że był jezuitą i ukrytym agentem Rzymu, wydaje się dziwactwem, zasługującém chyba na wzgardę, a przecież, gdy wyemancypował kościół katolicki w Irlandyi, zmuszony był publicznie zaprzeczać takim baśniom. Trudno było zrozumieć tym i owym, że przy tym ogniu, którym płonął ku swojéj organizacyi kościelnéj, mogło się znaleść u niego miejsce dla szerokiéj tolerancyi. A była ona właśnie u niego wynikiem głębokiéj religijności. Przedewszystkiém szło mu o wiarę, o pozytywną wiarę w naukę kościoła. Nie zaspokajał go mglisty teizm, agnostycyzm zaś równał się w jego przekonaniu ateizmowi. Obstawać przy dogmatach, przyczyniać się do krzepienia zasad religijnych uważał za pierwszy obowiązek, i wobec niego różnice drugorzędne wyznań schodziły na plan dalszy.

W Oxfordzie wszyscy jego towarzysze świadczyli o jego religijnym duchu, o jego nabożności. Kwestye teologiczne nabrały wtedy dla niego nie tylko wagi, ale i ponęty. Rzucił się do ich studyowania z zapałem, który, jak wiadomo, nie ostygł nigdy i zrobił z niego istotną powagę teologiczną. Żartobliwie mówiono o nim, że był anglikańskim papieżem, i nieraz spotkałem się ze zdaniem pastorów, którzy twierdzili, że się rozminął z prawdziwém powołaniem, że nie pierwszym ministrem, ale arcybiskupem Canterbury być był powinien. Atmosfera duchowa Oxfordu rozwinęła w nim ten prąd umysłowy, nauczyła kazuistycznéj dyalektyki, subtelnéj argumentacyi i tego scholastycyzmu, z którego nigdy otrząsnąć się nie potrafił.

Te cztery lata, które spędził w Oxfordzie i gdzie najlepszymi przyjaciółmi jego byli: Manning, późniéj kardynał, Sidney Herbert, lord Sherbroke, wtedy R. Lowe, Jerzy Cornwall Lewis, przeszły młodemu Gladstonowi na wytrwałéj pracy. Nie czytał, ale pożerał książki, a to z regularnością i metodą rzadką w jego latach. Powaga jego imponowała kolegom, z którymi żył po przyjacielsku, ale do których wybryków i nadużyć się nie przyłączał: jego wstrzemięźliwość np. oddziałała na zmniejszenie pijaństwa, tak powszechnego wówczas w wyższych sferach towarzyskich. Pracował nietylko nad teologią, historyą i literaturą klasyczną, ale i nad wyższą matematyką, stosując się co do téj ostatniéj do woli ojca. A studya te były uwieńczone przy opuszczeniu uniwersytetu podwójnemi zaszczytami: „*double first*" wskazywało, że jego

alma mater uważała go za luminarza. Jego kollegium, Christ Church, z którego wyszło siedmiu prezesów gabinetu, przewidywało, że nie było dostojeństwa, do którego by się nie mógł wznieść. Koledzy ochotnie oddawali mu hołd. W stowarzyszeniu akademików, noszącém jego imię „Weg", słynął z wymowy. Jedna z mów, jaką wypowiedział z okazyi bilu reformy 1831 r., który naturalnie potępiał z całą zapalczywością czystéj krwi torysa, wpłynęła na dalszy przebieg jego zawodu. Jeden z kolegów młody lord Lincolne, syn księcia Newcastle, z takim zapałem opisał ojcu swemu piorunującą mowę Gladstona, że ten magnat postanowił ofiarować mu jeden ze swych okręgów wyborczych, (gdzie wiernopoddani wyborcy głosowali ślepo za jego rozkazem), jako pierwszy stopień do parlamentu.

Gdy Gladstone opuszcza Oxford, nie wiedząc sam czy uda mu się, idąc za osobistym nastrojem, wejść w szeregi duchowieństwa anglikańskiego, czy téż obrać inny zawód stosownie do woli ojca, stan jego umysłu nie zapowiadał bynajmniéj przyszłego reformatora. W kwestyach politycznych był zachowawcą, potępiającym demokratyczne tendencye bilu reformy, uważającym niewolnictwo za uprawnione, a w kwestyach kościelnych był wyznawcą doktryny, że kościół jest boską, a państwo ludzką instytucyą, co wzajemny ich stosunek zakreślało z góry. Nie miał najmniejszego wyobrażenia o istotnych warunkach życia, a spoglądał na nie przez okulary uniwersyteckich Don'ów. Jeżeli zaklinając się *in verba magistri* nabrał przeświadczenia o potrzebie władzy, o użyteczności hierarchii, o przywilejach do niéj przywiązanych, o zwierzchnictwie prawa i świętości konstytucyi angielskiéj, to z drugiéj strony, jak sam późniéj przyznał otwarcie, nie podejrzéwał nawet znaczenia innego czynnika społecznego — swobody indywidualnéj. Trzeba ówczesny nastrój umysłowy Gladstona zachować w pamięci, aby zdać sobie sprawę z powolnéj i stopniowéj ewolucyi, jaką odbył; azaliż mogła ona być szybszą, gdy z tak odległéj musiał rozpocząć ją mety?

Wybrany w Newark pod egidą księcia Newcastle. wchodzi do izby gmin w 1833 r. Był on wtedy 22-ch letnim młodzieńcem, pięknym, smukłym, o twarzy bladéj, rysach jakby w kamei wyciętych, gęstych kędziorach ciemnego włosa i oczach, z których sypały się iskry, oczach, nad których wyrazistością zdumiewały się jedne po drugich pokolenia. Poprzedzony reputacyą uniwersytecką, wszedł on do parlamentu, który właśnie co przebył kryzys wielkiego bilu reformy, jako nadzieja, jako filar toryzmu. Pierwszym ministrem był wtedy hrabia Grey, który wraz z lordem Johnem Russsel byli ojcami téj wielkiéj zmiany w publicznym organizmie kraju. Górującemi parlamentarnemi

figurami byli wtedy książę Wellington, lord Brougham, wielki prawnik i popularny adwokat, *sir* Robert Peel, i Daniel O'Connel. Dość jest wymienić tych zapaśników zamkniętéj już historycznéj epoki, staczających bitwy za rozwiązane już oddawna zagadnienia, ażeby zmierzyć całą przestrzeń, jaką w ciągu swego parlamentarnego zawodu przebył ów Gladstone, którego przed paru laty widzieliśmy wiodącym kampanję za usamowolnienie Irlandyi.

Dziewiczą mową jego, wygłoszoną po kilkumiesięczném milczącém studyowaniu i rozpraw i mówców, nie wywarł on wcale piorunującego wrażenia. Ponieważ z okazyi buntów niewolników w koloniach ministrowie proponowali natychmiastowe zniesienie niewolnictwa i wymieniali *sir* Johna Gladstone, jako jednego z właścicieli „czarnéj zwierzyny", stanął on nie w obronie ojca, ale w obronie istniejącéj organizacyi, którą stopniowo zmieniać radził, nie naruszając prawa własności. Disraeli sądząc go z téj pierwszéj mowy, pośpieszył się zapewnić, że ten młody deputowany nie ma przed sobą najmniejszéj przyszłości. Ale najbystrzejsi znawcy gruntu politycznego widocznie innego byli zdania, skoro w 1834 r. po zwaleniu ministeryum whigów *sir* Robert Peel, obejmując władzę, robi z tego 25-o letniego młodzieńca naprzód podsekretarza stanu skarbu (*Junior Lord of the Treasury*), a w następnym roku awansuje go na podsekretarza stanu kolonii. Wiadomo, jak upajającemi są te pierwsze uśmiechy publicznego zawodu, te pierwsze przebłyski uśmiechu fortuny. Niema najmniejszych wskazówek, ażeby go oślepiły, a natomiast są dowody, z jaką energią rzucił się do studyowania spraw publicznych, będąc u źródła informacyi. Nie musiał też żałować, że władza jego była krótkotrwałą i że gabinet sir Roberta Peel'a ustąpił miejsca liberalnemu.

Epoka, która się otwiera wtedy, zaznaczona śmiercią króla Wilhelma IV i wstąpieniem na tron w 1837 r. królowéj Wiktoryi z ministeryum lorda Melbourne, a trwa aż do 1841, kiedy znowu wraz z *sir* Robertem Peelem powraca do władzy, może być uważana za najszczęśliwszy peryod jego osobistego życia. Żyje jako bogaty, niezależny młodzieniec w wykwintném kawalerskiém Albany, uczęszcza do salonów, ma powodzenie towarzyskie, śpiewa dźwięcznym głosem tenorowym, miesza się w koła literackie, szczególniéj przez Tennysonów i Moukton Milnes'a, późniejszego lorda Haughton, ale nie daje się pochłonąć światowym rozrywkom. Nie zaniedbuje studyów nad swymi ukochanymi poetami: Homerem, Dantem i Shakespeare'm, a jednocześnie wertuje 22 tomy *in 4-o* Św. Augustyna! Wtedy także kosztuje słodkich owoców rozgłosu autorskiego. Jego dzieło *The state in its relations to Church* okazało w nim poważnego myśliciela. Była już wyżéj mowa

o jego ferworze religijnym. Książka ta dawała mu sposobność do sformułowania swych zapatrywań. Wychodząc z zasady, że państwo, jako żyjący organizm, posiada sumienie, i że sumienie ma, jako swój organ, kościół, dochodził do logicznego wniosku, że kościół państwowy przeznaczony jest do przewodniczenia losom społeczeństwa angielskiego. Łatwo sobie wyobrazić, jaki poklask ta teza znalazła w kościelnym, uniwersyteckim i całym zachowawczym świecie. W obozie liberalnym napotkała natomiast surową krytykę, a w pierwszym rzędzie jéj przeciwników stanął Macaulay.

Zimę 1838 r. spędził Gladstone w Rzymie i w salonach tamtejszéj kolonii angielskiéj poznał się z owdowiałą lady Glynn, która tam bawiła z dwoma pięknemi córkami. Miłość doprowadziła do małżeństwa z jedną z panien. Ślub Gladstona odbył się w zamku Hawarden, rezydencyi lady Glynn, z jéj córką Katarzyną w dniu 25 lipca 1839 r., a tegoż dnia młodsza jéj siostra poślubiła lorda Lyttletona. Gdy niebawem potém *sir* Stefan Glynn umiera bezdzietnie, pani Gladstone staje się po bracie dziedziczką zamku Hawarden. Tam wytwarza się to idealne ognisko domowe, ten „*home*", którego urok przyłożył się wielce do opromienienia nazwiska Gladstona blaskiem nieposzlakowanego życia rodzinnego, do którego Anglicy słusznie tak przeważne przywiązują znaczenie: nie pojmują ażeby przewodnicy narodu nie byli jednocześnie nieposzlakowanymi, wzorowymi ludźmi w rodzinném kole i życiu prywatném. Obyczajami stoją społeczeństwa więcéj, aniżeli prawem. Pod tym względem nie było na domowości Gladstonów najmniejszéj skazy, najmniejszego cienia. Młoda i piękna żona pojęła odrazu swą rolę nieodstępnéj towarzyszki i anioła stróża. Poświęcenie jéj dla męża objawiało się nie tylko troską nieustanną o jego zdrowie i wygody, ale i wzięciem na swe barki wszystkich ciężarów i zachodów, jakie posiadanie znacznego majątku wiedzie za sobą, ażeby on mógł cały swój czas i całą swą działalność poświęcić wyższym, szerokiego zakresu interesom. Pani Gladstone stanęła na téj saméj linii, co lady Beaconsfield, lady Palmerston i lady Salisbury, a przewyższyła je tylko długotrwałością tego niczém nie zamąconego pożycia domowego. Gdy obchodzili swe złote wesele i w wielu innych okolicznościach, wielki mąż stanu oddawał publicznie hołd swéj małżonce, bez któréj współdziałania życie jego nie byłoby mogło tak jasną przewinąć się smugą.

Nowy, ale jeszcze nie stanowczy, a tylko przygotowawczy, albo lepiéj powiedzieć, pośredni peryod jego zawodu politycznego rozpoczyna się w 1841 r., gdy *sir* Robert Peel powraca do władzy. W gabinecie jego zostaje dyrektorem mennicy i wiceprezesem ministeryum handlu

oraz członkiem rady stanu. Daje mu to sposobność pod przewodnictwem takiego mistrza, jakim był Robert Peel, zgłębić i przyswoić sobie naturę i warunki kwestyi ekonomicznych i finansowych, z jakim skutkiem, wiadomo. Ale nie trzeba było czekać 1853 r., kiedy jako kanclerz skarbu przedłożył był izbie ów preliminarz skarbowy, który stał się historyczną datą, bo zaraz w następnym 1842 r. powstały kwestye ekonomiczne pierwszéj wagi. *Sir* Robert Peel zniżył wtedy skalę ceł zbożowych, która miała niezadługo doprowadzić do całkowitego ich zniesienia i do przyjęcia zasad wolnego handlu. Liga wolnohandlowa z Cobdenem i Brightem na czele agitowała wówczas w łonie narodu, i Robert Peel wraz z Gladstonem, który otrzymał tekę ministra handlu, zmuszeni byli iść krok w krok za tą agitacyą i z wyżyn teoryi schodzić nieustannie do drobnych faktów, do cyfr i rachunków. Trudno było o lepszą szkołę i o lepszą gimnastykę umysłową, jak ta, przez którą wówczas przeszedł. Nawrócony całkowicie do doktryn wolnohandlowych, nie dzieli jednak Gladstone wraz z Peelem zaszczytu wprowadzenia w czyn téj wielkiéj reformy, gdyż okręg wyborczy Newark, gdzie protekcyjne tendencye przemagały i gdzie książę Newcastle dyktował wybór, odmówił wybrania go do parlamentu. W roku następnym 1847 uniwersytet Oxfordzki, którego członek był umarł, naprawia błąd Newarku i wybiera swego słynnego już wychowańca na deputowanego. Jeszcze Canning powiedział, że nie było większego zaszczytu publicznego, jak być reprezentantem Oxfordu, a Gladstone przyznawał, że go pożądał namiętnie. W pamiętnéj polemice wyborczéj, która jego zwycięstwo poprzedziła, Gladstone nietylko w dziedzinie ekonomicznéj oświadcza się za postępowemi, liberalnemi reformami, ale w sferze religijnéj przyznaje się, iż zmienił zapatrywanie swe dawniejsze, że już nie domaga się wyłącznych przywilejów anglikańskiego kościoła, ale że uznaje za słuszne domaganie się swobód przez katolików i przez dysydentów. Jest już wtedy wielka różnica pomiędzy stanowiskiem, które zajmował uprzednio pomiędzy zatwardziałymi torysami, a tém, które obecnie zbliżało go coraz bardziéj do whigów. Przełomowy moment miał jednak nastąpić znacznie późniéj, dopiéro w 1868 r., ale rozumie się, iż charakteryzując tę epokę swego życia, powiedział, iż sympatye ciągnęły go do zachowawczego, ale opinie do postępowego obozu. Widzimy go po powrocie do parlamentu niezależnym, wymierzającym swe ciosy na prawo i lewo, ale uczuł się istotnie wyswobodzonym z więzów, co go z torysami łączyły, po śmierci *sir* Roberta Peela, w 1850 r. Ten mistrz, którego czcić nie przestawał, ten wzór, który sobie postawił, przez swe zniknięcie dał mu swobodę pokierowania swéj łodzi swoim zapatrywaniom gwoli. Jeżeli pozycya, jaką wów-

czas Disraeli zaczął zajmować w generalnym sztabie zachowawców, oddalała go od nich i od tego polityka, którego stać się miał wielkim antagonistą, to nie mniéj energiczną jest jego opozycya przeciw Palmerstonowi, wodzącemu rej wpośród liberałów. Pamiętna walka, jaką stoczył z tym ostatnim z okazyi niezapomnianego epizodu Don Pacifico, rzuca jaskrawe światło na zasadnicze punkty jego etyki politycznéj. Palmerston, ten typ dzisiejszego *jingo*, co uprzedził o wiele istnienie jego jako kierownika polityki brytańskiéj, rzucając na szalę dyskusyi swoje efektowne „*Civis romanus sum*", twierdził, że wolno Anglikom kierować się swym własnym interesem, drwić sobie z moralności i narzucać słabym mocarstwom swą wolę; Gladstone przeciwnie postawił za zasadę, że słabe państwo, jak tutaj Grecya, nie powinno być gwałcone, ażeby się stać podścieliskiem wielkości Anglii, i że nie interes, ale sprawiedliwość, ale słuszność, ale prawo powinny kierować jéj polityką zagraniczną. Taki optymistyczny idealizm zwyciężony być może w zapasach parlamentarnych i być stłumiony przez koterye, ale z góry i natychmiastowo stawia tego, co się pod jego sztandar zapisuje, na podniosłéj wyżynie i pasuje go na rycerza światła i swobody.

Nie trzeba było długo czekać na inne objawy jego humanitarnego nastroju ducha. Spędzając zimę 1850/1 roku w Neapolu dla zdrowia jednego ze swych dzieci, stwierdza osobiście prześladowania, tyranię, despotyczny ucisk, pod którym jęczało wówczas królestwo Obojga Sycylii, i pod wpływem oburzenia wysyła do lorda Aberdeen'a trzy listy publiczne, w których piętnuje system rządowy króla Ferdynanda, jako haniebne barbarzyństwo. Niby iskra elektryczna przebiegła cały świat cywilizowany na ten ponury obraz i nietylko Anglia, ale i wszystkie liberalne żywioły Europy zsolidaryzowały się z tą drżącą oburzeniem protestacyą Gladstona. Jeżeli walka o wyswobodzenie Włoch z pod obcego jarzma i ich zjednoczenie znalazła w następnych latach cały świat po swéj stronie, to nie można wątpić, iż on był protagonistą tego ruchu, że on zatrąbił pobudkę, co tak szerokiém miała rozebrzmiéć echem.

Koniec 1852 r. wprowadza go na nową, szerszą widownię. Ministeryum lorda Derby, w którém Disraeli był kanclerzem skarbu, przedłożyło preliminarz skarbowy, który jego autor wyłuszczył w cynicznéj, urągliwéj mowie, trwającéj kilka godzin. Zaledwie Disraeli usiadł, podniósł się Gladstone i w zaimprowizowanéj, zdumiewającéj siłą argumentacyi, monumentalnéj mowie obalił jednym zamachem całą kunsztowną budowę budżetu i zmusił ministeryum do natychmiastowéj dymisyi. Tak się rozpoczął ów wieloletni pojedynek historyczny pomię-

dzy Disraelim a Gladstonem, pojedynek co się zakończył dopiero śmiercią pierwszego. Istotnie dramatyczny interes wiąże się do tych zapasów, i nigdy imaginacya pisarza nie zdołałaby stworzyć charakterów i postaci o jaskrawszych przeciwieństwach.

Disraeli, żyd portugalski, który z giętkością swéj rasie właściwą umiał być stosownie do okoliczności pokornym albo aroganckim, nie miał żadnych stałych zasad, był sceptykiem, cynikiem i jak powiedziano sprawiedliwie, nie wierzył ani w izraelskiego Jehowę, ani w chrześciańskiego Boga, nie wierzył także w dyabła. Romansopisarz o bystrym darze obserwacyjnym, odznaczał się przedewszystkiém bujną wyobraźnią oryentalną. Obecnie bezstronna historya wypowiedziała o nim ostateczny wyrok, umieszczając go w szeregu genialnych awanturników. Ambitny, widząc że w liberalnym obozie niema dla niego przyszłości, rzucił się żarliwie do zachowawczego. Nie kosztowało go nic przekładać parlamentowi bile radykalne, byle przez to utrzymać się u władzy: *le pavillon couvrait la marchandise.* Jak akrobata z kulami, tak on igrał z kwestyami, o których nie miał wyobrażenia wczoraj, ale które umiał sobie przyswoić dzisiaj. Pochlebiało jego miłości własnéj, że on, przybłęda, niedawno pomiatany, idzie ręka w rękę z najdumniejszą arystokracyą historyczną, że jest ich przywódcą, a tworząc cesarstwo indyjskie, rozbudzając w masach krańcowe tendencye *jingoizmu*, położył istotnie swe własne piętno na dalszym rozwoju świata brytańskiego. Chociaż błędy, jakie popełnił w polityce zagranicznéj, są ogromne, przedewszystkiém ciężyć będą na jego pamięci dlatego, że popełnił je ze świadomością, dla pozyskania sobie faworów tronu, arystokracyi i koteryi wpływowych.

Wiele z tych rysów, tu w jedną całość zebranych, ujawniło się dopiéro w późniejszych latach jego zawodu, ale bystry umysł Gladstona przeczuł je w zarodzie i łatwo zrozumiéć, jaki wstręt budził w nim ten szarlatan, pryskający w każdém słowie ironią Mefistofelesa i jego sarkazmami. On posuwał skrupulatność i sumienność aż do ostatecznych granic, miał wysoki ideał religii i moralności, który pragnął wcielić w życie. Zanim sobie wyrobił opinie, nie szczędził żadnego zachodu, pracy najzmudniejszéj, a gdy je powziął, nie wahał się ich zmienić, skoro mu udowodnioném zostało, iż się myli, że większa doza prawdy, sprawiedliwości, swobody osiąga się na innéj drodze. Obaj, jako przywódcy wielkich stronnictw, musieli naginać swą politykę do zmieniających się okoliczności, ale zmiany te z innych płynęły motywów. Ażeby użyć pięknego porównania Ruskina, opinie i zasady nie mogą się zmieniać, jak chmury przelotne na nieboskłonie, gnane prądem atmosferycznym w tę lub ową stronę, ale powinny się zmieniać jak drzewo, które

z biegiem lat się rozrasta i strzela konary we wszystkich kierunkach, szczytem prąc ku niebu. Pierwsze metamorfozy—oto te koziołki, co wywracał na linie Disraeli, ufny że sobie nigdy karku nie skręci; drugie — oto te, jakie pokazuje zawód publiczny Gladstona, pnący się coraz wyżéj, ku coraz jaśniejszym ideałom, mając wyryte w duszy wysokie godło: *excelsior!*

Gdy zwalił preliminarz skarbowy Disraelego i obalił gabinet zachowawczy, zajmuje miejsce kanclerza skarbu w liberalném ministeryum lorda Aberdeen'a. Przejście z jednéj partyi do drugiéj dokonało się tak stopniowo, tak logicznie i naturalnie, było przeczuwane od tak dawna, że nie dziwiło nikogo, że nie wywołało żadnych protestacyi. Nikt nie wyrzucał Gladstonowi, iż karcąc zuchwałość Disraelego, co się ośmielał napastować finansowe zasady *sir* Roberta Peel'a, sam wziął na siebie urzeczywistnienie programatu swego mistrza. Jego pierwszy preliminarz skarbowy w 1853 r. stanowi epokę w finansach angielskich. Zamiast zamykać się w ciasnéj rutynie swych poprzedników, on odważnie podniósł podatki, przedewszystkiém podatek od dochodu, płacony przez bogaczy, a natomiast zniżył cła i opłaty od więcéj niż trzystu artykułów codziennego użytku. Dzisiaj brać w rachunek elastyczność dochodów, liczyć na ich zwiększenie przez zmniejszenie ciężarów jest pewnikiem elementarnym. Ale przenosząc się myślą o 40 lat wstecz, zrozumiéć można piorunujące wrażenie, jakie te innowacye budżetowe sprawiły. Naród odetchnął odrazu, czując ulgę niespodziewaną, i popularność ministra skarbu była zasłużona. Parlament został olśniony nietylko osnową tego preliminarza, ale sposobem w jakim go Gladstone wyłuszczał izbie. Cyfry suche, bezbarwne cyfry nabierały w jego argumentacyi indywidualności, drgały życiem, a ci dla których przedtém budżet był zamkniętą księgą sybillińską, odrazu rozeznali się w nim i mogli kroczyć po szerokich jego gościńcach. Jakim był pierwszy jego preliminarz skarbowy, takimi były wszystkie następne, i jego geniusz jako ministra skarbu nie ulegał najmniejszéj wątpliwości. Wystarczyłby on dla zabezpieczenia mu sławy, ale tak liczne są jego tytuły do niéj, iż nieledwie zapomniano o téj stronie jego działalności w ostatnich czasach. Jego następcy i jego rywale przyswoili sobie jego zasady i jego metodę, co im się chwali, ale żałować można, że nie zawsze potrafili bronić ich tak energicznie, jak on to zwykł był czynić.

Gdy po lordzie Aberdeen lord Palmerston obejmuje władzę, Gladstone pozostaje wprawdzie kanclerzem skarbu, ale można było przewidzieć, że nie pozostanie w nim chętnie. Nie to mu wyrzucać należy, że się z tego gabinetu szybko usunął, ale to raczéj, że się pozwolił doń

wciągnąć. Odpowiedzialność za przedsięwzięcie wojny krymskiéj, tego ogromnego błędu politycznego popełnionego przez Anglię, byłaby wyłącznie ciążyła na Palmerstonie.

Przez kilka lat następnych zajmuje stanowisko, jeżeli tak powiedziéć można, neutralne, nie napada na gabinet Palmerstona, ale go nie broni, utrzymuje stosunki przyjacielskie z dawniejszą grupą Peela, ale opiniami, które w sobie powolnie i stopniowo wyrabia, zostawia już pod wielu względami liberalizm doktrynerski whigów po za sobą. W tém odosobnieniu, zabierając głos tylko wyjątkowo, stanowisko swoje utwierdza i wzmacnia, i nikt w otoczeniu jego nie wątpi, iż czasy są niedalekie, gdy zostanie pierwszym ministrem i głową stronnictwa. Stojąc na przełomie pomiędzy dwoma wrogiemi obozami, był przedmiotem różnych propozycyi, a najciekawszą jest ta, do któréj przyznał się Disraeli, że go na kolanach błagał, ażeby wszedł do gabinetu zachowawczego. Przeczuł zapewne Gladstone ukryty jego zamiar ubezwładnienia raz na zawsze jedynego ze swych niebezpiecznych antagonistów i odrzucił zarówno te podszepty, jak zaproszenie swego przyjaciela, lorda Derby, aby wszedł do jego gabinetu. Przyjął jednak od niego w 1858 r. misyę udania się na wyspy Jońskie dla zdania sprawy, jak tam rzeczy stały. Złośliwi utrzymywali, że był to po prostu zręczny sposób pozbycia się niewygodnego świadka i ewentualnego spadkobiercy, ale Gladstone przyjął tę misyę ochotnie. Namiętny badacz starogreckiéj poezyi, wyniańczony na Homerze, spoglądał on na nowożytną, wskrzeszoną do bytu Grecyę z gorącém współczuciem. Uśmiechała mu się myśl skąpania się w téj czarownéj atmosferze Hellady i oddania usługi jéj synom. Niedawno przedtém ogłoszona jego książka: „Studya nad Homerem i jego epoką”, usprawiedliwiała zresztą całkowicie wybór ministra, który nie mógł paść na godniejszą osobistość. Pobyt na wyspach Jońskich jest poniekąd powtórzeniem epizodu neapolitańskiego. I tu także miał sposobność zbliżyć się do szerokich mas ludowych, przysłuchać się ich pragnieniom, ich narodowym aspiracyom. Słynnym jest jego objazd wysp Jońskich, mowy które miewał w języku włoskim, przemagającym wówczas pomiędzy mieszkańcami, zapał jaki wzbudzał. Misya jego skończyła się przedłożeniem królowéj petycyi, w któréj mieszkańcy archipelagu wyrazili życzenie, ażeby zniesiono protektorat brytański, a pozwolono im połączyć się z Grekami stałego lądu. Ostatnie słowo tego ruchu miało miejsce po wyrzuceniu przez Greków króla Ottona i ofiarowaniu przez Anglię wysp Jońskich Grecyi, przechodzącéj pod berło nowo obranego króla Jerzego. Do dziś dnia Grecy nie zapomnieli usług, jakie ich sprawie oddał Gladstone.

W dwa lata potém, w 1860 r. znajdujemy go znowu u władzy, tym razem już kanclerzem skarbu w gabinecie lorda Palmerstona. Sympatyi pomiędzy tymi dwoma mężami stanu nie było i być nie mogło, ale dzięki pośrednictwu lorda Johna Russell, który pełnił funkcyę ministra spraw zagranicznych, stosunki stały się możliwemi. Wejście do gabinetu Palmerstona stwierdziło ostateczne zerwanie z torysami i rozpoczęcie nowéj fazy zawodu publicznego. Bacząc, że liczył już wtedy 50 rok życia, przedsięwzięcie mogło się zdawać ryzykownném, ale gdy sobie przypomnimy te kampanie, które wiódł o ćwierć wieku późniéj, dziwić się przestajemy ówczesnéj. Gabinet, w którym stanowisko Gladstona stawało się coraz bardziéj dominującém, dokonał dwóch wielkich dzieł. Zawarcie traktatu handlowego z Francyą miało nietylko doniosłe następstwa ekonomiczne, ale i polityczne, wymazując wiekową zwadę pomiędzy dwoma zachodniemi mocarstwy i przez powiększenie, wzmocnienie wymiany towarów zbliżając do siebie szybko tych dawniejszych przeciwników. Traktat handlowy, który zrazu napotkał silną opozycyę, wszedł w życie głównie dzięki Gladstonowi. Wyłącznie jemu zawdzięcza Anglia drugie pamiętne przedsięwzięcie: mam na myśli zniesienie podatku od papieru. Pociągnęło to za sobą nietylko emancypacyę prasy i utworzenie z niéj potęgi kierującéj opinią narodu, ale i popęd dany oświacie publicznéj.

Wybory 1865 r. stawiły go przed narodem, jako jednego z przywódców stronnictwa liberalnego. Stary zachowawczy Oxford nie miał dość animuszu, aby iść tym samym pośpiesznym krokiem naprzód. Nastąpiło rozłączenie, które niezmiernie wiele kosztowało Gladstona. Została przeciętą niepowrotnie nić pomiędzy całą przeszłością, ku któréj ciągnęły go wspomnienia, a przyszłością, w którą rzucał się z nieustraszoną odwagą. Podług trafnego słowa, Gladstone przestał już być własnością uniwersytetu, a stał się własnością całego kraju. Przemysłowe hrabstwo Lancashire dało mu wygodniejszą podstawę polityczną i zupełną swobodę działania. Śmierć starego Palmerstona, która wtedy nastąpiła, pozwala mu zaraz z niéj korzystać. W gabinecie lorda Russell Gladstone wraz ze stanowiskiem kanclerza skarbu zostaje *leader*'em izby gmin. Tutaj jest na swym własnym gruncie, w właściwym sobie żywiole. Starzejący się lord Russell, jego zwierzchnik, znajdował się w izbie lordów, a on stał się w izbie gmin istotnie głową rządu. Trzeba mu było w téj izbie, co posiada wszechwładzę, a w któréj z tylu sobie nieprzyjaznymi żywiołami miał do walczenia, znaleść nietylko punkt oparcia, ale trzeba było kierować ją wbrew jéj chęciom, jéj instynktom, jéj interesom, trzeba było zawładnąć jéj zbiorowym umysłem, tchnąć w nią własną swą duszę.

Olbrzymiemu temu zadaniu podołał, jak nikt inny. Kluczem, jakim sobie te wrota otworzył, była głęboka cześć tradycyi, szacunek jaki uczuwał dla parlamentu. Przeświadczony o jego potędze, nie wahał się nigdy do niéj odwoływać, a budząc dumę jego członków, odwoływał się zawsze do moralnéj strony, do wielkości ich zadania. Ten szlachetny zapał, co go ożywiał, udzielał się innym, porywał ich. Nikt nie podawał w wątpliwość jego bezinteresowności, czystości jego zamiarów. Szło więc tylko o rozważenie argumentacyi, którą się posługiwał: walka pomiędzy nim a przeciwnikami nieodzownie wznosić się musiała w sfery wyższe. On ani chciał, ani umiał być płaskim i pospolitym. W każdém jego słowie dźwięczał patos, słyszało się kapłana stojącego po za retorem i po za wodzem. Był mówcą, jakiemu równego znaleść nie łatwo, a wyższego niepodobna w rocznikach parlamentarnych Anglii. Posiadał wszystkie warunki zewnętrzne i wewnętrzne, jakich tylko wymagać mogą tryumfy oratorskie. Twarz blada, wyrazista, o orlim profilu, oczy tryskające błyskawicą, gestykulacya żywa, ale nie rażąca nigdy godności, i przedewszystkiém głos głęboki, dźwięczny, metaliczny, o nieskończonéj gamie tonów składały się na całość jedyną. Czytając jego mowy, można oddać sprawiedliwość ich zaletom, ale trzeba było je słyszéć, ażeby zrozumiéć porywające wrażenie, jakie czyniły: wiał z nich czar, któremu trudno się było oprzéć. Wady, jakie pod względem oratorskim posiadały, jak zbyt długie okresy, mnóstwo zdań pobocznych, retoryczne figury, zbyt wielka, kazuistyczna subtelność wywodów, brak prostoty i t. d., wszystko to znikało, tonęło wobec ogólnego wrażenia, jakie wywoływał grając na duszach słuchaczy z maestryą wyrafinowanego artysty. Za daleko by mnie zaprowadziło przytaczanie tu wyjątków z najpamiętniejszych jego mów, albo opisywanie tryumfów, które mu zyskiwały. Sumiennie powiedziéć można, że gdyby *leader* parlamentu potrzebował tylko talentu mówcy, nie byłoby podobna znaleść mu równego.

Ale, jak wiadomo, stanowisko to wymaga jeszcze innych warunków. Należy być strategiem, umiéć grupować stronników, korzystać z błędów przeciwnika, obmyślić troskliwie plan bitwy, przewidziéć nie tylko ewentualności zwycięstwa, ale i nazajutrz po przegranéj posługiwać się dla dopięcia celu podrzędnemi środkami i intrygami. Nie można powiedziéć, ażeby tę stronę swéj misyi Gladstone posiadał tak dobrze, jak niektórzy z jego rywali. Silny swém własném przekonaniem, nie dbał w gruncie o opinie drugich i na myśl mu nie przychodziło zjednywać sobie współdziałaczy inaczéj, jak drogą argumentacyi. Posuwał sumienność i skrupulatność do ostatnich granic i jak Reg. Brett mówi, jego przyjaciele żyli w ciągłéj obawie ciosów, jakie spadną na

stronnictwo i na sprawę przez nadmiar jego cnoty. Zapatrzony w ideał który ścigał, tracił z oczu następstwa, jakie pociągnęłaby za sobą klęska, i jeżeli czasami głośno, a często po cichu wyrzucali mu jego sojusznicy brak przezorności, nieopatrzne rzucanie się na niezwyciężone przeszkody, to było w tych zarzutach nie mało słuszności.

Ministeryum lorda Russel dało sposobność Gladstonowi pokazać w niektórych kwestyach, (np. w sprawie rozszerzenia prawa głosowania), a dać przeczuć w innych, (np. w kwestyi kościoła katolickiego w Irlandyi), jak szerokim i jak lotnym był jego liberalizm. Gdy w r. 1866 upadło, stał on już wobec kraju, jako naturalny, legalny przywódca stronnictwa postępowego i nie było wątpliwości, że gdy koło fortuny znowu przyprowadzi je do władzy, on, nie zaś kto inny, zostanie pierwszym ministrem, głową rządu. Chwila ta przyszła pierwéj, aniżeli spodziéwać się było można. Wypadki zaczęły następować po sobie szybko. Lord Russel z Gladstonem nie mogli przeprowadzić drobnego bilu reformy, który dodawał jakich 400,000 wyborców nowych do dawniejszych. Ale Disraeli, przyszedłszy do władzy, naprzód jako członek gabinetu lorda Derby, a następnie jako pierwszy minister, z właściwym sobie cynizmem przedłożył i przeprowadził bil reformy daleko radykalniejszy: on, zachowawca, w zamiarze podkopania stronnictwa liberalnego z Gladstonem na czele, dał Anglii nieledwie głosowanie powszechne i oparł jéj konstytucyę na podstawie demokratycznéj. Ale apostazya ta nie okazała się dlań tak korzystną, jak mniemał. Przy wyborach w r. 1868, kiedy kwestyą postawioną przed wyborcami do rozstrzygnięcia była emancypacya kościoła katolickiego w Irlandyi, Disraeli i partya zachowawcza zostali pobici na głowę i podali się do dymisyi, nie czekając na odprawę przez izbę. W dniu 3 grudnia 1868 roku Gladstone zostaje pierwszym ministrem, mając większość 115 głosów zapewnioną.

Była to wielka chwila w jego życiu. Liczył 58 lat i przebył długi nowicyat polityczny. Powoli i stopniowo wysuwał się ze środowiska, w którém go były opętały tradycye i okoliczności osobiste, i wyrobił w sobie zasady i opinie całkiem inne. W całéj téj logicznéj ewolucyi zyskał sympatyę ludzi najwybitniejszych, a nakoniec i szeroki poklask mas, które w nim uznały nieustraszonego zapaśnika sprawiedliwości i swobody. Obecnie nadeszła po raz pierwszy chwila, gdy wychodząc z drugorzędnego na pierwsze miejsce, miał usprawiedliwić tę ufność i udowodnić, czy jest istotnym mężem stanu, czy potrafi przewodniczyć temu przekształceniu ustawy narodowéj, które jest rdzeniem angielskiéj wielkości. Pojmował całą odpowiedzialność, jaką brał na siebie, ale, jak przypomniał lord Rosebery w mowie w izbie lordów na

posiedzeniu, co było pośmiertną apoteozą Gladstona, przeważającym rysem jego charakteru była nieustraszona odwaga, nie zatrzymująca go ani na chwilę przed niebezpieczeństwami. Tak jak z siekierą w ręku walił na ziemię pruchniejące dęby i klony w swym parku w Hawarden, tak postanowił otwiérać jasne poręby w gąszczu zadawnionych nadużyć, niesprawiedliwości i przywilejów, co się jeszcze były przechowały. Nie straszyła go nazwa radykalisty, którą mu rzucano w oczy: radykalizm, jak się wyrażał, jest poprostu liberalizmem, który się bierze na seryo. On zawsze i wszystko brał na seryo.

Pierwszą bitwą, którą mu stoczyć było trzeba, była naturalnie za wyswobodzeniem kościoła katolickiego w Irlandyi. Niema potrzeby rozwodzić się nad wyjątkowemi trudnościami, z jakiemi miał do walczenia, przeprowadzając ten bil przez parlament. Przeciwko sobie miał nietylko królowę, dwór, arystokracyę, izbę lordów, ale tego potężnego przeciwnika, kościół państwowy, instytucyę arcypotężną, która broniła się wszelkiemi sposobami przeciwko ukróceniu swych przywilejów, z któremi się zżyła od epoki Henryka VIII-go. Co jednak téj krucyacie Gladstona dawało charakter tragiczny, bohatérski, to, że nie przestawał on być gorącym, namiętnym wyznawcą właśnie anglikanizmu, że kościół ten posiadał w jego oczach spirytualną i teologiczną prawdę po swéj stronie. On, filar i luminarz tego kościoła, nie wahał się jednak pozbawić go przywilejów, niesprawiedliwie posiadanych w kraju katolickim, gdzie anglikanie znajdowali się w drobnéj mniejszości. Napróżno rzucano nań gromy i obelgi, nazywano papistą, podejrzywano o konszachty z Rzymem, nie kruszyło to jego energii, ale przeciwnie podżegało do walki za wzniosły ideał swobody religijnéj.

Za wiele miejsca zabrałoby tutaj przedstawienie faz walki, jakiéj parlament stał się widownią w r. 1869, i walnego zwycięstwa, jakiém się zakończyła. Szczegóły, odnoszące się do tego przedmiotu, piszący podał już dawniéj [1]), i czytelnik takowych ciekawy przekona się, z jakiém uszanowaniem osobistych stanowisk i interesów udało się wielkiemu mężowi stanu przeprowadzić tę sprawę skomplikowaną i drażliwą, jak wszystkie, które sumienia się tyczą. Co uderzało już wtedy, to sposób, w jaki umiał pogodzić abstrakcyjne doktryny, szermierki o zasadę z praktycznym zmysłem, ze zdumiewającą znajomością szczegółów administracyjnych i danych finansowych. Te same rysy charakteryzują i inne strony jego działalności. A obfitował w nie cały ten okres między 1868 a 1873 r., słusznie nazwany złotym wiekiem libe-

---

[1]) Patrz: „Anglia i Anglicy“. Warszawa, Paprocki, 1895. str. 95—102.

ralizmu. Za swego pierwszego ministeryum i na jednéj kadencyi przeprowadził cały szereg wielkich reform. Pierwsza sesya zeszła na nadaniu swobody kościołowi irlandzkiemu, druga zaznaczyła się ulepszeniem położenia irlandzkich czynszowników. Jedną z największych dolegliwości ich było, że właściciel gruntu mógł ich wyrzucić z folwarku, nie zwracając ani szeląga z wyłożonych przez nich kosztów na ulepszeniu gruntów i budowli. Przez *Land Act* [1]), który szczęśliwie przez parlament przeprowadził, czynszownicy zabezpieczeni zostali przeciwko eksmisyi, jeżeli czynsz swój opłacali, i otrzymywali indemnizacyę za poczynione nakłady. Bil ten uważać należy za pierwszy krok do uwłaszczenia czynszowników, który to szeroki plan miał być podjęty przez niego późniéj i utonąć w fali rozjuszonéj reakcyi. Po wymazaniu téj niesprawiedliwości, natychmiast wziął się do innéj. Jednym z najpotworniejszych przywilejów, sięgających swym początkiem wieków średnich, było zakupywanie stopni w armii za brzęczącą monetę. Znalazłszy silną opozycyę w parlamencie przeciwko usunięciu tego anachronizmu z ustawy krajowéj, Gladstone rozstrzygnął kwestyę samodzielnie przez reskrypt gabinetu, opatrzony sankcyą korony. Powstała wrzawa na ten zamach despotyzmu, ale gdy się uspokoiła, kraj przyklasnął zniesieniu wstrętnego objawu. Następnie przyszła koléj na projekt utworzenia szkółek elementarnych z ramienia państwa, skoro szkółki utrzymywane przez duchowieństwo nie były obowiązkowemi i zostawiały wiele do życzenia. To utworzenie oświaty elementarnéj stało się dobrodziejstwem narodowém, którego w przelocie tutaj jedynie dotknąć można. Reforma głosowania (*Ballot Act*) zaznaczyła rok 1872-gi i przez zabezpieczenie tajemnicy głosów położyła kres przekupstwu i nadużyciom, jakie zawsze dotąd hańbiły kampanie wyborcze w Anglii. W sprawach zagranicznych wzmianka się należy ścisłemu zachowaniu neutralności w wojnie francusko-niemieckiéj, a więcéj jeszcze położeniu kresu zwadzie ze Stanami Zjednoczonemi w sprawie „Alabamy". Przyjęcie wyroku sądu rozjemczego było wówczas gorzko wyrzucane Gladstonowi. Warto zauważyć, że uprzedził on o ćwierć wieku opinię narodu, który obecnie uważa utworzenie stałego trybunału rozjemczego za najwyższe *desideratum*, ale który wtedy nie marzył jeszcze o unii z Amerykanami. Masa nie przeczuwała wówczas, że siał ziarno, co tak bujnie wzejść miało po dwóch lat dziesiątkach!

Po takim wysiłku reformatorskim, który, jak zrozumiéć łatwo, poruszył organizm społeczny aż do głębokich jego pokładów, nie można się dziwić, że kraj zażądał odpoczynku. Przy wyborach 1874 r.

---

[1]) Tamże, str. 124 i nast.

stronnictwo zachowawcze otrzymuje większość i Disraeli tworzy rząd, którego Gladstone miał zostać groźnym oponentem. Ale nietylko nie rzucił się odrazu do opozycyi, ale odsunął się przez parę pierwszych lat kadencyi parlamentarnéj od udziału w rozprawach politycznych. Czynny jego umysł nie wypoczywał, ale skoro wobec marazmu, w który kraj był popadł, i wśród téj skażonéj atmosfery, którą Disraeli na okół siebie roztaczał, nie było żadnéj ze spraw, które jego animusz bojowy podżegały, wziął się do roztrząsania spraw teologicznych, które nigdy nie traciły dlań uroku. Do téj epoki należą jego słynne broszury o „Rytualizmie", o „Dekretach Watykanu" i t. d. Miały rozgłos ogromny, niektóre z nich rozchodziły się w stu tysiącach egzemplarzy, i zdawało się, że autor cały pochłonięty był temi zagadnieniami. Przypuszczenie to stwierdzone zostało niebawem listem otwartym, w którym oświadczył, że nadeszła dla niego epoka odpoczynku i że nie widzi potrzeby dźwigać nadal odpowiedzialności politycznéj. Pozostając członkiem izby, składa z swych bark stanowisko przywódzcy partyi liberalnéj. Jakiekolwiek mogło być jego zniechęcenie i rozdrażnienie, Gladstone nie powinien był podawać się wówczas do dymisyi. Był to kaprys chwilowy i niedozwolony ludziom jego pokroju. Liczył lat 65 i był czerstwego zdrowia, a chociaż jego zawód parlamentarny trwał już od lat 42, chociaż sprawował urząd pierwszego ministra i do żadnéj wyższéj pozycyi wznieść się nie mógł, to było oczywistém, że nie wypowiedział jeszcze ostatniego swego słowa, że się rola jego nie skończyła. Opuszczenie nagłe dowództwa opozycyi osłabiło ją, i margrabia Hartington, wybrany jako jego następca, nie posiadał ani doświadczenia, ani talentu odpowiedniego wysokości zadania.

Takie anormalne położenie nie mogło trwać długo i zawisło było jedynie od zewnętrznych okoliczności. Sygnał do przebudzenia drzémiącego lwa dały sprawy zagraniczne. Wybuchło w r. 1876 powstanie w Bulgaryi, stłumione przez Turcyę i prowadzące za sobą prześladowania i okrucieństwa przejmujące zgrozą. Mimo tradycyjnéj polityki angielskiéj podtrzymującéj Turcyę, opinia chrześciańskiéj i humanitarnéj Anglii wzdrygnęła się oburzeniem na wieść o męczeństwie bulgarskiém. Drwił z niego cynicznie Disraeli, ale Gladstone z młodzieńczym entuzyazmem stanął jako ich mściciel. Przez cztery lata od roku 1876 do 1880 ściga on, prześladuje, piętnuje czerwoném żelazem politykę Disraelego, egoistyczną, ciasną, niemoralną, awanturniczą. Dokonywa cudów jako agitator. Jego kampanie w hrabstwie szkockiém Midlothian są istotną epopeą. Jako trybun ludowy, z balkonów domów, z platformy drogi żelaznéj, w wielkich halach, albo na placach publicznych przemawia do tysiącznych tłumów, elektryzuje je i pory-

wa. Gdy Disraeli, a raczéj już wówczas lord Beaconsfield, rozpisuje nowe wybory w r. 1880, nietylko Gladstone tryumfuje w Midlothian nad synem księcia Buccleigh, miejscowego potentata, ale cały kraj idzie w tym samym kierunku i na miejsce najsilniejszego parlamentu zachowawczego powołuje nowy, w którym stronnicy Gladstona mają świetną większość nad dwoma przeciwnemi obozami. Ani lord Hartington ani lord Granville nie chcą przyjąć godności pierwszego ministra, wskazując na Gladstona, jako na nieuniknionego przywódzcę. I tak się stało, że w r. 1880 po raz drugi zostaje głową rządu.

Nie pisząc tutaj panegiryku zmarłego męża stanu, ale usiłując nakréślić jego sylwetkę taką, jaka przejdzie mniéj więcéj do historyi, nie mam powodu ukrywać sądu, że ten drugi okres jego rządów nietylko nie zaznaczył się taką seryą zasłużonych tryumfów, jak poprzedni, ale że łatwo dostrzedz w nim błędy. Pomimo znacznéj większości, jaką rozporządzał w izbie, a olbrzymiéj popularności osobistéj, jaką był posiadł, w sprawach wewnętrznych nie był w stanie przeprowadzić żadnych wielkich reform, a w sprawach zewnętrznych był nieszczęśliwy. Brak doniosłych rezultatów praktycznych tłómaczy się poniekąd zaciętością opozycyi i obstrukcyą Irlandczyków. Im więcéj postępową i radykalną stawała się jego polityka, tém żarliwiéj napadali na niego przeciwnicy, którzy przekonali się, że nie tak łatwo dadzą mu radę, jak mniemali. Nietylko w izbie lordów odrzucane były bile, nadesłane z izby gmin, ale i w téj ostatniéj trzeba było każdą pozycyę brać szturmem. W łonie gabinetu nie było jednolitości i usunął się z niego naprzód książę Argyll w r. 1881, jako przeciwnik liberalnego bilu gruntowego irlandzkiego, następnie p. Forster, gdy polityka względem ligi irlandzkiéj uległa zmianie, nakoniec John Bright, gdy przedsięwziętą została kampania egipska. Było istotnie tragiczną okolicznością, że ten Gladstone, który przez akt gruntowy irlandzki uczynił pierwszy wielki krok ku sprawiedliwości i słuszności, miał niebawem do walczenia z rewolucyjną agitacyą ligi narodowéj z jéj występkami i zbrodniami. Po morderstwie lorda Fryd. Cavendish'a, trzeba było uciec się do represyi, i stronnictwo irlandzkie parlamentarne pod dowództwem Parnell'a, które negocyowało z gabinetem o nowe i szerokie ustępstwa, naraz zamieniło się na zażartych wrogów. Nie potrzeba przypominać, jak w r. 1885, dzięki przejściu irlandzkich deputowanych do opozycyi, ministeryum Gladstona upadło.

Ale nim ten upadek nastąpił, zaszły wypadki w polityce zagranicznéj, których pominąć milczeniem niepodobna. Gladstone, który był nieprzejednanym antagonistą awanturniczéj i turkofilskiéj polityki Beaconsfielda, który jedynie ustrzegł Anglię od nowéj hańby interwencyi

zbrojnéj za Turcyą przeciwko Rosyi, był nieprzyjacielem wypraw wojennych i naturze jego był zupełnie obcym ów imperyalizm, owo nieprzerwane zdobywanie nowych dziczy i wcielanie ich do sfery wielkobrytańskiéj. W chwili obecnéj, gdy ten kierunek zwyciężył na całéj linii, niema potrzeby staczać z nim bojów i wykazywać po czyjéj stronie była słuszność. Ale Gladstone, który uosabiał w sobie umiarkowanie, rozsądek, bezinteresowność, wstręt do zamorskich awantur, popełnił błąd interweniując w Egipcie, prowadząc wojnę w Sudanie, wysyłając Gordona do Chartumu, a nie przychodząc mu z odsieczą w chwili, którąby go ocalić mogła. Nie będąc stronnikiem tych wypraw, przemawiał za niemi półgębkiem i prowadził je półśrodkami. Ujemny rezultat, spowodowany rozmaitemi okolicznościami, w które tu wchodzić niema potrzeby, ciążyć będzie na jego pamięci, a fanatyczny dżingoizm rozdmuchał to zarzewie w wielki ogień.

Podczas całéj téj kadencyi, tak pełnéj chaotycznego zamętu, krzyżujących się interesów, nowych indywidualności wybijających się na pierwszy plan, jak lord Randolph Churchill u torysów, a p. Chamberlain u liberałów, w umyśle Gladstona stopniowo krystalizowała się myśl przeprowadzenia porozumienia pomiędzy Irlandyą a Anglią. On, który przez swoją dawniejszą działalność rozwiązał spór wiekowy pomiędzy niemi co do kościoła, on, który w znacznéj części przyłożył się do ułatwienia stosunków gruntowych, pojął, że nie inaczéj będzie można te dwie części monarchii pojednać, jak przez wyrzeczenie się ucisku i niesprawiedliwości, zabezpieczając Irlandyi samorząd. Nie podejrzywano jego studyów, dociekań, rozmyślań i puszczającego coraz głębsze korzenie przekonania, że na téj drodze tylko jest zbawienie.

Gdy kraj przystąpił w r. 1885 do wyborów i gdy Gladstone ponownie zdumiał świat swą energią podczas drugiéj kampanii w Midlothian, otwarcie w swym manifeście oświadczył, że uważa samorząd dla Irlandyi za nieodzowny, i zażądał od wyborców takiéj większości liberalnéj, ażeby nowy rząd, nie potrzebując uciekać się do pomocy głosów irlandzkich w parlamencie, mógł ustawę tę przeprowadzić. Ale rezultat wyborów nie odpowiedział oczekiwaniom, gdyż dwa stronnictwa, zachowawcze i liberalne, stanęły w nowéj izbie prawie w równych zastępach, a pomiędzy niemi, jako rozjemcy, 84 deputowanych irlandzkich. Lord Salisbury był wtedy u steru władzy, i Gladstone, wiedząc, że ten traktuje potajemnie z Irlandczykami, uczynił krok, którego szlachetności nigdy dość wysoko podnieść nie będzie można. Ofiarował lordowi Salisbury swą własną pomoc i poparcie całego stronnictwa liberalnego, jeżeli wniesie bil o samorządzie Irlandyi w parlamencie. Lord Salisbury po niejakiém wahaniu propozycyę tę odrzucił, podjął zapal-

czywą walkę przeciw Irlandczykom, zmuszony był złożyć władzę, i w roku 1886 Gladstone staje po raz trzeci na jéj czele. Na programie jego stanęła wtedy nietylko jako pierwsza, ale jako jedyna kwestya — usamowolnienie Irlandyi.

Wypadki, w których się tu sferę wkracza, są zanadto świeżéj daty i za dobrze znane, ażeby im dużo miejsca wypadało poświęcać. Piszący odesłać może zresztą czytelników do ówczesnych zeszytów „Ateneum", gdzie historyę tych epicznych zapasów opowiedział z całym ferworem świadka, porwanego wielkością historycznego momentu i czcią dla wodza, co nieustraszony szedł na mury twierdzy niezłomnéj. Nie potrzeba zapewne dzisiaj, po upłynionych latach dwunastu, stawać w obronie Gladstone'a od nieuzasadnionego zarzutu, czynionego mu podówczas przez jego rozwścieczonych wrogów, że nie z przekonania o sprawiedliwości żądań irlandzkich, ale przez ambicyę i żądzę władzy rzucił tę głownię zapalną w łono swego kraju i swego stronnictwa. Już samo objęcie jednym poglądem syntetycznym uprzedniéj działalności jego, już sama ocena pobudek moralnych, co zawsze nim kierowały, wystarcza do odsunięcia podobnego przypuszczenia. Gdy raz przeświadczył się o słuszności, jakiéj sprawy, wszystkie siły piekła nie zatrzymałyby go na wpół drogi. Tak postąpił sobie i tutaj i przy swoim charakterze inaczéj postąpić nie mógł. Odstępstwo najlepszych przyjaciół, zdrada Chamberlain'a, koalicya wszech reakcyjnych żywiołów — podbudzały tylko jego entuzyazm. Świat okolny spoglądał z podziwem na ten bój homeryczny starca, liczącego 77-my rok życia. Nikt nie zapomni tych dwóch bilów — o samorządzie i o uwłaszczeniu czynszowników irlandzkich—do których wypracowania i wniesienia wystarczyło mu trzy miesiące: zaiste herkulesowe dzieło! Gdy izba odrzuca ten projekt większością 50 głosów, nie daje jeszcze wtedy za wygranę i rozwiązawszy parlament, przystępuje do nowych wyborów. Kraj rozdrażniony taką wywieraną nań presyą, oszołomiony, nie mogący jeszcze zoryentować się wobec nowéj a zawikłanéj kwestyi, odrzuca programat irlandzki Gladstona. Trzecie jego ministeryum upada i raz na zawsze zdaje się zagrzebany pod nawałem nagromadzonych ruin.

Z powtórném przyjściem lorda Salisbury'ego do władzy, Gladstone miał nietylko prawo do odpoczynku, ale miał porę rozejrzéć się w wytworzonéj sytuacyi. Gdyby był posiadał więcéj elastycznéj giętkości, a mniéj prawdziwie szkockiéj uporczywości, byłby mógł obrać inną drogę do rozwiązania zagadnienia irlandzkiego. Stwierdziwszy niepodobieństwo przeprowadzenia go na téj podstawie, mógł postawić je na szerszéj, mianowicie na usamowolnieniu każdéj z czterech składowych części monarchii, co Anglicy nazywają *Home rule all round.*

Prawda, że takie przetworzenie jednolitego mocarstwa na federacyjne wymagałoby niemałych prac, potrzebowałoby długich lat propagandy, i wychowania społeczeństwa do téj doktryny jeszcze nowéj. Jeżeli my, ostudzeni po przegranéj i świadkowie jéj tylko, łatwiéj się dzisiaj na tę konieczność zgadzamy, to można pojąć, iż trudne to było wówczas dla Gladstona. Nie pozwalał mu na to ani ognisty jego temperament, ani lata podeszłe, przed których schyłkiem chciał przeprowadzić to szczytne dzieło pogodzenia Irlandyi z Anglią. Szlachetność celu tłómaczy tutaj i usprawiedliwia błędy taktyki lat ostatnich. Nawet ci, co mu pozostali wiernymi do końca, łudzić się nie mogli, żeby im zwycięstwo zapewnić potrafiła. Z interesem, jaki się wiąże do popisów mistrza-wirtuoza, śledziło się za jego opozycyjną działalnością względem gabinetu lorda Salisbury'ego, podziwiało się dziarskość, z jaką korzystał z jego omyłek, moralną czystość, jaką raz jeszcze okazał po procesie i upadku Parnella, i raz jeszcze po wyborach 1893 r. witało się go, wbrew prawdopodobieństwu, przyniesionego na fali popularności po raz czwarty do władzy.

Był to jednak tryumf przedzgonny, apoteoza człowieka, ale śpiew łabędzi wielkiego męża stanu. Każdy z nas pamięta powtórny bil o usamowolnieniu Irlandyi, bronienie go piędź za piędzią przez długie miesiące przeciwko obstrukcyi i nakoniec przeprowadzenie go przez izbę gmin po to tylko, ażeby izba lordów odrzuciła go wzgardliwie; każdy pamięta ostatnią, nieporównanego patosu mowę wielkiego starca, jego złożenie władzy i odsunięcie się ostateczne w wieku lat 84 z widowni polityczńej do prywatnego życia. Gdy opuścił zawód publiczny, zrozumiéć było można, że się wraz z nim skończyła cała epoka historyczna. On był przewodnikiem, ojcem chrzestnym ustroju demokratycznego, który rozsiadł się raz na zawsze w konstytucyjnéj ustawie Wielkiéj Brytanii za panowania królowéj Wiktoryi. Téj potężnéj ewolucyi dokonał on stopniowo i wprowadzając do organizmu publicznego nowe czynniki, robił to nietylko przezornie i z delikatnością ręki wyjątkową, ale ze czcią dla przeszłości i tradycyi. Jak sam słusznie powiedział, pierwszym obowiązkiem męża stanu jest zachowywać, drugim — ulepszać. Będąc z natury zachowawcą, zachowawcą w dziedzinie kościelnéj, państwowéj, społecznéj, towarzyskiéj, lgnąc całą potęgą swéj jędrnéj natury do zwyczajów i tradycyi historycznych, mógł on, snadniéj aniżeli ktokolwiek inny, inaugurować świat nowy, nowe prądy i instytucye. Kiedy ciasne umysły widzą w nim rewolucyonistę, sąd historyczny coraz większy nacisk kłaść będzie na zachowawcze podstawy jego działalności, i dzisiaj już coraz częściéj spotykać się można w Anglii ze zdaniem, że nigdy już nie będzie pierwszego

ministra tak skrupulatnie przechowującego nić tradycyi, jak się to działo za jego rządów.

Ostatnie lata życia spędził Gladstone w swojéj rezydencyi Hawarden. Piękny ten zamek i otaczające go dobra ziemskie, wynoszące 6,900 akrów, stały się własnością jego wnuka — gdyż najstarszy syn, William, ożeniony z córką lorda Blantyre, umarł w r. 1891 — ale do śmierci jego i jego żony był on w jego używalności. Tam w gronie rodzinném, w ciągłém otoczeniu trzech synów, tyluż córek, kilkunastu wnucząt żył jak patryarcha, przyjmując gościnnie ale bez ostentacyi przyjaciół i znajomych, upiększając swój park malowniczy, polepszając gospodarstwo rolnicze swych fermerów, miał pogodny wieczór życia. Nie stracił interesu dla spraw publicznych, jak tego dowodziły płomienne jego mowy za Ormianami, ale coraz bardziéj i coraz wyłączniéj zatapiał się w książki. Był on zawsze namiętnym ich lubownikiem i zgromadził bibliotekę wynoszącą przeszło 30,000 tomów, obejmującą wszystkie działy piśmiennictwa, ale przedewszystkiém dwa działy: teologiczny i literaturę klasyczną. Gdy zaczynało brakować miejsca na pomieszczenie téj biblioteki w zamku, Gladstone zbudował w parku budynek żelazny, który nosił nazwę biblioteki ś-go Deiniola. Ażeby bibliotekę tę uczynić instytucyą publiczną, zabezpieczył jéj istnienie wieczystym kapitałem. Wzniósł także we wsi gospodę, w któréj studyujący w bibliotece teolodzy i filologowie żyć mogą w pożądanych warunkach. Ta fundacya, nad którą do ostatniéj chwili czuwać nie przestawał, kosztowała blisko 40,000 f. szt.

Z tego spokojnego zacisza, nawet w latach żywéj działalności publicznéj, puszczał w świat różne swoje utwory literackie. Są porozrzucane po wielu pismach czasowych rozmaite jego artykuły, studya i monografie, które świadczą o żywym udziale, jaki brał w ruchu umysłowym swego czasu. Przedniejsze z tych prac drobniejszych zebrane zostały w jedną całość i wyszły w siedmiu tomach w r. 1879, p. t. *Gleaning of Past Years.* Równe objętością pokłosie dałoby się prawdopodobnie zebrać z prac, które ogłaszał późniéj. Ale nie w tych pracach leży jego najwybitniejszy rys, jako pisarza, lecz w teologicznych i w studyach nad Homerem. Była już mowa wyżéj o pierwszych. Gladstone od swych lat młodzieńczych, gdy w swéj pierwszéj książce, traktującéj o stosunku państwa do kościoła, przemawiał za teokracyą, aż do komentarzy, poświęconych biskupowi Butler, które wydał na dwa lata przed śmiercią, brał zawsze najżywszy interes w dyskusyach i kwestyach teologicznych. Pod tym względem był on istotnie czémś niezwykłém, i nie ulega wątpliwości, że współczesne pokolenia nie rozumiały nieraz jego zapału. Nie mając najmniejszéj kompetencyi w tym przedmiocie,

zamykam go przypomnieniem, że aż do ostatnich chwil życia zachował on swą prostą naiwną wiarę w całość dogmatów chrześciańśtwa. Jeszcze przed trzema laty ogłosił pracę „O warunkach człowieka w życiu przyszłém". Nie można się dziwić, że, stojąc wyłącznie na fundamencie biblijnym, wpadał w kolizyę z wiedzą. Jego polemika z uczonymi, jak Huxley etc., nie poszła w zapomnienie. Żadne napaści, żadne szyderstwa, tak samo jak najoczywistsze dowody, nie były w stanie zachwiać jego doktryny. Nawet jéj przeciwnicy czuć musieli szacunek dla téj niezachwianéj wiary.

Prace Gladstona nad Homerem stanowią drugą jego specyalność umysłową. Płodami jego na téj niwie są, oprócz wielu innych, naprzód trzy grube tomy z r. 1858 p. t. „Studya nad Homerem i homeryczną epoką", i w r. 1869 „*Juventus Mundi*". Nikt się nie zadziwi, że i w téj dziedzinie Gladstone był zachowawcą, że odrzucał wiele zdobyczy nowożytnéj krytyki i że wbrew sceptycznemu jéj nastrojowi obstawał przy tradycyi. Zapał polemiczny, z jakim się rzucał do walki z filologami z zawodu, rodzaj namaszczenia kapłańskiego, z którém przemawiał w obronie swego epicznego barda, porywały nawet najobojętniejszych do wzięcia udziału w tych dyskusyach akademicznych i do poznajomienia się z naturą kwestyi spornéj. Jak p. H. D. Trail słusznie zauważył, że jego Homer studyowany jest obecnie w Anglii bardziéj w duchu starodawnym, jeżeli zajął poważniejsze miejsce w wyższéj oświacie, jeżeli przyczynił się do pogłębienia znajomości historyi religii i życia publicznego w starożytności, to nie małą część téj zasługi przypisać należy Gladstonowi.

Byłoby przesadą utrzymywać, że, jako pisarz, jest on pierwszorzędną wielkością, ale gdy się weźmie na uwagę, że mamy tu do czynienia z rozrywkami, z godzinami wczasu męża stanu, znajdującego się w pełnym wirze doniosłych zagadnień, dotyczących praktycznych stron życia współczesnego, to musimy oddać hołd bezwarunkowy potędze umysłowéj, co w tak rozlicznych promieniała kierunkach. Pozostawała ona tak świéżą i czerstwą, że społeczeństwo angielskie nie dopuszczało możliwości przerwania się pasma tego życia wyjątkowego. Głębokie wrażenie wywołała wiadomość wczesną wiosną r. b., że dni jego są policzone. Głos stronnictw zamilkł i oczy całego kraju zwróciły się ku Hawarden, gdzie, świadomy swego końca, dogorywał przez dwa miesiące z pogodą na czole, w poważnym nastroju ducha, ale bez żalu i jakby wzdychając ku innemu życiu, patryarcha narodu. Błogosławiący i błogosławiony, żegnany nietylko przez przyjaciół i rodzinę, ale przez niezliczone organizacye publiczne, do których należał, spokojnie

wyzionął ducha z dłonią złożoną w rękach swéj nieodstępnéj towarzyszki pielgrzymki życiowéj.

Wieść o jego śmierci wywarła daleko potężniejsze uczucie żalu, aniżeli nawet najbliżsi i najgorliwsi jego orędownicy przypuszczać mogli. Od wyżyn tronu aż do szerokich warstw proletaryatu, wszędzie dostrzedz można było uczucia żałoby, i jeden tylko głos się rozlegał, że świat angielski stracił najwyższą, najczystszą, najbardziéj świetlaną ze swych osobistości. Ci, co nie byli politycznymi jego przyjaciółmi, oddawali hołd bezinteresowności kierujących nim pobudek i życiu kryształowéj, nieskażonéj czystości. Jeżeli męża stanu uznawać mogło za swego jedno stronnictwo, to człowiek należał do całego narodu, całéj rasy i był jéj chlubą. Dopóki społeczność ta istniéć będzie, imię jego będzie czczone, a pamięć pozostanie świéżą.

Manifestacye narodowego żalu były niezliczone i jeżeli świadczą one wymownie o miejscu, jakie zajmował, i o osobistéj jego wielkości, to przemawiają także na korzyść społeczeństwa, które ją należycie oceniło i dało jéj odpowiedni wyraz zewnętrzny. W parlamencie wypowiedziane zostały na jego cześć mowy pochwalne, których nastrój panegiryczny nie wydawał się przesadzonym. Gdy śmiertelne jego zwłoki wystawiono w wielkiéj nawie Westminster Hallu, pół miliona ludzi przyszło schylić się przed niemi. Na ostatni spoczynek w grobach opactwa westminsterskiego, téj brytańskiéj Walhalli, ponieśli go najwyżsi dygnitarze i przyszły oraz domniemany następca tronu. Wszystkie honory, jakie mu oddać było można, oddano mu po śmierci, bo za życia odmawiał ich wszystkich. Korona, kościół, rząd, arystokracya, mieszczaństwo i lud, wszystkie składowe czynniki organizmu narodowego wysławiały jego wielkość, i słychać tylko o posągach, o fundacyach, co jego imię przekazać mają potomności. Słuszne to i chwalebne, ale w tym powszechnym hołdzie przedewszystkiém podniéść należy to, że oddany został moralnéj sile, entuzyazmowi, jaki ożywiał Gladstona ku dodatnim pierwiastkom cywilizacyjnym i zasadom. Trudno o wymowniejszą lekcyę optymizmu, tego klucza do przyszłości.

M. E. Trepka.

CHARAKTER WSPÓŁCZESNY

POWINNOŚCI OREŻNÉJ.

w głównych państwach europejskich.

Przez główne państwa europejskie rozumiemy tutaj: Rosyę, Niemcy, Austro-Węgry, Francyę i Włochy, ponieważ w szóstém głównem państwie europejskiém, w Anglii, powinność oreżna w rzeczywistości nie istnieje: siła zbrojna angielska składa się wyłącznie z ochotników.

Wszystkie wymienione wyżéj państwa lądu europejskiego pracują usilnie od lat przeszło dziesięciu nad powiększeniem swego zasobu wyćwiczonych żołnierzy, celem zapewnienia bezpieczeństwa swym poddanym i zabezpieczenia całości swego terytoryum.

Nikt nie zaprzeczy, że państwo, dążąc do tego celu, spełnia swój najpierwszy obowiązek; lecz każdy przyzna również, że działalność jego w tym kierunku nie powinna zbytnio szkodzić interesom społeczeńswa i jednostek.

Zdaje nam się, że kwestya, w jaki gdzie sposób pogodzono interesa jednostek i społeczeństwa z wymogami współczesnego militaryzmu, kwestya, kto ma być powołany w razie wojny do obrony ojczyzny, zasługuje na zbadanie.

Rezultat studyów swoich wyłożyliśmy krótko w pracy niniejszéj, którą ogłaszamy drukiem w przekonaniu, że przedmiot jéj powinien zainteresować każdego poważniéj myślącego człowieka.

Powinnością orężną nazywamy obowiązek należenia do siły zbrojnéj; termin ten odpowiada niemieckiemu *Wehrpflicht.* Nie należy utożsamiać go z powinnością wojskową, zwaną w Niemczech *Militärpflicht*, w Austryi *Stellungspflicht*, ta bowiem jest obowiązkiem stawania przed komisyą poborową celem uzyskania względem swójéj osoby stanowczego jéj orzeczenia w materyi poboru.

W głównych państwach lądu europejskiego powinność orężna jest powszechna i osobista.

Wyraz powszechny w zastosowaniu do powinności orężnéj ma znaczenie ścieśnione. Jest ona powszechna tylko dla ludności męskiéj, znajdującéj się w pewnym wieku.

Granice wieku, w których na ludności męskiéj ciąży powinność orężna, są określone w rozpatrywanych prawodawstwach nie jednakowo.

W Rosyi poddany obowiązany jest należéć do siły zbrojnéj od najbliższego 1 października st. st. po skończeniu lat 20 aż do ukończenia lat 43. Rosyjscy zatém poddani należą do siły zbrojnéj przez czas nie jednakowo długi, zależnie od daty urodzenia, najkrócéj przez lat 22, najdłużéj przez lat 23.

W innych głównych państwach europejskich powinność orężna ciąży na każdym poddanym przez czas jednakowo długi, a mianowicie: w Niemczech przez lat 28, w Austro-Węgrzech przez lat 24, we Francyi przez lat 25, we Włoszech przez lat 20.

Najwcześniéj powinność orężna ciążyć zaczyna w Niemczech, mianowicie z chwilą ukończenia lat 17, najpóźniéj zaś w Rosyi, gdzie ci, którzy nie skończyli lat 20, a nawet ci, którzy nie skończyli lat 21, o ile urodzili się pomiędzy 1 października a 31 grudnia st. st., są bezwarunkowo wolni od obowiązku należenia do siły zbrojnéj.

Poddany przestaje należéć do siły zbrojnéj: we Włoszech—z końcem roku kalendarzowego, w którym skończył lat 39, w Austro-Węgrzech—z końcem roku kal., w którym skończył lat 42, w Rosyi — z chwilą ukończenia lat 43, w Niemczech—z chwilą ukończenia lat 45, we Francyi — od 1 listopada tego roku kal., w którym skończył lat 45. Przepisy wszakże powyższe obowiązują tylko podczas pokoju: podczas wojny, po ogłoszeniu ogólnéj mobilizacyi, poddany nie przestaje należéć do siły zbrojnéj nawet po osiągnięciu wieku krańcowego, i nawet przechodzenie z jednéj kategoryi siły zbrojnéj do drugiéj (na-

przykład, z wojska do pospolitego ruszenia) zostaje wstrzymane. Jest to przepis, wspólny ustawom wszystkich państw tutaj rozpatrywanych.

Zważyć należy, że w Rosyi i w Niemczech od zasady, że powinność orężna jest powszechna, ustanowione są wyjątki nietylko ze względu na płeć i wiek: w obu tych państwach wypadło ustanowić pewne wyjątki od powyższéj zasady, a mianowicie: w Rosyi — ze względu na jéj obszar i różnorodny skład jéj ludności, któréj część jest bądź niepewna, bądź fizycznie lub umysłowo od natury upośledzona, w Niemczech zaś — ze względu na sposób, w jaki się to państwo uformowało.

W Rosyi zwolniona jest od powinności orężnéj, a zarazem i od powinności wojskowéj: cała ludność kraju Turkestańskiego, obwodu Nadmorskiego i Amurskiego i niektórych najbardziéj na północ wysuniętych okolic Syberyi; daléj, ludność tubylcza gubernii Astrachańskiéj i Stawropolskiéj, obwodu Turgajskiego, Uralskiego i Zakaspijskiego i całéj Syberyi; wreszcie, ludność muzułmańska obwodu Terskiego i Kubańskiego oraz Kaukazu Południowego, z wyjątkiem Osetyńców.

W Niemczech nie są obowiązani należéć do siły zbrojnéj członkowie domów panujących, tudzież członkowie domów medyatyzowanych, dawniéj niezależnych.

Powiedzieliśmy wyżéj, że obowiązek należenia do siły zbrojnéj jest nietylko powszechny, ale i osobisty. Charakter jego osobisty wyklucza możność wykupienia się lub dania zastępcy. Dopuszczalna w Rosyi i we Włoszech w pewnych wypadkach zamiana pomiędzy braćmi nie stanowi wyjątku od téj zasady, ponieważ zastąpiony nie przestaje należéć do siły zbrojnéj.

Ażeby módz skutecznie bronić ojczyzny z bronią w ręku, potrzeba się do tego przygotować za pomocą przesłużenia pewnego czasu pod chorągwią w czasie pokoju, czyli w armii stałéj.

Żołnierze téj armii po ukończeniu służby czynnéj przechodzą na pewien czas do rezerwy, a następnie do pospolitego ruszenia.

Armia stała i rezerwa, razem wzięte, stanowią wojsko, któremu na morzu odpowiada marynarka.

We Francyi siła zbrojna lądowa składa się tylko z wojska; w innych głównych państwach istnieje nadto pospolite ruszenie.

Składa się ono nietylko z byłych rezerwistów, ale i z ludzi, zaliczonych doń bezpośrednio przy poborze. Nadto, w razie wojny, należy doń każdy poddany, nie zaliczony ani do wojska, ani do marynarki, w granicach wieku wyżéj wskazanych.

Oprócz rezerwy zwykłéj, istnieje w niektórych państwach pod różnemi nazwami rezerwa zapasowa, złożona wyłącznie z ludzi, zaliczonych do niéj wprost przy poborze. Stanowi ona część składową wojska, względnie marynarki.

Widzimy tedy, że powinność orężna nie jest dla wszystkich poddanych jednakowo uciążliwa.

Istotnie, jednych popisowych zaliczają przy poborze do armii stałéj, skąd przechodzą na czas pewien do rezerwy, a następnie do pospolitego ruszenia; innych zaliczają do rezerwy zapasowéj, skąd przechodzą do pospolitego ruszenia; inni, wreszcie, nie należą wcale do wojska, zaliczani są bowiem bezpośrednio do pospolitego ruszenia. Obowiązki tych ostatnich popisowych nie dają się przyrównać do obowiązków, jakie ciążą na popisowych pierwszéj kategoryi.

Tego rodzaju ulgi, przyznawane niektórym popisowym, sprzeciwiają się pojęciu równości wszystkich przed prawem; niemniéj ustanowione są we wszystkich rozpatrywanych państwach, chociaż nie w jednakowym zakresie.

Niejednakowa dla wszystkich uciążliwość powinności orężnéj (a mówimy tu, oczywiście, tylko o uciążliwości, płynącéj z saméj ustawy, niezależnie od położenia indywidualnego poszczególnych jednostek) wypływa z natury rzeczy i jest nieunikniona. Ustawa, któraby wymagała, iżby każdy poddany, doszedłszy do pewnego wieku, należał do armii stałéj przez czas pewien, dla wszystkich jednakowo długi, byłaby w praktyce niewykonalna, a nawet — niesprawiedliwa. Postaramy się to udowodnić.

Roczny kontyngens rekrutów, wcielany do armii stałéj, w zasadzie równa się ilorazowi z podzielenia cyfry armii stałéj, czyli tak zwanéj stopy pokojowéj armii, przez liczbę lat służby czynnéj. Jego wysokość zatém jest w stosunku prostym do wielkości stopy pokojowéj i odwrotnym do okresu służby czynnéj.

Ponieważ wszędzie liczba popisowych jest większa od kontyngensu rekrutów, który może być co rok wcielany do armii stałéj, przeto oczywistém jest, że pewna część popisowych musi być tak czy owak od obowiązku należenia do armii stałéj zwolniona. Nie chcąc tego uczynić, wypadłoby albo odpowiednio powiększyć stopę pokojową armii, albo téż odpowiednio skrócić okres służby pod chorągwią. W obecnych warunkach ekonomiczno-politycznych żadne z głównych państw europejskich nie może zastosować żadnego z tych środków w sposób odpowiedni, żadne z nich nie może ani zbytnio powiększyć stopy pokojowéj, ani też zbytnio skrócić służby czynnéj: na pierwsze nie pozwala

obawa ruiny finansowéj, na drugie—konieczność należytego wyćwiczenia żołnierza.

Gdyby interes państwa polegał głównie na zachowaniu zasady równości wszystkich obywateli przed ustawą poborową, to rozstrzygnięcie pytania, kogo należy pobrać do wojska i marynarki, gdy wszystkich pobrać nie można, wypadłoby pozostawić losowi. Nikt wszakże nie zaprzeczy, że państwo powinno stawiać pewne interesa swoje i swych poddanych ponad ścisłe przestrzeganie powyższéj zasady, i dlatego trzeba uznać konieczność uwzględniania interesów państwa, społeczeństwa i jednostek przy udzielaniu ulg w zakresie wykonywania powinności orężnéj przez ludność, a odrzucić zasadę udzielania tychże ulg wyłącznie na podstawie ślepego trafu.

Wspomniane ulgi zasadzają się bądź na zwolnieniu od powinności orężnéj, bądź na zaliczeniu bezpośrednio do pospolitego ruszenia, bądź na zwolnieniu od służby czynnéj, bądź na skróceniu okresu służby czynnéj, bądź wreszcie na odroczeniu służby czynnéj, które jednak w pewnych razach bywa ciężarem. Ulgi te nie płyną z samego prawa: muszą być udzielone przez komisyę poborową.

Wiemy już, że siła zbrojna składa się z wojska i z pospolitego ruszenia. Komisya poborowa albo uwalnia popisowego od obowiązku należenia do siły zbrojnéj, albo też zalicza go do jednego z tych dwu składników siły zbrojnéj.

Od powinności orężnéj zwalniają wszędzie jednostki niezdatne lub zniesławione, we Francyi wszakże tylko pierwsze [1]). Jednostki te zwalniane są bezwarunkowo. Oprócz nich zwalniają: w Rosyi, bezwarunkowo—duchownych wszystkich wyznań chrześciańskich i warunkowo — niektórych psałterzystów i organistów; we Francyi zaś — bardzo niewielu kolonistów, zamieszkałych w dalekich krajach, w których niema wojska francuskiego, i to jedynie na czas pokoju.

Obrona ojczyzny, a tém samém należenie do wojska, jest nietylko obowiązkiem, ale i zaszczytem, którego nie powinny dostąpić jednostki zniesławione.

---

[1]) We Francyi kategorya osób niegodnych nie jest pozbawiona prawa należenia do siły zbrojnéj; jednakże za karę uzupełnia tylko pewne specyalne oddziały wojska (kompanie dyscyplinarne i bataliony lekkiéj piechoty afrykańskiéj), które mają wzbroniony sobie pobyt na terytoryum Francyi europejskiéj. Francuski prawodawca wychodzi z założenia, że służba wojskowa jest bądź co bądź ciężarem, aczkolwiek przedewszystkiém jest zaszczytem, i że byłoby zatém rzeczą rażącą, gdyby popełnienie przestępstwa uwalniało kogokolwiek od tego ciężaru.

Z tego wychodząc założenia, wszystkie rozpatrywane tutaj prawodawstwa, z wyjątkiem francuskiego, pozbawiają tego rodzaju jednostki prawa należenia do siły zbrojnéj.

Rosyjska ustawa poborowa uważa za niegodnego należenia do siły zbrojnéj tego, kogo wyrok sądowy pozbawił wszystkich praw stanu, lub wszystkich szczególnych praw i przywilejów, do osoby lub do stanu przywiązanych.

Prawodawstwa innych państw zawierają przepis analogiczny.

Kategorya zniesławionych popisowych (ze względu na ich młody wiek) jest nieliczna: w 1895 r. we Francyi takich popisowych było 108, w Niemczech 1285. O wiele, oczywiście, liczniejszą jest kategorya popisowych, zwalnianych od powinności orężnéj z powodu braku odpowiedniego uzdolnienia fizycznego lub duchowego. Zwolnienia takiego wymaga zarówno interes wojska, jak i interes społeczeństwa: ludzie, niezdatni do służby wojskowéj, na inném polu mogą być pożyteczni, a dla wojska byliby tylko ciężarem To też we wszystkich państwach od powinności orężnéj zwalniane są jednostki nieprzydatne do wojny z powodu niemocy fizycznéj lub duchowéj.

W kwestyi niezdatności do posług wojskowych nasuwa się samo przez się pytanie: czy istnieją pewne cechy d o d a t n i e, któreby można było uważać za dowód nieomylny zdatności do służby wojskowéj, pytanie wielkiéj doniosłości zarówno ze względu na konieczność udzielenia osobom, dopełniającym oględzin popisowych, pewnych wskazówek na doświadczeniu opartych, jak i ze względu na konieczność zabezpieczenia popisowych od samowoli i kaprysu komisyi poborowych.

Dawniéj, istotnie, uważano niektóre symptomata, jako to: wysoki wzrost, pewien stosunek pomiędzy wzrostem a wagą ciała, pewną objętość klatki piersiowéj i t. p., za nieomylny dowód zdatności do służby wojskowéj, lecz wszystkie takie cechy dodatnie okazały się zwodniczemi, skutkiem czego prawodawca współczesny poprzestaje zwykle: na określeniu wieku poborowego, na wskazaniu najmniejszego wzrostu i na wyliczeniu i opisaniu chorób i wad cielesnych, uwalniających od służby w wojsku w ogóle, lub tylko w pewnych jego rodzajach.

Zdatnym do służby wojskowéj może być tylko organizm, który się całkowicie rozwinął. Następuje to zwykle pomiędzy 23 a 26 rokiem życia; ponieważ wszakże służba wojskowa byłaby zanadto uciążliwa dla ludności, gdyby się zaczynała w tak późnym stosunkowo wieku, przeto wiek poborowy jest we wszystkich rozpatrywanych tutaj państwach o wiele niższy.

Ustanowienie téj lub innéj miary, jako *minimum* wzrostu wymaganego od rekrutów, zależy od średniego wzrostu ludności danego pań-

stwa i od stosunku liczebnego rocznego kontyngensu rekrutów do ogólnéj liczby popisowych nieuprzywilejowanych.

Co się tyczy wreszcie chorób i kalectw, uwalniających od służby wojskowéj lub od służby w pewnych rodzajach wojska, lista ich jest długa i z natury rzeczy wszędzie prawie jednobrzmiąca, aczkolwiek w każdém państwie według innego systemu ułożona.

Ponieważ obowiązek należenia do siły zbrojnéj w ogólności jest powszechny, więc i obowiązek należenia do wojska, jako jéj głównego składnika, powinien być powszechny. Jest on wszakże powszechny tylko we Francyi, w któréj niema pospolitego ruszenia, skutkiem czego wszyscy popisowi, z wyjątkiem wymienionych wyżéj, zaliczani są do wojska. W innych państwach istnieją wyjątki od powyższéj zasady; najmniéj wyjątków ustanowiono w Austro-Węgrzech, drugie miejsce zajmują Niemcy; najwięcéj wyjątków widzimy we Włoszech, a zwłaszcza w Rosyi.

W Austro-Węgrzech zaliczani są bezpośrednio do pospolitego ruszenia tylko popisowi mniéj zdatni do służby wojskowéj, mianowicie niezdatni do służby pod bronią (*waffenunfähig*), w Niemczech zaś, oprócz popisowych mniéj zdatnych — i tacy zupełnie zdatni do służby wojskowéj popisowi, których praca jest niezbędna dla utrzymania ich rodziny, lub którzy wskutek zaliczenia ich do wojska na zbyt wielkie straty materyalne byliby narażeni.

We Włoszech kategorya zwalnianych od służby wojskowéj jest o wiele liczniejsza. Do téj ulgi mają prawo tak podczas pokoju, jak w czasie wojny, popisowi, których obecność w domu dla utrzymania rodziny jest według ustawy niezbędna, lub którzy przez innych zostali zastąpieni.

W Rosyi kategorya takich uprzywilejowanych popisowych jest jeszcze liczniejsza, bo ustawa jeszcze bardziéj uwzględnia interes rodzin: stanowią oni połowę ogólnéj liczby młodzieńców, stawających do poboru.

Oprócz popisowych, zasługujących na ulgę ze względów familijnych, zaliczani są do pospolitego ruszenia w Rosyi i we Włoszech tacy popisowi, którzy, będąc pobranymi do wojska lub służąc w wojsku, przez innych dobrowolnie zastąpieni zostali.

Nie jest to wyjątek od zasady, że powinność orężna jest osobista, gdyż zastąpiony nie zostaje od téj powinności zwolniony; zważywszy wszakże, że jéj kwintesencyę stanowi służba wojskowa, od któréj zastąpiony dzięki zamianie zostaje uwolniony, przyjść należy do wniosku,

że zamiana taka tylko w rzadkich wypadkach powinna mieć miejsce. Tak też postąpił prawodawca zarówno w Rosyi jak i we Włoszech.

W Rosyi zamiana dozwolona jest, za zgodą zobopólną, pomiędzy dwoma braćmi rodzonymi, przyrodnimi, lub w czwartym stopniu pokrewieństwa pomiędzy sobą zostającymi, z których jeden zaliczony został do wojska, lub już się w służbie czynnéj znajduje, drugi zaś nie staje do poboru, nie należy do rezerwy i liczy co najmniéj lat 21, a co najwyżéj 26. Zastępca obowiązany jest przesłużyć pod chorągwią i w rezerwie cały czas ustawą przepisany, zastąpiony zaś przechodzi do pospolitego ruszenia. Zastępstwo pomiędzy żydami jest niedopuszczalne.

We Włoszech zamiana jest dozwolona tylko pomiędzy braćmi rodzonymi lub przyrodnimi.

Mówiliśmy wyżéj o popisowych, zwalnianych od służby w wojsku. Nie wszyscy wszakże popisowi, zaliczeni do wojska, służą w armii stałéj, i następna z kolei ulga polega zatém na zwolnieniu od służby czynnéj, a mianowicie na zaliczeniu bezpośredniém bądź do rezerwy zwykłéj, bądź do rezerwy zapasowéj.

Bezpośrednio do rezerwy (t. j. do zwykłéj rezerwy) zaliczają tylko w Rosyi. W innych państwach uldze téj odpowiada zaliczenie do rezerwy zapasowéj, skutkiem czego rezerwa składa się tam wyłącznie z wyćwiczonych żołnierzy.

W Rosyi zaliczani są wprost do rezerwy, w razie wylosowania nizkiego numeru, popisowi, posiadający stopień doktora medycyny lub lekarza, magistra farmacyi, magistra weterynaryi lub weterynarza, o ile nie ukończyli zakładu naukowego, do służby w wydziale wojny obowiązującego; daléj, pensyonarze Cesarskiéj Akademii Sztuk Pięknych, wysłani zagranicę dla dalszych studyów na koszt skarbu; nauczyciele, etatowi guwernerowie i etatowi ich pomocnicy we wszystkich rządowych zakładach i niektórych innych; wreszcie, inspektorowie seminaryów i szkół duchownych.

We Francyi zaliczają do rezerwy zapasowéj popisowych, którzy nie trzymają minimalnéj miary wzrostu, lub do służby pod bronią nie są zdatni, aczkolwiek za zupełnie niezdatnych nie mogą być uznani; we Włoszech zdatnych zupełnie popisowych, a nie mających prawa do wyższéj ulgi, którzy wylosowali wysoki numer; wreszcie, w Niemczech i w Austro-Węgrzech znacznie więcéj popisowych, niż gdzieindziéj, jest to bowiem najbardziéj rozpowszechniona w tych państwach ulga.

Zaliczenie do rezerwy jest ulgą tylko w czasie pokoju. W razie wojny, położenie rezerwistów zapasowych jest o tyle tylko dogodniej-

sze, niż położenie zwykłych rezerwistów, że nie odrazu przenoszeni są na teatr wojny, formują z nich bowiem w zasadzie tylko oddziały zapasowe, zapełniające luki w oddziałach walczących, i tylko wyjątkowo użyci będą do zmobilizowania oddziałów walczących. Jedynie francuscy rezerwiści zapasowi tudzież niemieccy, zaliczeni do rezerwy zapasowéj, począwszy od 1893 roku, przeznaczeni są do rozmaitych gałęzi służby pomocniczéj (na kolejach, w składach, piekarniach i t. d.).

Dodajmy, że w razie wojny nie wszyscy rezerwiści obowiązani są stawić się pod chorągiew: we wszystkich państwach piastowanie pewnych urzędów uwalnia od tego obowiązku.

Popisowi, którym komisya poborowa nie udzieliła żadnéj z ulg wyżéj omówionych, zaliczani są do armii stałéj. Lecz i ta kategorya nie jest jednolita, i tu są jednostki uprzywilejowane, mianowicie jednostki służące pod chorągwią krócéj od innych.

Skrócone okresy służby czynnéj są ustanowione: 1) dla niektórych rekrutów—we wszystkich państwach, z wyjątkiem Włoch, 2) dla ochotników uprzywilejowanych — we wszystkich państwach, w których instytucya ta istnieje.

We wszystkich państwach zaliczają do wojska, oprócz rekrutów, młodzieńców, dobrowolnie zaciągających się pod chorągiew. Ochotnicy tacy dzielą się na zwyczajnych i uprzywilejowanych.

Ochotnicy zwyczajni dlatego się tak nazywają, że pod względem obowiązków nie różnią się wcale od rekrutów.

Kategorya ta w Rosyi jest bardzo nieliczna, ponieważ od ochotników zwyczajnych wymaga się w Rosyi 21 lat skończonych, a do poboru stają młodzieńcy, którzy skończyli lat 20, skutkiem czego w charakterze ochotnika zwyczajnego może się zaciągnąć tylko ten, który do wojska nie jest obowiązany należéć, a więc, naprzykład, popisowy zaliczony do pospolitego ruszenia. Przeciwnie, w Niemczech i w Austro-Węgrzech, gdzie można zaciągać się już po skończeniu lat 17, we Francyi i we Włoszech, gdzie od zaciągających się dobrowolnie na warunkach rekrutów wymaga się skończonych lat 18, kategorya ochotników zwyczajnych jest stosunkowo bardzo liczna, możność bowiem wcześniejszego odsłużenia czasu obowiązkowego pod chorągwią nęci niejednego.

Instytucya ochotników uprzywilejowanych ma na celu: z jednéj strony ułatwić wykształconéj młodzieży wypełnienie obowiązku służby wojskowéj, z drugiéj —wytworzyć dostateczny zasób niższych oficerów, lekarzy, weterynarzy i farmaceutów wojskowych, niezbędny dla postawienia armii na stopie wojny. Instytucya ta istnieje

we wszystkich państwach, z wyjątkiem Francyi. Wszędzie ochotnicy uprzywilejowani mogą wybrać sobie z pewnemi zastrzeżeniami rodzaj broni i pułku.

W Rosyi skrócone okresy służby czynnéj są ustanowione dla rekrutów, posiadających pewne, nawet nieznaczne wykształcenie szkolne. Każdy zakład naukowy, wymieniony w dodatku do art. 53 ustawy o powinności orężnéj, daje pewne prerogatywy w tym względzie. I tak młodzieńcy, którzy ukończyli zakład naukowy I-go lub II-go rzędu, sześć klas gimnazyum lub szkoły realnéj, lub drugą klasę seminaryum duchownego, pozostają w służbie czynnéj 2 lata (zamiast obowiązkowych pięciu); ci, którzy skończyli zakład III-go rzędu, służą 3 lata; ci wreszcie, którzy skończyli szkółkę elementarną lub inny zakład IV-go rzędu, pozostają w służbie czynnéj 4 lata.

W charakterze ochotników uprzywilejowanych mogą zaciągać się tylko: 1) młodzieńcy, którzy w razie zaciągu przymusowego mieliby prawo do służby dwuletniéj (I kategorya ochotników) i 2) tacy, którzy zdali specyalny egzamin, według programu odpowiadającego mniéj więcéj kursowi czterech klas gimnazyum (II kategorya ochotników). Oprócz tego, ochotnik winien odpowiadać przepisanym warunkom budowy fizycznéj i zdrowia i liczyć co najmniéj lat 17, a w razie niepełnoletności złożyć zezwolenie rodziców lub opiekunów. Nie mogą zaciągać się w charakterze ochotników uprzywilejowanych młodzieńcy, znajdujący się pod śledztwem lub sądem, skazani na karę połączoną z pozbawieniem prawa do służby rządowéj, lub uznani przez sąd za winnych kradzieży lub oszustwa. Ochotnicy, wstępujący do gwardyi i jazdy liniowéj, muszą, a pozostali mogą utrzymywać się własnym kosztem. Ulga polega na tém, że ochotnicy I kategoryi służą pod chorągwią jeden rok, ochotnicy II kategoryi i ochotnicy marynarki (do któréj przyjmują tylko tych, którzy ukończyli wyższy zakład naukowy) dwa lata; do rezerwy wszyscy ochotnicy należą przez dwanaście lat, a zatém ogółem należą do wojska przez lat 13 lub 14, czyli o 5, względnie 4 lata krócéj od rekrutów. W innych państwach ochotnicy należą do wojska przez tyleż lat, co i rekruci, tylko zostają pod chorągwią krócéj.

W Niemczech nauczyciele szkół ludowych i kandydaci na ten urząd egzaminowani są przenoszeni do rezerwy już po 10 tygodniach pobytu pod chorągwią. Jeżeli jednak taki osobnik porzuci zawód, lub złożony zostanie z urzędu nauczyciela ludowego przed upływem roku, w którym kończy lat 25, to władza wojskowa może go powołac do odsłużenia reszty czasu (w Niemczech służba czynna wynosi: w wojsku pieszém dwa lata, w konném trzy). Następnie, jeden rok tylko obo-

wiązani są przesłużyć pod chorągwią ochotnicy uprzywilejowani, zwani tam dlatego jednorocznymi.

W Austro-Węgrzech służą jeden rok pod chorągwią wszyscy młodzieńcy, którzy przed 1 marca roku poborowego skończyli średni zakład naukowy, albo zdali egzamin przed komisyą wojskową: zaciąg dobrowolny nie jest konieczny. Wszyscy tacy młodzieńcy noszą nazwę ochotników jednorocznych, chociażby pochodzili z zaciągu przymusowego.

We Francyi wszyscy popisowi, mający prawo do skróconéj służby czynnéj, oraz tacy, którzy mogą być od niéj zwolnieni, noszą miano *dispensés* i dzielą się na cztery kategorye:

1) tacy, którzy nie służą wcale pod chorągwią (patrz o nich wyżéj).

2) którzy służą jeden rok pod chorągwią,

3) którzy służą rok i cztery tygodnie,

4) którzy służą dwa lata (we Francyi obowiązuje trzyletnia służba czynna).

Prawo do służby jednorocznéj przysługuje: 1) uprzywilejowanym z samego prawa popisowym (*soutiens légaux de famille)* i 2) popisowym, stanowiącym niezbędną podporę swéj rodziny (*soutiens effectifs de famille)*. Różnica pomiędzy temi dwiema kategoryami polega na tém, że na rzecz popisowych pierwszéj kategoryi ustanowione jest domniemanie prawne, iż są podporą swoich rodzin, domniemanie, które może być obalone tylko na skutek skargi tychże rodzin, podczas gdy popisowi drugiéj kategoryi muszą udowodnić, że są istotnie podporą swéj rodziny, t. j. rodziny, do któréj należą, nie zaś téj, którą sami założyli (takie same stanowisko zajmują ustawy poborowe innych państw).

Rok i cztery miesiące obowiązani są przesłużyć popisowi, wymienieni w artykule 23 ustawy, jako to: nauczyciele publicznych zakładów naukowych, którzy zobowiązali się do służby dziesięcioletniéj w tych zakładach, studenci czterech fakultetów i innych wyższych zakładów naukowych w kraju i t. p. Tego rodzaju popisowi utracają prawo do ulgi w razie nieuczynienia zadość wymaganiom, wskazanym w tymże artykule 23-m, naprzykład, nauczyciele, jeżeli w ciągu pierwszego roku, po odsłużeniu jednego roku pod chorągwią, nie otrzymają posady nauczycielskiéj, lub ją utracą; studenci, jeżeli w roku kalendarzowym, w którym kończą lat 27, nie otrzymają patentu; seminarzyści, jeżeli przed tym terminem nie zostaną wyświęceni — i t. d. Tego rodzaju popisowi są powoływani pod chorągiew na 4 tygodnie w ciągu roku poprzedzającego ich przeniesienie do rezerwy (służą czynnie rok, dwa lata zaś są na urlopie), służą zatém rok i cztery tygodnie.

Wreszcie, dwa lata służą wojskowi, którym dowódzcy oddziałów samoistnych władni są udzielić urlopu, jako niezbędnym podporom swoich rodzin, po dwu latach służby czynnéj.

We Włoszech skrócone okresy służby czynnéj są ustanowione tylko, jak rzekliśmy, na rzecz ochotników uprzywilejowanych.

Pozostała do omówienia jeszcze jedna ulga w zakresie wykonywania powinności orężnéj, mianowicie odroczenie poboru.

Odroczenie poboru, jak wiemy, może być albo ulgą albo ciężarem, a mianowicie zależnie od tego, czy będzie udzielone na skutek wyrażonego życzenia, czy też zurzędu, bez względu na życzenie popisowego, wyłącznie w interesie siły zbrojnéj.

W tym ostatnim wypadku popisowy nie kwalifikuje się do wojska, mimo to nie zostaje zwolniony od służby, a przynajmniéj od służby czynnéj, i zmuszony jest stanąć jeszcze raz do poboru.

Przeciwnie, w pierwszym wypadku popisowy mógłby być wzięty do wojska odrazu, w pierwszym roku swéj powinności wojskowéj, odraczają mu wszakże czynną służbę w jego własnym interesie, na skutek objawionego życzenia. Odroczenie poboru, jako ulga, jest często udzielane odrazu na dwa lub więcéj lat; jako ciężar, jest udzielane za każdym razem tylko na rok.

Odraczają pobór we wszystkich państwach z powodu niedostatecznego rozwinięcia fizycznego. Wobec wczesnego powoływania ludności do poboru, staje się rzeczą niemożliwą pobrać potrzebną ilość rekrutów śród popisowych nieuprzywilejowanych jednéj klasy wieku, i dla tego popisowi, co do których można mieć nadzieję, że w najbliższéj przyszłości staną się zdatnymi do służby wojskowéj, otrzymują odroczenie. We wszystkich państwach odraczają pobór z tego powodu dwukrotnie, za każdym razem na przeciąg jednego roku. Odroczenie poboru z téj zasady nie jest, oczywiście, ulgą, lecz ciężarem, popisowy bowiem pozostaje w niepewności i musi wykonać po raz wtóry lub trzeci w całości lub w części powinność wojskową, bynajmniéj nie we własnym interesie.

Ustawa rosyjska odracza pobór popisowym, którzy jeszcze nie zmężnieli o tyle, aby módz służyć w wojsku; popisowym, dotkniętym chorobą, która nie uwalnia od służby wojskowéj; wreszcie popisowym, którzy jeszcze nie powrócili do sił po niedawno przebytéj chorobie, lub którym do wzrostu minimalnego brakuje 1 werszka lub mniéj.

Odroczenie poboru w charakterze ulgi ustawa rosyjska zapewnia w razie wyrażonego życzenia:

1) tym, którzy zarządzają osobiście majątkiem ziemskim, nieruchomością miejską, zakładem handlowym, fabrycznym, lub przemysłowym — dla uregulowania spraw majątkowych;

2) wychowańcom zakładów naukowych I i II rzędu—dla dokończenia edukacyi, wreszcie

3) osobom, które na podstawie kontraktu służą na rosyjskich okrętach handlowych.

Odroczenie, udzielane dla względów majątkowych, nie może przenosić lat dwu.

Odroczenie dla względów edukacyjnych jest udzielane na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, zależnie od rodzaju zakładu naukowego: najkrótsze dla ukończenia gimnazyum — do 22 roku życia włącznie, najdłuższe dla ukończenia uniwersytetu — do 27 i dla ukończenia akademii duchownéj — do 28 roku.

Wreszcie dla popisowych, którzy służą w marynarce handlowéj, służba wojskowa może być odroczona najwyżéj do ukończenia lat 25, lecz każde dwa lata, spędzone na okręcie, skracają o jeden rok czas należenia do rezerwy (w marynarce rosyjskiéj służba czynna trwa lat 7, a do rezerwy należy się przez lat 3).

W Niemczech, celem powiększenia środowiska, z którego wybiera się rekrutów, odraczają pobór bardzo licznéj rzeszy popisowych, a mianowicie:

1) z powodu czasowego istnienia przyczyn, pozbawiających poddanego prawa należenia do siły zbrojnéj,

2) z powodu czasowéj niezdatności,

3) z powodu stosunków rodzinnych (popisowym, którzy w Rosyi byliby odrazu zaliczeni do pospolitego ruszenia),

4) z powodu nadmiaru zdatnych popisowych,

5) dla ukończenia edukacyi.

To ostatnie jest udzielane na zasadzie posiadania świadectwa, uprawniającego do służby jednorocznéj w charakterze ochotnika. Młodzieńcy, posiadający takie świadectwo, otrzymują w pierwszym roku swéj powinności wojskowéj jednorazowo odroczenie poboru na lat trzy, mianowicie do 1 października tego roku, w którym kończą lat 23. Następnie, młodzieńcy tacy mogą uzyskiwać co rok odroczenie poboru do następnego roku aż do 1 października siódmego roku swéj powinności wojskowéj, t. j. tego roku, w którym kończą lat 26.

W Austro-Węgrzech odraczają pobór wszystkim popisowym dwu ostatnich klas wieku, którzy do wojska nie zostali zaliczeni, z wyjątkiem zakwalifikowanych do pospolitego ruszenia i zwolnionych od obowiązku do należenia siły zbrojnéj, jako zupełnie niezdatnych. Tym

sposobem obowiązek stawienia się po raz wtóry lub trzeci do poboru ciąży w Austro-Węgrzech na znacznie większéj liczbie jednostek, aniżeli w jakiémkolwiek innèm państwie.

Odroczenie, jako ulga, jest udzielane tylko młodzieńcom mającym prawo do służby jednorocznéj i zaliczonym do wojska (*assentiert*). Młodzieńcy tacy obowiązani są w zasadzie wstąpić do wojska w tym roku, w którym doń zaliczeni zostali, mogą wszakże, po złożeniu dowodu pobierania nauk w wyższym zakładzie naukowym, odroczyć swą służbę czynną na rok, dwa lub trzy lata, t. j. najdaléj do 1 października tego roku, w którym kończą lat 24.

We Francyi udzielają odroczenia tylko dla względów fizycznych, dwukrotnie, za każdym razem na przeciąg jednego roku.

W ustawie włoskiéj oprócz przepisu analogicznego znajdujemy inny, według którego otrzymują odroczenie poboru aż do 26 roku życia ochotnicy jednoroczni, uczęszczający do uniwersytetu lub wyższéj szkoły technicznéj, albo handlowéj, oraz tacy, dla których przerwanie studyów lub nauki dla służby wojskowéj byłoby zbyt wielką krzywdą, lub którzy są niezbędnie potrzebni do kierowania gospodarstwem rolném, zakładem przemysłowym lub przedsiębiorstwem handlowém, należącém do nich lub do ich rodziny.

Następnie ulga ta jest udzielana studentom uniwersytetów i tym podobnych zakładów naukowych, zaliczonym do armii stałéj w charakterze rekrutów; jest ona udzielana, na skutek ich prośby, z upoważnienia ministra wojny, aż do ukończenia lat 26, względnie do chwili ukończenia zakładu lub wystąpienia zeń przed skończeniem, o tyle wszakże, o ile należeli co najmniéj przez rok do jednego z towarzystw strzeleckich.

Chcąc mieć dokładne wyobrażenie o pewnym przedmiocie, należy go badać z kilku stron.

Badając charakter powinności orężnéj na jéj współczesnym stopniu rozwoju, omówiliśmy zosobna każdą ulgę w zakresie wykonywania powinności téj w głównych państwach lądu europejskiego, t. j. wskazaliśmy, jakie kategorye popisowych korzystają w tych państwach z każdéj ulgi zosobna. Chcąc jeszcze oświetlić ten sam przedmiot z innéj strony, należałoby odpowiedzieć na pytanie, jakie ulgi ustanowione są w rozmaitych państwach na rzecz jednych i tych samych kategoryi popisowych, ażeby czytelnik mógł jaśniéj zdać sobie sprawę z tego, w jaki sposób zostały uwzględnione w rozmaitych państwach interesa poszczególnych jednostek i całego społeczeństwa. Szczupłe ramy ni-

niejszego artykułu pozwalają nam przyjrzéć się tylko ulgom, ustanowionym przez wzgląd na interes rodzin.

Ulgi takie mają niewątpliwie największą racyę bytu po ulgach ze względów fizycznych. Aczkolwiek armia stała traci przez to pewną liczbę rekrutów, to jednak korzyść, którą państwo osiągnęłoby przez pobranie tych jednostek do armii stałéj, nie mogłaby wynagrodzić strat materyalnych, któreby poniosło państwo i społeczeństwo wskutek ruiny materyalnéj rodzin rzeczonych jednostek i wydatków na wsparcie dla tychże rodzin.

We wszystkich państwach prawo do ulgi przysługuje jedynemu zdolnemu do pracy mężczyźnie, należącemu do rodziny, a więc: jedynemu zdolnemu do pracy synowi, którego matka jest wdową, lub ojciec jest do pracy niezdolny, a gdy rodzice nie żyją — jedynemu zdolnemu do pracy wnukowi, którego babka jest wdową, lub dziadek jest do pracy niezdolny, i jedynemu zdolnemu do pracy bratu, opiekującemu się pozostałém rodzeństwem. Lecz ta wspólna wszystkim ustawom zasada jest stosowana w rozmaitych państwach rozmaicie. W Niemczech i w Austro-Węgrzech a po części we Francyi ulgi udzielane są tylko członkom rodzin, rzeczywiście potrzebujących pomocy; jasną jest rzeczą, że liczba popisowych, korzystających z ulgi, wahać się musi zależnie od zapatrywania się władz na położenie materyalne rodzin zainteresowanych; przeciwnie, w Rosyi, we Włoszech i po części we Francyi ulga udzielana jest na podstawie pewnego składu rodziny, niezależnie od tego, czy ta może utrzymywać się bez pomocy ze strony popisowego, czy nie. Następnie, w rozmaitych ustawach wyrazy: zdolny do pracy i rodzina są rozmaicie pojmowane. We Francyi i we Włoszech uważani są za niezdolnych do pracy mężczyźni, którzy skończyli lat 69, w Rosyi mężczyźni, którzy skończyli lat 55; w Niemczech i Austro-Węgrzech jedni i drudzy mogą być uznani za zdolnych do pracy, bo tego rodzaju domniemanie prawne jest obce ustawom tych dwu państw. Podobnież, gdy idzie o przyznanie ulgi, inne osoby wyłączane są ze składu rodziny w Rosyi, inne we Włoszech i t. d.

Daléj ulga jest ustanowiona w Rosyi, we Francyi i we Włoszech na rzecz rodzin, których jeden lub kilku członków znajduje się pod chorągwią. Następnie, w Rosyi i we Włoszech prawo do ulgi przysługuje jedynakowi, tudzież jedynemu zdolnemu do pracy synowi, gdy ojciec jest także zdolny do pracy; w tym razie ustawa rosyjska poczytuje za niezdolnych do pracy synów, którzy nie skończyli lat 18, włoska zaś synów, którzy nie skończyli lat 12. Daléj, we Francyi prawo do ulgi przysługuje najstarszemu lub jedynemu synowi w rodzinie, liczącéj co najmniéj siedmioro dzieci, w Austro-Węgrzech—w braku synów, jedy-

nemu zięciowi niezdolnego do pracy ojca lub matki wdowy, o ile takowy nie znajdował się w położeniu, zapewniającém mu tę ulgę, już przy wstępowaniu w związki małżeńskie.

Ulgi są ustanowione w zasadzie tylko na rzecz dzieci prawych lub uprawnionych przez małżeństwo ich rodziców.

Położenie dzieci naturalnych i przysposobionych tudzież pasierbów i braci przyrodnich w różnych państwach wobec powinności orężnéj jest mniéj dogodne. Dla przykładu weźmy ustawę rosyjską.

W Rosyi syn naturalny posiada prawo do ulgi, jeżeli rzeczywiście utrzymuje ze swéj pracy matkę, nie mającą innego zdolnego do pracy syna, siostrę, lub niezdolnego do pracy brata. Tak więc dzieci naturalne nie korzystają z domniemania prawnego, ustanowionego na rzecz dzieci prawych.

Dzieci przysposobione należą w Cesarstwie do rodziny osoby, która je przysposobiła, o ile zostały przysposobione przed skończeniem lat 10. W Królestwie, w myśl kodeksu polskiego z 1825 r., przysposobienie nie może miéć miejsca przed pełnoletnością mającego być przysposobionym; dlatego u nas istnieje przepis specyalny o udzielaniu ulgi na skutek przysposobienia. Przepis ten głosi, że podrzutki i sieroty zupełne, wzięte w opiekę dobrowolną przed osiągnięciem lat 10, otrzymują odroczenie poboru na lat dwa, ażeby mogły być przysposobione. Po upływie tego czasu, przysposobieni nabywają prawo do ulgi ze względu na skład rodziny, a nieprzysposobieni zaliczani są do armii stałéj, o ile, oczywiście, nie wylosowali wysokiego numeru.

Pasierb wreszcie należy do rodziny swego ojczyma lub macochy, dopóki żyje jego matka lub ojciec; pasierb, który utracił oboje rodziców, korzysta z ulgi, gdy ojczym lub macocha oświadczy, że takowy rzeczywiście opiekuje się ich rodziną, o ile wszakże ta ostatnia nie posiada w swym składzie zdolnego do pracy mężczyzny; wreszcie, rodzeństwo przyrodnie stanowi jedną rodzinę, gdy żadne z nich nie posiada swoich rodziców.

Widzieliśmy już, że uprzywilejowani dla względów rodzinnych popisowi nie korzystają we wszystkich państwach z jednakowéj ulgi, zaliczają ich bowiem: w Rosyi i we Włoszech do pospolitego ruszenia, w Niemczech i w Austro-Węgrzech do rezerwy zapasowéj (w Niemczech wyjątkowo i do pospolitego ruszenia), wreszcie we Francyi na rok do armii stałéj. Tak więc ulga pod każdym względem jest największa w Rosyi i we Włoszech; w Niemczech i w Austro-Węgrzech uprzywilejowani dla względów rodzinnych popisowi tylko podczas pokoju nie pełnią służby czynnéj (z wyjątkiem okresów ćwiczeń), gdy we

Francyi nawet w czasie pokoju obowiązani są odsłużyć rok pod chorągwią.

Wszystkie inne ulgi posiadają znaczenie drugorzędne, ponieważ stają się udziałem niewielkiéj liczby popisowych i polegają przeważnie na odroczeniu poboru i skróconych okresach służby czynnéj.

Wyłożyliśmy wyżéj powody, z których powinność orężna nie może być dla wszystkich poddanych jednakowo uciążliwa. Ażeby złagodzić to złe konieczne, prawodawcy austryacko-węgierscy i francuscy ustanowili specyalny podatek wojskowy i do płacenia go pociągnęli tych wszyskich, którzy dla jakichbądź powodów powinności orężnéj wcale lub przynajmniéj w pewnym jéj zakresie nie spełnili.

W Austro-Węgrzech podatek wojskowy *(die Militär-Taxe)* pod względem wysokości jest podzielony na klasy, których w Austryi jest 14, na Węgrzech 12. Najniższa taksa wynosi w Austryi 1 gulden, na Węgrzech 3 guldeny, najwyższa 100 guldenów rocznie.

Podatek wojskowy ciąży:

1) na popisowych, którzy z powodu niezdatności nie zostali do wojska zaliczeni;

2) na tych, którzy z powodu niezdatności od należenia do wojska zostali zwolnieni, o ile przyczyną niezdatności nie było pełnienie obowiązków służby wojskowéj;

3) na tych, którzy przed upływem obowiązkowéj dwunastoletniéj służby wojskowéj wyemigrowali.

Dochód z podatku wojskowego wynosi rocznie około 4 milionów guldenów (w Austryi 1.3, na Węgrzech 2.7). Z téj sumy dołącza się 2 miliony (w Austryi 1,171,465, na Węgrzech 828,535 guldenów) do tak zwanego funduszu taksy wojskowéj *(Militärtax-Fonds)*, przeznaczonego do polepszania bytu inwalidów i wspiérania wdów i siérot po wojskowych, którzy polegli w obliczu nieprzyjaciela, lub zmarli wskutek trudów wojennych. Fundusz ten wynosi obecnie około 34 milionów guldenów. Reszta stanowi dochód państwowy; za to ciąży na państwie obowiązek troszczenia się o rodziny wojskowych nieczynnych i pospolitaków, powołanych przy mobilizacyi do służby czynnéj.

Francuska taksa wojskowa *(la taxe militaire)* składa się z trzech elementów:

1) z podatku pogłównego, jednakowego dla wszystkich *(taxe fixe)*;

2) z podatku, ustosunkowanego do środków opodatkowanego *(taxe proportionnelle)*;

3) z podatku dodatkowego, ustosunkowanego do środków rodziny opodatkowanego *(taxe additionnelle)*.

Do tego dochodzi opłata na koszta ściągania i administracyę w ilości 8%.

Taksa pogłówna jest stała i wynosi 6 franków.

Taksa proporcyonalna równa się podatkowi od osoby i ruchomości, przypadającemu od kontrybuenta podatku wojskowego.

Taksa dodatkowa równa się ilorazowi z podzielenia podatku od osoby i ruchomości, przypadającego od wstępnego najbliższego i najbardziéj opodatkowanego, przez liczbę dzieci żyjących lub reprezentowanych; czynność tę powtarza się dwukrotnie, jeżeli kontrybuent posiada tylko wstępnych drugiego stopnia.

Do utworzonéj w ten sposób sumy dodaje się 5% na administracyę, a od téj dopiéro sumy oblicza się pozostałe 3% na koszta ściągania.

Podatek wojskowy we Francyi jest ustosunkowany nietylko do zamożności kontrybuenta, ale i do czasu, jaki ten ostatni przesłużył pod chorągwią. W tym celu podatek ten jest podzielony na 36 części, odpowiednio do normalnéj 36 miesięcznéj służby czynnéj, i każdy całkowity miesiąc, spędzony pod chorągwią, pociąga za sobą zmniejszenie podatku o $^{1}/_{36}$. Na poczet trzyletniéj służby czynnéj, uwalniającéj od podatku, zarachowywany jest czas, spędzony przez kontrybuenta pod chorągwią z jakiegokolwiekbądź powodu i w jakimkolwiekbądź roku służby wojskowéj, byle nie z powodu ćwiczeń, tak, iż te trzy lata mogą stanowić okres przerywany.

Podatek wojskowy ciąży na kontrybuencie aż do zaliczenia jego klasy wieku do rezerwy armii terytoryalnéj, czyli w zasadzie przez lat 19. W razie mobilizacyi ogólnéj ściąganie taksy zostaje zawieszone; obowiązek płacenia jéj ciąży w dalszym ciągu tylko na tych, którzy nie stawili się pod chorągiew, na dezerterach i na zwolnionych od powinności orężnéj z powodu niezdatności.

Podatek wojskowy ustanowiony został we Francyi w r. 1889-ym (w Austro-Węgrzech w r. 1880). Przypuszczalną liczbę kontrybuentów podawano wtedy na 142,000, a przeciętną wysokość taksy rocznéj na 12 franków; iloczyn tych dwu liczb, wynoszący 1,704,000 franków wypada zmniejszyć o część, przypadającą od ubogich.

Kwestyę, kto ma płacić podatek wojskowy, rozstrzygnięto we Francyi inaczéj, aniżeli w Austro-Węgrzech.

W tém ostatniém państwie podatek płaci każdy, kto nie należał przez lat 12 do wojska, we Francyi zaś każdy, kto nie przesłużył 3 lat pod chorągwią. Z tego wynika, że w obu państwach istnieje jedna tylko wspólna kategorya opodatkowanych, mianowicie kategorya popisowych, nie zaliczonych do wojska z powodu niezdatności. Po za tém,

inne kategorye poddanych płacą podatek wojskowy w Austro-Węgrzech, inne we Francyi.

Podatek wojskowy jest znany także i w Rosyi, ma on tu jednak odrębny charakter i niewielkie zastosowanie.

Podatek wojskowy w znaczeniu francuskiéj lub austryacko-węgierskiéj „taksy wojskowéj" istnieje tylko w niektórych wojskach kozackich. Płacą go kozacy niezdatni do służby wojskowéj, i jedynie w wojsku Uralskiém podatek wojskowy płacą wszyscy kozacy kategoryi polowéj, nie znajdujący się pod chorągwią, chociażby sami już odsłużyli swój czas w szeregach pułków czynnych. Podatek ten wynosi od 50 do 55 rs. rocznie od osoby.

Istnieje jeszcze w Rosyi inny rodzaj podatku wojskowego: podatek, ustanowiony wzamian powinności orężnéj. Płaci go część ludności, zwolnionéj przez ustawę od powinności orężnéj, mianowicie ludność tubylcza gub. Stawropolskiéj i muzułmańska obwodu Terskiego i Kubańskiego i Kaukazu południowego (z wyjątkiem Osetyńców), oraz niektóre inne plemiona.

W każdéj gubernii, względnie w każdym obwodzie, musi być co rok ściągnięta pewna suma, wskazana w ustawie: np. w obwodzie Czarnomorskim 400 rs., w obwodzie Terskim 38,000 rs., w gubernii Elizawetpolskiéj 140,000 rs. Ogólna suma podatku wojskowego wynosi 543,440 rs.

Przypadającą na gubernię lub obwód sumę, rozdziela pomiędzy gromady wiejskie i nie należące do nich jednostki komisya, złożona z członków, mianowanych przez naczelnika wydziału cywilnego na Kaukazie i ministra finansów, oraz z mieszkańców, zaproszonych przez naczelnika gubernii lub obwodu. Dokonany przez nią rozkład musi być zatwierdzony przez naczelnika wydziału cywilnego na Kaukazie, który takie rozpatruje podane w tym przedmiocie skargi i prośby.

Tak się przedstawia w najogólniejszych zarysach charakter współczesny powinności orężnéj w głównych państwach europejskich.

Piotr Malinowski.

KRONIKA GALICYJSKA.

Lwów, 3 lipca.

Kto chce przypiąć łatkę Galicyi, ma w téj chwili tyle sposobności do tego, że może dowolnie wybiérać najlepszą. W innych, t. j. mniéj smutnych warunkach wyborną w powyższém znaczeniu sposobność stanowiłby już sam fakt, że w odbytym niedawno wskutek śmierci ś. p. St. Wysockiego uzupełniającym wyborze posła rady państwa z Sanockiego okręgu piątéj kuryi gorąca, wprost zaciekła walka wyborcza rozgrywała się tylko między dwoma kandydatami, z których żaden do koła polskiego nie wstąpi, a więc nie uzna dotychczasowéj naszéj kardynalnéj normy na wiedeńskiéj arenie parlamentarnéj, t. j. solidarności klubowéj. Kandydata, któryby objąwszy mandat, opróżniony po ś p. Wysockim, tak samo, jak on, należéć chciał do koła polskiego, krajowy komitet wyborczy dla braku szans nawet wysunąć nie próbował. Z dwojga złego, t. j. z pomiędzy dwóch kandydatów, łamiących normę solidarności, wyborcy wybrali mniejsze złe, t. j. kandydata mniéj niebezpiecznego, Jana Stapińskiego, jednego z koryfeuszy téj frakcyi stronnictwa ludowego, któréj najwybitniejszym reprezentantem jest sympatyczny a niezwykle uzdolniony i wykształcony włościanin, Jakób Bojko. Już z tego tytułu Jan Stapiński zasługiwał na większą sympatyę, aniżeli jego kontrkandydat, dr. Włodzimierz Lewicki, forytowany przez ks. Stojałowskiego pod firmą antysemityzmu. Byłby to jednak tytuł ujemnéj tylko natury, gdyby nic innego za J. Stapińskim nie prze-

mawiało. Tymczasem rzecz się ma inaczéj, bo kto nie jest zasadniczo uprzedzony przeciw całemu ruchowi ludowemu, jego koryfeuszom i aktorom, ten musi przyznać, że mimo programowego radykalizmu J. Stapiński, człowiek jeszcze bardzo młody, niepospolicie utalentowany jako pisarz i działacz agitacyjny, a wszystko, co dotąd osiągnął, własnym trudom i pracy zawdzięczający, daje pod niejednym względem rękojmię, że postępując w dobréj wierze, przeciw któréj dotąd świadomie nie grzeszył tak, jak inni bohatérowie ruchu ludowego, a zwłaszcza przeciwnik jego ks. Stojałowski, zmityguje się z czasem w swoim radykalizmie i wśród poważnéj pracy parlamentarnéj odda niejedną usługę sprawie publicznéj.

W takim składzie rzeczy stratę jednego mandatu dla koła polskiego możnaby było uważać za przemijającą tylko porażkę. Wszystko to jednak, co nastąpiło zaraz po owym wyborze uzupełniającym, jego następstwa czy akcesorya, lub może tylko niezależne od niego wypadki, owe rozruchy antysemickie włościan kilku powiatów, które zaznaczyły się spustoszeniem mnóstwa karczem i splądrowaniem kramów żydowskich, doprowadziły już w jednéj miejscowości do rozlewu krwi, do śmierci kilkunastu niewinnych ofiar ze stanu włościańskiego, a w końcu zmusiły nawet rząd do zaprowadzenia sądów doraźnych w dwóch, a stanu wyjątkowego (zawieszenia lub ścieśnienia niektórych praw konstytucyjnych) w 33 powiatach, pomimo notorycznéj niechęci światłego, ludzkiego i wyrozumiałego do ostatecznych granic namiestnika dzisiejszego, Leona hr. Pinińskiego, — wszystko to, powtarzam, stanowi już wielką klęskę dla kraju, która wrogów jego, a nadewszystko organa zbankrutowanych politycznie epigonów centralizmu germanizacyjnego w Wiedniu, wielką napawa radością. Jednym chórem głoszą one przed światem, że Galicya wyłudziła tylko opinię ładu i porządku co do swoich stosunków społecznych i administracyjnych, że włościanin polski (bo chodzi tu głównie o zachodnie powiaty kraju) jest mimo wszelkich przechwałek naszych tak samo ciemny i dziki, jak przed 50 laty, kiedy się rzucał na dwory i mordował szlachtę po barbarzyńsku, że wreszcie cały nasz dzisiejszy ustrój polityczny opiéra się na fikcyi, bo jeżeliby postrach sądów doraźnych ze sprowadzonym już z Wiednia katem nie steroryzował tłumów chłopskich, to po karczmach i kramach żydowskich przyszłaby koléj na dwory, których mieszkańców jednak nie oszczędzanoby tak samo jak żydów, lecz traktowano znowu tak, jak w r. 1846.

Wszystkie szczegóły rozruchów i dalszego przebiegu téj sprawy pozostawić muszę sprawozdaniom prasy codziennéj, zastrzegając sobie ogólne omówienie sprawy, gdy spokój wszędzie wróci, a urzędowe do-

chodzenie wyświeci dokładnie źródło haseł rzuconych pomiędzy lud wiejski, autorów baśni o wrzekomém zezwoleniu rządowém na splądrowanie mienia żydowskiego i t. d. Tutaj ograniczę się tylko do tego, co jest niewątpliwe i co zarazem już teraz zadaje kłam insynuacyom i zapowiedziom naszych wrogów. Stawiam tedy najpierw pytanie, czy w chwili, gdy antysemityzm ogarnął wszystkie kraje, nie wyłączając najinteligentniejszego społeczeństwa, francuskiego (*vide* przebieg procesu Dreyfuss Zola), i tam doprowadza do wybuchów brutalnych, gdy bezwzględni i nieprzebierający w środkach antysemici, jak wiedeński Lueger i jego satelici, opanowywują w stolicy państwa naczelne stanowiska i mandaty, czy w chwili takiéj włościanin galicyjski, najbiédniejsza w świecie ofiara najzachłanniejszego i najbieglejszego w lichwie i wogóle w wyzysku żydowstwa, jakiém jest galicyjskie, może być uważany sam jeden tylko za ciemnego barbarzyńcę za to, że odzierany ze wszystkiego, wyzyskiwany do krwi, rugowany z ojcowizny na zabójczą emigracyę za ocean, w chwili desperacyi i zwątpienia porwał się na swojego ciemięzcę? Zgoda na zarzut barbarzyństwa *in abstracto*, ale *in concreto* włościanin nasz nie jest pewnie barbarzyńcą większym od episiera wiedeńskiego i paryskiego, któremu wyzysk żydowski nie dokuczył tak, jak włościaninowi w Galicyi, który ucisk tego wyzysku uczuwa tak, jak nagniotek, kiedy tymczasem dla chłopa galicyjskiego jest on formalnym rakiem, wżérającym się do rdzenia życia ekonomicznego. Ale z karczem i kramów żydowskich dzisiejszy włościanin nigdy, przenigdy nie podąży ku dworom z zamiarem powtórzenia krwawych orgii z r. 1846. Wiedeńscy oszczercy, stawiający taki horoskop, powinniby nie tykać smutnych wspomnień z r. 1846, bo jeżeli one mają stanowić plamę na historyi Galicyi, to sprawców téj plamy historya już dawno odszukała — po za Galicyą. *Quieta non movere!* Kto, jak dzisiejsi bankruci centralizmu germanizacyjnego..., podnosi tę sprawę dla spotwarzenia Galicyi przed światem i chce stąd wysnuwać wniosek, że cały nasz dzisiejszy dorobek narodowy, polityczny, wogóle kulturalny nie jest dorobkiem rzetelnym, lecz fikcyą, budowlą na piasku wzniesioną, ten musi być przygotowany na odprawę historycznie udowodnioną a boleśniejszą od samego ataku.

W ostatniém dziele słynnego, niedawno zmarłego utopisty amerykańskiego Bellamy'ego („Równość") bohatér, Julian West, obudzony przez dr. Leete w r. 2000 ze snu hypnotycznego, w który zapadł w ostatniém dziesięcioleciu XIX wieku, ochłonął już z osłupienia, w jakie wprawił go widok zmienionego do gruntu na modłę socyalistyczną ustroju społecznego... Kiedy nawrócony Julian West już sam zaczyna mówić z politowaniem o zasadach i poglądach swoich dawno zmarłych

rówieśników, dr. Leete wyciągnął z biblioteki swojéj dzieło Kenloego „Księga ślepych” i odczytał z niéj Westowi główniejsze ustępy. Ta „Księga ślepych” stanowi, tylko antologię wszystkich prawideł, zasad, tez i poglądów ekomiczno-społecznych, które do chwili zapadnięcia Westa w sen hypnotyczny uchodziły w świecie uczonym za niewzruszone, a teraz, w r. 2000, ta brzmią, jakby rezonowanie człowieka od urodzenia ślepego o różnych nieznanych mu kolorach.

Gdyby to tak można zbudzić ze snu wieczystego, jak ze snu hypnotycznego, jakiego matadora téj biurokracyi austryacko-niemieckiéj, która w epoce Metternichowskiéj, a zwłaszcza w r. 1846 gospodarowała w Galicyi na naczelnych stanowiskach administracyjnych, np. takiego barona Kriega, który pod nominalném namiestnikowstwem arcyksięcia Ferdynanda d'Este, jako ówczesny prezydent gubernium galicyjskiego, był głównym reżyserem całéj akcyi rządowéj! Jeżeliby potém jaki polityczny dr. Leete zdołał, oprowadziwszy takiego reprezentanta Metternichowskiéj biurokracyi po Galicyi, oswoić go z widokiem nietylko wielkiego postępu kulturalnego, do jakiego według ówczesnych pojęć biurokratycznych galicyjski „*Börenland*” był niezdolny, lecz nadto i z tą zdumiewającą metamorfozą polityczną, wśród któréj Niemcy zeszli na pochyłą drogę obstrukcyonistów, miotających obelgi na dynastyę i naruszających same podstawy ustroju państwowego Austryi, a Polacy wznieśli się na wyżynę żywiołu konserwatywnego w polityczném, społeczném i — co najważniejsza — państwowém tego słowa znaczeniu, to „Księga ślepych” byłaby gotowa. Z niéj mógłby galicyjski dr. Leete odczytać pyszne ustępy staro-biurokratycznemu Westowi z większym efektem dla czytelnika, aniżeli się to dzieje w utopii Bellamy'ego. Ten utopijny dr. Leete bowiem wisi z Westem w obłokach fantasmagoryi i czytelnik czuje, że lada chwila spadnie z nimi na grunt rzeczywistości, na którym owi wrzekomo ślepi, a istotnie trzeźwo myślący, powitają ich uśmiechem politowania. Natomiast polityczno galicyjski dr. Leete stałby od początku do końca na twardym gruncie aktualnéj rzeczywistości, skąd zbudzonemu biurokracie palcem pokazywać może obłoki, albo raczéj ciemne, złowrogie chmury, w które uniósł go w swoim czasie dawny system rządowy—na złamanie karku!

Taką polityczną „Księgę ślepych” stanowiłyby ówczesne archiwa rządowe, mianowicie akta gubernium galicyjskiego, nieprzebrana a jeszcze niewyzyskana, bo wprost niedostępna, kopalnia materyału dla przyszłych historyków Austryi i Galicyi z końcowéj doby okresu Metternichowskiego. Z prywatnych zbiorów mała tylko część materyału informacyjnego została opracowana w dwóch książkach, wydanych we Lwowie przed dwoma laty z okazyi pięćdziesięcioletniéj rocznicy stra-

sznego roku (1846), a już to samo możnaby uznać za historyczne stwierdzenie téj od pierwszéj chwili powziętéj opinii, że rok 1846-ty stanowi przedewszystkiém plamę krwawą w dziejach biurokracyi autoramentu Metternichowskiego, która w Galicyi po za plecyma nieświadomego prawdziwego stanu rzeczy, nominalnego tylko generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, i nieodgadującego nawet tego stanu cesarza Ferdynanda, nazwanego Dobrotliwym, formalnie odkomenderowała zbałamuconego chłopa do akcyi zbrodniczéj. Ta ręka szatańska, która wtedy ślepym mieczem bezkarnie wojowała, dzięki powyższym publikacyom już dziś zarysowała się wyraźnie na trwałém tle historyczném, a w chwili, gdy sumienny historyk dotrze do tajnych archiwów rządowych z r. 1846, rysy te wypełnią się tak potwornie, że przed obrazem kompletnym wzdrygać się będzie uczucie ludzkości nawet w każdym nieprzebłaganym wrogu naszym, że źdźiwienie budzić będzie raczéj fakt, iż przy takiém jawném popychaniu na drogę zbrodniczą i jawném także wynagradzaniu czynów zbrodniczych posiew szatański wydał plon stosunkowo za mało obfity, wybujał tylko w niektórych punktach kraju, wykarmił wprawdzie całą rzeszę zbrodniarzy, ale nie sprowadził trwałéj deprawacyi na całą ludność włościańską. Takiemu historykowi łatwo przyjdzie wytłómaczyć, jak się to wszystko ukryć mogło już nietylko przed Europą, wyprowadzaną wtedy w pole artykułami, które z inspiracyi br. Kriega wysyłano ze Lwowa do najpoczytniejszéj wówczas augsburskiéj *Allgemeine Zeitung*, lecz nawet przed dworem wiedeńskim za rządów cesarza, Dobrotliwym zwanego. Cała sieć zabiegów policyjnych rozciągniętą została między Wiedniem a Lwowem, aby do tronu nie doszła jaka autentyczna rewelacya, demaskująca galicyjską bandę biurokratyczną. Stąd ustaliło się wtedy w Wiedniu mniemanie, że chłop galicyjski ma we krwi swojéj taką zaciętą i nieprzebłaganą nienawiść do szlachty, iż na każde skinienie gotów byłby urządzić po raz wtóry takie krwawe wyprawy jak w r. 1846. Zdradził się z tém przekonaniem jeden z matadorów ówczesnéj biurokracyi galicyjskiéj (lwowski dyrektor policyi, Sacher-Masoch), który pamiętnik swój w kilkanaście lat późniéj wydany zamyka cyniczną przechwałką, że Austrya nie potrzebuje się już obawiać zamachów w Galicyi, bo tam: „chłop czuwa" nad jéj interesami; oczywiście, chłop taki, jakiego biurokracya austryacka z r. 1846 wychówać sobie zamyślała, chłop uzbrojony od stóp do głowy pod hasłem: hejże na szlachtę!

Sacher Masoch, wskrzeszony na chwilę, z większém osłupieniem, niż bohatér Bellamy'ego, patrzałby na obecny stan rzeczy w Austryi, w któréj chłop galicyjski, dziś chwilowo do ekscesów antysemickich popchnięty, czuwa nad interesami państwa, ale nie w śmiertelnych za-

posłach ze szlachtą, lecz razem z nią (*vide* głosowanie polskich chłopów w radzie państwa nad zeszłorocznemi wnioskami postawienia Kazimierza hr. Badeniego w stan oskarżenia); nie w sojuszu z Niemcami, lecz przeciw nim, jako przeciw żywiołowi podkopującemu obstrukcyą podwaliny państwa! Wystarczyła już w owym smutnym okresie lojalna wobec kraju i tronu refleksya hr. Gołuchowskiego, jako namiestnika Galicyi (w latach 1849—1859), aby szlachetnemu monarsze dzisiejszemu otworzyć oczy na prawdziwy stan rzeczy. Z owéj „Księgi ślepych", czyli z zamkniętych jeszcze na razie archiwów rządowych, wyjdą może kiedyś na jaw relacye składane cesarzowi Franciszkowi Józefowi przez hr. Gołuchowskiego w pierwszych latach jego pierwszego namiestnikowstwa, relacye przedstawiające stan kraju i usposobienie ludności w prawdziwém świetle, bez téj podejrzliwości oszczerczéj, którą przedtém niemiecka banda biurokratyczna utrzymać się starała rządzące sfery w Wiedniu w obawie o nowy wybuch buntu, a tém samém w przekonaniu o niezbędności zachowania rygoru absolutno terorystycznego. Gdy kiedyś na jaw wyjdą wszystkie szczegóły w powyższym rodzaju, świat otrzyma historyczny przykład pogromu wszechwładnego chwilowo, ale na fałszowaniu obrazu stosunków opartego systemu rządowego nie za pomocą wielkich wpływów i ich długiego trwałego oddziaływania, lecz tylko dzięki sile moralnéj jednego męża (hr. Gołuchowskiego), który miał odwagę odsłonić zaćmioną prawdę i umiał pogodzić lojalność urzędniczą wobec monarchy z lojalnością obywatelską wobec kraju. Nadto świat przekona się, że wielką krzywdę wyrządza wieśniakowi galicyjskiemu każdy, kto zbrodnie popełnione w r. 1846 kładzie wyłącznie na karb jego wrzekoméj nienawiści do szlachty. Biurokratyczna ręka zbrodnicza kierowała wtedy ślepym mieczem. Dziś niema téj ręki i niema już—ślepego miecza, a natomiast jest lud w ogromnéj większości tak oświecony i po obywatelsku usposobiony, że nawet wskrzeszony z grobu br. Krieg nie zdołałby go poprowadzić na dwory szlacheckie z głownią i siekierą!

Z téj „Księgi ślepych", na którą się tutaj powołujemy, epigonowie dawnéj biurokracyi austryackiéj i jéj rodzonego braciszka, centralizmu germanizacyjnego z pierwszych lat ery konstytucyjnéj w Austryi, będą mogli wziąć jeszcze wiele, bardzo wiele zbawiennych lekcyi. Weźmy jeden, dziś już wszechstronnie wyświecony przykład, sprawę polonizacyi uniwersytetu lwowskiego, o którą hr. Gołuchowski za drugiego namiestnikowstwa swojego (1866 r.) wytrwale i konsekwetnie dobijać się zaczął. Hrabia Belcredi, jako minister-prezydent z r. 1866, uznawał słuszność zadań, ale zanim mógł dotrzymać danego przyrzeczenia, ustąpić musiał przed zwycięskim na lat kilka skrajnym centra-

lizmem, którego przedstawiciele w gabinecie austryackim ze zgorszeniem słuchali wniosków hr. Gołuchowskiego, wierząc w to święcie albo raczéj wmawiając to w siebie, że zaprowadzenie polskich wykładów na uniwersytecie lwowskim równa się nietylko zagładzie jego całéj wartości naukowéj, lecz nadto zaprzepaszczeniu wszystkich interesów państwowych, wychowaniu buntowniczego pokolenia urzędników i t. d. Hr. Gołuchowski nie ustąpił, kilka lat pokonywał piętrzące się trudności, aż w końcu cel swój osiągnął. Niechżeż teraz wstanie z grobu germanizacyjno-centralistyczny Julian West i niech oceni skutki polonizacyi uniwersytetu. Wyszły z jego murów całe zastępy nie takich rzemieślników-biurokratów, jakimi darzyli Galicyę niemieccy profesorowie, nasyłane z innych prowincyi miernoty, lecz światłych urzędników-obywateli, umiejących lepiéj strzedz interesów społeczno-państwowych dzięki wyższéj inteligencyi i żywszemu poczuciu harmonii swoich obowiązków tak wobec państwa, jak i wobec własnego społeczeństwa. Na katedrach spolszczonego już uniwersytetu lwowskiego zasiadali profesorowie, którym, jak np. dr. Rittnerowi i dr. Bilińskiemu, niemiecka krytyka naukowa za ogłoszone prace hołd złożyć musiała, którzy nadto zasłynęli potém jako mężowie stanu na krzesłach parlamentarnych i na fotelach ministeryalnych. A obecny namiestnik Galicyi, Leon hr. Piniński, głośny oddawna jako autor wielkiego po niemiecku napisanego dzieła prawniczego i jako mówca parlamentarny? To także jeden z wychowańców polskiego uniwersytetu we Lwowie, i to jeden z młodszych. Wymieniam tylko kilka nazwisk dla przykładu, bo historya uniwersytetu lwowskiego została już w jego roku jubileuszowym napisana, a książka ta stanowi niezbity dokument historyczny, stwierdzający prawdziwość powyższych uwag. Niema już we Lwowie, na szczęście kraju i Austryi, pepiniery takich opryszków-biurokratów, jacy rok 1846 stworzyli, a jest natomiast szkoła urzędników obywateli, na których monarcha i kraj polegać mogą.

Nasi najserdeczniejsi w Wiedniu przytaczają często jedno twierdzenie, bardzo dla nas dotkliwe, a dla uprzedzonych uderzające na pierwszy rzut oka wrzekomą notorycznością, twierdzenie, że dzisiejszy upadek Austryi, a w każdym razie doprowadzenie państwa na brzeg przepaści jest dziełem polskiego męża stanu, Kazimierza hr. Badeniego, i na zawsze złączone będzie w historyi z jego nazwiskiem. Powtarza się to twierdzenie szczególnie dziś, obok alluzyi do r. 1846, i z tym złośliwym dodatkiem, że niema wtém nic dziwnego, iż mąż stanu, wrzekomo już smutném przeznaczeniem do téj roli powołany, wyszedł z łona tego społeczeństwa, które własnego państwa ani uszanować, ani utrzy-

mać nie umiało. Na to znowu kiedyś „Księga ślepych" odpowié faktami tak dosadnie, jak tego dziś uczynić nie można setkami artykułów polityczno-polemicznych. Na pierwszym planie stanie wtedy fakt, że z łona tego samego społeczeństwa wyszedł mąż stanu (Gołuchowski), któremu, jako autorowi dyplomu październikowego z r. 1860, już i niemiecki tendencyjny historyk odmówić nie zdoła tytułu do nazwy fundatora konstytucyi austryackiéj, inicyatora ery konstytucyjnéj całéj monarchii, więc pogromcy systemu, który rok 1846 uważał za swoje arcydzieło polityczne. Dziś o tym dyplomie coraz częściéj mówią i piszą, bo wśród obecnego przesilenia myśl mimowoli zwraca się ku aktowi, którego konsekwentne przeprowadzenie w duchu autonomicznym, t. j. takim, w jakim pomyślany został, mogło było oszczędzić Austryi tyle przejść niemiłych i upokarzających, nie wyłączając najświeższego. Kiedy z wielkiéj idei politycznéj dyplomu październikowego zrodziła się w końcu przykrojona do aspiracyi centralistycznych konstytucya grudniowa z r. 1867, a pierwszy gabinet konstytucyjny od tego zaczął swoją działalność, że na każdym kroku w praktyce próbował zeskamotować zawarte w niéj szczątki zasad autonomicznych, twórca dyplomu październikowego był wtedy (1868) za drugim nawrotem namiestnikiem galicyjskim. Przed jego bystrym wzrokiem machinacya ta ukryć się nie mogła. To téż nie pominął żadnéj sposobności konkretnéj, przy któréj mógł gabinetowi centralistycznemu nietylko wykazać naruszenie ducha konstytucyi, lecz nadto przedstawić jasno konsekwencye, do jakich doprowadzić musi dalsze systematyczne nakręcanie autonomicznych dążności konstytucyi do z góry zakrojonéj, a krytym sztychem forytowanéj centralizacyi i germanizacyi. Z tych pism urzędowych hr. Gołuchowskiego przebija niekiedy duch prawie proroczy, a ton ich jest tak stanowczy i energiczny, że trzeba dopiéro domyślać się, dlaczego tak dumny i na pozór niewzruszony ówczesny gabinet centralistyczny od razu nie postawił kwestyi na ostrzu i nie zażądał ustąpienia zbyt śmiałego namiestnika. Widocznie przewidywał w takim razie klęskę u cesarza i zwlekał z tém, dopóki nie zyskał silniéjszéj podstawy do tego. Zadaleko idąca pamiętna rezolucya sejmu galicyjskiego z r. 1868 dostarczyła niestety zbyt rychło takiéj podstawy, i hr. Gołuchowski zniknął na lat kilka z widowni politycznéj. Tymczasem gospodarka polityczna centralistów tyle już zdziałała złego, że na próbie cofnięcia rozwoju konstytucyjnego na tory autonomiczne, na tory dyplomu październikowego stérały się siły polityczne hr. Alfreda Potockiego i hr. Karola Hohenwarta, a późniéj po nowym okresie rządów centralistycznych także siły hr. Edwarda Taaffego i hr. Kazimierza Badeniego. W „Księdze ślepych" zatém zapisany będzie fakt, że zbawcze dla Austryi dzieło konstytucyjne wyszło z głowy

polskiego męża stanu w formie, umożliwiającéj trwałe przekształcenie ustroju państwowego na zasadach autonomicznych, i że idea ta skrzywiona została przez niemieckich centralistów do spółki z niedobitkami dawnéj biurokracyi tak dalece, iż potém wysiłki najdzielniejszych mężów stanu złego zupełnie już naprawić nie zdołały.

Ostatnie uwagi odbiegły cokolwiek od wstępnego wątka tego listu, ale za to doprowadzają nas do refleksyi, którą jako szczególnie ważną w dzisiejszéj właśnie fazie naszego życia politycznego z naciskiem podnieść należy. Mam na myśli lukę zachodzącą w wykształceniu politycznem szerszych kół inteligencyi, nie biorących bezpośredniego udziału w wytycznych akcyach publicznych. Lukę tę stanowi niedostateczna znajomość historyi politycznéj kraju z ostatnich lat kilkudziesięciu. Mam tutaj na myśli oczywiście pragmatyczne objęcie materyału historycznego, taki dokładny obraz toku wypadków i rozwoju głównych spraw, aby w nim zarysowały się wybitnie łączniki między przyczynami a skutkami oraz rysy charakterystyczne głównych aktorów, naszych znakomitych przodowników politycznych. Pisarze, którzy w ostatnich zwłaszcza latach pióro swoje poświęcili téj właśnie dobie naszéj przeszłości, traktują przeważnie rzecz fragmentarycznie, z predylekcyą dla epizodów dramatycznych ze świetnym przebiegiem lub tragicznym zwrotem w następstwach. Na tę szarą tkaninę historyczną, jaka stanowi powolny, spokojny rozwój spraw w ciężkiéj, twardéj, a w dodatku zaciemnionéj epoce przedkonstytucyjnéj, uwaga mało jest zwróconą. A właśnie wyświecenie téj epoki i ujęcie jéj w ramy zamkniętego w sobie obrazu historycznego stanowiłoby nietylko jedno z takich dzieł pouczających, jakie historya, jako mistrzyni życia, podawać powinna, lecz nadto i chlubę dla społeczeństwa, które w twardych warunkach i wśród najeżonych na każdym kroku przeciwieństw umiało znojnie pracować i zdobywać krok za krokiem grunt dla pracy owocnéj. Takie zdobycze i takie zasługi nie powinny blednąć w oczach przyszłych pokoleń wobec świetnych dzieł, dokonanych wśród okoliczności sprzyjających. Społeczeństwo pruskie nie zapomni o Steinie, Hardenbergu i innych pracownikach tego pokroju z ciężkiéj doby dziejowéj, chociażby do takich gwiazd promiennych jak Blücher, Moltke i t. d. przybył cały szereg nowych bohaterów.

Że na braku takiéj historyi najbliższéj nam przeszłości cierpi wiele zasłużonych postaci, które zeszły z widowni politycznéj bez rozgłosu lub nawet wśród objawów niepopularności i niewdzięczności ze strony społeczeństwa zaślepionego, albo raczéj niedość poinformowanego o wszystkich zasługach, częstokroć nawet wielkich i godnych zapisania na honorowéj karcie dziejowéj, to się rozumie i tego wcale

lekceważyć nie można. W zdrowém życiu politycznem bowiem takie zasługi nigdy nie powinny iść w zapomnienie lub w poniewierkę, aby nie wpływały w sposób zniechęcający na następne pokolenia pracowników. Takie zniechęcanie równa się wprost demoralizacyi, oczywiście w politycznem tego słowa znaczeniu.

Wina nie spada wyłącznie na piszących, którzy tylko w wyjątkowych wypadkach mogą dotrzeć do źródeł autentycznych. U nas zwłaszcza ludzie takiéj miary, jakich tutaj mamy na myśli, powinniby nietylko dla własnéj satysfakcyi, lecz także dla dobra publicznego w powyższém oświetleniu tych wyrazów pamiętać o téj niejednokrotnie przez polityków, historyków a nawet poetów zalecanéj regule, że kogo los postawił w społeczeństwie na pierwszym planie, a bodaj na stanowisku wybitniéjszém i kazał mu odegrać rolę działacza, ten poczuwać się winien do obowiązku przekazania potomności swoich wspomnień w sposób pamiętnikowy. W naszém społeczeństwie zeszli z widowni bez takiéj spuścizny mężowie, których nazwiska same niejako wypełniają całe okresy życia publicznego, których pamiętniki stanowiłyby dziś nieprzebraną kopalnię nietylko zwyczajnego materyału historycznego w literackiém tego słowa znaczeniu, lecz także lekcyi politycznych. Weźmy np. Agenora hr. Gołuchowskiego (ojca), jego towarzysza i współpracownika w najważniéjszéj kwestyi z r. 1846 (indemnizacyjnéj) Maurycego Kraińskiego, Leona ks. Sapiehę, Grocholskiego, Zyblikiewicza i wielu a wielu innych. Ich pamiętniki stanowiłyby najświetniéjsze odparcie zarzutu, jakoby nasze stanowisko dzisiejsze było tylko przemijającém dziełem szczęśliwego zbiegu okoliczności, nie zaś trwałym dobytkiem.

Jeden z takich działaczy, zmarły przed dwoma laty wiceprezes koła polskiego w Wiedniu, długoletni poseł sejmowy i profesor filozofii w uniwersytecie lwowskim, dr. Euzebiusz Czerkawski, zostawił w swoich papierach niewykończony wprawdzie do ostatnich lat, ale mimo to nadzwyczaj ciekawy pamiętnik, który ma niebawem być drukiem ogłoszony, a już obecnie wyzyskany został przez prof. dr. A. Skorskiego, jako materyał do monografii o wielce zasłużonéj działalności Czerkawskiego na polu pedagogicznem. Kto w całości wyda pamiętnik Euzebiusza Czerkawskiego lub na téj podstawie napisze o nim monografię, obejmującą całą działalność publiczną, ten mógłby pracy swojéj śmiało nadać taki drugi tytuł: „Popularność a zasługa“. Czerkawski bowiem stanowi jeden z licznych a wybitnych przykładów tego rozdźwięku, jaki często zachodził, zachodzi i zawsze często zachodzić będzie między kapryśną *aura popularis* a zasługą rzetelną. W drugiéj połowie życia swojego Czerkawski był bardzo ceniony, szanowany, nawet chwilami demon-

stracyjnym hołdem darzony, ale popularnym w zwyczajném tego słowa znaczeniu nigdy nie był i nawet być nie mógł. Powód tkwił nietylko w zimnéj i ponuréj, surowemi pozorami zniechęcającéj powierzchowności tego wielce utalentowanego, niezwykle bogatą wiedzą górującego, niezmordowanego w pracy i zasłużonego męża, lecz także w pewnych przejściach z przeszłości, które zakrawały na los tragiczny i byłyby tém niezawodnie, gdyby Czerkawski nie był dożył ery konstytucyjnéj i miał być sądzony tylko z tego, co o nim mówiono i pisano dawniéj. Żeby rzecz tę krótko a dosadnie przedstawić, zaznaczam, że to samo pokolenie, które w dojrzałym wieku składało hołdy nietylko pamięci Czerkawskiego na wspaniałym pogrzebie lwowskim w r. 1896, lecz jeszcze za życia po niektórych świetnych a głośnych wystąpieniach w radzie państwa, w swoim wieku studenckim oklaskiwało zapaleńców, którzy go w Krakowie brutalnie na ulicy znieważyli i powtarzało jednym chórem ułożony po tym zamachu wierszyk:

Złoty galon na kołnierzu, a pirog [1]) na głowie
Szwabski język proteguje, Czerkawski się zowie,
Póki ten łotr żyje,
Kto żyw, niech go bije! i t. d.

A na czém polegało to wrzekome łotrostwo? Czerkawski pokrzyżował demonstracyjne plany gorącéj młodzieży gimnazyalnéj w jednym wypadku, a starsi nie umieli czy może nawet i nie chcieli jéj poskromić, upatrując w znieważonym inspektorze szkolnym zwolennika germanizacyi szkolnéj, a już co najmniéj przeciwnika spolszczenia szkół średnich. W dobrém towarzystwie politycznéem znajdował się wtedy Czerkawski, bo pracował razem i zgodnie ze swoim niezmiennym protektorem — namiestnikiem Gołuchowskim, który szczęśliwy jak zawsze w wyborze ludzi zwrócił uwagę na Czerkawskiego już za czasów pierwszego namiestnikostwa swojego (1849 — 1859). W tych ciężkich czasach już samo negacyjne działanie, t. j. tamowanie szalonego zalewu germanizacyjnego, stanowiło większą zasługę, aniżeli późniéj konkretne zdobycze w duchu decentralizacyjnym i autonomicznym. Kiedy się nadarzyła jaka taka sposobność do wyjścia po za te ciasne granice działania, do pozyskania minimalnego ustępstwa od reakcyjno-germanizacyjnego systemu na rzecz języka krajowego w urzędach lub w szkołach, w lot chwytali ją nasi ówcześni działacze na posterunkach rządowych, a między nimi w pierwszym rzędzie Czerkawski. Jedyną nagrodą za te twarde walki z małemi zdobyczami była moralna satys-

[1]) Kapelusz uniformowy.

fakcya, moralne zadowolenie, że przybyła mała cegiełka do wielkiéj późniejszéj budowy autonomicznéj. Na uznanie, na przychylne poparcie opinii nikt nie liczył, a o popularności nikt nawet marzyć nie mógł, skoro samo zetknięcie się z ówczesnym systemem rządowym uchodziło już, jak w owéj piosence studenckiéj o Czerkawskim, za — łotrostwo! Kiedy się dziś czyta pamiętnik Czerkawskiego, najpierw nasuwać się musi smętna myśl, że w braku pamiętnikarskiéj żyłki u innych działaczy współczesnych na zawsze już może pozostanie wiele krzywd nienaprawionych, wiele zasług cichych niewynagrodzonych i wiele lekcyi politycznych zmarnowanych.

Ale nawet i z tych lekcyi politycznych, któreśmy otrzymali w spuściźnie po fundatorach i koryfeuszach naszego dzisiejszego stanowiska politycznego w Galicyi, niejedna idzie w zapomnienie dlatego, że w braku pragmatycznego przedstawienia naszych walk i kolei w pierwszym okresie ery konstytucyjnéj, polityczne wykształcenie szerokich kół jest niekompletne. Okazuje się to na dzisiejszém postępowaniu powołanych i niepowołanych krzewicieli braterstwa czesko-polskiego, wogóle słowiańskiego, przy nadarzających się sposobnościach, mianowicie na ostatnim praskim obchodzie jubileuszu Palackiego.

Braterstwa tego właściwie teraz dopiéro krzewić nie potrzeba, bo leży ono w naszéj tradycyi nietylko historycznéj z dawnych wieków lecz politycznéj z czasów walk konstytucyjnych. Ta tylko zachodzi różnica, że kiedy dawniéj koryfeusze naszéj zwycięsko przeprowadzonéj walki o autonomię postępowali rozważnie, a gdy Czesi ze swojéj krewkości politycznéj zwracali się na pochyłą drogę, ostrzegali ich, ale porwać się nie dali nad brzeg przepaści,—dziś wielu jest takich entuzyastów, którzy gotowi zapomniéć o przestrogach, jakie nam daje historya ostatnich lat 30-tu. Wystarczy tutaj przytoczenie jednéj przestrogi, przypomnienie pamiętnéj uchwały sejmowéj z 2 marca 1867 r. Czesi postanowili wtedy nie obsyłać rady państwa i usunąć się od wszelkiego współpracownictwa przy układaniu nowéj, na dualizmie opartéj konstytucyi, wywieszając równocześnie sztandar federalistyczny. Wtedy powoływanie się na braterstwo czesko-polskie także rozbrzmiewało dokoła, ale sejm usłuchał rozważnéj rady hr. Gołuchowskiego i dr. Ziemiałkowskiego, a oparł się sympatycznym dla uczuciowych polityków nawoływaniom Smolki do zejścia razem z Czechami na manowce polityki abstynencyjnéj. Kto miał słuszność dobitnie wykazały następstwa. Polska delegacya w radzie państwa, chociaż była w mniejszości znikającéj, wywalczała jedną koncesyę autonomiczną po drugiéj na polu językowém i szkolném, a Czesi, nieobecni w radzie państwa, mar, nowali czas i siły w jałowéj polityce abstynencyjnéj. Smolka ocknął

się i zaniechał już w r. 1870 nawoływań do takiéj bezpłatnéj polityki, wszedł późniéj sam do rady państwa i został jéj prezydentem w chwili, gdy mógł już oglądać świetne rezultaty osiągnięte przez swoich dawnych przeciwników politycznych z lat 1867—1869. Czesi w końcu tak samo postąpili, ale dopiéro od chwili wstąpienia do rady państwa zaczynać musieli to, co nasza delegacya już od r. 1867 robiła. Czasu zmarnowanego i opóźnienia się w owocach roztropnéj polityki już nie można było powetować. Tak samo nie dałyby się kiedyś powetować następstwa nierozwagi w téj tak ciężkiéj chwili obecnéj, kiedy roznamiętnienie w Wiedniu porywa i popycha do kroków hazardownych.

Najhazardowniejszym krokiem jest dziś stawianie kwestyi na ostrzu w ten sposób, jak gdyby walka, rozpoczęta i prowadzona dotąd w radzie państwa pod hasłem autonomii i równouprawnienia narodowego, miała odtąd toczyć się pod hasłem rasowego antagonizmu wobec Niemców, albo nawet pod hasłem hegemonii słowiańskiéj w Austryi. Kto zna dobrze dzieje Austryi i jéj ustrój obecny, a nie unosi się sympatycznemi dla uczucia i fantazyi rojeniami, ten obawiać się musi, że takie postawienie kwestyi zakrawa na poryw samobójczy. Węgrzy, którzy w r. 1870 z obawy przed przewagą Słowian nad Niemcami w Austryi obalili gabinet hr. Hohenwarta w chwili wniesienia artykułów fundamentalnych dla Czech, dziś jeszcze prędzéj obalą każdy gabinet austryacki, zbaczający z drogi autonomicznego równouprawnienia narodowości na tory hegemonii słowiańskiéj lub—co na jedno wychodzi—na tory federalizmu, dlatego, że najpierw są dziś o wiele silniejsi niż w r. 1870 i faktycznie w monarchii ton nadają, a powtóre dlatego, że więcéj niż przedtém lękają się, aby w naturalném następstwie sami nie ulegli naporowi słowiańszczyzny zakarpackiéj w obrębie własnego, ustroju państwowego. Już dziś po obchodzie praskim wystąpienie kierujących organów prasy węgierskiéj brzmi tak złowrogo, że kto wié, czy uroczystość praska w takiém oświetleniu nie osłabiła w decydujących kołach wiedeńskich pozycyi tych czynników, które utrzymują łączność między programem dzisiejszego rządu a programem gabinetu Kazimierza hr. Badeniego.

Prawda, że sprawę zaostrzył w ten sposób nie czeski lub polski uczestnik uroczystości, lecz gość z Rosyi, redaktor Komarow, w swojéj słynnéj przemowie, prawda i to, że ów gorąco kąpany gość rosyjski otrzymał w swojéj ojczyźnie stanowcze *desaveu* ze strony kierujących organów prasy, a więc nie może uchodzić za reprezentanta jakiegoś powszechnego prądu opinii rosyjskiéj,—ale słaba to pociecha, bo Niemcy i Węgrzy odpowiadają na to, że w latach 1874—1876 tak samo Rosya nieoficyalna, reprezentowana przez dziennikarzy-szowinistów, przygoto-

wywala powoli ale skutecznie grunt dla pamiętnych wypadków dziejowych na półwyspie bałkańskim. A zresztą zaszło tu niewątpliwe *peccatum omissionis*, gdyż nikt z polskich lub czeskich uczestników uroczystości nie zmitygował p. Komarowa, chociaż można to było i nawet należało uczynić z wszelkim oczywiście respektem dla gościa i bez najmniejszéj ujmy dla idei solidarności czesko-polskiéj, a nawet wogóle słowiańskiéj, w polityczném, rozważném tego słowa znaczeniu, co byłoby s t a n o w c z o z w i e l k ą k o r z y ś c i ą dla dalszego przebiegu i rezultatu toczącéj się obecnie w Wiedniu walki o autonomiczne równouprawnienie narodowości w Austryi.

Istny fatalizm zrządził, że kiedy w Pradze żaden głos mitygujący nie odezwał się po zbyt hazardownych wynurzeniach politycznych p. Komarowa, powstał natomiast dysonans tam, gdzie był bardzo niepożądany, to jest w Krakowie, podczas uroczystości Mickiewiczowskiéj, w chwili przemówienia profesora Spasowicza, a zwłaszcza prof. Brandta (z Moskwy), na temat zbliżenia rosyjsko-polskiego. Z natury rzeczy kronika ta nie może obejmować szczegółów, znanych już zresztą ze sprawozdań prasy codziennéj. Jednakże z naciskiem zaznaczyć należy, że jeżeli obaj mówcy zostali w Krakowie zrażeni porywem demonstracyjnym garstki malkontentów, to w poważnéj opinii naszego kraju, wyrażonéj dobitnie i bez ogródek przez jeden z najpoczytniejszych dzienników lwowskich, otrzymali już satysfakcyę. Znaczenie wspomnianego porywu zmaleje jeszcze bardziéj, jeżeli sprawę postawimy na takiém stanowisku, z jakiego ona dziś przedewszystkiém oceniana być powinna. Postawmy pytanie sobie i zapytajmy zarazem rosyjskie koła inteligencyi politycznéj: czy niedawno jeszcze, dajmy na to w chwili poprzedniéj uroczystości Mickiewiczowskiéj, gdy Kraków składał zwłoki wieszcza do krypty na Wawelu, byłoby to możliwém, aby profesor uniwersytetu moskiewskiego zjechał do Krakowa, zgłosił się i został przyjęty jako gość na bankiecie, uznał całe otoczenie i wogóle całą atmosferę polityczną za stosowną do zabrania głosu na temat zbliżenia się Rosyan do Polaków, aby daléj na ten temat mówił swobodnie ze stanowiska rosyjskiego i sprawił dodatnie wrażenie nietylko w gronie większości słuchaczy, lecz i wogóle w szerokich kołach polskiéj inteligencyi politycznéj? Obie strony muszą, jeżeli dobrze rozważą wszystkie okoliczności, dać na to pytanie jednobrzmiącą odpowiedź. Możliwości takiéj wówczas nietylko nie było, a nawet jéj nie przewidywano w tak bliskim czasie. Jeżeli zaś tak się rzecz ocenia, to mimo dysonansów, owe przemówienia krakowskie uważane być mogą za brzask świtający w ciemnéj stronie sprawy słowiańskiéj, za dowód, że obie strony, jeżeli nie zbliżyły się ku sobie, to przynajmniéj zbliżyć się usiłują, a w każ-

dym razie o tyle uległy spokojnéj, z jednéj i z drugiéj strony, refleksyi, iż myślą o wypełnieniu przepaści, która się między niemi od wieków rozwarła, a za sprawą fatalizmu dziejowego dotąd ciągle pogłębiała. Byle tylko myśl o takiém wypełnieniu przepaści szczerze się ustaliła i ze sfery pragnień weszła w fazę działania! Pomyślny rezultat w takim razie można przepowiedziéć w myśl przysłowia francuskiego, dającego się na zawołanie ilustrować mnóstwem przykładów historycznych że w historyi polityki—niema przepaści, któréjby zapełnić nie można. Poprzestanę na jednym przykładzie. Czy w roku 1846 mógł ktokolwiek przewidziéć ten dobry stosunek Galicyi do państwa austryackiego i nawzajem, jaki się ułożył w ostatnich lat dziesiątkach?

Ita.

STAROŻYTNOŚĆ

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ.

Genialny twórca nowoczesnéj metody badania w zakresie nauk ścisłych, Bakon z Verulamu, w zasadniczém dziele swojém *Novum organon* osobny rozdział poświęca idołom czyli urojeniom [1]), t. j. fałszywym wyobrażeniom, które więcéj na subiektywném mniemaniu niż na doświadczeniu oparte, zbadaniu prawdy i rzeczywistości przez ludzi niepospolite stawiają zapory. Jak wielką siłę życia posiadają niekiedy takie idoły i jak trudna z niemi walka, tego najlepszym pono dowodem sam uczony autor epokowego dzieła, który mimo całéj swojéj bystrości umysłu porówno z innymi uczonymi owéj doby był stanowczym przeciwnikiem systemu Kopernika i ogłosił go nie za nowy system naukowy, ale za pomysł awanturniczy wybujałéj fantazyi. A dzieje innych wielkich odkryć naukowych i wynalazków niemniéj pełne są podobnych przykładów. Widocznie każda nowa prawda z góry skazana jest na to, aby zwolna tylko zdobywać sobie prawo obywatelstwa i w twardéj walce z fałszami i uprzedzeniami wsiąkać w umysły ludzkie. Ale myśl ludzka nie spoczywa. Coraz więcéj rozszerza

---

[1]) Z greckiego εἴδωλον, obraz, zjawisko.

się zakres tych przedmiotów, które wiedza nowoczesna podciąga pod mikroskop krytyki, coraz więcéj niknie dawna naiwna wiara, biorąca bez zastanowienia myty i urojenia za prawdy oczywiste, i przekazująca je takiemi następnym pokoleniom, jakiemi je odziedziczyła po ojcach. Ludzie płaczą z początku na świętokradzkich nowatorów, którzy śmiałą ręką strącają wiekiem uświęcone bożyszcza z ich piedestałów, zwolna jednakże przyzwyczajają się do owych zapatrywań, i na gruzach staréj wiary wyrasta nowa, nie tyle już może szczera i naiwna jak dawniejsza, ale niemniéj uszczęśliwiająca, gdyż napełniająca serce człowieka świadomością, iż znowu o krok jeden zbliżył się do poznania prawdy.

Ten proces wewnętrznego przeobrażenia dokonywa się dzisiaj w Niemczech na polu badań nad wartością etyczną studyów klasycznych i ich przydatnością do celów wykształcenia publicznego. Rzecz bowiem wiadoma, iż od czasów ojca i twórcy nowoczesnéj filologii klasycznéj, Fryderyka Augusta Wolfa, i poety-krytyka, Lessinga, w świecie uczonym niemieckim ustaliło się przekonanie, jakoby życie starożytnych narodów pod względem swéj zawartości idealnéj o całe niebo przewyższało czasy obecne a suma szczęścia, którego zażywały Rzym i Grecya przeciętnie, była większa od téj, która nam, ludziom nowoczesnym, dostała się w udziale. Schiller, Goethe, Herder i cała plejada niepospolitych talentów poetycznych, jaka się pojawiła w Niemczech w dobie klasycyzmu, dając całą swoją działalnością literacką widomy wyraz temu przekonaniu, ponieśli je w masy narodu niemieckiego i przyłożyli się niepomiernie do tego, iż nabrało ono poniekąd znaczenia dogmatu. A dogmat ten okazał się tak silnym, iż nawet reakcya, jaka w początkach naszego wieku pod nazwą i sztandarem romantyzmu wszczęła się przeciw klasycyzmowi w Niemczech, nie zdołała w niczém zachwiać jego siły.

Ale duch czasu i mimo studyów klasycznych nie przeszedł zupełnie bez śladu. Obudził on się najpierw na polu badań nad przeszłością Rzymu. Tu bowiem Niebuhr, mąż równie uczony jak genialny, opierając się na nieskończenie bogatym materyale badań lingwistyczno-historycznych, pierwszy wartość tradycyi rzymskiéj podał w wątpliwość i obudził ducha krytycyzmu, który, podjęty i daléj pielęgnowany przez jego następców, Schweglera, Drumanna, Momsena, Neumanna, Ihnego i in., z gruntu odmienił zapatrywania uczonych na przeszłość dziejową dawnego Rzymu. Albowiem wynikiem uczonych badań było wprawdzie głębsze i wielostronniejsze zrozumienie znaczenia cywilizacyjnego narodu rzymskiego, ale ów cały aparat mityczno-poetyczny, którym fantazya patryotyczna dziejopisarzów rzymskich upstrzyła rze-

czywistość, padł jego ofiarą. Cała pierwsza doba dziejów Rzymu z onemi dwutysięcznoletnią tradycyą uświęconemi i dorastającemu pokoleniu od najrańszego wieku znanemi postaciami siedmiu królów okazała się surogatem, i to niezbyt udatnie zestawionym przez późniejszych kronikarzy w miejsce zaginionéj tradycyi pierwotnéj. Podobny los spotkał liczne postaci rzymskich bohaterów i świętych narodowych doby późniejszéj, owych Scewolów, Brutusów, Poplicolów, Cyncynatów, którzy pod lupą krytycznych badań napowrót się rozpadli w tę nicość, z jakiéj na scenę dziejową wywołała ich fantazya dziejopisarzy. Czyny ludzi historycznych również nie uszły bacznego oka i trzeźwego sądu historyków nowoczesnych. Roztrząsane ze względu na pobudki, przedstawiły mniemaną idealność owych zamierzchłych czasów w bardzo wątpliwém świetle, a sądzone podług ich skutków, doprowadziły do przekonania, iż w świecie rzymskim niebywała świetność kilkuset uprzywilejowanych rodów za czasów rzeczypospolitéj okupiona była nędzą nie do opisania mas, i że owe zniesławione czasy cesarstwa, przynajmniéj w pierwszéj ich połowie, rozpatrywane ze stanowiska interesów ogółu narodów, wchodzących w skład państwa rzymskiego, stanowczo zasługują na pierwszeństwo przed onemi przesławionemi czasami republikańskiéj swobody.

Tak więc krytyka nowoczesna co do dziejów rzymskich doszła do zupełnéj negacyi panujących wszechwładnie jeszcze na początku tego wieku poglądów konwencyonalnych i uprzątnęła gruntownie przesąd, jakoby dawne wieki były bogatsze w idealne dążności, niż nasze czasy. Za to, co do Grecyi, dogmat o niezrównanéj idealności narodu greckiego i jego stosunków utrzymał się w dawnéj sile do chwil ostatnich. Wprawdzieć bowiem i na polu badań nad przeszłością grecką znalazł się umysł bystry, który okiem trzeźwém i nieuprzedzoném rozglądając się w materyale historycznym, przez starożytność nam przekazanym, w swoich sądach o wartości Greków doszedł do wniosków wielce ujemnych. Był nim jeden z najgenialniejszych badaczów i najwszechstronniejszych znawców historyi i literatury greckiéj, Boeckh, który w wiekopomném dziele swojém „*Die Haushaltung der Athener*” wydaje na końcu taki sąd ogólny o wartości kultury greckiéj: „Nie zamykamy bynajmniéj oczu na to, co wielkie i wzniosłe w historyi greckiéj; przyznajemy nawet, iż w niejednym względzie lepiéj u nich było, niż w naszych państwach, ale w wielu względach było też i gorzéj niż u nas. Tylko jednostronność lub powierzchowność widzi w starożytności wszędzie ideały. Są u nich strony odwrotne, które mniéj są piękne niż te, które się zazwyczaj uwydatnia. Spojrzyjmy tylko we wnętrze życia greckiego w państwie i rodzinie: znajdziemy tam nawet u ple-

mion najszlachetniejszych, do jakich Ateńczyków niewątpliwie zaliczyć należy, głębokie zepsucie moralne, które wniknęło do szpiku kości narodu. Hellenowie w całym blasku swéj sztuki i rozkwicie wolności nieszczęśliwszymi byli, niż zazwyczaj mniemamy; mieli oni zarodek upadku w swém wnętrzu i drzewo to musiało być wycięte, gdy wypróchniało" [1]).

Zaiste, obraz to zupełnie odmienny od onego jaśniejącego wdziękami prawdziwéj poezyi obrazu szczęśliwości greckiéj, jaki w znanéj swéj elegii „*Die Götter Griechenlands*" przed zachwyconym wzrokiem czytelnika roztacza Schiller! Ale czar, rzucony ongi przez tych klasycznych wielbicieli ducha greckiego, okazał się dość silnym, aby przetrzymać to niebezpieczne wstrząśnienie panujących przekonań. Boeckh nie znalazł następców takich, jak Niebuhr, i głos jego pozostał głosem wołającego na puszczy. Świat wykształcony niemiecki poszedł raczéj za nawoływaniami jego naukowych przeciwników, Godofreda Hermanna i Zehrsa, którzy po dawnemu w Grekach upatrywali więcéj bogów niż ludzi i wpadali w zachwyt na samo imię Grecyi. Kierunek ten zaś utrzymał się niezachwiany po chwile ostatnie, gdyż główni przedstawiciele wiedzy na polu studyów nad klasyczną przeszłością Grecyi w czasach obecnych, Curtius i Hertzberg, byli równymi entuzyastami.

Rzecz zresztą wiadoma, iż te zapatrywania oddziałały potężnie na ustrój szkolnictwa wyższego w Niemczech, oddając pod wszelkiemi względami pierwszeństwo gimnazyum klasycznemu, które pomimo wszelkich reform, wymuszonych potrzebami czasu, co do ducha i tendencyi utrzymało się takiém, jakiém w ciągu trzeciego i czwartego dziesięciolecia naszego wieku stworzył je w Prusiech Schulze, a w Bawaryi Thiersch. Ale téż nawzajem, gimnazyum klasyczne kierunkowi ducha, jakiemu zawdzięcza swój początek, wywdzięczyło się sowicie, szerząc zamiłowanie do studyów klasycznych w warstwach oświeconych społeczeństwa niemieckiego.

W ostatnich wszakże czasach w badaniach nad klasyczną przeszłością Grecyi zarysowywać się począł pewien zwrot ku otrzeźwieniu. Głosy, które, idąc śladem Boeckha, oną rzekomą idealność stosunków greckich coraz bezwzględniejszéj poddają krytyce i coraz gruntowniéj rozskubują myty, jakiemi dzieje greckie oplotła łatwowierność i niekłamany entuzyazm dawniejszych pokoleń, nawet w kołach fachowych filologów nie są już rzadkością. I tak profesor Dühring w dziełku swojém „*Burgunderkriege und Perserkriege*" wykazał całą nicość podań Herodota o owych milionowych wojskach i flotach Persów, niby to na-

---

[1]) W skróceniu.

jeżdżających Grecyę. Welzhofer zaś w swojéj bardzo godnéj czytania rozprawie: „*Zur Geschichte der Perserkriege*" [1]) poszedł nawet daléj i nietylko one miliony odsunął w dziedzinę baśni, ale odarł owe wielkie walki, które przez chwalców Grecyi wysławiane bywają, jako doba najwyższego polotu ducha greckiego, z wszelkiego uroku tak gruntownie, iż sympatye nasze niemal więcéj stoją po stronie Persów, niż po stronie Greków. Do tych zaś głosów sporadycznych i więcéj poszczególne traktujących kwestye, niż obejmujących całość stosunków,—a jest ich sporo — przyłączył się w czasach ostatnich nowy głos, wielce godzien uwagi. Jest nim dzieło profesora uniwersytetu peszteńskiego, Juliusza Schwarca, niewątpliwie jednego z najgruntowniejszych znawców dziejów greckich w czasach obecnych, pod tytułem „*Die Demokratie Athens*" [2]). Uczony autor poszedł tu i pod względem treści i pod względem tendencyi śladami Boeckha i z niesłychaną erudycyą [3]) cały ustrój państwa ateńskiego, niemniéj jak charakter jego mieszkańców, ściśléj i bezwzględnéj poddaje analizie. Ton jego dedukcyi, miejscami nieco jaskrawy, zdradza często rozczarowanie, jakiego doznał autor, zagłębiwszy się w swój temat, ale nie przeszkadza mu wcale zachować stopień obiektywności, jakiego czytelnik od piszącego wymagać ma prawo. Pod względem rzeczowym nagromadzony jest tu materyał niesłychanie bogaty. Ale ta właśnie obfitość materyału czyni je mniéj podatném dla wielkiéj masy wykształconych czytelników. Za to tém większą jest jego przydatność dla fachowców, filologów i historyków z zawodu, którzy, gdy znajdą czas i cierpliwość przedrzéć się do końca przez gąszcz cytat i wniosków, znajdą w niém obfite pouczenie i rozszerzenie własnych poglądów.

Prof. Schwarc, podobnie jak Boeckh, daleki jest od tego, aby odmawiać Atenom i ich demokracyi wszelkiéj zasługi. „Wielkość Aten — mówi on — jest rzeczą niewątpliwą, aczkolwiek zasługi ich dla ludzkości na pierwszy rzut oka większemi się wydają, niż były faktycznie. Wielkość Aten nie polega wszakże ani na bitwie pod Maratonem, ani na rzekomych zasługach około ludzkiéj wiedzy, ani na mniemanéj wzorowości ich urządzeń państwowych, ani téż na ich konstytucyjnéj moralności. Wielkość Aten spoczywa jedynie i wyłącznie w niepospolitym zmyśle ich mieszkańców do plastyki, budownictwa, epiki, dramaturgii, tudzież w wytworzeniu niektórych urządzeń." A daléj: „Ponad wszelkie wątpliwości wyniosłemi były zasługi, jakie demokra-

---

[1]) „*Jahrbücher für klassische Philologie u. Pädag.*", rok 1891/2.

[2]) W Lipsku, nakładem Friedricha.

[3]) Samo wyliczenie odnośnéj literatury zajmuje 56 stron.

cya ateńska zjednała sobie około podniesienia sztuk pięknych. Niewątpliwie miał Perikles prawo zasługi te uwydatnić z dumną samowiedzą. Gdyby Ateny nie były pozostawiły światu żadnych innych dowodów swego bytu państwowego, krom swych zabytków sztuki, które taż demokracya stworzyła za inicyatywą i podług planu Periklesa, jużby to państwo musiało być przedmiotem podziwu nawet dla najdalszych pokoleń. Plastyka i budownictwo osiągnęły tu bowiem stopień doskonałości, na jaki nigdy przedtém, ani nigdy potém, nie wzniósł się zapał artystyczny żadnego z państw helleńskich."

Niemniéj gorące słowa zachwytu nasuwa Schwarcowi na usta kraj atycki. Nieco chłodniéj wyraża się natomiast o wrażeniu, jakie miasto samo robić musiało na przychodniu. Odliczywszy bowiem arcydzieła budownictwa i rzeźbiarstwa, któremi lud ateński upiększył swe rodzinne gniazdo, zewnętrzność jego—podług Schwarca—przedstawiała się nieszczególnie, tak iż Ateny pod tym względem nie mogły się równać z innemi spółczesnemi miastami, jak Korynt, Syrakuzy, lub późniejszemi, jak Aleksandrya. Były one bowiem raczéj wielkiém siołem, acz upiększonémn niezliczonemi świątyniami i posągami, kopowiskiem bez smaku, labiryntem domów z palonéj cegły i ulic tak krzywych a wąskich, iż schody, poręcze, zwieszające się górne piętra i drzwi otwiérane na zewnątrz uniemożliwiały wygodną i spokojną przechadzkę na ulicy.

Ale w tych niewygodnych domkach i ciasnych zaułkach snuł się lud, którego życie na pierwszy rzut oka wydawać się mogło idealnie szczęśliwém i zazdrości godném. Mieszkało bowiem w Atenach podług obliczeń Schwarca około 20,000 wolnych obywateli i 400,000 niewolników. Pierwsi, w ogólności wziąwszy, znajdowali się w położeniu, jakie dzisiaj jest celem westchnień utopijnych reformatorów ludzkości. Państwo bowiem zapewniało byt obywatelom, chociażby najbiedniejszym, byleby tylko byli zdolni do pracy i chętni do pracy. Albowiem, począwszy od skończonego dwudziestego roku życia, każdy obywatel ateński mógł brać udział w zebraniach ludowych, za co otrzymywał wynagrodzenie z kasy państwowéj. Daléj pobiérał on udział w pieniądzach, rozdzielanych pomiędzy lud ateński w pewne wielkie uroczystości, w podarkach zbożowych, przysyłanych przez osady zagraniczne, i w czynszach dzierżawnych, płaconych przez osadników jako podatek z ziem zdobytych i im na użytek przekazanych. Po skończeniu lat trzydziestu, każdy obywatel wylosowany mógł być na sędziego, za co osobną, stosunkowo dość znaczną, pobiérał płacę. Nadto każdy, kto tylko chciał pracować, bez trudności znajdował dobrze płatne zajęcie na flocie, w wojsku, przy robotach publicznych i t. p., a trzydzieści

razy do roku ugaszczany bywał na koszt skarbu przez państwo. Wstęp do teatru miał wolny, tak samo przystęp do wszelkich igrzysk i popisów publicznych muzyków, śpiewaków, poetów, rapsodów i in. Przy niejakiéj pilności mieszkańców, mógłby był zatém zakwitnąć ogólny dobrobyt w tym od natury bogato uposażonym kraju, ile że położenie korzystne nad morzem otwiérało pole zysków obfitych z handlu, rybołówstwa i innych gałęzi przemysłu. Tymczasem było inaczéj. Lud ateński nie rwał się do pracy, uważając ją za coś upośledzającego, i zostawiał raczéj pole zarobkowości, płynącéj z uprawy ziemi, sadownictwa, pszczelnictwa, górnictwa i rzemiosła, niewolnikom lub cudzoziemcom wśród niego osiadłym, czyli tak zwanym metoikom. Wieczne lubowanie się w rozkoszach plastyki, muzyki i liturgicznego ceremoniału, wieczne świętowanie estetyczno-religijnych uroczystości, do tego zbytek i marnotrawstwo wszelkiego rodzaju przeszkadzały nagromadzeniu kapitałów. Wielka masa ludu ateńskiego była też raczéj biédna niż bogata, a ludzie rzeczywiście bogaci stanowili tylko nader drobny odłamek w klasie wolnego obywatelstwa.

Skądże się tedy brały sumy olbrzymie na opędzenie tak znacznych wydatków?

Tu profesor Schwarc dotyka pierwszego punktu czarnego w życiu państwowém ateńczyków. Zdaniem jego bowiem, główne dochody skarbu ateńskiego płynęły z gwałtu publicznego i, możnaby wprost powiedzieć, łupiestwa. Kierownicy państwa ateńskiego nie robili sobie pod tym względem skrupułów: gdy wiedzieli, że gdzie są piéniądze, podejmowali wyprawę i zabiérali je przemocą, podstępem, zdradą, przekupstwem, lub jakimkolwiek innym sposobem. I tak Miltiades tuż po zwycięstwie pod Maratonem obietnicą, iż przywiezie skarbów co niemiara, skłonił lud ateński, iż mu oddał flotę do dyspozycyi bez wyjawienia celu wyprawy. Miltiades napadł na wyspę Paros, ale znalazł taki opór, iż nic nie wskórawszy, odstąpić musiał. Zawiedziony w swych nadziejach uzyskania złota, stawia lud ateński Miltiadesa pod sąd i wrzuca do więzienia, gdzie po krótkim czasie umiéra.

Lepiéj powiodło się Temistoklesowi. Ten bowiem, nie pytając wcale ludu ateńskiego o pozwolenie, po zwycięstwie salamińskiém wyprawia się po łupy, krąży po morzu Egejskiém z flotą jak prawdziwy korsarz, łupi, pali, bierze okupy, ale że z bogatym łupem powraca do domu, więc lud ateński za jego bezprawny i samowolny postępek wcale go nie pociąga do odpowiedzialności.

Wojna peloponeska jest jednym nieprzerwanym szeregiem wypraw łupieskich ze strony Ateńczyków na wszystkie strony świata. I tak napadają oni pod błahym pozorem na zamożnych Melijczyków i zdo-

bywszy miasto, ludność męską w pień wycinają, a niewiasty i dzieci zaprzedają w niewolę. Tym sposobem zyskują ziemię dla 500 osadników ateńskich. Na daleko większą skalę pomyślana była wyprawa łupieska przeciwko Sycylii, do któréj lekkomyślnych ziomków namówił Alcibiades. Wyprawa, jak wiadomo, z winy tychże Ateńczyków i przez zdradę Alcibiadesa skończyła się fatalnie. Ale i inne strony doznały ciężkiéj ręki Ateńczyków. Dwa razy do roku napadają na Megarę; Kos, Kythera, Kyzikos, Thasos, Tracya, Macedonia nie są nigdy bezpieczne przed ich odwiedzinami.

A były te wyprawy zazwyczaj połączone z oburzającemi okrucieństwami i iście zwierzęcą żądzą krwi. O wymordowaniu Melijczyków dopiéro co wspomnieliśmy. Korynckich jeńców postawiono nad przepaścią i zmuszono rzucić się na głowę. Beockie miasteczko Mykalessus po zdobyciu w pień wycięto, nie oszczędzając nawet dzieci, zgromadzonych w szkole [1]). Przed bitwą pod Aigospotamos rada wojenna ateńska uchwala 3,000 jeńców odciąć ręce, a w odwet za to Lysander po bitwie zamordować każe 3,000 Ateńczyków. Aiginetów po zdobyciu ich siedziby Thyrei prowadzą do Aten i tam wszystkich mordują. Zbuntowanych Mytilenejczyków chciano pierwotnie, podobnie jak Melijczyków, wymordować wszystkich, lecz następnie odwołano uchwałę i stracono tylko tysiąc, za to odjęto im ziemię i rozdzielono pomiędzy kolonistów ateńskich.

Najbardziéj charakterystyczném jest jednakże postępowanie wodzów ateńskich w Korcyrze. Tutaj bowiem istniały, jak we wszystkich miastach greckich, dwie partye: ludowa i arystokratyczna. Partya ludowa chwyta za broń, napada na przeciwników i morduje 60 ich przodowników, zebranych w ratuszu. Wszczyna się straszna walka uliczna, w któréj nawet kobiéty biorą udział; krew leje się strumieniami. Lud zyskuje przewagę, ale arystokraci podpalają miasto. Za pośrednictwem dowódcy ateńskiego w Pylos strony wojujące zawarły układ, ale już po krótkim czasie wznowiły się kroki wojenne. Wtenczas to około 600 arystokratów uchodzi z miasta, rozbija w bliskości oszańcowany obóz i szczęśliwemi podjazdami doprowadza przeciwników w mieście do rozpaczliwego położenia. Szczęściem dla nich zawijają do Korcyry w przejeździe do Sycylii wodzowie ateńscy, Eurymedon i Sophokles. Ściśnieni przez nich, arystokraci kapitulują pod warunkiem, iż zostaną odwiezieni do Aten i tam stawieni przed sąd ludowy. Ale wodzowie, gdyby dotrzymać chcieli warunków układu, musieliby odsta-

---

[1]) Na uniewinnienie Ateńczyków dodać należy, iż czyn ten barbarzyński spełniony był przez Traków, którzy jednakże byli pod wodzą Ateńczyków.

wienie jeńców zlecić komu innemu, na którego spadłaby lwia część sławy i względów ludu ateńskiego. Aby więc nie dopuścić, iżby kto inny zbiérał owoce ich pracy, postanowili jeńców wytracić i w tym celu układają plan szatański. Układ zawiérał wielce niebezpieczną klauzulę, iż cała umowa miała być nieważną, gdyby ktokolwiek z nich próbował ucieczki. Nakłaniają tedy kilku z nich do tego kroku przyrzeczeniem, iż ucieczce ich nie stawią przeszkód, ale ich natychmiast chwytają i układ cały ogłaszają za nieważny. Następnie wydają ich na zemstę Korcyrejczykom. Ci zamykają ich w budynku, z którego wyprowadzają ich, związanych po dwudziestu, na plac stracenia. Tym sposobem stracono ich już sześćdziesięciu, gdy pozostali jeńcy pomiarkowali, co się święci, i nie chcieli wychodzić. Korcyrejczycy tedy zdejmują dach i zgóry ubijają ich strzałami, dzidami, kamieniami, cegłami i t. p. Oszukani tym podłym sposobem, nieszczęśliwcy zasłaniają się, czém mogą, ale przekonawszy się o próżności wszelkich wysiłków, gdy noc nadeszła, śmierć sobie zadają strzałami, dzidami, lub téż wieszając się na pasach i podartéj w szmaty odzieży. Po tym czynie haniebnym wodzowie ateńscy odpływają do Sycylii, pełni zadowolenia z udanego podstępu, a ludowi ateńskiemu ani na myśl nie przychodzi za tę nikczemność wytoczyć im jakowyś proces.

Tych kilka przykładów z długiego szeregu faktów, jakie w swém dziele przytacza prof. Schwarc, wystarcza, aby przekonać, iż owa sława niezwykłéj humanitarności, przypisywanéj Grekom wogóle, a w szczególności Ateńczykom, na wątłych tylko polega podstawach. Owszem, wyuzdany egoizm i krwiożercze popędy są wszędzie cechą znamienną w ich wewnętrznych walkach. W stosunkach zaś zewnętrznych przemagają wiarołomstwo i szalbierstwo, jak tego dowodem między innemi postępowanie Ateńczyków wobec sprzymierzonych. Jak bowiem wiadomo, utworzył się po odejściu Persów w celach obrony przeciwko wspólnemu wrogowi nowy związek państw greckich pod przodownictwem Ateńczyków. Związek ten miał osobną kasę, do któréj każde z państewek, w skład jego wchodzących, płaciło pewną składkę. Po niejakim czasie nakłonili Ateńczycy Samijczyków, aby w radzie związkowéj stawili wniosek o przeniesienie kasy do Aten, jako dających więcéj pewności, niż bezbronna wysepka Delos. Wniosek przeszedł. Zaledwie jednak Ateńczycy mieli kasę związkową u siebie, gdy poczęli ją uważać jako własne pieniądze, używając ich przedewszystkiém do pokrycia olbrzymich kosztów tych wszystkich budowli, jakiemi Perikles naówczas przyozdabiał miasto, a daléj do urządzania wielkich uroczystości narodowych, opłaty dyet za udział w zebraniach ludowych i wstępnego do teatru za biednych mieszkańców i t. p. A gdy Samos, Naxos, Thasos

i in. wzbraniały się płacić składki na cele, ich nie obchodzące, flota ateńska pod wodzą samego Periklesa dała im naukę tak energiczną, iż i im i innym sprzymierzeńcom na wieki odeszła ochota sprzeciwiać się życzeniom Ateńczyków. Podstęp i gwałt opłaciły się tu sowicie. Albowiem przez zagarnięcie kasy związkowéj zyskali Ateńczycy jednorazową sumę 10000 talentów (po 2370 rubli) i 460, późniéj, po podwyższeniu składki, 1300 talentów rocznego dochodu.

Do równie pesymistycznych wniosków dochodzi Schwarc w swoich badaniach nad życiem prywatném Ateńczyków. I tak zastanawia się między innemi nad losem onych 400000 niewolników. Położenie ich w Atenach nie było może tak okropne, jak położenie helotów w Lakonii, ale mimo onéj wychwalanéj łagodności charakteru ateńskiego zawsze jeszcze bardzo smutne. I w Atenach bowiem, jak w innych krajach, gdzie *de jure* czy *de facto* istniało niewolnictwo, niewolnik wobec prawa nie uchodził za osobę, ale za rzecz, i jedyną ochroną, jaką mu prawo dawało, było, iż nie pozwalało panu zabić go bez wyroku sądowego. Jeśli jednakże pan mimo prawa zabił go samowolnie, natenczas nie był pociągany do odpowiedzialności, ale tylko oczyścić się musiał ze zmazy krwi za pomocą pewnych obrzędów religijnych. Aby zatém ujść gniewu i pómsty swego pana, nie pozostawało niewolnikowi innego środka, jak schronić się do świątyni Tezeusza i tu przeczekać, aż gniew pana ominie jeśli biedaka stąd nie wypędzi. Zresztą, jakie bywały kary na niewolników, to nam pokazują Aristophanesa „Żaby" (616 in.), gdzie Xanthias, oddając Aiakosowi niewolnika na przesłuchy, mówi: „Rozepnij go na drabinie, powieś go, wal harapem, odrzéj mu skórę, weź na torturę, octu w nozdrza naléj, przywal cegłami, rób zresztą, co chcesz".

Równie upośledzone, jak niewolników, było stanowisko kobiet w Atenach. Życie płci żeńskiéj ukazuje się podług słów Schwarca nawet w dobie najwyższego rozkwitu państwa ateńskiego, za czasów Periklesa, na tém samém niskiém stanowisku wegetowania, na jakiém je widzimy za czasów wojen perskich. Żony i córki ateńskie wiodą zawsze jeszcze to samo życie fizyczno-zmysłowe co dawniéj. Te same kąty domu ciemne i duszne są ich dziedziną, tak samo zaniedbane jest ich wychowanie i zamknięte pożycie towarzyskie. Wstęp do teatru, udział w biesiadach, uczestnictwo w rozrywkach publicznych i prywatnych jest im niedozwolone; przykute wiecznie do ciasnych kątów swojego gineceum, nie mają nawet prawa zawiązać rozmowy z znajomymi i gośćmi ojca, męża, brata, syna, wéjść w styczność choćby najlżejszą i najniewinniejszą z obcymi ludźmi. Małżeństwa zawierają się bez wiedzy i woli córek przez rodziców, jedynie ze względów finansowych. Świat

czarowny uczuć, powabów i popędów szlachetnych, z których w naszych czasach zwykło wykwitać obyczajne obcowanie obudwu płci między sobą, był sercu dziewicy ateńskiéj zupełnie nieznany. Dlatego też one cne niewiasty ateńskie czasów periklesowych są to zjawiska nad wszelki wyraz smutne, o plastyczno-piękném ciele, ale bez wykształcenia. Nadają one się przedziwnie do przydawania blasku i ozdoby procesyom uroczystym jako nosicielki koszów, dzbanów, placków i kłosowych wieńców, ale jako matki są bez wykształcenia i serca, jako panie domu zamiłowane w strojach, jako żony nie wiele co wyższe od pierwszych lepszych władczyń haremów spółczesnych lewanckich, jako dziewice zbyt mało znają one zachwyt miłości, który tak uszlachetnia całą istność kobiety, chyba żeby się za to chciało poczytać one tu i owdzie odbywane nocą obchody religijne, przy których wszakże uniesienia miłosne objawiały się w formach niewiele co idealniejszych, niźli dzisiaj u plemion wysp Przyjacielskich.

Co do wykształcenia młodzieży męzkiéj, sąd swój o niém zawiera prof. Schwarc w wyrazach: nędzne i opłakane. W Atenach periklesowskich istniały tylko prywatne szkoły i prywatni nauczyciele, których o uzdolnienie do tego urzędu nikt nie pytał. Uczono też wówczas przeważnie tylko czytania, rzadziéj pisania, gry na cytrze, deklamowania utworów Homera i Hezyoda. Dopiero po podniesieniu miasta z pomocą kasy związkowéj, Ateny stały się miejscem zborném wszystkich duchów pięknych, i odtąd też można było w Atenach wyćwiczyć się w retoryce, dialektyce, polityce i innych wiadomościach praktycznych, nie udając się za granicę. Ale honorarium było tak wysokie, iż zaledwie młodzieńcy najbogatszych rodzin przystęp do nauk mieli otwarty. Tak brał np. sofista Protagoras od swych słuchaczy rocznie 10000 drachm (1300 rubli), a zatém sumę, którą zaledwie stu ateńczyków wykazać mogło jako roczny swój dochód. To też np. synowie Hippokrata, bogatego i znakomitego ateńczyka, pozostali zgoła bez wykształcenia, a Hyperbolos, długoletni przewodnik ludu ateńskiego, nawet czytać nie umiał. Jak zaś w ogólności było w Atenach z wykształceniem zamożniejszéj młodzieży, o tém dowiadujemy się z dyalogu Platona, pod napisem A l c i b i a d e s. Tu bowiem Sokrates w następujących słowach odzywa się do bohatéra dyalogu: „Wuj twój, Perikles, dał ci za nauczyciela Zopyrusa, który już ze względu na wiek swój był najniedołężniejszym z jego niewolników. Czegoś się u niego nauczył, jest mi mniéj więcéj wiadomo. O ile sobie przypominam, nauczył on cię czytać, grać na cytrze i gimnastykować. Czy chcesz zatém czekać, aż te przedmioty przyjdą pod obrady w zgromadzeniu ludowém?” Rzecz zaś swoją kończy Sokrates w sposób następujący: „Widzisz zatém, jaki z ciebie nieuk. Chciałeś

się rzucić na politykę, nie mając o niéj najlżejszego pojęcia. Zresztą nie tobie samemu to się zdarza. Podobnie jak ty, postąpili właściwie wszyscy mężowie, którzy w naszém państwie odegrali jakąś rolę, z niewielu tylko wyjątkami. Do tych wyjątków należy i wuj twój, Perikles".

Stopniowi wykształcenia młodzieży odpowiadał stopień wykształcenia u dorosłych. Najwyższą instancyą we wszelkich sprawach sądowych i administracyjnych było zebranie ludowe. Aby w niém głos uzyskać potrzeba było jedynie wykazać, iż się jest obywatelem ateńskim i że się skończyło lat dwadzieścia. Z ogółu zebranych wylosowywano 6000 sędziów przysięgłych, 500 rajców i innych urzędników (ostatnich z pomiędzy ubiegających się), bez żadnych innych wymagań, jak tylko iżby skończyli rok trzydziesty życia. [1]) Sędziowie tworzyli najwyższą instancyę we wszelkich sprawach cywilnych i kryminalnych, w ręku rajców spoczywały wszelkie sprawy administracyjne. Wybór dokonywał się w najprostszy sposób w świecie. Na stole stały dwie urny: w jednéj były ziarnka grochu czarne i białe, w drugiéj nazwiska kandydatów. Wyciągano równocześnie nazwisko kandydata i ziarnko grochu: białe oznaczało wybór, czarne odrzucenie.

Tak wybrane ciała składały się naturalnie przeważnie z osób, które do załatwiania skomplikowanych nieraz spraw urzędu zgoła nie były przysposobione. To też rozstrzygały w nich nie względy na dobro publiczne, ale interes prywatny, próżność, zemsta, zazdrość i t. p. Te same czynniki działały w zebraniach ludowych. Tém się też tłómaczą wszystkie one szykany, jakich ze strony ludu ateńskiego doznawali mężowie wybitniejsi, Aristides, Perikles, Konon, Focyon i in., tém—postępki tak nieskończenie podłe i głupie, jak sądzenie i stracenie zwycięskich wodzów po bitwie pod Arginusami, tém wreszcie—proces i śmierć Sokratesa. Z człowiekiem bowiem, który tak bezwzględnie mówił prawdę jak Sokrates, nie wiedzieli Ateńczykowie, co począć, jak tylko pozbyć go się jak najprędzéj. „Czara trucizny poświęcona była jedynie reformatorowi politycznemu; musiał on umrzéć, ponieważ grochową radę i grochowych urzędników znajdował śmiesznymi i nie chciał o tém wiedziéć, aby najwyższa władza wykonywana była przez ciemne, nieokrzesane masy". Ale w téj ciemnocie mas, powołanych do rządów, wielu spółczesnych upatrywało właśnie zaletę konstytucyi ateńskiéj Tucydides przynajmniéj kładzie znanemu przywódcy ludowemu, Kleo-

---

[1]) Wybrani urzędnicy, zanim urząd objęli, musieli wprawdzie poddać się tak zwanéj dokimazyi, czyli rodzajowi egzaminu przed osobną komisyą, ale ten egzamin nie rozciągał się na ich techniczne uzdolnienie, tylko na ich pochodzenie ateńskie i wolność od kar kryminalnych.

nowi, następujące słowa w usta: „Jest to prawdziwém nieszczęściem, iż nam tak trudno przyjść do uznania prawdy, że ludzie nieoświeceni lepiéj się nadają do rządzenia krajem, niż oświeceni. Ci bowiem zawsze chcą być mędrszymi niż prawa, jak gdyby nie było ważniejszego zadania jak popisywać się bystrością umysłu, przez co zazwyczaj pań stwo o zgubę przyprawiają. Tamci zaś okazują się bezparcyalnymi sędziami i sąd ich zawsze trafnym bywa". A choć może się wątpliwą wydawać rzeczą, czy właśnie Kleon wypowiedział te słowa, zdania podobne w ludzie ateńskim niewątpliwie szeroko były rozpowszechnione.

Napróżno szukalibyśmy też u Ateńczyków wybitnych cnót obywatelskich. Z wyjątkami tak nielicznemi, iżby je na palcach policzyć można, nie było ich nawet w najlepszéj dobie państwa ateńskiego. Mężowie stanu ateńscy przedewszystkiém myśleli o sobie i gdzie mogli okradali skarb publiczny. Lysias w swéj mowie o upadku demokracyi ateńskiéj wprost się o tém wyraża w sposób następujący: „Wiadomo wam wszystkim, ilu z naszych mężów stanu okrada skarb publiczny, ilu za plecami naszemi bierze łapówki, ilu przez swéj sykofantyzm zniewoliło sprzymierzeńców naszych do odpadnięcia". A prócz nierzetelności w zawiadywaniu pieniędzmi publicznemi, ten grzech szpetny wyradza jeszcze inne, wiele wstrętniejsze owoce. Zdrada bowiem ze względów osobistych lub partyjnych w dziejach państwa i narodu ateńskiego niesłychanie ważną gra rolę. I tak już w czasie bitwy pod Maratonem partya Alkmeonidów, Persom przyjazna, nosi się z myślami o zdradzie i wywiesza na Pentelikonie tarczę białą, jako znak dla Persów, iż nie są bez przyjaciół w mieście. W czasie wojny peloponeskiéj wódz ateński, Phrynichos, zdradza za pieniądze plany Alcibiadesa wodzowi spartańskiemu Astyochosowi, ten zaś, przekupiony, zdradza naodwrót wszystkie tajemnice Alcibiadesowi i zaprzyjaźnionemu z nim Tisaphernesowi. Partya arystokratyczna w Atenach w czasie téjże wojny stale knuje spiski ze Spartanami na zgubę miasta rodzinnego. Pod Aigospotamos Lysander po umówionych znakach poznaje chwilę stosowną do napadu na flotę ateńską. A takich przykładów wylicza Schwarc bez liku.

Takie stosunki nie były gruntem podatnym do wytworzenia wielkich charakterów. Wszyscy też owi wielcy mężowie, których nas w szkole czcić nauczono, jako pierwowzory cnoty obywatelskiéj i patryotycznego poświęcenia, widziani w świetle krytyki historycznéj, z bardzo a bardzo nielicznemi wyjątkami, wcale a wcale inaczéj się przedstawiają. I tak ów to stary lew, którego imię nierozerwalnie połączone jest na wieki z imieniem Salaminy, Temistokles, jakże nieponętny pod względem moralnym przedstawia widok! Zaledwie bitwa skończona,

zamiast ścigać wroga, rzuca on się na Cyklady, jak prawdziwy pirata, pali, morduje, wyciska okupy, przyjmuje grube łapówki, każe nawet tracić ludzi niewinnych za pieniądze, wzięte od ich osobistych nieprzyjaciół. A po powrocie do Aten, jako wszechwładna osobistość, wyjednywa wolny powrót zbiegom i wygnańcom nietyle podług słuszności ich sprawy, ile podług wysokości sum, jakie mu płacą. Tym sposobem zbiera olbrzymi majątek, a gdy widzi, iż nie zdoła się oczyścić od wielorakich zarzutów wiarołomstwa i nierzetelności w prowadzeniu finansów państwowych, zbiega do Argos, stąd zaś udaje się do Azyi, gdzie z łaski króla perskiego żyje do śmierci na książęcéj stopie, jako perski satrapa.

Równie smutną osobistością jest drugi wyobraziciel charakteru ateńskiego, Alcibiades. Czyny jego dostatecznie są znane. Popycha on jedynie z egoistycznych pobudek Ateńczyków do kroków nierozważnych, a zwłaszcza do onéj nieszczęsnéj wyprawy sycylijskiéj. Odwołany, przerzuca się bez skrupułów na stronę wroga, zdradza mu z najdrobniejszemi szczegółami plan wojenny Ateńczyków, który sam był ułożył, namawia Spartan do wysłania posiłków Syrakuzanom i obsadzenia Decelei i czyni, co może, aby przyprawić o zgubę kraj swój rodzinny. Wysłany przez Spartan z pięciu okrętami do walki przeciw własnym ziomkom, namawia licznych sprzymierzeńców do porzucenia związku ateńskiego, skłania Persów do przymierza z Spartanami i inne wyświadcza im przysługi. Ale Spartanom przykrzy się wreszcie jego próżność i chęć przewodzenia. Alcibiades, nie czując się wśród nich pewnym życia, ucieka i napowrót kojarzy się z Ateńczykami, aż wygnany powtórnie, ginie marnie na obczyźnie.

A równie niekorzystnie wyglądają w badaniach Schwarca inni wybitni mężowie greccy. Słowem, całość wyników poszukiwań jego nad historyą demokracyi ateńskiéj składa się w obraz niewesoły i wcale odmienny od tego, jaki od lat wielu dziesiątków ustalił się w wyobrażeniach klas, ukształconych za pośrednictwem szkoły. A choć styl jego razi niekiedy pewną przesadą, i mianowicie niezbyt szczęśliwemi wydają się porównania z stosunkami i wyobrażeniami chwili bieżącéj, temat traktowany jest tak gruntownie i wnioski, jakie autor wyciąga z swych studyów, tak obszerną poparte są erudycyą, iż badacz, zajmujący się historyą starożytną, z trudnością dzieło jego będzie mógł pominąć milczeniem.

Prof. A. Chudziński.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Adam Krechowiecki. „Rdza“, powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898, tomów dwa.

Tytuł wiele znaczy w powieści. Dobrany odpowiednio, uwydatnia ogólną jéj treść, zaznacza kierunek akcyi, przyczynia się do wczesnego uświadomienia rozwiązania wypadków, wytyka ich dźwignię naczelną. Krechowiecki zawsze czułym był na tę pomocniczą i popularyzacyjną stronę okładki. Tytuły jego opowiadań obok pewnéj tajemniczości, czy też zagadkowości, podniecającéj ciekawość, mieszczą w sobie najzwykléj — że się tak wyrazimy — filozofię tego właśnie kawałka duszy ludzkiéj lub przyrody, który autor odsłonić przedsięwziął z pod misternie sfałdowanych firanek fabuły powieściowéj.

W jego „Rdzy" — rdza głęboko kryje się po za faktycznym przebiegiem zdarzeń. Notować ją trzeba z ołówkiem w ręku, — wówczas narasta i mnoży się do obfitości kłopotliwéj. „Pańskość wzięli dyabli, ale została krew szlachecka, a to jest rdza, któréj nie wywabisz" (I, 51). „Snadź namiętność przejadła cię jak rdza" (86). „Na serce bohatéra ubóstwo jego padało jak rdza" (145). „Jak rdza przejadło kłamstwo dusze nas wszystkich" (II, 17). „Bezmierne, bałwochwalcze pieszczoty matki były tą rdzą pierwotną, którą następnie spotęgował cynizm wypływający... z utraty wiary w dobre" (98). Jeżeli wszystko to razem — cynizm, pieszczota, krew, ubóstwo, kłamstwo, namiętność i t. p. — jest rdzą, zachodzi pytanie, co nią nie jest?

Tytoń, wódka, kawa, herbata — trawią nas również—i co najmniéj jak rdza żelazo; w mniejszym może nieco stopniu trawi nas także słońce, miłość, praca .. Rdzą jest mądrość, która człowieka na odosobnienie i samotność skazuje; rdzą płochość, która uciech szukać doradza w gwarnym i ruchliwym tłumie; rdzą powietrze, którém człowiek przychodząc na świat oddycha; rdzą ziemia, która nas, po śmierci, do swego łona przytula...

Rozsunięte na taką szerokość pojęcie rdzy staje się jednoznacznéni z wyobrażeniem doświadczeń życia, bytu. „Nauczy cię życie" „opamięta czas", „przekona doświadczenie" — są w mowie potocznéi synonimami tego, co Krechowiecki do ogólnego mianownika rdzy sprowadza. Ale, jak doświadczenie doświadczeniu nie równe, tak téż i rdza bywa rozmaita: jedna może nas z nóg obalać, druga na nogi stawiać, trzecia dobre popędy serca niweczy, czwarta złe nałogi umysłu wspiéra i wzmacnia...

Od najdawniejszych powieści Krechowieckiego owa powszechna rdza życia miała właściwości nie wyłącznie i nie bezwzględnie rozkładowe, ujemne. Była nietylko szczyptą popiołu posypywanego na głowy na dowód, iż wszystko jest marmością nad marnościami, ale téż i ową krédką poświęcaną, któréj czarodziéj używa przeciwko szatanow, pychy, swawoli, krnąbrności, niedowiarstwa i t. d. Młodzian wykole jony z utartéj drogi zawodowego swego powołania, dziewczę porwane w wir usamowalniających prądów wieku, oboje doznawali często dobroczynnego wpływu rdzy wytrawiającéj i oczyszczającéj, — aż dopóki nie weszli na zbawienne szlaki poprawy, uwieńczonéj najzwykléj nagrodą związków małżeńskich, albo téż — gdy już na nagrodę było zapóźno, — to choć krzyżykiem przebaczenia u furty kościelnéj lub na progu wieczności.

Wyznać trzeba, że ta dążność restauracyjna i lecznicza przybrała w niektórych odłamach beletrystyki naszéj najświeższéj doby rozmiary nieco za wielkie, niepokojące. Wieść gminna niesie, że dość sroczce szczyptę soli na ogon posypać, aby ją powstrzymać od odlotu na obce pola, pod cudze strzechy; w powieściach tegoczesnych wystarcza niekiedy wziąć do ust źdźbło takiéj rdzy Krechowieckiego, ażeby się pozbyć wszelkiéj chęci, wszelkiego upodobania do wypraw lub wycieczek w nieznane krainy ideału, w nieobjęty świat sztuki, umiejętności, swobody. U autora „Zmarnowanych", „Najmłodszych", „Jestem", „Kresu", „Rdzy", — spore dozy owych specyfików odradzających rozcieńczają się do niepoznania na oko w ogromnéj stosunkowo ilości motywów, wątków, osnów, składających się na całość opisową, — ale nie znikają nigdy i nigdzie. Jasny, przejrzysty a wartki potok słowa za-

garnia i pochłania pierwiastki „odżywcze” (moralizatorskie) tak szybko i żywo, że obecność ich spostrzegamy dopiéro po skutkach ostatnich, decydujących; spostrzegamy je wszelakoż nie bez pewnego czasem uczucia niesmaku, który w sztuce sztucznością się nazywa. W rozbieranéj powieści nowoczesny kunszt romansopisarski zrobił jeszcze jeden krok naprzód wśród zawiłych ścieżyn kompozycyi, powołanéj nietylko do dysymulacyi, ale też — w możliwéj mierze — i do asymilacyi nierozpuszczalnych zazwyczaj grudek tendencyi czy to utylitarnéj, czy etycznéj. Po przeczytaniu kilku początkowych rozdziałów „Rdzy” doznajemy niewysłowionéj ulgi, nad wyraz słodkiego zadowolenia, — takiego zadowolenia, jak kiedy — przebaczmy trywialności porównania — dziecko dostaje, zamiast cytwaru, łyżkę najczystszego miodu.. Dowiadujemy się bowiem, że dr. Tomasz Rolicz, główny motor i stropowa kolumna gmachu powieściowego, jest już zupełnie nawrócony, że w nim rdza oddawna sprawiła swoje, że zatém nie będziemy potrzebowali być świadkami całego przewodu... uzdrawiającego. We Lwowie o tém moralném zdrowiu Rolicza wiedzą wszyscy, z wyjątkiem jednéj tylko pani Kasprzyckiéj, rozwódki gadatliwéj, srodze na „nieboszczyka” męża rozżalonéj za to, podobno, że dobrym był do książki i do niczego więcéj. Pewnego dnia ozwie się ona do pani Nadolskiéj, siostry Rolicza, zajmującéj się, po swojém owdowieniu, gospodarstwem brata: „Co do téj świętości pana Rolicza, to ja kochanéj pani powiem: w świętych mężczyzn nie wierzę. Może byli kiedyś, jak kalendarz układano, ale co teraz to nie. Ja się do kalendarzowych nawet mężczyzn nie modlę, — wystarczają mi święte niewiasty...” — „Co też pani wygaduje!” — ofuknie ją Nadolska. — „E, pani kochana, wiem co mówię. Niech się pani gorszy, ale to muszę powiedzieć, że kochana pani, osoba taka miła i rozsądna, przy tym bracie kompletnie rdzewieje... Alboż to życie? — Raniutko, skoro świt, do kościoła, wieczorem znowu do kościoła. Ja bywam w świecie, to wiem, co ludzie mówią. Że pan Rolicz uczony, że poczciwy, że zacny — to wszyscy przyznają; ale z tych jego nabożeństw i pustelniczego życia śmieją się. Nazywają go... wié kochana pani, jak nazywają?—oto: gryzi ołtarz...”

Więc rzeczywiście nic już nie będziemy mieli do czynienia ze rdzą w dalszym ciągu opowiadania?... Przeciwnie: więcéj niż kiedykolwiek — tylko-że przyjmować ją wypadnie w kapsulkach. Nikt rdzy nie uniknie, nikt się od niéj nie uchroni. Ilekroć nie działa ona wprost, działa ubocznie, pośrednio, pod przebraniem, ukradkowo. Lekarzem, opiekunem ubogich nie Rolicz, lecz rdza; dobroczyńcą, jałmużnikiem, kierownikiem nie on, lecz ona, — zawsze i wszędzie ona.

Rolicz tylko naczyniem i narzędziem, ręką zaś sprawczą, duszą poruszającą — rdza...

Rolicz ma przyjaciela, Zygmunta Wilskiego. I jego również rdza pożera, — pożarła już do połowy, ale rdza innego całkiem gatunku. Stracił on majątek, stracił późniéj żonę, tracić obecnie zaczyna rozum, sumienie, godność, romansując z żoną Czepiela, swego zwierzchnika w biurze rachunkowém, w którém znalazł skromne dodatkowe zajęcie, pozwalające mu zaprzestać nareszcie grabiezkiego czerpania z resztek skromnego funduszu syna, Stasia, który niedawno dopiéro rozpoczął nauki szkolne. Wkrótce atoli i to, co jeszcze pozostało, rdza pochłonie: i fundusz, i syna, i samego ojca, pospołu z przeklętą tą Czepielową, przedstawicielką najzjadliwszéj może z odmian całéj owéj bakteryologii rdzawéj. Daremnie Rolicz usiłuje dźwignąć Wilskiego z upadku i poniżenia, ordynując mu coraz wyższe dawki rdzy antydotowéj, świątobliwie rozsądnéj, racyonalnie pobożnéj; nic nie skutkuje. Wilski ucieka z Czepielową zagranicę i tu go opada rdza ostatnia, najpodlejsza: szulerka, pijaństwo, rozpusta. Staś pozostaje odtąd pod wyłączną kuratelą Rolicza — i oczywiście, wychodzi na dzielnego człowieka, zacnego obywatela, wielkiéj biegłości lekarza, — pomimo że w nim rdza dziedziczna, po ojcu, odzywała się raz po raz. „Staś był niezmiernie wrażliwy; pozbawiony oddawna ogniska domowego, wyidealizował je sobie, a egzaltowane uczucia rodzinne prowadziły go do bezwzględnego usprawiedliwiania czynów ojca. Wyobraźnia Stasia zbyt wcześnie w ten sposób poczęła się oswajać z wybrykami występnemi, a serce jego i przekonania, ze względu na ojca, nie mogły już się zdobyć na ich potępienie. Była to niewątpliwie r d z a, rzucona ręką niebacznego ojca na młodzieńczy umysł i serce syna, która na całą jego przyszłość fatalnie wpłynąć mogła. Rolicz postanowił uczynić wszystko, co było w jego mocy, aby tę r d z ę usunąć."

Bądź co bądź, Staś wcześnie wypala się z téj spuścizny „ojcowskiéj" i staje się prawdziwym kryształem zacności „roliczowskiéj". Zanim jeszcze rozpoczął studya uniwersyteckie, świeci już blaskiem niespożytéj prawości w domu państwa Zbąskich, do którego się dostaje jako guwerner, nie chcąc, przez zbytek skrupułów, być ciężarem swemu opiekunowi. Dom to od podwalin do komina obciążony wszelkiego miana, pochodzenia i rodzaju rdzami niedoli ekonomicznéj i zacofania umysłowego. Wyborną jest charakterystyka głowy rodziny. „Pan Jan Abraham Zbąski, jak słońce Jozuego, stał w miejscu. Po nad jego głową, już osiwiałą, przechodziły burze, kataklizmy, przewroty, zmieniały się prądy i opinie, pan Jan Abraham pozostawał niewzruszony.

Na seryo był przekonania, że cały świat błądzi, a on jeden miał słuszność. Sześć dziesiątków lat przeżył, przebył nie jedno i na niejedno patrzył, ale od pierwotnych przekonań swoich nie odstąpił ani na krok. A że mu się nieraz źle z tém działo, że znaczny majątek roztrwonił, a Zbąszynowi groziła zupełna ruina, że narażał się często na drwiny i przykrości, to nie on był temu winien i nie jego upór, ale świat przewrotny, stosunki zmienione fałszywie, które nietylko jego, pana na Zbąszynie, lecz i ludzkość całą miały wtrącić niechybnie w przepaść zatracenia". Godną małżonka połowicą, była pani Zeneida, „opierająca się despotycznym zamachom czasu na jéj niepospolitą niegdyś urodę z taką energią, z takim zapalczywym uporem, a przytém tak głęboko odczuwała bezowocność swych wysiłków, że rozstroiła sobie nerwy i chorowała na serce". Leczył ją później, gdy na medyka się wykierował nasz Stach Wilski, ale tak długo i tak niefortunnie, że biedna kobiecina szczerze uwierzyła, iż się w niéj na dobre rozkochał... I staćby się to było mogło bezwątpienia, gdyby w Zbąszynie nikogo więcéj nad panią Zenaidę nie było; ale w samym dworze, oprócz pani domu, trzeba się było liczyć najpierw z jéj synem, Guciem (którego imię brzmiało w uszach Wilskiego równowartością „złośliwego nieuctwa)", następnie z p. Hieronimem Zbąskim, dalekim krewnym p. Jana Abrahama, starym kawalerem, dusigroszem i nieznośnym mizantropem, co swą ironią, gadulstwem i dojmującemi uwagami krytycznemi, z satysfakcyą niesłychaną upokarzał pychę p. Jana Abrahama, egzaltacyę pani Zeneidy i rasową bujność Gucia, a jeśli kiedy kochał cokolwiek lub kogokolwiek, to chyba tę małą, śliczną Irenkę, „która niewiadomo zkąd się wzięła w takiéj rodzinie głupców, utracyuszów i rozpustników..."

Zanim ta mała Irenka urosła na dużą, Stanisław zdążył szczęśliwie ukończyć uniwersytet, autor zaś wprowadzić do powieści taką masę rdzy najrozmaitszéj, uśmiercającéj i ożywiającéj, że starczyłoby jéj, jak sądzimy, na tomów dwanaście. Zgęszczone do dwóch, wytwarza niejaki chaos, z którego wyłania się parę ładnych obrazów, parę wykwintnych dyalogów — i niewiele konsekwencyi w rozwoju wypadków, czy też raczéj przygód. Irena pała uczuciem najczystszéj i najwznioślejszéj miłości do Stacha, a że go raz ujrzała w ramionach matki, pani Zeneidy, spazmatycznie rzucającéj się na szyję młodego, w smutku tonącego lekarza, więc bez rozwagi i namysłu, *stante pede*, wychodzi za złodzieja i oszusta, Zempacha; dowiedziawszy się atoli nazajutrz po nocy ślubnéj, samotnie spędzonéj, że Zempach popełnił grubszą jakąś niedelikatność pieniężną, odprawia go zrana z kwitkiem i długą nauką téj mniéj więcéj siostrzanéj i archanielskiéj treści: „Bądź mężnym, panie Stefanie, bądź silnym. Jeżeli nie w kraju, to zagranicą

znajdziesz łatwo pracę, która cię odrodzi. Podaj mi rękę i przyrzeknij, że tak uczynisz... A ja wówczas, na każde zawołanie twoje przybędę, aby podzielić z tobą złą i dobrą dolę... Będziemy żyli w najskromniejszych choćby warunkach, jeżeli niezupełnie szczęśliwi, to spokojni w sumieniu...“ Przedtém i potém roztacza się równoległa historya najzupełniéj od głównych założeń odrębna, odosobniona, któréj bohaterami Molski i Wilma *vel* Karla; znów niebawem wracamy do Ireny i Stasia; raz jeszcze z nimi się rozstajemy, błąkając się po knajpach lub szulerniach wiedeńskich,—aż dopóki rdza dodatnia, roliczowska nie sprowadzi Stasia i Ireny na dobre do Zbąszyna (podreperowanego, jak się zdaje, głównie sumptem kąśliwego tego dziada, Hieronima Zbąskiego)... Na zamknięcie mamy bardzo ładną rozmowę: — „Jak ja kocham Zbąszyn!”—rzekła zcicha rozpromieniona Irena. A Stanisław, który ogarniał jéj postać rozmiłowanym wzrokiem, pochylił się wtedy do niéj i czuł, że mu pierś wzbiéra nadmiarem uczucia, że wypowiedzieć jéj wreszcie musi to, co przez lat tyle było jego udręczeniem i rozkoszą. Więc szepnął, tonąc spojrzeniem w jéj oczach głębokich, jak przepaści: — A ja kocham ciebie, więcéj niż świat cały, niż życie! — Ona drgnęła i usuwając się nieco, położyła palec na jego ustach. — „Nie wolno nam jeszcze tego mówić sobie, nie wolno! Aż się zabliźnią wszystkie rany i zatrą wspomnienia, aż się oboje ustalimy w pracy... Trzeba nam wprzódy na nowo uwierzyć w szczęście...—Ale gdy to mówiła, uśmiech był na jéj ustach, a w oczach tyle blasku i tyle pogody, że on ujął jéj rączkę i do ust tulił, dziękując za ten uśmiéch, ten blask i tę pogodę, jaką mu ona z sobą przynosiła... — Ty jesteś szczęście — rzekł — i ja w nie wierzę...“

Powieściom Krechowieckiego z życia współczesnego (po za obrębem historycznych) możnaby zrobić ten niewinny zarzut, że pomimo ubiegania się o koloryt soczysty, jaskrawy, są one bez koloru lokalnego. Opowiadanie daje się z łatwością, bez ujmy dla wiarogodności lub niewiarogodności scen pojedyńczych, przenieść ze Lwowa lub Wiednia na każdy inny punkt kuli ziemskiéj, cokolwiek grubiéj podmalowany cywilizacyjnie. Dorywczo, epizodycznie, złudzenie rzeczywistości bywa silne, — całość, bez wyjątku, rozpływa się w nadobłoczach oderwania etnologicznego i psychologicznego, sąsiadującego ze zmyśleniem i dowolnością. Czyta się to z przyjemnością przyzwoitego roztargnienia, bo się wié i widzi, że prawda, czy téż prawdy, jakie autor podaje w szacie anegdot, mają uniwersalną wartość etyczną — prawie katechizmową. Artyzm — zkądinąd niezaprzeczony — lepi i rzeźbi tu glinę ludzką według wzorów akademickich, powszechnych, uznanych nad Pełtwią

i nad Sekwaną, — ale znikąd i nigdy nie wiadomo, czy glina ta pochodzi z okolic Sèvres, czy z pod Błonia. *J. T. Hodi.*

Wanda Grot-Bęczkowska. „Kędy droga?“ — Powieść współczesna. Warszawa. Nakład księgarni Dubowskiego i Gajewskiego, 1898.

„Nie tędy droga, szanowne panie!” — wołał niedawno ks. Karol Niedziałkowski do tych naszych autorek, które w sprawie równouprawnienia kobiét posuwają swe wywody po za granice możliwego n a d z i ś rozwiązania, a wierzą, wraz z autorem „Barbarzyńskiéj spuścizny wieków” [1]), że już i obecnie powiedziéćby można przeciwnikom usamowolnienia: obawy wasze są płonne i nieszczere, „tylko żart, obluda lub choroba może z wolności niewieściéj uczynić coś rozkładowego; tylko ostatnie umysłowe niedołęstwo potrafi zdefiniować cnotę niewieścią, jako coś biernego, w czém niéma ani godności, ani zasługi, ani myśli, ani woli, ani świadomości...”

Problemat, przesądzony przez ks. Niedziałkowskiego, pani Bęczkowska powołała napowrót przed trybunał opinii publicznéj i zapytując „kędy droga?” zdjęła z niego cechy zaprzeczności wyłącznéj i stagnacyjnéj, zaprzątniętéj widokami jednego jakiegoś stronnictwa, jednéj jakiéjś doktryny. Mamy tu rozwiniętą całą gamę tez i antytez emancypacyjnych, nie zaś jeden dźwięk czy zgrzyt potępienia, nagany lub negacyi.

Rzecz postawioną została jasno, dokładnie i nad wyraz plastycznie, z sumiennością analityka, który wié, że najprostsze na oko zjawisko społeczne składa się z niezliczonego mnóstwa pierwiastków nader misternie z sobą powikłanych, a zasługujących na uwzględnienie i zbadanie szczegółowe, każdy z osobna. Forma powieściowa bardzo szczęśliwie zadaniom takim odpowiada. Oto kilkanaście pensyonarek, po otrzymaniu patentów d o j r z a ł o ś c i (względnéj oczywiście), zbiera się w mieszkaniu jednéj ze swych koleżanek i dając folgę uczuciu, wezbranemu wobec szeroko rozwierających się wrót przyszłości, zawiązują rozmowę o tém, co je najbardziéj w danéj chwili obchodzi i nie prędko zapewne obchodzić przestanie: o mężczyznach i o swoim do nich stosunku... Ma się rozumiéć, plotą rzeczy niestworzone, jak na mękach — i jeżeli wśród chórów anielskich, w wojskach Pana Zastępów są wiwan-

---

[1]) Zob. „Bibliotekę najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“, zeszyt majowy, 1898.

dyerki, tak nie inaczéj gawędzą one z sobą za straganami z tęcz i jutrzenek. W pierwszym rozpędzie wrażenia nie chce się wierzyć, aby coś podobnego powstawać mogło w główkach i wychodzić z usteczek podlotków piętnasto i szesnastoletnich; dopiéro chwila rozwagi przekonywa, że właśnież tylko ptaszęta niezupełnie upierzone równie śmiało szczebiocą i w słonecznym ogniu raczków nie pieką. „Będę kokietować—woła Jania—głowy zawracać, dopóki tego szkaradnego rodzaju męzkiego nie unieszczęśliwię, nie wydręczę dostatecznie..." „Mężczyzn trzeba krótko trzymać—dodaje Natalka.—Ilekroć przyjeżdżałam z pensyi do domu na święta lub wakacye, pięknych rzeczy się napatrzyłam i nasłuchałam... Zamążpójście nie stwarza bynajmniéj dla kobiéty szczęścia, więc i ja jestem za tém, aby brać do niewoli panów mężów." „Ujarzmimy tych panów stworzenia i pokażemy im, co potrafi błękitny, różowy lub żółty pantofelek"—zakończa Jadzia. „Dobrze powiedziane!—stwierdza Janina—mąż i pantofel, pantofel i mąż!... oto alfa i omega w życiu rozsądnéj kobiéty tegoczesnéj!..." Głosy opozycyi brzmią z początku słabo. Tylko uboga, żyjąca na łasce krewnych, chorowita, niepiękna, choć sympatyczna i dobra Cesia próbuje zahamować na razie przemagający prąd pesymizmu i złorzeczeń anty-matrymonialnych: „Nierozerwalny związek dwóch dusz,— szepcze — które się wzajemnie rozumieją, to chyba najwyższe szczęście, jakiego pragnąć można..." Zakrzyczano ją bez miłosierdzia. „Dzieci—to jeszcze, ale mąż!..." „Bo trzeba wam wiedziéć, moje drogie,—najpoważniéj tłómaczy towarzyszkom Jadzia—że dzieci lubię namiętnie. Co zaś do pana męża, wszystko mi tam jedno jaki będzie, byleby tańcował jak mu zaśpiewam..." Poruszony motyw dzieci pozyskał nieco szersze uznanie; ponieważ zaś przypuszczać należało, iż dzieci zjawiają się na świat cokolwiek inaczéj niż lalki, rodziła się stąd niejaka nadzieja, że i sprawa mężów stanie nieco lepiéj; ale nie: niezbędność mężów, zakwestyonowana teoretycznie i zgóry, nie wszystkim przedstawiała się w należycie jasném świetle. Spory nie ustawały; czas tymczasem naglił; wszedł do pokoju służący i oznajmił, że jaśnie pani na herbatę prosi. Wówczas to, pod naciskiem potrzeby, głos zabrała Anielka, proponując odroczenie uchwały, skazującéj mężów na zagładę.—„Słuchajcie!—powiedziała Anielka — Przyrzeknijmy sobie, że po upływie lat ośmiu spotkamy się w kościele Karmelitów... Życie samo wskaże kierunek, jaki obrać mamy... Cóż wy na to?..."—„Zgoda, zgoda! jakież to rozkoszne będzie spotkanie!"—zawołały chórem.

Pomysł zjazdu koleżeńskiego po latach kilku, lubo nieco zużyty, nigdy dobrym w powieści być nie przestanie. Można więc było oczekiwać, że i autorka posłuży się tym resursem,—że przeskoczywszy umó-

wiony okres, zwoła koleżanki na biesiadę i każe im opowiadać dzieje doznanych zawodów lub tryumfów. P. Bęczkowska obrała drogę mniéj utartą. Postanowiła całe to grono reformatorek wręcz i bezpośrednio zetknąć z rzeczywistością, pełnym frontem przeprowadzić je przez czyściec doświadczeń życiowych, przedmiotowo uwydatnić koleje mężnienia lub łamania się ideałów wypielęgnowanych w główkach zaledwie dojrzewających i w rozwoju saméj akcyi pokazać, ile w pierwotnych zapędach entuzyastek tkwiło złudzeń dziecinnych, a ile było prawdy instynktownie odczutéj, lub pobieżnie i dorywczo wyrozumowanéj na ławkach szkolnych.

O trudnościach w sztuce powieściopisarskiéj zadania, sformułowanego w powyższy sposób, poweźmie się niejakie wyobrażenie z pobieżnego choćby rzutu oka na przebieg losu jednéj tylko postaci — Jani Krasnohorskiéj—téj, w któréj się najmocniéj skupiły pierwiastki protestu i niezadowolenia i która przez to nieodzownie otrzymać musiała w opowiadaniu stanowisko przodujące. Owóż Jania należy właśnie do charakterów, z któremi łatwiéj sobie poradzi życie, niż artyzm. Dusza tkliwa, szlachetna, do uniesień i poświęceń skora, a przecież w najwyższym stopniu harda, buntownicza, przepojona odrazą do wszystkiego, co się prozaicznie i trywialnie wiąże z obecną podstawą i normą pożycia rodzinnego,—rzucona w środowisko rzeczywistości faktycznéj, realnéj, powszedniéj, — téj rzeczywistości, któréj nie potrzebujemy oglądać przez estetyczne lub naukowe okienka, przebiłaby się przez nią nie w ten to w inny sposób, bez wielkiego szwanku, bez wielkiego, a w każdym razie bez większego hałasu. Organizacye bujne, a wspaniałomyślne, porastające na poziomach szarych i jałowych jaskrawém kwieciem niechęci, rozżalenia, pogardy, — czy wegetują, czy walczą, znajdują zazwyczaj, nie tu to tam, nie w jednéj to w drugiéj chwili, choć tyle pokarmu, aby trwać, aby istnieć wśród nieprzebranych obszarów drobiazgowego, różnorodnego i p r z y p a d k o w e g o bytu. Prostolinijność zachowania się nie jest dla nich niezbędnie obowiązującą. Powieść nie jest na tym punkcie równie wspaniałomyślna, jak przyroda. Jako skrócone odwzorowanie rzeczywistości oświetlonéj estetycznie, zniewolona jest ona z pewnych wyborowych stanów i usposobień, czy to indywidualnych czy społecznych, wyciągać takie ich konsekwencye zasadnicze, które następnie nie dają się rwać, łamać, modyfikować dowolnie na wzór tego, co się często zdarza w kolejach przypadkowości aktualnéj, powszedniéj, rozporządzającéj materyałem do nieskończoności urozmaiconym i wielowykładnym. Do takich konsekwencyi nieodbitych, obarczających i krępujących w powieści swobodę ruchów i postępowania jednostek wybranych, wyjątkowych (bo-

haterów i bohaterek) należy przedewszystkiém ta, która w moc samego założenia zabrania im staczać się własnowolnie lub pochylać się pochlebnie ku padołowi i nizinom otoczenia, zasadniczo uznanego za wrogie, niezdrowe lub plugawe. Klęska zatém zdaje się być nieuniknioném i nieodbitém rozwiązaniem działalności takich jednostek „wygórowanych". Ktoby zaś dla nich koniecznie pragnął tryumfów (zwłaszcza w obrębie lat ośmiu i 448 stronic małéj ósemki), — stwarzaćby musiał cuda lub fikcye: nie mając bowiem prawa zaciagać uprzywilejowanych wyjątków do jarzma pospolitych otoczeń, zniewolonym byłby otoczenia słać pod stopy wyjątków... A skądże tu znowu wziąć, skąd nabrać otoczeń tak grzecznych, uprzejmych, rozumnych?...

Jania Krasnohorska wraca ze swoją siostrą Amelką (plastyczném uosobieniem spokoju i równowagi w dążnościach emancypacyjnych) na wieś, do domu rodzicielskiego. Dwie pierwsze fale życia, wysuwające się na ich spotkanie, uderzają na reformatorki najzgodniéj z istotą rzeczy i sytuacyi powieściowéj; obie są ciosami: jedna tnie od prawego, druga na odlew. Pożycie starego Krasnohorskiego, ojca dziewcząt (praktyczności gładkiéj, kołowaciejącéj w powodzeniach chwilowych, a krępéj, twardéj, ślizkiéj jak koźle rogi), z panią Heleną Krasnohorską, ich matką (dobroci, słodyczy, tkliwości i wyrozumiałości, posuniętéj do granic niemal występku wobec padalczych zdrad i lodowato-obelżywego lekceważenia męża), chłoszcze najpierw i znieważa najświętsze, najdroższe uczucia entuzyastek, stwierdzając i wzmacniając w nich teoretyczne dotąd przeświadczenie o podłości mezkiéj. Niebawem atoli i samo to przeświadczenie otrzymuje policzek krwawy. Odwiedziny u Malskich nastręczają nowatorkom sposobność poznania emancypacyi niewieściéj—w jednéj z jéj form najbardziéj spaczonych i zeszpeconych.. Tu i tam nauka życia nic do życzenia nie zostawia: prosto i otwarcie zmierza do zatopienia chybkiego czółenka marzycielskiéj, snami idealizacyi rozkołysanéj filozofii dziewcząt... W potocznym, realnym biegu spraw ludzkich odsiecz dla apostolstwa obustronnie zaskoczonego przez przeciwieństwa zawsze się znajdzie pod ręką na zawołanie: to patyk nadpłynie, to coś śmieszniejszego jeszcze; to balik wypadnie w sąsiedniém miasteczku, to zjedzie w konkury kawaler podtatusiały, to na mszę zadzwonią w poblizkim kościele; nazajutrz krowa we dworze się ocieli, pojutrze jedynak zemrze u chłopa i t. d. Na widowni tychże spraw potocznych, nanizanych na nić artystycznéj zgodności pomysłu z wykonaniem, czółno płynąć musi daléj w osamotnieniu prawdopodobném, wśród niebezpieczeństw, które, wzmagając odporność, nadzieję zwycięstw podniecają—i wśród zwycięstw, które niebezpieczeństwo potęgują. Ratunek zjawić się tu może jedynie pod postacią śmierci

w otwartym boju, z podniesionêm czołem—albo téż, jak w baśni gminnéj, zwiastującéj być może przyszłość nie za górami, nie za lasami,—pod postacią królewica w złotéj zbroi, na ognistym koniu...

Łatwe to do pojęcia, że autorka, czerpiąc obserwacyjny budulec swych powieści z najbliższego, bezpośredniego środowiska, nie miała serca skazywać ną śmierć istot, w których piersi Opatrzność złożyła drogocenne nasiona lepszéj doli niewieściéj: gorącą miłość prawdy, niepohamowaną żądzę sprawiedliwości. Nie dziw téż, że za trzeciém czy czwartém uderzeniem wioseł zacne dziewczęta spostrzegły obok siebie lekarza Dembińskiego, „charakter tęgi, wyrobiony, nie pozwalający sobie na słabostki żadne, a przedewszystkiém uczciwy..." Takie główne wygrane na loteryi życia — zdarzają się niezaprzeczenie. Szczęśliwy traf—to także swojego rodzaju bohatér; tylko że, gdziekolwiek on swą pracę zaczyna, tam się już kończy powieść w têm jéj określeniu nowoczesném, któremu autorka otwarcie hołdowała w poprzednich swych dziełach: „Bez woli", „Co będzie z naszego chłopca?" i t. d.

I. Rusticus.

Sylweryusz Kondratowicz. „Fałsze życia", powieść. Warszawa, skład w księgarni Wizbeka, 1898, tomów dwa.

Do najbardziéj utartych i upowszechnionych tematów tegoczesnego naszego powieściopisarstwa należy niezaprzeczenie temat podupadłych lub upadających fortun ziemiańskich. W „Fałszach życia" Kondratowicza takiemu typowemu staczaniu się po pochyłości, a raczéj rozkładowi wewnętrznemu, ulega ród Górnoskich, spowinowacony ubocznie i przypadkowo z... arcyksiążętami, jak się o têm w toku opowiadania dowiadujemy z malowniczego epizodu, klejnotów familijnych, przypominających nieco fantastyczne przygody Maryi Antoniny. Ukryty na dnie tajemniczéj kasetki i w głębi wspomnień staréj Górnoskiéj nowy „naszyjnik" służy wprawdzie za jedno tylko z drobnych drewienek wielkiego stosu rozpusty, na którym ostatni potomek rodu, Tadzio Górnoski, puszcza z dymem resztki mienia, zarobionego niegdyś w warunkach nie... arcyksiążęcych zapewne; ale za to w blaskach drogich tych kamieni i dogorywającego tego ognia doskonale się uwydatniają początki i końce, przyczyny i skutki dramatu.

Kiedy otrzymany z rąk matki klejnot Tadzio niesie na zastaw, czy téż na sprzedaż, do kupca Weingarta, przed starą Górnoską roztacza się czarujący, uśmiechnięty, rozpromieniony widok młodości—„minionéj niepowrotnie..." Znikła w dogasających jéj źrenicach teraźniej-

szość, znikła pamięć o synu, który wyszedł przed chwilą; zamiast otaczającego ją pokoju, pozbawionego nagle najdroższéj swojéj ozdoby, widzi wspaniałe marmurowe schody, wysłane pluszowym dywanem koloru wiśniowego, i na każdym stopniu imponującego postawą i wzrostem hajduka, którego strój lśni się od złota; daléj, ciągną się rzędem podwójnym marmurowe kolumny, wspierające wysokie sklepienie sali gorejącéj od tysiącznych świateł; ukryta pod stropem dworska orkiestra balowa wylewa nieprzerwane fale poważnych, uroczystych dźwięków poloneza. A wśród tych świateł i dźwięków posuwa się olśniewający swym blaskiem, wspaniały pochód par tanecznych: mundury kapiące od złota, gwiazd i drogich kamieni, przepyszne tualety dam, zasypane brylantami, obnażone alabastrowe ramiona i biusty, tonące w girlandach kwiatów, podniecający szelest jedwabiów i szmer wachlarzy... Wszystko to czuje, widzi, słyszy stara Górnoska. Widzi również—niby na jawie, niby żywą—wyniosłą postać mężczyzny, na którego widok tysiące głów pochylają się jak kłosy przed powiewem budzącym się od wchodzącego słońca... W otoczeniu arcyksiążąt i ciała dyplomatycznego postępuje cesarz... Błądząc roztargnionym wzrokiem po sali, obojętnie mija tysiące par oczu, wpatrzonych w niego i pragnących niby najwyższego szczęścia uchwycić chociaż na sekundę, chociaż na ćwierć sekundy spojrzenie majestatu... Spojrzenie władcy rozległéj monarchii przesuwa się jednak niby promień słońca, nie zatrzymujący się nigdzie, a przecież rozjaśniający wszystko... I nagle, w téj swojéj obojętnéj wędrówce, zatrzymuje się ono dłużéj... Wszystkie oczy z niewolniczym pośpiechem pędzą w kierunku wysokiego spojrzenia i zatrzymują się jak wryte. Szept, zrazu stłumiony, potém coraz silniejszy, przebiega z ust do ust: „*La belle comtesse, la belle polonaise!...*" Szept ten tysiączno-języczny tysiące również miał odcieni, wyrażających zachwyt i zawiść, uniesienie i gorycz... Sprawczyni zaś tych sprzecznych uczuć i téj powszechnéj wędrówki spojrzeń stoi tryumfująca, promieniejąca urodą, radością, szczęściem, przeżywając — zdałoby się — w téj jednéj chwili wszystkie rozkosze życia... A tą wybranką, jaśniejącą czarami młodości, wdzięków i niezwykłéj urody, jest... — była niestety przyprószona dziś siwizną wieku, upadająca pod ciężarem rozsypującego się w gruzy dobrobytu domowego (bo o godności niema tu mowy), — była właśnie obecna pani Górnoska... Ale wtedy, ale przed laty — co za splendor, co za zaszczyt! Na razie, ogłoszono ją jednomyślnie królową balu; nazajutrz wszystkie dzienniki stolicy Habsburgów stwierdziły to oficyalnie, opisując najdrobniejszy szczegół jéj tualety i niemal każdy wdzięk zosobna (I, 116—117).

W porównaniu do rozwiniętego i wykończonego obrazu życia wiedeńskiego w czasach, kiedy nad modrym Dunajem takież honory spotykały uroczą Sokolniczankę Maryę (z „Alkhadara” Chojeckiego), drobny, zaledwie napomknieniami zaznaczony szkic Kondratowicza wykazuje pewien postęp galanteryi dworskiéj — wygląda jak wyszeptany na ucho duser w sypialni, obok grubiańskiego pościgu za zwierzyną osaczoną w gąszczu leśnym. Bo téż, w ogólności, cała postać rzeczy i wszystkie sprawy monarchii rakuskiéj uległy znacznéj zmianie od r. 1845 — 46. Łatwo to spostrzedz nawet z zestawienia letnich i wymuskanych uczt, kolacyjek, wycieczek nocnych, wybryków kawalerskich takiego Tadzia Górnoskiego z gorącemi, pełnemi zapału i rycerskości wybuchami staroszlacheckiéj buty takiego Wilczka w „Alkhadarze”. Tam niegdyś szał, namiętność i nierząd rwały się łożyskiem przyrodzonego jakiegoś zdziczenia, które miało w sobie powab siły rzeczywistéj choć spaczonéj; tu teraz jesteśmy świadkami rozpasania się instynktów niezdrowych i skoślawionych, leniwie rozpełzających się wśród bagnisk chronicznie pańskość udającego niedołęstwa. Inne motywa i czynniki akcyi —inne téż jéj rozwiązanie. W społeczeństwie Wilczków pociąg życia pędzi w przepaść na oślep, fatalnie, bez możliwego ratunku; w sferze Górnoskich biedka przeznaczeń wlecze się tak ślamazarnie, że żadne wykolejenie ostateczną zagładą nie grozi. Są sposoby, są kompromisy.

Nie ocali Tadzia naszyjnik mamy, to go podeprze posag dobréj i zacnéj Ali Małodzielskiéj, z którą po niedługich korowodach był już prawie zaręczony, był już niemal na „ty”. „W każdém jéj spojrzeniu, w uścisku ręki, w każdém słowie młody Górnoski widział czuł, słyszał szczerość uczucia, idącego prosto do celu, nie liczącego się z żadnemi względami;—niestety, to przeświadczenie, zamiast mu dodać otuchy, onieśmielało go; czuł, że wyznając jéj miłość, popełni kłamstwo. Ilekroć postanowił wyrzec przed nią czarujące słowo „kocham”, jakiś kurczowy spazm w gardle zaczynał go dusić, wtłaczając do piersi czułe słowa wyznania”... (II, 6). Nic a nic nie rozumiemy z początku, skąd te skrupuły w takim zszarganym i zabłoconym przeżytku szlacheckim. Lecz jakież jest nasze zdumienie, gdy się dowiadujemy, że Tadzio pokochał Stasię, — śliczną, rozumną, wykształconą, anielsko-dobrą... niezamożną Stasię — i o! dziwy nad dziwami! — jest przez nią kochany. Stasia, coprawda, przekonawszy się dowodnie, że Tadzio i Ala są już po słowie, odpycha z oburzeniem natarczywe zabiegi kniajpiarza-panicza, ale taka odprawa właśnież niezbędna jest dlatego, aby w Tadziu z zabrukanéj drzazgi wyrosła zielona gałązka bohatérstwa. Pod obuchem nieszczęścia odrodzenie, istotnie, postępuje tak szybko, gwał-

townie niemal, że zakochany, po niejakim namyśle, w łeb sobie pali... Nie zupełnie wszakże celnie — i to mu zapewnia tryumf ostateczny, epilogowy. Bo kiedy losy ciężko postrzelonego ważą się między życiem a śmiercią, do pokoju jego, o zmroku, wpada Stasia, klęka przy łóżku i do ust swych przyciska rękę chorego. „Przez ciało Tadeusza przemknął niby prąd elektryczny. Otworzył oczy i patrzał na klęczące dziewczę długo, bardzo długo... — potém ręka jego uniosła się i spoczęła na bujnych włosach Stasi. Ten ruch, niemylna oznaka budzącéj się samowiedzy, wstrząsnął całą jéj postacią... Wzruszona do głębi tą pieszczotą ukochanego człowieka, pochyliła się jeszcze bliżéj ku niemu i wyszeptała: — „Przebacz! przebacz!" Na ten szept przesunął dłonią po jéj włosach i uczynił widoczny wysiłek, żeby przemówić; usta się jego poruszyły, lecz dopiéro po upływie kilkunastu sekund przemknął przez nie szept ledwie dosłyszalny: — „To już... nie fałsz". — „Nie, nie, to prawda! — jam twoja, twoja!" odparła łkając (II, 225).

Bardzo ładnie — tak bez mała ładnie, jak i w „Złotych ogniwach" Gomulickiego, gdzie pod wpływem miłości twardzi i nieubłagani ateusze słaniają się niby pijani i odmawiają na głos modlitwę Pańską (chociaż nie według tłómaczenia Wuyka): „Ojcze nasz, który jesteś w niebie"... Tym razem wszakże zachodzi w drogę ta okoliczność przykra, że o ileby Stasia rzeczywiście stać się miała panią Tadeuszową Gornoską, nie spostrzegamy skądby przyszło zbawienie na doszczętnie zrujnowany majątek Górnoskich... No, ale powieściopisarze nasi nauczyli się radzić sobie jakoś z temi drobiazgami: Laskowski w drodze parcelacyi np., Krechowiecki z pomocą jakiegoś kutwy-weredyka, odgrywającego rolę wuja Sama i t. p.

Jak się z tym szkopułem uporał Kondratowicz, — już sobie nie przypominamy, a to z powodu stojącéj nam w oczach od samego początku postaci Toli (siostry Tadeusza) — skromnéj, cichéj, pracowitéj, usłużnéj, a tak pięknéj w prawdzie, rzetelności i osamotnieniu swéj duszy dziewiczéj, że się z pewnością nie znajdzie ani jeden czytelnik „Fałszów życia", coby jéj nie umiłował i nie ubóstwił. Ona też jedna — Tola — ocali zapewne powieść od utonięcia w falach zapomnienia.

St. F.

Aleksander Świętochowski. „Pisma". Tom III. Bajki (Kraków, G. Gebethner i Spółka. Warszawa, Spółka Nakładowa, 1898, str. 159).

Kiedy pojawi się nowe dzieło pędzla Siemiradzkiego, z zaciekawieniem biegniemy je oglądać, przekonani jednak, że znajdziemy

w niém podobieństwo do poprzednich: to samo tło, te same wspaniałe kształty pięknych ciał, szmat nieba niezrównany. Temat zawsze ma w sobie choć cząstkę ulubionéj przez malarza epoki, którą jest — Rzym.

W literaturze, jak gdyby w przeciwstawieniu do jednéj starożytnego świata potęgi, Świętochowski wybrał Grecyę, z jéj życiem, mitologią, słowem—z jéj duszą.

„Grek był nagi i szczery"—mówi autor w ostatnim zbiorku swych pism, p. t. „Bajki", do których należą: „Lew kamienny", „Wesele satyra", „Hymn niemych", „Strachy Pentelikonu", „Dafne", „Dwaj filozofowie" i „Asbe"; pozostałe utwory, mianowicie: „Krajobrazy", „Dwugłos miłości", „Dwa widma" i „Nad grobem"—są to właściwe Świętochowskiemu dumania filozofa w formie nowel zawarte.

Bajki greckie robią wrażenie drobnych pastel, wykończonych bez zarzutu; styl jest w nich wszystkiém.

O wiele wyżéj od bajek stoją „Krajobrazy". Jest ich dwa: „Północny" i „Południowy". Prawdziwe to dzieła sztuki.

Na tle „śnieżnego płaszcza" ziemi („Północny") w oddali dwoje ludzi: on i ona. „Niby para nurków, szukających pereł i korali, niby dwoje utopionych w morzu zimy, stąpali po jego białém dnie, otuleni w wełniane szaty i futra. Z całego ich ciała widniały tylko blade twarze, w których głęboko ukrytym żarem płonęły zapalające się wzajemnie od siebie niebieskie oczy. W owym świecie chłodu i białości był to jedyny ogień i jedyna barwa."

Po długiém, smętném milczeniu, on, obudzony z zadumy, rzuca w odpowiedzi bolesną prawdę — nieco wiązań z tragikomedyi ludzkiego życia:

„...Mądrość przez usta ludzkie powiedziała kiedyś, że człowiek nie powinien być dla człowieka środkiem, lecz celem; dziś ona w służbie i najmie wyprzysięgła się téj mrzonki. Dziś człowiek dla człowieka jest środkiem. Kto ma funt złota, połyka mających po łucie; kto ma pud, połyka funtowych, kto ma cetnar, połyka pudowych — i tak daléj. Bogacza można rozmienić na biedniéjszych, jak dukat na złote i grosze. Ale podczas gdy dukat, wchłonąwszy zawarte w nim drobne pieniążki, czuje zupełne nasycenie, człowiek, który go posiada, doznaje głodu, dopóki gdzieś tam w najnędzniejszéj kieszeni spoczywa możliwy do zdobycia szeląg. Do téj kieszeni zaś sięgnie on w potrzebie drapieżną ręką przez cudzy mózg, serce, płuca, zamorduje, jeśli inaczéj obrabować nie zdoła... Ten, któremu połechtał oczy wdzięczny uśmiéch ładnéj kobiéty, zbałamuci ją, znieprawi, zbruka, unieszczęśliwi, zmarnuje całą dla chwilowo pożądanéj przyjemności pocałowania w kora-

lowe usteczka. Tamten, który lubi głębokie pokłony gromady ludzkiéj przed swém dostojeństwem, ogłupi ją, zuboży, ubezwładni, ażeby korniéj wykonywała te ruchy... Samolubstwo jest moralnym szkieletem natury człowieczéj, z którego obecnie coraz częściéj opada odgniłe ciało..." (str. 6, 7).

Surowy i mglisty krajobraz północy ma świetne *pendant* w „Południowym":

„Nad stromym brzegiem zatoki rozstawił się gaj pomarańczowy, w którym gdzieniegdzie wybiegały oliwki, tuje i palmy. Tu wietrzyki bawiły się najswawolniéj, zaczepiając figlarnie wszystko: liście krzewów, płatki kwiatów, źdźbła trawy, ale najgęstszym rojem okrążyły postać kobiéty, leżącéj pod drzewem palmowém, która na ich pieszczoty odpowiadała co chwila wdzięcznym uśmiechem. Wsuwały się między jéj krucze włosy, dmuchały w jéj długie rzęsy, psotnie podnosiły rąbek jéj białéj szaty, a wślizgnąwszy się pod nią i skradłszy pocałunek z jéj różowego ciała, uciekały szybko, ażeby znowu powrócić. Ona nie płoszyła ich i poddawała się tym niewinnym zalotom. Przymknęła nieco oczy, w których z pod powiek przebłyskiwał żar utajony; czoło białe, niby wykrojone z liścia nenufaru, podparła delikatną ręką; twarz piękną, na któréj jak gdyby róże, lilie i jaśminy złożyły swą najczystszą świéżość i najcieplejsze barwy, owiała pogodném zadowoleniem; nozdrzami łagodnie zagiętego nosa i kielichem ust rubinowych piła zapach otaczających ją kwiatów, wypuściwszy swobodnie z pod sukni kształtnie zagięte ramiona i drobne stopki, płytkiemi trzewikami ujęte" (str. 15).

Pogoda tego krajobrazu, wdzięki barw, łagodność klimatu, cała— słowem — natura sprawia, że „on" i „ona" mówią językiem czaru i poezyi; nie znajdziesz tu smutnych uwag o rozwielmożnioném samolubstwie; oni pragną kochać i mają odwagę to wypowiedziéć sobie nietylko oczyma, pragną żyć swobodnie, jak wietrzyki, muskające ich twarze, „a gdybym umarł — rzecze on — śmierć zabrałaby uśmiechniętego..."

Mrok nocy płaszczem swym otulił i zasłonił tych dwoje szczęśliwych...

„Dwugłos miłości" ma temat pokrewny „Krajobrazom".

„Nad grobem" przypomina „Testament Alego" w tomie II-im „Pism" (Sprawozd. „Ateneum", lipiec, 1897 r.).

„Dwa widma" — to wcielenie dwu idei: młodéj i bohaterskiéj — z jednéj, staréj i wygłodniałéj niecnoty z drugiéj strony. Jedna chciałaby dać światu zbawienie, kiedy tamta własne korzyści i grabież ma na celu.

Nad wszystkiemi nowelami górują „Krajobrazy”. Jest w nich i rzeźba stylu, są spostrzeżenia myśliciela z tą pobłażliwością dla mętów ludzkich uczuć, czynów, myśli i celów, jest zastanowienie się nad egoizmem jednostek, — są wreszcie w obrazach tych zalety pierwszorzędne, jakiemi Świętochowski się szczyci: talent pisarski i nie mająca podobnéj w naszéj beletrystyce — oryginalność. *L. Rutkowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Ludwik Szczepański.* **Hymny.** Wiedeń, 1897, nakładem Franciszka Bondego, in 8-vo, str. 52. — Jak wszyscy prawie współcześni poeci, Szczepański jest wyłącznie lirykiem, znanym już u nas z poprzedniego tomu swych poezyi, zatytułowanego „Srebrne noce”. Pierwszy zbiór jego utworów, przeważnie nastrojowych, odznaczał się nieposzlakowaną formą oraz niezwykłą melodyjnością wiersza, sam przez się dawał już wiele, więcéj zaś jeszcze zapowiadał. „Hymny” wydane wkrótce po „Srebrnych nocach” nie zawiodły oczekiwań. Młody poeta z mglistych, zalanych księżycowém światłem sfer zeszedł na ziemię i dowiódł, że myśl jego umié w głębie zapadać, a lutnia ma struny i dla spraw ogólniejszéj natury. — Na pierwszéj zaraz karcie „Modlitwa” daje nam poznać pragnienia i ideały Szczepańskiego:

„Żyć i czuć pełną piersią i za młodu
Umrzéć. W poczuciu szczęsném dumnéj siły
. . . . Paść śród trudu w szczytnym szale boju.

Chce on „móc, pożądać, czuć i pragnąć wiecznie” („Pragnę”)... korzy się przed ideałem męskiéj siły, życia, samodzielności i energii, czci Tego, co ludzkości piękno objawił i zaszczepił w niéj wieczne do prawdy dążenie. Na strunach lutni młodego poety brzmi szlachetny protest przeciw samolubstwu, obłudzie i powszedniości; uosobieniem tego protestu jest dla niego szatan, do którego też zwraca się z hymnem, w gorących wyrazach skreślonym. Na strunach téj lutni dzwoni również ubóstwienie rozkoszy... i téj, którą nam daje sztuka i nauka i téj, co miłość ma za źródło swoje. Młodzieńcza pieśń sławi wszystko to, co wyzłaca szarą codzienność... śpiéwa hymn do myśli i do nocy, niosącéj ukojenie. W przeświadczeniu o wartości swéj i sile, poeta mówi do szatana:

„Ja, marny atom, rzucon w odwieczny wir wszechświata,
Ja, kropla, w któréj przecie byt całą treść swą splata,
Wołam swojego ducha — wołam siebie!

Jest to najpotężniejszy i najszczerszy ton jego lutni. To przeświadczenie indywidualizmu wywołuje inny równie silny wiersz: „*Et arceo*". W ślad za „Hymnami" idzie cykl z „Z sonetów wiedeńskich". Są to świetnie podchwycone i w pięknéj oddane formie nastroje; zwłaszcza sonet „Artysta do kobiét" tętni dziwną szczerością i owiewa wrażliwego czytelnika tajemniczym urokiem. Najwyżéj z tego całego cyklu stawiamy tercyny „Krypta Mickiewicza", zda się wycyzelowane, a jednak proste i porywające. Nie ma w nich nic z retoryczności, która obarcza lot poety w utworach tego właśnie rodzaju. — Forma wiersza Szczepańskiego jest godną jego treści. Tu i owdzie spotykamy tylko sztuczność i gonienie za efektem, wszakże pewni jesteśmy, że pozbycie się tego stanowi tylko kwestyę czasu. Jeżeli co mamy do zarzucenia młodemu poecie, to jedynie nieumiejętne i niewłaściwe korzystanie z form języka staropolskie. Nie umié on się w stylu utrzymać, a pstrokacizna taka robi wrażenie współczesnéj szaty, tu i owdzie przybranéj w guzy i zapinki staropolskiego. Wogóle korzystanie z form archaicznych jest rzeczą niebezpieczną; może sobie pozwolić na to tylko ten, co długie i gruntowne nad językiem studya odbył, w przeciwnym bowiem razie wprawniejsze oko pozna się na łataninie. Za zbyteczny i zupełnie nieszczęśliwy pomysł uważamy również tworzenie nowych słów: przelśnić, zamrocze, nieukój. Są one niezręczne, niejasne i nie wypowiadają tego, co autor chciał wyrazić. — Drobne te braki nie wpływają bynajmniéj ujemnie na wartość poezyi Szczepańskiego. Po wydaniu dwu zbiorków zajął on między młodymi jedno z najpocześniejszych stanowisk i pewni jesteśmy, że na niém się utrzyma. *Ar. Les.*

= Z wydawnictw ostatniéj chwili zanotować wypada dwie powieści, bliskie tytułem, autorów, z których jeden pół stulecia niemal pracuje na niwie literackiéj, drugi do młodszéj należy generacyi. — Zygmunt Miłkowski, znany pod pseudonymem Teodora Tomasza Jeża, dorzucił do swego dorobku literackiego utwór, p. t. **Którędy do szczęścia** (Powieść, nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1898, str. 207). Powieść jest świadectwem nieustającéj pracy sędziwego autora „Handzi Zahornickiéj" i wielu innych cenionych powieści z życia ludu, które wyrobiły i ustaliły zasłużoną opinię Jeżowi. Autor w ostatniéj powieści swéj nie daje ani świetnéj formy, ani dowcipu subtelnego lub plastyki opisów; powieść jego nie zaciekawia, ale i nie nuży. Tych braków za wady poczytać Jeżowi nie można; ma on zawsze na celu do-

bro własnego społeczeństwa i z tą myślą pracuje. Opowiada żywo, a prawdziwość postaci jego utworu nie da się zaprzeczyć. — Powieść Kazimierza Rojana nosi tytuł: **Szczęście** (Lwów, nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1898, tomów dwa, str. 199 i 202). Tytuł i wiele zdań wyjętych z powieści przemawiają za Rojanem. Sama myśl o pojęciu „szczęścia” należy do poważniejszych. Wyraz „szczęście” bywa jeden dla społeczeństwa, bywa nim i dla jednostek w wielu wypadkach. Kiedy chodzi jednakże o szczęście danego osobnika, ma on tyle określeń, ile bywa rodzajów uczuć, pragnień, drobnych atomów myśli, celów, dążeń i przekonań... Andrzéj Radowiecki (bohatér powieści) uczułby się szczęśliwym wtedy, kiedyby ujrzał, że praca jego przynosi korzyści ogółowi, a za tę pracę pragnął wzamian tylko „jéj” uścisku, jedynéj i wybranéj Halki... Pracował na swoje szczęście, na tę cichą przystań od zarania dni swoich: „Gdy inni naukę lizali po wiérzchu, ja gryzłem ją i rozszarpywałem zębami, by dotrzéć do samego źródła, do rdzenia prawdy; gdy inni bawili się bezmyślnie, jam w dociekaniu największą znachodził uciechę” (t. I, str. 40). Wreszcie — zwyciężył: stanął na stanowisku, skąd społeczeństwu mógł dobrze czynić, jako dyrektor wielkiéj spółki rolniczéj; zyskał wzajemność ukochanéj kobiéty, którą poślubił. W żonie — zdawało mu się — będzie miał powiernika, brata, przyjaciela, wymarzonego towarzysza; ona go zrozumiéć i uszanować zdoła; żona będzie mu promieniem ciepła, ilekroć on powróci od pracy, często przykréj, połączonéj z walką, w któréj po jednéj stronie stał sam jeden, a z nim „tylko biédna idea”, — po drugiéj zaś „kilka setek osób, uzbrojonych w chciwość, samolubstwo, zawiść i głupotę.” Halina pod wpływem stosunków towarzyskich okazała się jednakże daleką od wymarzonego ideału: Andrzéj ujrzał w niéj kobiétę ograniczoną i samolubną i to odkrycie zaniepokoiło go. Rozpaczał. Zapomniał tylko, że gorycz jego, na nadmiernéj wrażliwości i nieuzasadnionych podejrzeniach oparta, jest bańką mydlaną. Cały budynek, dotychczas przez autora z powagą wznoszony, wydaje się nagle czytelnikowi domkiem z kart: brak mu fundamentów, gdyż drobne nieporozumienia w małżeństwie nie mogą być materyałem do powieści w téj formie, co omawiana. Prawda wnet się wyświetli — i pani Halina wystąpi taką, jaką była w pierwszych dniach po ślubie — pospolita, lecz nie zepsuta; może ona mile rozmawiać i tańczyć z każdym z młodzieży (jak to czyniła z Marnickim), ale na zdradę małżeńską nagle się nie odważy, ani drobnych sprzeczek z mężem nie weźmie za przyczynę do zerwania. Wszak i Andrzéj zabawy „flirtu” za zbrodnię żonie nie poczytuje: „bo któż zaręczyć może, że i mężczyzna, skazany od dzieciństwa na życie podobnie czyste i w ciasne ujęte ramy jak kobiéta, nie uległby téj saméj

co ona ciekawości" (str. 108, t. II). Marnicki, przyczyna drobnych zatargów małżeńskich, ginie w pojedynku, lecz wcale nie o panią Radowiecką, ani z ręki jéj męża. Radowieccy zgodnie snują daléj splątane na chwilę pasmo miłego życia. On będzie pracował jak dawniéj; ona spoważnieje i stanie się jego „szczęściem".—Jest w powyżéj streszczoném opowiadaniu wiele prawdy i obserwacyi życia; jest talent pisarski i myśl głębsza: tylko temat za drobny ujął autor w ramy zbyt wielkie, przez co osłabił intrygę. Lecz bezwątpienia zdoła powieściopisarz wady architektoniki w następnych swych pracach usunąć, gdyż posiada najważniejszą i najpotrzebniejszą zaletę—talent. *L. R*

= *Stanisław Bełza.* **W górach olbrzymich** (Wydanie drugie, Gebethner i Wolff, Warszawa-Kraków, 1898, str. 184). — Nowe wydanie opisu podróży p. t. „W górach olbrzymich" staje za świadectwo, dyplom uznania dla autora od czytelników. Niedawno zamieściliśmy wzmiankę o pracy tegoż autora — „W stolicy padyszacha" — pochwalając między innemi wybór tematu. Że ten zmysł p. Bełza posiada, przyzna każdy, znający jego prace. Jest ich kilkanaście, w każdéj temat niepowszedni. Po za tém, w pracach wspomnianych znać przedewszystkiém talent pisarski, zdolność zręcznego ujmowania myśli w słowa, styl niepośledni, zdolność do uogólnień obok daru spostrzegawczego. Znać tu i humor w przytoczeniu baśni o przygodach potężnego a mściwego „Rübezahla", którego „fantazyjne państwo" jest niezaprzeczenie lekturą miłą, zwłaszcza w wydaniu jak to staranném, zdobném w ilustracye równéj wartości.

= Pani *Marya z Baranowskich Dohrn* przełożyła na język niemiecki dzieło księdza Waleryana Kalinki o sejmie czteroletnim. Księgarnia berlińska E. S. Mittler et Sohn ogłosiła to tłómaczenie swoim nakładem, pod tytułem **„Der vierjärige Polnische Reichstag 1788 bis 1791"**, w dwóch tomach: tom pierwszy kosztuje 14 marek, tom drugi 16 marek.

= Dnia 26 maja r. b. odbyło się w Akademii Umiejętności posiedzenie komisyi historyi sztuki, na którém przewodniczący, prof. Maryan Sokołowski, przedstawił naprzód referat o garnkach wmurowywanych we wnętrzach kościołów średniowiecznych, a to z powodu wiadomości o tego rodzaju garnkach przy oknach prezbiteryum katedry w Włocławku z w. XIV otworami na zewnątrz zwróconych, o których świeżo pisał ks. prałat Brykczyński w „*Revue de l'art chrétien*". Jest to pierwszy wypadek odnalezienia takich garnków w Polsce; na północy Europysą

one w kościołach bardzo częste, a także we Francyi i w Belgii od wieku XII do wieku XIV-go. Najciekawsze są w Wirtembergii w kościele w Burgfelden *auf der Schwäbischen Alp* z w. XI, gdzie cały fryz dookoła prezbiteryum je posiada; daléj znajdują się też one w Kolonii w kościele św. Seweryna, a mają je także cerkwie w Kijowie, w Owruczu, w Kołoży nad Niemnem i W. Nowogrodzie. Dotąd ustalone było twierdzenie, że służyć one miały do silniejszego rezonansu w kościołach, podobnie jak słynne *echea* śpiżowe umieszczane pod siedzeniami w greckich teatrach Azyi Mniejszéj. Obecnie jednak stwierdzono, że garnki te w średniowiecznych kościołach bywały nieraz kawałkami tufu i wapnem zatkane, a świéżo odnaleziony tekst z r. 1431 dowodzi, że zaprowadzone wówczas takie garnki w kościele w Dijon na rezonans nie wpłynęły wcale. Dziś panują w téj sprawie trzy główne poglądy, mianowicie: że umieszczano w tych garnkach pod sklepieniem kościołów relikwie świętych, ażeby budowli strzegli, daléj, że ich otwory pomagały do stawiania rusztowań, wreszcie, że cele ich były akustyczne; budowniczy Gebhardt twierdzi w końcu, że one służyły do tego, by swą wypukłą powierzchnią wzmacniać tynk pod malowidła przeznaczony, a przez ogrzanie kościoła łatwo pękający. W każdym razie sprawa ta dotąd w zupełności wyjaśniona nie jest, a u nas takie garnki po raz pierwszy w katedrze włocławskiéj występują. — Następnie prof. Władysław Łuszczkiewicz odczytał rozprawę swą p. t. „Przyczynek do dziejów architektury kościołów wiejskich w Polsce średniowiecznéj", objaśniając planami, przekrojami oraz rysunkami zdjętemi w czasie swych wycieczek do Królestwa Polskiego. Kościół farny w Gosławicach pod Koninem zbudowany jest z cegieł i z kamienia na podstawie ośmiokąta z ramionami krzyża powstałemi przez wysunięte prezbiteryum, dwie kaplice i kruchtę; na podstawie herbów licznych w kościele, zdaje się, że twierdzić można, iż go fundował w połowie w. XV Jan Lubrański, wojewoda brzesko-kujawski; w w. XVII kościół wiele ucierpiał i zachowało się dotąd tylko piękne jego wnętrze ze środkową kolumną. Kościół w Skotnikach pod Sandomierzem zbudował Jarosław Bogorya Skotnicki, archidyakon krakowski, w r. 1340; budowa piękna, ceglano-kamienna, ma sklepienie w nawie, wyrosłe z środkowego filaru, z bogatém żebrowaniem oraz z rzeźbą roślinną na kroksztynach i ozdobnemi kluczami sklepiennemi. Do budownictwa ciosowego epoki romańskiéj należy kościół Św. Stanisława w Chlewiskach pod Szydłowcem w Radomskiém, a tylko początek XVI-go stulecia przerobił go w piękny kościół krzyżowéj formy w stylu końcowego gotycyzmu, z ozdobnemi obramieniami późnogotyckiemi drzwi i okien zakrystyi z lat 1511 i 1512. Piękny również, ciosowy kościół gotycki we wsi Piasek Wiel-

ki, dziś ruiną będący, jest fundacyą z w. XIV Spicimira, kasztelana krakowskiego, i posiada dotąd wspaniały portal z fryzem roślinnym, przeplatanym zwierzątkami, i subtelném profilowaniem węgarów. Ceglany kościół gotycki w dawnéj wsi Drzewicy pochodzi z r. 1462, nie ma sklepienia, jeno drewniany pułap, a posiada wspaniałą okrągłą wieżę związaną z fasadą, zbudowaną w chwili gdy Drzewica została miastem. Wreszcie w ceglanym kościołku w Żembocinie pod Proszowicami z w. XVIII stwierdzić należy ślady romanizmu i inkastelacyi, mimo przerobienia w w. XVII. W końcu referent zapowiedział podobne dalsze wiadomości o kościołach we wsiach Dzierążni i Odrowążu w Radomskiém, Białyninie i Jeżowie w Rawskiém, oraz w Kościelnéj Wsi pod Kaliszem. — Prof. Sławomir Odrzywolski przedstawił pracę p. Fr. Mączyńskiego o bóżnicy w Kamionce Strumiłowéj pod Lwowem z wieku XVII, wraz z 12 tablicami, z których 8 kolorowanych ilustruje wspaniałą wewnętrzną polichromię sali modlitwy. Sala ta jest prawie kwadratowa, a znajduje się przed nią przedsionek z górną salką dla kobiét. Na zewnątrz budynku biegnie ganek, spoczywający na drewnianych słupach, do którego wiodą dwa ramiona schodów zewnętrznych. Polichromia wewnętrzna stanowi jednak główną wartość zabytku, pochodzi z roku 1755 a znajduje się na trzech ścianach sali modlitwy, zajmując pas około 5 m. 30 ctm. wysoki. Na ścianie wschodniéj widne jest tło niebieskie zasiane gwiazdami, wraz z kilku polami z ornamentem różnobarwnym o splotach roślinnych z fantastycznemi zwierzętami, ptakami i t. d. Na ścianie północnéj znajduje się w górze ornamentacya symboliczna, a wśród niéj widoki ogrodów, gór, zwierzęta, ptaki, oraz widok miasta o różnobarwnych kopułach, okolonego murem z bramą w środku; część dolną wypełniają napisy hebrajskie z modlitwami i dedykacyami fundatorów wraz z różnobarwnym ornamentem roślinnym. Ściana południowa wreszcie ma w środku siedmioramienny świecznik pokryty napisami, u którego spodu rozpinają się lwy z dzbanami w łapach, w górze zaś w czterech polach symboliczne zwierzęta. Całość téj ornamentyki o motywach wschodnich, perskich, a ze względu na styl i charakter powiedzieć można nawet japońskich, jest wspaniała i niezmiernie interesująca, pełna werwy i kolorystycznego poczucia. Rozprawa cała, tłómacząca znaczenie wszystkich symbolicznych rysunków, napisów i modlitw, z datami historycznemi, opartemi na lustracyach starostwa kamioneckiego z r. 1765, zamieszczona zostanie w wydawnictwach Komisyi.

= Na posiedzeniu téjże Komisyi historyi sztuki, odbytém 25-go czerwca r. b., dr. M. Sokołowski streścił rezultaty ostatnich swych ba-

dań nad stosunkiem rzeźby czeskiéj do polskiéj w w. XIV-ym. Nawiązując rzecz do referatu swego nad wpływem malarstwa praskiego drugiéj połowy wieku XIV-go na malarstwo w Polsce w tym okresie, oraz w pierwszéj połowie w. XV, zarówno obrazowe jak i miniaturowe, zaznaczył, że dzieje rzeźby średniowiecznéj na północy, głównie niemieckiéj, są dotąd bardzo niedostatecznie zbadane i że tak samo rzecz się ma z rzeźbą polską. Trzy znamy jéj główne grupy, mianowicie rzeźby na zwornikach sali „kamienicy hetmańskiéj" w rynku krakowskim, rzeźby w portalu kościoła Dominikanów oraz najważniejsze rzeźby u szczytu okien na zewnątrz kościoła Panny Maryi, o których dawniéj już pisał prof. Łuszczkiewicz. Z tych trzech grup pierwsza i ostatnia zdają się miéć znaczne pokrewieństwo z rzeźbą praską, rozwiniętą głównie za Karola IV-go, gdy na czele jéj stoi drugi z rzędu budowniczy katedry św. Wita, Peter Arler, twórca słynnych rzeźb portretowych z tryforyów kościoła oraz grobowca króla Otokara. Brat jego czy syn, Heinrich Arler lub Parler brał również udział w budowie katedry praskiéj i był zarazem twórcą kościoła św. Jakóba w Bernie. Pozostawał on w służbie Jodoka, margrabiego morawskiego, do r. 1387, a następnie, zatrudniony przy budowie tumu medyolańskiego, zostawał w stosunkach z Viscontimi za pośrednictwem Jodoka, jako wikaryusza Włoch z ramienia cesarza Wacława, ostatecznie jednak opuścił Medyolan w maju 1392 r. Następnie we wrześniu tegoż roku zjawia się Heinrich Parler w Krakowie, w r. 1394 miasto płaci mu znaczną sumę za roboty kamieniarskie w górnych częściach kościoła Panny Maryi, a w r. 1397 on znowu opłaca się miastu, jako nie należący do majstrów miejskich. Pobyt Parlera w Krakowie tłómaczy się też bliskiemi stosunkami Jagiełły i Jadwigi z margr. Jodokiem i Viscontimi. Zdaje się zatém, że rzeźby maryackie wyszły z pod jego dłuta, co także pośrednio stwierdza ich pokrewieństwo z Pragą. — Z kolei przedstawił przewodniczący rezultaty badań kilku swych uczniów. P. Julian Pagaczewski odnalazł rzeźbę pięknéj głowy św. Jana na misie w predelli jednego z ołtarzów kościoła Bernardynów w Krakowie, z końca w. XV, ale o technice odmiennéj niż u Wita Stwosza; tenże odkrył również w kościele Reformatów posążek z kości słoniowéj Madonny z Dzieciątkiem, z XIV wieku, o typie francuskim, z resztkami polichromii, oraz zwrócił uwagę na srebrną blachę trybowaną, w stylu barokku, z początku w. XVIII, w kościele karmelickim, która przedstawia Madonnę z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołków na tle krajobrazu; blachę tę ofiarowało kościołowi kilku fundatorów mieszczan w r. 1780. Referat dr. Jerzego Kieszkowskiego zajmuje się zabytkami z Szydłowca, a mianowicie marmurowym grobowcem Mikołaja Szydłowieckiego z r. 1535, oraz sufitem w koście-

le znanym z „*Liber geneseos*", zdobnym w rzeźbione *à jour* pełne rozmaitości i polichromowane rozety. P. Emanuel Świeykowski zbadał piękny grobowiec marmurowy w stylu *rococo* marszałkowéj z Brühlów Mniszchowéj w kościele w Dukli i przedstawił zeń fotograficzne zdjęcia. Wreszcie dr. Felix Kopera nadesłał z Rzymu wiadomość o nader szczegółowym i obszernym dzienniku podróży Mucantego, mistrza ceremonii kardynała-legata Gaëtani, w Polsce w r. 1596 i 1597, z którego wyjątki umieścił już był Niemcewicz w „Pamiętnikach o dawnéj Polsce", ale którego druk w całości dopiéro rzuci wiele nowego światła na kulturę i obyczaje polskie w końcu w. XVI-go. — Z kolei prof. Władysław Łuszczkiewicz odczytał pracę swą, p. t. „Mniemana statua Najświętszéj Panny, dar Klemensa VII w kościele w Łasku". Zaznacza w niéj naprzód fakt, że utwór ten jest płaskorzeźbą Madonny, w formie medalionu, wykonaną w białym marmurze. Rzeźba jest włoska z końca wieku XV-go. Uważana za cudowną, w Polsce zyskała bogatą, srebrną, złoconą oprawę i korony, a znajduje się w ołtarzu bocznéj kaplicy kościoła. Wykazując brak pozytywnych dowodów, jakoby zabytek ten był darem papieskim, godzi się referent jednak z tradycyą Rzepnickiego i przypomina, że w testamencie prymasa Łaskiego nie ma o niéj wzmianki. W końcu po analizie pomysłu rzeźby, zestawia ją z utworami rzeźbiarzy Robbiów, a głównie Andrzeja della Robbia (1435 — 1525), i przypisuje ją epoce lat wczesnych mistrza florenckiego, czego dowodzą nimbusy, poduszka pod stopami Dzieciątka, naturalizm w układzie, a zwłaszcza wyraz Madonny i jéj położenie, dodając, że rzeźbę wykonał zapewne Robbia dla Medyceuszów. — P. Leonard Lepszy zdał sprawę z podróży po Niemczech i Włoszech w celu dalszych poszukiwań za pracami Jakóba del Caraglio. Rycin jego posiadają muzea zagraniczne znaczną ilość, po Wiedniu najwięcéj gabinet rycin w Dreźnie, najrzadsze zaś okazy mieszczą się w muzeum Corsinich w Rzymie, poczém idą zbiory we florenckich Uffiziach, w gabinecie rycin w nowém muzeum w Berlinie, w Monachium i w Peszcie, wreszcie w Wrocławiu, Weronie, Bolonii i Wenecyi. Berliński gabinet monet i medali posiada medal Aleksandra Pessenti, dworzanina królowéj Bony i muzyka, rylca Caraglia, a jeszcze piękniejsze jego egzemplarze są w muzeach Padwy i Wenecyi. Odnalezienie i porównanie tego medalu z medalem Zygmunta I-go ze zbiorów paryskich pozwala już niewątpliwie stwierdzić słuszność przypuszczenia prof. M. Sokołowskiego, który go również Caragliowi przypisywał. Następnie referent przedłożył fotografię nadesłaną mu z Gdańska przez p. I. Heisego, która przedstawia Zesłanie Ducha św., w srebrze, *au repoussé*, i uchodzi za dzieło Caraglia. W Padwie w *Museo Civico* znajduje się wielki, bardzo pięk-

ny arras, z Polski pochodzący. A. Meneghelli w swych listach wydanych w Padwie r. 1843 pisze, że arras ten został przywieziony w XVII wieku przez Włocha z rodziny Grompo z Warszawy i darowany do kościoła św. Antoniego w Padwie i że może pochodził ze zbiorów królów polskich. Arras jest flandryjski i przedstawia oblężenie jednego z miast środkowéj lub północnéj Europy z pierwszych dziesiątków wieku XVI-go. — W końcu p. Karol Potkański złożył rękopis z wypisam z archiwum konsystorskiego w Krakowie, zawierający wyjątki z wizytacyi dekanatu Nowo-Tarskiego z początku wieku XVII z interesującemi szczegółami co do drewnianych kościołów wiejskich.

= Wydział matematyczno-przyrodniczy Akademii Umiejętności odbył posiedzenie 6 czerwca r. b., na którém prof. Browicz odczytał swą pracę, p. t. „Sztuczna krystalizacya hematoidyny w komórce mięsaka barwikowego”; następnie prof. Karliński zdał sprawę z pracy prof. S. Kępińskiego: „O peryodach całek hypereliptycznych”, a prof. Rostafiński — z pracy p. R. Mereckiego, p. t. „Nieokresowa zmienność temperatur powietrza w Polsce”. — Dnia 13 czerwca odbyło się posiedzenie Wydziału filologicznego. Przedstawił na niém p. Jan Czubek treść swojéj pracy, p. t. „Jan Chryzostom z Gosławic Pasek w oświetleniu archiwalném (1667 — 1701)”. Autor znalazł w archiwum aktów grodzkich i ziemskich krakowskiém około 90 aktów, zawierających liczne szczegóły o Pasku z czasów jego pobytu w województwach krakowskiém i sandomierskiém; dotyczą one między innemi dziesięciu spraw, nie zaznaczonych w „Pamiętnikach” żadną wzmianką. Cały ten nowy materyał biograficzny nie podnosi wcale dobréj sławy pamiętnikarza; przyczynić się on może jedynie do utwierdzenia naszéj ustalonéj już i tak opinii o krewkości Paska i jego skłonności do pieniactwa. Większość wydobytych obecnie na jaw szczegółów rzuca na charakter autora „Pamiętników” światło o wiele bardziéj niekorzystne, aniżeli treść jego własnych wspomnień i wyznań. — Dnia 20 czerwca wreszcie odbył swoje miesięczne posiedzenie Wydział historyczno-filozoficzny. Mówił na niém prof. A. Lewicki: „O przymierzu Zygmunta, w. księcia litewskiego, z królem rzymskim Albrechtem”. Dzieje rokowań o to przymierze nie były dotąd wcale znane; autor opiéra się przeważnie na nowych materyałach rękopiśmiennych. Okazuje się z nich, że Zygmunt, wyniesiony na tron wielko-książęcy przeciw zbuntowanemu Swidrygielle, zająwszy jego miejsce, sam nosi się z myślą zrzucenia zwierzchnictwa polskiego i w tym celu szukał poparcia króla rzymskiego i czesko-węgierskiego, Albrechta. — Drugi prelegent, dr. Wiktor Czermak, podał: „Przyczynek do dziejów skarbowości polskiéj w XVII

wieku". Autorowi chodziło szczególnie o stwierdzenie, jak znaczną mogła być wydatność podatkowa ludności polskiéj w XVII-ym wieku. Na podstawie nielicznie drukowanych i liczniejszych rękopiśmiennych materyałów stwierdził mianowicie, że najwyższa dotąd znana cyfra podatków, wpłacanych do skarbu Rzeczypospolitéj, przypada na rok 1663 i wynosi przeszło 19 milionów złp. Gdyby zaś wziąć przeciętną wszystkich znanych cyfr wpłaconych podatków w trzeciéj ćwierci XVII w., okazałoby się, że ludność Rzeczypospolitéj płaciła w tym okresie przeciętnie 5—7 milionów złp. Dr. Czermak nie sądzi, aby cyfry te mogły dać właściwe pojęcie o wydatności podatkowéj ludności Polski w powyższym czasie; trzeba bowiem pamiętać o tém, że w Rzeczypospolitéj XVII-go wieku skarbowość była podwójna, a raczéj rozbita na wiele odrębnych wydziałów; że istniały osobne skarby wojewódzkie i osobne królewskie nadworne, z których liczby wobec sejmów w rachunkach podskarbińskich, nie zdawano.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Mieszkańcom Warszawy przybył nowy temat do narzekań, a tematem tym jest drożyzna. Różni się on tém od tematów innych, że nie wywołuje różnicy zdań. Wszyscy, co zabiérają głos, stwierdzają jednomyślnie, że w Warszawie coraz trudniéj wyżyć, nie będąc milionerem, i że trzeba coś poradzić na to, jeżeli niema być jeszcze gorzéj. Tak mówi każdy, kto płaci za mieszkanie, kto kupuje mięso i chléb. A ci, co na tém zarabiają? Ci milczą i wolą się nie przyznawać, że im z tém dobrze. Oburzenie na drożyznę dochodzi nas zewsząd; obrony jéj nie słyszymy nigdzie.

Między głosami, które ten stan rzeczy wywołał, zdarzyło się nam słyszéć pytanie, czy utrudnione warunki bytu nie położą tamy nieustannemu prądowi, niosącemu coraz nowe fale ludności do Warszawy? Byłby to w istocie zwrot ważny w życiu społecznem naszego kraju. Od lat trzydziestu wzrasta Warszawa z pośpiechem zdumiewającym. Od lat trzydziestu ściąga w swe mury najrozmaitsze żywioły, idące niekiedy ślepym pędem w ślad za innemi i nie wiedzące naprawdę, czego w wielkiém mieście szukają. Wrobiła się już w umysłach legenda, że komu wszędzie jest źle, temu w Warszawie będzie znośniéj niż gdzieindziéj. Wierzą w to ślepo i ci, co dopiéro rozpoczynają życie, i ci, co już szukają wypoczynku. Każdy powiada sobie, że tam, gdzie już tylu się pomieściło, znajdzie się miejsce i dla niego. To téż każdy dzień przysparza miastu nowych przybyszów. Do biur i kantorów pukają o marny zarobek ludzie, którym zdawało się, że na prowincyi mieli za mało. Na ciasnych, zatęchłych, promieniem słońca nie

oświetlonych podwórkach miejskich bawią się gromady dzieci, którym zdrowiéjby było na błoniach nad Prosną, Bystrzycą lub Narwią. Kto tylko miał sposobność przypatrzenia się, choćby przez chwilę, nędzy warszawskiéj, ten widział całe rodziny przymiérające głodem, a nie umiejące jasno zdać sobie sprawy z tego, co je właściwie do Warszawy zagnało.

Nie jest to bynajmniéj zjawisko, znane tylko u nas. Zauważyć je można wszędzie; gdzieniegdzie w rozmiarach daleko większych. Każdy pociąg wysadza na bruk paryski mieszkańców prowincyi, szukających pracy i chleba. Każdy taki transport powiększa w mieście liczbę rozczarowanych i zniechęconych. Ci, co nie znaleźli czego szukali, nie chcą zrazu wyznać nawet sami przed sobą, że się zawiedli. Zwolna zaczynają powiadać to sobie w skrytości, następnie przyznają się już do tego półgłosem, w końcu skarżą się w głos. Ale mimo to wszystko wyrwać im się z miasta nie sposób. Jedni wiedzą, że powróciwszy w strony rodzinne nie znajdą już zarobku, który porzucili lekkomyślnie. Innym niepodobna zdobyć sobie środków na ponowne przenosiny. Są i tacy, którym wstyd powracać tam, skąd wyjeżdżali z wiarą w przyszłość i niezachwianą pewnością siebie, a nie brak wreszcie takich, którzy poprostu nie są już w stanie żyć bez téj atmosfery wielkomiejskiéj, która upaja, wycieńcza, niekiedy zatruwa, ale dla tych, którzy jéj zakosztowali, staje się niezbędna, jak nikotyna, alkohol lub haszysz.

Ta niemożność odwyknięcia od turkotu ulicznego, od płomieni gazowych i lamp łukowych, od dymu kawiarnianego i wiecznie zmieniającéj się panoramy ludzkiéj, jest jednym z wybitniejszych rysów współczesnéj neurastenii tłumów. Wyleczyć z niéj możnaby ludzkość, przesiedliwszy ją na świeże powietrze, nad zimną wodę bieżącą, gdzie rosną drzewa, niezasadzone ręką ludzką i kwitną kwiaty niepodlewane z wodociągu. Kuracya udałaby się może, gdyby chory chciał i mógł jéj się poddać.

Nie wątpię, że nadejdzie kiedyś pora reakcyi przeciw skupianiu całego życia po wielkich miastach. Po fazie ruchu dośrodkowego nastąpi faza odśrodkowa. Doczekamy się okresu, w którym chorego odsyłać się będzie nie na drugą ulicę do szpitala, lecz w lasy i góry na świéże powietrze i posilną żywność. Młodzież rozwijać sobie będzie płuca i wzmacniać nerwy w zakładach naukowych w wyborném górskiém powietrzu, a w przerwie między lekcyami zamiast tłoczyć się na ciasny i duszny karytarz szkolny, biegać będzie po przyległym lesie. W Szwajcaryi i w Niemczech zakładów takich jest już wiele. W słynném uzdrowisku Davos istnieje osobne gimnazyum dla wątłych lub piersiowych chłopców; teraz właśnie donoszą dzienniki, że coś podobne-

go powstaje w tym roku w Zakopaném. Są to dopiero początki. To, co dziś jest wyjątkiem, stanie się kiedyś regułą. Stosować się ona będzie nietylko do męskiéj, lecz i do żeńskiéj młodzieży. Jedyny w Królestwie zakład panny Plater w Chyliczkach liczy kilkadziesiąt uczennic, a równocześnie mamy w Warszawie tysiące młodych dziewcząt, zjeżdżających się z najdalszych krańców. Publiczność widzi je codzień, jak parami długim rzędem przeciągają przez ogród Saski i podziwia wzorowy porządek, krok miarowy i blednicę. Stosunek ten zmienić się musi i zmieni się. My oczywiście uwierzymy w konieczność zmiany, gdy zaprowadzą ją u siebie wszyscy nasi sąsiedzi do koła. Wówczas znajdą się i u nas reformatorowie, którzy nie omieszkają przypatrzéć się temu, co już znane będzie w całym świecie i opowiadać nam o tém, jako o rzeczy dla nas nowéj.

Nim nadejdzie wiek, w którym wieś upomni się znowu o swe prawa, musimy deptać bruki miejskie, litować się nad blednicą, neurastenią, suchotami naszéj młodzieży i cieszyć się, że ją możemy wywozić lub wysyłać na parę miesięcy letnich. Potrzebę wyjazdu uczuwa dziś nawet najzapaleńszy wielbiciel rozkoszy miejskich. Wyjeżdża każdy: ci do Interlaken, owi do Otwocka, tamci do dworków w ogrodzie Mokotowskim a w obrębie rogatek nie chce pozostać nikt. I wszystko byłoby dobrze, gdyby co roku nie rozbrzmiéwała po Warszawie coraz głośniéj skarga, że niema dokąd jechać. Mimo nieustannych narzekań na ciężkie czasy i brak gotówki, stal śmy się wybredni i wymagający. Nie lubimy, gdy nas na letniém mieszkaniu budzi deszczyk lipcowy, zsyłając nam przez dziurę w dachu kroplę po kropli na łóżko; woń gnojówki nie ma już dla nas uroku; zachciéwa nam się zdrowéj wody, świeżego mięsa i wygodnéj komunikacyi ze światem. Kto ma takie gusta, ten krzywi się na wzmiankę o zamieszkaniu w chałupie chłopskiéj pod Warszawą. Do Szwajcaryi, Francyi, Belgii—daleko; nie każdego stać a to. Do niedawna tłumy podróżnych naszych wyjeżdżały latem do Niemiec; dzisiaj każdy, kogo stan zdrowia do tego nie zmusza, woli zastanowić się przed wyjazdem, czy nie możnaby skierować kroków w inną stronę. W takiéj sytuacyi wypływa znowu na porządek dzienny kwestya odwieczna, a zmartwychwstająca nieustannie, kwestya krajowych zdrojowisk i stacyi letnich.

— Czemu nie jeździcie do wód polskich? — pytają ich obrońcy.
— Bo tam brudno, drogo i niewygodnie — odpowiada publiczność. Dyalog ten toczy się od niepamiętnych czasów, a do końca jeszcze daleko. Nie ma już między nami tych, których Dietl w Krakowie zaczynał przekonywać o konieczności popierania zdrojowisk swojskich. Dorosło już od lat owych pokolenie trzecie, a tym, którzy walczą

w imię téj idei, opadają ręce. Kiedy zaczynano niegdyś tę kampanię, wyobrażano sobie, że po upływie lat kilkudziesięciu wody krajowe dojdą nareszcie do takiego stanu, iż nie będą się lękać porównania z drugo lub trzecio-rzędnemi zakładami zagranicą. Tymczasem ile razy dyskusya o tym przedmiocie zacznie się na seryo, tyle razy wysłuchać trzeba najpierw skarg i jęków nietylko z głębi serca płynących, lecz, co gorsza uzasadnionych. I teraz znowu, gdy Niemcy robią wszystko, co mogą, by gości polskich do wód swoich zrazić, nadarza się zakładom krajowym świetna sposobność pozyskania nowych gości i powiększenia dochodów. Czy skorzystają z niéj? W pismach codziennych czytujemy od jakiegoś czasu artykuły o tém, czego wodom naszym niedostaje. Jeżeli właściciele i dyrektorowie zakładów chcą się dopiero z gazet o tych niedostatkach dowiedziéć, i dopiero po wyczytaniu wszystkich rad i wskazówek pomyśléć o reformach, to się trochę spóźnią. Zbieg okoliczności jest dziś dla zdrojowisk krajowych wyjątkowo pomyślny. Nie trzeba tylko łudzić się nadzieją, że publiczność nasza gotowa jest popierać miejscowości lecznicze w kraju za każdą cenę. O nie, jest ona na to zbyt praktyczna. Pojmuje ona, że nie może miéć w kraju wszystkiego, czém ją raczą cudzoziemcy u siebie, ale nie przestanie domagać się tego, co uważa za niezbędne. Nie sądzimy, żeby prasa usiłowała jéj to wybić z głowy. Mamy na szczęście ważniéjsze zadania na warsztacie.

Zgubą byłoby zaś dla przyszłości naszych zakładów zdrojowych, gdyby budzący się wstręt do wód niemieckich zechciały zdyskontować odrazu w postaci gotówki i gdyby wielką reformę zaczęły od podwyższenia cen. Jeżeliby nas nawet dochodziły podobne wieści, nie dalibyśmy im wiary.

Warszawa jest dobroczynna. Myśli ona i o tych, którzy nie mają za co wyjechać. Już w roku przeszłym wysłano z górą dwa tysiące ubogich dzieci na kolonie letnie. Jest to i wiele i mało. Wiele — jeżeli uwzględnimy ogrom zabiegów, starania, kłopotów, połączony z tém przedsięwzięciem dobroczynném; mało — jeżeli porównamy tę liczbę z liczbą tych biednych istot, wynędzniałych, karłowatych, skrofulicznych, które w imię miłosierdzia, w imię przyszłości społeczeństwa wydobyćby trzeba z piwnic miejskich i wynieść na światło słoneczne. Wszak wysłano zaledwie połowę dzieci, które zapisano na liście, a zapisywano tylko te, które bardziéj od innych potrzebowały wyjazdu.

Jest więc znowu jedna z niezaspokojonych potrzeb. A nie jest to potrzeba przemijająca. Wysyłanie dzieci na lato, nie jest wyłącznie osładzaniem dziatwie tych kilku tygodni. Powietrze i nabiał chronią tę gromadkę od zupełnego zwyrodnienia cielesnego, które w prze-

rażających rozmiarach spostrzegać się daje między pospólstwem warszawskiém. Lekarze Towarzystwa kolonii letnich zbadali kilkanaście tysięcy dzieci warszawskich i doszli do wyników rozpaczliwych. Dzieci rodziców zamożnych przedstawiają się stosunkowo dobrze i nie bywają wątlejsze, niż dziatwa narodów, szczycących się zdrowiem. Nie pytajmy natomiast o malcow, którym pierwsze lata upływają w nędzy. Tych nie można żadną miarą porównywać z dziatwą plemienia sąsiedniego, z dziatwą niemiecką. Szczupłe i niewyrośnięte, o cieniutkich kosteczkach i wiotkich mięśniach, przypominają one rozmiarami i wagą znane wszystkim hygienistom statystyczne wykazy miast włoskich. Ubóstwo warszawskie można kłaść tylko na jednym poziomie z nędzą proletaryatu włoskiego.

Kolonie letnie gospodarzą oszczędnie. Utrzymanie malca przez czas czterotygodniowego pobytu kosztowało w roku przeszłym rs. 11 kop. 57. Taniej utrzymać dziecka nie można. [Ażeby atoli wysyłać wszystkie dzieci warszawskie, których zdrowie tego wymaga, potrzeba na to mieć fundusze, jakiemi Towarzystwo nieprędko rozporządzać będzie. Czyż wobec tego nie możnaby użyć w Warszawie sposobu, używanego z powodzeniem w innych miastach i pomyśléć o dostarczaniu świeżego powietrza dzieciom, które muszą spędzać lato w mieście?

Organizacya jest bardzo prosta. Grupa dzieci, umieszczonych na spisie, zgromadza się w każdy pogodny dzień o téj saméj godzinie w miejscu oznaczoném i wyrusza pod rozkazami zwierzchnika przez najbliższą rogatkę na przeznaczony do tego plac za miastem, gdzie znajduje gimnastykę, zimną kąpiel natryskową i skromny posiłek. Rezultaty bywają nadzwyczajne, a koszt stosunkowo mały. Wykieganie się przy zabawie w czystém polu, szklanka prawdziwego niezbiéranego mléka i kromka chleba z masłem działają cudownie na organizmy dziecięce. Wyszukanie odpowiedniego miejsca na zabawy przedstawiałoby w Warszawie pewne trudności; być nawet może, iż z powodu odległości niektórych dzielnic od krańców miasta niepodobieństwem byłoby wyprowadzać z nich codzień dziatwę za rogatki. Czyż jednak dlatego, iż jakiegoś zbawiennego środka nie można zastosować wszędzie, nie należy go używać wcale? Z całéj olbrzymiéj rzeszy biédnych dzieci warszawskich kolonie letnie przygarniają dwa tysiące. Czyż to, że nie mogą przygarnąć wszystkich, przynosi im ujmę? Niechby na placach podmiejskich bawiło się codzień pięćset chłopców i dziewczynek, byłoby to już dobrodziejstwem dla ludności ubogiéj.

Ale parę godzin, spędzonych w ten sposób wpływa nietylko na cielesny rozwój dziecka. Malec oswaja się z myślą, że kto chce brać udział w zabawie, powinien przedtém w domu umyć się i uczesać.

Oswaja się z tém, iż zachowywać się trzeba przyzwoicie, bo kto sobie pozwala na nieprzyzwoite słowa lub giesta, tego jutro za miasto nie wezmą. Jestto także szkoła, a dziś gdy w całym świecie narzekają na zdziczenie ludności miejskiéj, szkoła taka przyda się bardzo. Wszyscy bolejemy nad okropnym objawem, jak rozpowszechnione dzisiaj w Warszawie, a nieznane tutaj przed laty bójki na noże. Wstydzimy się za lud nasz, który rozwija się niezaprzeczenie, ale równocześnie popada w te barbarzyńskie nałogi. Chcąc go uzdrowić, nie dosyć jest myśléć o dozorze policyjnym, o areszcie i odstawianiu do miejsca urodzenia. Jeżeli te krwawe dramaty mają kiedyś ustać to pomyśléć trzeba o wychowaniu młodego pokolenia. Czytać umié dziś prawie każde dziecko warszawskie i kiedyś w życiu weźmie przynajmniéj jedną książkę do ręki, ale jak wymagać od tego dziecka, wytarzanego w rynsztoku, osłuchanego ze złorzeczenia i przekleństwami, wychowanego w podziwie dla zamaszystéj energii stróża i dla dosadnego dowcipu żebraków, ażeby wiedziało, że w zabawie trzeba także zachować przyzwoitość, że wesołość nie powinna prowadzić do bijatyki i że szukając jakiéjś chluby na zebraniu towarzyskiém, nie trzeba zaraz szukać jéj w sile pięści. To wszystko może wiedziéć dziecko wiejskie wychowane w chałupie zamożnego gospodarza, dziecko przejęte bezwiednie zasadami konserwatyzmu chłopskiego i przyjmujące ze czcią w puściźnie wszystkie zwyczaje i obyczaje przodków wraz z całym tradycyjnym ceremoniałem. Ale skąd ma o tém wiedziéć łobuz warszawski?

Zabawy będzie on kiedyś potrzebował po pracy. Chcąc zaś, żeby umiał się bawić, trzeba go tego nauczyć. Nauka pod gołém niebem wśród gier i śpiewek pójdzie łatwo i składnie. Pragnęlibyśmy, by mogły ją w ten sposób pobiérać dzieci, które nie zdołały uzyskać pomieszczenia na koloniach.

Tadeusz Smarzewski.

Wydawca: *W. Spasowicz.*

Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Іюня 1898 г. — Druk Jana Cotty.

SĄD PRZYSIĘGŁYCH.

Jesteśmy prawdopodobnie w przededniu wprowadzenia u nas sądów przysięgłych. Prace komisyi, Najwyżéj zatwierdzonéj przy ministeryum sprawiedliwości celem przejrzenia ustaw sądowych, szybkim krokiem posuwają się naprzód. Jeszcze lat parę, a będziemy mieli nową organizacyę sądową, ulepszoną i więcéj jednolitą. Zachowanie w niéj sądów przysięgłych nie ulega najmniejszéj kwestyi. Według sprawozdania profesora d-ra W. Miklaszewskiego, pytanie co do sądów przysięgłych trzykrotnie już zwracało na siebie uwagę komisyi i zawsze było rozstrzygane przychylnie. Pierwszy raz przy rozważaniu głównych zasad urządzeń sądowych dotknięto tego pytania i wyrzeczono, że tylko dzięki przysięgłym czyn przestępny może być oceniony z uwzględnieniem żywego i bezpośredniego poczucia prawdy i sprawiedliwości. Następnie, przy rozważaniu istoty téj instytucyi w zgromadzeniu starszych prezesów i prokuratorów izb sądowych, uznano prawie jednogłośnie, że sąd przysięgłych należy uważać za najlepszą formę sądu, że sąd ten stał ciągle na wysokości swego zadania i że jego działalność jest zupełnie zadawalniająca, oraz że należy myśléć nie o ograniczeniu, lecz raczéj o rozszerzeniu jego kompetencyi. Nakoniec w I-ym wydziale komisyi co do udziału pierwiastku społecznego przy wymiarze sprawiedliwości karnéj wyrzeczono, że sąd przysięgłych, z małemi wyjątkami, zawsze czynił zadość swemu przeznacze-

niu, i wniesiono o rozszerzenie jego działalności [1]). Możemy się więc spodziéwać, że przy nowéj organizacyi sądowéj sąd przysięgłych zawita i do nas. Kwestya ta zainteresuje wtedy nietylko prawników, ale i szerszy ogół naszego społeczeństwa. Wobec tego wartoby może powiedziéć o niéj słów parę.

I.

Nie sięgając w zamierzchłą przeszłość, kiedy władzę sądową sprawowały najróżnorodniejsze organy: to zebranie starszych w gromadzie, to wódz lub król osobiście albo przez mianowanych do tego urzędników, to wreszcie sędziowie wybieralni, a zwracając się tylko do czasów nowszych, mających ściśle określoną organizacyę sądową, dostrzegamy trzy rodzaje sądów.

Na stałym lądzie Europy władza państwowa, dążąca do coraz większéj centralizacyi, nie poprzestaje na zarządzie państwem, lecz bierze w swoje ręce wszystko, co tylko może schwycić, wszystko, co wychodzi po za sferę prywatnéj działalności jednostki, więcéj nawet,— wdziéra się ona w życie prywatne, kontroluje stosunki rodzinne. Nic więc dziwnego, że państwo zagarnęło w swoje ręce i wymiar sprawiedliwości, że sądownictwo stało się wyłącznie rządowém. Na polu centralizacyi wyrósł i rozwinął się system sądów rządowych czyli koronnych, to jest złożonych wyłącznie z płatnych urzędników, naznaczanych przez rząd. U nas system ten przeważa i w chwili obecnéj, z wyjątkiem sądów gminnych wszystkie inne sądy rekrutują się jedynie z urzędników. Najniższą instancyę stanowi sędzia pokoju, rozstrzygający jednoosobowo sprawy mniejszéj wagi; skargi apelacyjne na jego wyroki (a także na wyroki sądów gminnych) podają się do zjazdu, złożonego z sędziów pokoju i sędziów gminnych. Sprawy ważniejsze rozstrzyga kolegialnie sąd okręgowy, a w charakterze instancyi apelacyjnéj — izba sądowa, która także pewną kategoryę spraw sądzi w pierwszéj instancyi. Skargi kasacyjne na wyroki zjazdów i izb sądowych a także apelacyjne na wyroki izb sądowych w pierwszéj instancyi idą na rozstrzygnięcie senatu, którego decyzye mają moc bezwzględnie obowiązującą i nie ulegają zaskarżeniu.

Kiedy na kontynencie Europy słaba z początku władza państwowa nabiérała coraz więcéj siły, zagarniając wszystko w swoje ręce,

---

[1]) Dr. W. Miklaszewski. „O sądach przysięgłych według projektu Komisyi, Najwyżéj utworzonéj przy ministeryum sprawiedliwości celem przejrzenia ustaw sądowych.“ „Gazeta sądowa warszawska“ z r. 1897, Nr. 33, str. 533.

w Anglii działo się odwrotnie. Władza królewska, scentralizowana i silna przy pierwszych królach z dynastyi normandzkiéj, powoli zaczyna słabnąć, ustępując coraz więcéj miejsca współdziałaniu pierwiastku ludowego. Jedna funkcya za drugą przechodzi z rąk króla do narodu, aż nareszcie władza królewska staje się prawie nominalną. Jednakże charakterystyczną cechą Anglików jest to, że zmieniając treść, pozostają oni bardzo przywiązanymi do formy. To też nominalnie wszystko się odbywa w imię króla (obecnie królowéj), a wszechwładny pierwiastek ludowy uważany jest tylko jakby za dodatek. Jedną z pierwszych funkcyi, jakie od króla przeszły w ręce narodu, był wymiar sprawiedliwości. Pierwotnie, wszystkie sprawy rozstrzygali w imieniu króla urzędnicy koronni, ale i wtedy naród brał już znaczny udział w sądzeniu. Kiedy wynikał spór, albo zostało spełnioném przestępstwo, urzędnik koronny zjeżdżał na miejsce i zbiérał wszystkie możliwe dane co do sprawy. O obecnym systemie dowodów nie miano wówczas jeszcze pojęcia, w większości wypadków jedyne informacye można było zasięgnąć od okolicznych mieszkańców, którzy znali przestępcę lub strony wiodące spór i udzielali urzędnikowi objaśnień w formie nie tyle dowodów, ile przeważnie osobistych swoich zdań o danym osobniku. Byli to poniekąd świadkowie, czasem eksperci. Z biegiem czasu zeznania ich zaczęto odbiérać pod przysięgą, ale zawsze były to tylko zeznania, na zasadzie których sprawę rozstrzygał urzędnik. Powoli, w drodze zwyczaju określoną została liczba tych świadków — dwunastu. Zwyczaj także wprowadził obowiązującą jednomyślność ich zdania, tak że urzędnik, który zrazu był sędzią, powoli ujrzał się skrępowanym, nie mógł bowiem wydać wyroku, niezgodnego z jednomyślném zdaniem dwunastu wybranych obywateli. Dawni świadkowie zmienili się w sędziów, dawny sędzia zachował rolę kierującego formalną stroną obrad, zmienił się w prezesa sądu. Tak powstał sąd przysięgłych, sąd złożony z obywateli pod formalném przewodnictwem sędziego koronnego. Formacya ta odbywała się powoli, krok za krokiem, bez gwałtownych przewrotów i zmian; niepodobna też określić, kiedy właściwie powstały w Anglii sądy przysięgłych. Obecne prawo nadało tylko sankcyę skrystalizowanéj oddawna formie.

Podczas wielkiéj rewolucyi francuskiéj, kiedy naród zaczął brać poważny udział w sprawowaniu rządów, postanowiono oddać mu i cząstkę władzy sądowéj i w tym celu na grunt francuski żywcem przesadzono z Anglii sąd przysięgłych. Prawa z d. 30 kwietnia 1790 roku i 16 września 1791 roku wprowadziły sądy przysięgłych we Francyi, ale ograniczyły ich kompetencyę, oddając przysięgłym do rozstrzygania tylko sprawy kryminalne. Na gruncie francuskim sąd

przysięgłych ulegał kilkakrotnie poważnym zmianom i w zmienionéj już formie za pośrednictwem Francyi przedostał się do wszystkich prawie państw europejskich. Francuski sąd przysięgłych składa się z dwóch części: 1) z trzech sędziów koronnych (nie zaś jednego, jak w Anglii), którzy rozstrzygają kwestye prawne i w razie skazującego werdyktu przysięgłych określają karę, i 2) z dwunastu sędziów przysięgłych, rozstrzygających kwestye faktu i wyrzekających ostateczną decyzyę co do winy oskarżonego.

Rosya przyjęła francuską formę sądu przysięgłych i wprowadziła go wraz z reformą sądową w d. 20 listopada st. st. 1864 roku. Przy rozszerzeniu ustaw sądowych na Królestwo Polskie w r. 1876, nie wprowadzono u nas sądów przysięgłych i sprawy podlegające ich kompetencyi oddano do rozstrzygnięcia sądom okręgowym, złożonym tylko z sędziów koronnych.

Trzeci typ sądu wytworzył się w Niemczech na gruncie czysto teoretycznym. Metafizyczny umysł Niemców, spostrzegając pewne wady jak w sądach koronnych tak i w sądzie przysięgłych, na zasadzie filozofii czysto spekulacyjnéj doszedł do wniosku, że wady obydwóch instytucyi zostaną usunięte, jeżeli się obie połączy w jedno kolegium, w którém sędziowie koronni sądziliby wspólnie z przedstawicielami narodu. Przypomniano sobie, że niegdyś, bardzo dawno, istniały w Niemczech sądy ławnicze (*Schöffen*), złożone z sędziów w części wybieralnych, w części naznaczanych przez władzę, nadano starą nazwę nowéj rzeczy i utworzono sądy *schöffen*'ów, składające się z sędziów wybieralnych pod przewodnictwem urzędnika państwowego. Nieco zbliżonym do tego jest sąd rosyjskiéj izby sądowéj z przedstawicielami stanów, rozstrzygającéj niektóre sprawy, „tymczasowo” wyjęte z pod kompetencyi sądów przysięgłych.

Mamy więc trzy zasadnicze typy sądów kryminalnych: sąd koronny, sąd przysięgłych i sąd mieszany [1]).

---

[1]) Ściśle biorąc, istnieje jeszcze czwarty rodzaj sądów, a mianowicie: sądy wybieralne, jak np. sądy gminne u nas, sędziowie pokoju w niektórych miejscowościach Rosyi, sądy wiejskie (*wołostnyje*) dla włościan rosyjskich i t. p. Nie uważam jednak za słuszne tworzyć z tego rodzaju sądów osobny typ w niniejszym podziale, gdyż sądy wybieralne albo składają się z wykwalifikowanych prawników, a wtedy niczém się nie różnią od koronnych z wyjątkiem może tego, że sędziowie zależnymi są nie od władzy lecz od wyborców; albo składają się w części z fachowców-prawników, w części z żywiołu społecznego — wtedy stają się sądami trzeciego typu — mieszanemi; albo wreszcie składają się wyłącznie z nie-prawników— wtedy, będąc pozbawione kierownictwa specyalisty, nie mogą rozstrzygać spraw ważniejszych, wymagających stosowania się do przepisów prawa stanowionego,

Postarajmy się przedewszystkiém wykazać, który z nich najbardziéj się zbliża do ideału sądu bezstronnego, który ma najwięcéj zalet przy najmniejszéj ilości wad. Nie zadaję pytania, który sąd jest bezwzględnie dobry, bo każdy sąd, jak wszystko co ludzkie, musi miéć słabe strony; idzie tylko o to, który jest najlepszy. „Każdy sąd, mówi prof. Spasowicz, jest niby narzędzie mające zalety i wady, które dają się wyrozumiéć tylko przez porównanie go z innemi odmiennéj konstrukcyi narzędziami. Bezwzględna doskonałość jest oczywiście mrzonką: najlepszym sądem będzie ten tylko, który w porównaniu z innemi ma więcéj zalet przy mniejszych wadach. Ocena instytucyi ma zawsze formę bilansu, w którym się zestawiają aktywa i pasywa" [1]). Przyjrzyjmy się z kolei aktywom i pasywom każdego rodzaju sądów.

1. Sąd koronny składa się z urzędników, ludzi z wyższém wykształceniem, którzy, poczynając od ławy uniwersyteckiéj, przez całe życie studyują prawo, poznają najdokładniéj wszystkie jego szczegóły i zagadki, kwestye podnoszone w sądzie nie są dla nich nowością, otrzaskali się z niemi oddawna, w postępowaniu sądowém niema dla nich niezrozumiałych wyrażeń, język, którym przemawia prawo, to ich język, pojęcia prawne stały się ich pojęciami. Sędzia koronny, jako prawnik wykształcony teoretycznie i praktycznie, szybciéj zrozumié, o co rzecz idzie, nie zgubi się w szczegółach zawiłéj kombinacyi prawnéj, nie będzie miał do czynienia z niezrozumiałemi dla niego zagadkami. Nie da się on uwieść kwiecistéj swadzie prokuratora ani patosowi obrońcy, siłą rutyny doszedł już do tego, że z pośród napuszonych frazesów i górnolotnych wyrażeń bez trudu potrafi wybrać to, co stanowi istotę rzeczy, nie zmiesza drobiazgów z treścią, oddzieli rzeczy potrzebne od niepotrzebnych, nie zgubi się w chaosie. Świat przestępców to sfera, która ciągle przewija się przed jego oczyma, przywykł on patrzéć na nią codziennie od tylu lat, powinien zatém znać ją lepiéj, gruntowniéj, niż każdy inny. Prócz tego, sędzia koronny, jako urzędnik państwowy, zawsze będzie się trzymał ściśle litery prawa, wyroki jego będą zgodne z ustawą, nie uniewinni on podsądnego, któremu dowiedziono, że jest w niezgodzie z kodeksem karnym, nie skaże takiego, którego wina nie jest ustalona przez niezbite dowody.

---

i kompetencya ich rozciąga się tylko na rozstrzyganie drobnych sporów między ludnością miejscową i na represyę drobnych wykroczeń.

[1]) „O najnowszych zmianach w prawodawstwie karném w Rosyi. Czasowe ograniczenie jurysdykcyi sądu przysięgłych" przez W. S. „Ateneum", lipiec, 1878 r., str. 166 (W. Spasowicz. „Pisma". Petersburg, 1892, tom IV).

Tak mówią stronnicy sądów koronnych, teoretycy, którzy chcieliby usunąć z sądu pierwiastek ludowy i złożyć wymiar sprawiedliwości jedynie w ręce urzędników państwowych. W naszéj literaturze do obozu tego należy prof. W. Miklaszewski [1]).

Sądy koronne dla spraw karnych tracą coraz więcéj stronników jak w teoryi, tak i w prawodawstwie, bo, jak dowiodła praktyka, te właśnie cechy, które uważano za zalety sędziów koronnych, są właśnie ich głównemi wadami. Wyższe wykształcenie i wyspecyalizowanie się w jednym fachu wyrabiają u sędziego koronnego jednostronność poglądu na życie: zna on wszystkie strony życia jedynie z książki, a w praktyce styka się tylko z nieliczną sferą ludzi, równie jak on wykształconych, równie jak on fachowców-prawników; sfera, w któréj obraca się przeciętny sędzia koronny, sfera tak zwanéj inteligencyi—to tylko mała, bardzo mała cząstka społeczeństwa; po za tę sferę nie wychodzi prawie żaden sędzia koronny, na inne klasy patrzy on z boku, zdaleka, przez teleskop, utworzony z formułek teoretycznych. Wiadomo przecie, jak daleką jest klasa ludzi, w ktoréj żyje sędzia, od téj, z któréj się rekrutuje przeważna ilość przestępców. Czy członek sądu okręgowego, mający stałą pensyę wystarczającą mu na pokrycie wydatków, zrozumié należycie rozpacz robotnika, którego z powodu zmniejszenia produkcyi wydalono z fabryki i który, napróżno szukając zajęcia, postawiony wobec widma śmierci głodowéj, zamyka oczy na to co daléj będzie i idzie kraść lub rozbijać? czy odczuje on pobudki, kierujące włościaninem, który zrujnowany do szczętu przez chytrego lichwiarza, pozbawiony ojcowizny i z zamożnego gospodarza zamieniony w żebraka, nie może się oprzéć chęci zemszczenia się przez podpalenie na tym, co złamał całe jego życie? czy pojmie on położenie urzędnika pocztowego, otrzymującego za całodzienną mozolną pracę dwadzieścia kilka rubli na miesiąc, obarczonego liczną rodziną — żona leży chora, a on niema na lekarstwo, dzieci chodzą w dziurawych sukienkach, a niema za co kupić nowych, — a tymczasem przez ręce stroskanego ojca przechodzą codziennie setki i tysiące rubli, których mała cząstka mogłaby zaspokoić potrzeby ukochanych? czy sędzia koronny, stojący na wysokiém stanowisku i otoczony poważaniem powszechném, potrafi odczuć cierpienia człowieka, ciągle przez pracodawcę poniżanego, który przez długie lata znosił niesprawiedliwe przyczepki, aż nare-

---

[1]) *loc. cit.* „Gazeta Sądowa" z r. 1897, NN-ra 27 — 36. Prócz tego, jako obrońca kryminalnych sądów koronnych, wystąpił w téjże „Gazecie" (NN-ra 36 i 37 z r. 1896) autor artykułu, p. t. „W kwestyi sądów przysięgłych", podpisanego literą *W.*

szcie, wyprowadzony z cierpliwości, cisnął w swego kata kamieniem lub pchnął go nożem? czy zrozumié on położenie ojca, który nie mogąc wystarczyć na utrzymanie liczném rodziny, musiał oddać córkę do służby i widzi, że jéj pan nadużył niewinności dziewczęcia? Czy sędzia koronny, należący do klasy uprzywilejowanéj, może postawić siebie w położeniu tego, kogo ma sądzić? Nie, nie, potrzykroć nie! Ażeby sędzia mógł dokładnie ocenić stan duszy oskarżonego, nie wystarcza wykształcenie fachowe, trzeba koniecznie znać życie i jego pokusy, trzeba, żeby ten, kto ma sądzić, sam zbliska widział podobne wypadki w życiu codziennném, żeby sam ulegał podobnym pokusom, żeby się stykał z niemi bezpośrednio.

Rutyna fachowa i wykształcenie specyalne mają jeszcze jedną słabą stronę. Sędzia, przed którego oczyma przechodzą dziesiątki i setki jednostajnych spraw, powoli coraz bardziéj zbliża się do maszyny: jednakowa sprawa, jednakowe okoliczności — jednakowy wyrok. Oskarżony przestaje być dla tego sędziego człowiekiem, żyjącym i czującym, obdarzonym szczególną indywidualnością, odrębnym charakterem, staje się pionkiem, numerem: spełnił czyn, określony przez dany artykuł, — ulega oznaczonéj w tym artykule karze, i na tém koniec. Sędzia koronny wydaje wyroki w sprawach kryminalnych na zasadzie takiego samego wyliczenia matematycznego, jakie się stosuje w sprawach cywilnych, z równie lekkiém sercem uwalnia on oskarżonego, przeciwko któremu nie ma dowodów, i skazuje tego, którego wina została formalnie dowiedzioną. Kradzieże, fałszerstwa, zabójstwa, podpalenia— to dla sędziego koronnego chléb powszedni, przychodzi on na sesyę z myślą, żeby jaknajprędzéj skończyć, po większéj części rozstrzyga sprawy pośpiesznie, namyślając się o tyle tylko, o ile zajdzie wątpliwość, jaki artykuł zastosować. Temida z zawiązanemi oczyma nie widzi, kto przed nią stoi, nie bada indywidualności poszczególnego przestępcy, waży tylko jego czyny, kładąc na szalę z jednéj strony nagi fakt, z drugiéj określoną przez kodeks karę; czasami na jedną lub drugą szalę dorzuci suchą formułkę prawną, jak np. rozdrażnienie, obmyślany zamiar i t. p. i stosownie do tego, na którą stronę przechyli się strzałka, spuszcza zabójczy miecz lub daruje życie. Żywe czyny żywego człowieka zostają wciśnięte w martwe ramki szablonu.

Że tak jest, zgadzają się wszyscy prawie pisarze, jak praktycy tak i teoretycy. Tak np. towarzysz prokuratora naczelnego, W. Słuczewskij, mówi: „Specyalne wykształcenie prawne, jak dowiodło doświadczenie, zrównywa poziom umysłowy osób, które sądzą, stawia je wszystkie prawie wśród jednakowych warunków życia, ukrywa przed ich okiem najrozmaitsze sytuacye życiowe, wytwarzające przestępstwa,

z któremi sąd ma do czynienia. Znajomość życia u sędziów koronnych zazwyczaj kończy się na téj sferze społecznéj, do któréj należą oni sami, skutkiem czego zasada kolegialności nie przynosi tu téj korzyści, jaką daje przy sądzie przysięgłych. Przysięgli należą do najróżnorodniejszych stanów społecznych i dlatego znają człowieka we wszystkich możliwych chwilach i warunkach życia. Nadzwyczajny zapas doświadczenia życiowego daje przysięgłym większą od sędziów koronnych możność zrozumienia, jak przestępstwa powstają. Przesądy, jak gwoździe, wbijają się w mózg sędziego koronnego, pozbawiając go zdolności prawdziwéj oceny sprawy, bez czego nikt nie może być sędzią sprawiedliwym" [1]).

Znany antropolog włoski, a zarazem długoletni sędzia-praktyk, R. Garofalo, tak określa sposób rozstrzygania spraw kryminalnych przez sędziego koronnego: „Nie samo indywiduum (podsądny) zwraca na siebie jego uwagę. Prawna definicya faktu — oto co go głównie obchodzi. Czynność, którą wykonywa dla zastosowania kary — jest prawie zupełnie mechaniczną. Rządzi się przytém wprost arytmetyką. Okoliczności sprawy są dlań cyframi, które dodaje, odejmuje i w końcu stosuje taryfę, którą nareszcie wynalazł... Zapomina tymczasem sędzia, że kara, którą stosuje, powinna przedewszystkiém do czegoś służyć, że celowość kary zależy od zbadania sądzonego indywiduum i że celowość ta powinna być duszą wyroku, jedynie warunkującą stopień i rodzaj kary" [2]).

„Ażeby być wzorowym sędzią — powiada M. Gromnickij — nie wystarcza być wykształconym prawnikiem i uczciwym człowiekiem, trzeba jeszcze miéć coś, co jest nadzwyczaj ważne, mianowicie dokładną i obszerną znajomość życia. Znajomość taka nie każdemu jest dana, posiadać ją mogą tylko ludzie, od pierwszéj młodości poświęceni przeważnie zajęciom życia praktycznego, albo ciągle przebywający pomiędzy takimi ludźmi i w takiéj sferze, a także, niezależnie od rodzaju zajęcia, ludzie, obdarzeni specyalnym umysłem, tak zwanym praktycznym, życiowym, chociaż ludzi téj kategoryi jest wogóle nie wielu. Nasi sędziowie-prawnicy mają właśnie tę wadę — brak dokładnéj a obszernéj znajomości życia. Skąd ma się u nich wziąć taka znajomość? Większość ich, jeżeli nie wszyscy, zaraz po wyjściu z wyższéj szkoły prawnéj oddaje się całkowicie pracy w sądownictwie; ażeby dojść do stanowiska członka izby sądowéj, trzeba mniéj więcéj 20 lat.

---

[1]) Patrz: N. Likiert. „W kwestyi sądów przysięgłych". „Gazeta Sądowa" r. 1896, nr. 40, str. 644.

[2]) Patrz: Likiert, *loc. cit.*, str. 645.

Rozumié się, że człowiek, który w ciągu 20 lat pracował w jednym kierunku, w jednéj i téj saméj dziedzinie, choćby nawet w różnych jéj częściach, — taki człowiek, pomimo wszelkich wiadomości z téj dziedziny, pomimo wszelkich wrodzonych i nabytych przymiotów, nieodzownie stać się musi mniéj lub więcéj jednostronnym, a co zatém idzie, nie miéć dokładnéj i obszernéj znajomości życia. On, jako człowiek wykształcony, napozór zna i rozumié wszystko, mówi swobodnie o najtrudniejszych kwestyach życia praktycznego, ale co to za wiadomości? To wiadomości wzięte z gazet, z wypadkowéj rozmowy, wiadomości mieszczanina o sprawach wiejskich, lub wykształconego wieśniaka o życiu miejskiém. Nad temi kwestyami praktyki nigdy on nie myślał poważnie, nie stykał się z niemi bezpośrednio, nie zbliżał się do nich i nawet nie potrzebował się zbliżać, pracując uczciwie przez całe życie na polu sądownictwa. Taka jednostronność, taki brak znajomości życia u sędziów-prawników koniecznie musi się odbijać na ich wyrokach w sprawach kryminalnych, odbijać naturalnie wadliwie, ze szkodą sprawiedliwości. To, co się daje wybaczyć, co nie rzuca się tak w oczy w sprawach mniejszéj wagi, co zresztą w tych sprawach ma mniéj znaczenia, to nie powinno się zdarzać w sprawach ważniejszych, gdzie stawia się na kartę najwyższe prawa człwieka" [1]).

„Nie ulega kwestyi — pisze Zakrewskij, poważny teoretyk i długoletni praktyk, były prezes sądu okręgowego w Warszawie, — że sędzia koronny, pomimo wielkiego doświadczenia, pomimo to, że jest przyzwyczajony do oceniania wartości dowodów i nie nadawania wagi drobiazgom, pomimo zdolności logicznego myślenia i umiejętności stosowania prawa do wypadków życia, pomimo to wszystko skłonny jest do zapatrywania się szablonowo na rozstrzygane sprawy. Miał on zawsze do czynienia z przestępstwami i dlatego stał się pesymistą. Mimowoli widzi on w każdym oskarżonym schwytanego przestępcę. W jego umyśle tworzy się wyobrażenie o całych kategoryach przestępstw z ich własnościami gatunkowemi i rodzajowemi, z odpowiadającemi każdemu z nich dowodami, i dana sprawa tonie dla niego w całéj masie podobnych, nie zatrzymując jego uwagi na swoich cechach indywidualnych. Wiecznie te same kradzieże z włamaniem, te same podpalenia, te same połamane żebra i wybite oczy, to samo niemowlę zagrzebane w śmietniku! I obok tego wiecznie ta sama pensya!... Nudzi to w najwyższym stopniu i dlatego wszystko się odrabia od niechcenia. Sędzia koronny z widoczną niecierpliwością i wzruszaniem ramion słu-

---

[1]) M. Gromnickij. „*Sud s soslownymi predstawitielami*". „*Żurnał Ministierstwa Justicii*", marzec, 1895 r., str. 54 i 55.

cha oskarżonego i jego adwokata, jakby im chciał powiedzieć: znamy was doskonale! Podczas mowy obrońcy bazgrze on wyrok skazujący [1]), lub pisze co innego, uważając staranne wysłuchanie mowy prokuratora, a témbardziéj dowodzeń obrony, za stratę drogiego czasu i do pewnego stopnia za poniżenie własnéj godności" [2]).

„Zdolności sędziego koronnego — mówi de la Grasserie — polegają na tém, że zna on, być może, postanowienia kodeksu karnego, ma wprawę w prowadzeniu badań i na tém koniec. Nie zna on szczegółów systemu kar, nie zna psychologii ani socyologii przestępcy i jeżeli, kierując się wypróbowanemi regułami, nie pozwoli ujść bezkarnie winnemu, to za to może z łatwością i niewątpliwie skazać niewinnego na zasadzie jednakowych prawideł. Przyzwyczaja się on do tego, co się zdarza częściéj, to jest do decyzyi skazującéj, umysł jego formuje się odpowiednio, długie przyzwyczajenie nie daje mu spostrzedz wyjątków... Strzegąc się zasadzek i naciągań obrony, sędzia koronny staje się głuchym i na jéj poważne dowodzenia" [3]).

Tak więc zgadzają się wszyscy pisarze na tym punkcie, że sędzia koronny, pomimo całéj umiejętności i wykształcenia, nie odpowiada temu, czego należy wymagać od sędziego, nie sądzi on ludzi, tylko numera, nie sądzi jak człowiek, lecz jak martwa maszyna. Będąc mianowany przez rząd i mając od tegoż rządu pensyę, sędzia koronny nie może być zupełnie niezależnym. Wprawdzie, wszystkie prawodawstwa starały się zapobiedz złemu przez wprowadzenie nieusuwalności sędziów, to jest zasady, że sędzia, raz mianowany, nie może być wbrew swojéj woli usunięty z posady ani téż tranzlokowany, chyba za przestępstwo kryminalne na mocy wyroku sądowego. Ale i to nie wystarcza. Urzędnik, choćby nieusuwalny, zawsze pozostanie urzędnikiem. Nie staje się on nieusuwalnym od razu, z początku musi przejść wiele niższych szczebli, na których jest w zupełności zależny od władzy. W razie najmniejszego niezadowolenia, nawet kaprysu przełożonego, może stracić posadę, zdobytą z takim trudem. Wobec tego, chcąc się utrzymać na stanowisku, musi on we wszystkiém dogadzać tym, od których los jego zależy, nietylko ulega ich rozkazom w sferze urzędowéj, ale nawet niejednokrotnie zmuszony jest spełniać najdziwaczniejsze żądania i „prośby" w życiu prywatném. Naturalnym biegiem rzeczy

---

[1]) Widziałem sam nieraz podobne wypadki.

[2]) J. Zakrewskij. „*Sud prisiażnych i wozmożnaja reforma jewo.*" „*Żurn. Minist. Just.*", grudzień, 1895, str. 79.

[3]) Raoul de la Grasserie. „*Des origines, de l'évolution et de l'avenir de jury.*" „*Revue internationale de sociologie.*" *Août, Septembre*, 1897, str. 621.

w urzędniku przyzwyczajonym od młodości do spełniania nie zawsze słusznych rozkazów wyrabia się pewien rodzaj bezwzględnéj subordynacyi: rozkaz przełożonego staje się jedną z zasadniczych reguł jego postępowania. Nie zawsze tak bywa, ale w znacznéj większości wypadków.

Kiedy urzędnik usuwalny staje się nieusuwalnym sędzią, położenie jego nominalnie się zmienia: nie zależy on już od niczyjego kaprysu, usunąć go może tylko wyrok sądowy. Ale faktycznie wszystko pozostaje jak było. Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Urzędnik, przyzwyczajony od wielu lat do karności, nie może się raptem wyzwolić z pod jéj wpływu: życzenie przełożonego zawsze będzie dla niego rozkazem. „*Rogando imperat, dum rogat superior*", mówili niegdyś Rzymianie. Prócz tego, nawet nieusuwalny sędzia ma zawsze nadzieję awansu: sędzia pokoju lub członek sądu okręgowego nie wyrzeka się nigdy chęci zostania wiceprezesem sądu, członkiem izby sądowéj, a może i czémś więcéj. A chcąc awansować, sędzia koniecznie musi stosować się do wymagań władzy, nie narazić się jéj na żadnym punkcie. Czy to się nazywa niezależnością? czy można wierzyć, że sędzia, postawiony w takich warunkach, będzie się kierował tylko swoim rozumem i sumieniem? Czy władza wyższa nie będzie wywierała silnego wpływu na tego „nieusuwalnego" sędziego? Czy zawsze można być pewnym, że urzędnik nie zwycięży człowieka?

„Zupełna niezależność sądownictwa od władzy państwowéj — mówi Ihering — nie da się wprowadzić przy téj formie sądu. Przeciwnie, istnieje forma, która rozstrzyga tę kwestyę w zupełności: to sąd przysięgłych. Przysięgły niczego nie może obawiać się od rządu, ani téż spodziéwać się od niego; jego zjawienie się, — to jest wybór pojedyńczych przysięgłych — jest zbyt raptowném, nieobliczoném, jego czynności — zbyt przejściowemi, ażeby mógł uledz jakiemubądź wpływowi ze strony rządu; czas i miejsce stawiają temu niezwyciężone przeszkody" [1]).

Co się zaś tyczy zupełnéj niezależności od opinii publicznéj, to nie można jéj wymagać od żadnego sądu, składającego się z ludzi uspołecznionych, a więc zwracających uwagę na to, co mówi o danéj kwestyi głos ogółu.

2. Tak więc głównemi wadami sądów koronnych są: jednostronny pogląd na życie, rutyna, prowadząca do szablonowego rozstrzygania większości spraw, i zależność od rządu. Żadnéj z tych wad nie

---

[1]) R. v. Ihering. „*Der Zweck im Recht.*" Lipsk, 1893 r., tom I-szy, str. 408 i 409.

znajdujemy w sądzie przysięgłych. Przysięgli pochodzą ze wszystkich klas społeczeństwa: w jednym komplecie obok inżyniera i lekarza zasiada stolarz i wyrobnik, obok wielkiego finansisty—drobny przemysłowiec, obok arystokraty—włościanin. Wszystkie sfery są tu reprezentowane: jak oskarżony, tak i poszkodowany znajdują wśród przysięgłych ludzi z téj saméj klasy, sędziów, którzy patrzą na nich nie z wysokości swego piedestału sędziowskiego, lecz z równego poziomu. Przysięgli, pochodząc przeważnie z téj saméj sfery, co i podsądny, znają dokładnie sposób jego życia, wiedzą, czego temu człowiekowi brakowało w walce o byt, na jakie pokusy narażał go kaprys losu, jakie okoliczności mogły go popchnąć do przestępstwa. Rzemieślnik zrozumié rzemieślnika, włościanin — włościanina, kupiec — kupca. Sąd złozony nie z prawników profesyonalnych, lecz z ludzi różnych zajęć i kategoryi, z łatwością wykaże wszechstronny pogląd na życie; liczba przysięgłych jest dość znaczną (12), między nimi zawsze znajdzie się ktoś, komu jest mniéj więcéj znaną sytuacya, podobna do téj, w jakiéj się znalazł podsądny podczas spełnienia inkryminowanego czynu. Rekrutując się z żywiołów różnorodnych, przysięgli dopełniają się wzajemnie: czego jednemu braknie, to u drugiego się znajdzie. Każdy wnosi do kompletu, jako cząstkę składową, swoje doświadczenie życiowe, zdobyte na pewném polu; cząstka każdego z nich jest inną, a złożone razem, tworzą mniéj lub więcéj zupełny całokształt wszechstronnéj znajomości życia, téj znajomości, któréj brak dotkliwie daje się uczuwać w kolegiach sędziów koronnych. Dwunastu ludzi z rozmaitych sfer, z których każdy gdzieindziéj mieszkał, inaczéj życie przepędził, czém inném się zajmował — to zasób nie lada poważnego doświadczenia życiowego; taki sąd jest zdolny zrozumiéć każdą sytuacyę, odczuć każdą pobudkę, działającą w duszy oskarżonego. Wprawdzie, może tak wypaść, że cały komplet sądu przysięgłych składać się będzie z ludzi jednéj sfery, naprzykład z włościan lub drobnych mieszczan, co zdarza się zapewne dość często, szczególniéj w mniejszych miastach, ale w takim razie zawsze prawie oskarżony należy do téj saméj klasy, co i sędziowie, pochodzi z téj saméj okolicy, a więc stanowi dla sądu materyał znany, swojski: działalność oskarżonego rozwijała się w téj sferze, w któréj upływa całe życie sędziów, — któż może lepiéj od nich ocenić motywa czynu? Bywają i takie wyjątkowe wypadki, że komplet sądu składa się z ludzi jednéj sfery, a oskarżony lub poszkodowany należą do innéj, zdarzyć się może, że przysięgli nie znają trybu życia podsądnego — wszystko to jest możliwe. Ale zdarzenia takie, choć bardzo niepożądane, w sądach przysięgłych należą do wyjątków, w koronnych zaś stanowią regułę, bo sędziowie koronni zawsze prawie na-

leżą do innéj sfery, niż oskarżony. Jeżeli więc sądowi przysięgłych w niektórych wypadkach można odmówić jasnego i wszechstronnego poglądu na osobę przestępcy, to w każdym razie nie ulega kwestyi, iż pogląd taki zdarza się w téj formie sądu bez porównania częściéj, niż w sądzie koronnym.

Drugą kardynalną wadą sądów koronnych jest zbytnia rutyna. O téj nie może być nawet mowy w sądzie przysięgłych. Przysięgły—to nie sędzia stały, to zwykły śmiertelnik, raz na kilka lat, a może tylko raz w życiu powoływany do spełnienia wysokiéj funkcyi sędziego. Doświadczenie nas uczy, że wszystko, do czego bierzemy się po raz pierwszy, wykonywamy zwykle z większą starannością i uwagą, niż kiedy powtarzamy tę samą pracę setny lub tysiączny raz. Człowiek wogóle pożąda zmian: każda nowa czynność staje się przyjemną, choćby dlatego tylko, że jest nową; zabiéramy się do niéj z zapałem, który stanowi najpierwszą rękojmię dobrego wykonania. Z biegiem czasu, kiedy jedno i to samo musimy powtarzać setki razy, najbardziéj zajmująca praca zaczyna nużyć, spełniamy ją, bo tak trzeba, ale nie ożywia nas już dawny zapał, pracujemy mechanicznie, maszynowo: to co z początku zajmowało nas bardzo, staje się nudném, jednostajném, szablonowém, — dawniéj wkładaliśmy w to całą duszę, dziś staramy się tylko odrobić jaknajprędzéj co do nas należy i przykładamy tylko tyle staranności, ile niezbędnie wymaga wykonywana praca. Ogólna ta reguła daje się zastosować i do sądownictwa. Wiem z własnego doświadczenia, że kiedym pierwszy raz poszedł do sądu, najprostsza sprawa żywo mnie interesowała, z natężoną uwagą słuchałem zeznań świadków, mowy prokuratora i obrońcy, z bijącém sercem oczekiwałem wyroku. Dziś, kiedy niejedna sesya sądowa przeszła przed memi oczyma, dzielę już w myśli sprawy na zajmujące i niezajmujące, na szablonowe i wychodzące ze zwykłego szablonu i tylko tym ostatnim przysłuchuję się z taką samą uwagą, z jaką z początku obserwowałem wszystkie. A im więcéj spraw przesuwa się przed oczyma, tém więcéj układa się w ramki szablonu, tém mniejsza ilość skupia na sobie uwagę. Otóż przysięgli należą zawsze do nowicyuszów, każdy z nich jest w sądzie jeżeli nie pierwszy raz, to drugi lub trzeci; każda sprawa zajmuje go żywo, nie zdążył on ułożyć sobie szablonu, najprostsza kradzież z włamaniem, zaliczana przez sądowników do spraw „*à dormir debout*", dla przysięgłego ma urok nowości. Nie wié on, że sąd rozstrzyga codzień po kilka takich spraw, w jego karyerze sądowniczéj sprawa ta jest pierwszą lub drugą. „Jako nowicyusz w sądzie,—mówi znany adwokat-kryminalista Likiert — przysięgły stara się nie skompromitować siebie wobec współprzysięgłych i jednocześnie strzeże się

brać na sumienie swoje grzechu niesłusznego werdyktu. Sędziemu przysięgłemu dana sprawa nie stawia przed oczami zachowanych w umyśle śladów wrażeń ze spraw identycznych, obchodzi go tylko dana sprawa ze wszystkiemi jéj szczegółami, a główna postać w sprawie, sam podsądny, jest dla tego sędziego — nowicyusza człowiekiem żywym, a nie proceduralnym numerem z kartki statystycznéj" [1]).

Niezależność przysięgłych od rządu jest prawie obsolutną; przysięgły tyle tylko postępuje w myśl rządu, o ile na to zgadza się jego osobiste przekonanie. To nie urzędnik, ryzykujący stracić posadę, lub prawo do awansu, to spokojny obywatel, kupiec, rzemieślnik, który przez całe swoje życie nie ma bezpośredniéj styczności z rządem, nic od niego nie potrzebuje, niczego się nie obawia utracić. Niełatwo jest wpłynąć na przysięgłych za pomocą prośby, albo groźby, nie łatwo ich przekupić. Przysięgły to postać epizodyczna, zjawiająca się i znikająca nagle: wszelkie wpływy na niego mają nadzwyczaj małe pole działania. To téż wypadki przekupstwa przysięgłych zdarzają się bardzo rzadko. W ciągu czternastu lat (1879—1892) sądy przysięgłych w Rosyi rozstrzygnęły, według wyliczenia senatora Koni [2]), z górą 208,000 spraw, a zatém w sądzeniu ich przyjmowało udział 208,000 kompletów przysięgłych, a w ciągu całego tego czasu było tylko 20 spraw o sprzeniewierzenie, w których oddano pod sąd 80, a uznano za winnych 29 przysięgłych. A zatém na to, żeby jeden przysięgły sprzeniewierzył się swoim obowiązkom, potrzeba mniéj więcéj 7,200 spraw! Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę, że chcąc przechylić sprawę na swoją stronę, oskarżony musiałby przekupić najmniéj sześciu, a oskarżyciel najmniéj siedmiu przysięgłych, to cyfry powyższe muszą się nam wydać tak minimalnemi, że sprzeniewierzenie przysięgłych uznamy za prawie nieistniejące.

Pomimo tak widocznych zalet sądu przysięgłych, przeciwnicy stawiają téj formie sądu liczne, choć niezbyt poważne zarzuty. Przedewszystkiém zarzucają przysięgłym brak profesyonalnego doświadczenia i wiadomości. Że tak jest, nie ulega kwestyi. Ale czy to jest wadą? „Nie można sobie przedstawić — mówi prof. Miklaszewski—takiego rodzaju działalności, przy któréj rzeczone warunki nie byłyby pożądane i nie stanowiłyby ważnéj rękojmi powodzenia. Jedyny wyjątek stano-

---

[1]) Likiert, *loc. cit.* N. 40 str. 646.

[2]) A. Koni. „*Wstupitielnoje i zakluczitielnoje*", *soobszczenija o sudie prisiażnych i o sudie s sosłownymi predstawitielami. Żurn. Min. Just.* Luty 1895 r. str. 34.

wią przysięgli“ [1]). Zdaje mi się, że zarzut ten zawiera błąd w samém założeniu. Jakich profesyonalnych wiadomości mamy wymagać od sędziów kryminalnych? Znajomości prawa? Jest ona niezbędną — to prawda, ale znajomość tę w dostatecznym stopniu posiadają zasiadający razem z przysięgłymi sędziowie koronni: skoro wynika kwestya prawna, przysięgli nie mają głosu i sąd koronny rozstrzyga. A jeżeli do zupełności werdyktu potrzeba wskazówek z prawa obowiązującego, to czyż przysięgli nie mają tuż obok sędziów koronnych, do których w każdéj chwili mogą się zwrócić o wyjaśnienia. A inne wiadomości profesyonalne? Czy sędziowie koronni posiadają je w większéj ilości? Wszak sędzia-prawnik, kiedy ma rozstrzygnąć sprawę o zabójstwo lub rany, wzywa eksperta lekarza, o sfałszowanie dokumentu — eksperta kaligrafa, o kontrabandę — eksperta kupca, handlującego podobnemi towarami, o otrucie — eksperta chemika, o wielkie nadużycia pieniężne — eksperta finansistę. A zatém i sędziom koronnym na każdym kroku brakuje wiadomości profesyonalnych, i oni co chwila wkraczają w nieznane dziedziny, muszą się zwracać po wyjaśnienia do ekspertów. Dlaczego przysięgli nie mieliby możności w kwestyach prawnych żądać wyjaśnień od ekspertów prawników? Z jakiéj przyczyny sędzia-prawnik ma lepiéj zrozumiéć ekspertyzę chemika, niż sędzia-chemik ekspertyzę prawnika? Wiadomości profesyonalnych co do wszystkich spraw, jakie idą na rozstrzygnięcie sądu, nie może posiadać żaden sędzia, nawet najbardziéj wykształcony, a zawsze łatwiéj jest znaleźć specyalistę w danym przedmiocie pośród dwunastu ludzi z różnych sfer, niż pośród trzech prawników. Sędziemu kryminalnemu nie potrzebne są wiadomości specyalne, powinien on przedewszystkiém posiadać znajomość życia, a wszyscy zgadzają się na to, że pod tym względem przysięgli znakomicie przewyższają sędziów koronnych. Co się zaś tyczy doświadczenia profesyonalnego u sędziów, to starałem się już wykazać, że przynosi ono więcéj szkody niż korzyści.

Następnie zarzucają sądowi przysięgłych nierównomierność represyi. „Identyczne sprawy sądzić oni będą dziś tak, jutro inaczéj w jednym składzie tak, w innym inaczéj“, mówi jeden z przeciwników sądów przysięgłych [2]). Czy tego samego zarzutu nie możnaby postawić sądom koronnym? Czy sędziowie koronni zawsze jednakowo rozstrzygają identyczne sprawy? Czy sędzia koronny nie wkłada w wyrok swego indywidualizmu? Przeciwnie, dzięki rutynie, sędzia koronny

---

[1]) Dr. W. Miklaszewski, *loc. cit.* N. 35 str. 564.

[2]) W cyfrowanym powyżéj artykule w N. 36 „Gazety Sądowéj“, podpisanym literą W.

wyrabia sobie na każdy rodzaj spraw specyalny pogląd, częstokroć różny zupełnie od poglądu innych sędziów. Jeden karze surowiéj złodziei z profesyi, inny nożowników, jeszcze inny fałszerzy. Widziałem już wytrawnych adwokatów, którzy znając nieprzychylne zapatrywanie się danego kompletu sądu koronnego na pewien rodzaj spraw, usilnie starali się o odłożenie sprawy w téj nadziei, że inny komplet osądzi ją łagodniéj. A zatém i ten zarzut stosuje się w mniejszéj mierze do sędziów przysięgłych, niż do koronnych.

Powiadają także, że przysięgli; jako ludzie przeważnie ciemni i zabobonni, przy wydawaniu wyroków częstokroć kierują się okolicznościami, nie mającemi nic wspólnego z daną sprawą. Na potwierdzenie tego przeciwnicy sądów przysięgłych przytaczają fakt, że „przysięgli uwolnili podsądnego jedynie dla tego, że podczas ostatecznego przemówienia prezesa poczęto w cerkwi dzwonić na nieszpory“. Wypadek ten przytacza prof. Miklaszewski, przytacza go téż Zakrewskij. Że pomiędzy ludem prostym bardzo są rozpowszechnione przeróżne zabobony i przesądy, to fakt, a z faktami trzeba się liczyć. Ale nie wydaje mi się prawdopodobném, żeby zabobon mógł wywierać poważny wpływ na wyroki przysięgłych. Zdarzają się wypadki uniewinnienia oskarżonych z powodów od saméj sprawy niezależnych, jak np. w danym razie dlatego że zaczęto dzwonić, to prawda, ale czy można obalać instytucyę, mającą poważne podstawy, dlatego jedynie, że może się zdarzyć taki wypadek? Zdaje mi się, że nie, tembardziéj, że wypadek podobny to wyjątek, zdarzenie nadzwyczajne, którego nie można uważać za regułę. Gdyby wpływ zabobonów na wyroki przysięgłych był tak wielki, jak chcą dowieść przeciwnicy téj instytucyi, to zapewne wynaleziono by więcéj faktów na poparcie tego argumentu. Zdaje mi się, że obawy są nieco przesadzone. A zresztą, nie jest to argument przeciwko sądom przysięgłych w zasadzie. Z biegiem czasu, kiedy cywilizacya uczyni większe postępy, przesądy będą znikały coraz bardziéj, a wraz z ich zanikiem będzie słabło znaczenie tego argumentu. Na Zachodzie Europy kwestya ta już dzisiaj nie budzi prawie obawy.

Mówią również, że bywają sprawy, w których przysięgli nie są w stanie zrozumiéć pewnych subtelności, że czyn przestępny może stać tak blizko granicy, po za którą rozpoczynają się czyny, tolerowane przez prawo, że trzeba miéć bardzo wysubtelizowany umysł, ażeby przeprowadzić tę granicę. W takich wypadkach najczęściéj się zdarza, że oskarżony spełnił dany czyn, nie wiedząc, że spełnia przestępstwo, a przysięgli także, nie widząc w nim cech przestępczości, wydają werdykt uniewinniający, ku wielkiemu oburzeniu prokuratury. Zdarzyć się to może bardzo łatwo w takich wypadkach, jak np. zniszczenie do-

kumentu przez człowieka niepiśmiennego, obraza urzędu w skardze podanéj do sądu, zerwanie pieczęci przez człowieka nieznającego się na tém, także w bardzo wielu wypadkach oporu władzy; zaliczyć tu można również obszerną sferę czynów, stojących na granicy między tak zwaném oszustwem cywilném i kryminalném. Przestępstwa te stoją tak blisko czynów dozwolonych, że budzą poważne wątpliwości nawet wśród specyalistów-prawników. „Są pewne subtelności,—mówi Likiert—których nie zrozumié sędzia przysięgły. Dowodzi to, że okoliczność taka niedostępną jest dla pojęć sfery, do któréj najczęściéj razem z przysięgłym należy i sam podsądny. Jest to miarą dla sądu, czy od podsądnego można było żądać zrozumienia i odpowiedzialności za to, co jest niedostępném dla pojęć jego sfery. Jest to strona dodatnia, a nie ujemna sądu przysięgłych. I jeśli wtedy werdykt zapada inaczéj, aniżeli oczekiwano od przysięgłych, to znaczy, że władza prokuratorska przeciągnęła sznur oskarżenia za bardzo i dlatego z trzaskiem pęknąć musiał" [1]).

Najpoważniejszym może z zarzutów, stawianych sądowi przysięgłych, jest zbyt wielka ilość werdyktów uniewinniających. Ale i ten zarzut upada przy bliższém zbadaniu. Na poparcie tego zarzutu przeciwnicy sądu przysięgłych walczą cyframi. Dowodzą oni, że ponieważ w ostatnich czasach wyroki skazujące stanowią 66% ogólnych wyrzeczeń przysięgłych i że represya sądów z przedstawicielami stanów o 2%, a sądu przez rząd mianowanego o 7% przewyższa represyę sądu przysięgłych, więc.... represya sądu przysięgłych jest za małą. Chociaż wiadomo powszechnie, że cyfry—to miecz obosieczny, że danym statystycznym nie zawsze można wierzyć, to jednak nie próbuję nawet zbijać tych cyfr, bo nie mam na to danych. Przyjmuję więc bez zastrzeżeń: wyroki skazujące w sądach przysięgłych stanowią 66%, w sądach mieszanych 68%, w koronnych 73%. I czego to dowodzi? Że represya sądów przysięgłych jest najmniejsza. Na to się zgadzam. Ale dlaczego ma to być zarzutem przeciwko sądom przysięgłych? Dlaczego normalnym procentem wyroków skazujących ma być 73 lub 68, nie zaś 66? Dlaczego zamiast dowodzić, że represya przysięgłych jest za mała, nie powiemy raczéj, że represya innych form sądu jest za wielka? Przypatrzmy się bliżéj, z czego się składa ta różnica cyfr, zkąd się bierze ta przewyżka o 2% i 7%? Odpowiedź znajdziemy bardzo łatwo. Oto istnieje cały szereg przestępstw, w których przysięgli dla rozmaitych powodów uniewinniają systematycznie, że tak powiem, z zasady. Do

---

[1]) Likiert, *loc cit.* N. 42 str. 665.

tych należą wszystkie wyliczone powyżéj wypadki, w których przestępczość czynu zasadza się jedynie na drobnéj subtelności, niezrozumiałéj i dla podsądnego. Daléj idą wypadki, w których prawo stanowione nie zgadza się z poczuciem sprawiedliwości narodu. „Bywają przestępstwa,—mówi Likiert—karane przez przestarzałe prawa, które nie znajdują już oddźwięku w sumieniu publicznéın. Werdykt uniewinniający przysięgłych w takim razie nie przynosi szkody społeczeństwu, jest raczéj jasną wskazówką dla prawodawcy o potrzebie godzenia prawa stanowionego z wrącém, jak potok, życiem powszechném. Toż zadaniem sędziego jest godzenie prawa ze sprawiedliwością, bez względu na to, czy jest on sędzią koronnym, czy téż przysięgłym" [1]). „W żadnym kraju, nawet w Anglii — mówi Spasowicz—niepodobna wymagać, aby przysięgli potępiali ludzi, oskarżonych o postępki, moralnie całkiem obojętne. Są całe rodzaje przestępstw, których nawet dochodzenia zaniechano z powodu systematycznego uniewinniania oskarżonych, naprzykład przestępstwa paszportowe. Są sprawy, w których zupełnie racyonalnie opinia publiczna ujmuje się za oskarżonym i stoi mocno po stronie przysięgłych, orzekających uniewinniające werdykta, naprzykład sprawy wytaczane na południu Rosyi przeciw tak zwanym Sztundystom" [2]).

Są także sprawy, w których przestępstwo zostało dowiedzioném, ale przestępca spełnił czyn inkryminowany w takich warunkach, że sumienie nie pozwala skazać go nawet na najmniejszą karę. Wszystkie te rodzaje przestępstw, nie uważanych za przestępstwa przez opinię publiczną, a co za tém idzie, i przez przysięgłych, dają właśnie tę różnicę procentową pomiędzy liczbą wyroków skazujących w sądzie przysięgłych i w sądach innéj formy. Daje się tu zauważyć nie zbyt słaba represya, jak twierdzą przeciwnicy sądu przysięgłych, ale systematyczny i wyrozumowany wpływ narodu na prawodawcę, zasadnicza niezgodność opinii publicznéj z niektóremi przepisami prawa. To nie naród staje w kolizyi z prawem, to prawodawca odstąpił od ogólnie przyjętych zasad sprawiedliwości. Sąd przysięgłych pozwala w ten sposób narodowi przyjmować pewien udział w stanowieniu praw; uchylając w drodze systematycznych uniewinnień przestarzałe przepisy prawa, wnosi on do nieruchawéj maszyny prawodawczéj ożywiający strumień życia społecznego.

Tak więc z jednéj strony sąd przysięgłych nie posiada tych wad, jakie rzucają się w oczy w sądach koronnych, z drugiéj strony zarzuty,

---

[1]) Likiert, *loc. cit.*, N. 42, str. 663.

[2]) *Loc. cit.*, „Ateneum", Lipiec 1878, str. 170.

stawiane mu przez przeciwników, albo zupełnie nie mają racyi bytu, albo tyczą się wszystkich sądów w ogóle, a sądu przysięgłych najmniéj. Jedynie poważnemi zarzutami są te, które dotyczą nie zasadniczych cech instytucyi przysięgłych, lecz jéj obecnéj organizacyi, a zatém dadzą się z biegiem czasu usunąć. Wrócimy do nich późniéj. Zasadnicze zaś zarzuty nie wytrzymują głębszéj krytyki. To téż liczba przeciwników sądów przysięgłych zmniejsza się z szybkością. „Niebardzo liczni, na palcach jednéj ręki dający się przeliczyć przeciwnicy instytucyi przysięgłych, wśród wykształconego społeczeństwa rosyjskiego, nie umieli wskazać ani jednéj poważnéj pracy naukowéj za granicą, któraby z punktu widzenia naukowego i prawnego wykazała logiczną przewagę działalności sądu koronnego nad sądem przysięgłych" [1]). Tymczasem wszyscy prawie teoretycy i praktycy zgadzają się na to, iż instytucya przysięgłych położyła wielkie zasługi w rozwoju historycznym sądownictwa i do dziś dnia znakomicie przewyższa wszystkie znane dotychczas formy sądu. „Instytucya przysięgłych — mówi Ihering—uwolniła nasze sądownictwo od podwójnego nacisku, który dotychczas bardzo na niém ciążył: od absolutyzmu i od średniowiecznéj teoryi dowodów. Na obydwóch tych punktach trzeba było stanowczo zerwać z przeszłością, i nie było na to lepszego środka, jak wprowadzenie téj instytucyi. Na miejscu zależnego od rządu sędziego koronnego w téj dziedzinie sądownictwa, gdzie najbardziej możnaby się obawiać wpływu rządu—w dziedzinie sądownictwa kryminalnego—postawiła ona zupełnie niezależnych od rządu przysięgłych, dawne poczucie niepewności prawa zmieniła na poczucie pewności i możliwość szybkiego postępu prawodawczego. W ten sposób znalazł się ów punkt Archimedesa, na którym należało się oprzéć, żeby poruszyć z posad świat dotychczasowy, z tego punktu wyszło wszystko, co tylko formuje treść naszego obecnego porządku prawnego, jak z wewnątrz, tak i z zewnątrz. Z wewnątrz: wzmocnienie poczucia prawa w narodzie,... rozpowszechnienie poczucia świętości i niewzruszalności prawa, jako *palladium* obywatelstwa, jako potęgi, przed którą potężny magnat równie musi uchylić czoła, jak i najskromniejszy chłopek; wynikające ztąd dążenie do zachowania tego klejnotu; a ze strony władzy odpowiednie wystrzeganie się, ażeby go nie naruszyć. Z zewnątrz: urzeczywistnienie idei niezależności sądownictwa od samowoli rządu przez utworzenie niezależnych sędziów" [2]) Dużo jest w tych słowach przesady, dużo nieodzownego u Iheringa patosu, ale

---

[1]) Likiert, *loc. cit.*, N. 40, str. 646.

[2]) Ihering, *loc. cit.*, tom I, str. 416 i nast.

też i dużo prawdy. „Pierwszą nieoszacowaną zaletą sądu przysięgłych — mówi Spasowicz — było to, że z nim i przezeń wyrokować zaczęło, stąpając o własnych siłach, wolne sumienie. Opadły szczudła rutyny i staréj, zużytéj, sztucznéj teoryi dowodów. Krępować przestały względy na to, co o wyroku powiedzą, bo przysięgli—to krople fali w rzece, co chwila inne, mijające bez śladu i pamięci. W tym sądzie nawet nie ma potrzeby przytaczać dowodów, bo chodzi tylko o rezultat — wewnętrzne przekonanie, a pomija się całkiem, jako rzecz niepotrzebną, pytania, jak i z czego to przekonanie wytworzyło się i urosło. Rozumowaniu o winie, które pełzało po ziemi, przyrosły niby skrzydła: poczęło ono działać śmiało i stanowczo przez indukcyę na mocy samych poszlak, budując mosty nadpowietrzne z samych przypuszczeń. Żaden sąd z techników złożony nie zdobyłby się na takie śmiałe, takie energiczne wyroki, jak te, które wydawał nieraz sąd przysięgłych nad potężnymi winowajcami, zaufanymi w to, że ich kara nie dosięgnie, z powodu braku dotykalnych przeciwko nim dowodów. Miecz sprawiedliwości sięgał daleko i wysoko, potężnie i sprężyście, a jednak nie było spraw, w których by się widocznie pomylił i spadł na niewinnego. Obok téj sprężystości było mnóstwo przykładów niezmiernie sumiennego i subtelnego rozgatunkowania wspólników, prawie zawsze odpowiedzialność główna spadała na głowę, a nie na rękę, na wynalazcę i podżegacza, a nie na wykonawców; drugorzędni winowajcy traktowani byli zwykle z wielką wyrozumiałością i pobłażliwie. Żaden sąd nie wyrówna sądowi przysięgłych pod względem delikatnego stopniowania winy, a następnie kary.... Nakoniec, dodajmy jeszcze jeden przymiot — z a u f a n i e, uznanie przez społeczeństwo, że to sąd jego własny, prezumpcyę, że wyrok jest sprawiedliwy, bo go wydali przysięgli. [1]) „Nie ulega wątpliwości—mówi Zakrewskij,—że instytucya przysięgłych cieszy się wśród obszernéj publiki, a w téj liczbie wśród wielu ludzi wykształconych, zaufaniem i popularnością. Większości wydaje się ona wcieleniem niezależności od wpływów zewnętrznych i od przesądów, właściwych książkowym i urzędowym prawnikom. Jest to uczucie, z którém trzeba się liczyć.... Sąd powinien mieć zaufanie i uznanie społeczeństwa. Tylko wtedy społeczeństwo zwraca się doń chętnie i bez szemrania ulega jego wyrokom" [2]).

---

[1]) Spasowicz, *loc. cit.*, str. 166 i 167.

[2]) Zakrewskij, *loc. cit.*, str. 78.

Ciekawe dane z praktyki sądów przysięgłych przytacza długoletni praktyk na polu sądownictwa, podprokurator moskiewskiéj izby sądowéj, Bobriszczew-Puszkin, w obszerném (str. 615) dziele, specyalnie temu poświęconém, p. t. „Empiryczne prawa działalności rosyjskiego sądu przysięgłych" [1]). Na zasadzie obszernych i sumiennych badań, na podstawie szeregu cyfr i długiéj praktyki, Bobriszczew-Puszkin dochodzi do stanowczego przekonania, że zasadnicza kwestya, czy można sąd przysięgłych przyrównywać do sądu ulicy, musi być rozstrzygnięta przecząco. Z jednéj strony — mówi on daléj — u przysięgłych daje się dostrzedz dążenie do wyrobienia określonéj teoryi dowodów, czasem nawet w przeciągu jednéj kadencyi, tak że w końcu sesyi werdykty odznaczają się większą stałością i wszechstronnością, niż z początku, a najstalszymi są przysięgli, którzy już przedtém spełniali tę funkcyę. Z drugiéj strony, odosobnienie przysięgłych tworzy wokoło nich atmosferę obywatelsko prawną, gdzie niema miejsca na lekkomyślność, gdzie natężają się do znacznéj wysokości najlepsze popędy obywatelskie... Przysięgli nadzwyczaj stale i sumiennie trzymają się przedewszystkiém danych faktycznych... Przysięgli wymagają od przestępstwa, żeby ono powodowało rzeczywistą krzywdę dla jednostki lub społeczeństwa, a przynajmniéj żeby dowodziło, iż przestępca jest niebezpieczny dla społeczeństwa, i ściśle odróżniają takie rzeczywiste przestępstwa od przestępstw czysto formalnych... Osobistość podsądnego otrzymuje w werdyktach przysięgłych wszechstronną i bardzo szczegółową ocenę. Występuje ona jako podmiot przestępstwa i jako materyał dowodowy, przedmiot do zbadania, określony na zasadzie jego przeszłości i teraźniejszości. Przysięgli zwracają baczną uwagę na stanowisko oskarżonego w rodzinie: niechętnie zabiérają oni jedyną podporę rodziny, niezbędnego i użytecznego jéj członka; przeciwnie, zapatrują się surowiéj na podsądnego, którego życie rodzinne szwankuje, którego sprawowanie jest wogóle naganne... Wiek oskarżonego jest także poważnym czynnikiem w działalności przysięgłych. W sprawach małoletnich, rokujących nadzieję poprawy, dźwięczy nawet nuta pedagogiczna... Przysięgłych nieraz powstrzymuje wadliwość kar i warunków ich wykonania; poważny wpływ ma to przekonanie, że zastosowanie kary może w danym wypadku więcéj zaszkodzić niż pomódz.

Do takich rezultatów dochodzi człowiek, który pół życia poświę-

---

[1]) „*Empiriczeskije zakony diejatielnosti russkawo suda prisiażnych*". Moskwa, 1896. Patrz: Fojnickij. „*Prawosoznanije russkawo suda prisiażnych*". „*Żurn. Min. Justic.*" Grudzień, 1896 r., str. 111—142.

cił zbadaniu działalności sądu przysięgłych, który od początku swojéj karyery sądowniczéj codzień prawie stykał się z przysięgłymi i widział ich w niejednym już komplecie. Zdaje się, że nie mamy prawa podawać jego słów w wątpliwość.

Niemniéj przychylne zdania wygłaszają o sądzie przysięgłych i inni praktycy rosyjscy. Tak np. M. Gromnickij pisze: „Jestem bezwarunkowym stronnikiem sądu przysięgłych... Studya, prowadzone nad tą instytucyą w ciągu dwudziestu ośmiu lat z rozmaitych punktów widzenia, dają mi pewne prawo wypowiedzenia tego głośno, a także i tego, że dwa tygodnie, które przepędziłem jako sędzia przysięgły, należą do najlepszych chwil mego życia" [1]). Prezes III wydziału komisyi do przejrzenia ustaw sądowych, profesor i senator Tagancew, również zalicza czas przepędzony między przysięgłymi do najmilszych wspomnień życia sądowego [2]).

Zresztą, gdybyśmy nawet chcieli nie wierzyć powyższym zdaniom doświadczonych prawników, to musimy się zgodzić, że, jak powiada Zakrewskij, „choćby sąd koronny posiadał Bóg wié jakie ponęty, jednak następuje epoka, w któréj społeczeństwo, słusznie czy niesłusznie, zaczyna czuć, że już go przerosło i chce się samo rozporządzać, nawet bez względu na to, że może się przytém nie obejdzie bez pomyłek" [3]).

3. Po tém, co było powiedziane o sądzie koronnym i o sądzie przysięgłych, niewiele pozostaje dodać, dla określenia trzeciego typu— sądów mieszanych. Sądy mieszane, złożone w części z sędziów koronnych, w części z żywiołu społecznego, mają wszystkie zalety i wady, jak sądów koronnych, tak i sądów przysięgłych. Wady sądów koronnych: jednostronność, szablonowość i rutyna nie występują tutaj tak silnie, jak w sądzie złożonym tylko z urzędników, bo w części przeciwdziała temu dołączenie żywiołu społecznego. To téż, jeżeli będziemy porównywali sąd koronny z sądem mieszanym, temu ostatniemu musimy oddać pierwszeństwo. A jednak sądy mieszane nie wielu znalazły zwolenników w teoryi i praktyce. W teoryi do obrońców tego systemu możemy zaliczyć Iheringa [4]) i Zakrewskiego [5]). W praktyce sądy mieszane znalazły zastosowanie w Niemczech, w formie sądu ławniczego (*Schöffen*) i w Rosyi, w formie sądu izby sądowéj z przedstawiciela-

---

[1]) M. Gromnickij. „*Sud s sosłownymi predstawitielami*". „*Żurn. Min. Just.*" Marzec, 1895 r., odsyłacz na str. 53.

[2]) Patrz: Koni, *loc. cit.*, str. 52.

[3]) Zakrewskij, *loc. cit.*, str. 78.

[4]) Ihering, *loc. cit.*, tom. I, str. 419 i 420.

[5]) Zakrewskij, *loc. cit.*, str. 81—84.

mi stanów. Niemiecki sąd ławniczy składa się z sędziego koronnego, jako przewodniczącego, i ławników: tak uformowane kolegium sądzi razem, przyczém sędzia koronny ma głos decydujący narówni z ławnikami. Sąd taki sądzi niewielką ilość spraw mniejszéj wagi. Rosyjska izba sądowa z przedstawicielami stanów składa się z prezesa departamentu izby sądowéj, czterech członków téjże izby, marszałka szlachty, prezydenta (*głowa*) miasta i dwóch wójtów (*wołostnoj starszyna*). W tym składzie izba sądzi niektóre, stosunkowo nieliczne sprawy, „tymczasowo“ (*wremienno*) wyjęte z pod kompetencyi sądów przysięgłych. Obok sądów mieszanych, jak w Niemczech tak i w Rosyi, istnieją sądy przysięgłych, rozstrzygające najważniejsze sprawy. W ostatnich czasach próby wprowadzenia sądów mieszanych robiono w niektórych kantonach Szwajcaryi (Tessin).

Sąd mieszany ma jedną kardynalną wadę, któréj nie posiada sąd przysięgłych. Przysięgli, wiedząc, że pod względem wyrokowania o winie są pozostawieni samym sobie, troskliwie starają się sprostać swemu zadaniu, natężają uwagę, skupiają myśli i ostatecznie w ten lub inny sposób decydują. Ciż sami ludzie, złączeni w jedno gremium z sędziami koronnymi, będą (mylnie zresztą) liczyli na to, że ci sędziowie, jako specyaliści, lepiéj się znają na rzeczy i że w każdym razie będzie można przyłączyć się do ich zdania. Przysięgły czuje, że na niego spada moralna odpowiedzialność za werdykt, przedstawiciel żywiołu społecznego w sądzie mieszanym spokojnie śpi podczas sesyi, a późniéj głosuje za zdaniem sędziów koronnych, zwalając odpowiedzialność na ich barki. Jeżeli sprawa wyjątkowo zainteresuje sędziów niekoronnych, jeżeli potrafią się oni oprzéć zdaniu narzucanemu przez ich koronnych kolegów, jeżeli zdanie sędziów niekoronnych przeważy, — wtedy będziemy mieli to samo, co wyrok sądu przysięgłych, tylko w innéj formie. Ale w większości wypadków sędziowie niekoronni, wiedząc, że nie będą wyrokowali samodzielnie, opuszczają ręce. Każdy człowiek staranniéj robi to, co musi koniecznie zrobić sam osobiście; ale gdy dostrzeże, że inni mogą go wyręczyć, z przyjemnością pozwala się opanować wrodzonemu lenistwu i pozostawia pracę innym. Tak samo rzecz się ma z niekoronnymi sędziami w sądzie mieszanym. Dowierzając *a priori* sędziom koronnym, nie zechcą oni wysilać myśli i uwagi, z przyjemnością zdrzémną się podczas sesyi w wygodnych fotelach, lub zaczną myśléć o czém inném; a na wyroku, zredagowanym przez sędziów koronnych, bez wahania położą swoje podpisy. Niemcy nie bez powodu nazywają *Schöffen*'ów potakiwalskimi (*Jasager*), lub chrapalskimi (*Beischläfer*).

Zestawiliśmy bilans aktywów i pasywów wszystkich rodzai sądów. Aktywa sądu przysięgłych są najwyższe — pasywa najniższe. A zatém na pytanie, czy uważać sąd przysięgłych za najlepszy z istniejących obecnie sądów kryminalnych, możemy odpowiedzieć twierdząco.

A teraz należy postawić drugie pytanie: czy sąd przysięgłych w téj formie, w jakiéj istnieje w Rosyi, może należycie spełniać swoje zadanie, czy téż wymaga jeszcze poprawek, reform?

(Dok. nast.) *Aleksander Mogilnicki.*

EMANCYPANTKA Z XVI-go WIEKU.

Olimpia Morata.

Szkic biograficzny.

W ostatnich dziesiątkach naszego stulecia powstał nowy, jak mówimy, prąd unoszący umysły kobiéce ku wyżynom nauki i sztuki, pociągający je na drogi zamknięte dotychczas dla ogółu niewiast, a najeżone trudnościami, których przezwyciężanie ma być przywilejem silniejszéj połowy rodu ludzkiego. Czy owa „emancypacya”, o którą tyle skruszono kopii, tyle słów zjadliwych zamieniono, na tle któréj tyle skréślono rozpraw, artykułów, powieści nawet — przedstawia więcéj dodatnich czy ujemnych stron, spierać się nie będziemy; idzie nam tylko o przedstawienie wizerunku kobiéty sławnéj i głośnéj niegdyś w szerokim świecie, chociaż dziś imię jéj mało komu znane. Kto była Olimpia Morata? — pytamy, a przecież w XVI-ym wieku utwory jéj literackie podziw budziły i uwielbienie spółczesnych; zgon jéj zaś opłakiwały akademie włoskie i niemieckie; sławili ją uczeni ludzie, hołd jéj składali znani poeci, łącząc wspomnienia klasyczne z chrześciańskiemi wyrażeniami i uczuciami, tak jak je łączyła częstokroć w utworach swych Olimpia. „Niema już téj, która żyćby powinna tak długo,

jak owa sybilla z ubiegłych wieków — niema już jéj! Ale ona odżyje w najszlachetniejszéj cząstce swéj istoty i żyć będzie między nami, gdy dusza jéj na łonie światłości nieśmiertelnéj kosztować będzie szczęścia wiekuistego."

Tak śpiewają w łacińskich i greckich rymach poeci; uczeni zaś włoscy i niemieccy spierają się o to, który z dwu narodów większe ma prawo do chlubienia się sławą Olimpii.

„Chwałą z wychowania téj niepospolitéj niewiasty podzielić się mogą mistrze z obu narodów — pisze Curio Sinapio — ale Niemcy w tém są szczęśliwsze, że przyjęły na łono swe ostatnie jéj myśli, ostatnie westchnienia i śmiertelną powłokę téj czystéj i wzniosłéj istoty." Marcin Crusius, jeden z najuczeńszych profesorów w Tybindze, czcił i wielbił pamięć Moraty, uniwersytet heidelberski przyjął w swe mury grobowiec jéj, gdzie spoczywa wraz z mężem i młodziuchnym bratem, a miasto Schweinfurt, odbudowawszy dom, który przez trzy lata służył jéj za mieszkanie, — zdobi go tablicą z napisem: „Dom skromny i ubogi, ale chwały pełen: w nim mieszkała Olimpia Morata."

Historycy téj epoki jednogłośnie powtarzają pochwały Moraty: Melchior Adam, rektor uniwersytetu heidelberskiego, mieści ją w rzędzie filozofów niemieckich, mających przejść do potomności. Teodor Bèze sławi wiedzę głęboką, którą się wzbiła ponad wszystkie kobiéty, a zarazem wielkość duszy w znoszeniu przeciwności; nawet bezstronny de Thou porównywa ją do najznakomitszych niewiast starożytności, które przewyższyła świętością duszy i cnotą nieskalaną. Wreszcie mąż przywiązany rzewnemi słowy opłakuje zgon ukochanéj towarzyszki, za którą téż pośpieszył wkrótce.

Warto się przyjrzéć życiu téj szlachetnéj kobiéty, rysującemu się na tle ciekawéj niezmiernie epoki, a pełnemu przygód bardziéj interesujących i urozmaiconych, niż wiele urojonych romansów i powieści.

I.

Czém były Włochy w XVI-ym wieku, wiadomo z dziejów cywilizacyi: tam to najpierwéj przeniknął uchodzący z obalonego Carogrodu powiew starożytności klasycznéj, Odrodzenie sztuk i nauk pogańskim z początku zabarwione wpływem rozwija się coraz bujniéj, umysł ludzki wzmocniony i zahartowany sokami klasycyzmu wzrasta samodzielnie, a nabytą rzutkość i siłę zastosowuje do wszystkiego, co na swéj drodze napotyka. Ostrze krytyki zaprawione na analizie pomników starożytności przenika w mętne głębiny teologii, zamknięte dotychczas

przed okiem profanów, ciekawość ducha badawczego porusza nagromadzone od wieków prochy, a z nich ulatuje myśl swobodna śmiałém skrzydłem szybująca aż pod niebiosa, — chociaż lot ten częstokroć z właściwéj zbacza drogi. W ślad za Odrodzeniem wszędzie prawie następuje reformacya, i Włochy też nie pozostały obce temu ruchowi umysłów. Przedtém jednak, piękna ta kraina wychodowała bujny plon rozkwitający na użyznionéj niwie czystego klasycyzmu. Liczne dwory książąt ożywionych uwielbieniem dla wszystkiego, co piękne, przyczyniły się do krzewienia oświaty i rozwijania jéj wszechstronnie: język włoski zbogacony zetknięciem z klasyczną łaciną Wergilich i Cyceronów staje się podatném narzędziem myśli, a jednocześnie z utworami literackiemi powstają arcydzieła dłuta i pędzla.

Na czele ruchu umysłowego stoją, prócz znanych przed wszystkimi Medyceuszów, Gonzagowie z Mantui, Roverowie z Urbino i książęta Este w Ferrarze. Już Lionel markiz d'Este słynie zamiłowaniem dla literatury i koresponduje po łacinie i po włosku ze znakomitościami spółczesnemi. Syn jego, Borso, pierwszy książę Ferrary, wstępuje w jego ślady i znajduje godnego następcę w swoim znów synu, Herkulesie I-ym, tłómaczu Plauta. Imię Alfonsa d'Este związane ściśle z Ariostem przeszło do potomności. Uniwersytet ferrarski, słynący już w XV w. imionami profesorów Guarino i Aurispa, jest jednym z najznakomitszych w Italii i zachowuje świetność swą nawet śród wojen trapiących ród Este. Za czasów Herkulesa II nastaje era pokojowa, śród któréj wyrastają liczne akademie (np. akad. „Elevati", założona przez Lollio i Calcaquini), szerzące upodobanie w literaturze. Sam książę gromadzi starożytne monety, wznosi piękne wille i pałace, a pisze wytwornym wierszem i prozą, zbierając przytém znakomitych ludzi na swój dwór, wzorowany na modłę francuskiego, skąd też przybywa młoda Renata, córka Ludwika XII, jako małżonka Herkulesa II. Brat księcia, kardynał Hipolit d'Este, w uroczéj willi Belriguardo albo w Tivoli otacza się gronem uczonych, naśladując Franciszka I, którego uwielbiał.

Młoda księżna wniosła na dwór mężowski świetność i wykwint, z jakiego słynęła Francya ówczesna: obdarzona niezwykłemi przymiotami umysłu i serca, była też nadzwyczaj starannie kształcona od lat najwcześniejszych w językach, znajomości historyi, filozofii i nawet matematyki. W owym czasie kiełkowały już we Francyi te idee reformatorskie, które miały się rozwinąć niebawem i rozszerzyć po świecie, a bystry umysł Renaty, zainteresowany „nowinkami" temi, zwraca się ku naukom teologicznym. Zdaje się, że prześladowanie, jakie wkrótce dotknęło nowatorów religijnych, wzmocniło tajemnie żywioną

ku nim sympatyę młodéj księżniczki, ale późniéj dopiéro skłonności młodociane przerodzić się miały w głębokie i trwalsze przekonania.

Przybywszy do Ferrary, księżna garnie do dworu swego wszystkich Francuzów, czy to podróżnych, czy tułaczów, ale szczególną otacza opieką wygnanych za sprawy religijne. W Ferrarze więc przebywa słynny Clément Marot, który wspomnienia swoje w licznych uwiecznił rymach; przebywa, z początku pod przybraném nazwiskiem Karola d'Espeville, sam Kalwin, który wpływem swoim zdziałał stanowczy zwrot w umyśle księżny na korzyść reformacyi. A dwór to świetny, ożywiony, gromadzi zastęp cały uczonych i poetów, spółzawodnicząc niejako z Medyceuszami florenckimi. Żyje jeszcze wielki Ariosto i zużytkowuje resztki poetyckiego natchnienia ku zabawie i rozrywce dworu. Sekretarzem księżny jest Bernardo Tasso, ojciec Torquata; uczony Celio Calcaquini tworzy elegie lub odcyfrowuje stare napisy, a wszyscy ci uczeni i poeci chętnie się zbiérają u dworu, by toczyć spory filozoficzne i religijne, odczytywać piękne rymy i raczyć się nawzajem wytwornemi mowami.

W chwili jednak, gdy wystąpić ma nasza bohatérka, t. j. około 1539 roku, zabrakło już trzech najznaczniejszych luminarzy, których śmierć (Ariosto) lub wygnanie usunęło z dworu książęcego, a sama pani grona tego, podejrzana o sprzyjanie reformatorom, przebywa pod ścisłym nadzorem we własnym pałacu. Zamąca się téż stosunek jéj z księciem-małżonkiem, a tém dotkliwiéj uczuć daje tęsknota za ukochaną zawsze Francyą.

II.

Pomiędzy uczonymi we Włoszech słynął profesor Fulvio Peregrino Morato, badacz i miłośnik literatury starożytnéj, którego téż książę Alfons d'Este wezwał dla wychowania synów swych, a młodszych braci Herkulesa, t. j. Alfonsa i Hipolita. Morato, rodem mantuańczyk, przebywa na dworze ferrarskim, otoczony szacunkiem ogólnym; późniéj opuściwszy gród ten z niewiadomych przyczyn, zwraca na siebie uwagę w Wenecyi słownikiem rymów Danta i Petrarki. W r. 1539, wróciwszy do Ferrary, profesor gromadzi wyborowych słuchaczy na odczyty o literaturze starożytnéj i odbiéra w rozmaitych językach powinszowania i powitania od uczniów i wielbicieli. Największą jednak pociechą uczonego była młodziuchna córeczka jego, Olimpia, urodzona 1526 r. jeszcze w Ferrarze.

Niezwykłemi obdarzona zdolnościami, wyrasta dzieweczka w tém otoczeniu przesiąkniętém niejako literaturą i poezyą, osłuchana z pięknemi utworami klasycyzmu, dziecinną już mową powtarza z nich wyjątki. Ojciec, dumny z córy, rozwija w niéj tak wczesne upodobania, a niebawem mistrzem młodziuchnéj Olimpii zostaje profesor Chilian Sinapius, z którym po kilku miesiącach nauki rozmawia biegle zarówno w języku Homera, jak i Cycerona. Przez całe życie Morata czciła i kochała swego profesora, jakby drugiego ojca, a ten znów pysznił się niepospolitą uczennicą. Nie on jeden podziwia rozkwitający talent dziewczynki, która już w dwunastym roku życia toczy rozprawy żywe z otaczającymi ją uczonymi, jak Calcaquini, matematyk, archeolog i poeta zarazem, Ricci, Lilio Giraldi, Jan Sinapius (brat Chiliana), przybyły z odległych Niemiec, i wielu innych. „Ulubienico muz! — pisze do niéj Calcaquini — z mlékiem razem wyssałaś zamiłowanie poezyi, ciało i ducha zarazem karmiąc!“ Albo: „Dziewczęta w twym wieku lubią zrywać kwiecie wiosenne i wieńcami różnobarwnemi zdobią swe czoła; ale ty gardzisz znikomym kwiatkiem, bo wolisz w muz ogrodzie zrywać nieśmiertelne kwiecie, co nigdy nie zwiędnie i wiecznym jaśnieje majem...” Wszystkie te jednak hołdy nie odwracały serduszka Olimpii od domu rodzinnego: widzimy ją spełniającą tam najskromniejsze posługi by ulżyć matce, pobożnéj Lukrecyi, któréj pomaga w pielęgnowaniu trzech młodszych siostrzyczek swoich.

Niewiadomo, coby się stało z poetyckiemi zdolnościami Olimpii, przygnębionéj pracą, z któréj nie miała serca się otrząsnąć, gdyby nie zaszczytne wezwanie, jakie ją spotkało właśnie gdy kończyła rok czternasty. Oto księżna Renata, matka trzech nadobnych córek (o których pisze historyk Brantôme, — że miały duszę jeszcze piękniejszą niż lica, a to dzięki matce, która je wcześnie kształciła tak, że zawstydzić mogły wiedzą swą niejednego uczonego), zapragnęła dla najstarszéj i najzdolniejszéj z nich, Anny, zaledwie dziewięcioletniéj, towarzystwa dobranéj przewodniczki i przyjaciółki zarazem. Wybór padł na Olimpię, która miała pobierać dalsze nauki obok małéj księżniczki. Oddawna już dziewięcioletnia Anna, ćwicząc się w językach starożytnych pod kierunkiem znakomitych profesorów, tłómaczyła bajki Ezopa i z przejęciem deklamowała po łacinie i po grecku całe ustępy z Demostenesa i Cycerona.

Przyjaciele Olimpii z radością przyjmują wiadomość o zmianie jéj losu, a Calcaquini pisze z tego powodu: „Możesz więc odtąd oddawać się ulubionym ci naukom, zamienić kądziel na pióro, tkaniny lniane na księgi, ostrze igły na ostrze myśli... Zachowaj jednak skarby z domu rodzicielskiego wyniesione, to jest skromność, karność świąto-

bliwą, pokorę, — łącząc te ciche cnoty z mądrością, wspaniałomyślnością, wdziękiem i pogardą dla wszelkiéj pospolitości." I rzeczywiście, pośród zaszczytów spadających na nią, hołdów, jakiemi była otoczona, umiała Morata przechować skromność dziewiczą i wdzięk czystego serca, połączony z niewieścią prawdziwie tkliwością. Zawiązuje się też czuła przyjaźń między księżniczką i jéj starszą towarzyszką, przyjaźń, która przetrwała lata całe rozłąki i wygnania.

Tymczasem jednak spółzawodniczą obie dzieweczki w ćwiczeniach, których owocem są improwizacye wymowne i popisy literackie, a w których, ma się rozumiéć, starsza o lat kilka Olimpia przewyższała swą dziecinną towaszyszkę; jednym zaś z mistrzów dziewcząt jest sam profesor Morato, ceniący wysoko piękność i ozdobność mowy. Podajemy wyjątek z listu w tym przedmiocie do córki pisanego (1540 r.):

„Niewiasta, nim wyjdzie z komnat swych, radzi się zwierciadła i służebnicy ulubionéj, aby z godną postawą i strojem stosownym ukazać sią światu. Toż samo należy z głosem swym robić: usta, niby cugle, służą do kierowania mową; mniéj lub więcéj otwarte, wzmacniają lub przyciszają głos, nadają mu wyraz i dźwięczność... Któż nie słucha z rozkoszą dźwięków czystych i harmonijnych? Na słodkie brzmienie głosu uspakaja się straszliwy Cerber, stróż piekieł, wstrzymuje się koło Ixiona i t. d."

A zachęta działa widocznie, bo w czternastym już roku życia Olimpia układa apologię Cycerona, wypowiada po grecku pochwałę Muciusza Scewoli, wykłada „Paradoksy" Cycerona w szeregu odczytów; ale przed każdym występem publicznym drży, waha się, tłómaczy się ze swéj śmiałości, naprzykład:

„Znam życzliwość wielką tych, co mnie słuchać mają, a jednak drżę z nieśmiałości wiekowi memu właściwéj i nieufności w słabe talenta moje. Przecież rozkazaliście, więc słucham was, gdyż niema cnoty milszéj Bogu nad posłuszeństwo dobrowolne. Tak sztukmistrz niedoświadczony boi się ująć za dłuto, ale widząc przed sobą bryłę kosztownego marmuru z Paros, chętniéj bierze się do roboty; on wié, że piękny materyał podniesie wartość jego pracy. I ze mną podobnie się dzieje. Są pieśni tak cudownego rytmu i harmonii, że rozbrzmiewają słodko na najskromniejszym instrumencie; tak i słowa ulubionego mi autora, nawet przez moje usta przechodząc, zachowają właściwy sobie wdzięk i majestat."

„Deklamuje po łacinie, improwizuje po grecku, odpowiada na zadawane sobie kwestye, podobna wieszczkom dawnéj Grecyi i Rzymu" — pisze Celio Curione o tych występach Olimpii. Anna d'Este odbiéra téż pochwały i powinszowania od znawców literatury; wyborne

jéj przekłady z włoskiego na łacinę sławi Calcauqini. Księżna, ciesząc się postępami córki, otacza też łaskawością jéj towarzyszkę, a gdy chorą niebezpiecznie zabiérają na czas jakiś rodzice, dwór cały ubolewa nad jéj oddaleniem. Wreszcie powraca ozdrowiała Olimpia do pałacu, witana słowem radosném i pismem przez swych znakomitych przyjaciół i opiekunów. Ona sama, licząc już wtedy rok szesnasty, hymnem greckim sławi powrót swój do zajęć poetyckich... „I ja, chociaż kobiéta, porzucam płótno i wrzeciona, nici i koszyk z robotą, bo milszemi są dla mnie łąki muz kwieciem umajone, Parnas, z którego szczytów radosne rozbrzmiewają pienia...”

Dzisiaj nie robią już na nas wrażenia te wiersze klasycyzmem przesiąkłe, ale w owych wiekach, kiedy piękność formy tak wysoko stawiano, Olimpia wydawała się jedną z muz starożytnych; porównywano ją z Safo lub Korynną, a sławny Lilio Giraldi przemawia do niéj: „Oblicze twoje jaśnieje wdziękiem uroczym, a serce cnotami! Szczęśliwa księżniczka, która cię ma za towarzyszkę! Szczęśliwi rodzice, których nosisz nazwisko; stokroć szczęśliwy małżonek, który twą rękę otrzyma... A mnie staremu, zgnębionemu pedogrą, życie lżejszém się staje, gdy mnie łaską swą obdarzysz, dzieweczko wybrana!...”

I tak płynęło życie na dworze ferrarskim śród owych turniei literackich, wzajemnych uwielbień i powinszowań, przemów i improwizacyi. Obok Anny występować zaczynają młodsze jéj siostry, Lukrecya i Leonora, a także bracia: Alfons i Ludwik d'Este. Od czasu do czasu zjawiają się przejezdne znakomitości, — gościnnego doznają przyjęcia na dworze, ale nic się porównać nie da z uroczystościami zgotowanemi na przybycie dostojnego gościa, który odwiedzinami swemi zaszczycał dom książęcy w r. 1543. Był to papież Paweł III, którego z tém większą skwapliwością witał książę Herkules, że pamiętał o zatargach poprzednika swego z Juliuszem II i Leonem X, a i sam miał na sumieniu spór o inwestyturę na księstwo swoje z teraźniejszym papieżem. Zarówno roztropna polityka, jak wrodzona rodzinie Este gościnność i wspaniałość skłaniały księcia do wytężenia wszelkich sił na godne przyjęcie Ojca Świętego. Historyk Muratori *(Antichita Estensi)* świetny zostawił nam opis tych przygotowań i uroczystości.

Najpierw, wysiadając z galery, którą przypłynął za biegiem Padu, zatrzymał się papież w uroczéj willi Belvedere, gdzie śród łąki ubarwionéj tysiącem kwiecia, z po za wodotrysków spadających brylantową rosą w marmurowy zbiornik, ukazywał się przepyszny pałac o kunsztownych kolumnach, krużgankach i galeryach ozdobionych dziełami sztuki, zarówno jak i kościół wspaniały z obrazami pędzla Rossi'ego, Dossi'ego i innych. Wokoło pałacu ciągnęły się prześliczne ogrody,

chodniki nad rzeką, gaje i zwierzyńce poprzerzynane cienistemi alejami, gdzie śród drzew i krzewów osobliwych odzywał się świegot najrozmaitszego ptastwa. Autor porównywa ten Belveder z rajem ziemskim.

Ku zabawieniu ośmdziesięcioletniego papieża przedstawiły dzieci książęce komedyę Terencyusza „*Adelphi*", a późniéj nastąpił cały szereg rozrywek najrozmaitszych, świetny wjazd do Ferrary, zwiedzanie ciekawości miasta, przeplatane naradami tajemnemi dostojnego gościa z księciem Herkulesem. Co było ich przedmiotem, okazało się późniéj dopiéro, a w końcu kwietnia Ojciec Święty, pobłogosławiwszy gospodarza swego, odjechał do Bolonii.

Jaką rolę odegrała Olimpia Morata w tych uroczystościach dworskich, nie wiemy, to pewna tylko, że zbliżał się ważny w życiu jéj przełom, łączący się ze wstrząśnieniami, które uczuć się dały Włochom całym.

III.

Oddawna już budziły się we Włoszech zachcianki reformatorskie; w dziełach Petrarki, Dantego a zwłaszcza Bokacyusza, spotykamy się z mniéj lub więcéj śmiałą satyrą istniejących stosunków i urządzeń; Savonarola ognistą wymową szerzy pomiędzy ludem nowe opinie i poglądy; ale w XVI-ym wieku dopiéro ruch reformatorski nabiéra pewnéj ciągłości i siły. Przedstawicielami jego są wówczas Bernardino Ochino i Piotr Martyr, którzy zakładają zbory ewangielickie w Luce i Wenecyi, a z pomocą Hiszpana, Juana de Valdez, i w Neapolu. Im bardziéj reformatorowie ci znani byli dawniéj z życia pobożnego i cnót chrześciańskich, tém sroższy spaść miał na nich teraz gniéw kościoła; musieli też szukać schronienia w sąsiedniéj Szwajcaryi, a tymczasem papież Paweł III ustanawiał dla wyśledzenia i skarcenia szerzącéj się po kraju reformacyi — inkwizycyę. Sześciu kardynałów w kwietniu 1543 r., obdarzonych tytułem inkwizytorów, stało na czele strasznego trybunału, który niebawem, mimo oporu mieszkańców, osiedlił się w głównych miastach Italii.

Inkwizycya zaczęła sprawować swe sądy w Neapolu, Wenecyi, Florencyi, a wreszcie i w Ferrarze, co właśnie było przedmiotem owych narad papieża z ugaszczającym go księciem. Tu jednak miłosierna i sama ku nowinkom religijnym skłaniająca się księżna umiała przez pewien czas łagodzić zapędy inkwizytorów, tak iż z Ferrary odzywają się jeszcze głosy jątrzące stolicę apostolską w dziełach uczonych tam-

tejszych, np. Giraldiego „Poeci spółcześni", Manzollego (nadworny lekarz ks. Herkulesa) poemata satyryczne wymierzone przeciwko Rzymowi, Ricciego lub Flaminia, który sławił wierszem spalonego na stosie Savonarolę. Nawet pomiędzy profesorami akademii nadwornéj znajdowali się gorliwi stronnicy reformacyi, jak Sinapius, który wraz z żoną swą, nadobną i rozumną Franciszką Bucyronią, pozostaje w korespondencyi z samymże Kalwinem. Co więcéj, wódz reformatorów odzywa się z Genewy, gdzie wówczas przebywał, do księżny Renaty, którą umocnić pragnie w opiniach zaszczepionych za czasów pobytu jego w Ferrarze; korespondencya ta trwa przez lat dwadzieścia zgórą, to jest do śmierci reformatora, który niejednokrotnie wyraża radość swą, że Bóg oświecił umysł i rozjaśnił duszę tak zacnéj pani.

Jakim sposobem Renata umiała zażegnywać podejrzliwość męża i gniéw stolicy apostolskiéj, nie wiadomo; dość, że na dworze jéj znajdowali przytułek wygnańcy i prześladowani za herezyę.

W tych liczbie był Celio Curione, niejednokrotnie więziony i ścigany przez inkwizycyę, a w czasie swych awanturniczych przygód znajdujący gościnne przyjęcie w domu Peregrina Moraty. Ślady téj przyjaźni, opartéj na zgodności upodobań i przekonań, spotykamy w obfitéj korespondencyi obu uczonych. Wkrótce po odjeździe z Ferrary prześladowanego tam Curione, pisze doń przyjaciel: „Nie więcéj boleje ciało rozłączając się z duszą, jak ja bolałem żegnając się z tobą, coś mnie wprowadził na drogę zbawienia. Obym i ja mógł wzbogacić innych tym skarbem, któregoś mi udzielił! obyśmy obfite przygotowali plony na dzień zbiorów wiekuistych!..."

Takie to wpływy musiały się przedostawać do młodocianego umysłu Olimpii, kształtowanego dotąd na wzorach klasycznych i tak przesiąkniętego pogańską niejako starożytnością, że mimo ciekawości, z jaką się zwracała do nowych poglądów, nie mogła jednak z początku odczuć ich ani zrozumiéć. Ślady nowego zwrotu spotykamy w kilku utworach Olimpii, a mianowicie w dwóch ustępach z włoskiego na łacinę przez nią przełożonych: jednym jest ustęp z „Dekameronu" Bokacyusza, o tym kupcu żydowskim, który przybywszy do Rzymu widzi zepsucie duchowieństwa, nadużycia i szalbierstwa rozmaite, ale powróciwszy do domu przyjmuje chrzest, bo „prawdziwą i świętą być musi religia istniejąca na świecie mimo tylu niegodziwości swych przedstawicieli."

W drugim ustępie opowiedziana historya obłudnika, który nagrzeszywszy przez całe życie, umiał jeszcze na łożu śmiertelném otumanić spowiednika swego, a po śmierci został kanonizowany i „robił tyle cudów, co każdy inny święty" — upewnia Bokacyusz. Sam wybór po-

dobnych ustępów świadczy o heretyckich skłonnościach Olimpii w owym czasie, a w późniéj pisanych jéj dyalogach rysują się wyraźnie walki wewnętrzne, jakim ulegała szukając prawdy i zaspokojenia, którego dać jéj nie mogły systemy filozoficzne. Próbowała też wówczas czytać Biblię, ale nie mógł znaléść upodobania w tém jędrném a prostém słowie umysł przyuczony do kunsztownych i wytwornych zwrotów klasycyzmu. Przytém rozrywki i tryumfy połączone z pobytem u dworu zbyt jaskrawe stanowiły przeciwieństwo z ćwiczeniami pobożnemi i zagłębianiem się w czytanie ksiąg religijnych.

Na ten czas przypada zaprzyjaźnienie się Olimpii z młodą księżną Orsini, z domu Rovere, odznaczającą się niezwykłemi przymiotami serca i umysłu. Lavinia Orsini wyróżniła z pomiędzy otaczających ją kobiét utalentowaną towarzyszkę Anny d'Este i wraz z nią oddawała się badaniom filozoficznym lub dociekaniom religijnym; wkrótce też przyłączyły się do nich dwie bratowe Lavinii, Magdalena de Ceri i hr. Julia Rangone, obie słynące z rozumu i piękności.

W rozmowach tych młodych kobiét roztrząsane były najpoważniejsze kwestye, jak nauka o łasce, o predestynacyi, wolnéj woli i tym podobne. A jednak w pismach Olimpii z owéj epoki pochodzących nie napotykamy żadnego śladu tych niepokojów i wątpień religijnych; przeciwnie, wiersz poświęcony pamięci zmarłego wtedy właśnie uczonego Bembo (1547), nosi zwykłe piętno klasycznéj harmonii i doskonałości. Pięknym wierszem greckim wyraża Olimpia żal spółczesnych, a w szczególności domu Este, po zgonie tego, „z którym niknie wzniosły geniusz wymowy, tak że się zdaje, iż wielki Cycero po raz drugi zstępuje w krainy cieniów..."

Wiersz poświęcony pamięci Bemba uważać możemy za ostatni utwór Olimpii w duchu czysto klasycznym, którym owiana była cała jéj młodość. Dotąd życie jéj płynęło łatwo, pogodnie, a duch prześlizgiwał się niejako po ukwieconych niwach poezyi klasycznéj, śród szmeru pochwał i uwielbień. Teraz inna doba nastaje, doba ciężkich zmartwień i doświadczeń, śród których wzmacnia się i dojrzewa dusza młodéj poetki i uczy się odzywać słowami, jak te naprzykład: „Jak w pustyni sam widok węża śpiżowego leczył śmiertelne ukąszenie jadowitéj żmii, tak i dusza, ugodzona pociskami złego, znajduje ulgę i ran swych uleczenie wpatrując się w Syna Bożego na krzyżu rozpiętego..." Wprawdzie i ten wiersz w greckiéj wyrażony mowie, która wraz z łaciną jest jakby rodzinnym językiem Olimpii, ale już przeniknięty pobożnością chrześciańską, coraz silniéj korzenie w sercu jéj zapuszczającą.

IV.

Pierwszym ciosem, jaki ugodził w serce Olimpii, była choroba jéj ojca w r. 1548; dobra córka porzuciła wszystko, śpiesząc do łoża chorego, który niebawem, otoczony troskliwością rodziny, śród modlitw i rozmyślań pobożnych, spokojnie i pogodnie prawie rozstał się z tym światem. Zbolała i schorowana wdowa jego nie była w stanie zająć się domem, Olimpia więc została niejako głową rodziny, składającéj się jeszcze z trzech sióstr młodszych i małego braciszka. A tu właśnie gromadziła się burza nad jéj głową, tém groźniejsza, że nie wiadomo skąd wzięła początek. W czasie choroby jeszcze profesora Morato, siedmnastoletnia Anna d'Este, towarzyszka i przyjaciółka Olimpii, opuściła dwór rodzicielski, by poślubić Franciszka ks. Lotaryńskiego, tak znanego późniéj pod tytułem księcia Guise. Zaślubiny odbyły się we wrześniu 1548 r., a młoda narzeczona wyjechała do Francyi, zostawiając żal w sercach otoczenia swego i ludu ceniącego jéj dobroć i cnoty.

Niebawem zjawił się na dworze ferrarskim wygnaniec z Francyi, mnich, karmelita, Hieronim Bolsec, którego przyjąwszy z właściwą sobie gościnnością i sympatyą dla wychodźców z Francyi, księżna Renata mianowała swym kapelanem. Jakim sposobem podstępny człowiek potrafił zaskarbić swoje zaufanie obojga księstwa, nie wiadomo; dość, że w krótkim czasie osnuł całą sieć intryg i oszczerstw, których pierwszą ofiarą była nieobecna chwilowo Morata. Zawezwana do dworu dla usprawiedliwienia się z czynionych sobie zarzutów, dość zresztą niejasnych, pozbawiona przyjaźni księżniczki, a nawet opieki księżny, dziwnie teraz przeciwko niéj uprzedzonéj, — musiała usunąć się, dotknięta niełaską tych, którym lat tyle wiernie, z przywiązaniem służyła. Odtąd, opuszczona, potępiona przez możnych swych opiekunów, doświadczyła czém jest niestałość ludzka; większa część bowiem dawnych przyjaciół odwróciła się od niéj i od całéj rodziny Moratów. Boleśnie dotknięta tą niesprawiedlwością, upadająca prawie pod ciężarem żałoby i krzywdy sobie wyrządzonéj, jak to żywo odmalowała późniéj w swych pismach, Olimpia nie poddała się jednak rozpaczy, lecz z całém przejęciem poświęciła się staraniom około rodziny osieroconéj. Ucząc młodociane siostry, załatwiając obowiązki gospodarskie, znajdowała jeszcze obok tego chwile wolne na czytanie ksiąg świętych i uprawianie poezyi. Jednocześnie ze zwrotem do uczuć religijnych, utrwalają się jednak i zakorzeniają w sercu Moraty opinie reformatorskie, a te właśnie coraz gorliwiéj są śledzone i coraz ostrzéj karane

w całych Włoszech. Wielu przyjaciół domu Moratów dostaje się do więzienia i pod sąd, a jednym z pierwszych pada ofiarą inkwizycyi Fannio z Faenzy. Więziony kilkakrotnie za to, że rozczytywał się w Piśmie świętém i każąc, wykładał je ludowi, tym razem w kajdanach trzymany był w Ferrarze, dopóki nie wyda nań wyroku trybunał inkwizycyi. Do więzienia tego potrafiła się dostać Olimpia wraz z dostojną przyjaciółką swą, księżną Lawinią; obie zaś pełne były uwielbienia dla człowieka cierpiącego za wiarę i same się utwierdzały w zapale do nowéj nauki religijnéj. Olimpia, doświadczywszy na sobie prześladowania i wzgardy od tych, których uważała za najbliższych przyjaciół, pełna była litości dla prześladowanych, a odwracając się od znikomych dóbr świata, powtarzała: „Wolałabym dzień jeden przebyć w przybytkach wiekuistych, aniżeli tysiące lat przeżyć w pałacach możnych téj ziemi."

Od pewnego już czasu przemieszkiwał w Ferrarze młody cudzoziemiec uczciwego rodu, Andrzej Grunthler, przybyły ze Schweinfurthu nad Menem dla ukończenia studyów medycznych i filozoficznych, którym się był poświęcił. Odwiedzając często spółrodaków swych, obu Sinapiusów, nasłuchał się od nich o wysokich przymiotach i zdolnościach Olimpii Moraty, którą też niebawem poznać miał sposobność. Skryte uwielbienie jego dla młodéj poetki zamieniło się wkrótce w żywsze uczucie, a w miarę, jak spadały na Olimpię udręczenia i smutki, wzmagała się też miłość ku niéj młodego medyka. Gdy dawni przyjaciele i podchlebcy odsuwali się od rodziny Morato, Grunthler, nie bacząc na niełaskę dworu, otaczał ją przyjaźnią i życzliwością, a ta szlachetność obok wykształcenia umysłu i przyjemnego obejścia zjednała mu serce Olimpii. Ku końcowi roku 1550 odbyły się zaślubiny młodéj pary przy modłach zgromadzonych w Ferrarze wyznawców nowéj wiary, a w czasie téj ceremonii ozwały się hymny, śród których brzmiał może i utwór pięknéj oblubienicy na tę uroczystość po grecku ułożony w następnych słowach: „O, Boże Wszechmocny, Królu królów, Stwórco męża i niewiasty; Ty, któryś dał pierwszemu człowiekowi towarzyszkę, aby nie zaginął rodzaj ludzki; Ty, któryś pozwolił by upadła dusza ludzkości całéj stała się oblubienicą Syna Twego i przez tegoż Syna na krzyżu odkupioną została; rozléj pokój Twój święty i zgodę na tych małżonków łączących się w téj chwili przed Tobą, o Panie! Prawo Twoje niech będzie ślubnym przybytkiem i uwieńczeniem miłości wiekuistéj!"

Wkrótce po téj uroczystości nastąpiło bolesne rozłączenie. Z każdym dniem wzmagało się w Ferrarze rozdrażnienie przeciwko nowowiercom; księżna przestała łagodzić gniéw męża, a grono uczonych,

znajdujące dotychczas opiekę i osłonę u dworu, zaczęło się rozpraszać. W ich liczbie znajdowali się obaj Sinapiuse, nauczyciele dzieci książęcych; pomimo długoletniéj wierności domowi książęcemu musieli i oni opuścić Ferrarę, wybierając się do Niemiec. Grunthler, który dopiéro co otrzymał po świetnych egzaminach stopień doktora medycyny, pragnął dostać profesurę w którymś z uniwersytetów niemieckich. W tym celu zaraz w zimie wybrał się w odległą, a tak bardzo podówczas uciążliwą podróż, zostawiając młodą żonę w Ferrarze pod opieką nielicznych już teraz przyjaciół, w rzędzie których jednak pierwsze zajmowała miejsce Lawinia di Rovere księżna Orsini. Że nauki klasyczne nie wysuszyły serca Olimpii, dowodem liczne jéj a pełne czułości listy do męża, jak naprzykład:

„Nie widzę ciebie, mój najmilszy, a nieobecność twoja na tysiączne naraża mię niepokoje. Obawiam się dla ciebie srogiéj zimy, wypadku, rany śmiertelnéj; obok niebezpieczeństw rzeczywistych tworzy urojone, jeszcze straszniejsze, zaniepokojona wyobraźnia. Znasz przecie wiersz poety: *Res est solliciti plena timoris amor*; miłość jest trwożliwa i obaw pełna, więc miéj litość nad mękami mojemi i pisuj często, nie szczędź szczegółów o zdrowiu swém i podróży. Niebo mi świadkiem — ty sam, zresztą, wiész to dobrze, że niéma nic na świecie droższego dla mnie, niż ty jesteś. Chciałabym w jednéj chwili znaléść się przy tobie, by ci dowiéść ogromu méj miłości. Niema ofiary, któréjbym nie uczyniła radosném sercem, aby ci okazać moje przywiązanie...”

W innym znów liście pisze Olimpia: „Śród mnóstwa cierpień zapełniających życie nasze, w Bogu tylko ucieczka i schronienie bezpieczne; do Niego więc módlmy się, bo On nic odmówić nie zdoła tym, którzy proszą. Ale, niestety! ja usiłuję innych pocieszać, a sama czyż pociechy nie potrzebuję gwałtownie? Dni moje płyną śród łez i tęsknoty, a w modlitwie tylko ulga.”

Obok modlitwy znajduje czas jednak Olimpia na ulubione zawsze zajęcia literackie; spisuje np. w formie dyalogu treść rozmów toczonych z zacną swą przyjaciółką Lawinią, starszą od niéj o lat kilka, a nawiedzającą często dom żałobą okryty i niełaską książęcą dotknięty. Oto kilka wyjątków z dyalogu po łacinie spisanego, równie jak i listy Olimpii do męża. Na wymówkę przyjaciółki, że nie chce użyczyć wypoczynku umysłowi skołatanemu, odpowiada Olimpia: „Ja się zgadzam z tym mędrcem, który rzekł, iż czas nie poświęcony nauce uważać można za stracony. Zdaje mi się, że grzeszyłabym, gdybym nie wypełniała literaturą wolnych chwil, których Bóg mi użycza; zwłaszcza teraz, jedyna to moja pociecha i rozrywka w nieobecności mał-

żonka." — Lawinia: „Prawda, że nauki Boskie są jak owe sady bujne, gdzie zbiérać możemy w obfitości owoce nieśmiertelne. Ludzka mądrość może miéć urok dla tych tylko, którzy, nie umiejąc odgadnąć rzeczy niewidzialnych dla oka, a jedynie godnych zgłębiania, zadawalniają się marném kwieciem więdnącém od rana do wieczora."—Olimpia: „Muszę ci wyznać, przyjaciólko droga, że i ja długi czas żyłam w nieznajomości tych prawd najgłębszych. Myślałam, żem uczona, bo się rozczytywałam w księgach filozofów świata tego i upajałam się subtelną trucizną w nich zawartą. Wtenczas właśnie, gdy mnie podnosiły wysoko pochwały ludzkie, uczułam całą próżnię méj nauki, całą niewiadomość, w jakiéj byłam pogrążona. Wszak sądziłam, niebaczna! że świat ten cały jest dziełem przypadku, że istnieje bez kierunku, bez Boga! Takie ciemności mroczyły duszę moją, gdy Bóg sam raczył ją rozświecić, rzucając promień Przedwiecznéj mądrości swéj. A potém, gdym została sierotą, opuszczoną i pokrzywdzoną, Bóg ten otoczył mię opieką swoją, słodką opatrznością, któréj nie dorównywa najtroskliwsze, najczulsze przywiązanie ojcowskie. Wtenczas dopiéro poznałam dawny błąd mój i zaślepienie..." — Daléj zapytuje Lawinia: „A czyż nieprawdę mówili ci, którzy sławili twoją wymowę i biegłość w łacinie i greckim języku? Nieraz słyszałam, jak mistrze twoi rozwodzili się nad wytrwałością, z którą długie godziny trawiłaś w samotności i pracy umysłowéj, kiedy inne rówieśnice twoje przyozdabiały twarz swoją, trefiąc włosy i wytwornych dobierając strojów. Co najdziwniejsza, że właśnie najpiękniejsze lata młodości poświęciłaś tym naukom, nie zważając na krytykę młodych kobiét i mężczyzn, powtarzających ci: nie o tém myśléć trzeba; mąż twój więcéj się będzie dowiadywał o posag, niż o mądrość twoją." — Olimpia: „Bóg tak chciał! On mi dał takie upodobania... Oby teraz słabe zdolności moje obróciły się na Jego chwałę! nic więcéj nie pragnę." — Dyalog ten kończy się pobożném uniesieniem w tych mniéj więcéj słowach: „...Słaba dziecina, spłakana i uwinięta w pieluszki, podobna byłam do innych niemowląt, bo wszyscyśmy równi przy urodzeniu i przy śmierci. Ale ja wcześnie wzdychać zaczęłam za darem mądrości. Cenniejszym on mi się wydawał niż złoto, perły i drogie kamienie; świetniejszym niż mitry i korony; droższym niż piękność, niż życie nawet. A Bóg wysłuchał wzdychania mego, światłością swą rozproszył ciemności w méj duszy, a blask ten droższy mi jest nad wszelkie skarby świata..."

Kiedy tak Olimpia trawiła dni swe w zajęciach i rozmyślaniach, z Niemiec coraz bardziéj niepokojące wieści nadchodziły. Grunthler znalazł wprawdzie życzliwe przyjęcie, zwłaszcza w Augsburgu, dokąd zabrał polecające listy od teścia Lawinii, Kamila Orsini, do radcy

cesarskiego Hermanna; ale przy szerzących się niepokojach religijnych i zbrojeniu się stron obu, trudno było otrzymać posadę w opustoszałych teraz szkołach i akademiach. Podróże nawet najeżone były rozmaitemi trudnościami i niebezpieczeństwy, gdyż gromady zbrojne koczowały po traktach i lasach przydrożnych, a kraj cały wrzał od niezadowolenia po ogłoszeniu „*Interimu*". Jednak radca Hermann ofiarował w domu swoim gościnność młodéj parze, zanim się znajdzie stosowne dla Grunthlera zajęcie, a młody doktór pośpieszył do Ferrary, aby stamtąd w początkach czerwca wraz z żoną wybrać się do Niemiec. Ucieszona na chwilę powrotem męża, Olimpia z ciężkim żalem znów myślała o opuszczeniu ojczyzny i rozstaniu się z matką schorzałą i siostrami; poleciwszy je gorąco opiece Lawinii di Rovere, postanowiła ośmioletniego braciszka, Emilia, zabrać z sobą. Znajdujemy z tego czasu w zapiskach jéj ustęp:

„Bóg mnie połączył z mężem droższym nad życie, więc poszłabym za nim wszędzie: czy to w puszcze niegościnne Kaukazu, czy w lodowate krainy Północy, czy przez strome Alp wąwozy. Pójdę za nim sercem ochotném wszędzie, gdzie mu się podoba kroki skierować. Ojczyzna męża zacnego jest wszędzie (*Omne solum forti patria est!*), a najdalsza strona miłą nam będzie, jeśli tam wolno Bogu służyć."

V.

Z początkiem wiosny (1551 r.) Olimpia wraz z mężem puściła się w podróż, z któréj już nigdy wrócić nie miała. Trzymając się brzegów Adygi, przybyli do Trydentu, wzburzonego rozprawami soboru; a po krótkim odpoczynku zapuścili się w piękne doliny Tyrolu, gdzie im się udało wyminąć szczęśliwie posterunki wojsk cesarskich, obozujących podówczas w Insbruku. Wreszcie spuściwszy się na równiny bawarskie, dotarli szczęśliwie do Augsburga. Gród ten zajmował miejsce poczestne pomiędzy najznamienitszemi miastami niemieckiemi, a to głównie dzięki mieszczańskiéj rodzinie Fuggerów, słynących z zamiłowania sztuki i nauk. Podobni florenckim Medyceuszom, gromadzili oni w komnatach starego domu swego kunsztowne sprzęty i wyroby, dobiérali starannie galeryę obrazów i rzeźb, którą z zachwytem opisują historycy téj epoki (np. Beatus Rhenanus). Oprócz cennego zbioru portretów Łukasza Cranacha i arcydzieł malarzy włoskich, znajdowały się tam oryginalne posągi greckie z marmuru lub bronzu, z wielkim trudem i kosztem sprowadzone; między innemi prześliczną być miała Circe, leżąca na płycie z białego marmuru i otoczona ofiarami swych czarów. Obok

pięknych mozaik, była także kolekcya monet i medali, a jeden z Fuggerów, Rajmund, poświęcił znaczną sumę na utworzenie zbioru napisów starożytnych (wydanego w Ingolsztadzie).

Ma się rozumiéć, że ludziom tak oświeconym nie były obce pisma Olimpii Moraty; to téż przyjęli z uprzejmością skwapliwą przybyszów z Południa; ale najmilszą gościnę znaleźli Grunthlerowie w domu radcy Hermanna. Niebawem udało się młodemu lekarzowi ocalić życie gospodarza swego, dotkniętego nagłą a ciężką chorobą, co zwiększyło jeszcze życzliwość całéj rodziny dla Grunthlerów. Pobyt w Augsburgu zalicza Olimpia do najmilszych chwil życia swego, o czém świadczą listy jéj do przyjaciół; stamtąd téż odezwała się do Celia Curione, ówczas profesora literatury łacińskiéj w uniwersytecie bazylejskim (od r. 1547). Uczony ten, którego wykłady przez lat dwadzieścia ściągały słuchaczy z całéj Europy, odpowiada na odezwę Olimpii, pełną uszanowania i czułości, listem następującéj treści:

„Dzięki ci, droga Olimpio, żeś po latach tylu i pomimo dzielącéj nas odległości, przypomniała mnie sobie i wskrzesiła dziedziczną niejako przyjaźń. Nikt więcéj odemnie nie szanował i nie kochał zacnego ojca twego, a miło mi jest życzliwość tę przenieść na córkę podobną doń z cnót i pobożności. Po żonie i dzieciach rodzonych, tyś mi najdroższą ze wszystkich, a męża twego uważam jakby własnego zięcia. Chwała bądź Bogu Wszechmocnemu, który cię usunął z zatrutéj atmosfery dworów książęcych i obdarzył was wolnością cenniejszą od złota! Czytałem przekład twój psalmu na greckie, i tak mi się podobał, że pragnąłbym byś więcéj prac takich wykonała. Teraz już nie potrzebujemy zazdrościć Pindara Grecyi. Wierzaj mi, Olimpio droga, idź za wezwaniem muz i wieńcz twe czoło świętym wawrzynem; z czystszego źródła czerpiesz swe natchnienie, niż je czerpała Safona .. A pisuj do mnie często; wytworność, słodycz i świętobliwość, listy twe przenikająca, niewymowną sprawia mi pociechę.”

Pisała także Olimpia do Lawinii, wywiadując się troskliwie o losy protestantów w Ferrarze i polecając jéj gorąco sprawę więzionego jeszcze Fannia Faenza. I rzeczywiście w chwili, kiedy wszyscy drżeli przed inkwizycyą, nie wahały się słabe kobiety, jak Lawinia Rovere i bratowa jéj, Magdalena Orsini, ujmować za więźniem.

Tymczasem Grunthlerowie, nie znalazłszy stosownéj posady, postanowili opuścić gościnny dom radcy Hermanna i udali się w odwiedziny do przyjaciela rodziny i dawnego mistrza, Jana Sinapiusa, obecnie nadwornego lekarza u biskupa Zobela w Würzburgu. Tu, znowu, przebyli jesienne miesiące śród prac i zajęć literackich, a wieczorami Olimpia zasiadała do nauki haftu wraz z córką Sinapiusa, Teodorą, i siostrze-

nicą Brygidą, nie gardząc igiełką, chociaż tak dzielnie władała piórem. Tam wydarzył się bratu jéj, Emilowi, wypadek, cudowny prawie: oto chłopczyna bawiąc się z innemi dziećmi, spadł z wysokiego tarasu w rozpadlinę, najeżoną stromemi skałami, zdawało się, że musi być zabity lub straszliwie pokaleczony, a jednak wyszedł cało z téj przygody i przybiegł sam do siostry. Wypadek ten uważała Olimpia za cudowne zrządzenie Opatrzności i gorącemi słowy wyrażała wdzięczność swą Bogu.

Wkrótce potém Grunthler otrzymał od rodaków ze Schweinfurthu wezwanie do zajęcia posady lekarza wojsk hiszpańskich w mieście zakwaterowanych (gdy cesarz zimował w Insbruku). I tak, w pięć miesięcy po opuszczeniu Ferrary (październik 1551) osiedlili się małżonkowie w skromnéj mieścinie bawarskiéj, gdzie przynajmniéj Grunthlera wiązały wspomnienia rodzinne; ale dla Olympii, jakże odmienny był ten pobyt od miejsc, w których pierwszą młodość swą spędziła.

Jeżeli podziwiano Olimpię wówczas, gdy błyszczała dowcipem i wymową śród grona książąt i uczonych, to zaprawdę, stokroć godniejszą hołdów wydaje się ona teraz, kiedy zagrzebana w cichéj mieścinie, w surowym klimacie, śród ludzi obcych mową i pochodzeniem, promienieje blaskiem cnót domowych, pracowitości i pobożności gorącéj, umacniającéj ją na próby życia i ciężkie przejścia, jakich się spodziewać mogła w tych czasach burzliwych.

Wkrótce po przybyciu do Schweinfurthu, otrzymał Grunthler propozycyę zajęcia katedry profesorskiéj w Lincu. Posada była nader korzystna, ale warunkiem do jéj objęcia było wyznanie katolickie, co się sprzeciwiało zasadom obojga małżonków; totéż dowiedziawszy się od radcy Hermanna, za pośrednictwem którego przesłana była zaszczytna propozycya, że warunek ten był nieunikniony, odmówili przyjęcia ofiarowanéj posady.

Tymczasem dochodziły ich wieści o wzrastającém ciągle prześladowaniu nowego wyznania we Włoszech, a niebawem ogłoszono wyrok skazujący na śmierć Fannia z Faenzy. Ku wielkiemu żalowi spółwyznawców i przyjaciół, został spalony po dwuletniém więzieniu.

Niespokojna o krewnych, Olimpia zrzadka tylko odbierała od nich wiadomości, a sama wystrzegać się musiała pisząc, by na nich nie ściągnąć podejrzenia i prześladowania. W owym czasie matka jéj osamotnioną została w Ferrarze, gdyż wszystkie trzy córki wyjechały ze znakomitemi domami, które się niemi opiekowały; najmłodsza, Vittoria, towarzyszyła Lavinii di Rovere do Rzymu. Wkrótce jedna z nich poszła za mąż za bogatego i zacnego młodzieńca w Medyolanie, a młoda para zamieszkała z matką, ku wielkiéj radości Olimpii, która zdaleka

tylko mogła się odzywać do niéj, przesyłając zaoszczędzone pieniądze i serdeczne wyrazy.

Piękne są listy Olimpii do Lawinii, która trosk doznawała rozmaitych: bezdzietna, bolesną dotknięta chorobą, tęskniła jeszcze za ukochanym mężem, zajętym wojnami we Francyi, gdzie służył królowi Henrykowi II. Oprócz listów, w których starała się pocieszać przyjaciółkę, umacniać ją w wierze i rezygnacyi, ułożyła w owym czasie Olimpia piękny dyalog o szczęściu prawdziwém, łączący wykwintność klasycznego stylu z głębokiemi natchnieniami ducha chrześciańskiego. W dyalogu tym Teofila, przemawiając do przyjaciółki swéj Filotimy o znikomości dóbr ziemskich, przypomina jéj, ile miały do zniesienia niewiasty biblijne, chociaż w małżeństwie nie szukały ziszczenia swych marzeń, ale raczéj spełnienia obowiązków względem męża i dzieci swoich. Potępiwszy upodobanie w zbytkach i rozrywkach, dodaje: „Szukamy stołu zastawionego wybornemi potrawami, a nie spieszymy się do biesiady duchowéj, gdziebyśmy mogli się nakarmić słowem Bożém". Przyjaciółka uskarża się na swe zmartwienia, przypomina, że i między biblijnemi niewiastami znajdowały się takie, które żyjąc śród zbytków i świetności, jak Ester lub Abigail, umiały spełniać swe obowiązki; ale Teofila zbija wszystkie jéj argumenta wymownemi słowy i nakłania ją wreszcie do poświęcenia Bogu wszelkich uczuć, myśli i pragnień.

Dyalog ten wraz z kilku innemi utworami, które się dochowały (bo większa ich część zatraconą została), świadczą o zamiłowaniu, z jakiém Olimpia każdą wolniejszą chwilę poświęcała pracom literackim. Sprowadziła ona do Schweinfurthu bibliotekę ojcowską i ztamtąd czerpała skarby myśli i natchnień wzniosłych. A życie jéj było pracowitém: oprócz starań gospodarskich, odwiedzania chorych i ubogich, zajmowała się kształceniem braciszka oraz córki Sinapiusa, Teodory, która przebywając w domu Grunthlerów, pod kierunkiem Olimpii szybkie czyniła postępy w języku łacińskim i greckim. Smutne wydarzenie przerwało te nauki, matka bowiem Teodory, owa ukochana żona Sinapiusa, Franciszka Bucyronia, zachorowała ciężko i, zaledwie się doczekawszy powrotu córki, umarła.

Opłakawszy stratę przyjaciółki, Olimpia wraca do zwykłych zatrudnień, a wieczorami gromadzi się w jéj domu wybrane grono spółwyznawców na wspólne czytanie i śpiewy. W tym celu przełożyła na język grecki kilka psalmów, do których Grunthler dorobił muzykę. I tak płynęło życie w tym zakątku cicho i spokojnie, jak gdyby wokoło nie gromadziły się czarne chmury, grożące straszliwą burzą. Miała ona nadciągnąć niebawem i porwać z sobą winnych i niewinnych, zostawiając tylko krew, łzy i ruiny.

Na dwóch przeciwległych krańcach kraju walka już się rozpoczęła: król francuski, niby ujmując się za protestantami, zagarniał trzy biskupstwa, a jednocześnie Turcy zajmowali Węgry; książęta protestanccy zaś, chwilowo ukorzeni, gotowali się do wojny przeciw cesarzowi. Wtedy właśnie Olimpia tłómaczy psalmy do nastroju chwili stosowne, np.:

„Czemuż to narody podnoszą się tłumnie, a ludzie spierają się o rzeczy próżne? Królowie i książęta świata zmawiają się przeciwko Przedwiecznemu i pomazańcowi Jego.—Zerwijmy, mówią, okowy nasze i jarzmo nam narzucone. Ale ten, który w Niebiosach panuje, szydzi ze swych nieprzyjaciół. On przemówi w gniewie Swym i grozą ich napełni..."

Czasami tok poważny wiersza zmienia się w rytmy z Safony naśladowane, a pełne energii, jak w tym przekładzie z psalmu Lutra (udającego się do Wormacyi).

„Bóg jest schronieniem i szańcem nieprzepartym, Bóg ostoją i oswobodzeniem tych, co w niewoli pogrążeni. Nie bój się więc, duszo moja, nie lękaj się, choćbyś widziała góry z posad swych wstrząśnione i staczające się do morza,.... ....Bóg mocny i potężny; Wódz Przedwieczny z zastępy swojemi idzie za nami.. ."

Psalmy te przesyłała Olimpia przyjaciołom swym, mianowicie Celiowi Curione, który nie szczędzi jéj zachęty i pochwał. Na jeden z listów jego odpowiada Olympia: „Szczęśliwa jestem, że ani czas, ani oddalenie nie zmieniło uczuć waszych dla mnie.... Sąd wasz pochlebny o moich wierszach najpiękniejszą jest dla mnie nagrodą. Gdyby nie to, przestałabym pisać, ale kiedy ludzie tak wielkiéj pobożności udzielają mi zachęty, będę się starała zasłużyć choć w części na ich pochwały". Innym razem przesyłając kilka ustępów poetycznych i dyalog swój do Curione, dodaje: „Przyjmijcie, proszę, te kilka wierszy; jedyne to moje potomstwo i zapewne nie zostawię innego."

VI.

Wkrótce po śmierci Lutra (w lutym 1546 roku), rozpoczęły się w Niemczech wojny religijne, które przez wiek cały z małemi przerwami zakrwawiać miały tę krainę. Pierwsza walka zbrojna, zwana wojną Szmalkaldzką, zaczęła się od porażki elektora saskiego pod Mühlbergiem i upokorzenia książąt protestanckich. Wkrótce jednak (kwiecień 1552) cesarz napadnięty w Insbruku a chory na pedogrę, zaledwie uchodzi nocą po ścieżkach górskich. W kilka miesięcy późniéj podpisano

ugodę Passawską, potwierdzoną znów pokojem Augsburskim, ale pokój to był pozorny tylko i właśnie podczas tego zawieszenia broni jeden z wodzów cesarskich, Albrecht Brandeburski, wojak śmiały, zuchwały, bez czci i wiary, rzec można, obrawszy sobie za punkt oparcia miasteczko Schweinfurth, wypadał ztamtąd co chwila, aby niszczyć i rabować okolice nad Menem. Zniecierpliwieni temi napadami zbójeckiemi, biskupi Würzburski i Bamberski, połączywszy się z elektorem Maurycym i Norymbergą, wystąpili zbrojnie i oblegli margrabiego Albrechta w legowisku jego.

Teraz okropne nastały czasy dla nieszczęsnego miasta: przez czternaście miesięcy oblężenia (od kwietnia 1553), mieszkańcy Schweinfurthu znosili wszelkie możebne plagi; oprócz klęsk wojennych bowiem i rabunku ze strony tych, co się ich obrońcami mienili, dotknięci byli dżumą straszliwą, głodem i chorobami, spowodowanemi przez wielkie nagromadzenie ludności w ciasnéj przestrzeni. Okropne te chwile opisuje Olimpia w listach do Lawinii i Cherubiny (innéj znów przyjaciółki z Ferrary); mężna niewiasta nie straciła odwagi, a śród największych niebezpieczeństw, pod gradem kul spieszyła z pomocą uboższym i nieszczęśliwszym od siebie. Najgorszym jednak ciosem dla niéj była choroba męża: ratując dotkniętych zarazą, sam uległ jéj i to w chwili, gdy już brakło lekarstw nawet. Wszystko zdawało się straconém, ratunek ludzki był niemożliwy, a Olimpia dnie i noce trawiła na gorącéj modlitwie u łoża ukochanego męża, który też cudem prawie ocalał. Wkrótce potém znalazłszy zręczność przesłania listu, pisze Olimpia do przyjaciółki: „Płacz nad nami, Lawinio ukochana, ale i ciesz się zarazem: oblężeni przez dwa wielkie wojska, żyjemy w ciężkiéj niedoli, a jednak Bóg nas nie opuścił, śród głodu żywił nas i pozwalał dzielić się z biedniejszemi jeszcze, co mówię! większy cud uczynił, zachowując mi męża, który zstępował prawie do grobu, straszną dotknięty zarazą. Ulitował się Bóg nademną, oszczędzając mi boleści, któréj nie byłabym w stanie przenieść, zaprawdę!...” List ten kończy czułemi słowy: „Żegnam cię, słodka Lawinio moja, ciebie, któréj do ostatniego tchnienia kochać nie przestanę, żegnam cię raz jeszcze!..”

Po dziewięciu miesiącach oblężenia, kiedy już załoga upadała pod brzemieniem klęsk najrozmaitszych, oblegający świeże sprowadzili posiłki i rozpoczęli tak straszne bombardowanie, jakiego nie pamiętano w owych nawet burzliwych czasach: dniem i nocą padały pociski na nieszczęsne miasto, a mieszkańcy całemi tygodniami siedziéć musieli w podziemiach i piwnicach; tak też ukryli się Grunthlerowie wraz z małym Emilem. Wreszcie, ku wielkiéj radości pozostałéj garstki mieszkańców, margrabia Brandeburski postanowił wyjść z miasta, prze-

bijając się przez oblężnicze szeregi; zaledwie jednak opuścił Schweinfurth, kiedy część wojsk oblegujących, wtargnąwszy do nieszczęsnego miasta, rozpoczęła rzeź i rabunek, wzniecając pożar. Śród zamieszania okropnego, jęków i mordu, Grunthlerowie, porwani z tłumem, mieli już za innymi schronić się do kościoła, gdy nagle w ciemnościach żołnierz jakiś nieznajomy zbliżył się i uprowadził ich z sobą poza mury miasta. Zaledwie, przemykając się krętemi zaułkami, wyszli za bramy, gdy buchnął pożar ze wszystkich stron, wzbijając się olbrzymim słupem w niebiosa, a tysiące nieszczęśliwych znalazło grób straszny pod zgliszczami walących się domów i kościołów. Przerażeni, nawpół przytomni, biegli bez pamięci przed siebie, gdy ich nagle otoczyła gromada zbrojnych i obdarłszy ze wszystkiego, uprowadziła z sobą Grunthlera. Rozpacz natchnęła Olimpię nadludzką siłą i wymową, dość że potrafiła zmiękczyć serca tych dzikich żołdaków i poraz drugi wyrwała męża z objęć śmierci. Oto, jak sama przejście to opisuje: „W niewypowiedzianéj żałości serca mego, jęczałam, błagałam Boga, żebrałam litości, dopóki mi męża nie oddano. A gdybyście widzieli, jak wyglądałam! bosa, w jednéj koszuli, pokaleczona, z włosem rozpuszczonym! I tak iść musiałam długie godziny, biegnąc po kamieniach i ostrym zwirze, gdzieśmy ślady nasze krwią znaczyli. Co chwila zdawało mi się, że upadnę, aby już nie powstać, i wołałam tylko: Boże! ześlij Aniołów swoich, by nas na skrzydłach przenieśli, bo już nie wytrzymamy!...“ Téj nocy przebyli dziesięć mil z górą i schronili się w Hamelburgu, gdzie przynajmniéj litościwa jakaś kobiéta przykryła własnemi gałganami wychudłe i poranione członki biednéj Olimpii. Niedługo jednak pozwolono im spocząć w mieścinie téj, obawiając się zemsty wojsk biskupich; po trzech dniach iść musieli daléj, a Olimpia zaledwie się wlokła, wsparta na ramieniu męża, wychudła, trawiona gorączką. W innéj mieścinie zatrzymano ich i uwięziono, grożąc śmiercią, ale wreszcie wypuszczeni, dostali od nieznanego dobroczyńcy piętnaście talarów w złocie, co im pozwoliło przebyć resztę drogi i schronić się w zacnym domu hrabiów Erbach.

Panowie ci, z których najstarszy, Eberhard, poślubił siostrę palatyna Fryderyka II, odznaczali się mądrością i cnotą, a chociaż sprzyjali wyraźnie reformacyi, otoczeni byli szacunkiem wszystkich stronnictw. W domu tym przyjęto z otwartemi rękami Olimpię, któréj sława doszła była od dawna do rodziny Erbachów; hrabina, chociaż sama cierpiąca, gdyż od lat dziewiętnastu już ciężką była dotknięta niemocą, zapragnęła osobiście pielęgnować znużoną niewypowiedzianie wygnankę; otaczała ją troskliwością najczulszą, obsypywała podarkami. Śród takich starań, Olimpia zwolna przychodziła do siebie, a pę-

dząc godziny całe w rozkosznym ogrodzie pałacowym, nad brzegiem wody, zabawiała się budującą rozmową z córkami hrabiny, albo też uczyła braciszka swego, dojrzewającego umysłowo w szkole nieszczęścia. W listach Olimpii znajdujemy szczegóły o zacnych jéj gospodarzach i dowiadujemy się, że najstarszy z hrabiów Erbach codziennie przed śniadaniem wobec rodziny i służby całéj odczytywał wyjątki z Ewangelii, a potém klękał do wspólnéj modlitwy i udzielał im pobożnych nauk; w mieście zaś sąsiedniém, także Erbach zwaném, utrzymywał kaznodziejów protestanckich. Żona hrabiego, trapiona długą chorobą, myślami odrywała się od ziemi, zajęta przeważnie modlitwą i dobremi uczynkami. W takiém to otoczeniu przebywała, odpoczywając po strasznych przejściach, rodzina Grunthlerów, a tymczasem czyniono starania o uzyskanie stosownéj dla zdolnego lekarza posady. Wreszcie za wdaniem się palatyna, wezwanym został Grunthler na katedrę medycyny w uniwersytecie heidelberskim. Już w początkach lipca 1554 roku opuścili małżonkowie gościnny zamek Erbach, aby przebyć dziesięciomilową odległość, dzielącą ich od nowéj siedziby. Podróż ta, niedługa wprawdzie, utrudniona była gęstym lasem i górami (Odenwald), które podróżni zwolna przebywali z pomocą przewodników; w puszczy téj jednak, zatrzymawszy się w gospodzie jakiéjś, zastali grono uczniów z nauczycielem wiejskim, urządzające chóralne śpiewy. Młodzi śpiewacy rozminęli się z taktem i nie wiedzieli, co daléj robić, gdy Olimpia z uśmiechem i wdziękiem sobie właściwym przyszła im w pomoc i wprawnym głosem naprowadziła ich na właściwą drogę. Zdziwiony bakałarz (Jerzy Treuthuger), dowiedziawszy się o nazwisku podróżnych, powitał ich z wielkiém uszanowaniem i pośpieszył przynieść z domu pieśni pobożne z muzyką Grunthlera, znane sobie od dawna. Po tak przyjemnym epizodzie podróży, nazajutrz Grunthlerowie przybyli do Heidelberga.

Niektórzy autorowie twierdzą, że i Olimpii ofiarowano tam katedrę literatury greckiéj, ale w listach jéj, dość zresztą obfitych i szczegółowych, żadnéj o tém nie znajdujemy wzmianki; to pewna, że ofiarowanego sobie stanowiska damy dworu przy księżnie elektorowéj nie przyjęła, lękając się wiru świata wielkiego i bolesném nauczona doświadczeniem.

Miasto Heidelberg, zbudowane w rozkosznéj dolinie Nekary, było siedzibą świetnego i uczonego dworu; wszechnica zaś, założona w XIV jeszcze wieku i bogatą uposażona biblioteką, liczy wiele znakomitości w rzędzie swych uczni i profesorów, począwszy od Agricoli, miłośnika klasycyzmu odrodzonego. Hieronim z Pragi, Luter, Reuchlin wsławili się wykładami i rozprawami swemi w Heidelbergu.

Przybycie Olimpii z rodziną do miasta tego zdawało się rozpoczynać pogodny i spokojny okres jéj życia; toteż odbiera listy od przyjaciół swych, pełne życzliwości i rozradowania. Stracili, prawda, biedni wygnańcy całe mienie swoje w spalonym Schweinfurcie: biblioteka z takim trudem sprowadzona, rękopisma Olimpii, skromny fundusz Grunthlera, wszystko zgorzało, ale przynajmniéj uszli z życiem oboje z dzieckiem opiece swéj powierzoném. Toteż pisze do nich Jan Sinapius:" Nic z sobą nie przynieśliśmy na świat ten przychodząc, czemuż się dziwić, że Bóg odbiera to, co nam pożyczył na dni kilka. Niech jęczą i skarżą się ci, których cała nadzieja w dobrach znikomych; wasz skarb jest w niebiosach, zkąd go złodzieje nie porwą, ani płomienie nie pochłoną. Czyż wy, jak ów mędrzec, nie macie zawsze przy sobie najcenniejszych dóbr swoich, to jest wiary, pobożności, nauki i cnót chrześciańskich? Choćby świat cały zwalił się na głowy nasze, my upadać nie powinniśmy." Do listu tego dołączony był egzemplarz „Żywotów" Plutarcha z biblioteki Olimpii, odnaleziony pod zgliszczami Schweinfurthu, a przyjęty z radością i rozrzewnieniem, jako jedyna pozostała pamiątka.

Curione znów, nie szczędząc wyrazów pociechy i pokrzepienia, śle dawnéj uczennicy dzieła Homera, skargi Jeremiasza i niektóre z własnych pism oraz zachęca, by pracowała daléj na niwie umysłowéj. Najsławniejsi drukarze z Bazylei pośpieszyli z darami dla utworzenia nowéj biblioteki cenionéj poetce.

Oprócz książek, brakło jednak jeszcze wielu innych rzeczy na nowém gospodarstwie Grunthlerów: Olimpia pomimo osłabienia, którego się pozbyć nie mogła, krząta się dniami całemi około urządzenia domu; z trudem wynajduje służącą i to bardzo niedogodną, pożyczać musi pieniędzy na opędzenie niezbędnych wydatków. W liście swym z owego czasu do Sinapiusa, który jéj znów chce przysłać córkę swą. Teodorę, pisze: „Powitam ją chętnie, jeśli przyjmie pobyt w skromnym domku naszym, ale niech z sobą łóżko zabierze, bo sprzęty tu są bardzo drogie". A jednak i teraz nie zapomina o biednych; sercem litościwém wyszukuje rodziny nieszczęśliwe, na których nędzę patrzała w Schweinfurcie i śle na ręce zaufane wsparcie dla nich. Ubolewała także mocno nad rozterkami szerzącemi się między rozmaitemi sektami nowéj wiary; interesowała się różnowiercami we wszystkich krajach, szczególniéj zaś troszczyła o swą ojczyznę. Na wieść o prześladowaniu protestantów w Ferrarze, pisze do sióstr, zagrzewając do męstwa i wytrwania w raz obranéj wierze, prosi matkę, by do niéj przybyła, chroniąc się przed uciskiem; wreszcie na wiadomość o porzuceniu nowéj wiary przez księżnę Renatę, wyraża głęboki żal i ubolewanie nad tym brakiem stałości.

Olimpia trzymała się całą duszą reformacyi i w imieniu wiary swéj pełniąc wszelkie cnoty chrześcijańskie, nie widziała gdzieindziéj doskonałości, nie pojmowała innéj służby Bożéj. Totéż pisze piękny list do dawnéj towarzyszki Anny, obecnie małżonki potężnego Gwizyusza, polecając jéj opiece protestantów francuskich. „Pamiętaj o Pani”, pisze między innemi rzeczami, „pamiętaj że obowiązkiem twoim jest wstawiać się za tych ludzi, których niewinność znasz dobrze. Gdybyś milczała, a pozwoliła im cierpiéć i ginąć bez obrony żadnéj, stałabyś się wspólniczką ich prześladowców. Wiém, że ujmując się za potępionych, możesz ściągnąć na siebie gniew króla, księcia, małżonka twego i wielu innych, ale czyż nie lepiéj narazić się na zawziętość ludzką, niż na gniew Boży... Gdy Bóg z nami, któż przeciwko nam?...” Rzeczywiście, gdy w lat kilka późniéj, po odkryciu spisku w Amboise, nastąpiła straszliwa rzeź Hugonotów, jeden głos tylko wzniósł się potępiający czyn ten, przeklinający przelew krwi, a był to głos Anny księżny Guise (jak pisze De Thou).

Olimpia tymczasem pędziła w cichości dni swoje, pracowita, zajęta jak zwykle, ale teraz nie oddaje się już pracom literackim. Jeden tylko wiersz jéj z owych czasów nam pozostał, t. j. nagrobek pastora Lindemanna, po grecku: „Tu spoczywa wierny pasterz, który strzegł długo owieczek Chrystusowych. Dla nich to znosił srogie napaści i staczał walki przeciwko wilkom okrutnym. Teraz spoczął — praca jego skończona. Pan tak chciał, aby on już nie patrzał na klęski i niedolę ludzką, aby sam nie cierpiał. On śpi, ale dzień zmartwychwstania bliski. Wierny pasterz powstanie i wyjdzie z grobu na głos Chrystusa Pana.” — Z téjże epoki zapewne pochodzą myśli, jak te np.: 1) „Bóg tak ukochał świat, że oddał dlań Syna jedynego swego na śmierć; Syn ukochał ludzkość tak, że dla niéj chętnie ducha oddał na krzyżu. Ten, który ufa Chrystusowi, książęciu pokoju, żyć będzie wiecznie.” 2) „Pragnę umrzéć, bo znam tajemnicę śmierci. Pragnę umrzéć, aby być z Chrystusem i w Nim życie wieczne znaléść.” 3) „Cenę życiu nadają nie umiejętności, ale walka i próby przebyte. Przecież i na igrzyskach olimpijskich wieńczono nie najpiękniejszego z atletów, ale tego, który walczył i zwyciężył.”

Oprócz tego Olimpia tylko listy pisuje; zresztą czyta i rozpamiętywa Biblię, a wznosząc coraz bardziéj duszę ku niebu, zastanawiając się nad znikomością świata, pełni z pogodą i słodyczą obowiązki domowe i uczy brata. Teraz już czytują razem Homera, Cycerona, Wergilego i Horacyusza. Mąż, straciwszy ją, pisał: „Nie widziałem nigdy duszy czystszéj i świętszéj! Nigdy tyle czystości, prostoty i wdzięku nie zabłysło na świecie”. Ale i obcy cenić ją umieli, otaczając uwielbie-

niem i czcią nieledwie; z grona otaczającego Grunthlerów w Heidelbergu poeta Mycillus poświęca jéj wiersze rozmaite, sławi ją burmistrz Harmann (przyjaciel Sinapiusa), radca Hubert Thomas i inni.

VII.

Smutnie chociaż pogodnie płynęły ostatnie miesiące życia Olimpii, siły jéj bowiem, nadwątlone już dawniéj pobytem w ostrym dla Włoszki klimacie Niemiec, stargane okropnemi przejściami w czasie oblężenia Schweinfurthu i ucieczki z miasta tego, nie dawały się już pokrzepić; mężna ta a słodka niewiasta, owiana podwójnym urokiem poezyi i bogobojności, niknęła w oczach. A znała stan swój i z rezygnacyą gotowała się do śmierci. Serce jéj jednak zawsze równie żywo biło dla przyjaciół i bliskich swoich. Około tego czasu pisze do Lawinii di Rovere: „Wierzaj mi, droga Lawinio, że kto tylko żyć chce pobożnie, narażony jest na tysiące utrapień. Pielgrzymami jesteśmy na téj ziemi, ale wszędzie pod stopami naszemi rozciągnięte sidła złego ducha... Modlić się trzeba bez przerwy, aby nie upaść. Niechże więc słowo Boże będzie lampą, oświetlającą ścieżki twoje. Bój się Boga tylko, a nie obawiaj się tych istot znikomych, które przejdą jako cień, jak trawka zwiędła, jak lekki dymek. Wojna szaleje wszędzie i sprawiedliwi są narażeni na ciężkie utrapienia — ale nic to nie szkodzi! Im więcéj boleści, tém bliższy dzień chwały, kiedy wszyscy połączą się w niebie. Tu, na świecie tym znikomym, rozpływającym się jako mgła, dość nam pozdrawiać się zdaleka, witać się w duchu tylko!..."

I rzeczywiście, nikogo z oddalonych a ukochanych nie miała już ujrzéć Olimpia. W lipcu 1555 r. osłabła tak, że zdawało się, iż dusza jéj uleci lada chwila, a tu mąż ciężko stroskany nie mógł nawet czuwać przy niéj nieodstępnie, odwoływany ciągle do chorych i umiérających. Od czerwca srożyła się dżuma okropna w Heidelbergu, a biegły lekarz musiał śpieszyć na wszystkie strony z radą i pomocą; sama Olimpia namawiała go do tego, a pokrzepiona chwilowo, kreśliła słabnącą już ręką serdeczne wyrazy do oddalonych przyjaciół. I tak, odzywa się ze współczuciem do Celia Curione, który ciężko zaniemógł, drżąc zarazem o życie córki swéj niebezpiecznie choréj, prosi go o wiadomości i dodaje: „Co do mnie, słabnę codziennie; gorączka mnie już nie opuszcza ani na godzinę. Tak to ręka Boża nas zabiéra, abyśmy nie ginęli ze światem razem..."

Przyjaciele Curiona w Bazylei przyjęli z silném wzruszeniem wieść o chorobie Olimpii (np. Sulcer teolog, prawnik Amerbach, Ochi-

no i t. d.), która się doczekała jeszcze pomyślnéj odpowiedzi na list swój i własną ręką znów odpisała: „Możesz osądzić, najukochańszy Celio, jak serdecznemi są uczucia tych, którzy się miłują nawzajem w Chrystusie, gdy ci powiemy, żem wylewała łzy radości nad pismem twojém. Bogu niech będą dzięki, że cię wyrwał z grobu niejako! Obyś żył długo na pociechę kościoła! Co do mnie, niewiele mi już czasu pozostało; niknę z każdą godziną: nie mam apetytu, kaszel okropny dusi mnie dniem i nocą, trawi gorączka, a bóle dotkliwe w całém ciele sen mi odbiérają. Ale do ostatniego tchnienia pamiętać będę o tych, których kocham. Nie martwcie się wiadomością o mojéj śmierci; pragnę jéj nawet, gdyż mam nadzieję połączyć się z Chrystusem w przybytku wiecznéj szczęśliwości." Dołączyła do listu tego kilka poezyi odtworzonych z pamięci, bo oryginał zaginął był w Schweinfurcie, i dopisała w parę dni późniéj słów kilka pożegnania. Ostatnie to były wyrazy, które jéj ręka kréśliła. Przyszła śmierć, ale tak lekka i piękna, że nawet mąż niepocieszony z rozrzewnieniem to opisuje:

„Na kilka godzin przed zgonem obudziła się ze snu słodko uśmiechnięta. Gdym ją spytał o przyczynę tego rozradowania, odrzekła cicho: „Widziałam we śnie miejsce napełnione światłością prześliczną..." Odwagi, ukochana moja, znajdziesz się niebawem śród téj światłości. Uśmiechnęła się znowu i rzekła po chwili: „Jestem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa." Potém zamilkła, ale gdy wzrok jéj już się zaćmił, mówiła: „Nie widzę was już prawie, ukochani, ale zdaje mi się, że wszystko wkoło mnie ozdobione cudnemi kwiatami..." To były jéj ostatnie słowa; po chwili zdawało się, że usypia, i tak wydała ostatnie tchnienie.“ Było to o czwartéj popołudniu d. 26 października 1555 r. Olimpia nie miała jeszcze dwudziestu dziewięciu lat.

Śmierć jéj żywe wywarła wrażenie w świecie uczonych, literatów oraz różnowierców w całéj Europie; posypały się wspomnienia wierszem i prozą, a sędziwy Sinapius pisze o tém do Kalwina: „Chwała, młodość, piękność, siła, wszystko to sny, jak cień, znikające... Co do mnie, straciwszy wszystko, co mi było drogie, przeżywam smutny i samotny dni moje, jak pustelnik śród piasków, jak wróbel na dachu..."

Na prośbę Grunthlera Curione pisze do wdowy Morato, oznajmiając jéj śmierć córki, a małżonek nieszczęśliwy w tych słowach żałość swą wyraża: „Ileż doświadczeń Pan na mnie zsyła! Patrzyłem na ruiny miasta rodzinnego, na zatratę majątku mego, na śmierć przyjaciół, a teraz tracę małżonkę najdroższą, któréj obecność wszystko mi zastąpić mogła. To nieszczęście, największe ze wszystkich, jak ta fala co okręt zaléwa, — pogrąża mnie w przepaści i goryczy niewysłowio-

néj. Niedola moja jest tak ciężką, że nawet płakać nie mogę, a dusza, w niemém osłupieniu pogrążona, nie czuje już nowych ciosów nawet..."

Niedługo też miał dźwigać ciężar swéj boleści. W drugim miesiącu po zgonie Olimpii, dotknięty znów zarazą, od któréj dniem i nocą ratował innych, zgasł zacny Grunthler, szepcąc wiersze z psalmu: „Jak jeleń spragniony ryczy za wód strumieniem, tak dusza moja wzdycha do Ciebie, o Boże... Kiedyż, ach kiedy! stanę przed oblicznością Twoją?..." Niebawem pośpieszył za nimi młodziuchny Emilio, tak że wszystko troje w jednym grobie spocząć mogli. W jednéj z kaplic kościoła ś. Piotra w Heidelbergu dotąd czytać można nagrobek Olimpii:

W Imię Boga Przedwiecznego
i ku pamięci
OLIMPII MORATY,
córki Peregrina Morato z Mantui, znakomitego profesora w Ferrarze; ukochanéj małżonki lekarza Andrzeja Grunthlera. Rozum jéj i wyborna znajomość obu języków, nieporównana czystość obyczajów i pobożność wzniosły ją wysoko nad płeć jéj. Świadectwo, jakie złożyła życiem, przewyższyła śmierć jéj spokojna, szczęśliwa, święta.
Zmarła roku Pańskiego MDLV, w wieku lat XXIX, na ziemi obcéj.
Tu spoczywa z mężem i bratem Emilem.

Hymn żałobny na cześć Olimpii Moraty
przez C. Curione.

Czy wiész, czemu to miejsce kwieciem zasypane, wydaje woń fiołków i lilii? Słuchaj a powiem ci. Znasz trzy Gracye i dziewięć Muz, słynnych w starożytności. Uposażeniem tych dziewic nieśmiertelnych było wszystko to, co natura i sztuka w połączeniu z blaskiem nauki wydać może najpiękniejszego, gdy ją ożywi natchnienie z nieba. Ta, która zdaje się być uśpioną w tym grobie, jest dziesiątą muzą, a czwartą z Gracyi. Córa nieba, przez poezyę duszy swéj, otrzymała imię *Olimpii*. — *Fulwia* drugiém jéj było imieniem, dlatego że wypróbowana w ogniu doświadczeń srogich, znaleziona była czystszą niż złoto,—albo dlatego, że, za przykładem orła szybującego w krainach światłości, uleciała wcześnie od ziemi téj. Wreszcie szlachetność umysłu jéj, połączona z czystością obyczajów i życia świątobliwością, pozyskała jéj przydomek *Moraty*. Chrystus, boski Mistrz jéj, pożyczył ją świa-

tu na krótką chwilę, a widząc ją cierpiącą na tém wygnaniu, przywołał do siebie napowrót i połączył się z nią na wieki węzłami najczystszéj miłości. Teraz spoczywa i kosztuje uciech wiekuistych, niebiańskiéj szczęśliwości. Przechodniu, ktokolwiek jesteś, obyś żył dłużéj na téj ziemi, pełniąc cnoty, które cię zaprowadzą do wiecznego przybytku.

Pierwsze wydanie dzieł Olimpii ukazało się także za staraniem Curiona w Bazylei 1558 r., poprzedzone przedmową zwróconą do Izabelli Manricha de Bresegua, jednéj z najznakomitszych członków gminy ewangielickiéj, założonéj w Neapolu przez Piotra, Martyr zwanego. Wydanie to zawiéra małą cząstkę tego, co napisała Olimpia, reszta bowiem została pogrzebana pod zwaliskami Schweinfurthu, na zawsze. — W téj saméj przedmowie czytamy: „Morata pisała krytyczne uwagi nad Homerem oraz liczne poezye religijne, wzniosłe duchem a wykwintne formą. Układała także wyborne dyalogi po grecku i po łacinie, naśladowane z Platona i Cycerona, ale wszystko prawie zostało zatracone...”

Edycya ta, jakkolwiek niezupełna, obudziła jednak takie zainteresowanie, że wyczerpano ją w ciągu roku; pojawiła się więc druga już w r. 1562, dedykowana Elżbiecie, królowéj angielskiéj, ze stosowną przedmową i dodaniem utworów, poświęconych uczczeniu lub pamięci Moraty. Po wyczerpaniu i téj edycyi, pojawia się nowa w r. 1570, pod okiem umierającego już C. Curione, a w końcu czwarta w r. 1580-ym, równie szybko wyczerpana, jak i poprzednie; — a jednak dzisiaj zaledwie małemu gronu badaczy i literatów znane są utwory Olimpii Moraty.

Wyrosła u proga dwóch światów różnych, doskonale wyobraża to przejście z pogańskich przybytków klasycyzmu do wzniosłych świątyń chrześciaństwa. W duszach tych, wykarmionych świetnemi tradycyami piękna, kołysanych wspaniałym korowodem muz i piewców greckich, budzi się nagle pragnienie prawdy, a w poszukiwaniu namiętném tego skarbu rzucają się na rozmaite drogi; nie bacząc na przeszkody, idą daléj, choćby przez męki, wygnanie, śmierć na stosie. Taką téż była Morata.

Zaczerpnąwszy na gruncie klasycznym siły z wdziękiem połączonéj, wytworności z prostotą szlachetną, rozwijała skrzydła do spokojnego, szerokiego lotu, gdy nagle uderzył ją wir zaburzeń religijnych, téj walki umysłów niespokojnie szukających dróg nowych, bo im nie wystarczały już dawne, bo wszystko wstrząsnąć i przekształcić pragnęły. I uczuła, że sama nauka jéj nie wystarczy, że serce jéj rwie się

wyżéj, do Boga, któremu zapragnęła poświęcić całą duszę swą, myśli i życie, a obrała do tego drogę, która jéj się najlepszą wydawała. Co w niéj uczcić musimy, to wierność przekonaniom, które uważała za zbawienne, a służyła im z zaparciem się spokoju, dostatków, życia nieledwie własnego i ukochanych swoich. A cnoty chrześciańskie, niezależne od jéj wyznania kościelnego, słodycz niewieścia, miłosierdzie, stokroć silniéj zdobywają naszą dla niéj sympatyę, niż ta wielka uczoność, która olśniła świat literacki.

Żałować należy, że władając tak pięknie łaciną i greką, Morata zaniedbała język ojczysty, a przecież posługiwali się nim dawniéj już Dante i Petrarka, naginając go do najsubtelniejszych odcieni myśli.

Pamięć Olimpii zatarła się razem z reformacyą, wytępioną we Włoszech, a któréj tak gorącą była zwolenniczką; temu w znacznéj części przypisać należy zaniedbanie, jakie się stało jéj udziałem; a jednak i katoliccy historycy literatury odzywają się o niéj z wielkiém uznaniem, ubolewając tylko nad błędami religijnemi, którym uległa.

Rzadkie połączenie talentów literackich z cichemi cnotami domowemi poczestne w dziejach cywilizacyi zapewnia miejsce téj zacnéj niewieście, która, zasłynąwszy w rodzinnéj Ferrarze, jakby jedna z dawnych dziewic greckich, późniéj na wygnaniu, śród klęsk i utrapień rozlicznych, staje się podobną świątobliwym matronom chrześciańskim.

M. Korczak.

Jadwiga Tarłówna.

DRAMAT DZIEJOWY

w 5-ciu aktach *).

AKT IV.

Komnata w zamku Sieniawskiego w Brzeżanach, — na prawo stoi Krypski. — Zgłębi wchodzi Płaza.

Płaza. Ha, jest choć jeden!... Czy was nawiedziło
Powietrze? Pusto wszędzie, aż niemiło!
Co się tu dzieje?
Krypski. Cóżby się dziać miało?
Płaza. Przybywam — w drodze byłem przez noc całą.
Spoczynku trzeba panu i koniowi.
Myślałem, że mnie ujrzą wnet domowi,
A tu nikogo z dworzan, ni z czeladzi.
Krypski. Znać jawnie dają, jak gościowi radzi.
Płaza. Nieradzi? Czemu? Co też waszmość plecie?
Pan rad mi zawsze bywa, a to przecie
Rzecz najprzedniejsza .. Wołaj waść czeladzi!
Do stajni konia niech kto zaprowadzi.

*) Patrz „Ateneum", lipiec r. b., str. 26.

Cóż waść utknąłeś by wrona na żerdzi?
Idź, wołaj ludzi!
Krypski. Czego się pan sierdzi?
Płaza. Czyś waspan szlachcic?
Krypski. Taki jak wy, panie...
Ni kęs nie gorszy.
Płaza. A to nadspodzianie
Służebny szlachcic pełen animuszu!
A nużbym waści świsnął koło uszu
Dobytym kordem.
Krypski. Proszę, jeśli łaska.
Płaza. Zachciałeś... ruszaj sobie gdzie do dyaska!
Waść radbyś, bym cię udarował raną,
Byś miał ją zatém w grodzie zapisaną,
A jabym za nią płacił złotych dwieście.
Co to za czasy! Nie wierz tu niewieście,
A chłopu niemniéj, bo i ten oszwabi.

(Za sceną wołania i głośna rozmowa).

A tam, u licha, co to za wrzask żabi?
Krypski. Niewieście głosy.
Płaza. Pewnieć białogłowy
Ze sobą wiodą nadobne rozmowy.
Ilekroć gdzie się zejdą te szczebiotki,
Nie poznasz, azaż kłótnia, czy téż słodki
Rozhowor. (Z prawéj wchodzi Hanna).
Hanna. Kto tu? Aha, mości Płaza.
Płaza. Panienko, witaj!
Hanna. Witam.
Płaza.. Czyż uraza,
Że was pozdrawiam.
Hanna. Może.
Płaza. Ślicznie, cudnie!
To mnie witają!
Hanna. Szczerze, nieobłudnie!
Płaza. Jechałem tutaj nie z taką nadzieją.
Hanna. Eh, waść tam wzrasta, gdzie go nie posieją.
(Do Krypskiego) Iść proszę z księgą tą do pani mojéj.
Płaza (odbiéra książkę). To późniéj — koń mój na podwórcu stoi.

Co to za księga? Rymy, jak Bóg miły.

Hanna. To nasze panny sobie pożyczyły
Od pani... (odbiéra książkę).

Płaza. Biedać z temi niewiastami,
Bo czyliż można, powiedźcie to sami,
Nad rymem w księgach siedzą przez dzień cały.
Stąd na koszule płótna tak zdrożały,
Iż przyjdzie człeku od bab wiejskich zgrzebne
Gzło nosić, bo nam lnu panny służebne
Prząść nie chcą dzisiaj!... Niech je porwą kaci!

Hanna. A niech waszmości z piekła czart zapłaci
Za to gadanie.

Płaza. Prawdęć mówię szczerą.
(Do Krypskiego) Waść idź do konia, aż mnie dyabli biorą,
Że na podwórzu bez obroku stoi.
A wam ja mówię — kto się Boga boi,
Niech ksiąg nie daje pani, lecz jéj wzbrania.
Toć ciągły smętek ma z tego czytania.

Hanna. Skąd waść chce wszystko rządzić po swéj woli?

Płaza. Bo z tego, co tu widzę, serce boli.
Ożenek pański zmianę niespodzianą
Do Brzeżan przyniósł. Dawniéj ucztowano,
Jedzono, pito w każdéj roku porze.
A dzisiaj smętek, cisza by w klasztorze,
Acz młodéj pani wcaleby się zdały
Uciechy różne. W Czapli przez rok cały
Wciąż się bawiono.

Hanna. A kto winien temu?

Płaza. Wy, co rządzicie tutaj po swojemu.
O te niewieście rządy!

Hanna. Znów waćpana
Ukąsił jakiś giez... Będzieć do rana
Wywodził skargi na nas, białegłowy.

Płaza. Oh, kto cię poznał, rodzie ty wężowy,
Czyż milczéć będzie na to wszelkie licho?
Ogłosi trąbą, jako pod Jerycho,
Co wy robicie jawnie i kryjomo.
Co umié biała płeć, toć to wiadomo.
Historyę znacie trefną — daj to katu!
Jak białegłowy poszły do senatu

Uprosić sobie, by im wolno było
Po dwu małżonków pojmować, boć miło
Aż dwu na dudków wystrychnąć.

Hanna. Eh, baśnie!
To wyście chcieli, jak czytałam właśnie,
Mieć każdy żony dwie... Lecz i bez prawa
Z was każdy sobie pozwoleństwo dawa
Po kilka niewiast pojmować, choć śluby
Połączą z jedną... Boże, któż do zguby
Niewiastę ciągnie, gdy nie chłop?... Cóż chcecie?
Toć wasz jest statut, że wara kobiecie
Od tego, co wam wolno...

Płaza. I to zmierza
Do onéj prawdy, że wszystkie halerza
Nie warte!

Hanna. Hola! A cóż nasza pani!

Płaza. A któż przymawia jéj, lub kto ją gani?
Acz to chowane w wielkim domu, w rodzie
Szlachetnym, aleć ni w mowie, ni w chodzie
Hardości nie znać. Choć to jeszcze młode,
Bogate w mienie, ludzką cześć, urodę,
Stateczna jednak, by jaka matrona,
A czegoś smutna, jakby przygnębiona
Brzemieniem ciężkiém, aż tu przykro siedziéć
Gościowi.

Hanna. Snadź ma powód.

Płaza. Radbym wiedziéć,
Jakowy powód.

Hanna. Waszmość zbyt ciekawy,
To rzecz nie nasza badać pańskie sprawy.

(Z prawéj wchodzi Sieniawski, opiérając się na kiju).

Sieniawski. Mówiono, że ktoś do zamku zawitał.
Kto taki, pytam... ledwiem się dopytał,
Że to wy, Płazo.

Płaza. Pokornie się chylę
Do stópek pańskich.

Sieniawski. Witam, witam mile.

Płaza (do Hanny i Krypskiego). A co? słyszycie?

Hanna (szyderczo). Dziwy!

Sieniawski. Ileż razy
Myślałem sobie: niéma mego Płazy.

W Brzeżanach zawżdy jednym z milszych gości
Bywałeś.
Płaza. Sługam ja Waszéj Miłości.
Sieniawski (do Hanny i Krypskiego). Odejdźcie, każde do roboty swojéj.
Płaza (do Krypskiego). Waść pomnij, że mój koń na dworze stoi.
(Hanna i Krypski odchodzą na lewo).
Jak zdrowie pańskie?
Sieniawski. Nogi włóczę słabo.
Przeklęta niemoc! Ona męża babą
Uczyni. Przytém gniéwa mnie to srodze,
Że cały muszę ulegać złéj nodze.
Co słychać?
Płaza. Dobrze wszędzie... czas spokojny.
Sieniawski. A mnieby trzeba jakiéj wielkiéj wojny,
Bym znowu konia dosiadł, buzdyganem
Wywijał, wtedy znowu będę panem
Samego siebie. W polu przez dzień cały
Uporne nogi znówby mnie słuchały.
Płaza. Stargałeś, panie, dość na wojnie siły.
Sieniawski. Nie prawda — one lata mnie zniszczyły,
Co w domu siedzę.
Płaza. W szczęściu i spokoju?
Sieniawski. Ach, ty nic nie wiész o zaciętym boju...
Płaza. O jakim, panie?
Sieniawski. Który toczę w domu.
Dotyczas o nim nie rzekłem nikomu,
Pierwszemu tobie.
Płaza. Za to zaufanie
Pokorne dzięki, miłościwy panie.
Sieniawski. O, bój to straszny za domowym progiem
Z jakowymś tajnym, niewidzialnym wrogiem,
Którego nigdzie dosięgnąć nie mogę,
Stąd ból wszedł w serce większy niżli w nogę
I snadź do zgonu dręczyć nie przestanie.
Płaza. Trza dom wyświęcić... snadź to jest nasłanie
Piekielne...
Sieniawski. Darmo, mara to obrzydła,
Co się nie zlęknie księżego kropidła.
Płaza. W dostatkach, szczęściu i przy młodéj żonie!
To dziwna, panie!

Sieniawski. To mi właśnie w łonie
Niepokój budzi.
Płaza. Mogą być i czary.
Sieniawski. Największy czar w tém, że ja jestem stary,
A ona młoda...
Płaza. Jeszczeć nie te lata,
By zwać starością.
Sieniawski. Wiem... wiem to, u kata,
Żem niezbyt stary... nie sędziwy jeszcze!
Żem osłabł w nogach?... Boć ja się nie pieszczę,
I nogi w życiu dość się spracowały.
Lecz jam nie starzec... jeszcze się włos biały
Na głowę nie wkradł...
Płaza. Panie miłościwy,
Kto na cię spojrzy, sądzi, że to dziwy,
Tak świéża z twarzy bije ci uroda.
Sieniawski. Tak sądzisz?
Płaza. Sądzą wszyscy.
Sieniawski. Przeto szkoda
Byłaby, gdyby ona nie sądziła,
Och, gdybyś wiedział, jak mi ona miła!
Gdym ją raz pierwszy ujrzał, mnie się zdało,
Że to Cypryda, jako wyszła białą
Z pian morskich! Boże! Że mi się dostanie,
Czym marzył kiedy? Ach, jak niespodzianie
W objęcie moje padła!... Boże, Boże!
Czy ona jeszcze miłować mnie może?
Azali wiecznie będzie jako skała?
Płaza. Miłować musi... wżdyć nie miłowała
Nikogo dotąd...
Sieniawski. Cieszysz myślą błogą,
Że w sercu u niéj nie było nikogo.
Bo czémże Bogdan był z obcém obliczem?
Nadzieją tronu... a krom tego... niczem.
A na tron nawet nie szła z własnéj chęci,
Z namowy matki, stryjów... Ach, przeklęci!
Byliby młodą dziewkę zaprzedali
Na zgubę pewną, bo któż się utrwali
W tym strasznym kraju, gdzie władcy nie strzegą
Poddanych serca?
Płaza. Bóg ją strzegł od tego.

Sieniawski. Więc choćbym na to miał nałożyć duszę,
Ja to dziewicze serce zyskać muszę,
Otworzyć muszę serce to zamknione.
Ach, chciano kupić je aż za koronę!
Posłuchaj, Płazo... twą przebiegłą swadą
Dobadaj tego, czemu wżdy jest bladą,
Dlaczego chmura gładkie czoło mroczy,
A kiedy spojrzy na mnie, to jéj oczy
Jak gdyby gorzkie sypały wyrzuty.

Płaza. Azaliż zdołam?

Sieniawski. Dar otrzymasz suty...
Ty wiész, że darów nie skąpię nikomu.
Zasługę będziesz miał... bo w moim domu
Przywrócisz spokój, szczęście.

Płaza. Jasny panie,
Gotowy jestem na twe rozkazanie.

Sieniawski. Wybadaj... pomnij... nie będziesz żałował...
(Odchodzi na prawo).

Płaza (sam). Azaliż chce on, bym matactwa knował?
Skąd ja mam wiedziéć, co się tam w niéj kryje,
Czy miłość dawna, czy téż zgryzot żmije
Jéj serce toczą? Mędrzec to nie lada,
Kto białą głowę do dna duszy zbada.
(Z lewéj wchodzi Jadwiga, za nią Służebna).

Jadwiga. Mówiłaś przecie, że tu ma być Hanna.

Służebna. Przed chwilą była. (Płaza kłania się nisko).

Jadwiga. Ach, zorza poranna
Waćpana widać z domu wywabiła,
Żeś się tak wcześnie zjawił. (Do służebnéj) Moja miła,
Idź, szukaj Hanny. (Służebna odchodzi na lewo).

Płaza. Noc jechałem całą,
Bo serce moje wielce pożądało
Oglądać Waszych Miłości oblicze.

Jadwiga. Dziękuję. Za to ja waćpanu życzę
Wszéj pomyślności. (Z lewéj wchodzi Hanna).
Ktoś jeździł do Lwowa.
Czy przywiózł książki?

Hanna. Gdzie tam chłopska głowa
O księgach myśli.

Jadwiga. Wszakżem to zleciła.

Hanna. Powiada, że miał spraw na głowie siła.

Jadwiga. Spraw? jakich?

Hanna. Miał snadź kupić z wierzby gruszek.
Ot, wprost zaniechał pamięć u pań duszek,
Lub też ją sobie zalał gdzie pod wiechą.
A skąd chłop taki wié, że nam uciechą
Są księgi mądre?

Płaza. Miłościwa pani,
Że rada czytasz, tego nikt nie zgani...
Nikt... ja atoli...

Hanna. Z waści mąż uczony,
Lecz ksiąg nie lubisz jakoś...

Płaza. Na przegony
Z waćpanną nie chcę szermować językiem.

Hanna. Mąż śmiały gardzi słabym przeciwnikiem.

Jadwiga. Ach, pozwól, Hanno, niech pan Płaza powie,
Skąd się na księgi zawziął.

Płaza. Bo z nich w głowie
I w sercu jeno próżny żal osiada,
A kogo chwyci melancholia, biada!

Jadwiga. Rzecz niesłychana — dziwięć się nowinie,
Że z ksiąg do duszy melancholia płynie...
A gdybym panu Płazie powiedziała,
Że w onych leży ma pociecha cała,
Co w moim smętku duszę uwesela?

Płaza. A skąd on smętek?

Jadwiga. Waść się więc ośmiela
Mnie badać!... Czemu?

Płaza. Zuchwalstwo nielada!
Mój afekt na mnie tę powinność wkłada,
Boć wojewody serce to przenika.

Jadwiga. Azaliż w waści sobie powiernika
On obrał?

Płaza. Tak jest... muszę wyznać szczerze.

Hanna. No patrzcie!

Jadwiga. Waść więc dlatego się bierze
Do wybadania, co się we mnie skrywa.
A cóż odsłonić mogę nieszczęśliwa?

Płaza. O chciéj mi ufać, miłościwa pani!

Hanna. Mospanie Płazo, wstać trza było raniéj,
By to podpatrzéć, co się dobrze chowa.
Na takie rzeczy nie waścina głowa.

Jadwiga. Co tu podpatrzéć? Azaż ja co kryję?
Czy tajemnego coś dopatrzą czyje,
Chociażby nawet najostrzejsze oczy?
Płaza. Ukryty robak serce wasze toczy.
Hanna. Daremnie kusisz waść wymową słodką.
Nic się nie dowiész i nie będziesz plotką
Zabawiał ludzi, by tych skarbić sobie,
Co łatwo wierzą.
Płaza. Azaż plotki robię?
(Z lewéj wchodzi Pokojowiec).
Pokojowiec. Pan Sęp przyjechał.
Jadwiga. Bogu w niebie chwała!
No, teraz, Hanno, księgi będę miała.
Gdzie on?
Pokojowiec. W téj chwili poszedł tam... do pana.
Jadwiga. Gdy wyjdzie, powiédz mu, Hanno kochana,
By przyszedł do mnie i przyniósł swe księgi.
(Odchodzi na lewo, Hanna odchodzi na prawo).
Płaza. Hm, to coś znaczy. (do pokojowca) Z ciebie młokos tęgi.
No, powiédz, kto ten pan Sęp?
Pokojowiec. Szlachcic młody,
Wioseczkę blisko pana wojewody
W dzierżawie trzyma...
Płaza. Częstoż u was bywa?
Pokojowiec. Dość... księgi pani wozi.
Płaza (do siebie). To odkrywa
Zasłony rąbek... Świta mi coś w głowie.
Posłuchaj, chłopcze! Jak ten pan się zowie?
Pokojowiec. Ten, co przyjechał?
Płaza. Tak, on.
Pokojowiec. Sęp Szarzyński.
(Odchodzi na lewo).
Płaza (sam). Ha, teraz jakby mi kto kamień młyński
Odwalił z ziemi... wszystko się odkryło.
Rozumiem... choć to będzie im niemiło.
Prawiła do mnie: nie waścina głowa,
A ja już wszystko wiem... on żak z Krakowa,
Tam w Czapli bawił... ludzie coś szeptali
O pannie, o nim... wiem... wiem... i tak daléj.
(Z prawéj wchodzi Sieniawski).

Sieniawski. Czy z nią mówiłeś?
Płaza. Mówiłem.
Sieniawski. Cóż z tego?
Płaza. Niewiasty dobrze tajemnicy strzegą,
Gdy ich się tyczy... Zdały się urazą
Pytania moje.
Sieniawski. Cóż więc myślisz, Płazo?
Płaza. Tajnego smętku zwykle dwie przyczyny
Bywają... jedna brzemię skrytéj winy...
Sieniawski. Szalony!... pomnij, że to było przecie,
Gdy do ołtarza szło, nieomal dziecię...
Niewinne... w zacnym domu wychowane...
Nie... nie... ja na to nigdy nie przystanę!
Przyczyna druga?
Płaza. Może w głębi łona
Jakowaś miłość silna a tajona.
Sieniawski. O Boże! tego lękałem się słowa.
Atoli wszak to twoja była mowa...
Niedawno... dzisiaj... prawiłeś tak śmiało,
Że dotąd serce jéj nie miłowało
Nikogo... Prawda?
Płaza. Któż zaręczyć może?
Sieniawski. Więc kogo?... W pierś mi wpychasz ostre noże.
Bogdana? W to ja uwierzyć nie mogę,
Toć poszła za mnie, by mu zamknąć drogę
Na zawsze...
Płaza. Wszakże w Czapli onéj chwili
Młodzieńcy różni na dworze bawili.
Sieniawski. Ruszylić w pole... wojna ich zabrała...
Płaza. Atoli była gromadka niemała
Tych, co zostali... U pani Reginy
Bywały wonczas maszkary, festyny...
Sieniawski. Wżdyć pani matka dawała baczenie..
Płaza. A któż ustrzeże, gdy niepostrzeżenie
W serduszko wpadnie wąsik, włos trefiony?
Naonczas był tam młodzian, wieszcz natchniony,
Układał rymy... Coś szeptano zcicha,
Że w wierszach swoich wieszcz do panny wzdycha...
Wtém nagle zniknął... rzecz się dziwną zdała...
Podobno matka drzwi mu ukazała.

Sieniawski. Poeta mówisz? Takić u nas bywa.
Płaza. Azali rymów twórca?
Sieniawski. Lecz uczciwa
Imienia sława od podejrzeń chroni.
Płaza. Toć pewnó nie ten... Tam mówili oni,
Że swemi rymy on foremny gaszek
Serduszka wzruszał rusinek i laszek,
I że Jagwiga...
Sieniawski. Toć nowiny piękne!
Ty wiész, żem mężny, że się nie przelęknę,
Chociażbyś doniósł, że blisko Tatary,
Lecz na wieść taką... albo... nie dam wiary,
Lub téż... (siada) Myśl w głowie jedna drugą ściga.
Więc cóż? Mówiono w Czapli, że... Jadwiga...
No, mów!...
Płaza. Że panna młodzianowi sprzyja.
Sieniawski. Więc mu sprzyjała, i on dziś jak żmija
Pod moją strzechę wpełzł!...
Płaza. Toć nie on może.
Sieniawski. On, on, zaiste! Jak się zwał?
Płaza. O Boże!
Ach, jak go zwano?... Mam języka blisko
Sieniawski. Szarzyński!
Płaza. Zda się tak... Sęp na przezwisko,
Sieniawski (zrywa się). To on!
Płaza. O panie, noga chora...
Sieniawski. Zdrowa!
Nie noga!... Boli... pęka z bólu głowa.
To on!... Tak, Płazo, on tu u nas bywa!
Przywozi książki... Ona go przyzywa,
By rymy czytał jéj... Z rąk moich kruki
Nierzadko pastwę miały, lecz téj sztuki
Nie umiem, on ją umié... Sam układa
Foremne rymy... Biadaż mi, ach, biada!
Już nie pozyskam serca jéj... nie... wcale...
Bo on je zabrał!
Płaza. Smutna to rzecz... ale,
O panie, pociesz się...
Sieniawski. Ach, skąd pociechy
Zaczerpnąć? Chyba w tém, że to za grzechy

Dotkliwa kara?... Coś się w głowie miga...
Pamiętasz, Płazo... wtedy, gdy Jadwiga
Raz pierwszy oczom mym się ukazała?

Płaza. Pamiętam... wonczas dziwna rzecz się stała —
Hospodar Bogdan składał hołd w Krakowie...

Sieniawski. Spłoszone konie biegły...

Płaza. I żakowie
Na pomoc biednym paniom się rzucili...
Ich było czterech...

Sieniawski. Tak... tak... onéj chwili
Pomiędzy nimi był on... wstrzymał konie...
Na ręku niósł zemdlałą... W jego łonie
Zażegła miłość wonczas...

Płaza. Był rażony
Jéj cudną krasą.

Sieniawski. Tak... tak... ja szalony
Straciłem rozum... Jam mu radził wtedy,
By precz uchodził od serdecznéj biedy
Na krańce świata... przed jéj wdzięków siłą
Nieprzemożoną... Mnie to raczéj było
Swéj własnéj rady słuchać. Słowa twoje
Tak mi okropnie brzmią, że aż się boję
Samego siebie... Okropności tyle!

Płaza. Spokoju, panie!

Sieniawski. Zyszczę go w mogile!

(Sieniawski i Płaza odchodzą na prawo,—z lewéj wchodzą Sęp i Hanna).

Sęp. Oznajmić pani raczcie, że dziś nowe
Przywiozłem księgi...

Hanna. Pono mącą głowę...
Tak nam przynajmniéj prawił dziś pan Płaza.

Sęp. Ach, jednym mądrość przymiot, drugim skaza,
Jak czyja głowa. (Z lewéj wchodzi Jagwiga).

Jadwiga. Witam! Sąsiad wierny
Pamięta o nas w łasce swéj niezmiernéj,
Bo widzę jakieś książki w jego ręce.

Sęp. Dla pani niosę.

Jadwiga. Chciałabym w podzięce
Tak się wysłowić, jak to waćpan umie...
Acz w białogłowskim nie jest to rozumie.
(Do Hanny). Te książki, Hanno, nieś do méj komnaty.

(Hanna zabiéra książki i odchodzi na lewo).

Pan Sęp, co w rozum i dowcip bogaty,
W zaciszy wiejskiéj nowe rymy składa
Niechybnie...

Sęp. Czasem...

Jadwiga. Ach, jakżebym rada
Przeczytać... Wszak mi wiersze obiecane
Przywiozłeś waćpan?... Że je dziś dostanę,
Już mi od rana przeczucie mówiło.

Sęp. Przywiozłem, co się naprędce skleciło,
Lecz czy to waszéj uwagi jest warte?

Jadwiga. Nadmierna skromność! Proszę dać mi kartę.

Sęp, Ach, nic w niéj niema!

Jadwiga. Jakowaś zaleta
Snadź się tam najdzie! O szczęsny poeta!
Toć on obleka w rymów szatę cudną,
Co i my czujem... aleć nam zbyt trudno
Wyrazić myśli słowy właściwemi.
W tych rymach dziwna moc, która nas z ziemi
Wynosi w górę, niby skrzydła ptaka.
Powszednia życia treść wciąż tak jednaka,
Więc pocóż sobie lotów tych żałować?
(Czyta) „I nie miłować ciężko i miłować
Nędzna pociecha..." Jak to? Miłość nędza?
Toć najcudniejsza jest żywota przędza.
Pociecha nędzna?... Azaż to poeta
Powiada?... Toć to rozkosz i podnieta
Do wielkich czynów!... Gdy jesteśmy młodzi,
Skarb cenny... chocia z wiekiem precz uchodzi,
Lecz pozostawia słodką rzecz... wspomnienie.

Sęp. Rozedrzyj, pani, kartę... W jakiéjż cenie
Po twoich słowach będą moje wiersze?

Jadwiga. Jeślibyś miłość szczerzéj czuł, to szczersze
Byłoby onych myśli wysłowienie.
Przez serce gdy myśl przejdzie, już i brzmienie
Do serca trafia... jak słowo w kościele.

Sęp. O pani, mówisz tak, iż się ośmielę
Zapytać, czyżeś kiedy miłość czuła.

Jadwiga. Ciekawie waćpan badasz. Nim mi stuła
Kapłańska wolność i świat zawiązała,
W żywocie moim była krótkotrwała,
Przelotna miłość... lecz to już stracone...

Sęp. Ach, mów, mów, pani.

Jadwiga. Czyż długo tajone
Mam wykryć teraz?

Sęp. Błagam...

Jadwiga. Była chwila
Z tych jedna, w których Niebo nam przychyla
Fortuny szalę... Brakło jeno słowa
Jednego, ja zaś byłabym gotowa
Na krańce świata ujść, choć w jednéj szacie,
Zamieszkać w nędznéj i ubogiéj chacie,
Wieść służebnicy żywot pełen trudu...
Jednego słowa trza było, jak cudu,
Lecz los zawistny rozrządził inaczéj.

Sęp (do siebie). O Boże wielki, chroń mię od rozpaczy.

Jadwiga. Ach, gdyby wonczas mocą mnie porwano,
Gwałtowi szczęścia nadałabym miano.

Sęp. I tyś, o pani, nic nie rzekła?

Jadwiga. Pono
Innego męża w niebie mi sądzono!
Już z tém wstawałam co każdego ranka
I szłam pokorna, jakby w jasyr branka,
Co już nadzieję wyzwolenia zbyła.

Sęp. O Boże, jakaż straszna losów siła!
A on?...

Jadwiga. Odjechał daleko... daleko!

Sęp. Wspomnienia pędzą rozhukaną rzeką,
Więc on?...

Jadwiga. Stój, grzechem jest samo wspomnienie.
Ach, gdzież zawiodło mnie to uniesienie,
Gdym one wiersze niebaczna czytała!
Tę kartę daj mi! Miłość rzecz nietrwała!
Pociecha nędzna! (czyta) „Gdy żądzą zwiedzone
Myśli cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować."
Atoli jakże ciężko nie miłować!

Sęp. O pani!

Jadwiga. Cicho! Marzymy jak dzieci
O dziwie, który tak wysoko leci,
Że go nie chwycisz, choćbyś się pod chmury
Potrafił wzbijać... Co w czasu pazury
Już wpadło, jeno w myślach się nie starło...

Sęp. Ach, gdyby przeszłość ożywić zamarłą!
Jadwiga. Przestańmy marzyć... marzyć się nie godzi.
Zapóźno!... Słyszysz kroki?... Mąż nadchodzi.
(Z prawéj wchodzi Sieniawski).
Sieniawski. Ach, gość mój z panią... w rymy zaczytani...
Nawiedził pana... i zaszedł do pani...
No, dzięki za to... Ona niech dziękuje,
Bo ja... wdzięczności w sercu mém nie czuję...
Jadwiga. Zaiste, wdzięcznam jest panu Sępowi,
Bo piękne rymy przywiózł mi...
Sieniawski. Tém łowi
Przychylność twoją... Waszmość rymy składa.
Za dni młodości méj nie rym i swada,
Lecz huk wystrzałów i szczęk broni brzmiały
W młodzieńczych uszach... zbrojną ręką chwały
W potyczkach z wrogiem dobijał się młodzian.
Dziś inną sławą pragnie być przyodzian.
Sęp. Azali Wasza Miłość onę gani?
Sieniawski. Ach, mniejsza o mnie! Pytaj o to pani.
(Do Jadwigi) Ty lubisz pieśni. Często się to zdarza,
Że kto miłuje pieśni, i pieśniarza
Pokochać zdolen...
Sęp. Panie miłościwy,
Azaliż jaki piekieł duch kłamliwy
Zaślepił oczy wasze?
Sieniawski. Z tego szydzę!
Nie ślepym... wiem... wiem, że serce w Jadwidze
Nie spało, kiedy była narzeczoną...
I dzisiaj nie śpi, acz jest... moją żoną.
Jadwiga. Ach, czemu Wasza Miłość mnie spotwarza?
Sieniawski. A gdybym ciebie zawlókł do ołtarza,
Byś tam przysięgła — ach, przysięgą srogą,
Że w twojém sercu, nikogo... nikogo...
Nie było... że tam niema nic?
Jadwiga. Ach, panie,
Czém zasłużyłam na to pokaranie?
Sieniawski. Ty nie wiész?
Jadwiga. Nie wiem...
Sieniawski. Och, tak... dobrze widzę.
Idź precz, bo kłamiesz! Ja się kłamstwem brzydzę.
Idź precz! Oblicze w cieniach skryj komnaty.

Jadwiga. O Boże, Boże! (Odchodzi na lewo).

Sieniawski. No, przed ilu laty
To było?... Powiédz!

Sęp. Gniéw wasz, wojewodo,
Powstrzymaj... pomnij, że wam grozi szkodą
Nienagrodzoną nigdy, waszéj żonie
Niesprawiedliwą krzywdą.

Sieniawski. Już w mém łonie
Ucichła burza... Powiédz, jak to było
Naonczas... Pomnisz... Wielu was bawiło
Na dworze w Czapli... a tyś w kole oném
Serduszka mamił słowem okraszoném
W nadobne rymy... aż ci drzwi wskazano.

Sęp. To fałsz!

Sieniawski. To prawda! Cała rzecz mi znaną!

Sęp. To fałsz!... Acz prawda, że pod wpływem czaru
Jéj krasy czułem afekt, lecz pożaru
Ma dusza zlękła się i opuściłem
Sam dobrowolnie zamek.

Sieniawski. Tak ci miłém
Zbawienie duszy, iż kłamiesz tak śmiele?

Sęp. Przysięgnąć mógłbym...

Sieniawski. O... tak... choć w kościele,
Że nie wiész, dokąd czyny twe przywiodły.
Tyś stamtąd uciekł, jak podpalacz podły,
Co precz umyka, rzuciwszy zarzewie,
A potém przysiądz gotów, żeć on nie wie
Nic o pożarze...

Sęp. I ja w głębi duszy
Przeniosłem wiele męczarń i katuszy.
Nie prędkom w sobie zapał swój ukrócił
W dalekich stronach.

Sieniawski. Więc po coś tu wrócił?
Azali było to jak siewcy praca,
Co rzuca ziarno, a potém powraca
Oglądać posiew i pilnować plonu?
Ach, tobie trzeba było aż do zgonu
W dalekich ziemiach błąkać się... na krańce
Uciekać świata, boć tu żadne szańce
Od zguby zakryć waszych serc nie mogą.

Sęp. Azalim myślał?...

Sieniawski. Idź... idź swoją drogą,
Acz twoja droga z moją wciąż się plącze.
Posłuchaj jeszcze... prędko to zakończę.
Gdy wonczas niebios wola niezbadana
Zesłała rychły kres sprawie Bogdana,
Tam w Czapli w onym dniu zgryzot i troski,
Gdy ją poganił srodze pies wołoski,
Jam rękę moją złożył jéj w ofierze.
Dlaczego? spytasz. — Bo myślałem szczerze
Dziewicy sławę zasłonić przed światem.
Ja byłem dla niéj więcéj niźli bratem,
Acz nie kochankiem jeszcze... Byłem pewny,
Iż zyszczę serce uśpionéj królewny,
Bom sądził, że w niéj śpi. Snadźby i było
Za szczerą miłość ku mnie się skłoniło,
Lecz ty wróciłeś. Sumienie twe nie wie,
Że po to, aby przygasłe zarzewie
Rozdmuchać znowu sztuką twą przeklętą.

Sęp. Wolałbym, żeby głowę mi ucięto.
Miast tych wyrzutów każ mnie zabić raczéj.

Sieniawski. Tak mówić łatwo... Zabić!... Cóż to znaczy?
Azali nie wiész, że zbój swéj ofierze
Męczeński daje wieniec, sam zaś bierze
Okropne brzemię na sumienie swoje?...
Ty żyw być musisz! Śmierci twéj się boję,
By nie stawała mara twa obrzydła
Przed okiem mojém w postawie straszydła,
By płoszyć chwile szczęścia i rozkoszy.
Nie... nie... to moja mara tobie spłoszy
Wszyściutką radość młodego żywota,
Boć ona całe wnętrze twe obmota
Zgryzotą... Ja to umrę... ale żmiję
Zostawię, co się w serce tobie wpije
I truć cię będzie takim strasznym jadem,
Iż wsze trucizny włoskie przy nim bladém
Odbiciem jeno... Zgryzie cię powoli
Wspomnienie ciągłe mojéj strasznéj doli,
Żem dożyć musiał przeklętego plonu.
Wyklinam w tobie spokój aż do zgonu.
Idź... idź... wlecz życia jałowego brzemię.

Sęp. O panie, wstrzymaj się! (Sieniawski chwieje się na nogach). Padnie na ziemię.
Przez Boga, panie! (Podtrzymuje Sieniawskiego).

Sieniawski. Nie tykaj mnie!

Sęp. Panie!

(Prowadzi Sieniawskiego do krzesła i sadza na niém).

Sieniawski, Rzuć mnie na ziemię lepiéj! Niech się stanie.
Co stać się winno! Niech umiéram w pyle
Sponiewierany... Boże, czyżem tyle
Lat przeżył na to, aby mrącą siłą
Nie pomścić hańby?

Sęp. Hańby tu nie było.

Sieniawski. Więc cóż to było? Mów, mów, w czém rzecz cała.
Tyś ją miłował tam, téż miłowała
I ona ciebie...

Sęp. Toć już dawno było!

Sieniawski. Tak, było... dawno... i jest... Pod mogiłą
Ta miłość wasza ledwie się zakończy.
Posłuchaj, nie chciéj, żebym jak pies gończy
Za wami śledził... Tego ja nie zrobię.
Wiem, co winienem własnéj czci i sobie.

Sęp. Uchodzę, już mnie nigdy nie ujrzycie.

Sieniawski. Uchodzisz, lecz to zaniechasz, co skrycie
Me piersi będzie żarło... to wspomnienie!
Azaliż spokój obcy w takiéj cenie
U ciebie?... Czemu życzysz mi rozpaczy?

Sęp. Jeżeli Wasza Miłość znów obaczy
Mą postać...

Sieniawski. Będzie ciągle ją widziało
Me oko... Już mnie nie odejdzie... trwałą
Mych snów i czuwań towarzyszką będzie.
Zgryzotą ona duszę mi oprzędzie...
Wolałbym umrzéć... Umrę bez pochyby.
Zawołaj żony!

Sęp (otwiéra drzwi na lewo). Pani, przyjdź!

Seiniawski. Ach, gdyby
Nadzieja błysła, że się wszystko zmieni,

To żyćby warto... Lecz srodze zwiedzeni
Nie wierzą w cudów potęgę tajemną.

(Z lewéj wchodzi Jadwiga).

Jadwigo! Kres mój bliski! W oczach ciemno!
Gdy Bóg to na mnie spuścił, więc w pokorze
Przyjmuję... każcie złożyć mnie na łoże...
Wołajcie dworzan, sług wołajcie... ale...
Niech zcichnie wszystko, co się tutaj w szale
Prawiło... usta niechaj będą skałą,
By nikt nie zgadnął, co się tutaj stało.
Mnie w życiu nigdy nie straszył trud krwawy...
Lecz jednéj rzeczy lękam się... niesławy,
Mnie jedno straszy... ludzkie pośmiewisko.
Idź! (Jadwiga chce iść na lewo).
Stój, Jadwigo! Widzisz, śmierć ma blisko.

Jadwiga. Żyć będziesz!

Sieniawski. Słuchaj! Gdy mnie już nie będzie,
Za niego nie chodź, bo cię ścigać wszędzie
Mój cień z przekleństwem będzie bez ustanku...
Obaczysz postać mą w marzeniach ranku
I we snach nocnych... Niech przyjdą dworzanie!

Sęp (otwiéra drzwi na lewo i woła). Do pana tutaj!

(Z lewéj wbiegają Dworzanie).

Dworzanie. Co się stało, panie?

Sieniawski. Nic, zachorzałem... Złóżcie mnie na łoże!
Niech lekarz przyjdzie... Lek mi nie pomoże.
Wołajcie księdza... niech wyprawi duszę
W tę drogę, którą niebawem iść muszę...
W mogile wkrótce złożycie me ciało.

(Dworzanie wynoszą Sieniawskiego na prawo).

Sęp. O Boże wielki!

Jadwiga. Tak się stać musiało!

AKT V.

Górska okolica w Karpatach. — Z prawéj mury klasztoru, z po za których widać wieżę kościoła. — Zgłębi wchodzą Młodecki z kilku dworzanami i Góral.

Góral. To jest on klasztor... Czerwony ma miano.
Młodecki. Eh, orlém gniazdem słuszniéj by go zwano.
A droga!... Piąć się pieszo... niech to kaci!
Góral. Niespieszno komu... niech kęs czasu traci,
Tamtędy konno objedzie dokoła.
Lecz siła czasu zejdzie, nim podoła
Dojechać... Stąd zaś idzie droga daléj.
Młodecki. Powracaj do tych, co z końmi zostali.
Niech mnie czekają, choćby do wieczora.
W sam czas stanąłem... południowa pora.

(Góral odchodzi — z za węgła murów klasztornych występuje Starzechowski w masce).

Starzechowski. Hej! witaj, druhu!
Młodecki. Kto to? Czego?
Starzechowski. *Bene*!
W sam czas stawiłeś się.
Młodecki. Ha! Stach! Twą wenę
Odrazu poznać! Cóż to? Czy maszkary?
Czy téż zbójecka napaść? Nie do wiary!
Starzechowski. Potroszę jedno i drugie potroszę.
Młodecki. Na karku głowę nie od kształtu noszę,
A nie rozumiem.
Starzechowski. Bardzo temu wierzę.
Młodecki. Pisałeś: jeśli nas miłujesz szczerze,
To w górach stawisz się wraz z dworzanami
W południe samo... Wszak mnie wzrok nie mami,
Wysoko słońce...
Starzechowski. Jesteś, to rzecz główna!
Wszak znaną ci jest przecudna Tarłówna?
Młodecki. Jadwiga? Wżdyć ją dziś Sieniawską zową.
O, znam ją dobrze! Mało dla niéj głową
Nie nałożyłem tam w Wołoszy. Dobrze
Pamiętam. Nasi bili się tam chrobrze,

A na mnie Turczyn, strojny w strusie pióra,
Lamparcia plecy okrywała skóra,
By strzała wypadł. Jak chwycę rusznicę
I palnę prosto w błyszczącą przyłbicę,
Aż Turczyn z konia! Mówię: leż tam sobie,
Ty mięsopustna maszkaro!

Starzechowski. W téj dobie
Nam także trzeba dzielnéj twéj pomocy.

Młodecki. Dlategom właśnie przyleciał by z procy.
No cóż?

Starzechowski. Sieniawska, jak wiész, owdowiała.

Młodecki. Eh, nie baj — o tém wié już Polska cała.
Zaprawdę bardzo żal nam wojewody,
Lecz pozostała wdowa cna, urody
Takowéj, jakiéj szukać po wszém świecie.
Zalotnik nowy pewno już w powiecie,
Lub daléj nalazł się.

Starzechowski.. Było niemało,
Lecz Tarłom w głowie coś się pomieszało,
Że w Polsce dla nich niema parenteli.
Choć kto przyjechał, wszyscy zgodnie wzięli
Odprawę.

Młodecki. Czemu? Może hospodara
Czekają znowu?

Starzechowski. O grafa się stara
Stryjaszek luby gdzieś w dalekim świecie.

Młodecki. Na Węgrzech pełno grafów, co na grzbiecie
Łachmany noszą z herbem ku ozdobie.

Starzechowski. To też na Węgrzech wynaleźli sobie
Grafiątko jakieś... jemu rają wdowę.

Młodecki. Cóż ludzie na to?

Starzechowski. Że szaleństwo nowe,
Krzyknęli wszyscy. Znasz, co krew szlachecka!
My drwić ze siebie nie damy, by z dziecka.
Więc wszyscy w koło słowem się związali,
Że wdowa za mąż może iść... najdaléj
W Koronie, Litwie, albo gdzieś na Rusi,
Lecz obcy od niéj z kwitkiem wracać musi,
Bo nie dopuścim!

Młodecki.. Z nami nie przelewki.
Starzechowski. U czarta, azaż nasze wdowy, dziewki
Co najcudniejsze są dla zagranicy?
Czyż my, Polacy, jacyś nikczemnicy,
Iż z nas już żaden nie wart pięknéj żony?
Młodecki. Przyjedzie z Węgier jaśnie oświecony
I wdówkę chwytnie jak swą...
Starzechowski. Jeszcze czego!
Toż nasi wkoło dróg węgierskich strzegą,
I jeśli grafek pojawi się w drodze,
Tak go przyjmiemy, iż o jednéj nodze
Do domu zemknie.
Młodecki. Słusznie! Życzę szczęścia!
Lecz przytém biednéj wdowie téj zamęźcia
Snadź nie życzycie.
Starzechowski. Ja sam do niéj w swaty
Jeździłem...
Młodecki. Kto cię posłał?
Starzechowski. Nie bogaty,
Lecz zacny człowiek ze krwi starodawnéj...
Nasz druh Szarzyński...
Młodecki. On poeta sławny?
Starzechowski. Ten sam.
Młodecki. Że sławny, w swatach rzecz to mała!
Starzechowski. Lecz większa, iż go sercem miłowała,
Dziewicą jeszcze będąc.

(Zgłębi wchodzi Sęp zamaskowany).

Sęp. Hej, hej, Stachu!
Starzechowski. A, jestem... strzegę, by żóraw na dachu...
Dokoła patrzę... widać stąd daleko.
Mym oczom nawet ptacy nie ucieką.
Jest i Młodecki.
Sęp. Czołem, panie bracie!
Młodecki. Witajcie, Sępie, mówcie, co tam macie.
Sęp. Mam wieści z Czapli.
Starzechowski. Masz je nieustannie.
Podziękuj za nie kiedyś pięknéj Hannie.
No, cóż ci pisze?
Sęp. Że zamysł zmieniony.

Starzechowski. Odprawęż weźmie Węgrzyn?
Sęp. W tamte strony
Wyjechać mają oni sami...
Starzechowski. Hola!
Azali puścić będzie nasza wola?
A wiész... to dobrze! Chwycim ich po drodze.
Sęp. Chwycimy? po co?
Starzechowski. Jadwidze niebodze
Na Węgrzech widać wesele sądzone,
Więc ją na Węgrzech... pojmiesz ty za żonę.
Młodecki. Fortelny pomysł!
Sęp. Jak to?
Starzechowski. Za garść złota
Każdego księdza zdejmie tam ochota,
Że was w kościele ślubami połączy,
I tak się wszystko, jak należy, skończy.
Sęp. O daj to, Boże!
Starzechowski. Hola! Co się dzieje?
Czy widzisz?... Coś tam w oddali czernieje.
Młodecki. Coś jak kolasa i cztery rumaki.
Sęp. To oni jadą!
Starzechowski. Ho, ho, lecą ptaki
Do sieci same... Patrzcie, przystanęli...
Młodecki. Wychodzą ..
Starzechowski. Co to? Coś do głowy wzięli!
Fortelik jakiś! Z tego znan chorąży...
Młodecki. Gromadka cała pieszo w górę dąży...
Dwie białegłowy... kilku mężczyzn...
Starzechowski. Nuże!
Za węgieł! Oni staną wnet na górze.
(Stają za murem tak, iż ten nie zasłania ich od strony widzów).
Larwami wasze zasłońcie oblicze.
(Młodecki i jego dworzanie kładą maski).

Sęp. Przeczucie jakieś dziwne... tajemnicze
Me wnętrze szarpie... Boże! Bywa chwila
Tak szczęsna, iż w niéj niebo nam przychyla
Fortuny szalę... Azaż mi błysnęła
Raz pierwszy w życiu?
Starzechowski. Tak jest... więc do dzieła!

Sęp. Do dzieła! Jedną w mym żywocie chwilę
Już postradałem głupio... Bóg wié, ile
Serdecznych bólów i ciężkiéj katuszy
Méj utrapionéj oszczędziłbym duszy,
Jeślibym wonczas chwycił ją, jak trzeba.

Starzechowski. Więc chwyć ją teraz, bo snadź z łaski Nieba
Ku tobie toczy się fortuny koło.
Szablicę w rękę! Śmiało! W górę czoło!
Odważnie! Śmiałkom fortuna w sojuszu!

Młodecki. Rymopis z ciebie, lecz ci animuszu
Nie braknie, pewny jestem.

Sęp. Bracia moi,
O jakże żywo w méj pamięci stoi,
Gdy ją raz pierwszy oko me ujrzało!
Na ręku wonczas niosłem ją zemdlałą,
Jak lilia białą... cudną, jakby słońca
Promyczek złoty.

Starzechowski. Zbawca i obrońca
Był wonczas z ciebie. Pomnę... tak... w Krakowie,
Jak gdyby wczora było to... W méj głowie
Zostało wszystko... każdy z nas pamięta.
Byliśmy wtedy płoche pacholęta,
Aż nazbyt skorzy by się nurzać w błocie.
Tyś wiersz przeczytał o szlacheckiéj cnocie
I dusze nasze uniósł w lepsze sfery.

Młodecki. Stąd nas na żywot afekt złączył szczery
I za tę chwilę dzisiaj ci odpłatę
Oddamy.

Sęp. Wdzięczne usta nie bogate
Są w słowa... więc wam wdzięczny nic nie powie.

Starzechowski. Hej... już są blisko! Baczność więc, panowie!

(Zgłębi wchodzą Mikołaj Tarło, Płaza, Regina, Jadwiga, kilku dworzan i góral przewodnik).

Mikołaj. A ja powiadam waści, iż mam w myśli
Foremny fortel... Jeno rozważ ściśléj...
Zasadzka jeśli gdzieśtam w drodze czycha,
By nas pochwycić, zje tęgiego licha.
Karocę próżną chwyci, my tymczasem
Będziemy sobie dobrze już za lasem,
A las on pono na węgierskiéj stronie...

Płaza. Że dobrą głowę macie, to w Koronie,
Na Rusi, Litwie wiedzą wszyscy, ale...

Mikołaj. Eh, waszmość znowu w zwykłym swym zapale
Przygania wszemu...

Płaza. Radzę nie ku zgubie.

Mikołaj. Wiész waszmość, że się chwalić zbyt nie lubię,
Lecz, com zamyślił, wszystko szło jak z płatka ..
Do wielkich celów droga nie wżdy gładka,
I piąć się w górę nieraz trza piechotą.

Regina. Rzeczpospolitą oraz wolność złotą
Wszak mamy u nas — przy nich taka dola,
Że nawet wydać nie możem jak wola
Swéj własnéj córki.

Mikołaj. Spoczniem tutaj radzi.

(Siadają na kamieniach pod skałą).

Jadwiga. Niedarmo, matko, droga ta prowadzi
Tuż pod klasztorem... Mnie wyroki boże
Snadź przeznaczyły szukać tu w klasztorze
W strapioném życiu mojém odpocznienia.
Ah, pozwól, matko!

Mikołaj. Nigdy się nie zmienia
Postanowienie nasze, choćby złotem
Nas kto osypał... Wszak wiész dobrze o tém.

Jadwiga. Ach, dość mam wszego.

Regina. Czego, moje dziecię?

Jadwiga. Żałości, smętku już użyłam przecie
Nad wszelką miarę... Boże, ileż razy
Oblałam łzami te wasze nakazy!
I gdyby nie los, jakiż kresby wzięło
To, z taką pieczą budowane dzieło,
By na Wołoszy mnie hospodarową
Uczynić?... Dzisiaj płaciłabym głową
To wywyższenie marne i zwodnicze.

Mikołaj. Imprezy onéj za halerz nie liczę,
Boć nie udana... co się dobrze stało...
Lecz późniéj miałaś dolę okazałą.

Jadwiga. I cóż z niéj miałam?

Mikołaj. Że insze pominę,
To, że świat w tobie czcił wojewodzinę,
A imię twoje przejdzie w późne dzieje...

Jadwiga. Na przypomnienie serce aż truchleje.
Ach, czegóż jeszcze nie doznałam w życiu!
Tłumione żale, one łzy w ukryciu
Przelane!... Boże!... Cóż mnie jeszcze czeka?

Mikołaj. Za dostojnego wyjdziesz znów człowieka.

Jadwiga. Którego nie znam, i znów się powtórzy
To wszystko, czego nie mogę znieść dłużéj.
Ach, dajcież chociaż w téj chwili swobodę!
Zmarnowaliście moje lata młode,
Nie skąpcie przecie jednéj mi pociechy,
Bym tu w klasztorze swe i wasze grzechy
Opłakać mogła...

Mikołaj. Dość już próżnéj mowy!
No, w drogę daléj! Pomysł mojéj głowy
Obaczysz, Płazo, nie tak zły zakaty,

(Chcą iść na prawo — z za muru występują z dobytemi szablami Starzechowski, Młodecki, Sęp i dworzanie).

Starzechowski. Hej, stójcie!

Sęp, Młodecki. Stójcie!

Mikołaj. Kto to?

Starzechowski. Nic... to swaty!

Mikołaj. Do domu zjeżdża swat... nie zastępuje
Po drodze ludziom... Wyście chyba zbóje...
Przyjezdnym w górach po worki sięgacie!

Starzechowski. Milcz, nie urągaj, ty krwi własnéj kacie!

Mikołaj. Co? Kacie?

Starzechowski. Azaż własnéj bratanicy
Nie wiedziesz teraz na targ zagranicy,
By ją zaprzedać komuś za dukaty?

Mikołaj. Ha! tchórze! w larwach! bo się kondemnaty
Za gwałt publiczny boją... Czego chcecie?

Młodecki. By raz ustała hańba ta po świecie,
Że Bóg nam cudne białegłowy daje
Dlatego, by je gdzieś w dalekie kraje
Przedawał własny ród.

Mikołaj. Precz! lub z oblicza
Zdejmijcie larwy! Niechaj tajemnicza
Rzecz się wyjaśni!

Sęp (zrzucając maskę). Zdejmcie, bracia moi!

(Młodecki i Starzechowski zrzucają maski).

Starzechowski. No, spojrzyj, panie!... Tu przed wami stoi
W postaci własnéj każdy, niezakryty.

Młodecki. Nas znasz, bronimy Rzeczypospolitéj
I czci szlacheckiéj...

Regina. Czego żądasz, chwacie?

Starzechowski. Zapytać jeno, azali nie dacie
Téj cudnéj pani za naszego brata.

Młodecki. Bo azaż można, aby na kraj świata
Wywozić taką, która ku ozdobie
Polskiego domu winna być?

Mikołaj. Cóż zrobię,
Gdy nas tak proszą... z gołemi szablami?

Regina. Gdzież ten zalotnik?... Któryż między wami?

Starzechowski. Toć on!... Szarzyński... Znana wam rzecz cała,
On ją miłuje, onać miłowała
Jednego jego... Niech powié!

Jadwiga. Przed Bogiem
I przed sumieniem, co jest nad wsze drogiém,
Wyznaję, że tak jest...

Regina. Córko!

Mikołaj. Gołyszu!
Coś się nam zakradł w domowém zaciszu
Jak gad!...

Jadwiga. Stój, stryju!

Mikołaj. Milcz!

Regina. Niech odpowiada
Za oną napaść!

Mikołaj (dobywa szabli i rzuca się na Sępa). Biada tobie, biada!
Niebaczny człeku, broń się!

Sęp. Broń mnie, Boże! (biją się)

Jadwiga (do Płazy, który niechętnie dobywa szabli).
O, panie, litość miéj... błagam w pokorze...
Ach, rozwiedź... rozwiedź ich... Niech i kropelki
Krwi już nie będzie więcéj! Boże wielki!

Ty stoisz, tchórzu!.. Daj mi szablę twoję!

(wyrywa z rąk Płazy szablę i wpada między walczących).

Ach, stójcie, stójcie! (Szablą chce odbić szable Mikołaja i Sępa, wtém Mikołaj razi Sępa w głowę).

Mikołaj. Dostał! Ha, już stoję!

Sęp (padając na ziemię). Ratujcie, bracia!

(Starzechowski, Młodecki tamują krew Sępowi).

Jadwiga. Znowu więc ofiara
Przeklętéj krasy mojéj!

Sęp (słabym głosem). Niegdyś stara
Wróżbiarka rychły koniec mi wróżyła.
O pani, bądź mi zdrowa. Ach, nosiła
Ma pierś twój obraz długie... długie lata.
Idź... bądź szczęśliwa... choć na krańcu świata.
Zapomnij o mnie... przy innego boku.

Jadwiga. Nie... gdy cię tracę z niebiosów wyroku,
Precz uszło szczęście moje! Niech ma krasa
W klasztornéj ciszy powoli przygasa...

(Dzwoni do furty klasztornéj, drzwi otwiéra zakonnica).

Zakonnica. Kto tam i czego?

Jadwiga. Schronienia u Boga
Pokorna błaga dusza, którą sroga
Niebiosów ręka dotknęła...

Regina. Stój, dziecię!

Jadwiga. Jam już umarła dla świata... na świecie
Już żyć nie będę... nie chcę... W mojém łonie
Utopię ostrze to, gdy czyje dłonie
Oderwać zechcą mnie od bramy świętéj.
Ja nie chcę wpływem urody przeklętéj
Nieszczęścia ludziom siać... Bywajcie zdrowi!

(Rzuca szablę i wchodzi do klasztoru. Drzwi z trzaskiem zamykają się za nią Dzwony drzwonią).

Regina (padając na ziemię). Straciłam córkę!

Starzechowski (obwiązując głowę Sępowi). Ranę lekarzowi
Zwierzymy... Pewnym bądź, że się zagoi...

Sęp. O, ta się zgoi... ale w piersi mojéj
Zostanie inna rana, ból serdeczny,
I ten w ciemności mnie pogrąży wiecznéj.
Żałości onéj już nie przeboleję.

Mikołaj. Panowie, błagam.... to, co się tu dzieje,
Zamilczcie ludziom. Niech się świat nie dowie,
Że w oném miejscu szlachetni Tarłowie
I insza szlachta z nazwiskiem podniosłém
Splamili cześć swą zbójeckiém rzemiosłem.

Wszyscy (wznosząc szable do góry). Będziemy milczéć... przysięgamy [Niebu!

Młodecki. Wrócimy smutni w duszach, by z pogrzebu.

Starzechowski. Wspomnienie jeno będziem w duszy chować.

Sęp (prowadzony przez dworzan). I nie miłować ciężko i miłować!

ZASŁONA SPADA.

Bronisław Grabowski.

O ŻYCIU BEZ POWIETRZA

Wewnętrzny mechanizm organicznego utleniania nie jest nam dokładnie znany. Gorzenie (Lavoisier), podrażnienie (Kl. Bernard), fermentacya (ferment utleniający Jaqueta) są to trzy główne teorye usiłające wyjaśnić znaczenie tlenu w zjawiskach życiowych.

„Wiemy od czasów Lavoisiera, wyraża się w téj kwestyi Klaudyusz Bernard [1]), iż rozkład międzycząsteczkowy, czyli przemiana materyi towarzysząca wszelkim objawom życiowym, polega na zjawisku utleniania materyi żyjącéj, jest równoznaczną z gorzeniem. Lecz Lavoisier i jego następcy, którzy zapoznali nas z tém ważném zjawiskiem, wpadli w błąd nieunikniony prawie w ich epoce, co do mechanizmu tych procesów. Utożsamili chemiczne procesy, odbywające się w organiźmie, z bezpośredniém gorzeniem, t. j. z połączeniem tlenu z węglem tkanek. Słowem mniemali, iż gorzenie organiczne jest równoznaczne z paleniem, odbywającém się po za istotami żyjącemi, w naszych laboratoryach lub piecach. Przeciwnie, niema w naszym organiźmie ani jednego zjawiska gorzenia, odbywającego się przez bezpośrednie połączenie tlenu z węglem. Wchodzi tu w grę działanie specyalnych czynników, prawdopodobnie fermentacyi". Kl. Bernard liczne przytacza dowody na poparcie swego twierdzenia; wewnętrzny mecha-

---

[1]) Cl. Bernard: *Leçons sur les phénomènes de la vie*, tom I. Paryż, 1885.

nizm utleniania organicznego jest dotychczas nieznany, pisze on daléj, wiemy jednak z całą pewnością, iż gaz ten jest wprowadzany do tkanek i staje się składową cząstką żyjącéj materyi. Teorya bezpośredniego gorzenia, która w swoim czasie robiła przewrót w nauce, nie została potwierdzoną przez następne poszukiwania fizyologiczne. Gorzenie nie jest bezpośredniém w organizmie, a wydzielanie kwasu węglanego, będąc zjawiskiem wielce rozpowszechnioném w naturze, jest wynikiem organicznego rozkładu, rozdwojenia, podobnego do procesów fermentacyjnych. Owe fermentacye są przytém dynamicznemi równoważnikami gorzenia; odpowiadają temu samemu celowi, gdyż wydzielają ciepło i stają się skutkiem tego niezbędném źródłem energii dla podtrzymania życia.

Uniesiony genialną intuicyą, Kl. Bernard dopatruje się zjawisk fermentacyi nawet w utlenianiu tkanek; nie mogło być jednak mowy o stworzeniu nowéj teoryi w tych czasach, brakło całkiem dowodów, stwierdzających istnienie owego fermentu utleniającego. Więc też znakomity fizyolog francuski uważa raczéj wydzielanie kwasu węglanego za zjawisko fermentacyi, na tlen zapatruje się zaś jako na jeden z bodźców, narówni z bodźcami świata zewnętrznego, dzięki któremu żyjąca materya nabiera więcéj pobudliwości do wykonywania ruchów. W twierdzeniu tém opiera się on głównie na ciekawém doświadczeniu Engelmanna, który spostrzegł, że ruchy migawkowe, tak energiczne w atmosferze tlenu lub powietrza, ustają w wodorze w przeciągu 20 minut. Jeśli wprowadzić cokolwiek tlenu pod klosz, wówczas ponownie rozpoczynają się ruchy komórek migawkowych. Tlen działa zatém jako bodziec dla ruchów migawkowych, wnioskuje Kl. Bernard, i zdawałoby się, że potęga jego działania przechowuje się przez pewien przeciąg czasu.

Zaliczenie tlenu do rzędu bodźców spotkało się z silnym protestem ze strony współczesnych nam fizyologów; przeciwnie, szereg licznych doświadczeń wykazał z całą ścisłością, iż nie tlen, lecz kwas węglany odgrywa w organiźmie rolę bodźca; nie tlen, jak dawniéj sądzono, działając na ośrodki oddychania, pobudza je do czynności, lecz krew obficie uposażona w kwas węglany wywiera wpływ drażniący na rdzeń przedłużony. A nawet doświadczenie Engelmanna, tak jasne na pierwszy rzut oka, zdające się istotnie stwierdzać drażniący wpływ tlenu na pobudliwość materyi żyjącéj, otrzymało dziś zgoła inne objaśnienie. Tlen istotnie jest sprawcą ruchów żyjącéj materyi, lecz nie działa on jako bodziec; ruchy protoplazmy wywołane są jéj chemotropizmem do tlenu środowiska (Kühne, Verworn). Ameby, pogrążone w atmosferze wodoru tracą rzeczywiście ruchy, lecz jedynie ruchy samoistne,—podra-

źnione elektrycznością, zdolne kurczyć się. Natomiast kwas węglany działa na nie jako bodziec, gdyż pogrążone w tym gazie, zachowują ruchy przez jakiś czas, wreszcie wyczerpane, przybierają kształt kulisty i żadne inne podniety nie wywierają już na nie najmniejszego wpływu.

Tlen przeto nie jest bodźcem dla ruchów żywéj materyi, jego wpływ nie może być porównany do działania elektryczności, ciepła, światła, podrażnień mechanicznych.

Przyznać musimy, iż wewnętrzny mechanizm utleniania organicznego pozostaje dotychczas okryty mgłą nieprzeniknionéj zagadki, odkąd teorya organicznego gorzenia głęboko zachwianą została.

Prace lat ostatnich wzbogaciły się jednak nowym faktem, który rzuca pewne światło na zagadkowe procesy utleniania. Jest to odkrycie fermentu utleniającego. Sposób działania tego fermentu nie zarysował się jeszcze z zupełną jasnością, nie został on dotychczas oddzielony w stanie czystości w świecie zwierzęcym, lecz obecność jego, nie pozostawiająca cienia wątpliwości, posiada niezmierne teoretyczne znaczenie w nauce, gdyż służyć będzie jako punkt wyjścia dla nowych prac w tym kierunku.

Dawne doświadczenia Hoppe-Seylera wykazują, iż substancye tak łatwo utleniające się jak cukier, kwas mlekowy i t. d., wprowadzone do krwi przy temperaturze ustroju, nie ulegają utlenieniu; natomiast krew, przepływająca przez żywe tkanki, nabiera własności utleniających. Doświadczenia te dowodzą, iż w żywym organiźmie zjawiska utleniania odbywają się nie we krwi, lecz w samych tkankach, nic wszakże objaśnić nas nie mogą co do obecności fermentu utleniającego. Dopiero Jaquet'owi [1]) zawdzięczamy istotne odkrycie tego fermentu. Autor ten potwierdził doświadczenia Hoppe-Seylera co do braku utleniających własności krwi tętniczéj w zetknięciu będącéj z powietrzem, wykazał nadto, iż jeśli do krwi téj domieszać cokolwiek wyciągu z tkanki płucnéj, wątrobowéj lub nerkowéj, wówczas nabiera ona własności utleniających i przeistacza wyskok benzylowy na kwas bendźwinowy. Widzimy przeto, iż maceracya świeżych organów zawiera w sobie jakąś substancyę, która domieszana do krwi, nadaje jéj własność utleniania innych ciał. Dzięki jéj, tlen znajdujący się we krwi tętniczéj służyć może do utleniania, bez niéj zachowuje się biernie. Substancyą tą jest ferment rozpuszczalny czyli enzyma. Tkanki użyte do eksperymentów nie tracą swych własności nawet wtedy, gdy poddamy je działaniu wysokiéj temperatury lub antyseptyków, lecz wpływ utleniający znika,

---

[1]) Jaquet. *Societé de Biologie*, 1892.

jeśli temperaturę podniesiemy aż do 80^0. Wiemy nadto, iż ferment utleniający rozpuszczalnym jest w wodzie, prawie nierozpuszczalnym w alkoholu. Są to wszystko własności ciał, należących do grupy fermentów rozpuszczalnych czyli enzym, które, jak wiadomo z chemii fizyologicznéj, zachowują swe własności nawet wówczas, gdy tkanki zwierzęce zniszczone zostały przez działanie niskiéj lub wysokiéj temperatury, lub pod wpływem alkoholu albo kwasu karbolowego.

Doświadczenia Jaqueta posiadają wysokie znaczenie naukowe, gdyż potwierdziły prace dawniejszych fizyologów, którzy wbrew mniemaniu Lavoisiera umieszczali zjawiska utleniania w protoplaźmie tkaninowéj; powtóre wykryły obecność fermentu utleniającego, zawartego również w tkankach, dzięki któremu komórki organizmu wchodzą w połączenie z tlenem hemoglobiny lub rozpuszczonym w surowicy.

Dalsze poszukiwania zapoznały nas bliżéj z fermentem utleniającym; nie wszystkie organy posiadają go w jednakowéj ilości (Abelous i Biarnès); najobficiéj znajduje się on w tkankach zwierząt młodych, zwłaszcza zaś w płucach, nerkach, wątrobie, gruczołach nadnerwowych. W świecie roślinnym odkryto również obecność podobnych fermentów, a Bertrand nazwał *lakazą* ferment utleniający, znajdujący się w drzewie lakowém, ogólną zaś nazwę *oksydaz* nadał wszystkim tym substancyom, znajdującym się obficie w świecie zwierzęcym i roślinnym.

Przedstawiliśmy w krótkości trzy główne teorye, usiłujące wyjaśnić wewnętrzny mechanizm utleniania organicznego. Z nich teorya fermentacyi jest dziś na dobie, daleka jest jednak od zupełnego rozwiązania tych zawiłych procesów.

Natomiast wiadomo z całą pewnością, iż przeniknięcie tlenu do organizmu jest źródłem energii, ciepła i pracy mechanicznéj. Wszystkie istoty bez wyjątku potrzebują tlenu do życia. Co prawda, nie wszystkie czerpią go z jednego źródła: jedne biorą go z powietrza, drugie z wody (tlen rozpuszczony w wodzie), komórki wyższych ustrojów biorą go z hemoglobiny krwi, z którą tlen słabo jest połączony. Rzecz godna uwagi, organizmy posiadają zdolność wchłaniania tylko ściśle określonéj ilości tlenu, nawet gdyby go dostarczyć im podostatkiem; pogrążone w atmosferze czystego tlenu, nie wchłaniają go więcéj, niż gdyby znajdowały się w powietrzu. A nawet tlen pod ciśnieniem zabójczo działa na organizmy; ciśnienie dwóch atmosfer czystego tlenu śmiertelném jest dla roślin, ciśnienie 3 atmosfer wpływa w podobny sposób na zwierzęta (W. Müller i P. Bert).

Pflüger wykazał analogię, jaka istnieje w tym względzie między organizmem a fosforem, który utlenia się w powietrzu atmosferyczném i wydziela parę kwasu fosforowego, lecz przestaje się utleniać w atmosferze czystego tlenu.

Nie wszystkie komórki w jednakowy zachowują się sposób, gdy pozbawić je tlenu, a choć wszystkie giną, gdy brak im tego podtrzymującego życie gazu, lecz śmierć nie nadchodzi w jednakowym czasie; podobnie zwierzęta zagłodzone nie giną wszystkie jednocześnie. Komórki systemu nerwowego odznaczają się niezmierną wrażliwością na brak tlenu, i dlatego zwierzęta wyżéj uorganizowane, których krążenie i oddychanie pozostają w zależności od ośrodków nerwowych, giną bardzo szybko bez tlenu. Inne komórki o wiele są wytrzymalsze. W poszukiwaniach tego rodzaju łatwo jest zastąpić powietrze przez wodór w zamkniętém naczyniu (np. pod kloszem), albowiem gaz ten sam przez się nie wywiera żadnego zgubnego wpływu na życie organizmu. Kühne spostrzegł, iż ameby pogrążone w atmosferze wodoru, tracą ruchy protoplazmicze w przeciągu 24 minut. Po tym czasie mogą być jeszcze przywołane do życia, jeśli wprowadzimy powietrze atmosferyczne pod klosz. Śmierć staje się jednak nieodwołalną, gdy pozostają dłużéj w wodorze. Plazmodye miksomicetów tracą swe protoplazmiczne ruchy dopiero po trzech godzinach pobytu w atmosferze czystego wodoru, a giną nawet znacznie późniéj. O innych organizmach i tkankach pomówimy niżéj.

Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, iż istnieją niektóre wyjątki, co do tego ogólnego prawa niezbędnéj konieczności tlenu do życia. Niektóre istoty niższego rzędu, należące do rodziny bakteryi i przezwane „anaërobami" (anaërobitami), mogą żyć bez powietrza, a nawet znajdują się między niemi takie, które giną, jeśli wystawimy je na działanie otaczającéj atmosfery. Różnica ta jest bardziéj pozorną niż rzeczywistą. Anaerobity, podobnie jak i wszelkie inne organizmy, potrzebują tlenu do życia, lecz zamiast czerpać gaz ten z powietrza lub wody, zabierają go rozmaitym utlenionym połączeniom chemicznym, z któremi znajdują się w zetknięciu. Jednocześnie wywołują rozkład chemiczny tych połączeń.

W r. 1861 Pasteur dokonał pamiętnego odkrycia mikroorganizmu, wywołującego je fermentacyę masłową: owa istota jednokomórkowa żyje, rozwija się i rozmnaża bez dostępu tlenu atmosferycznego, a nawet wszelkie zetknięcie się z powietrzem jest dla niéj zgubne. Owo odkrycie organizmu żyjącego bez tlenu, ginącego przy zetknięciu się z tlenem, stanowi ważną datę w dziejach nauki. Wkrótce potém Pasteur dowiódł licznemi poszukiwaniami, iż zjawisko to nie jest wyłącznym przywilejem wyżéj wzmiankowanego organizmu, lecz że istnieje niezliczona ilość drożdży i pleśni, które żyją w podobnych warunkach. Wreszcie niektóre istoty mogą żyć kolejno istnieniem aerobiczném i anaerobiczném.

Geniuszowi Pasteura zawdzięczamy również wyświetlenie tego ważnego faktu, iż istoty anaerobiczne nie pozostają bynajmniéj w sprzeczności z wielkiém fizyologiczném prawem konieczności tlenu do życia. Choć mogą obejść się bez powietrza (jak wskazuje ich nazwa), nie mogą obéjść się bez tlenu, lecz zamiast czerpać go z powietrza, biorą go z ciał fermentujących (np. cukier gronowy).

Według Pawła Bert'a [1]) nasze tkanki możnaby również nazwać anaerobicznemi, ponieważ czerpią tlen z hemoglobiny, nie zaś bezpośrednio z powietrza, a nawet nazwę tę możnaby nadać czerwonym ciałkom krwi; w istocie, wszystkie komórki są anaerobiczne, pisze P. Bert, z tą różnicą, iż jedne, jak nasze tkanki, jak wibriony, jak komórki drożdżowe, odtleniają obcą im substancyę organiczną (oksyhemoglobinę, kwas mlekowy, cukier), inne, jak czerwone ciałka krwi, żyją kosztem substancyi utlenionéj, wchodzącéj do ich składu.

Jednakże utrwaliło się w nauce inne cokolwiek pojęcie o życiu anaerobiczném; według Armanda Gautier, życie anaerobiczne, to spożywanie wewnętrznych zasobów bez współudziału otaczającego powietrza. Innemi słowy życie anaerobiczne scharakteryzowane jest przez niekompletne utlenienie.

Warunki życia anaerobicznego, będące zwyczajnym trybem istnienia dla niektórych niższych ustrojów, możemy wytworzyć w sztuczny sposób dla zwierząt wyższych, lub ich tkanek wyciętych z ciała, stosownie do tego, czy dostarczymy im większéj lub mniejszéj ilości tlenu do życia. Można przeto odróżnić kilka stopni w życiu bez powietrza. Najprostszy sposób polega na wstrzymaniu krążenia krwi, bądź przez podwiązanie lub wyjęcie serca, bądź przez wycięcie tkanek; w warunkach tych życie anaerobiczne nie jest zupełne, bo choć właściwe oddychanie jest wstrzymane w braku krwi i oksyhemoglobiny, jednakże pewna ilość tlenu znajduje się rozpuszczona w płynach organicznych oraz zalega w naczyniach krwionośnych; ilość ta jest wszakże nader drobna i wkrótce znika skutkiem życia samychże tkanek; należałoby raczéj brać w rachubę oddychanie pierwiastkowe tkanek, które choć w słabym stopniu u istot wyżéj uorganizowanych, posiadają jednakże zdolność wchłaniania pewnéj ilości tlenu bezpośrednio z powietrza, a owa wymiana gazowa może w pewnym stopniu wpłynąć na otrzymane rezultaty.

Powszechnie wiadomo, iż zjawiska życiowe nie ustają nagle w tkankach, odciętych od żyjącéj istoty, chociaż nie otrzymują one ani

---

[1]) Paul Bert. *De l'action de l'oxygène sur les eléments anatomiques. (Academie de Sciences 1878).*

podrażnienia nerwów, ani krwi przynoszącéj im w naturalnych warunkach materyały pożywne. Krew nie jest niezbędna do podtrzymania życia, tkanki posiadają własne istnienie, niezależne od krążenia krwi i działalności nerwowéj. Serce żaby wyjęte z klatki piersiowéj przez długi czas bić nie przestaje, wycięte mięśnie kurczą się, jeśli podrażniemy je elektrycznością, gruczoły wydzielają po dawnemu i t. d., istnienie zaś téj pracy z konieczności rzeczy jest następstwem przemiany materyi, będącéj energetycznym zbiornikiem siły. Nie ulega jednak wątpliwości, iż w tych warunkach pierwotny chemizm głębokim musiał uledz zmianom, a uderzający przykład tego faktu znajdujemy w tak zwanéj komórce drożdżowéj. Jeśli dostarczyć jéj tlenu podostatkiem, wówczas spala ona $^3/_4$ cukru i rozporządza w pełni wielką ilością wynikłéj stąd energii, a jednocześnie wytwarza takie produkty jak CO^2, H_2O. W braku powietrza komórka drożdżowa rozkłada cząsteczki cukru, zagarnia tlen międzycząsteczkowy i wytwarza substancye zdolne do gorzenia, wodniki węgla, wyskok, glicerynę, a nawet silne leukomaiy.

Na wzór komórki drożdżowéj, mówi Gautier [1]), mogą funkcyonować tkanki wysoko uorganizowanych zwierząt wobec obfitéj lub niedostatecznéj ilości tlenu a następstwa tych dwóch sposobów istnienia są równoległe do tych, jakie spostrzegamy dla komórki drożdżowéj żyjącéj w analogicznych warunkach.

Podobne zjawisko wykazaném zostało przez Slosse'a, odnośnie do wątroby, pozbawionéj krążenia i bez dostępu powietrza; w warunkach tych komórki wątroby żyją istnieniem niekompletném, a cukier jaki mają w swém rozporządzeniu przekształcają na substancye ubogie w tlen, lecz obfitujące w węgiel i wodór (kwasy seryi tłustéj).

Obok anemii (czyli wstrzymania krążenia) istnieją inne jeszcze sposoby doświadczalne dla wytworzenia sztucznych warunków życia anaerobicznego, mianowicie zaś wpływ atmosferycznéj depresyi, będącéj równoznaczną ze zmniejszeniem utleniania organicznego, wreszcie całkowity brak tlenu atmosferycznego, czyli uduszenie zwierząt lub ich tkanek.

Przejdziemy w krótkości główne zmiany dostrzeżone w funkcyonowaniu tkanki mięśniowéj, żyjącéj istnieniem anaerobicznem pod wpływem anemii, rozrzedzonego powietrza i uduszenia, lub pod wpływem połączonych tych czynników. Mówiąc jednak o życiu anaerobiczném, nie możemy zamilczéć o niektórych objawach życia aerobicznego czyli normalnego, inaczéj niepodobieństwem byłoby zdać sobie dokładnie sprawę z różnicy dzielącéj te dwa rodzaje istnienia. Wybieramy system mięśniowy dlatego, iż nad tkanką tą czyniono najwię-

---

[1]) Gautier. *Chimie de la cellule vivante.* Paryż, 1894.

kszą liczbę doświadczeń, a jéj ważność w ustroju, jéj znaczenie, jako siedliska energicznych przemian chemicznych, czynią z niéj wielce dogodny i wysoce interesujący przedmiot do badań. Ujrzymy, jak doniosłém w swych następstwach okazało się badanie anaerobicznego życia systemu mięśniowego i jak ciekawe padło stąd światło na jego życie normalne czyli aerobiczne.

Wpływ anemii. Od czasów dawnego doświadczenia Stenona wiadomo, iż podwiązanie aorty brzusznéj u psa, czyli wstrzymanie krążenia krwi w dolnéj części ciała, wywołuje po kilku minutach porażenie tylnych kończyn. Zjawisko to było z początku błędnie wyjaśniane, mniemano, iż porażenie było wynikiem anemii mięśni. W gruncie rzeczy jest ono wywołane anemią rdzenia kręgowego, który z niesłychaną szybkością traci pobudliwość, gdy pozbawimy go dopływu krwi i dostępu tlenu, mięśnie zaś przez długi czas zachowują kurczliwość. Ruchy dowolne są przeto wstrzymane, zwierzę nie jest w stanie wykonać dowolnie najlżejszego ruchu, lecz mięsień, podrażniony elektrycznością, kurczy się jeszcze przez kilka godzin. W tym względzie istnieje wybtina hierarchia między rozmaitemi tkankami: anemia wywiera najpierw wpływ paraliżujący na ośrodki nerwowe, następnie na zakończenia nerwów, późniéj na mięsień, a na samym końcu na sznurek nerwowy. Mięsień jest zatém narządem wysoce wytrzymałym na wływ anemii, podobnie jak i na wpływ trucizn i wszelkich innych niszczących czynników. U zwierząt zimnokrwistych pobudliwość mięśnia bez dostępu krwi przechowuje się znacznie dłużéj niż u ciepłokrwistych, co bezwątpienia związane jest z różnicą temperatury, zjawiska chemiczne organizmu są bowiem o wiele czynniejsze przy temperaturze wysokiéj niż przy niskiéj. Zwierzęta ciepłokrwiste, jako posiadające wymiany chemiczne o wiele szybsze, w krótkim czasie wyczerpują rozporządzalny zasób tlenu, a w braku tego gazu pobudliwość znika. U żaby pobudliwość mięśni trwa bez zmiany przez kilka godzin po śmierci zwierzęcia (wyjąwszy lekkie powiększenie pobudliwości zaraz po wstrzymaniu krążenia, będące ogólném prawidłem), a 36 lub 48 godzin upływa zanim zniknie w zupełności. U ciepłokrwistych pobudliwość znika w kilka godzin po śmierci.

Widzimy przeto, iż anemia nie wywołuje natychmiastowéj zagłady tkanki mięśniowéj; zdawałoby się, iż krew nie jest niezbędna dla podtrzymania pobudliwości. Oddawna jest wszakże rzeczą znaną, iż zdolność do pracy mięśnia otrzymującego krew jest znacznie większa od podobnéj zdolności mięśnia bez krążenia; nietylko wysokość skurczów jest znacznie zmniejszoną w ostatnim wypadku, gdy drażnimy go prądem elektrycznym, lecz nadto mięsień bez krążenia nuży się daleko prędzéj.

Jestto różnica, któréj przypisujemy ważne znaczenie. Stopniowe zanikanie pobudliwości mięśnia bez obiegu krwi jest następstwem jego powolnego obumierania, lecz praca wykonywana w tych warunkach przyśpiesza śmierć. Wszędzie odnajdziemy to samo zjawisko: mięsień żyjący istnieniem anaerobiczném, zupełném lub częściowém, skazany jest wcześniéj lub późniéj na zagładę, jeśli nie zmienią się warunki jego bytu; skazany jest na groźne zaburzenia, jeśli życie bez powietrza jest tylko chwilowém; wszystkie te objawy potężnieją, gdy mięsień wykonywa pracę.

Śmierć przez anemię nie jest wywołana wyczerpaniem zasobów odżywczych mięśnia; w braku krwi i węglowodanów pozostają mu jeszcze ciała białkowe, które, jak zobaczymy późniéj, dezasymilują się bez tlenu. Śmierć przez anemię jest wynikiem samootrucia mięśnia przez substancye szkodliwe, które wytwarza on podczas swego funkcyonowania; nagromadzają się one w tkankach, gdyż nie mogą być uniesione z biegiem krwi, ani zniszczone przez tlen.

Ciekawy fakt do zaznaczenia, który wyróżnionym zostanie w dalszym ciągu téj pracy, to możność wypoczynku znużonego mięśnia odciętego od ciała. Chociaż skurcze jego znacznie są osłabione, a znużenie występuje o wiele szybciéj niż w zwyczajnych warunkach, pomimo to mięsień wycięty i znużony licznemi podrażnieniami elektrycznemi, zdolny jest wypocząć, jeśli pozostawimy go w spokoju przez pewien przeciąg czasu, a potém może jeszcze dostarczyć pewnéj sumy pracy.

W p ł y w o b n i ż o n e g o c i ś n i e n i a a t m o s f e r y c z n e g o (depresya). Wiemy od czasu doświadczeń Pawła Berta, iż zmiany ciśnienia barometrycznego nie wywierają wpływu mechanicznego na organizmy, lecz działają jedynie przez zmianę chemicznych warunków oddychania. Tlen pod silném ciśnieniem nie łączy się w większéj ilości z hemeglobiną, lecz powyżéj 5 atmosfer zaczyna rozpuszczać się w surowicy krwi, wywołując groźne a nieraz śmiertelne zaburzenia. Jednakże do 2 atmosfer ciśnienia atmosferycznego, zjawiska chemiczne organizmu zwiększają się w pewnéj mierze, czemu przypisać należy większą pobudliwość mięśnia kurczącego się w czystym tlenie, niż w powietrzu, zjawisko wywołane większém parcyalném ciśnieniem tlenu. Dla mięśnia wyciętego owa zwiększona pobudliwość daje się jedynie wytłómaczyć silniejszém oddychaniem pierwiastkowém.

Co się tyczy ciśnienia obniżonego, spostrzegane zaburzenia są również wynikiem zmian chemicznych, jakie sprowadza oddychanie powietrzem, w którém ciśnienie tlenu uległo zmianie. Gdy ciśnienie się zmniejsza, tlen zatraca swe własności fizyologiczne, w braku od-

powiedniego ciśnienia hemoglobina nie może się nim dostatecznie nasycić.

Istnieje uderzające podobieństwo między zaburzeniami spostrzeganemi na zwierzętach żyjących w rozrzedzoném powietrzu pod kloszem, a specyalnemi stanami, zwanemi „chorobą alpinistów" i „chorobą aeronautów".

Nadzwyczajne znużenie, przyśpieszone oddychanie, zawroty głowy, halucynacye, ból głowy i t. d. są głównemi symptomatami obserwowanemi przy oddychaniu powietrzem rozrzedzoném. Wszystkie te objawy wzmagają się jednak w niebywały sposób, jeśli zwierzęta podlegające doświadczeniu lub alpiniści wykonywają ruchy. Fakt ten stwierdzonym został przez Regnarda dla świnek morskich, które giną nader szybko w powietrzu rozrzedzoném, gdy zmuszone są do poruszania się; inne osobniki, w tych samych warunkach będące, lecz pozostające w spoczynku, zachowują się przy życiu lub giną przy ciśnieniu znacznie niższém. Podobnie alpiniści, jeśli odbywają podróż na osłach lub przenoszeni są przez górali, nie doświadczają prawie żadnych chorobliwych objawów. Znużenie odgrywa zatém bardzo ważną rolę w etyologii zaburzeń. Znużenie powiększa ilość mięśniowych toksyn, które nie mogą być rozłożone przez tlen będący pod słabém ciśnieniem.

Obniżenie ciśnienia atmosferycznego wywiera zatém podobny wpływ do anemii, nie biorąc w rachubę różnicy w stopniu. W obu wypadkach jestto zwolnienie lub wstrzymanie utleniania organicznego, bądź przez brak krwi (anemia), bądź przez oddychanie powietrzem rozrzedzoném, w którém tlen pod słabém ciśnieniem się znajdujący zatracił w zupełności lub w części swe własności fizyologiczne. I w obu wypadkach, praca, znużenie powiększają w znacznéj mierze spostrzegane zaburzenia i przyśpieszają ostateczny przebieg wypadków.

W p ł y w u d u s z e n i a. Uduszenie, czyli brak zupełny tlenu, może być dokonane kilku sposobami. Karol Richet i A. Broca [1]) nadali nazwę „skurczu mięśniowego anaerobicznego" tym skurczom, jakie otrzymali doświadczalnie u psa po chwilowém zatkaniu tchawicy. W chwili gdy wskutek uduszenia ruchy oddechowe zaczęły się zwalniać, skurcze mięśniowe otrzymane za pośrednictwem elektryczności zaczynały znacznie słabnąć, i wkrótce pobudliwość całkiem znikała. Skoro krew zaczynała krążyć, pobudliwość wracała, lecz nigdy nie wracała do pierwotnego stanu; mięsień, który dostarczył seryi skurczów anaerobicznych, wyczerpany był na długi czas. Nieraz należało czekać trzy

---

[1]) Broia et Richet. *De la Contraction musculaire anaérobie* („*Archives de Physiologie*", 1896).

godziny, zanim mięsień mógł wypocząć. Skurcz odbyty w warunkach anaerobicznych w wysokim stopniu nużący jest dla mięśnia; uduszenie samo przez się nie wystarcza dla wyczerpania, ponieważ inne mięśnie, które nie pracowały, nie straciły pobudliwości, jedynie mięsień łydkowy, który dostarczał pewnéj sumy pracy, stracił kurczliwość. Prawdopodobnie przy kurczeniu się mięśnia wytwarzają się substancye trujące, lecz w normalnych warunkach życia zostają one natychmiast rozłożone przez tlen, podczas zaś uduszenia nie zostają zniszczone i zatruwają włókna mięśniowe.

Trujące własności krwi zwierząt uduszonych zostały bezpośrednio wykazane przez kilku fizyologów, ostatniemi zaś czasy przez Ottolenghi'ego [1]. Kiedy wstrzyknięcie krwi normalnéj u królika nie wywołało najlżejszego objawu chorobliwego, wstrzyknięcie krwi zwierząt uduszonych okazało się śmiertelném w tychże samych dozach, a w mniejszych wywołało objawy porażenia i osłupienia. Otrucie w tym wypadku jest następstwem działania toksyn, nagromadzonych we krwi i pochodzących z tkanek zwierząt uduszonych.

Karolowi Richetowi zawdzięczamy również nader ciekawe doświadczenia co do asfiksyi serca. Gdy zwierzę się dusi, następuje faza, w któréj serce zaczyna bić powolniéj, a owo zwolnienie uderzeń, będące wynikiem działalności nerwów błędnych, wywiera wpływ ochronny. Jeśli przeciąć oba nerwy błędne, serce zaczyna w téj chwili bić szybciéj, a wówczas śmierć przez uduszenie jest znacznie przyśpieszoną. Gdy ilość rozporządzalnego tlenu jest nieznaczna, jak się to dzieje przy uduszeniu [2], wówczas dla przedłużenia życia należy zredukować jego zapotrzebowanie przez organizm do *minimum*; w tym właśnie celu serce zwalnia swe uderzenia. Jeśli serce nie zwalnia swego bicia, jak się to dzieje po przecięciu nerwów błędnych, które wywierają wpływ hamujący na serce, wówczas śmierć tego organu następuje nader szybko, skurcz mięśnia sercowego wytwarza bowiem trucizny, które rozłożone być mogą tylko przez tlen. Słowem, serce zamiera przez asfiksyę w krótszym czasie, jeśli bije szybko, żyje znacznie dłużéj, jeśli zwalnia bicie.

Przechodzimy obecnie do zjawisk uduszenia, wywołanych przez zamknięcie zwierząt lub ich tkanek w kloszu napełnionym gazem obojętnym, wodorem lub azotem, niezdolnym do podtrzymania utleniania.

---

[1] Ottolegnhi. *De la toxicité du sang asphyxique*. („*Archives italiennes de Biologie*", 1895.

[2] Richet. *Asphyxie* („*Dictionnaire de Physiologie*", tom I, 1895, Paryż).

Obok uduszenia organizmów, badać zatém można uduszenie tkanek. Początek téj metody sięga wielce odległych czasów, ponieważ Humboldt zwrócił był uwagę na ten fakt, iż mięsień zachowuje dłużej pobudliwość w tlenie niż w powietrzu, w powietrzu zaś dłużéj niż w wodorze [1]). Rezultaty te potwierdzone zostały nader ścisłemi doświadczeniami Hermanna [2]), autor wprowadził mięsień łydkowy żaby do walca napełnionego czystym wodorem, drugi mięsień łydkowy téjże saméj żaby do walca napełnionego powietrzem; oba mięśnie podrażnione były jednocześnie tymże samym prądem elektrycznym. Mięsień w wodorze żył zaledwo kilka godzin, gdy drugi zachował pobudliwość znacznie dłużéj. Prócz tego Hermann skonstatował, iż mięsień wykonywający pracę w wodorze wydziela w dalszym ciągu pewną ilość kwasu węglanego, oraz że miesień wycięty nie zawiéra wcale tlenu, nawet przez pompę rtęciową niepodobna z niego wydobyć ani odrobiny tego gazu. Wywnioskowano stąd, pisze Verworn, profesor z Jeny [3]), iż w tych warunkach mięsień żyje całkiem bez tlenu; nie należy jednak sądzić, iż jest go zupełnie pozbawiony. Prawdopodobnie tlen znajduje się w połączeniu z sarkoplazmą mięśnia i może być użyty do utlenienia włókien w chwili ich kurczenia się; wiemy, iż komórki wyższych organizmów czerpią tlen z hemoglobiny, z którą jest on słabo połączony; w sarkoplazmie istnieje również podobne połączenie z tą różnicą, że tlen nie może być z niego wypompowany, jak się to dzieje z hemoglobiną. Można tym sposobem zrozumiéć, jak niektóre komórki, pozbawione dostępu powietrza, mogą być siedliskiem utleniania organicznego, dopóki ich zapas tlenu wyczerpanym nie zostanie.

Ciekawą w tym względzie jest teorya Pflügera [4]). Według znakomitego fizyologa niemieckiego, własności chemiczne ciał białkowych są ściśle związane ze zjawiskami życiowemi. Niestałość żywéj materyi białkowéj jest wywołana obecnością tlenu międzycząsteczkowego, czyli zawartego w cząsteczkach materyi białkowéj. Inaczéj niepodobnaby zrozumiéć, jakim sposobem niektóre zwierzęta, zwłaszcza zaś żaby, jak to Pflüger wykazał, mogą żyć przez 24 godziny a nawet dłużéj w atmosferze czystego wodoru i wydzielać w dalszym ciągu pewną ilość kwasu węglanego. Wydzielony kwas węglany nie jest wszakże

---

[1]) Humboldt. „*Versuche über die gereizte Muskel- und Nervenfasser.*“ Berlin, 1797 roku.

[2]) Hermann. „*Untersuchungen zur Physiologie der Muskeln und Nerven.*“ Berlin, 1868 r.

[3]) Verworn. „*Allgemeine Physiologie.*“ Jena, 1895 r.

[4]) Pflüger. „*Ueber die physiologische Verbrennung in den lebendigen Organismen*“ (Pflüger's „*Archiv*“, 1875).

wynikiem bezpośredniego utlenienia ciał białkowych, lecz powstaje skutkiem dysocyacyi wewnętrznéj grup atomowych. Gdy cząsteczki ciał białkowych zawiérają dużo tlenu, znajdują się one wówczas w wielce chwiejnéj równowadze chemicznéj, gdyż w tym wypadku istnieje możność utlenienia atomów węgla i wodoru i wytworzenia się kwasu węglanego i wody, na zasadzie silnego powinowactwa tych pierwiastków do tlenu. Powstaje zatém kwas węglany i woda przez dysocyacyę międzycząsteczkową atomów. Słowem, wielka niestałość chemiczna żyjącéj materyi jest proporcyonalną do ilości międzycząsteczkowego tlenu.

Tlen połączony z sarkoplazmą, czy tlen międzycząsteczkowy, obie hypotezy są prawdopodobne; w obu wypadkach mięsień żyje istnieniem anaerobicznném, spożytkowując własne zapasy tlenu, nie zapożyczając go z otaczającéj atmosfery.

Kwas węglany, wydzielany przez mięsień żyjący w wodorze, nie jest zatém bezpośrednim wynikiem utleniania materyi żyjącéj, lecz pochodzi z dysocyacyi jéj cząsteczek. Zjawisko to potwierdzoném jeszcze zostało ostatniemi czasy w doświadczeniach Tissota [1]), który dowiódł wbrew zapatrywaniu Hermanna, iż mięsień wycięty i wystawiony na działanie powietrza wchłania tlen i wydziela kwas węglany, niezależnie od wszelkiego gnicia. Wydzielony kwas węglany pochodzi z dwóch źródeł: 1) wydzielenie CO^2 zawartego poprzednio w mięśniu, 2) wydzielenie CO^2 powstałego skutkiem pierwiastkowego oddychania mięśnia. A zatém całkowita ilość wydzielonego kwasu węglanego nie może służyć za miarę jego życiowéj funkcyi, ponieważ mięsień martwy (zgotowany), lub mięsień żyjący w wodorze wydziela w dalszym ciągu kwas węglany. Mięsień wystawiony na działanie powietrza wydziela jednak więcéj CO^2 niż podobny mięsień żyjący w wodorze, a różnica między liczbami CO^2 w tych dwóch wypadkach daje nam tę ilość gazu, jaka powstaje skutkiem spraw oddechowych.

Opiérając się na fakcie, iż nawet mięsień martwy wydziela jeszcze kwas węglany, mamy prawo twierdzić, iż podobnież mięsień żyjący istnieniem anaerobicznném wydziela CO^2 niezależnie od zjawisk utleniania.

Oddychanie pierwiastkowe mięśnia wyjaśnia nam to ciekawe zjawisko, o którém już poprzednio była wzmianka, możność odzyskania dawnéj energii ruchu przez mięsień wycięty i znużony, jeśli damy mu wypocząć przez kilkanaście minut.

---

[1]) Tissot. „*Etude des phénomènes de survie dans les muscles après la mort générale.*“ Paryż, 1895 r.

Wypoczynek mięśnia w tych warunkach wydaje się w pierwszéj chwili zaprzeczeniem chemicznéj teoryi znużenia, lub przynajmniéj pozwala mniemać, iż posiada on we własnéj substancyi niezbędne czynniki do odzyskania utraconéj energii ruchu. Jeżeli przypuszczamy, że znużenie wywołane jest nagromadzeniem trujących substancyi w mięśniu, jak wytłómaczyć możność wypoczynku mięśnia pozbawionego krążenia krwi i nie mogącego pozbyć się tych trucizn przez jéj obieg?

Odzyskanie utraconéj energii ruchu dla mięśnia wyciętego jest następstwem pierwiastkowego oddychania, jak to wykazaném zostało w naszych doświadczeniach [1]). Ponieważ w innym artykule pisaliśmy o tém obszerniéj, więc zatrzymywać się dłużéj nad tą kwestyą nie będziemy. Przypomnimy tylko dla ścisłości, iż mięsień bez obiegu krwi, znużony w atmosferze wodoru, nie odzyskuje dawnéj energii ruchu, choćbyśmy mu dali możność długiego wypoczynku. Utrata pobudliwości jest nieodwołalną w tych warunkach. Atoli pobudliwość wraca, jeśli wprowadzimy cokolwiek tlenu pod klosz. Zbyteczném byłoby nastawać na ten fakt, iż pobudliwość odzyskaną została dzięki wymianom gazowym, odbywającym się między mięśniem a tlenem środowiska.

Możnaby zatém wywnioskować z tych doświadczeń, iż życie ściśle anaerobiczne mięśnia daje mu dostateczną energię do kurczenia się, lecz nie daje mu dostatecznéj energii do odzyskania raz utraconéj pobudliwości. Uczestnictwo tlenu niezbędném jest w tym wypadku. A nawet ustanowićby można rodzaj stopniowania, opartego na szybkości, z jaką następuje znużenie, i na szybkości odzyskania utraconych sił; i tak, mięsień normalny (t. j. u zwierzęcia, u którego odbywa się prawidłowo krążenie i oddychanie), wystawiony na działanie powietrza, nuży się powoli i odzyskuje siły integralnie; następnie wymienić można miesień u zwierzęcia o przeciętém rdzeniu przedłużonym, oddychanie płucne jest wstrzymane, lecz u żaby w części zastąpione jest przez oddychanie skórne; mięsień bez obiegu krwi, lecz na powietrzu i mięsień z obiegiem krwi, lecz w wodorze; we wszystkich tych wypadkach wypoczynek bywa skutecznym; wreszcie mięsień bez obiegu krwi i w wodorze, żyjący życiem ściśle anaerobiczném, nie odzyskuje raz utraconych sił.

Czyż podział ten nie jest w ścisłym związku z ilością rozporządzalnego tlenu?

Wielce groźne dla mięśnia muszą być następstwa pracy dokonanéj bez dostępu powietrza. Jako przykład, przytoczyć możemy przed-

---

[1]) J. Joteyko. „*La fatigue et la respiration elémentaire du muscle.*“ Paryż, 1896 roku.

wczesne stężenie trupie, które skonstatowaliśmy dla mięśnia znużonego działaniem prądów elektrycznych pod kloszem z wodorem; gdy żabę o wyjętém sercu zamkniemy w atmosferze wodoru na godzinę lub dwie, to jedynie mięśnie, które odbyły pracę w tym gazie, dotknięte są przedwczesném stężeniem trupiém, objawiającém się już w 20 godzin po śmierci; przeciwnie, mięśnie, które pozostawały w spoczynku, choć również przez ten sam czas przebywały w wodorze, zachowały pobudliwość przez 48 godzin.

Wszystkie te doświadczenia przekonywują, iż pobudliwość mięśniowa zostaje w wysokim stopniu osłabioną w atmosferze ubogiéj w tlen, lub całkiem pozbawionéj tego gazu. Lecz skurcze anaerobiczne o wiele więcéj nużą mięsień. Wiemy, iż nawet mięsień normalny zawiéra toksyny, wynik jego działalności, leukomainy zanalizowane przez Gautiera; podczas skurczu pomnażają się one znacznie w ilości, jeżeli nie w jakości, lecz w braku tlenu nie mogą być rozłożone, nagromadzają się w mięśniu i wywołują jego porażenie i przedwczesne obumieranie.

Chemizm anaerobiczny. Za wielce interesujące uważamy bliższe rozpatrzenie procesów chemicznych, odbywających się w mięśniu żyjącym bez powietrza. W tym celu zwrócimy się prawie wyłącznie do prac znakomitego chemika francuskiego, Armanda Gautiera, który w szeregu licznych prac i traktatów zapoznał nas z wynikami swych badań na tém polu. Mięso zabezpieczone od działania fermentów zewnętrznych w zamkniętém naczyniu bez tlenu [1]) nie przestaje żyć i dezasymilować się przez pewien przeciąg czasu, lecz wir życiowy wkrótce ustaje, nietylko z powodu zużycia zasobów odżywczych, lecz głównie skutkiem nagromadzenia się produktów szkodliwych, które nie znajdują dla siebie ujścia. Dostęp tlenu nie jest niezbędny dla przemiany materyi, ponieważ protoplazma posiada zdolność dezasymilowania się anaerobicznego, lecz gaz ten niezbędny jest jako czynnik przeciwtrujący. Produkta dezasymilacyi, dostarczone przez życie anaerobiczne tkanki mięśniowéj, pozostają w ścisłéj zależności z temi, jakie wytwarzają się podczas normalnego życia, z tą jednak ważną różnicą, iż u żywego zwierzęcia pojawiają się one chwilowo i w nader małéj liczbie, znikają wnet, uniesione przez krew i zniszczone przez tlen. Skutkiem warunków życia anaerobicznego nagromadzają się one w tkankach; leukomainy pochodzenie swe zawdzięczają dezasymilacyi ciał białkowych bez dostępu tlenu atmosferycznego. Ciała białkowe

---

[1]) Gautier. „*Le fonctionnement anaérobie des tissus animaux*" („*Archives de Physiologie*", 1893).

przekształcają się w alkaloidy, odnajdujemy obficie takie leukomainy, jak newryna, cholina, neurydyna, zasady hydropirydyczne. Glikogen znikł całkowicie, zarówno jak i kwas mlekowy. Mocznika niema ani śladu.

Warunki życia anaerobicznego, urzeczywistnione w sztuczny sposób przez Gautiera dla tkanki mięśniowéj, odnajdujemy podczas normalnego życia organizmu. Ilość tlenu, jaką odnajdujemy w całości wydzielin, mówi Gautier [1]), przewyższa o jedną piątą tę ilość, jaką zwierzę czerpie z powietrza przez oddychanie. Wysnuwamy stąd wniosek, iż mniéj więcéj piąta część produktów utlenionych, znajdujących się w wydzielinach, wytworzyła się bez uczestnictwa tlenu wolnego, przez fermentacyjne rozdwojenie. Większa część komórek organizmu, zwłaszcza zaś ich części centralne, gdzie odbywają się zjawiska asymilacyi, posiadają własności redukcyjne. Przeciwnie, ich części obwodowe bezustanku wchłaniają tlen, tutaj odbywają się zjawiska utleniania, skąd wyniknie ostateczna dezasymilacya [2]).

A nawet dezasymilacya nie jest w całości aktem aerobicznym, składa się ona z dwóch faz: pierwsza z nich jest anaerobicznym rozkładem ciał białkowych, z których powstanie cukier, glikogen, tłuszcze, kwas mlekowy, w końcu mocznik, a jako produkty przejściowe—całość leukomaina. Po téj pierwszéj fazie anaerobicznéj następuje druga, w któréj ciała nieazotowe, powstałe z dezasymilacyi ciał białkowych lub pochodzące bezpośrednio z pokarmów, zostają rozłożone dzięki zjawisku utleniania, a ów rozkład aerobiczny jest twórcą energii i ciepła. Jako ostateczne produkty téj fazy, odnajdujemy kwas węglany i wodę.

Życie anaerobiczne tkanek obfituje w ciała azotowe pośrednie, między substancyami białkowemi a mocznikiem istnieje cała kategorya produktów, odznaczających się silnie posuniętemi własnościami trującemi. Tlen występuje czynnie jako niszczyciel tych trucizn i tym sposobem odgrywa ważną przeciwtrującą rolę w organizmie.

Znakomity chemik francuski dowiódł z całą ścisłością, iż niema takiéj tkanki zwierzęcéj, któraby funkcyonując nawet normalnie nie wytwarzała leukomain [3]). „Stosownie do tego, czy tkanki otrzymują i wchłaniają większą lub mniejszą ilość tlenu, stosownie do tego, czy nerki działają mniéj lub więcéj prawidłowo, leukomainy utleniają się, znikają lub nagromadzają w organach i za pośrednictwem systemu

---

[1]) Gautier. „*Les alcaloïdes dérivés des matières proteiques et de la vie de tissus*“ („*Journal de l'anatomie et de la physiologie*“, 1881).

[2]) Gautier. „*La Chimie de la cellule vivante.*“ Paryż, 1894.

[3]) Gautier. „*Les toxines microbiennes et animales.*“ Paryż, 1896.

nerwowego stają się czynnikami zaburzeń, charakteryzujących daną chorobę." Nietylko zaś produkty powstałe z życia tkanek, lecz trucizny pochodzenia bakteryjnego tracą w całości lub w części szkodliwe swe własności dzięki interwencyi tlenu.

Przeciwtrujące działanie tlenu jest przeto zjawiskiem ogólném, jednym z najenergiczniejszych i najważniejszych sposobów obrony. Na tę własność tlenu pragnęliśmy właśnie zwrócić uwagę czytelników w niniejszéj pracy, czerpiąc głównie przykłady z życia tkanki mięśniowéj, która bez dostępu powietrza żyje istnieniem niekompletném, połowiczném, i wkrótce ginie, otruta produktami, wytworzonemi przez życie jéj włókien, nie będąc zdolną pozbyć się ich bez tlenu. A praca w tych warunkach, zwłaszcza praca doprowadzona do znużenia, jako obfitująca w substancye szkodliwe dla mięśnia, jest sygnałem szybkiéj i nieodwołalnéj zagłady.

Dr. Zofia Joteyko.

ZÉGAR.

FANTAZYA.

Wiodły mą duszę złote mary
W poezyi świat zaklęty,
Nagle mnie zbudził zégar stary,
Jak zwykle — zachrypnięty.
„Cóż to? noc całą będziesz marzył?...
    Północna brzmi godzina...”
Srodze się jakoś zakatarzył
    Czcigodny starowina.

„Ach, z tą młodzieżą! żyć nie miło!
Oj, jak mnie bolą kości!
A wolno spytać, co się śniło?
O kwiatkach? o miłości?
Co? muzy pewnie? Co? królewny?
    Śliczny sen! cha! cha! śliczny!” —
Tu się zakasłał dziaduś gniewny:
    Miał atak astmatyczny!

Stetryczał dobry mój staruszek,
Rad gderać, jak niewiasta, —
Dawno młodzieńczy stracił puszek:
Pamięta wiosen dwa sta!
Niegdyś wskazówki z gładkiém licem
Złocone miał po pańsku, —
Angielski mistrz mu był rodzicem,
A na świat przyszedł — w Gdańsku!

Widząc, że dziaduś nie w humorze,
Na przekór wszcząłem kłótnię:
Ja chwalę sławę — pieśni — zorzę,
On spluwa, zły okrutnie!
Kazał mi w końcu dać tabaki,
Przeprosił za ambaras:
„Poczekaj, smyku, kiedyś taki,
Pokażę ci coś zaraz!"

Drzwi się bez szmeru otworzyły,
Sam nawet nie wiem kiedy,
I wionął na mnie dech mogiły
Od dziwnych mar czeredy.
Ów brząka w szablę z butną pychą,
Ów głaska się po krezie, —
I w wielkiéj sali suną cicho
W straszliwym polonezie.

Tancerz ochoczy do miłostek
Oczodołami zerka,
Na trupim nosku rączką z kostek
Wygraża mu tancerka.
Chrapiąc na sofie, tną tercecik
Trzy butwiejące mamy,
A chwacki szkielet dmucha w flecik
Z piszczela pięknéj damy.

Księżyc, by sina płonie świéczka,
Przygląda się i słucha,
Zaś, jako balu kierowniczka,
Zjawiła się kostucha.

Siadła okrakiem na zégarze,
Do taktu kosą macha, —
Do niéj się śmieją trupie twarze
Tancerek — grajków — gacha.

Suną widziadła krok po kroku,
Muzyki cichną echa,
A zégar na mnie patrzy z boku,
Szydersko się uśmiecha.
I budzi w sercu mém zawiłość
Myśl straszna i żałosna:
Na tém się kończy nasza miłość!
Poezya! — sława! — wiosna!

Or-ot.

O niektórych nowszych próbach

KLASYFIKACYI UMIEJĘTNOŚCI. [1]

Próby klasyfikacyi umiejętności ostatniemi czasy stają się coraz częstsze. Zdaje się, że można widziéć w tém dowód potrzeby, któréj jeszcze nie zdołano uczynić zadość. Godném téż jest uwagi, że we wszystkich niemal próbach nowszych przebijają się dwa motywa zasadnicze, wytknięte w dwóch równoczesnych klasyfikacyach dawniejszych: Comte'a i Ampère'a.

Przez czas wszechwładnego panowania pozytywizmu większa część prób grupowała się dokoła zasadniczéj szóstki Comte'a [2]), chociaż sam twórca pozytywizmu zamienił ją niebawem na siódemkę przez dodanie do nauk o świecie widzialnym naukę o niepochwytnych dla

---

[1]) Przedmiotowi temu poświęcił p. S. Dickstein artykuł, umieszczony w „Ateneum", 1889, I. Nie chcąc powtarzać tego, co już było powiedziane, biorę tu pod uwagę tylko systemata nowsze, lub pominięte w wymienionym artykule. Prócz tego, nadmienić należy o „Klasyfikacyi nauki" B. Limanowskiego („Przegl. Tyg."— „Dodatek miesięczny", sierpień, 1888), W. M. Kozłowskiego o „Klasyfikacyi umiejętności" (Warsz., 1896), oraz o „Klasyfikacyi nauk matematycznych" Hoene-Wrońskiego (ob. S. Dicksteina. „Hoene-Wroński, jego życie i prace." Kraków, 1896); H. Struwe we „Wstępie do Filozofii" poświęca temu przedmiotowi osobny rozdział (str. 113 — 119), w którym podaje także własny zarys ogólny klasyfikacyi umiejętności.

[2]) Matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia, socyologia.

zmysłów stosunkach moralnych, a siódemkę tę ściągnął do piątki, która tak się przedstawia:

I. Nauka o ziemi czyli kosmologia	Abstrakcyjne, czyli nauki o istnieniu powszechném (z początku liczebne, późniéj geometryczne, wreszcie mechaniczne . . . . 1. **Matematyka**		
	Konkretne, czyli nauki o porządku materyalnym . . . . 2. **Fizyka**	niebieska = *Astronomia*	
		ziemska	ogólna = *Fizyka*
			szczegółowa = *Chemia*
II. Nauka o człowieku czyli socyologia	Wstępna, czyli nauka ogólna o życiu . . . . 3. **Biologia.**		
	Ostateczna, czyli nauka właściwa o człowieku	zbiorowym — 4. **Socyologia**	
		pojedyńczym — 5. **Etyka.**	

Pierwszą gromadę nazywa umiejętnością przygotowawczą, czyli filozofią materyalną, drugą — umiejętnością ostateczną, czyli filozofią moralną [1]).

Ta ostateczna forma klasyfikacyi Comte'a, podpisana przez niego według kalendarza pozytywnego 10 Dantego roku 64 (sobota, 24 lipca 1852 r.), a którą pozwoliliśmy sobie przytoczyć ze względu, iż jest u nas mniéj znaną, nie wpłynęła prawie nic a nic na późniejsze klasyfikacye pozytywistyczne, które za punkt wyjścia obiérały sobie zwykle umieszczoną na początku „Kursu" szóstkę. Nie da się wszakże zaprzeczyć, iż ta klasyfikacya ostateczna przewyższa początkową; nietylko bowiem jest kompletniejszą (dodając etykę jako osobną gałąź wiedzy), ale i lepiéj określa współrzędność i zależność umiejętności (łącząc razem astronomię, fizykę i chemię), wreszcie zaznacza różnorodność stanowisk, z których możemy się na nie zapatrywać: ze stanowiska podziału dogmatycznego mamy tu kosmologię i socyologię; ze stanowiska historycznego (t. j. porządku, w którym nauki rozwijają się po sobie), który jest zarazem i pedagogicznym, t. j. porządkiem w jakim należy je studyować — filozofię materyalną i moralną (czyli o porządku zewnętrznym i o porządku ludzkim).

Prawie jednocześnie z pierwszemi tomami „Kursu filozofii pozytywnéj" wyszło dzieło znakomitego fizyka i matematyka A. M. Am-

---

[1]) „*Catéchisme positive*", str. 62.

père'a, którego sława fizyko matematyczna zaćmiła rozgłos jego, jako filozofa, p. t. „*Essai sur la philosophie des sciences ou exposition analitique d'une classification naturelle de toutes les connaissances humaines*" [1]). Autor ten wychodził z przeciwnego niż Comte stanowiska i objął bez porównania głębiéj i wszechstronniéj ogół wiedzy ludzkiéj, któréj ostatecznych gałęzi (nauk szczegółowych) nalicza niemniéj jak 128, grupując je według systematu „naturalnego", t. j. w myśl przyjętego wówczas w historyi naturalnéj podziału Jussieu'a: na królestwa, podkrólestwa, klasy i t. d.

Nie będę zatrzymywał się długo nad tą klasyfikacyą, któréj zarys ogólny podałem w inném miejscu [2]); chcę tu jedynie przypomniéć, w jaki sposób doszedł Ampère do tych czwórek, które stanowią końcowe rozgałęzienia jego drzewa klasyfikacyjnego, albowiem myśl tę odnajdujemy w jednéj z najnowszych prób klasyfikacyi umiejętności.

Kiedy Comte, zapatrując się ze stanowiska najogólniejszego na systemat wiedzy pozytywnéj, jakby na całość, podzielił ją na pewną ilość nauk szczegółowych, stanowiących jakby rozdziały książki, naturalne ugrupowanie w j e d e n s z e r e g materyału, który pomimo to nie przestaje być całością nierozerwalną, za punkt wyjścia dla Ampère'a służył podział jednéj z umiejętności — mianowicie fizyki, od któréj stopniowo, drogą analogii, przechodził do innych, a w ten sposób, wznosząc się od szczegółów do widoków coraz ogólniejszych, ogarnął cały ogrom przedmiotów wiedzy w swoją r o z g a ł ę z i o n ą klasyfikacyę.

W r. 1829 powierzono mu wykład fizyki doświadczalnéj w *Collége de France*. Rozważając wówczas stosunek fizyki doświadczalnéj do matematycznéj, przyszedł do ustanowienia dwojakiego punktu widzenia w każdéj umiejętności.

„Według jednego z tych punktów widzenia przedmioty badane rozważamy same w sobie, według drugiego — w pewnym wzajemnym stosunku, t. j. porównywamy fakta, aby wyciągnąć prawa ogólne, lub téż aby jedne wytłómaczyć przez drugie, dopóki nie dojdziemy od skutków do ich przyczyn i nie zdołamy przewidziéć następstwa, skoro znane będą przyczyny."

„Zauważyłem następnie, powiada znakomity fizyk, że każdy z tych punktów widzenia zasadniczych dzieli się na dwa podrzędne. Tak, o ile rozważamy przedmioty same w sobie, możemy bądź studyować tylko to, co daje się bezpośrednio obserwować, bądź téż zająć się

---

[1]) Paris, I tom 1834 r., drugi 1843 r.

[2]) „Klasyfikacya umiejętności ze stanowiska potrzeb wykształcenia ogólnego." Warsz., 1896.

badaniem tego, co jest początkowo ukrytém, a co wykryć potrafimy jedynie analizując lub tłómacząc fakta" (*l. c.*, str. VII—VIII).

Stosując ten pogląd do fizyki ogólnéj, dzieli ją początkowo na elementarną, badającą zjawiska same w sobie, i na matematyczną, wznoszącą się do praw i przyczyn. Daléj zaś pierwszą z nich dzieli na fizykę doświadczalną, która studyuje zjawiska dostępne obserwacyi bezpośredniéj, i chemię, wymagającą ściślejszéj analizy.

Drugi dział (fizyka matematyczna) ulega również podziałowi według dwóch stanowisk podrzędnych. „Według jednego, badamy zmiany po sobie następujące przedmiotu, czy to w tém, co możemy w nim wykryć bezpośrednio, czy też drogą analizy i tłómaczenia faktów, w celu odkrycia praw tych zmian, a gdy to jest możliwe, porównywamy, co spostrzegliśmy w jednym przedmiocie z tém, co daje się widziéć w innych, aby, o ile pozwala natura rzeczy, uogólnić prawa w ten sposób znalezione. Przy zastosowaniu drugiego stanowiska, za punkt wyjścia obieramy wyniki, otrzymane w trzech działach poprzednich, aby wykryć przyczyny faktów znalezionych przy zastosowaniu dwóch pierwszych punktów widzenia podrzędnych i praw zdobytych przy zastosowaniu trzeciego i żeby w końcu przewidziéć skutki, jako następstwa przyczyn znanych" (*l. c.*, str. VIII—IX).

Zastosowanie tych dwóch nowych stanowisk podrzędnych daje podział fizyki matematycznéj na dwie: stereonomię — naukę wyszukującą prawa, które rządzą zmianą własności ciał, zależnie od zmian wpływów zewnętrznych (np. zależność sprężystości pary od temperatury i t. p.), czyli matematyczne stosunki pomiędzy czynnikami fizycznemi; atomologię — naukę o siłach międzycząsteczkowych, jako ostatecznych przyczynach wszystkich zjawisk fizycznych.

W ten sposób podział całkowity fizyki ogólnéj tak się przedstawia:

- Fizyka ogólna
  - elementarna
    - Fizyka doświadczalna
    - Chemia
  - matematyczna
    - Stereonomia
    - Atomologia

Czwórka ta odpowiada początkowéj dewizie Comte'a: *savoir pour prévoir*, gdyż 4-ta umiejętność daje teoryę ogólną, na któréj podstawie możliwe jest przewidzenie skutków według przyczyn. Późniéj, mając bardziéj człowieka na celu, a mniéj troszcząc się o czystą wiedzę, dodał Comte do tego—*afin de pourvoir*; ten drugi cel wiedzy—wiedzę stoso-

waną obejmuje u Ampère'a obok stojąca umiejętność ogólna—dla fizyki technologia, która również dzieli się początkowo na elementarną i porównawczą, a każda z tych znowuż na dwie gałęzie końcowe.

Tak samo obok geologii — która dzieli się na elementarną i porównawczą z podpodziałami na geografię fizyczną (opisową), mineralogię (analityczną), geonomię (prawa wzajemnego stosunku skał i minerałów) i teoryę ziemi (ogólne przyczyny tych praw) — znajdujemy oryktotechnikę czyli górnictwo z właściwemi działami i poddziałami, obok botaniki — rolnictwo, obok zoologii zootechnikę i t. d. Umiejętności matematyczne i astronomiczne nie mają oczywiście odpowiednich sobie stosowanych.

Posuwając się coraz daléj w tym kierunku, Ampère ugrupował w czwórki nietylko wszystkie umiejętności kosmologiczne (o świecie), ale i noologiczne (o duchu), nazywając te gałęzie końcowe umiejętnościami trzeciorzędowemi, poprzedzające je działy—drugorzędowemi, pierwszorzędowemi zaś te, które obejmują wszystkie wiadomości, dotyczące pewnego przedmiotu.

Niebawem dostrzegł Ampère związek naturalny swoich czwórek z przebiegiem rozwoju myśli ludzkiéj indywidualnéj i zbiorowéj.

„Jakikolwiek jest przedmiot jego studyów, człowiek zaczyna od tego, że zbiéra fakta, czy to fizyczne czy umysłowe lub moralne, tak jak je bezpośrednio obserwuje; następnie poszukuje tego, co jest niejako ukryte za owemi faktami; dopiéro po tych poszukiwaniach, odpowiadających dwom stanowiskom podrzędnym zawartym w pierwszém główném, może porównywać wyniki i wyprowadzać prawa; od tych zaś może wznieść się do przyczyn" (*l. c.*, str. XX).

Są to 4 okresy dziejowe, odpowiadające czterem okresom w rozwoju umysłowości jednostkowéj, które był zaznaczył już w obszernéj pracy nad historyą umysłowości ludzkiéj, rozpoczętéj w r. 1804-ym. „Dostrzegłem—powiada on — że istnieje ścisła współrzędność między temi czterema stanowiskami a czterema okresami, które ustanowiłem w dziejach postępu umysłu ludzkiego, zaczynając od pierwszych wrażeń i ruchów, dających dziecku poznać jego istnienie, aż do chwili gdy oświecony przez obcowanie z bliźnimi i przez wpływ kształcący sztuk i umiejętności, wznosi się człowiek na najwyższy szczebel poznania, do jakiego mu dojść przeznaczono."

Tak samo więc, jak u Comte'a, zasada podziału wskazuje zarazem i następstwo historyczne oraz pedagogiczne umiejętności, ale tylko w stosunku do pojedyńczych gałęzi obejmujących ten sam przedmiot

(nauk trzeciego rzędu), co może więcéj zbliża się do rzeczywistości historycznéj, niż hierarchia Comte'a.

Jak pojmował Ampère historyczny rozwój umysłowości ludzkiéj, okaże to następujący urywek z niewydanego szkicu, p. t. „*Plan d'une histoire de l'intelligence humaine*" [1]):

„Ze stanowiska umysłowego człowiek ma zdolność nabywania i zachowywania wiedzy. Pierwsza dzieli się na trzy poddziały zasadnicze: nabywamy wiedzę przez zmysły, przez rozwinięcie czynności (zakresu ruchu), która pozwala nam wykryć przyczyny, wreszcie przez zastanowienie, które można nazwać zdolnością dostrzegania stosunków, a którą stosujemy zarówno do wytworów zmysłowych jakoteż władz czynnych. Stosunki pomiędzy pierwszemi dostrzegamy drogą porównania, pomiędzy drugiemi — przez obserwowanie następstw, jakie wywołują przyczyny. Wszystkie więc zjawiska, które dostrzegamy w świecie intelektualnym, rozdzielić możemy na cztery systemata: system spostrzegania, systemat ruchu, systemat porównawczy i systemat przyczynowy."

Widzimy z tego wszystkiego, że systemat umiejętności Ampère'a był i głębiéj pomyślany i bardziéj szczegółowo wypełniony, że wreszcie więcéj odpowiadał rzeczywistéj mnogości gałęzi wiedzy, niż klasyfikacya Comte'a, któréj zaletami niezaprzeczonemi są wszakże wielka jasność myśli zasadniczéj i ogromna ogólność. Dlaczegoż klasyfikacya Comte'a wywarła taki wpływ stanowczy na wszystkie próby późniejsze, stała się tak popularną, kiedy o Amperze zaledwie coś wiedzą?

Prócz większéj przystępności pierwszéj, główną przyczyną, zdaje mi się, była ta, że systemat swój Comte urzeczywistnił, Ampère zaś tylko nakréślił. Każda klasyfikacya pociąga naturalnie za sobą potrzebę stworzenia odpowiedniego systematu ugrupowanych według niéj przedmiotów. Jest ona niejako spisem rzeczy do księgi wiedzy. Systemat taki znajdujemy w kursie Comte'a.

Wiek XVIII ty stworzył „Encyklopedyę" wiadomości nieusystematyzowanych (chociaż z klasyfikacyą na czele); wielkiém zadaniem, którego domaga się natarczywie nasze stulecie, jest systemat umiejętności filozoficznie poczęty, ale niezależny od wszelkich metafizycznych opinii. Potrzebie téj zadość uczynić zapragnęły przedewszystkiém wielkie systemata filozofii idealistycznéj — Fichtego, Hegla, Schellinga, które usiłowały ogarnąć cały świat i wszystkie umiejętno-

---

[1]) Przytoczony u St.-Beuve'a: „*Illustrations scientifiques*" w „*Revue de deux Mondes*", 1837, 15 fevr.

ści [1]) o nim zlać w jeden systemat, ale wszystko widziały przez pryzmat swojéj indywidualnéj metafizyki. Gdy ta metafizyka została zachwianą, a potrzeba ogarnięcia całości wiedzy domagała się swego spełnienia, wynikła z niéj przedewszystkiém potrzeba wytworzenia planu, według którego mógłby być wykonany podobny systemat wiedzy zupełnie niezależny od panujących chwilowo poglądów filozoficznych, które jako związane z uczuciowością i dziedziną wiary, zbyt łatwo ulegają zmianom pod wpływem warunków dziejowych. Z téj potrzeby urosły powstające jednocześnie klasyfikacye Comte'a i Ampère'a z niéj wynika większość prób późniejszych.

Każdą z nich możemy więc uważać niejako za plan tylko większego dzieła—S y s t e m a t u w i e d z y, niejako za spis rzeczy do niego ułożony, a plan chociażby najlepszy mniéj znaczy, niż samo dzieło. „Kurs filozofii pozytywnéj" był takiém dziełem, był próbą ujęcia w jedną całość systematyczną całości wiedzy ludzkiéj, próbą, do któréj wykonania przyczyniły się nietylko ogromna siła woli i wytrwałość autora, ale i względna prostota samego planu.

Jeśli jednak wertując sześć tomów „Kursu", zawierających niejako tylko kwintesencyę wiedzy ówczesnéj, zmuszeni jesteśmy podziwiać ogrom pracy i umiejętności autora, to jakichże niezwykłych zdolności, jak długiego życia wymagałoby podobneż wypełnienie 128 podziałów systematu Ampère'a?

Jednakże myśl ta nie była mu obcą; w liście Ballanche'a pisanym do niego w r. 1806 czytamy [2]):

„Powiedziałem mu [3]), że pan ma plan kursu, który ma wszelkie widoki powodzenia: obejmowałby on wszystkie umiejętności, biorąc z każdéj to, co wystarcza, ażeby dać o nich pojęcie, wysnuwając z nich zjawiska ogólne, wykazując punkta styczności [i dając to, coby można nazwać filozofią czyli uogólnieniem całéj wiedzy ludzkiéj."

Łatwo poznajemy w tym planie myśl „Kursu" Comte'a, nakréśloną na dwadzieścia lat przed jéj wykonaniem przez tego ostatniego; bo to, co Comte nazwał filozofią pozytywną, jest tylko takiém uogólnie-

---

[1]) Już sama nazwa systematu Fichtego: „Nauka umiejętności," wskazuje taki zamiar; ujawnia się on i w Heglowskim podziale filozofii, który jest właściwie klasyfikacyą umiejętności, i w Schellingowskiéj „Filozofii przyrody".

[2]) Przytoczonym w wyżéj cytowaném studyum St.-Beuve'a.

[3]) Mowa tu o Kamilu Jordan, który miał zamiar urządzenia w Lyonie szeregu kursów publicznych pod nazwą *Salon des Arts*, nakształt paryskiego *Athénées*. Ta obszerna dążność do popularyzacyi wiedzy w owym czasie wiąże się również z potrzebą jéj usystematyzowania i jest może jéj główną przyczyną.

niem wiedzy, pozbawionéj właśnie wszelkiéj zależności od filozofii, któréj twórca pozytywizmu zaprzeczał prawa do bytu niezależnego.

I Ampère nie porzucał myśli wykonania tego planu, którego szkicem jest jego klasyfikacya umiejętności. W tém samém dziele powiada on:

„Gdyby czas pozwolił mi napisać traktat obszerniejszy, nie ograniczyłbym się do dania ogólnego pojęcia o każdéj z umiéjętności, lecz starałbym się wyłożyć prawdy zasadnicze, na których spoczywa; metody, któremi posługiwać się należy, tak dla jéj poznania, jako téż dla dalszego postępu saméj umiejętności; postępy, jakich się należy spodziewać według osiągniętego dotychczas stopnia doskonałości. Zaznaczyłbym nowsze odkrycia, wskazałbym cel i główne wyniki prac znakomitych badaczy, a tam, gdzie uczonych dzieli różnica zdań co do samych podstaw umiejętności, wyłożyłbym i porównał ich systematy, wykazałbym źródło niezgodnych opinii i wskazał jak można połączyć to, co w każdéj jest niezaprzeczalném)" [1]).

W wykonaniu właśnie tego, co Ampère tylko zamierzał, tkwi tajemnica powodzenia Comte'a. Nie mniej jednak dzieło Ampère'a jest czémś więcéj niż te liczne klasyfikacye nowsze, rzucane często na prędce, nad którémi krytyka i historya przechodzą do porządku dziennego, a wpływ jéj dostrzeżemy w późniejszych próbach aż do dni dzisiejszych.

W czterdzieści lat po wyjściu drugiego tomu „Filozofii Nauk" Ampèra, ukazało się dzieło również dwutomowe, p. t.: „*Théorie des Sciences*; *plan d'une science intégrale*" par L. Bourdeaux (Paryż 1882). Znajdujemy w niém Amperowskie czwórki, zastosowane zresztą w całkiem innym systemacie.

„Umysł ludzki, powiada autor, mając za punkt wyjścia niewiedzę zupełną, szuka naprzód prawdy po omacku, bez planu i metody... Znajduje i zbiera pewną ilość danych, które układa nieściśle w sztuczne ramki."

„Gdy jednak ta pierwsza praca została wykonaną, następuje potrzeba uporządkowania zdobyczy dla utworzenia systematów, w których wiadomości nabyte łączą się i klasyfikują." Wreszcie wyniki takiéj wiedzy systematycznéj znajdują zastosowanie.

Ztąd więc trzy stopnie w rozwoju wiedzy: 1) przygotowanie nieściśle; 2) koordynacya logiczna; 3) zastosowanie płodne.

Drugi stopień stanowi właściwą wiedzę — „*les sciences par excellence*".

---

[1]) „*Essai sur la Philosophie des Sciences*", str. 22.

Wszystkie umiejętności, razem wzięte, stanowią wiedzę całkowitą *(science intégrale)* składającą się z 7 rozmaitych przedmiotów, z których każdy daje początek czterem naukom; gdyż każdy z początku ulega analizie, która może dotyczyć bądź faktów elementarnych czyli stałych, bądź złożonych czyli zmiennych, następnie zaś syntezie, która może dotyczyć szeregów stosunków (częściowych) lub ich ogółu (ogólna).

Przedmiotami są: 1. Ontologia pozytywna czyli logika — nauka jakości (realności); 2. Metrologia czyli matematyka — nauka wielkości; 3. Tezeologia czyli dynamika — nauka położeń. 4. Pojologia czyli fizyka — nauka modalności (stanów). 5. Krazeologia czyli chemia — nauka połączeń. 6. Morfologia — nauka form. 7. Prakseologia — nauka czynności.

Każdemu z tych przedmiotów odpowiada osobna metoda: ontologia posługuje się metodą intuicyi, t. j. bezpośredniego ujęcia czyli stwierdzenia objawiającéj się nam realności przedmiotów. Metodą metrologii jest dedukcya, określająca logiczną miarę wielkości; tezeologia (dynamika) postępuje drogą obserwacyi; pojologia czyli fizyka drogą doświadczenia; metodą chemii jest integracya, morfologii — porównanie, prakseologii — łączność *(connexion)*.

Cały systemat umiejętności, czyli wiedza całkowita *(science integrale)* z jéj podziałami przedstawiony jest na załączonéj tablicy (str. 304)

Nie potrzebujemy wytykać sztuczności tego systematu, który wysnuty z apriorycznych rozumowań, a oparty na dogmatycznym empiryzmie w pojmowaniu świata, nie liczy się z rzeczywiście istniejącemi umiejętnościami, a odrzuca najspokojniéj całe zakresy wiedzy, jak historyę z jéj umiejętnościami pomocniczemi, nauki prawne, społeczne, teoryę sztuki, filozofię, etykę i t. d., pomijając już umiejętności opisowe i wiedzę stosowaną.

Rzut oka na załączoną tu tablicę przekonywa nas, że jest ona połączeniem podziału według przedmiotów nauk Comte'a z czwórkami Ampère'a. Tylko że przedmioty wzięte są inaczéj — może zgodniéj z współczesnym poglądem przyrodniczym: na stopniową komplikacyę zjawisk i na pedagogiczny porządek nauk, ale za to pozbawione podstawy historycznéj — od stosunków jakościowych, przechodzi się do miary; daléj idzie nauka ogólna o ruchu, jako wstęp do fizyki; fizyka stanowi podstawę naukową chemii, a morfologia (anatomia) poprzedza fizyologię.

Przykład ten wykazuje, w jakim stopniu myśl dwóch wielkich myślicieli z początku bieżącego stulecia panuje nad najnowszemi klasyfikacyami umiejętności.

Wiedza całkowita o rzeczach.

Podział umiejętności.

Przedmiot umiejętności	Fenomenologia czyli analiza faktów: Elementarnych czyli stałych	Fenomenologia czyli analiza faktów: Złożonych czyli zmiennych	Cenologia, czyli synteza stosunków: Szczegółowych cz. rzędowych	Cenologia, czyli synteza stosunków: Ogólnych cz. całości	Metoda nauki
1. **Ontologia** pozytywna, cz. **logika**, nauka o realnościach	Ontologia elementarna: nauka o ideach przedmiotowych	Ontolog. specyalna: nauka o ideach podmiotowych	Ontologia porównawcza: n. o kojarzeniu idei	Ontologia ogólna: nauka o utożsamieniu idei	Intuicya
2. **Metrologia** cz. **matematyka**: nauka o wielkościach	Matematyka elementarna: nauka o liczbach.	Matematyka specyalna: nauka o rozciągłości.	Mat. porównawcza: nauka o stosunku wielkości	Mat. ogólna: nauka o zrównaniach wielkości	Dedukcya
3. **Tezeologia** cz. **dynamika**: nauka o położeniach	Dynamika elementarna: nauka o równowadze	Dyn. specyalna: nauka o ruchu	Dynam. porównawcza: nauka o wypadkowych skutków	Dynam. ogólna: nauka o prawach rozmieszczenia.	Spostrzeżenie
4. **Pojologia** czyli **fizyka**: nauka o stanach	Fizyka elementarna: nauka o stanach stałych	Fizyka specyalna: nauka o stanach zmiennych	Fizyka porównawcza: nauka o stosunku stanów	Fizyka ogólna: nauka o jedności sił fizycznych	Doświadczenie
5. **Krazeologia cz. chemia**: nauka o połączeniach	Chemia elementarna: nauka o substancyach stałych	Chemia specyalna: nauka o substancyach zmiennych	Chemia porównawcza: n. o stopniach połączenia	Chemia ogólna: nauka o prawach połączenia	Integracya (całkowanie)
6. **Morfologia**: nauka o formach	Morfologia elementarna nauka o materyałach budowlanych	Morfologia specyalna: nauka o typach (*modes*) budowy	Morfol. porównawcza: n. o stosunkach plastycznych	Morf. ogólna: nauka o prawach ukształtowania	Porównanie
7. **Prakseologia**: nauka o czynnościach	P. elementarna: nauka o czynnościach cielesnych	P. specyalna: nauka o czynnościach duchowych	P. porównawcza: nauka o stosunku czynności	P. ogólna: nauka o prawach czynności	Łączność

Zupełnie odmienny punkt wyjścia ma klasyfikacya twórcy francuskiego fenomenalizmu — Karola Renouvier [1]). Gdy Boutroux jest dogmatykiem empiryzmu przyrodniczego, ograniczającego całą wiedzę do tego, co nazywamy pospolicie „przyrodą", Renouvier opiéra się na krytycyzmie Kanta. Podział jego polega przedewszystkiém na rozdzieleniu całego obszaru wiedzy na dwie wielkie części: Nauki obejmujące t. zw. wiedzę ścisłą i umiejętności mniéj doskonałe lub sporne, które obejmuje pod nazwą krytyki.

Nauki znowuż dzielą się na dwie gromady: I Logiczne mają za przedmiot stosunki ogólne i abstrakcyjne umysłu oraz jego formy niezależnie od przedmiotów pojedyńczych i od treści wrażeń. Dział ten obejmuje dwie gałęzie:

Nauki: 1) jakościowe *(Peoïlogie)*— logika formalna i gramatyka powszechna; 2) ilościowe *(Posologie)* — mające za przedmiot ilość, położenie, następstwo, stawanie się.

II. Nauki fizyczne mają za przedmiot téż same stosunki wzięte w porządku wrażeń i doświadczeń. Tu mamy znowuż dwie wielkie gałęzie: 1) Historya Naturalna obejmuje stosunki dostrzegane, opisane i uklasyfikowane w utworach natury, dawnych lub obecnych, i w ich czynnościach; 2. Fizyka — mająca za przedmiot stosunki abstrakcyjne istot, wykryte drogą sztucznych doświadczeń, a usystematyzowane możliwie przez zastosowanie umiejętności logicznych.

Całość tego działu przedstawia tabliczka następująca:

- Nauki
  - logiczne
    - jakości *(Poïologie)*
      - A. Logika formalna
      - B. Gramatyka powszechna
    - ilości *(Posologie)*
      - A.
        - Algebra (liczba symboliczna)
        - Arytmetyka (liczba konkretna)
      - B. Geometrya
      - C. Dynamika
      - D. Rachunek prawdopodobieństwa
  - fizyczne
    - Historya naturalna
      - A.
        - Kosmologia
        - Geologia
          - geografia
          - mineralogia
          - geologia
          - meteorologia
      - B.
        - Botanika
          - botanika
          - chemia roślinna
        - Zoologia
          - zoologia i antropologia
          - chemia zwierzęca
    - Fizyka
      - A.
        - Astronomia
        - Fizyko-chemia
          - fizyka specyalna
          - chemia
          - analiza matematyczno-fizyczna i chemiczna
      - B. Biologia

---

[1]) Umieszczona w „*Principes de la Nature*", 1892, str. LXXVIII.

Dział krytyki ma za przedmiot wszystkie stosunki a mianowicie: przyczynowości, celowości i osobowości we wszechświecie i człowieku, jako istocie osobowéj i społecznéj. Dwoma poddziałami są tu: I. *Thétique* — uogólniająca i II. *Historique* — dotycząca przeszłości (opowieściowa), lub teraźniejszości (opisowa) z poddziałami na antropologiczną i czysto umysłową i moralną. Całość krytyki tak się przedstawia:

- Krytyka
  - Tetyka
    - O poznaniu w ogólności
      - analiza katategoryi
      - analiza czynności ludzkich
      - analiza pierwiastków syntezy kosmicznéj
    - o naukach
      - logicznych
      - fizycznych
    - o wiadomościach moralnych
      - etyka
      - estetyka
      - ekonomika
      - polityka
  - Historyka
    - Antropologiczna
      - etnologia
      - lingwistyka
      - archeologia
      - historya
    - Specyalnie intelektualna i moralna
      - historya nauk
      - historya filozofii
      - hist. moralności
      - hist. religii
      - hist. sztuki
      - hist. prawa, ekonomii, polityki i t. d.

Trzy górne gałęzi tetyki odpowiadają umiejętnościom teoretyczno filozoficznym: teoryi poznania, psychologii i metafizyce (teoryi przyrody); dwie środkowe — teoryum umiejętności, wreszcie etyka i estetyka — filozofii praktycznéj. Wogóle zaś w całym systemacie trafnie wydzielone są główne typy umiejętności: 1) dedukcyjnie formalne (logika i matematyka); 2) opisowo-spostrzegawcze (hist. naturalna); 3) indukcyjne (fizyka), 4) analityczno filozoficzne (tetyka), 5) historyczne.

W oryginalnéj książce, która dziwnie miesza dogmatyzm metafizyki przyrodniczéj ze sceptycyzmem teoretyczno-poznawczym — mam na myśli „Gramatykę wiedzy K. Pearsona [1])—znajdujemy klasyfikacyę umiejętności, którą zaliczyć możemy do pozytywistycznych. Jest to w istocie klasyfikacya Comte'a, skondensowana co do głównych działów (których tu znajdujemy tylko trzy), a rozwinięta w ich gałęziach.

Pearson dzieli przedewszystkiém umiejętności na abstrakcyjne i konkretne, chociaż nadaje tym terminom odmienne niż u Comte'a znaczenie. Biorąc za punkt wyjścia wrażenie jako źródło wszelkiego poznania, otrzymuje on podział zasadniczy na nauki abstrakcyjne, zajmujące się formą wrażeń, i konkretne, których przedmiotem jest treść wrażeń. Przedmiotem więc wiedzy abstrakcyjnéj są ogólne stosunki rozróżnienia, które mogą być ilościowe albo jakościowe. Pierwsze stanowią przedmiot matematyki, drugie logiki; zasadniczą część ostatniéj stanowi ortologia, t. j. nauka o właściwém użyciu języka. Cała ta gromada odpowiada „naukom logicznym" Renouviera. O dalszym ich podziale daje pojęcie następująca tabliczka:

A. Umiejętności abstrakcyjne (Sposoby rozróżnienia).

Ogólne stosunki rozróżnienia			Stosunki właściwe dla czasu i przestrzeni			
Jakościowe	Ilościowe		Przestrzeń: Rozróżnienie przez umiejscowienie		Czas: Rozróżnienie przez następstwo	
	Wielkości dyskretne	Wielkości zmienne	Jakościowe (Położenie)	Ilościowe (Wielkość)	Jakościowe	Ilościowe
Logika, Orthologia, Metodologia	Arytmetyka, Algebra, Miernictwo, Teorya błędów. Rachunek prawdopodobieństwa, Statystyka i t. d.	Teorya funkcyi, Rachunek różniczkowy, Rachunek całkowy i t. d.	Geometrya opisowa	Geometrya miary, Trygonometrya, Miernictwo i t. d.	Teorya obserwacyi i opisu (połączona z Logiką)	Cynematyka (zmiana położenia); Teorya natężenia (*Strain*) Zmiana wielkości i kształtu

[1]) *„The Grammar of Science"* *by* Karl Pearson, London 1893.

Umiejętności konkretne dzielą się na dwa wielkie działy: zjawisk nieorganicznych i organicznych.

Naukę o zjawiskach nieorganicznych dzieli na dwie grupy: n a u k i f i z y c z n e ś c i s ł e, t. j. umiejętności zredukowane do wyobrażalnych ruchów z 4-ma poddziałami: fizyką eteru, atomową, cząsteczkową i fizyką mas, obejmującą także mechanikę i teoryę nieba (astrofizyka i chemia teoretyczna wchodzą do fizyki atomowéj); nauki fizyczne synoptyczne, nie zredukowane jeszcze do idealnych ruchów, obejmują hypotezy rozwoju układu planetarnego, ziemi, geologię, geografię, meteorologię, mineralogię, chemię i t. d.

Trzeci dział — zjawisk organicznych ulega wielokrotnemu podziałowi, jak widzimy z następującéj tablicy:

C. Zjawiska organiczne.

<table>
<tr><th>Przestrzeń (Umiejscowienie)</th><th colspan="10">C Z A S.
Wzrost i zmiana.</th></tr>
<tr><td rowspan="7">Rozsiedlenie geograficzne istot żyjących (Chorologia)
Zależność zwyczajów od otoczenia (Ekologia)
Historya naturalna</td><th colspan="4">Niepowracające zmiany.
Historya</th><th colspan="6">Odnawiające się zmiany.
Biologia (Zoologia i Botanika)</th></tr>
<tr><th>Ogólny rozwój gatunków</th><th colspan="3">Specyalny rozwój człowieka</th><th>Forma i budowa</th><th>Wzrost i rozmnożenie</th><th colspan="4">Funkcye i czynności</th></tr>
<tr><td rowspan="5">Rozwój życia (Filogenia, Paleontologia i t. d.)
Pochodzenie gatunków
Teorya doboru naturalnego i t. d.</td><th rowspan="2">Natura fizyczna</th><th rowspan="2">Władze umysłowe</th><th rowspan="2">Instytucye społeczne</th><td rowspan="5">Morfologia,
Histologia,
Anatomia i t. d.</td><td rowspan="5">Embryologia,
Teorya płci,
Teorya dziedziczności i t. d.</td><th>Fizyczne</th><th colspan="3">Umysłowe</th></tr>
<tr><td rowspan="4">Fizyologia</td><th colspan="3">Psychologia</th></tr>
<tr><td rowspan="3">Kraniologia, Antropologia i t. d.</td><td rowspan="3">Historya języków, Filologia, Historya filozofii i wiedzy, Literatura, Sztuka i t. d.</td><td rowspan="3">Archeologia, Folklorystyka, Historya zwyczajów, religii, państw, praw i t. d.</td><th>Ogólna</th><th colspan="2">Specyalnie ludzka</th></tr>
<tr><td rowspan="2">Teorya instynktu, Rozwój świadomości i t. d.</td><th>Indywidual.</th><th>Gromadna</th></tr>
<tr><td>Psychologia, Fizyologia myśli.</td><td>Socyologia
Etyka, Polityka, Ekonomia społeczna, Prawo i t. d.</td></tr>
</table>

Łatwo dostrzedz, iż tu trzy działy streszczają w sobie szóstkę Comte'a: 1) matematyka (z dodaniem logiki), 2) fizyka, obejmująca chemię i astronomię i 3) biologia, która wchłonęła w siebie i socyologię. Natomiast każdéj z tych zasadniczych nauk dane są liczne rozgałęzienia. Umiejętności wchodzące w skład „krytyki" u Renouviera („Umiejętności o duchu" Wundta) zostały tylko częściowo uwzględnione i rozrzucone są wśród biologicznych.

W r. 1893 wyszło dzieło Raoula de la Grasserie, p. t. „*De la classification objective et subjective des arts, de la litterature et des sciences*", którego autor starał się uwzględnić wszystkie możliwe stanowiska i podstawy w klasyfikacyi tych trzech dziedzin, opierając się na wyczerpującym materyale historycznym.

Znajdujemy więc tu przyjęty przez Comte'a podział umiejętności na abstrakcyjne i konkretne; przeciwstawności wprowadzone w klasyfikacyi Wundt'a pomiędzy umiejętnościami pojedyńczemi (*Einzelwissenschaften*) i ogólnemi (*Allgemeinen*), również pomiędzy wiedzą o przyrodzie i o duchu (*Natur- und Geisteswissenschaften*); wraz z Platonem, Arystotelesem, Bakonem, Bentamem i d'Alembertem przyjmuje podział według władz umysłowych na dwa wielkie działy: sztuki i wiedzy. Daléj, stosownie do trzech ideałów: piękna, prawdy i dobra, otrzymuje podział troisty na sztukę i literaturę, odpowiadające dążeniu do piękna, wiedzę pozytywną — wynik dążenia do prawdy, nauki o duchu i umiejętności społeczne, odpowiadające idei dobra. Daléj idzie podział na wiedzę teoretyczną i stosowaną, na podmiotową (logika, estetyka, etyka) i przedmiotową (matematyka w nauce o liczbach), na powszechne (gramatyka) i szczegółowe grupowanie według stopnia prostoty umiejętności i t. d.

Nie możemy tu wchodzić w szczegóły téj pracy, któréj zaletami są usiłowanie uwzględnienia wszystkich możliwych stanowisk, skorzystania z pracy poprzedników i wciągnięcie w zakres swój wszystkich niemal utworów umysłowych (wiedzy czystéj, stosowanéj i sztuki); wadą — eklektyzm. Wogóle autor przychodzi do wniosku, że niedostateczność dotychczasowych prób klasyfikacyi umiejętności polega na tém, iż twórcy ich usiłowali ugrupować nauki w szeregu lub na płaszczyźnie, gdy tymczasem wielokrotne stosunki i związki między niemi mogą być wyrażone tylko w przestrzeni o 3-ch wymiarach.

Najnowszą pracą w tym przedmiocie jest „*Zur Klassification der Wissenschaften*" przez Aug. Stadlera (umieszczona w „*Archiv für systematische Philosophie*", 1896, I). Klasyfikacya ta jest szczęśliwszą od innych w utworzeniu i ugrupowaniu większych gromad, mniéj szczęśliwa w działach szczegółowych, zwłaszcza przyrodoznawstwa.

Za punkt wyjścia służy autorowi określenie pojęcia nauki, przejęte bardzo trafnie od Kirchmanna i nie przesądzające nic zgoła nad to, co niezbędnie w to pojęcie wchodzić powinno, a przez to usuwające dowolność, która cechowała np. próby pozytywistyczne i niektóre inne, przyznając prawo do tytułu nauki jednym z istniejących obecnie gałęzi wiedzy, zaprzeczając je innym.

Rozpowszechniając na wiedzę wogóle to, co Kirchmann zaznaczył w swojém określeniu mechaniki, za zadanie wiedzy uważa Stadler „możliwie dokładne opisanie zjawisk”.

W tém opisaniu można jednak wyróżnić pięć stopni następujących:

1. Najprzód opisujemy zjawiska tak, jak one się nam bezpośrednio przedstawiają, w celu jedynie utrwalenia ich dla pamięci, ułatwienia ujęcia (umiejętności opisowe).
2. Szukając daléj stałości pośród zmienności zjawisk, dochodzimy drogą analizy do ostatecznych składowych ich części, z których drogą syntezy odtwarzamy całość (chemia).
3. Przytém wśród zjawisk życia organicznego znajdujemy jeszcze drugorzędne, że tak powiem, pierwiastki konstrukcyjne (morfologiczne) — tkanki.
4. Daléj staramy się opisać jakości, stawiając sobie za zadanie wykrycie tego, na jakie proste, nie dające się daléj rozłożyć własności można rozkładać dany stan rzeczy i jak go z nich odtworzyć (fizyka).
5. Wreszcie szukamy następstwa po sobie i związku w czasie zjawisk (dzieje).

W ten sposób wymienione pięć punktów zapatrywania się na zjawiska odpowiadają trzem kategoryom: 1) teraz, 2) zawsze, 3) w przeszłości, a łatwo dostrzeżemy, że stanowią one dalszy, nie skrępowany formalizmem architektonicznym rozwój czwórek Ampère'a, przedstawiając do pewnego stopnia naturalne etapy rozwoju umiejętności.

Zjawiska wszakże, wchodzące w zakres naszéj wiadomości, są dwojakie: obok zjawisk zewnętrznego świata mamy zjawiska wewnętrzne (psychiczne), które stanowią gromadę równoległą do pierwszych i ulegającą podobnemuż mniéj więcéj rozczłonkowaniu.

Obie razem tworzą dział, odpowiadający „umiejętnościom konkretnym” poprzedniéj klasyfikacyi, a który autor obejmuje ogólną nazwą „Nauki o przyrodzie”. Równoległym do tego jest drugi dział —

nauk, opisujących możliwe formy zjawisk — nauk matematycznych (tylko część „abstrakcyjnych" poprzedniéj klasyfikacyi).

Oba te działy razem wzięte stanowią nauki *o tém co jest*, o bycie czyli o zjawisku (gdyż wszelki byt poznajemy tylko w zjawisku); równolegle do nich istnieje szereg nauk *o tém co być powinno*, czyli nauki o ideach, a te dwie wielkie gałęzi łączą się razem w jeden pień: *poznanie* czyli wyobrażenie pewnéj określonéj wielorakości; obok niego istnieje drugi równoległy — wyobrażenie możności opisania wogóle, czyli *teorya poznania*, a te dwa razem składają się na całość *wiedzy*, czyli „dokładnego opisania całokształtu wyobraźni w naszéj świadomości". Rozgałęzienia więc wiedzy przedstawia następujący zarys:

Wiedza

I. Poznanie (wyobrażenie wielorakości)

II. Teorya poznania (wyobrażenie możliwości opisania).

A. Tego co jest (Nauka o zjawiskach)

B. Tego co być powinno (Nauka o ideach)

a) Samego zjawiska (Nauki o przyrodzie)

b) Formy zjawisk (Matematyka)

α) Zjawiska zewnętrz. (Nauki o ciałach)

β) Zjawiska wewnętrznego (Nauki o duchu).

W tém stopniowém rozgałęzianiu widzimy również podobieństwo do królestw, podkrólestw, klas i rzędów, przyjętych przez Ampère'a, a nikt zapewne nie zaprzeczy, że ten podział jest naturalniejszy od klasyfikacyi badacza francuskiego.

Przystąpmy teraz do wypełnienia pojedyńczych działów.

Teorya poznania składa się z dwóch tylko umiejętności: jedna opisuje możliwość oznaczenia (nazwania)—jest to *logika formalna*; druga—możliwość porównania—*logika materyalna*.

Podział *nauk o ideach* jest następujący:

Nauki o ideach

- *A.* O szczęściu (Teleologia)[1]
  - *a*) idei: czysta teleologia
  - *b*) stosunku zjawiska do ideału (teleolog. stosowana)
    - α) Podmiotu: Pedagogika eudemonistyczna
    - β) Przedmiotu: Nauka o dobrach
      - a) o dobrach materyalnych: Nauka o gospodarstwie.
      - b) o dobrach duchowych (Estetyka).
- *B.* O moralności (Etyka)
  - *a*) o moralności bezwzględnéj: Etyka czysta
  - *b*) stosunek wychowania do etyki bezwzględnéj: Pedagogika etyczna.

Nauka o gospodarstwie jest pojęta bardzo szeroko: obejmuje ona nietylko naukę o konsumpcyi, wykluczaną zwykle dotąd z ekonomii społecznéj, ale i wszystkie gałęzi wiedzy stosowanéj czyli sztuk użytecznych, nie wykluczając i medycyny.

Nauki matematyczne tworzą trzy gromadki: nauki o przestrzeni (geometrya), o liczbach (arytmetyka), o ruchu (cynematyka).

Wreszcie w naukach o przyrodzie (o materyi i duchu) spotykamy się z dwojakim podziałem, odpowiadającym z jednéj strony pięciu wyżéj wymienionym stanowiskom, z drugiéj — rozmaitym przedmiotom umiejętności, które zastosowane są równolegle do obu działów: nauki o ciałach i nauki o duchu.

Otrzymujemy więc następującą tablicę:

(Patrz str. 336).

Widzimy tu niemało błędów i sztuczności: ciekawém jest, że autor wcale nie znalazł miejsca dla fizyki i chemii ogólnéj, które umieścił sztucznie pod rubryką ziemi; natomiast gdzieindziéj widzimy powtórzenie tych samych nauk pod rozmaitemi nazwami (Fizyka kosmiczna—Astrofizyka; Chemia kosmiczna—Astrochemia i t. d.). Niema też ustosunkowania gałęzi wiedzy według ich doniosłości: tak np. fizyka i chemia występują w pięciu rozmaitych postaciach (łącząc w to i fizyologię), gdy tymczasem całe dzieje z niezliczonemi gałęziami wepchnięte są do „Historyi kultury”. Również cała wiedza stosowana zbita jest pod rubrykę ekonomii.

---

[1]) Przypominamy przy téj sposobności, że u nas Trentowski wprowadził umiejętność, dosyć blisko odpowiadającą temu działowi: mianowicie „Socyalistykę“, czyli umiejętność o celach społeczeństwa i ludzkości (Por. jego klasyfikacyę w „Panteonie wiedzy ludzkiéj“, 1873, str. 61—89).

Opisują:	Zjawiska zewnętrzne. (Nauka o ciałach).					Zjawiska wewnętrzne. (Nauka o duchu).		
I. Zjawiska i ich zmiany tak jak są dane obserwacyi. (Morfologia).	Wszechświata Kosmologia	Nieba Astronomia	Ziemi Meteorologia Geografia Geologia	Minerałów Mineralogia	Organizmów Biologia Botanika Zoologia Antropologia	α) O samowiedzy (Psychologia podmiotowa)	β) O świadomości innych Psychologia przedmiotowa	γ) O świadomości gatunku Psychologia porównawcza
II. Zjawiska jako połączenie pierwiastków. (Chemia): 1. Naturalnych (Chemia analityczna). 2. Sztucznie utworzonych (Chemia syntetyczna.	Chemia kosmiczna	Astrochemia	Chemia ziemi	Chemia minerałów Synteza nieorganiczna	Chemia biologiczna Synteza organiczna			
III. Zjawiska organiczne jako połączenie prostszych organów (Histologia).					Tkanek zwierzęcych Tkanek roślinnych		Anatomia psychologiczna	
IV. Zmiany zjawiskowe jako połączenia prostszych ruchów (Fizyka): 1) sztucznych (syntet.); 2) naturalnych (analityczna).	Fizyka kosmiczna	Astrofizyka	Fizyka (mechaniczna, optycz., akustycz., elektr. i termiczna) Geografia fizyczna	Fizyka minerałów	Fizyologia ogólna Fizyologia szczegółowa		Psychofizyka ogólna i szczegółowa	
V. Zjawiska oraz ich zmiany, jak są dane w pewnym czasie (Dzieje).	Kosmogonia	Astrogenia	Historya ziemi		Rozwój organizmów: Ontogenia i Filogenia	Autobiografia	Historya ogólna świadomości indywidualnéj Biografia specyalna	Historya kultury ogólna i specyalna

Wogóle źle świadczy o konsekwencyi układu obecność licznych pustych przedziałek, przytém takich, które nie mogą być według saméj istoty rzeczy zapełnione (co wynikło po części stąd, że specyalne własności pewnéj gromady zjawisk umieszczone zostały jako rubryka ogólna). Z umiejętności filozoficznych teoretycznych tylko teorya poznania znalazła miejsce w klasyfikacyi.

Do szczęśliwszych pomysłów należą podziały główne, utworzenie gromady nauk ideowych i podział jéj na teleologię i etykę; wprowadzenie biografii jako odrębnéj gałęzi umiejętności i t. d.

Jakkolwiek autorowie nowych prób klasyfikacyi umiejętności zwykle liczą się zbyt mało z poprzednikami swymi, mimo to wpływ ostatnich, a zwłaszcza ważniejszych i więcéj znanych, daje się dostrzedz, jak to widzieliśmy na przykładzie oddziaływania zasadniczych myśli Comte'a i Ampère'a na klasyfikacye późniejsze. Nie da się téż zaprzeczyć, że te liczne próby, jakkolwiek dalekie od rozwiązania zagadnienia, nie są wszakże bezużyteczne; przygotowują one materyał wszechstronnie i z najrozmaitszych stanowisk, rozpatrując wzajemny stosunek do siebie umiejętności i związek pomiędzy niemi, dają coraz to nowe punkta widzenia i podstawy klasyfikacyi, słowem—przeprowadzają pracę analityczną, z któréj skorzysta kiedyś umysł syntetyczny, a wielce jest prawdopodobném, że pomyślne rozwiązanie tego zagadnienia — wysuniętego na pierwszy plan przez nasze stulecie, które jednocześnie i uczyniło je bardziéj skomplikowaném, wytwarzając tyle nowych gałęzi wiedzy — że rozwiązanie to nastąpi jednocześnie z inném, ściśle z niém związaném i również natarczywie domagającém się rozwiązania — z wytworzeniem syntetycznego systematu umiejętności, czyli filozofii naukowéj. Umysł, który potrafi ująć rozmaite gałęzi wiedzy w jeden harmonijny układ, odkrywający ich zewnętrzne stosunki, będzie w stanie odkryć i wewnętrzny związek ich treści, a spajając je myślą przewodnią — wytworzyć nietylko klasyfikacyę umiejętności, ale i systemat wiedzy.

W oczekiwaniu, nim przyjdzie taki geniusz, możemy dorzucać po ziarnku piasku do przyszłego gmachu, a nie powinniśmy rozpaczać nad tém, iż bardzo drobna rola w nim przypadnie owym pojedyńczym ziarnom.

W. M. Kozłowski.

TERYTORYUM KSIĘSTWA PIŃSKO-TURO WSKIEGO.

I.

Najnowsze badania heraldyczne wykazały, że mieliśmy niemało potomków książąt Pińsko-Turowskich, którzy z czasem osobne wytworzyli rody kniaziowskie, do nich należą: Czetwertyńscy, Ostrogscy, Dolscy, Hołowniowie-Ostrożeccy, Horodeccy, Kozekowie, Nieświccy, z tymi, którzy od nich pochodzą (Zbarascy, Wiśniowieccy, Poryccy, Woronieccy, Trubeccy etc.), Rożyńscy, Wieliccy i inni.

Otóż powzięliśmy zamiar zbadać trochę bliżéj obszar księstwa Pińsko-Turowskiego, jego terytoryum, nie w tych jednakże granicach, jakie ono miało za prastarych wieków, w epoce mrokiem pokrytéj, lecz w czasach późniejszych stosunkowo, bo sięgających XV i XVI-go stulecia.

Ale nim do tego przystąpimy, wypada słówko powiedzieć o kniaziach na tém terytoryum osiadłych. Tu także wyłączamy pierwszych udzielnych książąt w tych miejscowościach; nie będziemy więc mówili o tém, jak się naprzód z pomroki dziejów wyłania posępny, w błotach leżący Turów; jak potém prędko wychodzi na jaw oblany wodami różnych rzek Pińsk; pomijamy i te dzieje, jak te dwie dzielnice to się łączyły razem, to znowu osobnych władców miały czas jakiś, aby następnie ponownie w jedną połączyć się całość, zanim okoliczności polityczne nie znagliły do prowadzenia odrębnego żywota.

Nie jesteśmy téż w stanie wykazać detalicznych filiacyi tych książąt w dalszych, późniejszych potomkach, od których zaczęły się różne linie, a nawet potém samoistne rody kniaziowskie, tak licznie rozgałęzione i rozwielmożnione na Wołyniu, gdzie miały następnie swoje siedziby i od nich osobne nowe nazwy rodowe.

Ograniczymy się przeto na późniejszych czasach, wyliczając tylko ważniejsze, wybitniejsze postaci, o których potém będziemy wspominali, mówiąc o terytoryum księstwa Pińsko-Turowskiego.

Pińszczyzna i Turowszczyzna — to tak zwane Polesie. Już przy schyłku XII-go wieku, jak wiadomo, kraj ten podzielony został na kilka drobnych, udzielnych księstewek, gdzie rządzili potomkowie Świętopełka Izasławowicza. Ogniskami téj połaci kraju były: Turów nad Prypecią, Pińsk nad Piną, Słuck nad Słuczą, lewym Prypeci dopływem, Kleck nad Łanią. Te miejscowości weszły potém w skład województwa Trockiego, a następnie Brzeskiego.

Wiadomą jest rzeczą, że Jur Włodzimierzowicz, kniaź piński z rodu Ruryka, umarł w r. 1292, zostawiając wdowę, synów i brata, dalsze ich jednak losy nie są znane, potomkowie ich wszelako musieli, zapewne, stać się praojcami całéj książąt Pińsko-Turowskich plejady, licznie rozrodzonych, którzy, prawdopodobnie, postradali swoje ojczyste posiadłości, gdy Litwa, szerząc podboje, oparła się aż o Polesie.

Gedymin nadał Pińsk swemu synowi Narymuntowi i ten zaczyna nową dynastyę książąt na Pińsku, już litewską. Narymunt umarł w r. 1348, zostawiwszy syna, mało znanego, Michała, który znowu miał syna Wasyla, fundatora cerkwi w Kurzeńcu w r. 1355, a w lat 31 potém składał w Łucku hołd koronie polskiéj i potém jeszcze go nieraz w dziejach spotykamy, bo umarł dopiéro przy końcu XIV wieku; synowie jego, Fedor, Michał i Semen polegli nad Worsklą, a Jur był kniaziem pińskim (może identyczny z kniaziem Nosem, namiestnikiem Witołda w Pskowie na początku XV stulecia).

Za wielkiego księcia Zygmunta, księstwo Pińskie utraciło samoistność i było rządzone czas jakiś przez namiestników, lecz Kazimierz pozwolił powrócić do Pińska dawnym kniaziom, z których Jur Semenowicz siedział znowu w Pińsku i był ostatnim z tego rodu, ponieważ po jego śmierci Pińsk „spadł” na króla koło 1470 r., a w następnym Kazimierz nadaje Pińsk wdowie Semena Olelkowicza, księcia kijowskiego, księżnie Maryi i jéj potomstwu. Olelkowicze zaś pochodzą od Aleksandra, Olelka, Włodzimierzowicza Olgerdowicza, którego synem był ów Semen, zmarły przy końcu 1470 r., żonaty z Maryą, córką Jana Gasztołda, wojewody wileńskiego, a siostrą Marcina, wojewody trockiego.

Księżna Marya panowała naprzód sama w Pińsku, następnie z synem Wasylem, zmarłym 1495 r., po jego śmierci z córką Aleksandrą do czasu jéj zamążpójścia za Fedora Iwanowicza Jarosławowicza w roku 1498 (Jarosławowicze zaś potomkowie udzielnych książąt na Borowsku w Moskwie), późniéj znowu sama aż do śmierci w roku 1501; potém król nadał Pińsk owéj Aleksandrze i Fedorowi „dożywota" (chociaż oni nie zostawili potomstwa). Aleksandra umarła w r. 1518, a mąż jéj trzy lata późniéj, a po ich śmierci Pińsk dostał się królowéj Bonie, która tu gospodarowała do połowy XVI wieku prawie; następnie znowu tu była królewszczyzna (cfr. Kniaziowie litewsko-ruscy od końca XIV w., p. 366, 367, 151, 327).

II.

Inne były losy starożytnego Turowa. Straciwszy własnych książąt, stał się własnością Litwy i został nadany Świdrygielle, który go trzymał do śmierci w r. 1452, a następnie Turów „spadł" na króla Kazimierza i, jako dobra koronne, przetrwał, jak się zdaje, do zgonu króla w roku 1492; potém znowu znajdujemy go w ręku kniazia Michała Lwowicza Hlińskiego, znanego ulubieńca króla Aleksandra.

Hlińscy są pochodzenia tatarskiego, chan Mamaj ma być ich prajojcem; byli oni bardzo licznie rozrodzeni i podzielili się na kilka linii. Michał Lwowicz pochodził z najstarszéj, t. zw. litewskiéj, gałęzi; osobistość to dobrze znana z dziejów, więc szczegóły o nim pomijamy.

Jemu to Aleksander Turowszczyznę nadał. Boniecki, mówiąc o tém nadaniu, powiada, że Michał Lwowicz otrzymał Turów jako ojcowiznę, z tegoby wnioskować można, iż włość Turowska już pierwéj do tego rodu należała. Kniaź Michał zbudował tam zamek obronny i do śmierci króla Aleksandra używał wielkiego wpływu i znaczenia, lecz za Zygmunta I-go wszystko to się zmieniło prędko i w r. 1508-ym Michał Lwowicz był już zbiegiem w Moskwie, wszystkie zaś jego posiadłości przechodzą w inne ręce. Turów dostał się kniaziom na Ostrogu, mianowicie Konstanty Iwanowicz, kasztelan wileński, starosta łucki etc., w roku 1511 pisał się już panem na Turowie; odtąd był ten majątek w posiadaniu owéj rodziny, aż do wygaśnięcia książąt Zasławskich w osobie Władysława-Dominika, wojewody krakowskiego, i jego syna. Z drugiéj żony, Katarzyny Sobieskiéj, miał wojewoda córkę, Teofilę, która wyszła w r. 1683 powtórnie (pierwszym mężem był Dymitr Wiśniowiecki, † 1682) za Józefa Karola Lubomirskiego, marszałka w. k., zmarłego w r. 1702. Ta właśnie Teofila, po śmierci swego

jedynego brata Aleksandra Janusza w r. 1673-im, wniosła ordynacyę Ostrogską w dom Lubomirskich, do niéj téż należał Turów, lecz jako nienależący do dóbr ordynackich został przedany za 602,433 tynfy Giełgudowi, pisarzowi w. l.

Ten Andrzej Kazimierz Giełgud, naprzód sekretarz królewski, potém mianowany pisarzem w r. 1673, chwilowo usunięty w r. 1705-ym, wkrótce powrócony, umarł w r. 1711 („Senat. i Dygnt. W. Ks. Lit.”, p. 277).

Nabycie Turowa, jak się zdaje, nastąpiło przy końcu XVII wieku. Pisarz w. l. ożenił się z Antoniną z Waldstejnów, mając z nią jedynego syna Kazimierza, zmarłego bezpotomnie w r. 1719, lecz cały swój majątek zapisał żonie, stała się więc ona dziedziczką Turowa i po śmierci Giełguda poślubiła Kazimierza Sapiehę, wojewodę wileńskiego, podobno już w roku 1711, który w dziewięć lat potém przeniósł się do wieczności. Wojewodzina wileńska, nie mając dzieci, sprowadziła z Czech swoją synowicę, Eleonorę Waldstein i, wydawszy ją za Fryderyka Michała Czartoryskiego, zapisała jéj pomiędzy innemi Turów w r. 1727, a sama przeniosła się do lepszego świata w r. 1738; z tego małżeństwa były tylko trzy córki: dwie z nich z kolei były małżonkami Jerzego Flemminga, wojewody pomorskiego, a trzecia, Aleksandra, dostała Turowszczyznę. Ta pani na Turowie miała dwóch mężów: Michała Antoniego Sapiehę, podkanclerzego w. l., † 1760, i Michała Ogińskiego, hetmana w. l., bezdzietna jednakże z obydwoma, umarła przy końcu wieku zeszłego w r. 1798.

Odtąd rwie się wątek dziedzictwa Turowskiego, które przy końcu XVIII-go wieku było w rękach Sołłohubów, których wyczerpującéj monografii dotąd nie mamy. Aleksandra Czartoryska, właścicielka Turowa, była bezdzietną, jakeśmy to wyżéj widzieli, z obydwoma mężami; mogła więc rodzinie czy jednego, czy drugiego darować, a może i przedać Turowszczyznę (chociaż dokumentalnie o tém nie wiemy). Sołłohubowie przez kądziel byli spokrewnieni i z Sapiehami i Ogińskimi, tym sposobem mogliby przyjść do posiadania tego majątku, ale pewności w tym względzie nie mamy.

Wiemy tylko napewno, że Jan Sołłohub, starosta sannicki, adjutant królewski, a następnie brygadyer wojsk rosyjskich, ożenił się w r. 1777 z Maryanną Katarzynę Sapieżankę, córką Aleksandra, kanclerza i Magdaleny Lubomirskiéj, ale już w roku następnym rozstali się ze sobą i owa Maryanna Katarzyna poślubiła następnie Ignacego Puzynę, podkomorzego królewskiego (syna Krzysztofa, starosty wysztynieckiego), mieszkając w Waszkiewiczach, powiecie lidzkim, którémi ona władała prawem zastawu w sumie 180,000 zł. pl. od pierwszego męża, Soł-

łohuba. Późniéj Puzynowie chcieli nabyć ten majątek na dziedzictwo i stanęła taka umowa: szacunek Waszkiewicz określono na 320,000 zł. pl., z których należne Puzynom, z prawa zastawu, 180,000 mają być potrącone, reszta zaś dopłacona gotówką, z ekscepcyą 50 sztuk drzew cytrynowych, pomarańczowych, figowych i innych z oranżeryi znajdującéj się w Waszkiewicach, nadto ruchomości, które Sołłohub dla siebie zachowuje, rozciągając ewikcyę téj sprzedaży na hrabstwie Ilii i Turowie. Co się stało następnie z brygadyerem Sołłohubem — nie wiemy (możemy tylko dodać, że był on synem Józefa, wojewody witebskiego, a wnukiem Jana, podskarbiego w. l.); ale dawna jego żona rozwiodła się i po raz wtóry w r. 1787, mając z Puzyną troje dzieci: Aleksandra, Krzysztofa i Magdalenę, zdaje się, w młodości, czy nawet dzieciństwie zmarłych (cfr. Monografię Sapiehowie, II, 213, 215; III, 429—431).

Wiadomo także, że po roku 1793 kompania Wielko-Brytańska przez komisanta swego Forestera, wyrobiwszy sobie pozwolenie nabywania dóbr nad Prypecią, aby lasy eksploatować, zaczęła od Turowa i kupiła od Sołłohuba jego schedę za 800,000 rubli asygnacyjnych, a schedę generała Sielagina (była w Turowie jedna część królewszczyzny, którą rząd rosyjski darował temu Sielaginowi) za 56,000 r. as. (asygnacye zaś wtedy stały po 92/100 na srebro). Rząd jednak rosyjski nie akceptował téj eksploatacyi, spłacił Anglików i tę część Turowa przyłączył do dóbr rządowych, Anglicy zaś potém sami odprzedali drugą część Lenkiewiczowi, która już w tym wieku należała do Tadeusza Mostowskiego, znanego ministra spraw wewnętrznych (cfr. „Podróż Kontryma po Polesiu", Poznań, 1839). Teraz (w r. 1890) ma posiadłość w Turowie, 1,300 dziesięcin, p. Ludwik Norejko.

III.

Dla określenia granic księstwa Pińsko-Turowskiego służyły nam następujące dzieła: „Rewizya puszcz w księstwie Litewskiém" dokonana przez Grzegorza Wołłowicza w r. 1559, wyd. w Wilnie 1867; „*Piscowaja kniga*" księstwa Pińskiego i Kleckiego, ułożona przez Stanisława Chwalczewskiego 1552—1555, wyd. w Wilnie 1884 r., „Akty Wileńsk. archeogrf. kom.", różne tomy, Lubawskiego, „*Obłastnoje dielenie i miestnoje uprawlenie litw. rus. gosudarstwa*", Moskwa, 1892, gdzie są wiadomości bezpośrednio z Metr. Litw. poczerpnięte; ażeby się oryentować w obecnym administracyjnym podziale tych stron, radziliśmy się rządowego wydania w Petersburgu z r. 1886 p. t. „*Wołosti i waż-*

niejszija selenia, gubernii Litowskija", *wypusk V* i „Spis obywateli Miń. gub.", Mińsk, 1889.

Księstwo Pińskie zajmowało pomiędzy Piną i Jasiołdą część wschodnią teraźniejszego powiatu kobryńskiego gubernii Grodzieńskiéj; na południe od Piny były włości, Horki i Odryżyn, niegdyś wołyńskie, lecz teraz w powiecie kobryńskim w gminie odryżyńskiéj; nadto w granicach owego księstwa jest teraz prawie cały powiat piński, z wyjątkiem niewielkiego skrawku południowo-zachodniego pomiędzy Prypecią a Stochodem, gdzie były włości także wołyńskie, Ołbiaż i Czerwiszcze, obecnie w powiecie pińskim, a także obszar do Horodnego należący, Horodno *vel* Horodne teraz powiecie włodzimierskim na Wołyniu, a na południowym wschodzie były włości dąbrowickie, zaliczające się już do Wołynia.

Pomiędzy Piną a Jasiołdą, w teraźniejszym powiecie kobryńskim, następujące były w owym czasie znane już miejscowości. Bezdzież, teraz miasteczko, wspomniane już w r. 1495; Drużyłowicze, znane już w czasach Kazimierza Jagiellończyka, była tam cerkiew Św. Mikołaja; w późniejszych trochę czasach wymieniane są: Opol, Dostojew, Motol, teraz miasteczko, gdzie kniaź Fedor Iwanowicz uczynił zapisy na cerkiew M. B. na Leszczu pod Pińskiem, oprócz tego Tyszkiewicze, Mołodowo i Woroczewicze, teraz Woroncewicze, znane już na początku XVI wieku, Mogilno albo Mohylna, teraz już w pow. pińskim, wymienione przy końcu XV stulecia; nadto Hutów, Popina, wzmiankowana w roku 1498, Glinna, Gniewicze i niektóre inne.

W zachodniéj części powiatu pińskiego, na północ od Jasiołdy, pomiędzy puszczami, Zdzitowiecką i Wiadzką, niewiele wsi spotykamy w tych czasach; ważniejsze z nich są: Wiado nad jeziorem Bobrowickiém, w powiecie teraz słonimskim na granicy pińskiego, Bobrowicze, Kołońsk, obecnie Kołoniec, Hać, wspomniana już w r. 1495 w jedném nadaniu księżny Maryi.

Naokoło jeziora Pohostu, wzdłuż Bobryka, dopływu Prypeci, w północnéj prawie części powiatu, także nie było zbyt wielkiego zaludnienia w tych wiekach; zastajemy tam pomiędzy innemi Tereben, wzmiankowany już w r. 1495, Nowy Dwór wyłania się na początku XVI w., Łohiszyn, głośny następnie, Kowniatyn, Stoszanicze, *seu* Stoszany, i Soszno, znane już w r. 1500. Dobra Terebeńskie mają teraz 2,549 dziesięcin i należą do p. Konstantego Ordy (oprócz tego 7 domów Ordów w tym powiecie). Nowy Dwór posiada 12,690 dziesięcin razem z Kożangródkiem, Teresinem, Rokitną i innemi okolicznemi majątkami, mającemi swoje osobne obszary dworskie — i jest w posiadaniu Krzysztofa Niemirowicza-Szczytta, syna Józefa, marszałka mozyrskie-

go, i Tekli Druckiéj-Lubeckiéj. Soszno, 649 dziesięcin, nadane w roku 1869 rz. rad. st. de la Gardie. Kowniatyn, 2,280 dziesięcin, z kopalnią wapna, jest własnością Hipolita Staszewicza, który ma jeszcze Nową-Ziemię, 1,256 dziesięcin.

W południowo-wschodniéj części powiatu pińskiego, na wschód od Styru, gdzie ludność była gęstsza, więcéj się osad znajduje. Bardziéj znane są: Stochów, wspomniany w jedném nadaniu Bony w roku 1524; włość ta inaczéj nazywa się Stachów; Płotnica, znana już z nadania księżny Maryi w r. 1496, należała kiedyś do Radziwiłłów, potém Skirmuntów, a teraz kolokacya; Duboja, współcześnie wzmiankowana z poprzednią miejscowością, na zapadłém Polesiu, niegdyś dobra Kieniewiczów (którzy teraz w téj okolicy dwa domy formują), teraz rz. rad. st. Spaskiego; Stolno, teraz miasteczko nad Horyniem Stolin, siedziba kiedyś Sołomereckich, Wiśniowieckich, a teraz przez Skirmuntów przeszlo do Stachowskich, ma 4,171 dzies.; Terebeżów, także niegdyś Sołomereckich, obecnie Cezara Oleszy, 9,668 dziesięcin (do niego także należy Bereżne); Tywrowicze, czyli Tyrwowicze, w których królowa Bona w r. 1532 nadała cztery dworzyszcza ziemianinowi pińskiemu Semenowi Ordzie, i teraz ten majątek, 1,186 dziesięcin, należy do Witolda Ordy, który jeszcze posiada tam kilka wsi, około 8 tysięcy dziesięcin obejmujących; Smorodzk nad Horyniem, równie też dawna posiadłość Sołomereckich; Swaryczewicze, w r. 1531 przez Bonę nadane ziemianinowi pińskiemu, Janowi Zankowiczowi, Swarycewicze, należą teraz do Henryka Skirmunta, 6,190 dziesięcin, posiadającego w tym powiecie około 26,000 dziesięcin ziemi (oprócz niego jeszcze jest 8 domów Skirmuntów w tym powiecie i wszyscy dość zamożni); Sierniki, *alias* Serniki, nad Stubłą dopływem Styru, w których kniaź Fedor Iwanowicz nadał dwa dworzyszcza jakiemuś Nowoszowi w r. 1525, teraz tam kolokacya drobnéj szlachty; Weszna nad Styrem i Wilczyca nad Strumieniem, wspomniane w połowie XVI-go stulecia; Wiczówka, *alias* Witczówka, nad Stubłą, także już znana w XVI wieku, teraz należy do wyżéj wspomnianego Henryka Skirmunta, 10,630 dziesięcin ziemi; Całkowicze niedaleko Styru i niektóre inne.

Pomiędzy Styrem, Prypecią i Strumieniem wspomniane są następujące wsi w powiecie teraz pińskim: Murawin, albo Morawin, nad Styrem; Kuchcze nad małym Prypeci dopływem, obecnie należy do Józefa Ordy, 2,493 dziesięciny ziemi dworskiéj; Tewkowicze i Iwanczycze nad Styrem, znane z nadania księżny Maryi w r. 1495 słudze swemu Seńkowi Zenkowiczowi, Jawanczyce są teraz posiadłością rad. taj. Kiticina, 834 dziesięciny; Pogost, sioło nad Styrem, zapewne t. z. Zarzeczny (bo jest kilka nazw takich w tym powiecie), na początku XVI stu-

lecia wspomniane, w tym samym wieku należał do Zbaraskich; Moroczna przy ujściu Nożyka do Prypeci, znane z nadania Bony w r. 1522; Nobel, miasteczko teraz, nad jeziorem téjże nazwy, król Kazimierz Jagiellończyk nadał to kniaziowi Jurowi Semenowiczowi pierwéj jeszcze, niż Pińsk; Komory nad Strumieniem i Prykładniki nad Stochodem, już w XV wieku znane; Chrapin, teraz posiadłość Rydzewskich, 3,290 dziesięcin; Newle, czyli Newel, nad Prypecią; Niańkowicze nad Prypecią, wspomniane w pierwszéj połowie XVI-go wieku, należą obecnie do starodawnéj rodziny Tukalskich-Nielubowiczów, 3,050 dziesięcin; Horne, wzmiankowane w XV-ém stuleciu, teraz własność Porfirya Czajkowskiego, 800 dziesięcin; Kaczanowicze, lub Koczanowicze, przy zlaniu się Jasiołdy ze Strumieniem; Bołgary, w których Waśko Ordzicz otrzymał od króla Kazimierza Jagiellończyka ziemię, co późniéj Bona potwierdziła; są teraz tu posiadłości mieszczan Ostrowskich. W téj części powiatu pińskiego, która opasana Prypecią, Strumieniem, Jasiołdą i Piną, takie znajdujemy osady: Swałowicze przy ujściu Stochodu do Prypeci; Potapowicze nad Piną, niegdyś majątek Bazylianów na Leszczu pod Pińskiem; Siemiechowicze nad jeziorem téj nazwy, teraz podobno do Pusłowskich należące; Żytcze, znane z nadania jednego przez kniazia Fedora Iwanowicza, obecnie posiadłość Karola Szlenkera, 3,000 dziesięcin; Żytkowicze i Zadwiczycze, w których księżna Marya nadanie uczyniła Seńkowi Hołowce w r. 1495, Żytkowicze są teraz w posiadaniu Jerzego Rydzewskiego, 3,870 dziesięcin; Styhyczowo, *vel* Stehyczowo nad Strumieniem, posiada je w naszych czasach Osip Syciński, 716 dziesięcin; Suszyk i Krzywicze, znane już przy końcu XV stulecia z nadania księżny Maryi; Suszyck nad Jasiołdą, w pobliżu jeziora téj nazwy, włada nim teraz Władysław Skirmunt, 1,487 dziesięcin, Krywicze, inaczéj Krzewicze, należą do Ordy.

Nakoniec w Pińszczyźnie jeszcze w owych wiekach są ślady wsi i osad dość wielu, wyliczamy tu wybitniejsze: Suche na granicy powiatu pińskiego i Ryłowicze, wymienione w nadaniu kniazia Fedora Iwanowicza Iwaszce Połozowiczowi, przez Zygmunta I w r. 1522 potwierdzoném; Suche kiedyś należało także do Bazylianów na Leszczu pod Pińskiem, Ryłowicze zaś są w posiadaniu Kurzenieckich; Lachowicze, teraz Witolda Ordy, 1,020 dziesięcin; Kupiatycze nad Jasiołdą, w prastarych czasach już znane, w XVI-ym wieku był tu sławny już monaster, potém posiadłość pińskich biskupów unickich, następnie Świeżyńskich, przy końcu zaś XV-go stulecia księżna Marya uczyniła z tego nadanie Michnie Poczapowskiemu; Domaszycze, Torhoszycze i Żabczycze, z których Bona w r. 1524 zrobiła zapis Fedorowi Petrowiczowi, bojarzynowi, kleckiemu; Torhoszycze, teraźniejsze Torhowiszcze,

228 dziesięcin, razem z Żabczycami, należą obecnie do Artura Krasickiego (Artur Krasicki jest synem Marcina z Skirmuntówny, ożeniony z Henryką Ilińską); Czerniewicze, Posinicze, Koszewicze i Parszewicze znane już są z r. 1518 z nadania Benedyktowi Fursowiczowi, Czerniewicze, 412 dziesięcin, należą teraz do Wincentego Skirmunta, Koszewicze, w gminie Stawek — do Aleksandra Skirmunta, 403 dziesięciny, Parszewicze — do Leona Pusłowskiego, 294 dziesięciny; Wyżłowicze nad dopływem małym Jasiołdy, w r. 1495 nadane Olechnie; Połkotycze, Dostojewo i Porzecze — wspomniane na początku XVI-go stulecia, Połkotycze nad dopływem Jasiołdy są teraz własnością Eugeniusza Skirmunta, 1,044 dziesięciny, Porzecze zaś nad Jasiołdą, 6,518 dziesięcin dworskiéj ziemi, fabryka sukna, posiadłość Aleksandra Skirmunta; Masiewicze, nad dopływem niewielkim Jasiołdy, wzmiankowane w roku 1503-im; Stawek przy ujściu rzeczki Stawka do Jasiołdy, gdzie kniaź Fedor Iwanowicz Jarosławicza zbudował cerkiew pod wezwaniem Św. Joachima i Anny, należał do Pusłowskich; Czemeryn nad Jasiołdą, w r. 1495-ym księżna Marya zrobiła tu donacyę swemu słudze, Fedorowi Tyszkowiczowi, co Zygmunt I w r. 1522 potwierdził.

IV.

Księstwo Turowskie, które potém weszło także w skład województwa Trockiego, zajmuje znaczną część teraźniejszego powiatu mozyrskiego, przeważnie wschodnią jego połać, z wyjątkiem tych miejscowości, które są na wschód od rzeki Uborci, i tych, które zrasza Ptycz ze swojemi dopływami.

W Turowszczyźnie w tych wiekach, o których tu mowa, następujące miejscowości na jaw występują: Chrapino, obecnie Chrapuń, wieś nad Stwihą, które Świdrygełło darował Hryńkowi (znany jest Hryńko, koniuszy wileński, w r. 1459); Olgomle, w zapadłém Polesiu, nad Mastwą, należy do Bolesława Leńkiewicza, 1,918 dziesięcin; Simonicze i Radwiłowicze, zapisane przez Konstantego księcia na Ostrogu w roku 1520 zamkowéj w Turowie cerkwi pod wezwaniem *Uspienia* Bogarodzicy razem z jeziorem Chojeńskiém i Pohoskiém, Simonicze, teraz Simienicze, w gminie Lelczyckiéj; Smedyń, teraz się nazywa Śniadyń, nad Prypecią, w gminie Laskawickiéj, należał dawniéj do Kiniewiczów; Mordwino nad Prypecią, teraz Mordwin, — te dwie ostatnie wsie były najbardziéj na wschód wysunięte miejscowości Turowszczyzny; Śniadyń należy teraz do Józefa Tyszkiewicza, który w tym powiecie ogółem posiada około stu tysięcy morgów; Wiszalgowo nad Prypecią,

nosi obecnie nazwę Wiszełów; Mościewicze, obecnie Mosiejewicze; Zamoście nad Uborcią; Ryczów nad Stwihą w gminie turowskiéj, albo Ryczewo; Bukcze, Przybołowicze, znane już za czasów Świdrygiełły; Bukcze z sąsiedniemi Radziwiłłowiczami, ogromny obszar ziemi, kilkadziesiąt tysięcy morgów, od r. 1875 są własnością Obuchowa. W granicach powiatu mozyrskiego były jeszcze ogromne dobra po Stefanii Radziwiłłównie; mamy tu na myśli taką np. Łachwę, niezmiernie dawną osadę, która za czasów Kazimierza Jagiellończyka nadaną została w części Kiszkom, a w części kniaziom Odyńcewiczom, w XVI-ym wieku należy do Radziwiłłów, od których przez Stefanię przeszła ta posiadłość do Wittgensztejnów, a potém książąt Hohenlohe. Terytoryum dóbr tych położone niedaleko od Prypeci, śród olbrzymich puszcz, mając od północy nieprzebyte bagno Hryczyńskie. Lenin nad Słuczą także do dóbr tych wchodzi, dawne Olelkowiczów, potém Radziwiłłów dziedzictwo, znane już w XV-ym wieku. Łachwa ma ziemi dworskiéj 38,503 dziesięciny, Lenin — 85,066, a wszystkie dawne posiadłości Hohenloe'ych w tym powiecie wynosiły około 220,000 dziesięcin.

V.

Pomiędzy księstwem Pińskiém i Turowskiém wchodził klinem, że tak powiemy, powiat horodecki, stanowiący osobny udział kniaziów Horodeckich, o których wyżéj wspominaliśmy; następnie to księstwo, czy powiat, dzieliło losy terytoryum Pińsko-Turowskiego, stanowiąc z niém jedną całość; powiemy przeto kilka słów naprzód o kniaziach Horodeckich, a potém o miejscowości zajętéj przez to księstwo.

Kniaziowie Horodeccy należą do grupy Pińsko-Turowskiéj, jakeśmy już o tém wzmiankowali; nazwę swoją otrzymali od miejscowości Horodek w Pińszczyźnie, zwanéj następnie Horodek Dawidów, a nakoniec Dawidgródek. Kniaź Iwan Horodecki i brat jego Jur występują przy końcu XIV-go wieku. Kniaź Dawid Dymitrowicz Horodecki z żoną Maryą, córką Olgerda, wpisani do synodyka Lubeckiego; zapewne to ten sam, który w roku 1388-ym, razem z innymi kniaziami, zaprzysiągł wierność koronie polskiéj. Niezawodnie ten Dawid jest założycielem, albo przynajmniéj odnowicielem, owego Horodka, który odtąd zaczęto nazywać Horodkiem Dawidowym.

Synem tego Dawida był kniaź Mitko, wyzuty z posiadłości z rozkazu w. ks. lit. Zygmunta w pierwszéj XV-go stulecia połowie. Potém udział Horodecki nadany został Świdrygielle, a po jego śmierci trzy-

miała tę posiadłości żona jego, Zofia księżniczka Twerska, zwana niekiedy Anną, ale żyła ona niedługo, jak się zdaje, a po jéj zgonie król Kazimierz Jagiellończyk obdarzył Kleckiem, Horodkiem i Rohaczewem kniazia Iwana Wasylewicza Jarosławicza, z książąt Borowskich, o których już także była mowa, co mogło nastąpić w drugiéj połowie XV-go wieku. Kniaź Iwan Wasylewicz umarł w roku 1508-ym, a syn jego jedyny, Fedor, żonaty z Aleksandrą Olelkowiczówną, władał teraz udziałem Horodeckim, a przez żonę i Pińskim, jakeśmy to już wyżéj wspominali, po bezpotomném zaś zejściu jego z tego świata (1521 r.), królowa Bona otrzymała księstwo Horodeckie (oraz Pińsk, Kleck i Rochaczów) i posiadała je do połowy XVI wieku (cf. „Kniaz. Lit.-Rus.", p. 135, 155).

Powiat horodecki zajmował niewielką część wschodnią powiatu pińskiego i znacznie większą zachodnią mozyrskiego; stolicą jego, jak wspomniano, był Dawidgródek. Po wyjeździe Bony z Polski, Zygmunt August darował ten gród, z wielu okolicznemi wsiami, Mikołajowi Czarnemu Radziwiłłowi, bratu pięknéj Barbary, a następnie dobra te weszły w skład ordynacyi Kleckiéj; gdy ostatni ordynat Klecki, Leon, syn Ludwika i Maryi Wodzińskiéj, bezpotomny z Zofią Urusow, przeniósł się do wieczności, ordynacya w r. 1875 połączoną została z Nieświeską w osobie Antoniego, ur. 1833 r., trzynastego ordynata na Nieświeżu, syna Fryderyka-Wilhelma, rodzącego się z Ludwiki księżniczki pruskiéj. Dobra téj ordynacyi w powiecie mozyrskim wynoszą około 24,000 dziesięcin. Najdawniejsze w horodeckim powiecie osady po Dawidgródku będą chyba te, które Świdrygiełło nadał Fedce Wojniłowiczowi: Zabołocie, Nowe-Sioło, Turowiec i Rudnice; miejscowości tych teraz nie udało się nam odszukać, chociaż nazwa Zabołocie spotyka się pomiędzy wsiami powiatu mozyrskiego. Czyżby ów Fedko był protoplastą znanego rodu Wojniłłowiczów herbu własnego, rodu mającego swoich przedstawicieli pomiędzy obywatelstwem w powiecie słuckim i innych w gubernii Mińskiéj—nie umiemy powiedzieć.

Na granicy teraźniejszego powiatu pińskiego w owych stuleciach spotykamy takie pomiędzy innemi miejscowości: Bołohusza, dziś Białahusza, nad Horyniem; Otwierżycze, obecnie Twerżyce; Uholce, albo Uholec, na saméj granicy powiatu pińskiego, posiadłość Kieniewiczów; daléj trochę na wschód już w powiecie mozyrskim: Maleszewo, które nadał król Kazimierz Jagiellończyk (może to nadanie starsze nawet od wyżéj wspomnianego Świdrygiełły nadania) Olechnie; Wielemicze, znane w XVI-ym wieku; Rubiel, starożytna osada, wspomniana

już w jednéj donacyi żony Świdrygiełły; w tymże samym czasie wzmiankowane są Perehodycze, teraz do dóbr ordynacyi Radziwiłłów należące; Olpień, znany z nadania kniazia Fedora Iwanowicza; Berezoja, albo Berezów, w którym kniaź Iwan Wasylewicz darował ziemię w r. 1492 cerkwi Św. Mikołaja w Perechodyczach; Hlinna nad Stwihą, teraz do posiadłości Radziwiłłowskich się zaliczająca; Orły Wielkie i Małe, na granicy także z powiatem pińskim, z czasów kniazia Iwana Wasylewicza już znane; Dworzec i inne.

Marek Gozdawa.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Poradnik dla samouków“, wydany przez Al. Heflika i St. Michalskiego z zapomogi kasy imienia d-ra J. Mianowskiego. Część I-sza: matematyka, nauki przyrodnicze. Pod redakcyą S. Dicksteina, I. Eismonda, S. Kramsztyka, L. Krzywickiego i A. Mahrburga. Warszawa, skład główny w redakcyi „Prawdy“, 1898 r.

Wydawcy „Poradnika dla samouków" tłómaczą we wstępie zadania i widoki zbiorowéj téj pracy, któréj tom pierwszy, obejmujący wskazówki odnoszące się do nauk matematycznych i przyrodniczych (fizyki i mechaniki, astronomii, chemii, meteorologii, mineralogii i geologii, botaniki, zoologii, anatomii, fizyologii i hygieny, antropologii i etnografii, geografii, psychologii, pedagogiki), wyczerpany w edycyi pierwszéj, ukazać się ma niebawem w ponownéj wraz z pierwszą edycyą tomu drugiego, powołanego zawrzéć główne działy nauk humanistycznych (historyę, estetykę, filozofię etc.). Powoławszy się na szybki wzrost czytelnictwa i wzmagający się ruch wydawniczy w zakresie popularno-naukowym, utrzymują oni, że „liczba samouków s t a l e się powiększa"; stwierdziwszy zaś następnie, że wielką pomocą dla samouctwa, nie rozporządzającego zazwyczaj zbytnią ilością czasu, byłoby „wskazanie porządku, w jakim książki czytać należy, aby od łatwiejszych postępować do coraz trudniejszych", wydawcy sądzą, że „w pewnéj chociaż mierze" uczynią zadość istniejącym potrzebom szerokiego ogółu, gdy zaproszą do spełnienia tego zadania s p e c y a l i s t ó w, a ci, podzieliwszy cały szereg dzieł poleconych do czytania na stopnie (elementarny i wyższy), opatrzą jednocześnie działy wszystkie odpowiedniemi przedmowami, które, w p r o w a d z a j ą c samouka do danéj

umiejętności, objaśnią go: „jakie stanowisko umiejętność ta zajmuje w rzędzie innych nauk, jakie znaczenie posiada dla życia praktycznego, jakiego przygotowania przy studyowaniu wymaga i t. d.”

Nadmieńmy bez uwag i wtrącania się w przyjęty układ działów (fizyka i mechanika *przed* astronomią, geologia *po* meteorologii, antropologia *przed* geografią etc.), że skromne ramy powyższego programu wypełnione zostały przez współpracowników najzgodniéj z przyrzeczeniem. Dwustopniowa bibliografia pojedyńczych działów przedstawia się wszędzie zasobnie, nawet bogato, w porównaniu do rozpaczliwego ubóstwa dzieł naukowych, ukazujących się niekiedy za wystawami księgarni warszawskich, krakowskich, lwowskich, poznańskich i petersburskich. Powtóre, introdukcye do tych działów, w wielu razach za krótkie, pobieżne i ogólnikowe, objaśniają akurat tyle tylko, aby samouk, dobrze zapamiętawszy suchą osnowę wskazówki, mógł z pamięci a bez zająknięcia się odpowiedziéć na pytanie: „jakie stanowisko” wybrana przezeń umiejętność zajmuje w rzędzie innych nauk i jaki w pewnych razach pożytek praktyczny dałby się z niéj osiągnąć. Wyłamali się z ram programu dwaj tylko współpracownicy: Ludwik Krzywicki i Adam Mahrburg, — pierwszy dając cokolwiek więcéj nad obietnicę, drugi dając rzecz wcale dobrą, świetną może nawet, o ile o tém wolno wyrokować z punktu widzenia samouctwa psychologicznego pierwszego stopnia.

Ze względu, że zdaniem podpisanego psychologia staćby powinna, a raczéj staćby mogła na czele rozpraw drugiego tomu (nauki humanistyczne), gdzie dla niéj byłoby właściwsze miejsce, niż pod koniec działów przyrodniczych tomu pierwszego, tudzież w przypuszczeniu, że w dalszych wydaniach wszystkie introdukcye (do astronomii np., geologii, fizyologii, biologii i t. p.) znacznie rozszerzone zostaną na wzór introdukcyi Mahrburga, — przytaczamy z téj ostatniéj, w zwięzłych streszczeniach kilka ustępów celniejszych, to jest tych, które albo najłacniéj do przekonania nam trafiły, albo téż, z powodu swéj oryginalnalności wybitnéj, obudzić są zdolne w umysłach, słabo z zagadnieniami psychologicznemi oswojonych, niedowierzające jakieś zdumienie.

Możliwość wpadnięcia w takie zdumienie nastręcza się przedewszystkiém z okoliczności zbyt kategorycznego oświadczenia autora, że psychologia „jest nauką przyrodniczą, w przeciwstawieniu do nauk humanistycznych, jak filologiczne, historyczne i społeczne”, pomimo że „odrębny przedmiot jéj badań zmusza ją w wielu przypadkach do torowania sobie dróg odrębnych, do posługiwania się odpowiednio zmienionemi pojęciami, zasadami i metodami”. Ową odrębność psychologii Mahrburg nacechował w ciągu swych wywodów

tak dobitnie, a osadził ją na podstawach tak twardych, spoistych, że ta jego przypadkowość („w wielu przypadkach") wychodzi niemal na nieodzowną stałość, wyodrębniającą psychologię nietylko od nauk przyrodniczych, lecz od wszelkich bez wyjątku nauk. Świadomość—„fakt w psychologii podstawowy, główny, zasadniczy" sprawia, że kiedy „wszystkie inne nauki zajmują się zawsze czémś, co bywa lub może być uświadomione, jakąś treścią przedmiotową", to psychologia „zajmuje się samą sprawą uświadamiania, samym faktem świadomości, ze względu na jego znaczenie podmiotowe, na jego istnienie w nas-istotach myślących, czujących, pożądających " Świadomość jest faktem prostym, pierwotnym, nie dającym się objaśnić lub wysnuć z czegoś, nie dającym się rozkładać tak, jak to czynimy z faktami świata przedmiotowego. „Kto nie jest zdolny zastanawiać się nad własnemi stanami świadomości, temu niepodobna objaśnić lub dać do zrozumienia, czém one są właściwie..." W stanach świadomości wyraża się wszelka wiedza, przeto téż i wiedza uporządkowana, czyli nauka. Przytém, psychologia wymaga pewnego specyalnego kierunku działalności umysłowéj, mianowicie postrzegania refleksyjnego, śledzenia swoich własnych stanów psychicznych i przebiegu własnych spraw psychicznych, czyli — jedném słowem — wymaga samoobserwacyi wewnętrznéj. We wszystkich naukach przyrodniczych mamy do czynienia z przedmiotami podpadającemi pod zmysły; nawet w historyi uprzytomniamy sobie wypadki dziejowe przedmiotowo, nawet w matematyce pomagamy sobie, że przedmiotowo myślimy np. o kole i kréślimy sobie jego figurę; wszędzie tu myśl nasza szuka i znajduje punkty oparcia w materyale zmysłowym, od dzieciństwa wdraża się do myślenia przedmiotowego... Psychologia — ona „nie ma nic do pokazania, nie zna przedmiotów, na których zmysły mogłyby spocząć: ona wciąż odwoływać się musi do samoobserwacyi wewnętrznéj, wciąż wymaga refleksyi, zastanowienia się nad stanami i sprawami podmiotowemi: obchodzi ją nie to, o czém się myśli, lecz to, że się myśli, nie to co wywołuje uczucia, lecz same uczucia..." Nie opuszcza nas ta samoobserwacya nigdy, wtedy nawet, gdy psychologia, w następstwie swych postrzeżeń bezpośrednich, wkracza w krainy postrzeżeń i doświadczeń obiektywnych (psycho-fizyologicznych, patologicznych i t. p.). Zawsze i we wszystkiém psychologia wymaga téj obserwacyi wewnętrznéj, gdyż „zastanawiając się nad własnemi stanami i przebiegiem własnych spraw psychicznych, zdobywamy dopiéro ten materyał faktyczny, to bezpośrednie doświadczenie", które w dalszym ciągu badań „staje się podstawą pośred-

niego już objaśnienia życia psychicznego innych istot, — bo wprost przenikać cudzych myśli lub uczuć nie możemy."

W powyższych określeniach spoczywa, zdawałoby się, nieuniknony pewnik, że psychologia, któréj podstawa tak niewzruszenie osadzoną została na gruncie świadomości i samoobserwacyi wewnętrznéj, podmiotowéj, — z konieczności ludzkiéj, nieodbicie zaliczoną być powinna do nauk humanistycznych, nie zaś przyrodniczych. Autor wszakże, nie poprzestając na tém, piętrzy jeszcze dowody na dowodach, że właśnie tak nie inaczéj być powinno. „Obejrzeliśmy—powiada w jedném miejscu — całą rozległą dziedzinę psychologii,... dotarliśmy do granicy, po za którą leży olbrzymia rodzina nauk duchowych (humanistycznych). Jesteśmy już po za obrębem psychologii, ale w obrębie jéj prawowitych wpływów.. Materyał faktyczny, badany przez nauki humanistyczne, nie byłby psychologicznie zrozumiałym, gdyby te nauki nie posługiwały się psychologią, jako nauką pomocniczą... Poważne studya humanistyczne bez przygotowania psychologicznego są dziś niemożebne: uczuwają to na każdym kroku nietylko specyaliści, lecz przeczuwa to już ogół, który... radby coś zrozumiéć z tego ogromu zagadnień, jaki obejmują nauki duchowe (humanistyczne)."

Skoro zaś z istoty swojéj, z zasad głównych, z elementarnych sposobów dochodzenia, z kryteryów naczelnych, z górującego wpływu na cały obszar usystematyzowanéj wiedzy humanistycznéj psychologia zdaje się być nauką duchową, dlaczegoż autor zakwalifikował ją do pocztu nauk przyrodniczych? Względy przytoczone na poparcie drugiéj téj tezy są bezwątpienia nader ważne, ale nie przemawiają równie żywo i dobitnie, jak względy stojące w obronie tezy pierwszéj. Odkąd psychologia stała się nauką samoistną (powiada Mahrburg), co datuje się mniéj więcéj stanowczo od połowy naszego stulecia, przybrała też ona charakter nauki doświadczalnéj. Powtóre, zjawiska i procesy duchowe psychologia bada wszędzie, gdziekolwiek je doświadczenie bezpośrednio lub pośrednio odkrywa, — nigdy zaś doświadczenie nie okazuje nam stanów lub spraw psychicznych niezależnie od warunków materyalnych, czyli inaczéj fizycznych, które znów stanowią właściwy przedmiot badań rozmaitych nauk przyrodniczych. W doświadczeniach naszych procesy psychiczne wiążą się ze swojemi warunkami fizycznemi w sposób nierozerwalny: jedne i drugie zachodzą i trwają w czasie, — stale bywają dane spółcześnie lub bezpośrednio po sobie. Oprócz czasu jest jeszcze jedna forma wspólna zarówno faktom fizycznym jak i psychicznym: ilość; jedne i drugie możemy rozważać ze względu na liczbę i ze względu na natężenie, a o ile

odpowiednie jednostki miernicze byłyby dane, moglibyśmy je badać ściśle ilościowo. A skoro tak jest w istocie, skoro psychologia ma rozważać i badać procesy duchowe w ich stałych uwarunkowaniach fizycznych, oczywistą jest rzeczą, że przystępując do studyów psychologicznych, należy już być obeznanym, w pewnym stopniu, z temi naukami przyrodniczemi, które badają świat materyalny pod rozmaitemi względami (z fizyką, chemią, naukami biologicznemi)... Ani słowa, są to okoliczności dość wyraźnie przemawiające za pewną zależnością psychologii od nauk przyrodniczych, zależność ta jednak nie przedstawia się większą lub ściślejszą od téj, jaka np. zachodzi pomiędzy socyologią lub historyozofią a klimatologią i geologią; a przecież, nie upoważnia to jeszcze bynajmniéj do zaciągania nauk historycznych lub społecznych w poczet nauk przyrodniczych. Przytém sam autor znacznie w wielu miejscach osłabił ów kosmopeizm psychologii rozmaitemi, najzupełniéj zresztą słusznemi zastrzeżeniami, jak np. przy zaznaczeniu ilościowéj wymierności psychologii: „możność rozważania pewnych faktów (są jego słowa) pod względem ilościowym nie stanowi bynajmniéj o tém, jak to niektórzy mylnie sądzą, że nauka badająca takie fakty jest przyrodniczą.” Co do doświadczalności psychologii, byłby to wykładnik na stronę przyrodoznawstwa bardzo ważny, niecofniony może, gdyby się dało dowieść, że w zakresie nauk humanistycznych eksperymentacya zasadniczo jest niemożliwą, a zastąpienie jéj środkami pośredniemi (statystyką np. w naukach społecznych) nie daje równowartości.

Bądź co bądź, jeżeli dla uniknięcia polemiki, z wielu względów niebezpiecznéj z umysłem tak wytrawnym i wyćwiczonym jak umysł Mahrburga, małe nieporozumienie w podrzędnéj kwestyi klasyfikacyjnéj włożymy wyłącznie na karb własnéj niedomyślności, wyznać będziemy musieli, że z pedagogicznego punktu widzenia, który w poradniku dla samouków dominuje i dominować powinien nad wszystkiemi innemi, introdukcya Mahrburga zadawalnia chyba najwybredniejsze, najbardziéj naukowo wykwalifikowane wymagania. Zabiegliwość, z jaką autor toruje przed nowozaciężnym uczniem psychologii przejścia trudne lub uważane nieraz za niemożliwe, oraz pieczołowitość, z jaką wytknąć mu usiłuje nietylko wszystkie istotne szkopuły lekkomyślnego ubiegania się o szybkie rezultaty bez uprzedniego przygotowania się i pracy, ale też stara się uchronić go od przesadnych obaw lub zawczesnego zniechęcenia, — odbijają się w trzeźwéj, poważnéj, surowéj jego prozie dziwnie uroczą jakąś życzliwością, która zjednywa i zniewala zarówno nieposzlakowanie dokładnym rysunkiem rozumowań, jak i miękką, łagodną barwnością kolorytu uczuciowego. Czuć z każdego

błyśnięcia myśli, z każdego stylowego zwrotu słowa, że autor nietylko sam wyśmienicie i gruntownie zna przedmiot, o którym mówi, ale też, że rad byłby czytelnika swego drogą o ile możności najkrótszą zaprowadzić w głąb, do wnętrza umiłowanego przedmiotu. Szczególnie miłą, wzruszającą jest z tego względu odprawa, jaką autor daje tym, co z powodu niezbędności oparcia studyów psychologicznych na pewnym zasobie wiadomości z fizyki, chemii, biologii, doradzają samoukowi odłożyć na czas nieokréślony psychologię i zabrać się do szczegółowszego zrekognoskowania — jéj przedsionków naukowych... „Wszak poznać je trzeba, bo właśnie nie wiemy, co z nich może się okazać potrzebném w przebiegu przyszłych studyów psychologicznych..." Tak się rozumuje najczęściéj — i w imię téj argumentacyi rozpoczyna się długa i mozolna droga, wymagająca oczywiście stosów podręczników i lat wielu,—droga, która prawie nigdy do celu nie prowadzi, a prawie zawsze usuwa cel bezpośredni na plan tak daleki, że staje się on jakąś mrzonką, rzewném wspomnieniem nieziszczonych zapędów młodzieńczych. Każdy z nas zna setki pełnych nadziei samouków, znamy imponujące programy, które ich miały pewną drogą do celu zaprowadzić i znamy niestety cały czyściec zwichniętych na téj drodze dobrych chęci i zawiedzionych nadziei. Rzecz prosta, tą drogą nie idzie się do celu: gdyby ludzie nie mieli odwagi puszczać się na morza, których dna nie znają, toby słupy Herkulesowe było dotąd nieprzebytą granicą starego świata. Powiedzmy wyraźniéj: gdyby każdy kandydat na psychologa musiał nasamprzód zostać fizykiem, chemikiem, biologiem i kto wié czém jeszcze, tobyśmy nie mieli ani psychologów, ani psychologii... Tak źle jednak nie jest — pociesza autor — jest bowiem inna droga, mniéj wprawdzie uroczysta, ale z pewniejszym skutkiem wiodąca do celu.

Tę skuteczniejszą drogę autor formułuje. Po nabyciu kilku wstępnych wiadomości, szczegółowo w introdukcyi omówionych, a nieodzownych dla stawiania chociażby pierwszych kroków w psychologii, samouk w dalszych pracach poprzestać może na trybie postępowania, znanym w polityce pod mianem oportunizmu: posuwać się będzie od przypadku do przypadku, zapełniając braki i luki, stosownie do nawijających się trudności lub potrzeb, informacyami przygodnemi, zaczerpniętemi z książek odpowiednich lub u właściwych fachowców. Ponieważ zaś nawet psychologowie z rzemiosła nie inaczéj często specyalizują się w pewnych kierunkach, wytkniętych przez przebieg studyów lub skłonności osobiste, autor przeto nie waha się zalecić samoukom okoliczno-

ściowego, stopniowo-nabiórczego tego trybu, którego wielostronne korzyści umié uwydatnić przekonywająco i rozwinąć ponętnie.

I. T. Hodi.

Scarabejus. „Wrażenia starego kawalera.“. Petersburg, księgarnia. K. Grendyszyńskiego, 1898.

Mały tomik o 200 niespełna stronniczkach ładnéj szesnastki, wydanéj starannie, na dobrym papierze, składa się aż z ośmiu zarysów różnorodnéj osnowy. Właściwe wrażenia starokawalerskie, od których książeczka otrzymała swój tytuł, są tylko jakby wstępem, uwieńczonym drugą z rzędu nowelką, p. t.: „Oświadczyny". Tu i tam wpływ sienkiewiczowskiego „Bez dogmatu" widoczny, pomimo, że sam autor, opisujący w mieszanym tonie ironii, dobroduszności i zniechęcenia sentymentalne swe przygody, chybione o tyle tylko, iż niewiadomo zupełnie dla czego się naprawdę nie ożenił, gorliwie kryje się i broni od posądzeń o płoszowszczyznę, udając owszém tu i owdzie tężyznę junacką, niezbyt ściśle przystającą do podniecanéj i rozdmuchiwanéj w sobie swady poetyckiéj. W tych półświatłach i półcieniach stylu, niezdecydowanego pomimo pracy i sadzenia się, autorowi udaje się niekiedy trafić na motyw, charakterystykę, spostrzeżenie lub sytuacyę nader zajmującą, — ale „żyłki" odkrytéj nigdy nie może należycie i do końca wyzyskać, choć ciągle usiłuje pokazać, że wyzyskać n i e c h c e. „Idziemy naprzód i wszystko znika. Gdzież wy to teraz czarne oczy, na kogo patrzycie i czy w trudzie życiowym, w codziennéj męce nie pozbyłyście się téj promienistéj siły, k t ó r a n a w e t s z t u c z n i e p o z u j ą c n a o s c h ł o ś ć s e r c a, zwyciężać umiała?"... Rys „pozowania na oschłość" — wyśmienity, ale do niego autor dodaje następnie zaledwie parę nikłych punkcików, parę w żadnym kierunku niezdecydowanych kresek — i rzut pierwotny, fizyognomię zapowiadający, rozwiewa się i zapada w nicość. Od oschłego pozowania czarnych oczu, Scarabejus wnet przechodzi do własnego pozowania na człowieka „seryoznego" (jego to cudzysłow), i pamiętniczek wrażeń młodości, dwubiegunowo w ten sposób rozproszonych (str. 8), daremnie się późniéj kręci dokoła tańczącéj na balu „uroczéj" podolanki: wrażenia uroku nie daje, bez względu, że autor, naprawiając spóźnionym zachodem psotę zawczesną, nie przestaje zdobywać się na wykrzykniki: „Boże, jaka siła, jaki wdzięk bije od téj dziewczyny! Taka ona cała śliczna, że się wprost dusza raduje na nią patrząc, najcięższa zgryzota ustąpi,

i świat się wyda weselszy..." Wielka niemoc w następstwie przecholowanego mnóstwa drobnych efektów i drobniejszych jeszcze afektów, takby chyba należało tłómaczyć sobie stylowe niepowodzenia Scarbejusa; bo co do przyczyny niepowodzeń matrymonialnych, zachodzi wielka wątpliwość, azali autobiograf dokładnie zdał z niéj sobie sprawę w następującéj deklaracyi, wtrąconéj w sam środek zachwytów nad czarnemi, a piwnemi lub fiołkowemi oczyma: „Odkiedy zaczęto rozprawiać o moich dochodach, mniéj daleko mam powodzenia u młodych pań i panien, pomimo rozmaitych przyjaznych awansów ze strony matek i ciotek... Wspominać o tych awansach nie myślę (?), — tak jak i nie myślę wspominać o dziesiątkach rozmaitych Magdalen, które przeszły przez moje ręce. Nie pozowałem nigdy na moralistę, więc nigdy mi nie przychodziło do głowy szukać duszy, gdzie było tylko ciało, lub ofiarowywać duszę, kiedy żądano tylko portmonetki... Z takiém usposobieniem, naturalnie, że się nigdy ożenić nie mogłem" (29). Trzeci z rzędu kawałek, pod napisem: „Powrót dziedzica", powstał również z notatek autobiograficznych, ale już ma pewne zaokrąglenie nowelkowe z zabarwieniem publicystyczném niezbyt sympatyczném. Scarabejus po śmierci rodziców został dziedzicem kawałka ziemi odłużonéj, którą puścił w dzierżawę. W czasie pierwszych odwiedzin schedy zawiązuje, między innemi, z córką dzierżawcy, Marynią, rozmowę na temat niezłomnego stania przy zagonie ojczystym. Tematu tego z zapałem i uniesieniem serdeczném broni dziewczyna, — natomiast dziedzic, który czytelnika zaraz na wstępie spotkał przekąsem, że „tyle-bo napisałem wymównych artykułów o konieczności trzymania się ziemi, tak ostro oburzałem się na frymarki poznańskie", zaczyna interlokutorkę okładać chłodnemi kompresami uwag ekonomicznych, nasuwających na razie przypuszczenie, że chodzi tu chyba o jakąś nową „pozę." Ale nie... Autor-dziedzic na seryo karci dziewczynę za to, że patrzy na rzeczy w sposób zbyt... wyrozumowany. „Ach pani (powiada), praca koło roli jest podstawą bytu, a nie przedmiotem tendencyjnéj propagandy (?), która jak rak toczyć zaczyna wszystkie nasze funkcye społeczne... Hasło, którém się pani szczycisz, toć nie nowina, — nie propagowały go dawniejsze pokolenia, tak jak się nie propaguje miłości rodzinnéj, właśnie dlatego, że było to w nich uczucie wrodzone, a nie wyrozumowane, prawda, a nie szyld (?)... Dzieje wyrobiły u nas naturalny typ rolnika szlachcica... a wy dziś chcecie go zastąpić jakimś tendencyjnym bohaterem krzykliwego romansu o ziemi ze szkodą dla niéj saméj..." Na zapytanie zacnéj dziewczyny: „Dlaczegożbym ja właśnie nie miała posiadać téj normalnéj siły uczucia, dlaczego pan mi téj wiary odmawiasz?..."—dziedzic-publicysta wpada w jakiś ferwor, w którym

stanowczo plecie od rzeczy: — „Dlaczego, dlaczego... Dlatego, że pani, jak i ja, jak i tysiące, należysz do niedokrewnego pokolenia, które przyszło na świat po ciężkiéj burzy, w chwilach niemocy i zwątpienia... Oto nasz grzech pierworodny... Powiedz, czém przysłużyło się to pokolenie, dziś dobiegające męzkiego wieku, czém powiększyło spuściznę dziejową? Gdzie jego ludzie wielcy, gdzie jego dzieła i pamiątki?... Czy brakowało nam talentu? — Ach nie, mieliśmy tylko i mamy wrodzoną do czynu niezdolność” (88). Masz babo kaftan! Ależ właśnie odwieczna nasza mądrość rodowa wypadek ten zawczasu przewidziała, powiadając: „Gdyś do niczego—oburącz trzymaj się roli...”

W „Cioci Marcysi,” pomyślanéj bardzo dobrze, choć skrojonéj nieco za pompatycznie, z przesadą i skrzywieniem prowincyonalnego litewskiego typu cioci, autor zręcznie i wytrawnie zestawił dwa momenta historyczne, ten, kiedy Marcysia poznała w Paryżu pewnego oficerzynę lejtnanta komuny, — i o lat dwadzieścia późniejszy, kiedy tegoż lejtnanta zobaczyła w Petersburgu, jadącego w otwartym koczu, z czerwoną wstążeczką na piersi, pośród okrzyków i pozdrowień tłumu... Wreszcie, na kilkunastu ostatnich kartkach książeczki Scarabejusa mieści się szereg dumań lub rozbiorów syntetyczno-krytycznych w duchu pessymistycznym i opurtunistyczno-zachowawczym. Rozmyśla autor na cmentarzu petersburskim nad przyszłością mniéj więcéj daleką, kiedy stare te groby znikną, a nowe będą niepotrzebne; rozmyśla w „*Custos quid de nocte*” nad olbrzymim stosem dzieł Zoli, które, jak sądzi wbrew zdaniu przyjaciela, z którym się o to spiéra, zawierają „filozofię być może poziomą i niedostateczną, ale posiadającą tę wyższość, iż jest powszechną”, wszystkich zadowolnić zdolną; rozmyśla w „Jeruzalem”, z okoliczności podróży Lottego do ziemi Świętéj, nad tém, iż „pierwszém zadaniem każdego człowieka myślącego jest dokopać się do niewzruszonéj we własnéj duszy opoki, gruzy wywieść lub spoić je niezniszczalnym cementem wiary i dopiero na takim fundamencie dom swój umysłowy stawiać”; rozmyśla wreszcie w „*Vanitas vanitatum*” nad własnemi przywidzeniami nocnemi i dochodzi do tegoż samego niemal wniosku, co i Sienkiewicz w sławnéj swéj formule: wszystkie filozofie, jedna po drugiéj w nicość się rozsypują, gdy tymczasem msza się odprawia ciągle... Nie ulega wątpliwości, że Scarabejus myślał w życiu dużo, ale rozrzutnie; czytał jeszcze więcéj, ale przygodnie, według upodobań chwili; posiada wiedzę rozległą, ale nie uporządkowaną, nie systematyczną. Zasoby te z pewnością pójdą na marne, jeżeli autor, zamiast skupić je do pochodu naprzód, zwijać zacznie wstecz, do odwrotu.

Hodi.

Michał ks. Radziwiłł. „Bliźni", z ilustracyami Czesława Jankowskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898 r.

Pod tym wspólnym tytułem mieści się pięć nowel, dość wyraźnie nacechowanych wspólnością treści i wykonania. Obrazki to rodzajowe, wszystkie bardzo dobrze malowane, starannie w szczegółach wykończone, a wysnute z postrzeżeń bytu rzeczywistego, na tych jego poziomach, które oblewa szare i ciężkie powietrze ubóstwa, nędzy, niedoli. „W jednéj izbie" — mieszkają na łaskawym dworskim chlebie dwie gracyalistki: siedmdziesięcioletnia Muszyńska i o parę lat od niéj młodsza Stępniewska. Zarząd gospodarstwa należy do Stępniewskiéj, jako trzymającéj się jeszcze na nogach; Muszyńskiéj — to już nietylko nogi, lecz i oczy zaczynały niedopisywać powoli, a wszakże, pomimo wzrastającego niedołęstwa, gryzła ją niepomiernie niekiedy ta dominacya usłużnéj zresztą i przywiązanéj, lecz bądźcobądź m ł o d s z é j towarzyszki. Wywiązywały się stąd zwykle szorstkie zatargi i kłótnie, po których „obie wpadały w dąsy i długie milczenie, trwające niekiedy dni kilka". Jednostajne dzieje pożycia téj kochającéj się nienawistnie pary przerwał pewnego dnia Jędrek, „chłopak rudy, który przy stajni służył, a konno na pocztę latał co drugi dzień"; wpadając na podwórze, zawołał on do Sypniewskiéj: — „Przyszła beczka dla pani..." — „Jaka beczka?" — zapytała staruszka. — „A no, nie wiem. Na poczcie pan poczmajster mówili, że to dla pani, i żeby pani sobie prędzéj zabierali..." Muszyńska, choć nie wiedziała wcale, co beczka zawierać mogła, już zazdrościła Stępniewskiéj... Dopiéro, gdy we trzy dni po awizacyi przesyłkę doręczono, okazało się, że beczka przychodziła od córki Stępniewskiéj z Libawy, a zawiérała .. ryby. Kłótnia o te ryby, choroba Stępniewskiéj, serdeczna skrucha Muszyńskiéj na wiadomość od księdza, że „już nadziei niema", — opisane zostały z niezmierną dbałością o wypukłość sytuacyi, któréj rozwiązanie, przed samym zgonem Stępniewskiéj, ujęte zostało w następujący dyalog u śmiertelnéj pościeli: — „Mój koniuszek już nie daleki" — szepnęła Stępniewska. — „Ze mną także nie osobliwie, pani droga"—westchnęła towarzyszka. A po chwili, jakby uderzona myślą nową, Muszyńska dodała: — „Pani Stępniewska, toć pani teraz będziesz na niebieskiéj gracyi..." Chora jęknęła: — „Boże miłosierdzia! zmiłuj się nademną!" — „Pani moja! — ciągnęła Muszyńska — człek do trumny nic nie zabierze... śmierć to śmierć i pokarmu nijakiego jéj nie trzeba... Mnie pani zostaw swoją morską rybę..." Sens moralny powiastki oczywisty: ludzie nawet nad krawędzią grobu nie przestają instynktami swemi na-

leżéć do najsprośniejszego gatunku zwierząt domowych, jeżeli nad nimi nie czuwa i nimi nie kieruje opatrzny promień dyscypliny wyższéj, moralnéj. Pierwszą połowę tego aforyzmu demonstrują bliżéj dwie nowelki z nad morza: „Wrócił do swoich" i „Piotr"; druga połowa sentencyi znalazła artystyczne uwydatnienie w „Siostrze Anastazyi", która opiekuńcze swe ramiona rozciąga na dwa również arcydziełka: „Wuj" i „*Agnus*". Wrócił do swoich chłopiec okrętowy—a wrócił wtedy dopiéro, gdy po latach pogardy, lekceważenia i znęcania się nad nim marynarzy dorosłych, nadeszła klęska pod postacią burzy i deska ocalenia znalazła się w ręku malca; na desce téj chłopiec dopłynął do brzegu, ratunek dawnym swym prześladowcom zapewnił, — ale sam z nadmiernego wycieńczenia ducha wyzionął, jak tylko twardego gruntu pod sobą się dotknął. Miał szkaplerzyk na piersi, więc go nie zawiodła szlachetna gotowość do poświęceń na rzecz współbraci; ogromna reszta spraw i dzieł ludzkich, pozostawiona wyłącznie ziemskiéj logice swojego istnienia, toczy się tymczasem, zatacza, — wznosi się, opada, — płaszczy się, uderza... zupełnie na oślep, bez rozwagi i opamiętania, jak to morze dokoła szalejące, bezdennie głuche, bezbrzeżnie kapryśne. W Piotrze, tęgim, rosłym, zawadyackim marynarzu, co rozkochaną Maryannę uwiódł a uwiódłszy opuścił z grubiańskiém słowem pożegnania: „Pocieszysz się! teraz znasz sposób..." — sumienie obudziło się wprawdzie, ale kiedy? w jakich warunkach? pod naciskiem jakich okoliczności? — Oto wówczas dopiéro, gdy wściekły orkan go opadł, a on zawołał: „Królowo niebieska! wróć mnie na ojczyzny łono! zafunduję ci za to wotum większe od maćkowego przed Twym ołtarzem i zaślubię imienniczkę Twoją, Maryannę..." I tu również, oprócz téj jednéj gwiazdy żadna inna nie świéci na nieobjętych przestworzach niebios, wód i ziemi — ciemnych, słotnych, złośliwych bez powodu, uśmiechających się bez myśli, mętnych, osowiałych, często plugawych. Jakże inaczéj dzieje się tam wszędzie, gdzie czujne skrzydła pomocy i miłosierdzia rozpostarł anioł ładu i harmonii w postaci siostry Anastazyi! W obudwu odsłonach boskiego tego na naszych padołach dramatu, w „Wuju" i w „*Agnus*" nie zbywa wprawdzie na żywiołach rozstroju, zamętu, a nawet rokoszu, nurtujących łono czeladzi rzemieślniczéj, gniskującéj się w internacie klasztoru po-dominikańskiego (między ulicą Freta a Starą), gdzie się odbywają wypadki główne. Ale, tak czy inaczéj — zawsze w końcu zwycięża pobłażliwość, słodycz, wytrwałość w czynieniu tego, co każe duch boży. Młodzieniec z zasad i życia nieposzlakowany, zawodzi, — zamiast oczekującego nań sakramentu kapłaństwa niespodziewanie obiéra sakrament małżeństwa; strat jednak stąd nie wyniknie: oto bowiem młodzieniec drugi — hultaj zdawało się

i obieżyświat skończony, uczuwa w sobie nagle powołanie, któremu tamten nie sprostał. Oto zjawia się coś stokroć gorszego jeszcze, wyrodek, buntownik, socyalista, rozpustnik uparty, zakamieniały, a niepoprawny z wyrozumowania i teoryi. To nic, byle starczyło cierpliwości przełożonym; nie poskutkuje jedno, drugie, piąte, dziesiąte, dwudzieste — poskutkuje dwudzieste i pierwsze. Rzeczywiście, zachorował ktoś z chóru utrzymywanego przy patronacie. Proszą naszego zberaźnika, — znanego niegdyś tenorzystę, aby sytuacyę ratował, gdyż uroczystość nie czeka... Ale on — jakże on zaproszenie przyjąć może, skoro od lat ośmiu nie był w kościele — „z zasady"... Przyjął jednakże: lubił śpiew, a przytém — zaśpiewa właśnie „dla niéj" (dla jakiéjś tam zapewne emancypantki z poddasza, co mu „sztrucel dała")... Nie trudno przewidzieć, na czém się to skończyło. Odświętny ceremoniał służby Bożéj i wspomnienia młodości wzięły górę. „Zapatrzony na kościół, Strumło (bo tak się renegat nazywał) doznawał przyjemnego uczucia. A toż przecie od lat dwudziestu dwóch znał te łuki i sklepienia... Toż zaraz po śmierci matki wszedł był do zakładu, jako sierota... Pamiętał to wszystko: kiedy był mały, klęczał na prawo, w prezbyteryum, tam przy stalach; potém, jako starszy, stawał już w środku kościoła. W tém miejscu nazbiérało się i dziś sporo czeladzi. Spostrzegł wśród nich oto swojego przyjaciela, Antka... Zdziwi się, gdy go usłyszy!..." Było istotnie co słyszéć. W miarę, jak się nabożeństwo rozwijało, głos Strumły rósł, potężniał, — aż doszło do *Agnus*... „Przysunąwszy się do balustrady, z rumieńcem gorączkowym na twarzy, ze zwojem nut, które mu drżały w ręku, — Strumło upajał się własnym śpiewem i muzyką. Odkąd żył, nie doznał jeszcze takiego wrażenia. Obudzone dzisiaj wspomnienia moralne, majestat wielki i nastrój uroczysty świątyni oddziaływały razem na niego. Ogarniało go wzruszenie jakieś błogie i nieznane. Śpiewał, nie widząc nut, które mu w oczach bladły, to ciemniały... Tony same z ust jego płynęły, szedł pamięcią za tą pieśnią drogą, w któréj się odnajdywał cały, jakim był dawniéj, przed laty... Śpiewał tak, jak w nim rozrzewniona dusza śpiewała Zdawało mu się, że za powiewem melodyi on sam uleci ku filarom, ku tym światłom i ołtarzom. Wydobywał z pod serca dźwięki tak rzewne, tony tak szczere, tak czyste, powtarzał słowa pieśni z takim żalem pokornym i łzami w głosie, że teraz samego siebie już wzruszał do głębi, na równi z całym tym ludem, klęczącym tam wśród kościoła, na dole..." Nawrócenie było dopełnione; zgódźmy się zaś, że nie mogło się odbyć w sposób wznioślejszy i w warunkach odpowiedniejszych. Wolno każdemu czynić zastrzeżenia pod względem tendencyjności opisów podobnych, ale przyznać musimy, że w danym wypad-

ku talent autora i dobra, przedmiotowa, u najcelniejszych mistrzów francuskich zapożyczona metoda pisarska złożyły sobie jedno z najpiękniejszych świadectw. „Bliźni" księcia Radziwiłła pozostaną w beletrystyce polskiéj nabytkiem cennym i trwałym. *St. F.*

Mieczysław Pawlikowski. „Baczmaha", szkic powieściowy, ilustrował W. Tetmajer. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1898, str. 255.

Problemat filozoficzny w wytwornym stroju beletrystycznym: chodzi o rozwiązanie zagadki (boć chyba nie zagadnienia naukowego), jak w chwilach nieuniknionego zgonu fizycznego zachowuje się świadomość umiérającego, jeżeli i o ile jest obudzoną. Odpowiedź przedstawioną została w podwójnéj formie: fikcyjnéj i w warunkach możliwie realnych. Różnice uwydatnienia — tu i tam — naturalnie, ogromne. Autor w towarzystwie 20-letniego swego przyjaciela, Antoniego, „śmiałego a wypróbowanego" turysty, wybiera się pewnego dnia z Zakopanego w tatrzańskie okolice Kościelisk, Ornaku i Staréj Roboty, w celu przetrząśnięcia grot, jaskiń, jam i dziur tamecznych pod względem archeologicznym lub tylko, w ostatecznym razie, ogólno-przyrodniczym. Po wielu przygodach, opisanych z wdziękiem i swobodą, na pół poważnie, na pół humorystycznie, pan Antoni wydobywa z niebezpiecznéj jakiéjś kryjówki dokument jedyny w swoim rodzaju: historyę z końca wieku XVIII-go Jmci pana Józefa Kalasantego na Meleszkach Baczmahy, towarzysza usarskiego, spisaną przez niego samego na odwrotnéj stronie indygenatu pergaminowego w okolicznościach zaiste cudownych, niemożliwych: oto szlachcic nasz, wracając przez Tatry z wyprawy konfederackiéj, wpadł do przepaści, ugrzązł w jakiéjś glinie niebywałéj, żywił się gliną przez lata całe, nogi mu już puchniały, ciało opadało z kości, a on żył i biczował się rapciami i przy świetle gromnicy pisał memoryał inkaustem krwi własnéj, wśród okropnych widzeń powolnego konania... Coby to być mogło? — „Opowiadanie Baczmahy (zaznacza autor w reporterskim tonie dobroduszności niezachwianéj) przypominało wrażeniem grozy słynne obrazy belgijskiego malarza „ostatnie marzenia ściętéj głowy", przypominało także poemat o „Piaście Dantyszku". Pomysły Baczmahy miały wszystkie cechy chorobliwych pomysłów ze schyłku romantycznéj epoki; język jednakże i grafika nosiły tak wyraźny i tak wiernie w każdym szczególe zachowany charakter pism z połowy przeszłego stulecia, że co do czasu powstania tego rękopisu trudno było powziąć zdanie stanowcze... Sta-

nowczym w zdaniu mógł być jedynie sam zdobywca rękopisu, pan Antoni, który jako zakochany w pannie Józi, pupilce, czy kuzynce autora, sfabrykował najprawdopodobniéj dokument w nadziei pozyskania w jéj oczach, za pośrednictwem p. Mieczysława Pawlikowskiego, sławy równéj, być może, sławie pierwszego wynalazcy „Pamiętników Paska". Cóżkolwiekbądź, p. Pawlikowski, w powrocie do Zakopanego, rozstaje się z panem Antonim i odwiedza po drodze, na polanie Pysznéj, towarzystwo pań, które zamierzało oglądać dnia następnego w Bystréj, wschód słońca. W Pysznéj przekonywa się autor, że Józia żadnych sztucznych podniet w sprawie wywzajemnienia sentymentów pana Antoniego nie potrzebuje; na samą bowiem wzmiankę o protegowanym przez ciocię konkurencie, panu Adolfie, zamożnym, głupkowato-zarozumiałym ziemianinie z sąsiedztwa, odrzekła z przekonaniem: — „Wolałabym skoczyć w tę oto przepaść, niż wyjść za takiego pana Adolfa..." A jednak — właśnie za Adolfa wyszła. Antoś tegoż samego dnia jeszcze stracony był dla niéj — i dla świata: w powrocie do Zakopanego, po rozstaniu się z p. Pawlikowskim, powinęła się mu noga i runął w otchłań skalistą... Iskrę życia ocalono w nim, dzięki staraniom pana Adolfa, do którego majątku zaniesiono okrutnie potłuczone i zmiażdżone ciało młodego turysty. Rany się zagoiły, ale z urodziwego młodziana pozostał tylko kawałek jakiegoś potwora — bez myśli, bez wyrazu, bez duszy prawie: idyota we wstrętnéj powłoce fizycznéj. W kilka lat późniéj, kiedy staraniem i sumptem pani Adolfowéj, umieszczono smutną tę pozostałość dawnego Antosia w jednym z zakładów wiedeńskich, — autor odwiedził nieszczęśliwego towarzysza wyprawy tatrzańskiéj. Patrząc na nieboraka, przyszło mu na myśl, czyby się nie dało z pomocą skupionych środków podniety wewnętrznéj i zewnętrznéj ocknąć w potworze, na jedną chociaż chwilę, świadomość drzemiącą, czy też zamarłą. Spróbowano. „Drgnął... wzrok utkwił we mnie z wyrazem zdziwienia i zdawało mi się, że mnie poznał. — Poznajesz mnie? — wrzasnąłem mu do ucha... Głowę przechylił w dół ruchem potakującym, poruszył ustami, ręką zrobił gest jakiś... — Józia cię kocha! — wrzasnąłem mu do ucha po raz drugi... Podniósł nieco głowę, spojrzał na mnie sennèm okiem, którego blask, chwilowo rozpalony, niknął jak dogasająca iskra. Poruszyły się jego wargi, jakby usiłował przemówić. Otworzył wreszcie usta i wydobyło się z nich jedno, jedyne słowo, okrzyk — strasznym, przeciągłym, jakby podziemnym, z głębi grobu wydanym głosem, — jedno słowo, m n i e s a m e m u t y l k o z r o z u m i a ł e: Baczmaaaaa... ha!" — Słowo to zrozumiałe zapewne będzie także i czytelnikowi, jeżeli zgodzić się zechce na przy-

puszczenie nasze, że dziwaczny, iluzyjny pomysł rękopismu z wieku XVIII-go ilustrować tu ma w sposób jaskrawy realną pieczarę świadomości, pogrzebowo-dogorywającéj w Antonim.

Treść opowiadania, niezwykle smutna, smutniejszą jeszcze się wydaje wobec prześlicznie skréślonych scen i dyalogów podwójnéj wycieczki w Tatry, a ta piękna Józia, więdnąca w epilogu jak zasuszony fiołek na trumnie nadziei i obietnic młodości, wywołuje współczucie rzewne, wydobywa łzy z oczu. ***

„Słownik języka polskiego" ułożony pod redakcyą Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego. Zeszyt I. Warszawa, 1898 r.

Z prawdziwą przyjemnością powitaliśmy w kwietniu r. b. zapowiedź wydawnictwa, podjętego przez grono ludzi dobréj woli, a tak niezbędnego dla każdego narodu, miłującego swój język i swoją literaturę. Oddawna dawał się odczuwać u nas brak encyklopedycznego słownika, zawierającego wszystkie skarby mowy naszéj ojczystéj i usuwającego z niéj różnorodne dziwolągi językowe, pokutujące w publicystyce, a nawet i w poezyi. Pomnikowe dzieło tego rodzaju Lindego stanowi obecnie omal że nie rzadkość bibliograficzną, a zresztą wobec ciągłego rozwoju języka i nowo odkrytych jego zabytków, nie jest teraz zupełnie wystarczające. Tę ważną w naszém piśmiennictwie lukę zapełnia obecnie „Słownik języka polskiego", wydawany pod redakcyą osób, wymienionych w nagłówku, a tak dobrze znanych ze swoich prac na polu naszego językoznawstwa. Trzeba było wielu lat pracy, aby zebrać potrzebny materyał z różnych książek i rękopisów, kilkudziesięciu specyalistów w różnych dziedzinach umiejętności poświęcić musiało wiele czasu i studyów, zanim redakcya mogła przystąpić do ogłoszenia rezultatów swych trudów. I oto rezultaty te leżą przed nami pod postacią pierwszego zeszytu tak pożytecznego wydawnictwa. Znajdujemy tu objaśnienia wyrazów, począwszy od *a* i skończywszy na wyrazie *blacha*; stanowi to spory tom o 160 stronnicach drobnym drukiem, w dwie kolumny. Przy każdym wyrazie znajdujemy: 1) treściwe, ale dokładne objaśnienie znaczenia i wszystkich jego odcieni, nawet najdrobniejszych — przy niektórych wyrazach liczba tych odcieni dochodzi do kilkudziesięciu; 2) kilka typowych przytoczeń i przykładów z różnych autorów i przysłów, uwydatniających znaczenie wyrazu; 3) pochodzenie wyrazu, t. j. pierwiastek jego, jeśli jest swojski, lub odpowiedni wyraz obcy, od którego się wyprowadza, jeżeli jest cudzoziemskiego pochodzenia. Co się tyczy znaczeń wyrazów, to zachowany jest ten porządek, że naprzód wymienione jest pierwiastkowe

znaczenie, potém zaś idą pochodne i przenośne; przykłady i wyciągi czerpane są z całéj bogatéj skarbnicy naszéj literatury od najdawniejszych jéj zabytków aż do współczesnych autorów; część słoworodowa przyczyni się zapewne do wyrugowania bałamutnych pojęć co do pochodzenia wielu wyrazów. — Wszystko to podane jest w formie tak treściwéj, że w całym tym pierwszym zeszycie mało można spotkać artykułów, których rozmiary przenoszą pół szpalty; dłuższe objaśnienia wywołały wyrazy: *a* (spójnik i wykrzyknik), *ani*, *baba*, *bawić*, *biały*, *bić*, *biec*, *bieda*, oraz kilka innych. Do słownika, oprócz wyrazów języka żywego i literackiego, weszły także liczne wyrazy staropolskie, oraz gwarowe i gminne, których opracowania podjęli się A. A. Kryński i J. Karłowicz; nie pominięto nawet wyrazów błędnych i wadliwie ukutych, lecz dla zaznaczenia, że należy ich unikać, postawiono przed nimi wykrzyknik; znak zapytania przy objaśnieniach słoworodowych oznacza wątpliwą etymologię. Za ścisłość objaśnień odpowiadają nazwiska wymienionych w zapowiedzi współpracowników; oprócz głównych redaktorów znajdujemy tam imiona takich zasłużonych działaczy w różnych gałęziach wiedzy, jak: J. Baudouin de Courtenay, ś. p. Józef Bliziński, prof. Samuel Dickstein, prof. Antoni Kalina, L. Korotyński, Ad. Mahrburg, Leopold Méyet, ś. p. prof. August Wrześniowski, Bronisław Znatowicz i wielu in. Komitet redakcyjny wyraził się, iż wydany przezeń „Słownik" wychodzi nakładem prenumeratorów — inaczéj mówiąc, komitet liczy na życzliwe poparcie szerszych warstw publiczności, która bezwątpienia zainteresuje się dziełem tak niepospolitéj wartości. I my téż nie wątpimy, że „Słownik" znajdzie się w ręku każdego inteligentnego Polaka, pragnącego mówić i pisać poprawnie w swym ojczystym języku. Do rozpowszechnienia wydawnictwa przyczyni się zapewne i niebywale nizka cena prenumeracyjna: 50 kop. za tom o 160 stronnicach, 10 rubli za całość, składającą się z 4-ch grubych tomów, — za taką cenę nie sprzedają się u nas nawet romanse sensacyjne. Redakcya przystąpiła do swego dzieła „pod dobrą wróżbą setnéj rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, arcymistrza słowa polskiego", jak mówi w prospekcie; nie omyli jéj ta szczęśliwa wróżba: ci, którzy rozchwytali „Przysłowia" Adalberga i „Wstęp do filozofii" Struvego, wynagrodzą niezmordowanym współpracownikom „Słownika języka polskiego" poniesione trudy.

Henryk Galle.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Stanisław Koszutski.* **Z bólów duszy.** Warszawa, 1898 r. — Zbiorek powyższy składa się z dwóch części: w pierwszéj widzimy kilka fantazyi poetyckich, prozą pisanych, w drugiéj — sonety. Jak z samego zatytułowania zbiorku wnosić można, p. Koszutski należy do téj licznéj rzeszy poetów zbolałych i zrozpaczonych, od których roi się w literaturze od czasów „Manfreda" i „Child-Harolda". Najlepiéj sam poeta charakteryzuje swój nastrój w jednym z udatniejszych sonetów, p. t. „Nie wiem", który stanowi dość zręczną parafrazę słynnego orzeczenia: *Cogito, ergo sum*: poeta nie wié, czém jest, czy „trwałym słońc promieniem, co się wiekom broni"; czy „pyłkiem bez znaczenia w atomów pogoni", wié tylko jedno, że tyle chowa w sobie smutków, iż ma prawo wyrzec „jestem i żyję!" Smutek więc, ból i cierpienie, to jedyne dlań realne istnienie; ono, jak czarną krepą, przesłania całą jego istotę — wszystko inne może być ułudą, przywidzeniem, ale ten ból, co czuje w łonie, nie może nie być rzeczywistością. Co wywołało u poety ten nastrój? czy jest to cierpienie prawdziwe, czy może tylko maniera? — rozstrzygać trudno, témbardziéj, że z mglistéj frazeologii poety trudno wycisnąć jakieśkolwiek dane co do téj kwestyi; dość, że „serce szpecą mu blizny", że ze wspomnień przeszłości został mu tylko „wychudły szkielet w kącie duszy", a w jednym z piękniejszych sonetów („Bez duszy") powiada, że umarła mu dusza, gdyż „pękła główna arterya w jego życia osnowie" — gdyby nie ta ścisłość anatomiczna, trochę rażąca w poezyi, mielibyśmy wcale udatnie

w poetyczny sposób wyrażoną myśl, że poeta przejść musiał w życiu jakąś katastrofę, jakieś ognie probiercze, które wyżarły w nim wszystkie władze duszy, i oto żyje teraz życiem roślinném, „jak grzyb na próchnie". Czy były to cierpienia osobiste? nie zdaje się — téj, któréj poświęcił swój zbiorek, zawdzięcza wiele chwil jasnych w przeszłości; prędzéj „ból, tętniący w krwistém łonie ziemi", prędzéj „rozpacz milionów, co pierś świata ciśnie", i zestrzela się w „w świetlnym kręgu księżyca" wsączyły jad w duszę poety; a może i to ranę w sercu jego rozkrwawia, iż żyje samotny, „jako kłos, oszczędzony na skoszoném polu", „pełen miłości i — żalu do ludzi." — A jak wielkim, jak dumnym czuje się w tym bólu! z jaką ironiczną wzgardą odrzuca oświadczenie miłosne „dobréj pani" („Sonet erotyczny I")! z jaką skwapliwością zamyka przed kochanką tajemne „laboratoryum" (!) swéj duszy! z jaką nieprzystępną dumą stara się zasklepić w owém życiu „grzyba na próchnie" i pozbyć „ostatniéj zmory życia"—wspomnienia; „spójne uczucie to dobre *excrementum* (!!), ale słup nikłych wspomnień..." (Fantazya „Spowiedź"). Ba, nawet duszę własną wypędza precz od siebie, ale ta „kulawa waryatka" nie przestaje go ścigać — aż do celi (klasztornéj? szpitalnéj?) (Fantazya „Dusza wygnana"). — Tyle można wyrozumiéć co do nastroju poety z jego ciemnéj, mglistéj frazeologii; reszta ginie wśród zmroków i ciemni, syków i zgrzytów, jęków i psich skowytów — już tych psów, „wyjących w pożółkłych sercach", stanowczo za wiele w téj poezyi. Z pomiędzy fantazyi najlepszą, najgłębszém tchnącą uczuciem jest „Rana": poeta ze sztyletem w piersi idzie bulwarem; obojętnie mijają go przechodnie, *ona* usiłuje wyrwać mu z serca krwawiące się żelazo, ale, niezręczna, wpycha je jeszcze głębiéj, — tylko pies wierny idzie jego śladem i zlizuje krew jego z bruku. — Co się tyczy stylu i języka, to poeta nasz wiele pozostawia do życzenia. Już z kilku powyżéj przytoczonych urywków widzimy, że lubuje się on w takich zwrotach i wyrażeniach, które za piękne w żaden sposób uchodzić nie mogą; jak można np. tolerować w poezyi takie przenośnie: „nasmarowałem drzwi do własnéj duszy, aby nie skrzypiały", lub owego eleganta, wyrzucającego „z nadpróchniałéj duszy niemiłe naleciałości" — za pomocą wykałaczki, albo damę w ziewnięciu spazmatycznie otwiérającą „paszczę" i t. d. Sonety wolniejsze są od tych rażących dysonansów, lecz i tam odnajdujemy takie nieestetyczne pomysły, jak np. ów „Sonet erotyczny II", w którym poeta stoi z zachwytem przed fotografią duszy swéj lubéj, oprawioną za szkło. — Ale obok tego odnajdujemy takie prawdziwie piękne zwroty, jak np. „senny

wiatr, głaszczący twarz, jak matczyne, kochające dłonie", lub porównanie zadumy poety z królem-posągiem, okrywającym poecie czoło zwojem swego płaszcza, lub wreszcie stanowczo najlepszy ze wszystkich sonetów: „Wyschło łożysko rzeki". Do usterek stylowych zaliczyć jeszcze należy dziwaczny częstokroć szyk wyrazów i kilka neologizmów, których szczególniéj początkujący poeta powinien się wystrzegać, jak: całunek, zasklepie, rozprzęże, wszechodgadnienie i inn. I rymowanie nie zawsze idzie mu gładko; szczególniéj w sonecie, którego cała wartość poniekąd polega na piękności formy, nie wolno używać tkich rymów gramatycznych, jak: oprawił-ustawił-bawił-zadławił, lub zawiśnij-wyciśnij-błyśnij-wyśnij, albo też rymów pośledniéj wartości, jak: jaźni-wyraźniéj lub harpię-szarpię; niepodobna dla zachowania rytmu z czterozgłoskowego wyrazu patryarcha robić trzyzgłoskowego patrjarcha; niewolno tembardziéj dla rymu przyczepiać do końcówek wierszy wyrazów, nie odpowiadających całości pod względem treści, np.

Nie błyśnie zbawień światło w jasnéj szczęścia *zbroi!...* (!)

albo też

Tęczowe wiar mych bólem spłowiały *kobierce* (!)

Forma sonetu, twarda, jak granit, giętka i jak stal, nie znosi takich usterek. *H. G.*

= *Józef Flach.* **Studya nad współczesnym dramatem niemieckim.** I. Gerhart Hauptmann. Kraków 1898. — Monograficzne studya z dziedziny literatury powszechnéj są u nas taką rzadkością, że każdą rzecz z tego zakresu bierze się do ręki z prawdziwém zaciekawieniem tembardziéj, jeżeli rzecz dotyczy takiego potentata współczesnéj literatury dramatycznéj jakim jest Hauptmann. Autor niniejszego studyum obrał sobie nader trudne zadanie: charakterystyka literacka każdego żyjącego talentu, a témbardziéj rozwijającego się tak świetnie i tak niespodzianie, jak u autora „Hanusi", z konieczności rzeczy musi być tylko tymczasowem rusztowaniem; to też dzieło p. Flacha nie może rościć pretensyi do wszechstronnego wyświetlenia działalności znakomitego dramaturga. Nie jest to studyum o Hauptmannie, ale szereg studyów o oddzielnych dramatach tego autora w chronologicznym porządku od „Przed wschodem słońca" do „Dzwonu zatopionego"; poprzedza je treściwy życiorys twórcy „Tkaczów". Każde z tych studyów, a raczéj

sprawozdań, jest pracą bardzo sumienną i skrupulatną: p. Flach rozbiera krytycznie akt po akcie, scenę po scenie, z niezmordowaną drobiazgowością podnosząc zalety i wytykając błędy i usterki tak pod względem budowy, jak i treści. Szczególniéj technice dramatycznéj Hauptmanna ma wiele do zarzucenia; rażą go sceny i akty całe, posiadające mało akcyi, długie rozprawy filozoficzno-społeczne, całe ustępy epickie, w których z ust opowiadaczy dowiadujemy się o tém, co się stało za kulisami i t. d. Wytyka również p. Flach Hauptmannowi „brak zdolności plastycznego charakteryzowania" figur i niekonsekwencye w charakterach bohaterów i bohaterek, w skutek czego z pod pióra jego wyszły tak blade i sztywne postaci, jak Alfred Loth z „Przed wschodem słońca" lub Jan Vockerat i Anna Mahr z „Samotnych". I pod względem estetycznym p. Flach znalazł Hauptmannowi wiele do zarzucenia; nie może on przebaczyć autorowi „Dzwonu zatopionego" żadnego wybryku naturalistycznego w rodzaju Zoli lub Tołstoja; nawet w idealnéj „Hanusi" znalazł pod tym względem to i owo do sprostowania. Że w sztukach Haptmanna niektóre szczegóły zbyt jaskrawe mogą razić wybredny gust publiczności, przywykłéj tylko do delikatnego pieprzyku francuskiéj komedyi salonowéj—to prawda; ale twórca „Tkaczów" nie jest wszak przeciętnym autorem, do którego można stosować pospolitą miarkę przyzwoitości konwenansowéj. Wogóle studyom p. Flacha brak szerszego podkładu społecznego; wszak Hauptmann, jak sam autor niniejszych studyów przyznaje, „jest pisarzem na wskroś współczesnym" i skupia w sobie wszystkie bóle, nadzieje i marzenia współczesnego pokolenia. By więc postać jego należycie wyświetlić, trzeba postawić ją na szerokiém tle teraźniejszych prądów, kierunków i stosunków tak literackich, jak i społecznych. Nieliczne zestawienia z Sudermannem, Zolą, Ibsenem, Tołstojem, Lubowskim, czy Sawiczewskim nie wystarczają w téj mierze w zupełności. Uniknęłoby się wtedy wielu nieporozumień: nie byłoby wątpliwości co do stosunku Jana Vockerata i Anny Mahr z „Samotnych", gdyby się wzięło pod uwagę teoryę nad-człowieka Nietschego i indywidualizm Ibsena; nie zarzucałoby się braku historycznéj ścisłości „Tkaczom", gdyż ten dramat jest właśnie najbardziéj historycznym ze wszystkich utworów Hauptmanna, maluje bowiem, jak można najlepiéj całą ponurę grozę istotnych stosunków ekonomicznych i t. d. W każdym razie p. Flach oddał niemałą usługę publiczności polskiéj, podając jéj krytyczny rys całéj działalności literackiéj Hauptmanna, tém więcéj, że dramaty jego, prócz grywanéj na kilku scenach naszych „Hanusi", są u nas prawie nieznane. Pierwszą część swego zadania — drobiazgową analizę utworów autora „Samotnych — p. Flach wypełnił zupełnie zadawalniająco: czytelnik, nie-

znający nawet wcale Hauptmanna, może nabrać z niéj pojęcia o dziełach i kierunku literackim wielkiego dramaturga niemieckiego. Samego jednak dramaturga, jego wizerunku duchowego, tam nie znajdzie, gdyż druga część dzieła—synteza, czyli, inaczéj mówiąc, ogólny rzut oka na całokształt działalności pisarskiéj Hauptmanna, zaledwie jest u p. Flacha dotkniętą. Usiłuje on wprawdzie w „Zakończeniu" rzucić kilka ogólnych uwag, ale wszystko to, co mówi tutaj, że „uczucie jest źródłem, z którego wypływają dzieła Hauptmanna", jest jeszcze bardzo niewystarczającém. Nic to dziwnego: o Hauptmannie nie można jeszcze powiedzieć ostatniego wyrazu, gdyż talent jego dopiero zaczyna przejawiać się w całéj swéj męzkiéj potędze, a przytém, tak różnorodna działalność jego, tworząca obok „Tkaczów" — „Hanusię" obok „Futra bobrowego" — „Dzwon zatopiony" przedstawia poważne trudności do uogólnień.

= *Prof. Howitz.* **Dlaczego chorują nasze kobiety**, przetłómaczył według wydania niemieckiego z r. 1893 i uzupełnił objaśnieniami *Henryk Jakubowicz.* Warszawa, nakładem księgarni Alfreda Straucha i Sp., 1898. Niewielka ta książeczka, o 99 str., zajmuje się zboczeniami i niemocami organizmu niewieściego w ogólności i dlatego w tytułowém określeniu, że chodzi o n a s z e kobiéty, wyraz „nasze" jest zbytecznym, témbardziéj, że i objaśnienia, czyli przypiski tłómacza, mają na widoku wyłącznie udostępnienie niektórych „trudniejszych faktów z dziedziny anatomii, fizyologii i patologii," — o różnicach zaś w otoczeniu, życiu, obyczajach, trybach bytu kobiéty niemieckiéj i kobiéty polskiéj, niema w tych przypiskach wzmianki. Twierdzenie tłómacza, że dziełko mogłoby się przyczynić do tego, ażeby czytelniczki polskie, „lepiéj pojąwszy prawa organizmu, mogły z większą świadomością przystąpić do stosowania rad zawartych w dziełku", jest uroszczeniem z tego względu, że o normalnym stanie organizmu kobiecego dr. Howitz nie mówi nic zgoła, lub mówi tak pobieżnie i dorywczo, iż o żadnych „prawach" nie może być nawet wzmianki. Rzecz cała napisana popularnie, dostępnie, a o tyle stylowo otwarcie, że nieco więcéj estetyki w wysłowieniu, lub znacznie więcéj uspecyalizowanego traktowania przedmiotu, nie zaszkodziłoby książce, wydanéj zresztą starannie. *A. P.*

= Dnia 14 lipca 1898 r. odbyło się w Akademii Umiejętności Krak. posiedzenie Komisyi historyi sztuki. Przewodniczący, prof. M. Sokołowski,

złożył naprzód ukończony i świeżo wyszły zeszyt II i III tomu VI Sprawozdań Komisyi. Następnie przedstawił fotografię rzeźby, przedstawiającéj św. Annę samotrzecią w ołtarzu barokowym kościoła Bernardynów w Krakowie, z końca w. XV, najbliższéj szkole Wita Stwosza, w któréj mimo przeróbek znać pierwotny charakter. Znany jest dobrze piękny ołtarz drewniany barokowy św. Stanisława z początku w. XVII w kościele Panny Maryi, w któréj wprawione są cztery rzeźby oraz dwie wypukłorzeźby z pierwszych lat w. XVI; te dotąd zbadane nie zostały, a są bardzo piękne i zajmujące, jak np. scena zabicia świętego z ciekawą architekturą, z ołtarzem w mensie, nakrytéj pięknéj roboty serwetą. Powtarzaną jest wieść, że Wit Stwosz wykonał dla Maryackiego kościoła ołtarz św. Stanisława, — wspomniane części są jednak w stylu o wiele dojrzalsze. Referent przypuszcza, że pierwotnie ten ołtarz mógł być dziełem Stanisława Stwosza, syna i ucznia Wita, o którym pisał p. L. Lepszy; w każdym razie rzeźby te są niepospolite i wymagają bliższego rozbioru, co jednak uskutecznione być może jedynie po zdjęciu z nich fotografii. — Z kolei przewodniczący przedstawił referat o pomnikach bronzowych, przeważnie wielkopolskich, ilustrując go szeregiem fotografii z mało dotąd znanych zabytków. Pomniki te dzieli on na trzy grupy. Do pierwszéj należą nagrobki flandryjskiego pochodzenia, które z Bruges szły do Anglii, do Niemiec północnych, do Polski, wskutek jéj stosunków z Hanzą, ale z tych ani jeden dotąt się u nas nie dochował. Grupę przejściową stanowią prawdopodobnie bronzy północno-niemieckie, do których należy — jak się zdaje — grawirowana płyta bezimienna w katedrze w Poznaniu, o późném obramieniu z postacią nieznanego kanonika, trzymającego kielich z hostyą w stroju z pierwszéj połowy wieku XV-go, oraz z tarczą i bardzo pięknym aniołem, trzymającym banderolę z napisem: „*Utinam*". W drugiéj połowie XV-go wieku sprowadzają się bronzy nagrobkowe z Norymbergi, kto wié jednak, czy nagrobek w kościele Dominikanów w Poznaniu z r. 1488, przedstawiający Felixa Paniewskiego, kasztelana lwowskiego, którego fotografię także referent przedłożył, tak piękny i starannie wykonany, da się przypisać Piotrowi Vischerowi. Do téj grupy i do typu norymberskiego należy piękny pomnik Mikołaja Tomickiego († 1478?), ojca biskupa krakowskiego, Piotra, w kościele w Tomicach, wykonany sumptem syna w r. 1524; jest on już zupełnie renesansowy o przepysznym rysunku i perspektywie, o wybitnym charakterze polskiéj twarzy; być może, że wyszedł z pracowni Hansa Vischera, syna Piotra, z którym Tomicki w stosunkach zostawał. Tę drugą grupę ilustruje również piękny pomnik Jana Karnkowskiego, biskupa kujawskiego († 1538 r.), w katedrze w Włocławku, wykonany za

życia jeszcze w r. 1536, jest utworem o pysznéj ornamentacyi renesansowéj; na tle zasłony wieniec trzymają dwa *putti*, ubrane w sukienki, na banderoli napis: „*Donec in carne Deum videam*”, daléj infuła i herb Junosza. Grupę trzecią wreszcie stanowią nagrobki polskie z odlewarni krakowskiéj, a do niéj między innemi należy np. pomnik Andrzeja Grodzickiego († 1550 r.) w katedrze w Poznaniu, o robocie znacznie grubszéj, ale z cechami dobréj szkoły. — Następnie tenże referent podał streszczenie najnowszych badań, dotyczących podniesionych po raz pierwszy przez siebie w nauce przedstawień Trójcy św. z trzema twarzami na jednéj głowie. Jak już w jednéj z dawniejszych rozpraw swych dowiódł, typ ten idzie z Francyi i rozwija się tam prawdopodobnie pod wpływem celtyckich tryad. Do tegoż samego wniosku w ostatnich czasach doszedł dr. Juliusz Schloyer w pracy temu samemu przedmiotowi poświęconéj. Oprócz Francyi i Włoch, a mianowicie Toskanii, najczęstsze są takie przedstawienia w ziemiach słowiańskich, dowodem tego, oprócz polskich i ruskich przykładów, podanych już poprzednio, są najnowsze rezultaty badań d-ra Zrbta w południowych Czechach i u Słowaków, gdzie cały szereg podobnych przedstawień Trójcy się znalazł i świéżo został publikowany. Jeżeli zatém u ludów słowiańskich typ ten tak był rozpowszechniony, to może przyczynił się do tego również jakiś stary kult pogański, a praca prof. Pokrowskiego w Petersburgu zwraca znów uwagę na rozpowszechnienie się tego typu w Rosyi za Katarzyny II-éj i na trudności z wykorzenieniem go związane. — Wreszcie przewodniczący przedstawił dalszy ciąg rozprawy d-ra Jerzego Kieszkowskiego o zabytkach w kościele w Szydłowcu, mianowicie o tryptyku z początku XVI wieku w ołtarzu wielkim, oraz o pięknym gobelinie z r. 1735, przedstawiającym scenę z „Don Kiszota”, prawdopodobnie wedle kartonu Coypela. — Nakoniec prof. dr. Jerzy hr. Mycielski odczytał referat, p. t. „Malarz Kucharski i pani Geoffrin”. Nawiązując rzecz do swych trzech poprzednich komunikatów, dotyczących twórczości Kucharskiego we Francyi, oraz do drukowanych przez prof. M. Sokołowskiego dokumentów o nim z r. 1765-go, przytoczył nowe szczegóły, jakie w téj mierze mieści w sobie znana korespondencya króla Stanisława Augusta z panią Geoffrin. Wynika z niéj, że już w r. 1763 bawił Kucharski w Paryżu pod opieką pani Geoffrin, jako stypendysta Poniatowskiego jeszcze przed jego elekcyą, że ona to następnie przez lat kilka nim się głównie zajmowała i donosiła królowi o jego postępach w pracowniach Karola Vanloo i Vien'a, że mu stypendya królewskie stale wypłacała i na prace jego wpływała. Trwało to aż do r. 1767, z którym ustała pensya Stanisława Augusta,

niezadowolonego z drobnego rodzaju robót młodego malarza, a chcącego go nakłonić koniecznie do tworzenia historycznych, wielkich płócien w t. zw. podówczas „wielkim stylu". Kucharski nie miał do nich ani zdolności, ani ochoty, i wskutek tego przyszło zapewne do zerwania na razie stosunków między nim a królem, co też niezawodnie przyczyniło się do jego osiedlenia się stałego we Francyi, gdzie między rokiem 1780 a 1795 stał się wysoko cenionym i bardzo modnym portrecistą i miniaturzystą dworu i arystokracyi.

Zamiast Kroniki.

PO ZGONIE BISMARKA.

Zmarł twórca jedności niemieckiéj, pierwszy kanclerz tego zjednoczenia, w d. 30 lipca w dobrach swych Friedrichsruhe, otrzymanych w darze nazajutrz po wojskowych i dyplomatycznych tryumfach wojny 1870—71 r., — a śmierć jego, raz jeszcze — prawdopodobnie ostatni— do dna poruszyła i wzburzyła morze tych samych namiętności różnorodnych, z sobą sprzecznych, jakie niegdyś, za jego życia, budziły się na wieść powodzeń jego niezmiernych. Swoi przekroczyli granice uwielbień bałwochwalczych; obcym zabrakło tchu od złorzeczeń i przekleństw. Poniekąd, można to sobie wytłómaczyć. Że na pogrzebie takiego potentata domownicy jego nie żałują kadzideł, świateł, podniet dla płaczek urzędowych, rzecz to utarta zwyczajem odwiecznym; nawzajem, że ci, co opłaciwszy swojego czasu tę wystawność haraczem ciężkim, okrutnym, również nie znają miary w potępieniach, to jeszcze zrozumialsze. Nie żądajmy tylko, aby w tak rozdwojonym i rozbitym chórze słyszéć się dał głos historyka lub moralisty, — szczególnie u nas.

W takich warunkach, z dziennikarskiego chyba stanowiska zaznaczyćby należało, że nie same tylko Niemcy pożegnały w d. 30-ym lipca pierwszorzędnego męża stanu. Sytuacye dziejowe się powtarzają. Gdziekolwiek zaś powtórzyć się mogą, antecedens analogiczny powinienby przedewszystkiém mieścić w sobie trochę nauki na przyszłość.

Względ powyższy nabiéra pewnéj szczególnéj wartości, jeżeli się zważy, że to, co słusznie i zasadnie nazywamy wielkością głównego dzieła Bismarka, nosi na sobie bardzo wyraźną pieczęć pracy jego indywidualnéj, w walkach i ogniach życia wyrobionéj. Materyały na tę wielkość — podwaliny możliwego zcalenia ojczyzny—były już bezwątpienia zgromadzone przedtém, dawniéj. Wiadomo, że w kierunku faktycznego zjednoczenia narodu wytężały się od czasu wielkiéj rewolucyi francuskiéj i wojen napoleońskich wszystkie jego siły moralne i umysłowe: umiejętność, poezya, sztuka — o ile, naturalnie, nie krępował i nie niweczył ich obuch reakcyi tępéj, zawziętéj. Nie zbywało téż i na próbach zcalenia państwowego, jak np. w r. 1848, kiedy Prusy, wzbraniające się czas długi stanąć na czele ruchu rewolucyjnego, dały się ubiedz Austryi. Nie trzeba jednak zapominać, że wszystko to razem, po reakcyi lat następnych, wpadło w taki straszliwy zamęt, w takie zniechęcenie i rozbicie, że do saméj wojny włoskiéj, w okresie pierwszych kroków Bismarka na ukrytéj jeszcze dla szerszego ogółu widowni jego życia publicznego, nigdzie nie spostrzegamy nietylko świateł, lecz nawet błędnych ogników złamanego i sponiewieranego usiłowania. Tymczasem, usadowione dokoła aglomeraty wrogie, nad tém tylko zdawały się czuwać, o to wyłącznie się starać, aby niemoc chroniczną utrwalić. Na odgłos wypadków r. 1859, na widok zorzy odrodzenia Włoch, naród ożywia się nagle, — atoli i ten wybuch, jakby posłuszny wpływowi niezdecydowanego geograficznego i topograficznego położenia narodu, oraz zawiłéj jego szachownicy związkowéj, pokrajanéj na niebywałe figury samowładztw drobnych, wnet się rozbiega na mnóswo prądów wzajem na siebie zachodzących, wzajem się krzyżujących i niweczących: demokratycznych, legitymistycznych, rewolucyjnych, zachowawczych, liberalnych, katolickich, saskich, austryackich, pruskich, północno- i południowo-niemieckich.

Jakiéj trzeba było potęgi umysłu, jakiego zasobu wytrwałości, jakich arcydzieł sztuki udawania i pozorowania, ażeby z gmatwaniny podobnéj wyprząść porządniejsze jakieś zbiorowisko, ażeby spędzić do gromady tyle niesfornych żywiołów, — oto problemat, który na pierwszém miejscu godziłoby się postawić i gorliwie się nim zająć.

Na promiennem tle przesłanek polityki Cavoura wniosek jedności niemieckiéj, uosobiony w grubéj, bryłowatéj sylwetce Bismarka, występuje z początku bardzo powoli i ociężale; w miarę atoli, jak się figura z cieniów wyłania, w sobie się skupia, widać coraz wyraźniéj, że świat mieć będzie do czynienia z czémś takiém, w czém szybkość i moc działania — skoro raz do dzialności przyjdzie, proporcyonalną będzie do masy. A masa przedstawiała się imponująco. Dość było rzucić

okiem na postawę cavourowskiego tego nowotworu, ażeby bez specyalnych wywodów Virchowa módz zawyrokować, że zjawisko wypełzło atawistycznie z jakiegoś chyba grobowca troglodyckiego, że to jakiś, cudownie ocalony potomek wytrzebionych Obrów, Awarów, Hunnów czy téż Finnów z epoki toporów i maczug krzemiennych, z czasów kiedy istota ludzka, osaczona i zagrożona zewsząd, czujną być musiała jak pies, drapieżną jak tygrys, podstępną jak lis i jak wilczyca żarłoczną. Nie brak wprawdzie poszlak, że rzadcy potomkowie takich praojców, zarówno jak i sami praojcowie, nie byli (*respective* nie są) pozbawieni pewnych uczuć altruistycznych, pewnych tkliwszych popędów serca, cieplejszych barw fantazyi, szlachetniejszych pożądań duszy. W Bismarku wszakże mniejszy lub większy zasób téj siejby dość wcześnie wyzbierała „junkierska" i „burszowska" młodość, tudzież życie wiejskie, tém się różniące od miejskiego, że w niém żadne głupstwo, żadna podłość się nie zaciéra i nie niknie w tłumie, że tu jak na dłoni widzisz wzrost i rozwój egoizmów, wyzysków i wywyższeń wszelkich. Resztę instynktów z lepszych — jeśli jakiekolwiek jeszcze pozostały — wytrawiła jałowa szermierka w rozmaitych landtagach i parlamentach przygotowawczych, w jakie obfituje okres organizacyjnych prób i kombinacyi prusko-niemieckich z przed i po r. 1848, a więc, najpierw w sejmie prowincyonalnym (1847), gdzie się rozprawiało o ogarach, koniach, drogach i dziewczętach; późniéj w ogólnym sejmie berlińskim (kwiecień 1848 r.), gdzie młody, trzydziestoletni Bismark samowtór z drugim typowym żołdakiem legitymistą protestował przeciwko konstytucyi nadanéj narodowi przez Fryderyka-Wilhelma IV-go; wreszcie w radzie związkowéj frankfurckiéj (od r. 1851), w któréj pełnomocnik Prus, zaprawiony już w ujadaniach się o lojalizm kapralski, nauczył się skutecznie stawiać „miedziane czoło cynizmu" wykwintnéj jezuicko-metternichowskiéj obłudzie urzędników austryackich „przebranych za dyplomatów". Ci, co nań zwrócili uwagę w owéj dobie, utrzymują, że już wówczas z całego p i e r w o t n e g o Bismarka, z całego mamutowego jego ustroju anatomiczno-fizyologicznego pozostały trzy tylko rzeczy: szczęka zacięta uporem niemal oślim, język jak kwacz rozchodzony i mózg z niczém porównać się nie dający: gatunek olbrzymiego rzeszota zatrzymującego w sobie same tylko wyobrażenia namacalnie praktyczne, a zaprzątniętego jedynie doborem środków, sposobów i narzędzi najszczelniéj dopasowanych do celów bezpośrednich, najbliższych. Sam utrzymywał Bismark o sobie z naciskiem podejrzanym, że mu pozostało i coś więcéj jeszcze, a mianowicie: wiara w Opatrzność kierującą losami ludów i opiekującą się szczególnie ludem niemieckim. Ale

jest to widocznie naleciałość znacznie późniejsza, z epoki Soboru Watykańskiego i Sedanu, kiedy się mu śnić zaczęło na jawie, że w historyi nowożytnéj Bóg dwa razy tylko zrozumialéj przemówił do ludzi, — przez Lutra i przez niego, Bismarka — że dopiéro za drugim tym razem najdowodniéj sprawdził się pewnik górujący w protestantyzmie i w Starym Zakonie, iż „Pan zawsze się oświadcza po stronie najliczniejszych i najbardziéj wyćwiczonych batalionów."

Machina troglodycka, gdy się do roboty zabrała w kilkanaście miesięcy po wojnie włoskiéj, działała tak sprawnie, tak sprężyście, że w ciągu niespełna lat dziesięciu poprzestawiała wszystkie środki ciężkości politycznéj, powywracała wszystkie systemata dyplomatyczne, w kawałki pocięła wszystkie istniejące stosunki i ugody międzynarodowe... Baczne, szczegółowe zastanowienie się nad tém ciekawém i w najwyższym stopniu pouczającém dziesięcioleciem, czyliżby nie więcéj obiecać i dotrzymać mogło od czczych urągań przesilonemu rozumowi tytana, co w wykute nadludzkim prawie sposobem naczynie, jął następnie, po waryacku w ciągu lat dwudziestu, lać napój zmącony, niezdrowy, wstrętny?... Niemcy pobismarkowskie przysięgają obecnie na grobie największego ze swoich bohatérów, że napój ten pić będą do skończenia wieków, że podupadłą Małgorzatę swych swobód i ideałów dawnych, gwałcić przestaną i bezcześcić dopiéro wtedy, gdy nad ziemią zgasną gwiazdy Goethego i Bismarka... To ich sprawa, o co się tu gniéwać? kogo i co opłakiwać?..

Powiadają, że w tych opałach w e w n ę t r z n y c h nazbyt srogie i mocne ciosy spadały na poznańczyków i że w ostatnich, przed zgonem Bismarka latach, obłąkana jego dusza dogorywała w podrygach wyłącznéj nienawiści do Polaków. Niezmiernie to wątpliwe, już choćby dlatego, że we wszelkich, większych i mniejszych objawach owéj w e w n ę t r z n é j niby to epilepsyi bismarkowskiéj, zanadto dokładnie do najdrobniejszych szczegółów uwydatniają się oznaki staréj, zastarzałéj choroby z e w n ę t r z n é j. I to jest zupełnie naturalne, to najprościéj wypływa z logiki wypadków. Kto w r. 1866-ym wywalił jedną ścianę, w r. 1870 ym — drugą, mógłże kiedykolwiek przestać majaczyć o wywaleniu trzeciéj? — Komizm sytuacyi, o refleksach tragicznych, tkwił i podziśdzień tkwi w tém jedynie, że trzecia ta ściana oddawna leży w gruzach.

I. T. Hodi.

✝
Ś. p.

Ksiądz Franciszek Krupiński.

Społeczeństwu naszemu ubył mąż niezwykłych zdolności, wytrwałéj pracy a wielkich zasług.

Dnia 16 sierpnia r. b. zakończył życie w Warszawie ks. Franciszek Krupiński.

Urodzony roku 1836-go w Łukowie, szkoły ukończył w témże mieście. Zamierzając wstąpić do stanu duchownego, żądny wiedzy, szesnastoletni młodzieniec wybrał sobie Zgromadzenie księży *Scholarum Piarum*, które w dziejach oświaty narodowéj zyskało sobie piękną kartę. Po odbyciu nowicyatu w Opolu lubelskiém, przeszedł do Akademii duchownéj w Warszawie, a nie poprzestając na tém, uczęszczał na wykłady nauk przyrodniczych w świéżo wtedy otwartéj w kraju Akademii medycznéj; poczém pełnił obowiązki nauczyciela w swojém Zgromadzeniu.

Przeniósłszy się do Warszawy, rozszerzył swą działalność, jako kaznodzieja, nauczyciel i pisarz kazania. Księ-

dza Krupińskiego zgromadzały w kościele księży Pijarów licznych słuchaczy ze sfery inteligentnéj: poważna treść, wykład jasny, wolny od czczéj retoryki, ale natomiast logiczny, ściągały tu gromady ludzkie.

Jako pedagog, zdobył sobie najcenniejszą w tym trudnym zawodzie nagrodę, otaczały go bowiem miłość, cześć i zaufanie młodzieży, a uczucia te przechowywały się w sercach byłych uczniów dość żywo, skoro, dowiedziawszy się o ciężkiéj chorobie nauczyciela, zebrali między sobą fundusz na założenie stypendyum jego imienia: wiedzieli czém mu wdzięczność swoją najlepiéj okazać mogą, czém gnębionego ciężką chorobą pocieszyć — stworzyli rzecz pożyteczną.

Działalność publicystyczną rozpoczął ksiądz Krupiński w r. 1865 „Listami ze Starego Miasta”, drukowanemi w „Gazecie Warszawskiéj”, siejąc w społeczeństwo zdrowe ziarno. Odtąd pomieszczał swe prace w rozmaitych czasopismach. „Ateneum” od chwili swego założenia w roku 1876-ym miało w księdzu Krupińskim gorliwego współpracownika; a czytelnicy nasi pamiętają bezwątpienia jędrne artykuły, podznaczane cyframi *F. K.* lub *K.*, a niekiedy bez żadnéj cyfry; w końcu ręka słabnąca już pióra utrzymać nie mogła, serce jednak pisarza pozostało nam wierném do końca.

Ksiądz Krupiński wzbogacił nasze piśmiennictwo wielu przekładami dzieł poważnych, jak A. Schweglera „Historya filozofii”, „Zarys ustawy angielskiéj” według D. Ashera, Straulego „Historya naturalna dla młodzieży”, „Logika” Baina, „Nauka o wychowaniu” tegoż autora,

a uzupełniał je zwykle całemi rozdziałami, dotyczącemi rzeczy polskich.

Oryginalnie napisał wiele rozpraw, z których wymienimy tylko: „Przyszłość filozofii polskiéj", „Szkołę pozytywną" i „Uwagi o Supińskim, Trentowskim i Millu", nie chcąc tego pośmiertnego wspomnienia o przyjacielu zamieniać w spis bibliograficzny.

Czterdziestoletnia, natężona praca złamała ten potężny fizycznie i umysłowo organizm, przyprawiła o chorobę długą i ciężką, która go nam w końcu zabrała. Straciliśmy dzielnego pracownika, pozostaną wszelako owoce jego wysiłków, pozostanie pamięć zacnego żywota. Był to umysł wykształcony, ścisły, jasny, przekonań silnych, wypowiadający je dosadnie, nie goniący za popularnością; charakter czysty. Czyż to nie dosyć, abyśmy pamięć jego czcili i starali się naśladować?

Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Ценз;рою. Варшава, 7 Августа 1898 г. — Druk Jana Cotty.

III. Dział ten zawiérać będzie najważniejsze dla rolnika *rozporządzenia handlowe* wydane przez władze miejscowe, jakotéż *informacye* co do zwyczajów targowych zagranicznych (Marktüsance), dalej *zmiany taryf, cel, opłat, premii* i t. p.

IV. W dziale czwartym drukowane będą *artykuły ogólnéj treści rolniczéj*, lecz najczęściéj dotykające stosunków handlowych. Tutaj zamieszczać będziemy wszelkie *ważniejsze uchwały, sprawozdania i bilanse spółek i towarzystw rolniczych*, których organem chcielibyśmy stać się z czasem.

Dotychczas posiadamy już w naszéj tece redakcyjnéj kilka prac większych przeważnie młodszych autorów, a w najbliższych numerach rozpoczniemy drukowanie ważnéj pracy traktującéj o „Giełdzie zbożowéj w Warszawie“, następnie artykuł p. t. „Kilka słów o handlu wełną u nas i gdzieindziéj“, w dalszych zaś numerach podamy projekt „Stowarzyszenia dla wyrobu i wywozu masła konserwowanego“.

V. „*Odpowiedzi redakcyi*“. W tym to dziale redakcya odpowiadać będzie na wszelkie zapytania Abonentów w kwestyach handlu produktami rolnymi, a celem tychże odpowiedzi jest udzielanie bliższych informacyi co do konjunktur czy też sposobu importu i eksportu, wogóle wiadomości, może poniekąd dla jednostek bardzo ważnych, ale zanadto specyalnych, aby je ogólnie i stale traktować jako jeden z poddziałów grup pośrednich. Mając w tym dziale zapewniony współudział wybitnych handlowców i specyalistów, jesteśmy mocno przekonani, że „*Odpowiedzi redakcyi*“ staną się z czasem jednym z najważniejszych powodów, dla których każdy rolnik „OKÓLNIK“ stale w swéj kancelaryi posiadać będzie.

Za **4** rs. otrzyma każdy 52 okólników rocznie, licząc w to już przesyłką pocztową.

Cena pojedyńczego numeru — 10 kop. Prenumerata otwiéra się całorocznie i półrocznie, niezmiennie w całém Królestwie Polskiém i Cesarstwie. Zagranicą prenumerata wynosi 5 rs. rocznie.

Redakcya i Administracya „OKÓLNIKA ROLNICZO-HANDLOWEGO“: *Warszawa, ulica Hoża № 19.*

Redaktor i Wydawca **Jerzy Ryx**.

NA ROZSTANIU.

(Opowiadanie brata).

Opuszczałem ją zdrową, uśmiéchniętą, prawie rozpląsaną. Tobołki moje podróżne były spakowane, — służący pobiegł po dorożkę. Śpieszyło się jéj na kursa robót ręcznych, więc jeszcze raz sobie zarzuciliśmy ramiona, a potém mi tylko od drzwi przeciągłego dłonią posłała całusa i znikła. Spotkała mnie jeszcze w drodze na dworzec. Odwróciła do mnie kochane, smutne oczy na pożegnanie:

— A pamiętaj o mnie Michasiu...

Jakżebym o niéj, o drogiéj mi nadewszystko, miał zapomniéć? Czyż mogłem przeczuwać, że w niespełna miesiąc wrócę z powodu niéj do domu? A jednak tak się stało... Zaledwie zawlokłem się do Lipska, aby po doktoracie, zagranicą dopełnić studyów historycznych, zaledwie w małéj studenckiéj mansardzie rozbiłem namioty, otrzymałem od matki depeszę: „Przyjeżdżaj, Bronia chora, pragnie cię koniecznie widziéć..." Nie wiem, co się wtenczas ze mną działo, jakie mną szamotały uczucia i rozdrażnienia, jakie widma i żale tłoczyły się do serca, — bo ocknęła mnie dopiéro z niemego odrętwienia uwaga gospodyni:

— Kawa wyziębnie, *Herr Doctor*...

Zerwałem się, zapowiedziałem, że wyjeżdżam na dłuższy czas i zdumioną kobiétę zostawiłem w izbie. Podróż wydawała mi się stra-

sznie długą i strasznie smutną. Każda stacya była moim wrogiem, każdy gromadny zgiełk szarpał mi nerwy. Od czasu do czasu podchodziłem do mapki i przesuwałem po niéj palcem. A kiedy mnie już znużyło bieganie po ciasnéj przestrzeni wagonu, zwijałem się w kłębek na siedzeniu i wtenczas mroczyło mi się w głowie, a przez te mroki ślizgały się dziwne niepokoje. I odczułem to, a przez odczucie zrozumiałem po raz tysięczny może, że każde nieszczęście znośniejsze jest w rzeczywistości, niż w domniemaniu, że człowiek jest urodzonym pesymistą i tak długo różowieje, dopóki mu raz *fatum* porządnie nie zagrodzi drogi. Ilem przebył i com przebył w ciągu podróży, — trudno opowiedziéć.

Nareszcie dowlokłem się do domu.

Matka blada, wynędzniona, powitała mnie u progu mieszkania. Miała strasznie wypłakane oczy, łuszczące się wargi i strój zaniedbany.

— No, uściśnij mnie, ty mój...

Nie mogła więcéj mówić, a i ja nie mógłbym był więcéj słuchać. Z drugiego pokoju dochodziło urywane, ciężkie rzężenie, zmieniające się chwilami w chrapliwe, ogromnie bolesne charczenie. To charczenie wstrząsnęło mną do głębi i wyrwało z piersi okrzyk:

— Boże litościwy!...

Trudno mi było zrazu przekroczyć próg, za którym gościło cierpienie. Matka patrzała na mnie uśmiechająco, zachęcająco prawie, a ja się chwiałem i łamałem, jak się łamie pręt wierzbowy nad cichą, wielką tonią. I długo bym tak stał skamieniały, bezradny, gdyby nie wołanie:

— Micha-siu mmój...

Przeczuła i odczuła mnie biédaczka. Nie namyślając się długo, przetarłem chustką oczy i udając wielkie rozradowanie, pobiegłem w stronę łóżka. Leżała rozciągnięta na wznak na pościeli, martwa, ostygła.

Jéj ożywioną, pełną niedawno twarz pokrywała żółcizna niezdrowa i bolesne zmęczenie. Wskutek bladości zarysowały się dosyć silnie na jéj policzkach ślady pzzebytéj w dzieciństwie ospy. Usta miała nieco skrzywione, skurczone i napełnione w kątach taką żałością, że nie mogłem do nich moich zbliżyć.

— Broniu, siostrzyczko... — jęknąłem.

Ona mi chciała widocznie dużo i szeroko opowiadać, lecz nie potrafiła. Oczy jéj tylko nabrzmiały od łez i radości z powodu mego przyjazdu. I tak na mnie zawzięcie, łakomie i prawie ze źdźiwieniem patrzała, jak się patrzy na gościa nie z tego świata i to na kogoś, ko-

goby się pragnęło formalnie pochłonąć spojrzeniami. A kiedy się ukoiła i odzyskała nieco sił, rzekła do mnie głosem ostrym, nienaturalnym i bardzo urywanym:

— Michałku, pocałuj mnie w czoło...

Przesunąłem ostrożnie wargi po jéj czole i chciałem się prędko cofnąć, aby nie ukazywać wzruszenia, — lecz ona błagającém spojrzeniem i szeptem zatrzymała moje usta na sobie.

— Jeszcze, jeszcze...

Uścisnąłem jéj prawą rękę, ona mi jednak uściskiem nie odpowiedziała. Owszem, dłoń jéj była martwą, ciężką, opadającą i jakby sztucznie do ciała przytwierdzoną. Pochwyciłem drugą, lecz i ta nie miała więcéj życia. Chora zrozumiała snać dobrze moje troski, bo po twarzy jéj zaczęły spływać duże i obfite łzy, a jéj spojrzenia biegły po mnie uporczywie, natrętnie. I chociaż niemą była rozmowa nasza, zrozumieliśmy się dokładnie. Kiedy się na chwilę wydaliłem, aby obmyć twarz i ręce, doleciało mnie to samo duszne charczenie, które słyszałem przed chwilą, po przybyciu do domu.

Matka stała za mną i załamywała ręce.

— Michasiu, mój Michasiu, tyś dla niéj nowością, my jéj się wszyscy sprzykrzyli, więc chce cię miéć ciągle przy sobie. Uczyń ofiarę...

Nie pozwoliłem matce dokończyć i co tchu pobiegłem.

Chora uspokoiła się natychmiast na mój widok. Usiadłem wraz z matką obok jéj łóżka i ani jedno, ani drugie nie odważało się przerywać milczenia. Rozglądałem się po pokoju. Za niskiém oknem rysowały się kontury ośnieżonych drzew naszego ogrodu, po których zapadający wieczór ześlizgiwał czerwone i fioletowe tony gasnącego słońca. Pomimo czającego się zmroku, biało, jasno było na dworze od refleksów śniegu. Cisza i martwota krążyły nietylko w pokoju, ale i na zewnątrz, bo mróz wytworzył w powietrzu dziwną pustkę i zamyślenie. Zerwałem się nagle niespokojnie.

— Mamo—zapytałem—patrzaj mamo...

Wskazałem na dwa oleandry umieszczone koło okna.

Matka mnie zrozumiała.

— Zaczęły więdnąć w wigilię choroby...

Ogromnie mi się przykro zrobiło i choć nie jestem zabobonnym, rozmaite snułem wróżby.

— Zaczęły więdnąć w wigilię choroby...

Byłem w rozległém, błędném kole, od którego nie potrafiłem odczepić natrętnych myśli. Rozdrażniony, zmęczony, podszedłem do

oleandrów. Brałem ich liście troskliwie do dłoni i robiłem ciche uwagi:

— Ta gałąź cała odgniła, ta się psuć zaczyna... Kora murszeje, mnóstwo mszyc toczy liście...

Zwróciłem się do matki.

— A jednak one się prawie z nami wychowały.

— Z nią...

Spojrzeliśmy sobie znacząco w oczy.

W pokoju zapanowała grobowa cisza, przerywana ciężkim oddechem choréj. Wtém skrzydło drzwi się uchyliło, a w półcieniu widoczną się stała łysa głowa mego ojca. Bronia uczyniła ruch, jakby się zerwać chciała, lecz nie mogła... Z ust jéj wydobywał się tylko gniewny, prawie niewyraźny bełkot:

— Zzzammknąć!...

Blady, zrozpaczony, przecedziłem przez zęby:

— Matko!...

I nie namyślając się długo, podstąpiłem do progu i prędko zamknąłem drzwi za sobą.

— Nie chcesz mnie wpuścić...—burknął ojciec niechętnie.

— Ona rozdrażniona, ma przywidzenia — szepleniłem zakłopotany, ściskając ojcu dłonie.

— Pal dyabli z przywidzeniami... A masz pruskie cygara?

— Mam... Natychmiast służę.

Poprowadziłem ojca do pokoju, przeznaczonego dla nas na noc. Wydobyłem z opakowania kilkanaście „operasów", kupionych w Austryi, i położyłem je na stole. Ojciec palił zawzięcie rozmaite gatunki, w szczególności długie, włoskie „wirginia", w gruncie rzeczy jednak na cygarach się nie znał i łatwo go można było zmylić.

— Wiész, dobre, Windheima, nieprawda?

— Jak téż ojciec trafił...

— Byłeś może w Wrocławiu?... Windheim jeszcze w téj ciupce przy Salzgasse...

Nagle czoło mu się sfałdowało i oczy gniewnie zabłysły.

— Po co oni cię tu sprowadzali!... Na drogę są piéniądze, a jak trzeba dla mnie na surdut — to niema.

Wargi mu się same z irytacyi uruchomiły i latały, jakby elektrycznością podrażnione. Unosił się prędko i jeszcze prędzéj stygł.

— Michał, ty wiész — wtrącił już spokojnie, — że gdyby nie ja, wszystkoby się urwało... Głowę tracę, zabiegając na wszystkie strony. Teraz właśnie nawiązałem na podstawie anonsów dziennikarskich stosunki z fabryką oliwy deserowéj w Nantes. Przysłali mi próbki...

Równocześnie uzyskałem w komis partyę pereł surowych. Trzeba to będzie drapać, skrobać, żeby więcéj zarobić. Ta choroba, to téż w samą porę...

Spochmurniał znowu i twarz mu zaszła od krwi.

— Widzisz, jak twoja matka dba o mnie, do téj chwili jeszcze nie mam kolacyi. Z głodu przecież nie zemrę. Ósma wybiła.

Mierzył posuwistemi krokami tam i napowrót pokój i spoglądał co chwila na ścienny zégar.

— Tak długo być nie może, to zgroza, co się u mnie dzieje.

Pragnąłem za jakąkolwiek cenę zatrzymać ojca w pokoju, więc niepostrzeżenie wysunąłem się do kuchni. Po małéj chwilce wróciłem z Jagusią i kolacyą. Ojciec złagodniał natychmiast i usiadł do stołu. Jadł zawzięcie, prędko, prawie łakomie. Ja tymczasem wcisnąłem się w krzesełko, ogromnie zmęczony podróżą i doznanemi wrażeniami.

— Nie masz przypadkiem przy sobie marek pocztowych? — odezwał się po jakimś czasie ojciec.

— Nie mam... a dlaczego?

— Szkoda, bo obecnie prowadzę szeroką z interesantami korespondencyę.

— To się łatwo da zaradzić. Może ojciec będzie łaskaw kupić dla mnie przy sposobności kilkanaście sztuk.

Wetknąłem mu w ręce piéniądze.

— Naprawdę nie chce mi się jeszcze spać. Pobiegnę do kawiarni przepatrzyć gazety. Tam się często zdarza jakiś interes...

— No dobrze, a powróci ojciec wprost tutaj?

— A gdzieżby?... Szczęśliwy jestem w łóżku.

Pobiegłem na palcach do pokoju choréj. Zwolna, drżącą ręką nacisnąłem klamkę. Spała snem ciężkim, urywanym, jakby sztucznym. Białą była na białéj pościeli i strasznie wycieńczoną cierpieniem. Po jéj twarzy przeszedł, jak po zielonym, młodym, do słońca uśmiéchniętym łanie, wicher męki i wrył się w nią wszystkiemi rysami...

Rozchylone, posiniałe usta wyrzucały szorstkie, gardłowe tony, a pierś podnosiła się chrapliwie, nieregularnie. Męka fizyczna uczyniła ją tak bolesną i tak straszną we śnie, że mi się serce z żalu krajało. I zdawało mi się koniecznie, że ona biédna, nieszczęśliwa, doszła już do tego kresu cierpień, gdzie się z rezygnacyą prosi:

— Wybaw mnie, Panie Boże...

Spojrzałem na matkę. Siedziała sztywna, niema i bardzo zrezygnowana. Kiedy jéj rękę podnosiłem do ust, rzekła:

— Idź spać!...

— Dziś moja służba... — odparłem.

Uśmiéchnęła się dobrotliwie i potrząsnęła głową.

— Ja się z nią nie rozstanę. Ot, mnie tak dobrze przy mojéj jedynéj...

Położyła głowę obok głowy choréj lekko, ostrożnie i dała mi ręką znak wyjścia.

Nazajutrz przebudziłem się bardzo późno.

Jagusia szarpnęła mnie za ramię.

— Paniczu, paniczu, już ku południowi.

Naokół krzątano się gorączkowo. Matka wpadła pośpiesznie do pokoju. Stanęła naprzeciw mnie wzruszona. Ja, ujrzawszy ją, chwyciłem się obiema rękami za serce i, odwracając się do okna, jęknąłem:

— Boże miłosierny!

Ta jedna chwila wystarczyła mi za innych tysiące. Chciałem płakać, a nie mogłem, chciałem szamotać się, lecz rąk nie czułem, chciałem zginąć gdzieś, bodaj pod ziemią, lub oknem skoczyć na bruk, jednak wszystko podemną chwiało się, mgliło, tańczyło i waryowało wraz ze mną. I pragnąłem z sobą coś zrobić, a nie umiałem, próbowałem krzyczéć, lecz nie potrafiłem, wszystko zamarło we mnie na tę jedną, na tę straszną chwilę. Widziałem tylko przed sobą matkę wychudłą, wynędzniałą, raczéj do szkieletu, niż do człowieka podobną. Kiedym ją żegnał, miała jeszcze włosy czarne, teraz już jakieś zielono-żółte. Ubranie na niéj zwisało, zmarszczki pooraly strasznie oba policzki. Wszystko to spostrzegłem nagle i nagle odczułem, — bo zaraz po przyjeździe o zmroku, zajęty chorą, przeoczyłem. Przezwyciężyłem się jednak i zakłopotany przystąpiłem do matki.

— Mamo, droga matuchno!

Ona nic nie odpowiedziała, tylko bardzo przytomnie, z głęboką rezygnacyą spoglądała w moje źrenice.

— Dobrze spałeś? — zapytała.

— Dobrze.

— A mama?

— I ja nieźle...

Przesunąłem palce po jéj włosach. Poczułem w nich jakieś zgęszczenie, zlepienie. Matka się widocznie tém zaambarasowała, gdyż rzekła cicho:

— Już trzy tygodnie nie czesane...

Zgarnęła kosmyki dłonią i nagle coś sobie przypomniała.

— Michałku, Bronia nie chce wziąć bez ciebie rosołu.

Podniosłem chorą wpół jak martwą kłodę, za pomocą podsunięcia rąk pod poduszki i nastawiłem filiżankę do jéj ust. Była po względnie dobrze spędzonéj nocy nieco świeższą, przytomniejszą, ożywioną.

Trudno biédactwu wprawdzie przyszło wykrztusić powitanie, ale uczyniła to z udaną swobodą:

— Dddzienn dobrrry kochan....

— Dzień dobry, ty moja kochana duszo—odpowiedziałem.

I pocałowałem ją raz, drugi i trzeci, a ona, jak umiała, śmiała się temi swojemi bolesnemi ustami.

Męczyło ją bardzo przełykanie rosołu.

Tymczasem Jagusia ustawiała z drugą służącą podłużne korytko na krzesłach...

Zjawił się téż wuj Jan i wyciągnął serdecznie ku mnie dłonie na powitanie:

— Witaj, gościu egzotyczny!...

A widząc moje zafrasowanie, dodał:

— No, no, nie martw się, będzie dobrze.

Obwinięto ją szczelnie w długie płótno, niby w śmiertelną koszulę i poniesiono do kąpieli.

Spostrzegłem, jak się łamała na rękach niosących, jak martwo zwisała całém ciałem. Nogi jéj, strasznie wychudłe nożęta, huśtały się w powietrzu, zakreślając poprzeczne ruchy, a głowa przegięła się głęboko w tył i odsłoniła zmizerniałą szyję. Źrenice jéj młode nie wyrażały już nawet bólu, tylko jakąś zawziętość, surowość, podtrzymywaną ostrém zmarszczeniem skroni.

Kąpiel przyjmowała zupełnie obojętnie, jakby zamierzała powiedziéć:

— Wszystko mi obojętne, róbcie, co wam się żywnie podoba...

Ułożyliśmy ją na łóżku. Ciepła woda osłabiła ją widocznie, bo ustami chwytała chciwie powietrze. Uspokoiła się jednak wkrótce i w zwykłą popadła apatyę.

Wuj zawołał mnie gestem do sąsiedniego pokoju i zaczął sentencyonalnie:

— Człowiek strzela...

Spacerował tam i napowrót chmurny, zgnębiony. Bębnił w przechodzie palcami po drzwiach szaf i rozdymał nozdrza.

— Prawda, Michale, że to silniejsze od człowieka...

— Wuju kochany—jęknąłem—więc rzeczywiście...

Wahał się chwilę.

— A zresztą dzieją się cuda...

Opowiedział mi następnie, że to choroba straszna, zapalenie mlecza pacierzowego, które się może wlec i wlec... Po co on mi prawdę w całéj nagości wyjawiał?

Łamałem sobie głowę nad tém, czy przynajmniéj ze słuchu nie znałem kogoś, kto był tą hiobową niemocą tknięty i wydostał się z jéj szponów.

Gdzie tam! nie znałem nikogo...

I nie wiem doprawdy, dlaczego marzyła mi się czaszka, nad którą Hamlet filozofował. Przypomniała mi się następnie wątpliwość królewicza duńskiego, czy przypadkiem prochami Cezara nie zatykają dziś beczek... W końcu powtarzałem uporczywie frazes z listu św. Pawła do Koryntyan: boć musi, co skazitelne, przyoblec nieskazitelność i co śmiertelne, przyoblec nieśmiertelność.

Ale jaką ona ma skazę? Ledwie weszła w wiosnę życia, a już więdnie, marnieje, jak pierwszy pączek róży. Gdzie tu jakie prawo natury? Gdzie sprawiedliwość?

Protestowałem na wzór pospolitych lub słabego charakteru ludzi, którzy pod uderzeniem ciosów opuszczają skrzydła i wojnę wypowiadają Opatrzności. Wuj odczuwał, jak mnie źre rdza buntu i rozdymał coraz uporczywiéj nozdrza.

— Ej! wy młodzi, młodzi ..

Zapytałem go z pewną stanowczością:

— Długo to potrwa?

Snuł oklepane porównania na temat dogasającéj lampy.

— Skwiérczy i skwiérczy, a nie wiész na pewne, kiedy tleć ustanie.

A niech sobie skwiérczy i nie skwiérczy, ale człowiek i takie istnienie w zaraniu—to nie knot żaden. Przecież wziąć pierwszą lepszą roślinę, czy kwiatek wątły. Nadepta się na powój, mlecz, koniczynę, a rosną jeszcze pogięte i sterczą do słońca... Mamy kwiat przyciśnięty stopą, wryje się w ziemię, wymęczy i potém znowu nastawi ku światłu oczy. Glista rozkawałkowana zrośnie się lub nie i jeszcze pląsze w grudzie i po grudzie... Aloes niekiedy zeschnie i ozieleni się mimo to i nowe puszcza pędy...

— A oleandry?

— Co mnie obchodzą oleandry... Są i niéma. Téż do takich rzeczy wagę przywiązywać...

Kiedyś nad piaszczystą wydmą morską, niedaleko Lusinu, siadywał w czasie dopływu człowiek chory na piersi, jakiś asceta widocznie, bo miał twarz ogromnie świątobliwą, ściągłą, jak biczownik, i modlił się żarliwie. Zachodzące słońce, odbite od fal, prażyło go, — a on patrzał się tylko hen w siną dal, ginącą za nieboskłonem, i oczy jego jaśniały od wesela i niewysłowionéj rozkoszy. Wyciągał czasami ręce chude w przestrzeń, ku oparom wstającym z wody i szeptał: bądź bło-

gosławiona, Panienko święta!... Zdawało się biédaczynie, że mgła — to Matka Boża... A kiedy go raz nieprzytomnego, wyczerpanego znaleziono nad brzegiem, zwrócił się do fali i ożył.

— I dlaczego ożył?

— Chyba zdrojem jego siły była wiara w ideał, ufność w Panienkę po morzu stąpającą.

— A co ona ma?

— Ma prócz wiary silne kochanie i jak ów suchotnik patrzy w matkę...

— A może ją to kochanie utrzyma...

Czego ja nie myślałem i jakie różne chaotyczne baśnie chodziły mi po głowie! Ale dobrze się stało, że tak chwilę przestałem być sobą, bo gdym się wyzbył fantazyi, strasznie mnie poprostu za gardło ściskać zaczęło.

— Gdzie tu wyjście? Gdzie zmiłowanie? Żal i boleść uczyniły mnie wymowniejszym.

— Bo też ten częsty płacz!... —rzekłem, tupiąc z irytacyi nogą.

— Płacz powiadasz?...

Wuj uderzył się w czoło, jakby w niém nowa myśl zaświtała, i surowo, widocznie przygnębiony, zauważył.

— Takie łzy, jak Broni i długo przeléwane podobne rodzą choroby. Badamy, matematycznie dociekamy, gdzie początek złego, które nawiedziło organizm. Mówi się: przeziębienie, woda... Dopatruje się koniecznie początku utrapień fizycznych w zewnętrznych wpływach, omal cyrklem i wagą nie robi się pomiarów... A właśnie...

Zaciął się i gromadził argumenta, chociaż nie miał przeciwnika.

— A właśnie nieprawda... Łzy są zawsze gruntem żyznym dla fizycznéj niedoli. Sam człowiek rodzi się istotą zdrową, ale różne nędze łzawią mu drogę życia. Starcy często giną na wyczerpanie. Wyczerpaniem młodych lat jest często ich duchowe skołatanie.

Uniósł się, jakby kogoś apostrofował za popełnienie krzywd. Ale widocznie jemu samemu wydawało się to rozumowanie przykrém, bo dodał:

— Trzeba koniecznie okno na wieczność otworzyć i z niego patrzyć na szary świat, gdyż inaczéj...

Uczynił znak duszenia się i bezgranicznéj rozpaczy.

— Czego mi wuj tak mówił i to mówił?

Nie było odpowiedzi. Stała przedemną matka, sama jedna, taka biédna, jaką ją od pierwszéj chwili po przyjeździe ujrzałem. Zaczęła śledzić moje oczy i ruchy. Chciała się koniecznie dowiedzieć, co wuj powiedział, czy wierzył w uzdrowienie. Zaklinałem się na wszystkie

świętości, że rokował najlepsze nadzieje. Może temu nie wierzyła, ale miłość matczyna kazała jéj się łudzić.

— Gdyby też Pan Bóg raczył spełnić wielką łaskę...

— Spełni mamo, na pewno...

Starałem się zmylić i pocieszyć matkę, a tymczasem kołatało do głowy méj pytanie:

— Czy często płakała, gdy mnie w domu nie było?

Delikatnie badałem matkę, — lecz matka, zamiast „tak” lub „nie” odpowiedziéć, przysłoniła twarz rękami i milczała. Trwało to długich chwil kilka, poczém surowo, ponuro wbiła oczy w ziemię.

— Zamierzył się... Ona wpadła potém w atak nerwowy...

Co mnie reszta obchodziła... I tak miałem dosyć piekła w mózgu. Wiła się przedemną kręta, stroma Golgota, którą matka, kroczyła i słyszałem w podnieconéj wyobraźni brzęk kajdan, jakie wlokła za sobą. Te kajdany krwawiły ją, przykuły do katorgi życia, a ona przecież szła naprzód jasna, cicha, bez skargi na ustach.

Dlaczego gięła się pod haniebném jarzmem, dlaczego?

Sumienie mi tłómaczyło:

Budowała dla dzieci gmach spokoju, szczęścia, z najdroższego na świecie materyału: z poświęcenia. Gmach się w gruz sypał... A na tych gruzach matka, moja biédna siostra, ja i ten czwarty.

* * *

Ginęła już piąty miesiąc. Maj okrył zielenią drzewa i wydobywał młodą trawę z ziemi. Pod niskiém oknem ciągnęły się rabaty, pokryte stokrotkami, rezedą i różném pstrém kwieciem. Powój piął się do framugi i zaglądał do pokoju, jakby chciał przynieść nowinę:

— Wiosna, szczera wiosna...

Na dalszym planie widniały wśród grusz i jabłoni kasztany i rozczochrane krzaki bzu.

Kazała łóżko przystawić do okna. Żółta jéj, jak gromnica, twarz, ożywiała się w słonecznych blaskach. Mowę odzyskała czystszą, płynniejszą, a przedewszystkiém swobodniejszą.

W kącie dawno nieokurzanéj futryny snuł sieć „krzyżak” i opuszczał się na dół po ciemno-szaréj nici, niby po długiéj, sznurowéj drabinie.

— Co też snuć może ten pająk?...

Tłómaczyłem, że snuje dla niéj szczęście, wyzdrowienie i Bóg wié, co jeszcze. Ucieszyła się i prosiła, abym ją podtrzymał i zwrócił ku głębi ogrodu. Zawiesiła zdziwione źrenice na niebie, drzewach

i całéj powietrznéj przestrzeni. Uśmiéchnęła się do tego ładnego świata, jakby go pierwszy dopiéro raz zobaczyła, i ze wzruszenia widocznie, tylko wargi rozchyliła.

— To tam taaak...

Po chwili sposępniała.

— A gdym się kładła, była ziemia biała... Moje goździki, kochane moje... Pamiętasz złote renety?... Tyś wchodził na jabłoń i strącał jabłka, a ja zgarniałam do fartuszka... Schowaliście ostrożnie mój fartuszek?

— Schowaliśmy...

— A inne rzeczy...

— Wszystko...

— Może...

— Co może... coś chciała powiedziéć?...

— Eee... nic, nic... Michasiu, długo ja leżę?

Udawałem, że przeprowadzam bardzo sumienny rachunek.

— Trzy do czterech tygodni...

— Gdzież tam! po pierwszych śniegach jeszcze chodziłam...

Prosiła o zbliżenie bukieciku bzu i wdychała jego woń z upojeniem.

— Jak téż dziwnie na bożym świecie. Te bzy dziś żyją, a jutro...

— Tysiące, miliony nowych zakwitnie.

— Ale nie te...

To patrzenie w przestrzeń i dużo świéżych wrażeń zmęczyło ją ogromnie—więc przysłoniłem okno gazą i ułożyłem ją na pościeli.

— A oleandry?... O tym czasie zwykle okrywały się różowym kwiatem. Tyle migdałowéj woni było wówczas w pokoju.

Zasępiła się.

— Wierzysz, Michasiu, w zawisłość losów od martwych przedmiotów lub przyrody? Te oleandry zaczęły chorować wraz ze mną.

Zacząłem rozumować na temat słabości ludzkiéj natury, która w zgnębieniach pragnie się oprzéć na nadzwyczajnościach i zamiast iść drogą zwykłego rozsądku sięga w kraje mglistego mistycyzmu.

— Człowiek jest urodzonym lunatykiem — oświadczyłem—i tylko ciężka walka o byt, szare tło codziennych trosk i praca ściągają go na ziemię. Niech nieszczęście wytrąci go z równowagi — wnet buja po obłokach cudowności, bo cudowność odpowiada najlepiéj jego usposobieniu i najsilniéj narkotyzuje nerwy. Gdyby się wszystko rozsądkiem tłómaczyło — na grudzie życia nie byłoby oazy. Jedynym szczerym uśmiechem istnienia — to zmylenie prawdy. A jeżeli to zmylenie

prowadzi niekiedy tak, jak prawda sama, do rozpaczy—to się ją łatwiéj znosi, bo ta rozpacz na fatalizmie oparta... Jakiż może być związek między gwiazdą a duszą?... A jednak się mówi, że gdy gwiazda spada, gaśnie dusza... Codziennie tysiące gwiazd leci i lecą bez wrażenia, dopiéro gdy trzeba, stawia się horoskop. Podobnie i z oleandrami...

— Więc ty nie wierzysz, Michasiu, że te zmarniałe liście...

— Nie wierzę i nie śmiem wierzyć. Będziesz zdrowa, choćby to wszystko rozpaść się miało...

Złożyła ręce w małżyk, wyprężyła ramiona, i tak jéj oczy radośnie świeciły, jakby chciały powiedziéć:

— Wierzę, całém sercem wierzę.

I istotnie zauważyła:

— Jeżeli tylko przyjdę do siebie i władzę w nogach odzyskam, pójdziemy na błonia, na polankę. Czy tam jest jeszcze ta gęsta wiklina otoczona powojem? Nie, pierwszy spacer lepiéj odbędziemy do ogrodu botanicznego. W domku palmowym tak pięknie świergocą ptaszęta...

— Gdzie zechcesz, tylko najprędzéj.

— A pokaż, Michasiu, suknie.

Uparła się, abym całą letnią garderobę wydobył, chociaż mi to trudno dosyć przyszło. Kładłem wszystko razem na krzesłach, kanapie nawet, na podłodze. Ona baczném okiem śledziła mnie i ożywiała się widocznie.

— Zapomniałeś saszetki z batystowemi chusteczkami. W prawym kącie szafy musiała zostać halka... Brak także szaréj sukienki...

Skrupulatnie wydobywałem wszystko według jéj poleceń i wydobywałbym bodaj dzień cały, byle ją utrzymać w skupieniu myśli na czémś błahém, weselszém. Kazała sobie każdą sztukę zosobna podawać i z dziecinną prawie naiwnością cieszyła się wszystkiém.

— Jak się różowa dobrze zachowała! Szlarka trochę zmięta.

Potém gdzieś plamkę dostrzegła i zmartwiła się.

— Nie wiem, czy się da wywabić. Z czego to może być? Doprawdy nie pamiętam... Już wiem... Wiśnia spadła mi z ust w czasie wycieczki do Janowic, wtenczas gdyśmy byli z Karzyckimi...

— I grali w krokieta...

— To... to...

Zaśmiała się i tym uśmiechem powitała wchodzącą matkę.

— Mamuniu, wszystko to będzie na mnie duże...

— Gdzietam, przeciwnie, po chorobie tyje się.

— Kto wié, czy włożę jeszcze te suknie...

Matka zaczęła ją strofować:

— Byli ludzie stokroć bardziéj chorzy, a wyzdrowieli i opowiadali wesoło o przebytych cierpieniach. Mania Brodowska niedawno wyleczyła się z tyfusu i zapalenia płuc. Młodego Henia Trznadla opuścili doktorzy, a on im wszystkim figla spłatał. Zawsze to niepotrzebne nabijać sobie przywidzeniami głowę.

Ona słuchała i słuchała, wpatrując się w pocieszycielkę matkę, niby w tęczę jasną, — ale łzy jéj buchały ze źrenic strumieniami i zalewały całą twarz i piersi. Łkała przytém nerwowo, spazmatycznie, aż ją w górę podrzucało.

— Tam słońce świeci i zieleń rośnie, a ja ginę, ginę...

Kazałem przesłaniać okno dużą, gęstą zasłoną, aby niebu słońca i piękności młodéj przyrodzie nie zazdrościła. W pokoju panował półmrok, rozwidniony kilku promykami światła, wpadającemi z po za rąbka uchylonéj od dołu opony. Ledwie rankiem powieki otworzyła, domagała się stale wolnego widoku na ogród.

— Chcę światła... Jak dziś świat wygląda? Czy bzy przekwitły?

— Tłómaczyłem, że lekarze nakazali zawiesić oponę na oknie i to na krótko, potém znowu będzie patrzała na kwiaty i drzewa, jak długo tylko zapragnie.

Raz pobiegłem rano, jak zwykle po zbudzeniu się, do jéj łóżka. Matka leżała obok na kanapie i czuwała. Chwile długie upływały, a chora nie dawała znaku życia. Zaniepokojony, popatrzyłem na nią. Jakżeż potężném było moje ździwienie, gdy dostrzegłem, że ma oczy otwarte, utkwione martwo w sufit, bezbrzeżnie smutne, przygasłe.

— Broniu, nie śpisz siostrzyczko?

Nic nie odpowiedziała. Lekko pogładziłem ją po włosach i ramieniu.

— No, moje kochanie, może ci nie dobrze? Może masz pragnienie?

Ale zacięła się uparcie, zacisnęła zęby i wargę na wargę grymaśnie przekładała, skrzywiając nieprzyjemnie usta. Wziąłem się tedy na sposób.

— Dziś odrzucimy oponę, całą oponę. W ogródku są jaśminy.

— A czy to już dzień?—zapytała wreszcie.

Istotnie ściągnąłem zasłonę przymocowaną do gzymsu. Okno roztwarłem naścieżaj i pomiędzy niém a łóżkiem ustawiłem ekran, aby złagodził napór powietrza. Poranek wpadł do pokoju i oblał różowym blaskiem chorą. Twarz jéj drgnęła, skurczyła się, lecz pozostała nieruchomą.

— Teraz chyba na mnie nie narzekasz?

— A czy to już dzień? — powtórzyła.

— Jakto? Broniu, co mówisz? Przecież widzisz twój ogródek, drzewa i słońce...

— Bo wietrzyk mnie jakiś zalatuje łagodny. Czyżby to był wietrzyk nocy?

Skrzyżowałem z matką spojrzenia.

— Jezus, Marya! — zaszlochała matka — mózg jéj zajęło, pomieszanie.

Zeskoczyła z kanapy, wdziała prędko spódniczynę i chwyciwszy się za głowę, błędnie latała po pokoju.

— Wybaw ją Panie! już się jéj zrzekam...

Stałem skamieniały, odurzony nową niespodzianką.

— Dlaczego mnie ma Bóg wybawić? Przecież mi nie gorzéj... Spałam dość twardo... Tylko żeby ten dzień...

Matka lamentowała i zanosiła się od płaczu.

— Dobrze jest na świecie! Sprawiedliwie jest na świecie!

— Mamuś, czego płaczesz? Czym ci przykrość wyrządziła?

Oprzytomniałem nareszcie. Po rozsądnych, uczuciowych kilku pytaniach zrozumiałem, że umysł choréj nie popadł w zaćmienie. Objąłem ją uważném spojrzeniem.

— Widzisz mnie?

— Nie...

— A mamę?

— Także...

Kazałem Jagusi przynieść gąbkę. Przetarłem nią oczy choréj i usunąłem obfitą, z nocy pozostałą ropę.

— No, a teraz?

— Czekam dnia.

Podszedłem do matki.

— Tu nie można na głos narzekać, nie mameczko... Ona przy pełni rozsądku. To oczy...

— Stracone...

— Na razie nie widzi...

Wyprowadziłem matkę z pokoju, bo łamała się we dwoje, darła z siebie koszulę na piersiach i krzyczała:

— Już z niéj nic nie będzie!... Oczu nie ma...

Czułem w téj chwili, że mogę stracić naraz dwie najdroższe istoty. Obie zarówno kochałem, bez miary. Jedna ginęła na ciężką niemoc, druga z żalu za nią. Byłem jak ojciec zadżumionych na dalekim stepie arabskim, który patrzy na konanie własnych dzieci, potém je kładzie kolejno do grobu, przysypuje gorącym piaskiem południa i sam

na mogiłach czeka ostatniéj chwili. Co miałem począć? Patrzałem w jéj twarz biédną tak, jak się patrzy na coś, co prędko ma na zawsze minąć. Podchwytywałem każdy jéj najdrobniejszy rys, każdą linię, śpieszyłem się z wyszukaniem drobiazgów, aby zapóźno nie było. I równocześnie, oprócz téj żywéj postaci, snuła się w fantazyi mojéj inna, jakby nie z tego świata. Nieuchwytną była, ale żyła we mnie i ze mną, taka samiuteńka, jak tamta.

— Boże! — pomyślałem — takie chwytanie rysów, gdy one rozpaść się mają, podobne jest do zdejmowania pośmiertnéj maski. Ta pośmiertna maska odlaną jest z pamięci i uczucia.

W głowie mi się mieszało okrutnie. Ona jest i jéj niéma. Wiedziałem, że ją stracić muszę i to niedługo. Na koniuszku jéj nosa ujrzałem przez ospę pozostawioną nieznaczną skazę. Skaza ta w méj wyobraźni przybrała kształt drobnéj kwadratowéj klamerki. Nie wyobrażałem jéj sobie już bez téj klamerki... Odkryłem téż wcięcie ostrzejsze między łukami brwi, więc i to wcięcie zapamiętałem. Tak upływały godziny.

— Czy będzie prędko dzień?—zapytała zniecierpliwiona.

— Już pora południowa, Broniu—wyrwałem się nieostrożnie.

— Co południowa? To ja zaniewidziałam...

— Co téż za dzieciństwa mówisz... Zwykłe osłabienie... Zaraz będzie lepiéj...

— Mgli się, jakby w oddali mknął popielaty szlak światła... Już się mroczy i przepada... Wysilam źrenicę, lecz nie widzę ani ciebie, ani mamy. Chodź, podaj rękę... To twoja ręka... Ja nie chcę nocy wiecznéj... Dajcie mi oczy, moje oczy!...

I tak roczpaczliwie, tak okropnie wołała „dajcie mi oczy, moje oczy. .”, że przyłączyłem się do jéj płaczu i w łzach, w szaloném łkaniu szukałem ulgi. A gdym już dłużéj płakać nie mógł, pomyślałem, że człowiek jednak jest potężnym siłaczem, gdy się umié śród podobnych burz życiowych ostać. Najtwardszy kamień łupie się pod uderzeniem młota—a on stoi i stoi, nad grobem własnych marzeń i uczuć...

Między lekarzami były zdania podzielone. Jedni utrzymywali, że wzrok odzyska, drudzy sceptycznie kiwali głowami. Wuj nie wydał żadnéj opinii, tylko krótko oświadczył:

— Jak do tygodnia nie będzie lepiéj, spróbujemy rtęci.

Stan choréj nie poprawił się istotnie przez dni najbliższe. Leżała na wznak, wysztywniona, niema, z szeroko rozwartemi powiekami. Źrenice jéj były czyste, spokojne. Od czasu do czasu pytała:

— Czy już południe? Czy wieczór się zbliża?

Podano jéj do łóżka ośmiomiesięczne niemowlę ciotecznéj siostry. Dzieciak był tłusty, dobrze odkarmiony i niezrozumiałe wydawał dźwięki.

— Maa... zum, ta... la...

— To Klarcia Antosi — objaśniała matka.

Szczegółowo badała dzieciaka ręką i przycisnęła go do swoich ust. Klarcia się rozpłakała tak rzewnie, że ją musiano wynieść do drugiego pokoju.

— Odczuła moją nędzę—rzekła.—Ja ją też poznaję, chociaż nie widzę... Prawda mamo, ma oczy i nosek Antosi... Czy tak?

— Tak...—odparła zdumiona matka.

— A profil kuzyna Adasia?

— Tak...

— No widzicie.. Gdy mnie ciemnia otacza, trudzi się wyobraźnia. Palce są obecnie okiem i światłem mojém... Chodź do mnie matuchno... Ot, masz łzy na rzęsach... Pocałuję twoje długie rzęsy...

Przygarnęła rzeczywiście matkę do piersi.

— Kochana moja, kochana!...

Rozweseliła się nagle, aż blask szedł z jéj biédnych, ciemnych źrenic.

— Myślisz matuchno, że nie wiem co się wokoło mnie dzieje? Gdzież tam! Ot, tam na stoliku muszą stać poziomki. Duży, kopiasty talérz. Piętrzą sią czerwone, koralowe jagody...

Wdychała rozdętemi nozdrzami woń poziomek, ustawionych istotnie na stole.

— Wiész mamo, te poziomki czuć latem. Gdy chłonę ich zapachy, zdaje mi się, że lasy widzę przed sobą. Kołyszą się świérki i sosny na stokach wzgórzy i patrzą sobie w słońce... Długo jeszcze do zachodu?

— Dopiéro piąta...

— Zamknąć drzwi, nie chcę...—zaczęła wołać spazmatycznie.

Obejrzałem się za siebie i ujrzałem ojca.

— Chwała Bogu—rzekł—znalazłem przecież zbawienie...

Podszedł do choréj i objął ją łagodném spojrzeniem.

— Sama pragnę zostać, sama...—jęczała.

Wziąłem ojca pod ramię i skierowałem się ku drzwiom.

— Może pójdziemy do ogrodu...

— Zawsze te nędzne sekatury. Mam takie prawo tu zostać, jak wy i kwita...

— Tak jest, ojcze, ale chodzi o nagły interes.

— To co innego...

Miałem zamiar poprosić ojca do ogrodu, — lecz on mnie zatrzymał w pokoju. Zasiadł do stołu i kazał sobie przynieść ze śpiżarki rydze.

— Jakżeż z rozprzedażą pereł?—zapytałem.

— O to ci chodziło? Nie jestem obowiązany nikomu zdawać sprawozdania. Zresztą, co tu ukrywać... Pal licho z takiemi interesami! Nasze społeczeństwo nie dojrzało do prawdziwego przemysłu... Same szkraby i hołysze... Ot, widzisz, na co się komis przydać może...

Wyłał oliwę z próbek na rydze i, mlaskając ustami, zawyrokował z miną smakosza:

— Rzetelna francuska...

— A jak się rozchodzi?

— Fi... zawsze indagacye... Po to mnie tu sprowadziłeś... Nasz kraj dobry dla tych, którzy jeść nie mogą i ubierają się w łachmany...

Z irytacyą polewał oliwą z próbek stojący przed nim talérz rydzów.

— Ot, tak przynajmniéj przyda się na coś... A ten interes z perłami wcale nie perlisty... Szkoda czasu i atłasu. Dawniéj przynajmniéj stare żydówki ubierały się w srebrne i złote czépki, przetykane muszelkami i perłami. W Ułaszkowicach na targu roiło się od wędrownych handlarzy pereł.. Dziś postęp, moda wszystko zatarły... Ta wasza cywilizacya jest gorszym wrogiem ludzkości, niż sto chorób razem wziętych. Ale ja się nie zrażam... Wpadłem na kapitalny pomysł... Niema u was fabryki pobielania garnków... Ileż gospodyń odrzuca po kilkakrotném użyciu doskonały jeszcze garnek dlatego tylko, że się wnętrze wyszczerbiło... Hę? niezły pomysł, co?

— Niezły, ale...

— Co ale, niema żadnych ale... Myślisz zapewne, skąd wziąć środki?... Bagatela!... mnie każdy zna i zawierzy, ile zechcę. Zresztą matka...

— Łoży wszystko na chorobę...

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków—odpowiedziałem.

Ogromnie wysoki mężczyzna posunął się ku mojemu ojcu i wstrząsał całą siłą jego dłonie.

— To i widzi pan, że przyszedłem jak przyrzekłem. Może w szczęsną spotkaliśmy się chwilę. A to synaczek, prawda?

— Rodzoniuteńki—odparł mój ojciec.—Com się nameczył, zanim zeń zrobiłem doktora!...

Przybyły skrzywił się nieznacznie i skrzywienie to prędko zamaskował.

— Pan dobrodziejaszek stale tu, między nami?—pytał gminnym, wiejskim akcentem.

— Dopiéro niedawno zjechałem...

— Ejże, przysiągłbym na Chrystusa rany, żem pana dobrodziejaszka widywał na klinice między skubentami.

— Mnie nie...

— To być nie może... Przypominam sobie na pewno, że pan dobrodziejaszek opukiwał babę, którą przywiozłem do szpitala z naszéj wsi. Stał wtenczas przy jéj łóżku profesor, taki w białym drelichu, z dużą, rozczochraną brodą, z swoimi adjutantami i przypatrywał się robocie pana dobrodziejaszka...

— Nie jestem panie lekarzem, więc nie badam po szpitalach. Najwidoczniejsza pomyłka...

— Ależ, panie Komarowski, syn mój nie medyk... Nie bój się pan, u nas niema denuncyantów... Lécz pan córkę, byleś ją wyleczył...

Ojciec zwrócił się następnie do mnie.

— Spotkałem przypadkiem pana Komarowskiego. Znam go z dawien dawna...

— Grywaliśmy w ferbla...—wtrącił Komarowski.

— Co się też panu śni!—rzekł surowo ojciec. —Pan Komarowski słynie w swojéj wsi i daleko naokół z cudownéj sztuki leczenia. Biegną do niego, jak do rabina w Sadogórze. Kneipp jest obok niego zerem. Mówiłem mu o moim strasznym frasunku i przyrzekł mi dopomódz.

— Z całą miłą ochotą. To nie ja leczę, lecz Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun wszystkich.

Popatrzył na ojca.

— Może mnie pan zaprowadzi...

— Dla mnie to zanadto bolesne...—oświadczył ojciec.—Syn mnie wyręczy. Mój Michasiu...

Obrzuciłem pośpiesznie od stóp do głów przenikającém spojrzeniem Komarowskiego i zapałałem do niego wielką nieufnością. Jednocześnie obudziły się jednak w duszy mojéj dziwne nadzieje. Za nic w świecie nie puściłbym tego człowieka, zanimby nie poszedł do łoża méj siostry...

— A może on istotnie poradzi... — rozumowałem. — Tam gdzie nauka i logika zamierają, mają uprawnienie dyletantyzm i brak logiki.

Puściłem go przed sobą. Wyglądał napół z chłopska, napół z waszecia. Stąpał pewnie, poważnie. Wszedł do pokoju choréj cicho, ostrożnie.

Objaśniłem matkę krótko, o co chodzi.

Pochylił się nad łóżkiem i zakreślił w powietrzu znak krzyża świętego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

— Na wieki wieków...—odpowiedziała cicho Bronia.

Rozszerzyła źrenice, jakby chciała poznać przybysza.

— Czy to mamo ksiądz dobrodziéj?... Ja się chętnie wyspowiadam na ostatnią drogę... Sześć miesięcy już się, księże, nie modliłam. Tak się rwałam do rozmowy z Bogiem, a nie mogłam. Teraz już czytać nie potrafię z książeczki, a pamięć mam zmęczoną. Będę mówić: za tobą, księże...

— Kiedy ja przyszedłem nie spowiadać, tylko uzdrowić cię, panienko, w imię Jezusa Chrystusa, Pana i opiekuna naszego...

— Ja nie chcę, mamusiu, dłużéj czekać... Usłyszałam słowo: „niech będzie pochwalony", i ono obudziło we mnie potrzebę pacierza.

Matka roztworzyła niezwłocznie modlitewnik i czytała suplikacye:

„Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył, prosimy Cię Panie..."

Chora powtarzała wyraźnie, czysto każde słowo. Gdy skończyła, zauważyła:

— Mamuś, daj mi pocałować obrazek z wyobrażeniem Chrystusa w grobie.

Pocałowała obrazek, potém matkę w rękę.

Koronka na rogu obrazka była urwana.

Przesuwała między palcami kartonik i, natrafiwszy na zdefektowane miejsce, rzekła:

— Dasz, mamusiu, świéżą koronkę, prawda? Obrazek taki ładny! Tyle serc buja w okół Ukrzyżowanego... A u stóp jego przygwożdżonych do słupa leży czaszka ludzka. Czy tak? Jak ja to dobrze pamiętam...

— Po modlitwie czas na leczenie, panienko — odezwał się Komarowski.

— Jakżeż długo będę się leczyć? Pół roku konam codziennie. Zostawcie mnie w spokoju.

— Zostawić w spokoju? Nie wolno wątpić, panienko. Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun był na krzyżu, a przecież wstał. Będziesz zdrowa, jak rybka w wodzie.

— Tak mi mówią ustawicznie. Słyszałam to samo, gdy mi nogi zamarły. Wuj wówczas rzekł: lepsze od sarny odzyskasz nogi. Potém mi kostniały ramiona, dłonie... Stali nademną wszyscy i z uśmiechem zapewniali, że to chwilowe osłabienie. A dla mnie każda chwila była godziną, każda godzina dobą. Skupiałam duszę i wolę, chcąc się dźwignąć. Nie mogłam. Kwiaty rosły, drzewa się zielenią okryły, niebo zesłoneczniało, a ja odleżałam się w łóżku. Marny robak żyje, tylko ja się męczę bez końca.

— Koniec będzie złego,—odparł Komarowski — Jezus Chrystus, Pan nasz i opiekun...

— Potém straciłam oczy, a przez nie matkę, brata, wszystko... Za jakie grzechy ja cierpię? Dajcie mi oczy, choć na chwilę oczy. Ujrzę was drogich i umrę, bez narzekania. Mamo, mamusiu, rękę...

Matka ujęła jéj dłoń, całowała i oblewała łzami.

— Dlaczego, mamo, nie podajesz ręki?...

Matka zbliżyła usta do jéj ust, a następnie do źrenic.

— Teraz cię czuję... Nie oddalaj się odemnie.

Komarowski przyłożył do jéj stopy kawałek różowéj, delikatnéj, w wodzie zwilżonéj bibuły. Potém skrzyżował ręce na piersiach i czekał. Wpatrywaliśmy się w jego zagadkową twarz z wzrastającém zaciekawieniem. Spojrzał wreszcie na zégarek i energicznie oderwał bibułę od stopy. Była zesztywniałą, suchą.

— Ciągnie, gorze...

Pokręcił głową i zwrócił się do mnie:

— Ilu ich tu było?

— Kogo?

— No, tych medyków?

— Kilku, różnych...

— I pozwolili jéj się tak męczyć... Ha! ha!... Wyprowadzę ją z tego...

Popatrzyliśmy na niego, pełni ździwienia, niedowierzania i podniecającéj nas chwilowo nadziei.

— Kosztować będzie sześćset reńskich. Trzy kąpiele z ekstraktu bobrowego. Kupcie sobie sami maść. Dla mnie nic... Namyślcie się do pojutrza...

Nakréślił znowu znak krzyża świętego i znikł, zanim zdołaliśmy się zdobyć na odpowiedź.

* * *

Zastałem matkę w moim pokoiku. Głowę wtuliła w rozłożone na stole ręce i płakała. Zoczywszy mnie zerwała się energicznie.

— Skąd wezmę sześćset reńskich, skąd? Słuchaj, Michasiu, sprzedam suknie, futro, całe srebro i kolczyki. Zajmij się tém... Ale i tak nie starczy. Boże! skąd wezmę?...

Patrzałem na matkę uważnie, pytająco. Nie przypuszczałem, żeby do innych klęsk dołączyła się już zupełna ruina majątkowa. Wiedziałem, że matka ma niewiele, lecz przypuszczałem, że to niewiele wystarczy na przyzwoite utrzymanie domu i na zapas w czarnéj chwili.

— Dziwisz się? Kamienica po opłaceniu rat hypotecznych i procentów pokrywa ledwie nędzne nasze wydatki. Jeszcze jeden dług, a nie ma wyjścia.

— Więc i to mamo... Nie mogłaś zawczasu?...

— Co, zawczasu?

— No wiész...

— Nigdy! Coby ludzie powiedzieli? Świat jest surowym sędzią. Ja nie miałam odwagi dla was, słyszysz,dla was... nie wypadało...

— Nie wypadało?... Jak my wyszli na tém?... Masz tam Bronię...

— Czyżby nie mogło to samo nastąpić właśnie wtenczas, gdybym została owym społecznym banitą?...

Jakże straszna zatargała mną rozterka. Tak źle i tak nie dobrze. Zdawało mi się, że ludzie naumyślnie potworzyli sobie błędne koła, aby w nich grząść, marniéć, czepiać się brzegów i tonąć. Ujrzałem rozstajną drogę wśród dwóch gęstych borów. Jeden był dziki, zachwaszczony cierniami i ostami, drugi miał trochę światła, polanek i balsamicznych drzew. Ani z jednego, ani z drugiego nie było wyjścia. Musiało się w nich przepaść, zginąć na ścierniu, lub polanie. I gdzie tu wybór? Na takiéj rozstajnéj drodze życia podobnym się jest do ognika, który z suchszego na wilgotniejsze trzęsawisko wpada, ale z trzęsawiska wydobyć się nie może.

Ból ścisnął mi gardło i dopiéro po dłuższéj chwili ująłem ręce matki.

— Moja biédna, moja jedyna... Zapomnijmy o tém...

— Zapomnijmy... Trzysta uzbiéram, lecz resztę... Słuchaj, ojciec odbiérze w tych dniach większą sumę za kuratorstwo nad Filipowskim. Uzbierało się z czterech lat. Pomów z nim...

Jeszcze matka nie dopowiedziała tych słów, gdy zjawił się ojciec z flaszką w jednéj, z szklanką w drugiéj ręce...

— Powiadam wam, kolosalny pomysł!... Wyobraźcie sobie, moi drodzy, jak ta Galicya jest zacofaną. Na Bukowinie, koło Czerniowiec istnieje źródło „Burkut", zawierające pyszne części mineralne. Woda chłodzi i lekko musuje. Trunek zdrowotny, doskonały. Nikt tego źródła nie zna. Odkryłem przypadkiem flaszkę w nędznym handelku. Import „Burkuta" wyprze u nas Giesshueblera. Zamierzam ofiarować pomysł pewnemu kapitaliście.

Nalał do szklanki trochę wody i podał mi ją.

— Dziękuję.

— Nie chcesz, to sam wypiję. Powiadam nektar, ósmy cud stworzenia. A jakże tam Komarowski?

— Zalecił trzy kąpiele po dwieście reńskich.

— To fuszer! Gdzie się taki chłop na czém rozumié. Jemu marchew skrobać, nie udawać lekarza. Nie mówcie nawet o tém Janowi.

— Przecież go ojciec sam polecił.

— Polecił nie polecił, wytocz mi proces. Narzucał się, że chorą chce obejrzéć, więc go się pozbyłem.

— Wierzę, lecz może mu się uda. Daj ojciec tę sumkę z kuratoryi Filipowskiego.

I wyciągnąłem przed siebie dłonie, spoglądając mu w oczy.

— Daj ojcze, zmiłuj się i daj...

On stał niemy, prawie skamieniały, aż mu krew zbiegła z twarzy.

— Nic nie mam dla oszustów!...

Matka stanęła pomiędzy nami. Oczy jéj pałały, trzęsła się cała febrycznie i złowrogo na ojca patrzała.

— Ty!... Ty!...

Nie mogła się zdobyć na więcéj. Wtém wpadła, jak strzała, Jagusia.

— Paniuńciu, paniczu!

Łkała i obcierała fartuchem powieki.

— Co się stało? — zawołaliśmy równocześnie i zmierzyliśmy ku drzwiom.

Jagusia odjęła fartuch od twarzy i wówczas dostrzegliśmy, że na téj twarzy była jakaś prosta i bezgraniczna radość.

— Panienka, Bronia cokolwiek owidziała...

Pobiegliśmy, jak szaleni, do sąsiedniego pokoju.

— Broniu, moja droga Broniu!

— Mamusiu, zdaje mi się, że światło spływa mi do źrenic. Takie niewyraźne, szare, skąpe. Ach! jeszcze jeden promyk. Przesuń mi przed oczami palec.

Matka kilkakrotnie zakreśliła w powietrzu wachadłowy ruch palcem.

— Widzę, miga się, ale obrazu uchwycić nie mogę. To tak, jakby krążek dymu cygarowego przesunął się i zginął. Nachyl mamo głowę. Aa... nie rozeznaję rysów, ale...

— Ale co dziecino?

— Przeczuwam, że je wkrótce rozpoznam.

Po kilku dniach prosiła matkę:

— Usiądź przy mnie i nie ruszaj się.

Matka siedziała bezwładnie i patrzała w nią bez przerwy. A jéj szeroko roztwarte źrenice spoczywały na matce jakieś jasne i wesołe. Szedł z nich blask niezwykły i cicha bezgraniczna rzewność. Nic nie mówiła, jakby była zamodlona i oderwana już od ziemi. Matka zaś, widząc ją taką niezwykle uroczystą, pomyślała sobie:

— To rezygnacya męki...

I łzy polały się duże po twarzy.

— Mamusiu, nie płacz...

— A skąd wiész, że płaczę?...

— Bo widzę...

Matka gwałtownie nad nią się nachyliła.

— Rany Boskie! dziecko, nie żartuj!

— Nie żartuję... zostań tak jeszcze, abym się mogła napatrzéć.

Matka stała nawpół zgięta, nie mogła od niéj wzroku oderwać. A gdy się już zmęczyła, całowała ją chciwie po źrenicach, czole i ustach. Potém się wyprostowała, i chmura podejrzenia przemknęła po jéj skroniach. Przystąpiła do komódki i wzięła fotografię.

— Poznajesz, Broniu?...

— Antosia...

Odniosła fotografię i wróciła z drugą.

— A to?

— Ludzia. Kiedy, mamusiu, Ludzia mnie odwiedzi?

— Zaraz, kiedy chcesz, dziecino.

Matka rzuciła się na nią i znowu ściskała i płakała z radości.

— Wszystko będzie dobrze! Bogu dzięki, Bogu chwała!

Ale Bronia leżała jakoś martwo i nie cieszyła się.

— Czegoś zasępiona, ty duszo moja?

Milczała uporczywie.

— Może ci słabo? Może posłać po doktora?

Otworzyła usta niedbale, leniwie.

— Nie, mamusiu, tylko mnie to światło drażni, kłuje. Zdaje mi się, że wielka, burzliwa kaskada słonecznych blasków spada z wysoka i uderza z ogromnym rozmachem w moje źrenice. Nie mogę żaru powstrzymać... On spływa tak silną falą, że mi mąci do reszty zmysły.

Przysłoniłem w trzech czwartych częściach okno, skutkiem czego półmrok zapanował w pokoju.

— Michasiu, mój drogi, dziękuję.

Oglądała mnie, jak mogła wymęczonemi i uzdrowionemi oczami.

— Jakiś ty biédny, mizerny. Chodź, pocałuj mnie.

Zrazu sam czułem, że jéj się trudno oswoić z światłem, z dniem i wrażeniami. Popadła nawet w stan wielkiego rozdrażnienia i wizyonerstwa. O zmierzchu zaczęła na jawie majaczyć. Utrzymywała, że szafa ustawiona w narożniku pokoju jest czarną bryłą, zwisającą w powietrzu, która lada chwila na nią runie. Prosiła bardzo, żeby niebezpieczeństwo oddalić, bo chce jeszcze żyć. A gdyśmy ją zapewniali, że to przywidzenie, krzyczała gniewnie:

— Ratujcie, leci! Chcecie mnie zabić...

Następnie zdawało jéj się, że Chrystus z obrazu spływa ku niéj powietrzną falą.

— To On, On...

Zaczęła odmawiać „Ojcze nasz" i zasnęła. Sen miała niespokojny, zaludniony tłumem widziadeł. Mówiła głośno o czarnéj pani, potém wspominała o różnych koleżankach z kursów robót ręcznych. Z piersi jéj i czoła buchała gorączka. Nazajutrz była zupełnie osłabiona. Nie żądała niczego, nie przyjmowała nawet pokarmów. Dopiéro po kilku dniach prosiła, aby do połowy podniesiono zasłonę na oknie. Światło jéj nie raziło, owszem im więcéj go było, tém prędzéj się ożywiała. Chciała, abym jéj podsunął pod oczy książkę. Wziąłem „Margiera" Syrokomli. Otworzyłem na chybił trafił. Wytężyła źrenice i czytała:

„Bo w słowach macierzystych jest urok nie lada,
„Wróg zawsze nas rozbroi, gdy niemi zagada..."

Zrazu szło recytowanie trudno, powoli, prawie sylabizowała, w końcu jednak wymawiała wiersze gładko, chociaż słabym głosem.

— Już dosyć, Michasiu.

Natarczywie domagała się, abym mą dłoń na jéj ustach położył, i zaczęła ją chciwie całować.

To samo musiała uczynić matka. A gdy już wargi miała zmęczone, rzekła z niezwykłém rozradowaniem:

— Teraz jestem waszą, całą waszą...

Wszedł wuj Jan.

— Jakżeż dzisiaj, lepiéj, prawda?

— Mnie lepiéj, ale wujowi pot spływa...

Potarł machinalnie czoło i wgłębił się w jéj oczy. Nic nie powiedział, tylko odwrócił się twarzą do okna i milczał uporczywie. Potém podszedł do szafy i bębnił kilka sekund palcami w drzwi. Wreszcie założył poły surduta na skrzyżowanych w tyle dłoniach i przebiegał pokój. Gdy mu się niecierpliwe bieganie uprzykrzyło, przystanął nad łóżkiem. Wydobył z surduta papiérowy manekin, który nosił zawsze dla uspokojenia chorych dzieci, i pociągnął za sznurek. Pajac wystawiał język, wywracał oczami, podrzucał pod biodra kolana i rękami trzepotał w powietrzu. Wuj mruczał pod nosem:

„Jedź, rycerzu, po pacierzu w ojców kraj ..“

Bronia zaś dokończyła:

„A ty, wuju, mu na drogę plastra daj...“

I było śmiechu i radości bez miary. Matka, oszołomiona, chodziła do każdego z osobna i zapewniała:

— Żadne moce już mi jéj nie wydrą...

Każdy dzień istotnie przynosił choréj nowe brzaski: powolne, lecz stopniowe polepszenie. Zaczęła poruszać kończynami palców i prosić o rozcieranie ramion. Niebawem ujmowała krążek w dłoń i ściskała go silnie. Ciągle się téż dopraszała to mnie, to matki, abyśmy jéj pozwolili uszczypać się lub mocować na ręce. Naturalnie te biédne jéj, pożółkłe dłonie chwiały się jeszcze niepewne u sztywnych, nieruchomych ramion. Naprężała je ciągle w kierunku pionowym i przebierała z widocznem zadowoleniem w powietrzu palcami. Władza jednak wracała i do ramion. Kiedy pierwszy raz po długim czasie mogła je podnieść w górę, przygarnęła matkę do piersi i nie chciała jéj puścić:

— Moja droga, moja jedyna mamusiu!...

Potém przyszła koléj na mnie. Teraz dopiéro przypomniała sobie, że byłem zagranicą.

— Więc przyjechałeś dla mnie?...

I uścisnęła mnie jeszcze goręcéj. Następnie przeniosła spojrzenie na matkę i oczami wabiła ją ku sobie...

— Uratowałaś te oczy i ramiona, weź je sobie...

Powtarzało się to kilka razy na dzień, zawsze wśród nowych wybuchów płaczu, radości, wykrzyków wdzięczności.

Pewnego dnia rzekła:

— Odleżałam się już cała. Posadźcie mnie na krześle.

Ułożyliśmy ją na zasłanym chustami fotelu. Nogi miała zupełnie martwe, bez życia. Żądała, aby je przysłonięto, gdyż się wstydziła kalectwa. Codziennie zjawiali się znajomi z zapytaniem o zdrowie. Domagała się, aby każdego dopuszczano.

— To mojéj mamusi i temu tam braciszkowi zawdzięczam — zapewniała gości, wskazując na mnie palcem.

Wpadła i Ludka. Opowiadała jednym tchem. Słowa toczyły się wartko, porywczo, namiętnie. Właściwie tak dalece nic nowego nie zaszło. Na kurs haftu zapisało się trzydzieści uczennic. Sroczyńska wyszła za mąż, Narko zaręczyła się, a Joasia Pawiak wstąpiła na scenę. Gra teraz w nowéj sztuce francuskiéj małą rólkę, lecz nie podoba się. Ludka wié na pewno, że dyrektor teatru nazwał ją „krowięta" i nie wiele sobie po niéj obiecuje. Po co jéj się było brać do nieswoich rzeczy! W saméj klasie nic szczególnego. Pani Maryańska zamęcza uczennice. Tak ją już znienawidzono, że pozłoszczone panienki podają sobie za plecami kamerton, wydobywają z niego ton i rozdrażniają ją do ostateczności. Zdenerwowana, lata po klasie, chcąc odszukać kamerton, lecz głos to tu, to tam się rozlega. Kiedyś oświadczyła, że w razie powtórzenia się podobnie „piszczącéj" sceny, lekcye zawiesi. Zresztą nic a nic...

Zaledwie Ludka odeszła, rwała się Bronia do ogrodu. Tłómaczyliśmy jéj, że się może przeziębić, że po kilku dniach deszczu wilgoć została w powietrzu i w ziemi, lecz ona odparła z kaprysem:

— Muszę się dostać pod niebo, bo mi tu duszno.

Ponieśliśmy ją na krześle, owiniętą w pledy i chusty. Oddychała przyśpieszoném tempem. Oczy jéj jaśniały i biegały niespokojnie po drzewach i niekształtnych krzakach bzu. Przystanęliśmy pod altanką. Rozejrzała się nieśmiało, niepewnie wokoło.

— Jesteście tu wszyscy, moi?

— Przecież widzisz, Broniu...—odrzekła matka.

— Tak, ale brak...

— Kogo? dziecko...

— No, wiecie dobrze...

— Ojca?...

— Taak...

— Niema go w domu. Może wróci niedługo.

— Mamusiu, ja pragnę, abyśmy tu wszyscy byli.

Matka spojrzała na mnie znacząco. Oddaliłem się w stronę domu i po chwili sprowadziłem ojca. Zbliżając się do altanki, argumentował:

— Trudno, abym jak kura na jajach siedział w pokoju. Gdyby nie ja, coby było. Strach, co się dzieje na tym świecie! Dzień dobry!... Toś mi się spisała, Broniu! Ja zaraz mówiłem, że niema gwałtu. Hetka pętelka...

Zaczął następnie opowiadać o próbach sprzedania pomysłu eksploatacyi „Burkuta".

— Rzecz prosta, u nas trudniéj o kupca na leżącą odłogiem żyłę złota, niż na zbytki, wyjazdy i Bóg wié jakie nonsensy. Niemcy wyciągają z Galicyi rok rocznie tysiące, a Galicya kłania im się uniżenie i prosi: weźcie panowie... Każdy pomysł w takich warunkach zmarniéć musi, bo niema odpowiedniego gruntu społecznego. Chodziłem od Kaifasza do Annasza, lecz obaj twierdzili: to żaden interes. I wiecie, co zrobiłem?

— Co takiego?—zapytałem ciekawie.

— Udałem się do księży Dominikanów. Właśnie na wizytacyę zjechał ojciec generał. Figura wysoka, jak pół kamienicy krakowskiéj, a gruba! rany Boskie, tak grubéj nie widziałem. Stał właśnie z braciszkami i ojcami na korytarzu. Objaśniłem mu, że chodzi o używanie wody przez zakon i korporacye, a to dla celów reklamy. Zamyślił się chwilę i rzekł do obecnych po łacinie (ja to zrozumiałem): ma tam który z braci brewiarz? Żaden się nie odezwał, tylko wokół powstał szmer duży, bo każdy wziął się do szukania... W końcu się okazało, że brewiarze są, ale w celkach. Ma tam który z braci korkociąg?—zapytał ponownie ojciec generał. I powiadam wam zerwała się ich cała ćma i każdy niósł korkociąg to osobny, to u scyzoryka. Mamy! mamy! — wołali ze wszystkich stron. Ojciec-generał odkorkował tedy butelczynę „Burkuta", wychylił trochę płynu, mlasnął wargami i rzekł: specyał... Niech pan będzie spokojny, ojcowie zaopatrzą się w tę wyborną wodę...

Śmialiśmy się i żartowali z opowieści ojca, a Bronia dostrzegłszy, że stoi, wskazała mu ławkę.

— Niech tata usiądzie, proszę bardzo.

Rozglądnęła się raz, drugi, zgarnęła włosy i westchnęła:

— Jak mi dobrze! jak mi dobrze!

Ujęła dłoń matki i pokryła ją własnemi dłońmi.

— Wiecie, co to odzyskać wszystkich, gdy się wszystkich traci? Gdym dogorywała i światło straciła, codziennie żegnałam się z wami w duszy. Snuły mi się wówczas ustawicznie utrapione myśli: co się stanie z mamą, co z Michasiem? Jak długo wy żyć będziecie, co was czeka w przyszłości... czy słońce szczęścia zaświeci wam? Boże!... takie odgadywanie, takie wgłębianie się w daleką przyszłość — to jak

przesuwanie się po brzegach przepaści, ogromnéj przepaści. Ja w nią wpadałam tysiąc razy. Teraz zostaniemy razem... na zawsze.

Uwiłem bukiecik róż i złożyłem go na jéj kolanach.

— Jak tu szeroko, jak wietrzno!

Zastanowiła się chwilę i rzekła do matki:

— Gdyby tak jechać w góry, na wieś!... Pragnę dużéj przestrzeni, wielkiego nieba...

Matka odrzekła zakłopotana:

— Pożądasz, dziecko, niemożliwości. To na rok przyszły... Teraz wuj nie pozwoli.

— Pozwoli, pozwoli, zobaczysz mamusiu...

— Zobaczysz, że nie...

Mrok spadał na ziemię i rzucał cień na drzewa. Liście ich szumiały, drżały... Ponieśliśmy ją na krześle znowu do pokoju. Wskazała na oleandry przy oknie. Jeden z nich już usechł prawie, na pniaczku zaś drugiego rozwijały się nowe pręty i puszczały się młode listki.

— To symbol twéj przyszłości—zauważyłem.

— Tak, masz słuszność, mój kochany...

* * *

Bawiliśmy od tygodnia na wsi. Łąki były białém gniazdkiem, zawieszoném na zielonych wyżniach górskich. Niebo nad wierzchami, smutek przysiołka na ziemi, a z boku bezmiar falujących wyniosłości karpackich. Nad niemi królowały na horyzoncie Tatry, jakby gęsta mgła, płynąca w dalekie światy. Wszerz i wzdłuż dużo powietrza, zieleni i majestatycznéj ciszy gór. Do Łąk sprowadziła nas pani Amalia Łucka, serdeczna przyjaciółka naszego domu. Dowiedziawszy się, że szukamy na kilka tygodni letniego mieszkania, sama przyjechała i zaczęła nalegać:

— A jakie mamy tam rozkosze! Powietrze to zefir... Wokoło raj przyrody i spokój cmentarzy... Jest tam Felcia Tarszo i Władek Kulisz, a goście zapowiadają się codziennie. Broni będzie wesoło do syta. Dworek bieluchny na szczycie góry, prawdziwa cacanka, pudełeczko. Miejsca, ile chcecie.

Upłynęło jeszcze kilka dni na sprawianiu różnych drobiazgów. Ciężko było z tą drogą... Musieliśmy Bronię wynosić z poczekalni kolejowéj do wagonu wśród tłumu gapiących się osób. Zakrytą była po szyję chustami, a na głowie miała lekki słomiany kapelusz. Domykała wstydliwie powieki i szeptała nerwowo:

— Jak oni mnie oglądają!... kalectwo, nędzne kalectwo...

To samo powtórzyło się, gdyśmy ją z wagonu kolejowego przenosili do przygotowanego powozu. Oglądała się trwożliwie naokół i przypatrywała górom i rozrzuconym u ich stóp łąkom.

— Nowy świat... Tu chyba lepiéj umiérać, niż gdzieindziéj...

Obruszyła się na nią matka i strofowała za niepotrzebne myśli żałobne, lecz ona matkę objęła ramionami i przycisnęła do siebie:

— Tak mi dobrze jechać z wami.

Konie pięły się pobrużdżoną, pokręconą drożyną coraz wyżéj, coraz wyżéj. Z jednéj i drugiéj jéj strony roztaczały się ścierniem już i gęstemi ostwami pokryte pola, na które ponabijano kopice zżętego zboża. Tu i owdzie ciemno-szafirowe piargi karpackie, porozrzucane w nieładzie, staczały się ku drożynie. Chora się otrząsała co chwila i dotkliwie męczyła. Nareszcie stanęliśmy przed wrotami bieluchnego, bardzo skromnego dworku. Wybiegła pani Łucka, Felcia Tarszo i Władek Kulisz. Krzyknęli prawie równocześnie:

— Witajcie nam, witajcie...

Za niemi wypadła z izby Mitka, córka pani Amalii, przepasana fartuchem, z widelcem w ręce. Rzuciła się na Bronię gwałtownie, porywczo, objęła ją całą i całowała to po czole, to po oczach, to po ustach.

A kiedy ją już puściła, odskoczyła machinalnie nieco na bok i łzy jéj zalśniły na rzęsach. Obtarła je szybko dłonią i chichotała ogromnie szczebiotliwie:

— To cię mamy, ty, ty, udawaczko...

— Udawaczka, udawaczka! — powtórzyli wszyscy hałaśliwie i nagle zamilkli. Patrzyli na nią niemi, smutni i jakby przerażeni.

— Czego wy mnie tak badacie?—zapytała cicho.

— Nic!... nic!... ot, bośmy się dość dawno nie widzieli.

Ale rozmowa nie szła już jakoś.

Izdebki nasze zastaliśmy w największym ładzie. Pani Amalia nie zapomniała o niczém. Były doniczki na malutkich, owitych gałązkami winogradu dzikiego okienkach; były filigraniki na stolikach i książki na półeczkach. Ze szklanek wychylały się pstrokate bukieciki polnego kwiecia. Łóżko nawet zaścielone, śnieżne, czekało na Bronię. Zoczywszy ten szczegół, potrząsnęła główką:

— O nie, będę tam z nimi...

Pędziliśmy żywot prawdziwie patryarchalny. Początkowo siadywała Bronia tylko na werendzie, z któréj roztaczał się widok na rozpiętrzoną wokół panoramę.

Przy niéj skupialiśmy się wszyscy i gawędzili o różnych życiowych powszedniościach. Najweselszą była stale Mitka,—najsmutniejszą Felcia Tarszo. Nosiła ona właśnie ciężką żałobę po śmierci brata, którego niedawno pochowała. Jéj blado-różowa twarz, o jasnych lnianych włosach i niezmiernie dobrém spojrzeniu, była ogromnie poważną i bardzo przygnębioną. Czasem wymknął jéj się uśmiéch z kątów ust i znikał prędko. Zazwyczaj brała rolę do ręki, przygotowując się do nowéj kampanii teatralnéj, lub książkę o sztuce. Tak zaczytana i pogrążona w sobie, nie brała najczęściéj udziału w pogawędkach. Za to Kulisz urządzał co chwila inne „szopki”. Raz udawał trupa, obwiązawszy sobie jak wisielec ręcznik naokoło szyi, drugi raz siadał znowuż na butelce i wywracał się na boki. Najczęściéj jednak naśladował wyżła, a że był niezmiernie suchym i kościstym i głowę miał istotnie do psiéj podobną, więc produkował się z powodzeniem. Bronia weseliła się, cieszyła i ciągle dopraszała:

— Jeszcze raz, panie Władysławie...

Pan Władysław sięgał zatém po butelkę, ręcznik, lub inny drobiazg i zaczynał nanowo popis.

Pewnego dnia postanowiła pani Łucka urządzić wycieczkę na szczyt pobliskiéj góry. W perspektywie zdawało się, że góra jest tuż pod samym dworkiem, w istocie trzeba się było na nią piąć przeszło pół godziny. Pani Łucka z początku wahała się i bała, bo sama była bardzo nerwową i zupełnie osłabioną, w końcu jednak zdecydowała:

— Muszę spróbować dalszego spaceru... Nie możemy tu siedziéć jak w areszcie.

— I mnie paniusia zabierze z sobą!...—dodała Bronia.

Matka wraz ze mną odezwała się równocześnie:

— Teraz niepodobna, zostaniemy z tobą, potém może...

— Wiem, że jestem kaleką i o własnéj mocy ruszać się nie mogę, ale choć do stóp góry powieźcie mnie na wózku.

Pani Łucka wytłómaczyła matce, że niema powodu upiérać się, więc matka zgodziła się. Około czwartéj popołudniu wyruszyliśmy z domu. Mitka prowadziła pod ramię Felę. Kulisz popychał wózek Broni, za nimi szła matka z panią Łucką, a wreszcie Jagusia. Kiedyśmy znaleźli się u stóp góry, oświadczyła pani Łucka:

— Chyba się nie rozdzielimy. Jeżeli już daléj nie można, zostaniemy z Bronią.

Lecz Bronia prosiła:

— Tam pod górą, gdzie krzyż stoi, ścieżyna dobra; powieźcie mnie wyżéj...

Ruszyliśmy zatém ponownie. Zatrzymaliśmy się dopiéro pod krzyżem, ustawionym na pamiątkę mordu tu popełnionego w r. 1846, jak wskazywał napis na blaszanéj tabliczce. Miejscowy proboszcz schronił się w te strony przed cepami rozjuszonego chłopstwa i padł ofiarą zgrai, chociaż się zasłaniał monstrancyą. Naokół, rozległy był widnokrąg i ogromne góry. Tuż, tuż siniały wyraźnie nakreślone kontury Tatr, poszarpane, groźne. Małe i większe wierzchy pod nami i nad nami falowały, ścigały się wzajemnie. Wszystkie kolory tęczy spoczęły na nich i mieniły się w blaskach łagodnego słońca. Najniżéj leżały Łąki, podobne do stada bieluchnych gołębi, które wtuliły główki pod skrzydła i zasnęły. Cisza wielka wisiała w przestworzu i płynęła po powietrzu. Szumiały tuż na pobliskich stokach bory, bo wietrzyk słaby padał na ich czuby, — ale szum w tym bezmiarze był szmerem skrzydeł majowego chrabąszcza. I my byliśmy martwi i niemi na chwilę, jak ta otaczająca nas przyroda.

Milczenie przerwała Bronia wykrzykiem:

— Boże! Boże! jak mi tu dobrze i strasznie zarazem:

Zakryła twarz dłońmi i znowu ją odsłoniła, a wraz z nią załzawione oczy.

— Broniu, co tobie?—zapytała z przerażeniem matka.

Zebraliśmy się koło jéj wózka.

— Ależ nic, zupełnie nic, chwilowe wrażenie...

Kulisz odciągnął na bok panią Łucką i szepnął jéj do ucha:

— Widziała pani, jakie ma oczy dzikie, chmurne... Twarz się téż zmieniła...

Pani Łucka, idąc za głosem swéj artystycznéj i wrażliwéj natury, odpowiedziała z otuchą:

— Pewnie oddziałała na nią ta wspaniała panorama:

Wszyscy téż uspokoili się i usiedli na ziemi, dla spoczynku.

Władkowi Kuliszowi ciągle jeszcze przypominała się gra w domino z Gorylskim, więc rzekł z poetycznym patosem:

— Gdyby te wszystkie prześliczne pola były dominami, mógłby Dziunio usiąść u stóp przeciwległego stoku górskiego i popróbować szczęścia...

Felę oburzyło do żywego, że Kulisz profanuje cudowną przyrodę. Zarumieniła się z podniecenia i pogroziła mu palcem.

— Pan taki zwykły cynik i marny filister.

Potém wyciągnęła przed siebie dłonie i oczy wzniosła do nieba.

— Jakżeż rozwichrzone te obłoki!... Płyną rozdartą, błękitną falą za tatrzański horyzont. Popatrzcie się!... Na skraju, na lewo

od nas, utworzył się wspaniały sarkofag... Gdzieś widziałam zupełnie podobny...

Zaczęła myśléć i trzéć czoło.

— Istotnie, Felu—odezwała się pani Łucka — tak wygląda pomnik Kazimierza Wielkiego lub Jagiellończyka na Wawelu.

Fela się rozradowała i klasnęła w dłonie.

— Prawda! prawda! Jak majestatycznie przesuwa się po błękicie... Rozpoznać można szczegóły. Jest korona królewska, i berło, i długie szaty... U nóg duży uśpiony orzeł...

Obłok mknął, rozlewał się, tracił kształty i znikł, utonął w ogromnym, jasnym szlaku, zawieszonym nad naszemi głowami...

Bronia patrzyła z niemym zachwytem na zjawisko, a kiedy ono przemknęło jak senne marzenie, pochyliła smutnie głowę na piersi.

Matka ujęła ją za dłoń i zapytała:

— Dlaczego nie cieszysz się z nami? Dlaczego nic nie mówisz?...

Musiały nią wstrząsnąć straszne burze i niepokoje, bo z jéj oczu szedł żar namiętności i rozpaczy zarazem. Dźwignęła się trochę na wózku, przechyliła biédną, zmizerowaną głowę i wychudłe ręce oparła na kolanach.

— Dlaczego się nie cieszę?... Chwilami zdaje mi się, żem wróciła do was po to, aby wkrótce odejść... Uciekłam z innego prawie świata, ale boję się, że mnie odwołają... Czarny anioł nie odstępuje mnie ani na sekundę... Wyście widzieli na niebie majestat króla, a ja z tych samych obłoków wytworzyłam sobie inną zupełnie postać... Ta myśl przytłacza mnie, zabija, dogryza... Odbierzcie mi tę myśl, tę grobową myśl...

Sposępnieliśmy, osłupieli, a Mitka i Fela odeszły na bok, aby stłumić płacz. Moja matka zaś złożyła ręce, jak do modlitwy, i prosiła:

— Przestań Broniu, przestań kochana...

— Ależ ja mateczko tak mówię, bo was nad życie lubię. Jak się cieszyłam słońcem po odzyskaniu wzroku, tak się cieszę wami, drogimi... odnalazłam moje skarby, choć droga do ich odszukania była mroczną i pełną cierpień. Tak mi z wami dobrze, serdecznie... Ile razy widzę przyrodę, lęk mój potęguje się bezmiernie... Piękno tych pól, lasów i przysiołków wzmaga we mnie przywiązanie do życia, a przejścia niedawne studzą cały zapał i wpuszczają robaka zwątpienia do każdéj myśli... Ale to przejdzie zaraz...

— Przecież, dzięki Bogu, zdrową jesteś Broniu—rzekła pani Łucka.—Nie myśl o przeszłości.

A matka dodała:

— I nie zabijaj mnie i siebie niepotrzebnemi wspomnieniami. Gdyby się chciało pamiętać o tém, co było, odechciałoby się wierzyć w to, co będzie...

— Już wiem co będzie, mamusiu... W najlepszym razie te nogi skostniałe nie odzyskają władzy... Muszę ciągnąć kalectwo, jak cień własny za sobą...

Mitka i Fela przypadły do Broni i tuliły się do niéj, jak dwie młode łasiczki.

— Nie wyrządzaj nam przykrości... nie smuć nas...

Ona objęła je drżącemi ramionami i dziwnie uroczyście powiedziała:

— Przed wami wszystko otworem... Możecie zdobywać sobie wiedzę, działać i rzucać się na bystry prąd życia... Ja siły straciłam, zanim zaczęłam się piąć pod stromą górę doczesnéj rzeczywistości... Nic więcéj nie mogę zyskać, prócz własnéj niemocy. Wiem, że są ideały, o których tylko śnić mi będzie wolno... Przemkną koło mnie, jak fantastyczne widziadła, i uciekną... Niewolnicą zostanę mego kalectwa i nędzy... Ot, na te góry, na to niebo patrzę z wózka, a gdy chcę, jak wy, przebiedz te zielone stoki, nie potrafię... I dlaczego?... Wiecznie być i zostać rośliną usychającą w cieplarni życia...

Opanował ją spazmatyczny, gwałtowny dreszcz nerwowy. Twarz miała siną, oczy błędne. Matka dała znak Jagusi. Wózek posunął się zwolna ku dołowi, a my za nim, jak zgnębiony orszak żałobny Bronia siedziała martwo, obojętnie, tylko palcami poruszała z błyskawiczną szybkością. Zanim wjechaliśmy do dworku, obróciła się za siebie i ogarnęła wzrokiem widnokrąg. W izdebce prosiła, aby jéj łóżko zasłano. Ułożyliśmy ją na pościeli, a ja wraz z matką pozostałem na straży. Pociła się, bladła, rumieniła naprzemian i od czasu do czasu tak zaciskała zęby, że zgrzytała. Palce wpijała silnie w kołdrę, aż ją w liczne pobruździła fałdy. Powieki zasunęła na źrenice i rozchylonemi ustami wyrzucała niezrozumiałe półszepty. W nocy wystąpiła gorączka i dreszcze. Majaczyła dużo o czarnym aniele i znowu o Chrystusie stąpającym po falach. Wczesnym rankiem zbudziła się, niezupełnie przytomna. Kiedy jéj pani Łucka podawała mléko, krzyknęła, że nie chce trucizny. Położyłem jéj zimny kompres na czole i nie pozwoliłem nikomu zbliżać się do łóżka. Spokój oddziałał na nią widocznie dobroczynnie, bo po pewnym czasie sama zażądała wody.

— Dam ci mléka trochę, Broniu.

Gdym jéj podawał szklankę, nie podniosła rąk.

— Masz Broniu, napij się...

— Nie mogę ruszyć dłońmi...

W téj chwili szklanka mi upadła na ziemię i rozprysnęła się w drobne kawałki. Równocześnie matka strasznie krzyknęła i runęła na podłogę. Pani Łucka wraz z Kuliszem i Felą wynieśli ją do sąsiedniego pokoju. Ja zaś stałem przytomnie nad chorą i troskliwie badałem:

— Jakto nie możesz podnieść rąk?...

Ona nic nie odpowiedziała, tylko ruszała nieznacznie samemi dłońmi, jakby chciała pokazać, że one zachowały resztki życia. Szło jéj to widocznie opornie — bo aż wargi zaciskała z żalu. Wyraz twarzy miała tak samo przekrzywiony i apatyczny, jak w czasie pierwszego, najgorszego okresu choroby. Zadepeszowałem natychmiast do wuja. Przyjechał nazajutrz w południe. Zbadał puls, przyłożył stetoskop do serca, a potém, zwyczajem swoim, chodził po pokoju, zarzuciwszy poły surduta na skrzyżowane w tyle ręce.

— Cóż? drogi wuju...

— Nic...

Nie chciał więcéj mówić.

Zbliżyłem się do niego po chwili.

— Kiedy wuj zamierza jechać, bo muszę się wystarać o konie...

— Daj mi święty spokój z końmi, zostanę tu...

Dzień płynął po dniu wśród cmentarnéj ciszy. Przy matce czuwała Fela z Micią, przy Broni ja z panią Łucką i wujem. Chora popadała ustawicznie w senność. Była zupełnie bierną, obojętną. Nie żądała niczego, nie dopytywała się o nikogo, pokarmów nie chciała wcale przyjmować. Musiałem łyżkę bulionu wciskać jéj przemocą przez zęby; ale i to się nie na wiele przydawało, bo nie połykała płynu. Więdła, ginęła z każdą chwilą. Twarz miała bledszą od płótna i męczeństwem namaszczoną. Ile razy skrzypnęły drzwi i w pokoju zjawiła się łysa głowa wuja, wołała konwulsyjnie:

— Nie chcę... nie puścić...

I dopiéro przekonawszy się, że to wuj, milkła znowu i martwo patrzała w pułap.

Po dziesięciu dniach, od czasu położenia się do łóżka, domagała się spowiedzi. Przyszedł ksiądz z Panem Bogiem i dysponował ją na ostatnią drogę. Po odejściu kapłana była bardzo pogodna, prawie uśmiechnięta. Anielska dobroć i cierpliwość wychylały się z jéj zamglonych nieco źrenic.

— Matki, na chwilę matki...—szepnęła.

Wprowadziłem osłabioną, ledwie trzymającą się na nogach matkę.

— Daj usta, mamo...—mówiła drżącym głosem.

Całowała ją lekko, ledwie swoje wargi do warg matki przykładając.

— Teraz ręce...

A kiedy i ręce jéj zasypała pocałunkami, prosiła cicho:

— Jeszcze włosy...

Musnęła zaledwie włosy i donośniejszym, już stanowczym tonem rzekła:

— Wyprowadź teraz mamę, Michasiu.

Wuj Jan trzymał chorą za puls i zwrócił się do mnie:

— Zaraz będzie koniec... Życie gwałtem ucieka...

W téj chwili rozległ się głos dzwonka z wieżyczki pobliskiego modrzewiowego kościołka. Ton płynął równo, miarowo po fali czystego powietrza nad przestworzem gór, nad cichém, w blaskach południowego słońca skąpaném siołem. Nadsłuchiwała, łowiła resztkami konającéj przytomności te ostatnie z ziemi tony. Zwróciła jeszcze raz wskos oczy i ujrzała rysujące się na tle okna kontury nieba i zielonych stoków. Anielskość i słodycz promieniały z jéj twarzy.

— Podnieś mi, Michasiu, głowę i daj kroplę wody.

Zwilżyłem jéj wargi.

— Dziękuję... Bóg z tobą...

I przegięła się jéj głowa w tył na mojém ramieniu i zrazu oblała ją mgła żółcizny, która stopniowo jednak zamieniała się w marmurową białość. Piersi już nie podnosiła, chociaż miała szeroko rozwarte oczy.

— Ona nie cierpi więcéj i nic nie czuje — rzekł grobowym głosem wuj.

Porwałem butelkę wina i chciałem niém potrzéć skronie Broni. Wuj mnie ujął silnie za ramię.

— Nie pozwolę, dość się męczyła...

Pochyliłem się nad łóżkiem.

Leżała sztywna, kamienna, taka bieluchna i spokojna, jak kararyjski posąg. Źrenice tylko miała odsłonięte i przechylone ku skroniom.

— Dlaczego, wuju, powiek nie domyka?...

Wuj zamknął jéj powieki, a ja dopiéro wtenczas zrozumiałem, że stoję obok majestatu śmierci.

Nie przypominam sobie doprawdy, co się działo przez trzy dni następne. To tylko wiem, że ją zawleczono do trumny, któréj wieko

sam zamknąłem. Potém szliśmy przez boczną drożynę wiejską i mały mostek, rzucony ponad rzeczką, opasującą cmentarz. Włożyli ją do mogiły, wykopanéj między grobami wieśniaczemi, na wieczne odpoczywanie. Pozostała przy niéj płaczka brzoza i kilkanaście nieśmiertelników.

W najbliższą wiosnę po pogrzebie zasadziłem na grobie przywiezioną z domu odrodzoną gałąź oleandru.

Gdym w lecie przyjechał pomodlić się na cmentarzu, pozostała z niéj tylko sucha, pomarszczona tyczka.

Włodzimierz Koszyc.

FRANCISZEK PALACKI

I JEGO ZNACZENIE

DLA ODRODZENIA CZECH [1]).

Swoji k svému, a vždy dle pravdy!
Hasło Palackiego.

I.

Czechy są obecnie najdaléj na zachód wysuniętą twierdzą Słowiańszczyzny, ale w pierwotném jéj osiedleniu stanowiły one tylko jedno ogniwo w potężnym łańcuchu ognisk, w których miało się rozniecić życie narodowe Słowian zachodnich. Niestety, plemiona sło-

---

[1]) Niniejsza rozprawa oparta jest na następujących pracach: T. G. Masaryk, „*Česká Otázka*", 1895; Kalousek, „*Nástiń životopisu Frant. Palackého*", 1876; Jar. Goll, „*František Palacký*" („*Česky Časopīs hist.*", 1898, str. 211 — 279; tenże, „*Palackého program historicky prace*" (tamże); Zd. Tobolka, „*Frant. Palacký jako politik a historik*", 1898 (nakład „*Studentského Sborniku*"); Rezniček, „*Welký Čech*", 1898. Nadto liczne artykuły w czasopismach naukowych („*Časopis Matice Moravske*" — o stosunku Palackiego do Kanta; Hlidka Pospišil, „*Hlavni principy krasověly Fr. Palackého*", Krok) i literackich („*Zlatá Praha*" — numer uroczysty, Rozhledy) i dawniejsze broszury Edw. Jelinka. Z wielkiéj jubileuszowéj publikacyi: „*Pamatnik na oslavu stých narozenin Fr. Palackého*", pod red. d-ra V. Nowaczka, zawierającéj 44 prace. Korzystam tylko pośrednio przez Golla.

wiańskie, osiedlone w Karyntyi, Styryi, Austryi i w całych północnych Niemczech aż po Sołę i Łabę, nie dożyły tej szczęśliwéj chwili, w któréj miały się poczuć narodami. W południowych sąsiadów Czech nie tchnęło tego życiodajnego poczucia narodowego chrześciaństwo, które oni dobrowolnie i bardzo wcześnie przyjęli—pożarła ich i strawiła Germania; północnym niosła krzyż ona sama, to już wystarczało, aby o tych plemionach wypowiedziéć żałobne słowa: „*vixerunt*". Niedarmo bowiem miecz teutoński ma postać krzyża, — niedarmo też najwstrętniejszy typ Niemca zowiemy Krzyżakiem.

Niemcy chrzcili zachodnie plemiona słowiańskie we krwi ich własnéj, a taki chrzest prowadził je do zguby. Resztki niewymordowane w tyle sławionych „wyprawach misyjnych" uległy germanizacyi.

Nader korzystne położenie geograficzne ratowało Czechów. Nieprzebyte lasy dziewicze, szumiące na stokach górskiego wału i łatwo obronnemi wąwozami przerwanego od północy i zachodu, broniły zawiązków ich bytu narodowego. Wprawdzie niebawem napady cesarzy „świętego państwa rzymskiego" odebrały im niezależność polityczną, ale daleko groźniejszy był dla Czechów najazd pługa niemieckiego. Kramarz i kolonista z nad Renu już to masami, już niepostrzeżenie wdzierając się nad Wełtawę, zagrażali wytępieniem młodéj kulturze słowiańskiéj, niższéj pod względem materyalnym, a może i słabszéj pod względem duchowym.

Słowiańskość w mgłę się poczęła rozwiewać—niemczał tron, wynaradawiała się szlachta, lud tracił siły żywotne i popęd do rozwoju. Wedle niektórych dziejopisarzy, w początkach XV wieku można powiedziéć bez przesady, że narodowość czeska miała się ku zgonowi, ale szczęśliwym, niemal cudownym trafem siła życiowa jeszcze nie zastygła w ludzie czeskim. Syn chłopa, uczony i świątobliwy Jan Hus (t. zn. po polsku Gęś) stał się uzdrowicielem swego narodu. Husytyzm miał dać patryotyzmowi czeskiemu jakąś moc cudowną, że naród mógł długie czasy wytrzymać szalone szturmy morza germańskiego. Te momenty, które powszechnie uważa się za ujemne strony husytyzmu, mianowicie: silny podkład socyalnéj walki i odszczepieństwo religijne, miały być właśnie najsilniejszemi i najskuteczniejszemi dźwigniami wspaniałego ruchu narodowego.

Gdy zaznaczono silnie sprzeczność interesów bogatéj zniemczonéj szlachty i niemieckiego mieszczaństwa z interesami włościan czeskich, gdy nadto postawiono, jako postulat, wyższe i czystsze ideały etyczne, niż się praktykowały wówczas w Europie, gdy więc tych Niemców bogatych lud począł uważać za grzeszników, za nieprzyjaciół Boga i prawdziwego chrystyanizmu, témbardziéj gromkim i zjednoczonym

głosem krzyknął: „*smrt Niemcům!*” i, pokonawszy w dziesiątkach walk niemieckie wojska znowu „krzyżowemi” się zwące, stwierdził, że Czechy są i nadal będą krajem słowiańskim. W tych tryumfach wojennych odzyskał sobie lud czeski szlachtę i mieszczaństwo.

Tak więc ani cesarze, ani naród niemiecki złamać Czechów i wynarodowić nie potrafili; wyruszyła z kolei trzecia potęga do walki: niemiecki system państwowy. Korzystając z każdego separastycznego porywu krajów korony św. Wacława, odebrali im panujący wszelkie przywileje. Zwłaszcza straszliwy, zdawało się, śmiertelny cios zadała narodowości czeskiéj klęska na Białéj Górze.

Odjęcie autonomii politycznéj i swobody religijnéj wyssalo żywotne soki bytu narodowego. Ziemie czeskie—traktowane jak kraje zdobyte — zostały porzucone, niby ścierwo bez życia, na łup sępa biurokracyi niemieckiéj.

Nie tu jest miejsce dla pisania dziejów blisko 200-letniego ucisku narodowości czeskiéj, dość wspomnieć, że przeprowadzona w ostatnich swych konsekwencyach kontrreformacya katolicka najsilniejszym była przeciw niéj środkiem. Znakomity historyk czeski, Tomek, powiada, że Jezuici złożyli do grobu czeskiego ducha narodowego. Wydzierali oni z rąk ludu książki husyckie i protestanckie, które on całém sercem ukochał nie tyle z przekonania, ile raczéj instyktownie, z tradycyi. Zaciekli ci misyonarze niemieccy iście po krzyżacku nieśli na stos każdą książkę czeską, wygrzebaną z pośród słomy w stodole, lub z piwnicy, bo i tam ukrywane książki ich rysiemu wzrokowi nie uszły; wydzierali ludowi czeskiemu własną kulturę, wzamian nie dając nic, nic prócz niemieckiéj książki do modlenia. Sam Palacki pisze o tém w „*Swatoborze*” (r. 1864 — 65): „W ostatnich dwóch stuleciach żyliśmy tylko cieleśnie, duch w nas był utajony: jeżeli się zaś objawiał — to zawsze w cudzéj szacie. Świat też zapomniał o nas, jakby nas wcale nie było; a kiedy się teraz zgłaszamy do bytu, dziwią się nam i wydaje się wielu ludziom, jakobyśmy poczynali sobie wbrew prawu i słuszności.”

Straszne to były czasy, nie było walki, bo naród nie mógł się nawet bronić, niemczyzna, niby rdza, pokrywała całe kraje czeskie, wszystkie warstwy społeczne i w przeciągu półtora wieku wygryzła z oblicza tego narodu prawie wszystkie znamiona słowiańskości. Naród nie żył! Arystokracya, najbardziéj na pokusy wynarodowienia wystawiona, najwcześniéj im uległa, — szlachta i mieszczaństwo poszły za nią, inteligencya czeska nie istniała, tylko u podstaw narodu czeskiego ocalały zdrowe części, nieskażone germanizacyą, tylko w głębi pod popiołami tlało życie narodowe. Tylko z ludu i w ludzie można było wskrzesić naród, podjęli się tego synowie tegoż ludu i dokonali! Do-

konali dzieła prawie niedającego się pomyśléć, wskrzesili nie człowieka, ale cały naród!

Lud czeski po raz drugi zdobył sobie prawo nazywania się narodem, po raz drugi odniemczył skłonne do upadku wyższe stany, niestety tylko częściowo, a to nam tłómaczy, że fizyognomia społeczna Pragi i całéj Czechii jest nawskroś demokratyczna, że tam tacy Harrachowie lub Szwarcenbergi, o ile się za Czechów uważają, nie mogą na sobie tego przemódz, aby *coram publico* mieli odróżniać się od fabrykanta lub inteligenta i innych, ekonomicznie niżéj stojących. Niema tam murów, ani baryer międzyklasowych.

Jednym z tych synów ludu i to największym był Palacki, „ojciec ojczyzny".

Aby tém wypukléj zarysowała się przed naszemi oczyma wyniosła postać wielkiego Czecha, musimy uprzytomnić sobie stan Czechii na początku naszego stulecia i zapoznać się z głównemi zasadami, na których opiérało się odrodzenie czeskie.

II.

Dzieje jego — to droga ciernista, zwłaszcza pierwszych lat 40-tu, t. j. od r. 1790 — 1830, są okresem, w którym z wysiłkiem starano się utrzymać na rozstajnych drogach; ani mowy o jakichś szybszych postępach w kierunku narodowym; na różnych punktach obawiano się cofnięcia napowrót na łono Germanii. Nie było języka literackiego, nie było literatury, nie było miłości do spraw narodowych — wszystko to trzeba było stworzyć, a właśnie w tym okresie czasu niewielka tylko garstka młodych ludzi dobréj woli, pełnych ideału i poświęcenia, podejmowała to zmudne dzieło, choć zniechęcenie i zwątpienie częstemi były u nich gośćmi. Wszak Dobrowski, pierwszy Czech odrodzenia, wołał do swych gorętszych towarzyszy: „Dajcie pokój martwym". Wielki apologeta Słowiańszczyzny, Szafarzyk, pisał jeszcze w r. 1821: „*Lepe jest oslaviti narod swoj smrti, než jej znectiti životem.*" A więc wtedy nawet głowy tego ruchu miały chwile, w których zdawało się im, że walczą o chlubną śmierć dla swego narodu, nie o jego rozwój. Kollar zaś jeszcze w r. 1832 pesymistycznie twierdził: „Ze Słowaków nic nie zostanie, z Czechów i Morawian także nic, chyba drobne szczątki." Że się na to zanosiło, wskazują opowiadania, że z początkiem naszego wieku można było przejechać Czechy wszerz i wzdłuż i nie słyszéć ani słowa po czesku. Praga miała wyłącznie niemiecki charakter do tego stopnia, że tylko najniższy proletaryat mówił językiem czeskim,

porządniéj nieco ubrany człowiek wstydził się nawet przyznać, że po czesku rozumié. Tego samego dowodzi znane upomnienie, wystosowane do Jungmanna, żeby sobie swém postępowaniem nie robił nieprzyjaciół, bo to będzie przeszkodą w jego karyerze: „stać się nawet może, że pan będziesz ostatnim Czechem". Do innych zaś wołano: „Porzućcie zbyteczne trudy, panowie, trupa ożywić niepodobna!" — ale na szczęście głosy te przebrzmiały wśród szlachetnych starań i pracy. Opowiadają, że Palacki do kilkudziesięciu osób zgromadzonych w jednéj sali powiedział: „Gdyby runął dach nad naszemi głowami, zginąłby cały naród czeski." Zdawało się, że na palcach niemal da się policzyć tych wskrzesicieli.

Przytaczamy tedy poważny ich zastęp:

Józef Jungmann, profesor języków klasycznych, autor „Słownika czeskiego", który miał doniosłe znaczenie narodowe, był synem kościelnego, który zarabiał nadto szydłem.

Krameryus, drukarz, syn kościelnego, który obok tego ubocznie zajmował się krawiectwem.

Rautenkranz, ksiądz, syn przekupnia.

Hybl, korektor drukarski, syn przekupnia krup.

Bracia Nejedlowie, synowie rzeźnika z miasteczka Žebrače.

Kamaryt, ksiądz i poeta, syn piekarza z miasteczka pod Budziedziejowicami.

Sedlaček, zakonnik i literat, syn mydlarza wiejskiego.

Rieger, publicysta i polityk, syn młynarza.

Ziegler, ksiądz, syn dziesiętnika (kaprala) w armii austryackiéj.

Slama, ksiądz, literat, syn chłopa.

Swoboda, syn chłopa [1]).

Prawie wszyscy ci „budziciele" narodu są duchownymi lub profesorami. Te zawody właśnie stanowią pierwszy zawiązek inteligencyi czeskiéj, a oddziaływać z początku mogą jedynie na lud i jego synów. Kazalnica była wówczas jedyną szkołą języka ojczystego, profesorowie wpływali prywatnie przez podsuwanie czeskich książek do czytania. Mimo, że wszyscy oni pochodzili z ludu i w domu rodzicielskim po niemiecku ani słowa nie słyszeli, to jednak szkoła średnia w tych sercach, w których rodzice żadnych narodowych uczuć nie mogli zaszczepiać, bo ich sami nie mieli i wstydzili się, że po niemiecku nie mówią z reguły, wlewała jad niemieckiego patryotyzmu. Najlepszym tego dowodem jest okoliczność, że czescy urzędnicy w Galicyi

---

[1]) Życiorysy ich wydał Rybiczka w r. 1885 w dwu tomach.

okazali się najbardziéj utalentowanymi germanizatorami. Tak więc ci pierwsi *wlastenci*, t. j. patryoci, byli rozbitkami, którzy w cudowny sposób zdołali uratować się od pogrążenia w morzu teutońskiém. Większość z nich nawet uświadomiła się pod względem narodowym dopiéro w czasie studyów uniwersyteckich.

Niemcy starają się obniżyć doniosłość „Nowozrodzenia" i przedstawiają je tylko jako podniesienie, zreformowanie literatury i wzmożenie liczby czytelników, a za dowód tego przytaczają, że przez cały XVIII-ty wiek byli w Czechach patryoci i że Dobrowski był tak dobrym patryotą, jak i inni młodsi; wiadomo jednak, że ci patryoci tylko po niemiecku mówili, a taki Dobrowski, jakkolwiek po niemiecku uczenie pisał o akcencie czeskim, to bardzo słabo po czesku umiał. Był to patryotyzm prowincyonalny, tak jak jest w Tyrolu patryotyzm tyrolski, w Szwabii—szwabski, w Prowancyi—prowansalski, w Kastylii — kastylski patryotyzm, ale taki patryotyzm doprowadziłby do tego, że w Czechach może za dni naszych po czesku rozumiałby chyba profesor filologii słowiańskiéj na uniwersytecie w Pradze.

Arystokracya wprawdzie miała w swém łonie członków, którzy odważali się w domu w nieobecności obcych mówić gwarą chłopską i prostaczą do swéj służby (Sternbergowie) [1]), ale, jak dotąd nie zdobyła się na odwagę stawać otwarcie pod sztandarem słowiańskim, tak témbardziéj w pierwszéj połowie naszego wieku ani mowy być o tém nie mogło. W r. 1845 napisał J. M. hr. Thun: *Ich bin weder ein Czeche, noch ein Deutscher, sonder nur ein Böhme.* To samo powtarza dotąd cała arystokracya ziem czeskich, o ile wprost nie jest niemiecką. Obecna postawa czeskiéj arystokracyi pod względem politycznym najlepszą jest ilustracyą jéj patryotyzmu. Stanowi ona, jak wszystkim wiadomo, osobne stronnictwo w parlamencie z zewnętrznym charakterem niemieckim, z tendencyami feudalnemi, starając się w obecnéj walce zająć stanowisko pośrednie, rozjemcze. Jakkolwiek niektórzy z nich potrafią wyłudzać ludowe mandaty pod firmą młodoczeską, to jednak chętnie cofają się w swe tradycyjne szeregi. Słaby udział téj arystokracyi czeskiéj w uroczystościach na cześć Palackiego jest widomym znakiem jéj stanowiska w narodzie. Że są wyjątki bardzo szlachetne i patryotyczne, tego wcale nie myślę zaprzeczać, ale są one bar-

---

[1]) Znany z patryotyzmu hr. Karol Chotek uczył się u Palackiego języka czeskiego w r. 1826, będąc najwyższym burgrabią m. Pragi, to jest mniéj więcéj na stanowisku namiestnika Czech. Hr. Kaspar Sternberg, pierwszy prezes Muzeum czeskiego, również za patryotę uchodzący, przyznawał się do czeskiéj i niemieckiéj narodowości.

dzo nieliczne; nawet najbardziéj sprzyjający odrodzeniu, całém sercem czeskiéj sprawie oddany, hr. Lew Thun ze wstydem przyznaje się do niedostatecznéj znajomości języka czeskiego.

III.

Jakież konkretne zadania stały przed „wskrzesicielami"?

Przedewszystkiém należało powiązać obecne życie z przeszłością, w któréj się naród swobodnie rozwijał, i wskazać drogi postępu na przyszłość, z drugiéj zaś strony postawić dokładną dyagnozę obecnego stanu narodu i starać się o najprędsze jego podniesienie. Nastał więc okres studyów nad przeszłością i analizy obecnego położenia [1]). Celem było stworzenie samoistnéj kultury czeskiéj, a wszechstronną pracą literacką wykształcenie języka ojczystego. Znaczyło to usunąć naród z pod przewagi języka i kultury niemieckiéj. Zadania to tak olbrzymie, że dotąd po stu latach są one zadaniami narodu czeskiego i pozostaną niemi nadal. Jeżeli wskrzesiciele narodu mieli znaléść posłuch, musieli wskazać i udowodnić, że może zawiązać się w Czechach życie słowiańsko-narodowe, równe zupełnie życiu, które dawała kultura niemiecka. Nadto, aby pociągnąć za sobą masy do czynu, musieli zacząć ten byt budować. Dążenia tych ludzi miały ogromne powodzenie, początkowo oni nawet marzyć nie mogli, aby odrodzenie takich, jak obecnie, dosięgnąć mogło rozmiarów. To téż radowali się serdecznie z każdéj świéżo wydanéj książki czeskiéj, z każdéj pieśni głośno wyśpiewanéj, z każdego słowa czeskiego publicznie wypowiedzianego. Każdy téż pracował za kilku, choć był z zawodu poetą lub literatem, pisał także dzieła naukowe i naodwrót; a każdy polemizował z Niemcami i oświecał lud. Odrębny ich charakter od zwykłych zachodnio-europejskich antykwaryuszów i badaczy pojął i uwydatnił w prelekcyach o literaturach słowiańskich Mickiewicz.

Każde ważniejsze przedsiewzięcie, w czyn wprowadzane, musi opiérać się na jakimś jednolitym poglądzie na świat i życie. Takich podstaw filozoficznych dostarczyła wskrzesicielom filozofia niemiecka. Największy, bo prawie zasadniczy wpływ wywarła filozofia Herdera. Hołdował jéj głównie pieśniarz budzącego się odrodzenia, Kollar. Był to, jak wiadomo, system zupełnie wolnomyślny, stosownie do ówcześnie panującego oświecenia umysłowego, na zasadach racyonalizmu

---

[1]) Najbardziéj charakterystycznym przedstawicielem pierwszych jest Palacki, drugiéj zaś, nieco późniejszéj—Hawliczek, ojciec młodoczechów.

oparty. Ideą przewodnią była *humanitas*, pojęta jako spełnienie w najszerszym zakresie miłości bliźniego, oraz pielęgnowanie i rozwijanie ideału człowieczeństwa w jego najszlachetniejszych przymiotach. *Humanitas*, będąca zasadniczą podstawą nauki Braci Czeskich, stała się w Niemczech ideałem Herdera i profesorów filozofii w Jenie, skąd przez Kollara przyniesiona została do Czech, tak więc w tym razie Czesi mieli tylko do zawdzięczenia Niemcom przechowanie i przypomnienie swych własnych idei. Ten sam ideał głosili za Kollarem Szafarzyk, Palacki i inni. Późniéj wywierała także wpływ filozofia niemiecka, szeroko rozpostarł wśród młodszych swój wpływ Kant—po nim pierwsze miejsce zajął z natury rzeczy Hegel, którego znowu wyparł z postępem czasu uczeń pierwszego, Herbart.

Jedném z pierwotnych źródeł odrodzenia czeskiego były postępowe prądy drugiéj połowy XVIII wieku, których kwiatem we Francyi były prawa człowieka i obywatela, a których wyrazem oficyalnym w Austryi był Jozefinizm. Wolność duchowa i wyznaniowa, postawione przezeń jako naczelne zasady, w Czechach z natury rzeczy prowadziły do tradycyi swojskich: reformacyi czeskiéj, do husytyzmu. Główni téż bohaterzy ducha tego okresu byli potomkami Braci Czeskich, jak Kollar, Szafarzyk i Palacki. Dobrowski, chociaż był księdzem katolickim, to jednak w radykalizmie pod względem wyznaniowym wyprzedzał nawet tamtych. Jungmann zaś, acz gorliwie jako pedagog chodził z swymi uczniami do kościoła, w głębi duszy był deistą w stylu Woltera. Tak więc pierwiastek racyonalizmu protestanckiego nadawał ton w odrodzeniu czeskiém. I nic dziwnego, miał li zakwitnąć na nowo byt narodowy, to musiano koniecznie nawiązać go do tych ideałów, które ożywiały naród w czasie najświetniejszego rozwoju i w chwili przerwania dawnego bytu narodowego. I w życiu narodów przeskoków być nie może.

Wszystkie inne prądy nurtujące Europę, tak polityczne jak i literackie, były także udziałem Czech. Wolter, teorye Rousseau'a, patryotyczne mowy Schellinga, walka narodów z światowładnym kapralem, romantyzm, bajronizm — wszystko to znalazło oddźwięk w Czechach, wywarło wpływ większy lub mniejszy i wszystko po swojemu przyczyniło się do wzmocnienia narodowości; szczególnie zaś wielkie zasługi położyła w tym kierunku niemiecka poezya romantyczna, jak to wykazał w ostatnich czasach dr. Murko. Założycielem szkoły romantycznéj był Jungmann, a głównymi wodzami byli: Čelakowsky, zbieracz i naśladowca pieśni ludowych czeskich i słowiańskich wogóle, Szafarzyk, Palacky, jako wydawca początkowych tomów „Czasopisma Czeskiego Muzeum" i autor wielu krytycznych rozpraw o najnowszych

płodach literatury, a przedewszystkiém Kollar, urodzony i działający na Słowaczyźnie, gdzie miasta Kezmark, Trenczyn i Presburg były początkowo siedzibami patryotów czeskich, skąd jego muza tatrzańska budzi naród czeski z uśpienia.

Ogólny rzut oka na odrodzenie czeskie przekonywa nas, że uświadomienie narodowe w Czechach postępowało od ogólno-ludzkich uczuć (*humanitas)*, które reprezentuje Kollar, przez słowiańskość, mającą swego przedstawiciela w Szafarzyku (Starożytności słowiańskie), do czeskości, która znajduje typowy wyraz, symbol w Palackim. Podobnie i filologia słowiańska pierwéj zakwitnęła w Czechach, niż nauka o ojczystym języku. Ściśle jednak biorąc, Dobrowski i Kollar stali na gruncie słowiańskim. Ten ostatni ulubioną swą ideę wspólności słowiańskiéj propagował gorliwie w poezyach i osobnych pismach, on także stworzył a przynajmniéj ugruntował austryoslawizm, t. j. ideę najściślejszéj łączności i solidarności Słowian, zostających pod rządami Habsburgów. Jungmann zaś i Hanka skierowali te ogólno-słowiańskie dążenia ku Rosyi, w któréj widziano jedyną potęgę, mogącą uchronić Słowian od zniemczenia, gdyby ich potrafiła zjednoczyć. Wobec pewności, żeby w ten sposób uratowali Czesi słowiańskość, nie dbali oni tak dalece o czeskość, któréj niespodziewano się własnemi siłami obronić.

Dobrowski stał się zapalonym rusofilem, i téj téż idei hołdowała prawie cała starsza generacya Odrodzenia. Doszło nawet do tego, że radzono nad tém, czyby nie należało za język literacki przyjąć mowy rosyjskiéj z jéj pismem podobném do cyrylicy, któréj autorstwo przypisywano podówczas Konstantemu, apostołowi Czechosłowian. Byłby to więc niejako powrót do pierwotnéj tradycyi. Inni znowu marzyli o stworzeniu wszechsłowiańskiego volapücku. Często już wspominany Jungmann cieszył się niezmiernie w listach do swych przyjaciół z upadku powstania polskiego z r. 1830, albowiem przez to znikła w łonie Słowiańszczyzny waśń bardzo groźna. Ciekawa to jednak rzecz, że nawet w tym względzie nauczycielem Czechów był Niemiec, Herder, który wielbił Piotra W-go i Katarzynę II-gą, Słowianom zaś, a zwłaszcza Rosyi, przepowiadał przeważające w Europie stanowisko tak polityczne, jak i kulturalne [1]). Dopiéro Palacki razem z Havliczkiem dobitnie

---

[1]) Wiarę głęboką, że Słowiańszczyźnie musi teraz przypaść w udziale kierownictwo w kulturalnym pochodzie ludzkości, po Kollarze odziedziczył A. Smetana i wykładał ją w swych dziełach filozoficznych, wydawanych w r. 1848 i 1850. Był on uczniem Hegla i starał się stworzyć narodową filozofię czeską.

wykazał, że Czesi swą narodową odrębność od innych Słowian czują, cenią i pod żadnym warunkiem nie złożą jéj w ofierze na ołtarzu Słowiańszczyzny. „*Čech ne Slovan*"—to ich hasło.

Nie brakło w Czechach i dla nas sympatyi. Puchmajer, poeta ludowy, który rad przerabiał polskie temata, był jéj pierwszym przedstawicielem. Żywiéj zajmowano się kwestyą polską po każdém powstaniu. Z korespondencyi Jungmanna wiemy, że w czasie powstania listopadowego istniało stronnictwo polonofilskie, a podczas styczniowego cała młodsza generacya stała po stronie Polaków.

Przy całéj niechęci do Niemiec i wszystkiego, co niemieckie, jeszcze w piątym lat dziesiątku bieżącego wieku wszystko czerpano stamtąd, mimo że w literaturze pięknéj i filozofii mogli znaléść w Polsce lub Rosyi godne naśladowania wzory. Massaryk zaznacza téż, że w czeskiém słowiańśtwie wiele było nieprawdy, szychu powierzchownego i niezdrowéj fantastyczności. Słowa brano za pojęcia słowiańskie. Długo mogło się ono zdobywać zaledwie na przyobleczenie w szaty słowiańskie tematów pożyczonych od niesłowiańskich sąsiadów, nawet jeszcze wtedy w produkcyi literackiéj Czechów brał górę język niemiecki. Co prawda, nieraz najbardziéj patryotyczne rzeczy pisano po niemiecku, aby przez to zaznaczyć wobec obcych swe dążenia, aby agitować wśród takich, którzy czuli się dotąd Niemcami. Nie było to szkodliwe, bo się tą niemczyzną niemieckość gromiło, wybijało się klin klinem, lub jak mówi przysłowie ludowe: wypędzano czarta Belzebubem.

IV.

Wśród takich stosunków, które staraliśmy się powyżéj przedstawić w krótkim zarysie, wystąpił do działania największy bohater Odrodzenia, Palacki. Urodził on się w północno-zachodnim kącie Moraw, w małéj wiosce Hodsławicach u stóp góry Radhost 14 czerwca 1798 r. Przodkowie jego, jak prawie cała okolica, trzymali się potajemnie nauk Braci Czeskich i w lasach schodzili się na nabożeństwa. Po wydaniu patentu tolerancyjnego 1781 r., Hodsławiczanie przystąpili do wyznania augsburskiego, jako prawnie uznanego. Przy świéżo założonym zborze powstała szkoła, a jéj pierwszym nauczycielem był Jerzy Palacki, ojciec wielkiego historyka. Matka umarła w r. 1822-im, zostawiając najmilsze wspomnienie w sercu syna. Ojciec nie był bogaty, ubocznie zajmował się handlem masła, był także pisarzem gminnym; ostatecznie zapobiegliwością swoją zebrał sumę, która wystar-

czyła na nabycie dziedzicznego wójtostwa w wiosce niedalekiéj, gdzie po 7-miu latach 1836 r. zakończył życie. Był to człowiek bardzo rozsądny i przedsiębiorczy, próbował sił nawet w literaturze i wydał książkę dla młodzieży szkolnéj (1812). W walce o byt swéj rodziny musiało wcześnie wziąć udział pacholę, mające wyrość na największego Czecha swego wieku: pasało krowy, zbiérało grzyby, grosz zaś otrzymany za nie oddawało rodzicom. W r. 1807 posłał go ojciec do szkoły w Kunwaldzie, wsi niemieckiéj, półtory mili odległéj, aby się nauczył po niemiecku, albowiem sam nie był zdolny już wyżéj kształcić niezmiernie inteligentnego chłopca, który już w 6-tym roku życia przeczytał całą biblię. Po dwu latach tych niemieckich nauk, był już przygotowany do szkoły łacińskiéj. Wtedy ojciec zawiózł go do ewangielickiego zakładu wychowawczego w Trenczynie, gdzie tak silnie ulegał wpływom religijnym, że pragnął zostać misyonarzem protestanckim. Następnie z woli ojca, który niezmiernie dbał o protestanckie wychowanie syna, dostał się do liceum w Preszburgu, również ewangelickiego, tam téż odbył dwuletnie studya filozoficzne. Sześcioletni czas (1812—1819) spędzony w Preszburgu ma wielkie znaczenie w jego rozwoju. Przed kilku laty ustanowiono przy liceum profesora języka czeskiego, wtedy właśnie był nim Jerzy Palkowicz, patryota słowacki, dość płodny pisarz ludowy, ale dziwactwami i surowością odstraszający od siebie młodzież. Palacki pod jego wyłącznym wpływem nigdy nie byłby ukochał języka czeskiego. Przyczynił się do tego przypadek. W roku 1813, powracając z wakacyi do Preszburga, musiał się zatrzymać z powodu niepogody w Trenczynie u swego dawnego kolegi, którego ojciec, interesując się książkami czeskiemi i świéżo założoném czasopismem: „*Vidеńske Noviny*”, wydawaném przez Hromadkę, profesora czeskiego na uniwersytecie w Wiedniu, — prosił swego młodego gościa o objaśnienie bardzo wielu niezrozumiałych sobie wyrazów; pokazało się wtedy, że szkoła do tego stopnia wynarodowiła Palackiego, że jeszcze mniéj po czesku rozumiał, niż podejmujący go gospodarz. To zawstydzające go zdarzenie skłoniło go do czytania Komeńskiego i prac Jungmanna, z których zwłaszcza „Rozmowy o języku czeskim” wywarły stanowczy wpływ na niego. Przez to został pozyskany dla narodowości czeskiéj; w 15-ym roku życia, kiedy wkraczał w okres młodzieńczy, uczuł się dopiéro Czechem. Ojciec ojczyzny (*otec vlasti*) odtąd postanowił sobie przez całe życie poświęcić wszystkie siły podniesieniu narodu czeskiego.

Przezwyciężając niechęć, zbliżył się do swego nauczyciela Palkowicza i stał się jego współpracownikiem tak w redagowaniu „Tygod-

nika", wtedy przezeń założonego, jak i przy układaniu czesko-niemiecko-łacińskiego słownika. Między współuczniami wyszukiwał sobie takich, którzy byli przystępni idei narodowéj czeskiéj, i starał się na nich oddziaływać. Współuczniem jego był w tym czasie i Kollar, ale wtedy ojczyzny swéj w Czechach jeszcze nie widział. Z Szafarzykiem, który również przez czytanie rozpraw Jungmanna dwa lata wcześniéj doszedł do świadomości narodowéj, a wówczas studyował w Jenie, wszedł w stosunki listowne za pośrednictwem patryotycznego młodego Słowaka, Jana Benedicti...

W r. 1817 oddał do drukarni przekład kilku Mackphersonowych pieśni Ossyana, — pierwszy to utwór i pierwszy występ literacki Palackiego. Wnet jął się opracowania prozodyi czeskiéj. Przypadek chciał, że Szafarzyk, wróciwszy z Jeny do Preszburga, przywiózł ze sobą rozprawę téj saméj treści, wydali więc młodzi przyjaciele wspólnie swe prace, pod tytułem: „*Počatky českého basničtvi*" (poezyi), w r. 1818. Książka zrobiła wrażenie i zwróciła uwagę na autorów [1]). Szczególnie zainteresował się nią Jungmann, który też napisał traktat w téj saméj materyi, wtedy jeszcze niedrukowany, i to dało powód do zawiązania między nim a Palackim listownego stosunku. Powstało w ten sposób trójprzymierze tych wielkich duchów i serc szlachetnych, obaj byli dla Palackiego zawsze najmilszymi ze wszystkich współpracowników na niwie ojczystéj. Obok literatury pięknéj zajmował się Palacki filozofią, która ostatecznie wypędziła mu z głowy marzenia o misyonarstwie protestanckiém w Hindustanie; odechciało mu się nawet zostać duchownym. Wśród istniejących wówczas teoryi filozoficznych wybrał bardzo szczęśliwie: Kant stał się jego przewodnikiem w poglądach na świat i życie. Bądź co bądź logika, a przynajmniéj teorya poznania kantowska była olbrzymią zdobyczą umysłu ludzkiego. Filozofii Kanta zawdzięczał on też przedewszystkiém ukształcenie swego szlachetnego charakteru: stały popęd doskonalenia siebie i swego narodu, żądzę dobra i zapał do piękna; z drugiéj strony zaś z niéj czerpał on spokój myśli, skarb nieoceniony dla każdego. Nigdy też nie dał się pociągnąć ultraracyonalizmowi Holbacha i encyklopedystów, owszem taka lektura wzmacniała w nim, jak sam powiada, religijność. Dla tak czynnego, a ciągle się rozwijającego, zapalnego umysłu, jakim był Palacki, wszystko to, co podawała szkoła, nie wystarczało. To była tak szczupła strawa, że

[1]) Palacki jednak spotkał się z krytyką ojca, któremu mierzenie długości i krótkości głosek wydawało się rzeczą marną; zachęcal on go raczéj do historyi, jako nauki bardziéj użytecznéj.

przyprawiałaby go o ciągły głód duchowy. O rozległości jego lektury (czyta najwięcéj dzieł poetycznych i geograficznych) i o umiejętném z téj lektury korzystaniu świadczą wypiski jego, dotąd zachowane. Czytał z piórem w ręku. Ze zdumieniem przypatrujemy się rezultatom własnéj domowéj jego pracy. Nauczył się języka serbskiego, starosłowiańskiego i rosyjskiego, korzystając ze stosunków z kolegami Serbami. Słuchał wykładów o języku francuskim i angielskim, z własnéj pilności nauczył się po włosku i hiszpańsku, a portugalską „Luzyadę" Camoensa czytał w oryginale. Redagował „*Przeszburskie nowiny*" przez jakiś czas w języku łacińskim i tego wszystkiego dokonał, zarabiając na życie i utrzymanie, jak każdy biédny student udzielaniem lekcyi. Dzięki względom profesorów, dostawał najlepsze miejsca w wyższych sferach, wśród których nabrawszy ogłady, nauczył się swobodnie poruszać, co na przyszłość miało dlań doniosłe znaczenie, albowiem, jak to zobaczymy, pozwalało mu sprawę narodową pchnąć na tory szersze. Następne trzy lata, po ukończeniu studyów filozoficznych w r. 1819, spędził jako pedagog synów pewnéj wdowy, szlachcianki węgierskiéj, przyczém rok jeden przebywał z swymi pupilami w Wiedniu, gdzie zaznajomił się z Dobrowskim. Cały ten czas, zwłaszcza pobyt w Wiedniu, poświęcił studyom estetyki i sztuk pięknych. Do wykształcenia jego smaku i znawstwa sztuki przyczyniło się wiele oglądanie znakomitych już naówczas zbiorów wiedeńskich. Płodem tych studyów był wydany w r. 1821 „Przegląd dziejów krasowiedzy (pięknoznawstwa) i jéj literatury", dzieło świadczące o bardzo rozległém oczytaniu autora w powszechnéj literaturze filozoficznéj a przez szczęśliwy zmysł krytyczny dotąd niepozbawione dla fachowców znaczenia. Rozpoczął też pisać dzieło „*Krasvěda*" (Estetyka), którego jednakowoż nie dokończył [1]).

V.

Nic dotąd nie zapowiadało, że Palacki tytuł do wielkości zyska przez dziejopisarstwo. Wprawdzie w Preszburgu nie wyłączał ze swéj lektury dzieł historycznych, poznał nawet ważniejszych kronikarzy czeskich (głównie przy pracy słownikarskiéj), studya filozoficzno-este-

[1]) Zajmował się nią jeszcze do r. 1830 i umieszczał pojedyńcze ustępy w początkowych rocznikach „*Časopisu Českeho Musea*".

tyczne naprowadzały go na tego rodzaju lekturę, ale historyi pierwszeństwa w swym naukowym warsztacie dać nie myślał.

W r. 1816 zrozumiał, że prawdziwa, wielka poezya istnieje, że mu brak sił, aby zostać wielkim poetą, i postanowił poświęcić się nauce, bo widział niedostatek dzieł naukowych w literaturze ojczystéj. W cztery lata późniéj zamyślał po estetyce zająć się historyą powszechną, lub napisać dzieło traktujące o języku i literaturze. Ale historya jakoś niepostrzeżenie wkradła mu się do serca i coraz bardziéj zaprzątała głowę tak, że nastał okres wahania się, czy ma dochować wiary swym dawniejszym ideałom, czy téż jąć się dziejów narodowych — opisuje to sam w swéj autobiografii. Dopiéro 1822 r. za cel swego życia wytknął sobie napisanie „pragmatycznéj historyi ziemi czeskiéj". Jak zaś wyłącznie ta myśl go opanowała wtedy, dowiadujemy się od niego samego w liście do Kollara: „*Nelze mi žiti, ne budu-li moci do vlastenského dějepisu se dati*"; a daléj dodaje: „*Aspoň Husitstvo budu-li živ popiši.*"

I dotrzymał słowa, bo w istocie działalność jego dziejopisarska dosięga szczytu w monumentalnych zarysach historyi husytyzmu. Z zapałem garnął on się do literatury, a widząc, że literatura nowoczeska ma przeważnie ogólno-ludzki charakter, a brak jéj zupełnie cech narodowych, postawił sobie za cel unarodowić ją. Ponieważ historya najlepiéj daje poznać właściwości charakteru narodu i jego ideały, ją więc wybrał, jako środek wprost do celu prowadzący. Poprzednie studya filozoficzne były nie złém przygotowaniem do nowo przezeń znalezionego celu życia, bo miał już wyrobione wysokie pojęcia o znaczeniu dziejów i zarazem wszystkie dane do ich zrozumienia. Dziejopisarstwo ówczesne czeskie, jak i polskie, niezbyt świetny przedstawiało widok. Jak u nas Naruszewicz, tak tam Dobner, ojcem krytyki czeskiéj przez Palackiego nazwany, postawił pierwsze kroki w kierunku umiejętnego badania przeszłości, — pozostawiając za sobą wstrętne i śmieszne, niekrytyczne kompilowanie, a raczéj przepisywanie kronik, upstrzonych wszelkiéj wiarogodności, ba nawet cienia prawdopodobieństwa pozbawionemi wywodami genealogicznemi rodzin magnackich. Niestety, obaj nie mieli następców, którzyby godnie kontynuowali zasady krytyki historycznéj. Znowu, dziwnym zbiegiem okoliczności, równocześnie z naszym sławnym i znakomitym Lelewelem występuje Palacki nad Wełtawą. Jednakże w następstwie wypadków 1831 r. badacz polski musiał się pożegnać raz na zawsze ze źródłami do dziejów ojczystych, które leżały w archiwach po kraju rozrzuconych; tymczasem Czechowi nie brakło ani źródeł, ani warunków pomyślnych do pracy dziejopisar-

skiéj. Natychmiast też przystąpił do wykonania swego zamiaru. Opuszcza Węgry i przybywa do Pragi 11 kwietnia 1822 r. Dzień to równie ważny w życiu Palackiego, jak i w dziejach Odrodzenia, choć nikt tego wówczas nie odczuwał. Dwudziestopięcioletni rycerz, złożywszy dowody swych sił w sprawie narodowéj, już wstępuje w szranki bojowe. Przyszedł do Pragi z zamiarem zbiérania i studyowania źródeł do dziejów husytyzmu, ale musiał zarazem szukać chleba i dzięki troskliwemu zaopiekowaniu się nim przez Jungmanna i Dobrowskiego, dawnych znajomych, znalazł go zaraz. Dobrowski, starający się troskliwie o przygotowanie go techniczne do studyów rękopiśmiennych, archiwalnych i badań źródłowych, wprowadził go do domu hr. Franciszka Sternberga, który zaproponował mu napisanie genealogicznéj historyi swego rodu. Następnego roku była praca skończona ku zupełnemu zadowoleniu wykształconego towarzystwa, zbierającego się w salonach tego bardzo inteligentnego i patryotycznego magnata. Był to niejako patent, dający mu prawo obywatelstwa w tém gronie. Przez to stał się Palacki głównym pośrednikiem między szlachtą a literatami czeskimi i ich narodowemi dążnościami. Rola to była niesłychanie ważna, a on jedyny z ówczesnych literatów był do niéj przygotowany. Opieka arystokracyi wówczas była bardzo potrzebna, gdyż metternichowska policya wszędzie wietrzyła bunty, zwłaszcza zaś wśród garstki wskrzesicieli narodu; tém skorsza była do gwałtu, im łatwiejszą a dla państwa konieczniejszą rzeczą wydawało się zgnieść ten ruch młody w zarodku [1]). Hr. Fr. Sternberg polubił Palackiego i postanowił go zatrzymać na stałe w Pradze, czego sobie i inni patryoci najgoręcéj życzyli. Ponieważ zaś policya byłaby go nie ścierpiała, jako człowieka bez charakteru, to jest bez zatrudnienia, mianował go archiwaryuszem swym z roczną płacą 200 złr. Królewskie Czeskie Towarzystwo naukowe poleciło Palackiemu wydać kronikarzy czeskich z ostatniéj doby średniowiecza i ogłosiło konkurs na krytyczne ocenienie starych kronik czeskich. W r. 1829 dokończył pierwszéj pracy, a w rok późniéj wydał: „*Würdigung der alten böhmischen Geschichtschreiber*”. Jest to niewielkie, ale ogromnego znaczenia dzieło, zawierające rozbiór 31 kronik czeskich, do początku XVI-go wieku. Naówczas było ono pierwszém w całéj Europie i dziś pozostało klasyczném a w rezultatach swych ostatecznych niezmienionėm. Najsłuszniéj też w świecie otrzy-

---

[1]) Palacki w późniejszych latach przypomina, że od r. 1830 otwierano z urzędu jego listy nawet do żony pisane.

mał zapowiedzianą nagrodę, choć nie miał żadnych kompetytorów. Za wpływem swego arystokratycznego mecenasa uzyskał Palacki prawo nieograniczonego korzystania z bogatego archiwum trzebońskiego ks. Szwarcenberga, w którém do końca życia szczególnie lubił pracować; nadto z ogromną energią i wytężeniem sił pracował w tak zwanych „Deskach ziemskich a dworskich”, równających się poniekąd z naszemi Aktami grodzkiemi i ziemskiemi, w praskiém archiwum gubernialném, miejskiém i innych. Pracę tę przerwała mu dopiéro śmierć. Pewnego razu, podczas zebrania u Sternbergów, Palacki bowiem po pracy szukał wówczas odpoczynku bardzo chętnie w życiu towarzyskiém, zeszła rozmowa na sprawy niedawno założonego Muzeum narodowego, którego prezesem był Kaspar hr. Sternberg, brat Franciszka, opiekującego się Palackim. Żalił się on wtedy, że społeczeństwo nie dba o tę pożyteczną instytucyę. Brak zainteresowania się Muzeum u ogółu przypisala Placki bezczynności tegoż i radził, aby Muzeum wzięło sobie za zadanie wspieranie literatury i narodowości czeskiéj, oraz zrobił uwagę obecnemu tam Dobrowskiemu, że po czesku wcale nie pisze. Gdy Dobrowski i Sternberg twierdzili, że już zapóźno myśléć o wskrzeszeniu narodu, — wtedy Palacki, uniesiony świętém oburzeniem, zawołał: „Jeżeli tacy wszyscy będziemy, zginie nasz naród, ale z naszéj winy, głodem duchowym. Ja, gdybym nawet był ostatnim z cygańskiego sodu, starałbym się całemi siłami, aby po nim została jak najchlubniejza pamięć w dziejach.” Takiéj mocy przekonania i miłości ojczyzny nikt się oprzéć nie mógł i postanowiono wydawać: „*Časopis Českeho Muzea*”. Arystokraci wszystkiemi wpływami wymogli pozwolenie na to u rządu. Roku 1827-go poczęło wychodzić to pismo pod redakcyą samego Palackiego, po czesku jako kwartalnik, a po niemiecku jako miesięcznik. Patryoci uskarżali się na takie forytowanie języka niemieckiego, więc też po 4-ch latach zwinięto miesięcznik niemiecki, mimo pochwał, jakie mu oddawał wejmarski Jowisz, Goethe. Ciężkie kłopoty sprawiły Czechom zaciekłe spory, możliwe tylko między filologami. I tak kłócono się o prozodyę, czy ma być iloczasowa (metryczna), czy nie; najwięcéj żółci wytworzyła klasycznie filologiczna kilkoletnia wojna jotystów i ypsylonistów; trzecią ważniejszą kwestyą był spór purystów, którzy chcieli trzymać się jedynie języka klasycznego z XVI w., i neologistów, którzy słownictwo czeskie pragnęli naszpikować wyrazami własnéj fabrykacyi. Palacki z żadną partyą się nie łączył i skierował na siebie obosieczne języki i zatrute pióra obu obozów, przyszło nawet do tego, że przez dwa lata odmawiali mu wszyscy współpracownictwa, bo Palacki wybrał pośrednią drogę w pewnych

razach, w innych spór zupełnie ignorował, a w swém „Czasopisie" na żadną polemikę w tych kwestyach nie pozwalał. Wkrótce wszakże strejkujący współpracownicy zaczęli wracać i ostatecznie zgodzili się na to pośrednie stanowisko. W ten sposób naszemu bohatérowi przypadła w udziale zasługa zabezpieczenia rozwoju językowi czeskiemu. Redaktorem bezpłatnym „*Muzejnika*" (tak Czesi nazywali to czasopismo) był Palacki 11 lat; ze wszechmiar godnym jego następcą był Szafarzyk. W r. 1876 obchodził „Czasopis" 50-letni jubileusz, a jego założycielowi było daném napisać wtedy w nim artykuł. Równocześnie prawie z objęciem redakcyi zaślubił Palacki córkę bardzo bogatego adwokata Mechury i otrzymał z ręką inteligentnéj i kochającéj go żony posag, uwalniający go od trosk powszedniego życia. Z żoną tą przeżył lat 35, ciesząc się zawsze prawdziwém szczęściem domowém. Bardzo szczęśliwa konstelacya przyświecała wielkiemu Czechowi w tym roku 1827-ym, bo wtedy również stany czeskie zaproponowały mu dokończenie pracy ex-jezuity Púbiczki: „*Chronologische Geschichte Böhmens*", pisanéj między rokiem 1775 a 1800, rzeczy klasycznie niedołężnéj i doprowadzonéj do wojny 30-letniéj. On jednakże przedstawił stanom potrzebę świéżego opracowania całéj historyi na podstawie wszechstronnych badań źródłowych, zwłaszcza dyplomatycznych. Istotnie, dzięki poparciu swego mecenasa, 1829 r. został mianowany historyografem stanów czeskich z płacą 1,000 zlr. rocznie, ale rząd wiedeński, pomimo starań urzędowych i prywatnych, nie przyznał mu tego tytułu, Dopiéro w lat 9 późniéj wyszedł I-szy tom téj historyi, który postawił autora między pierwszymi dziejopisami naszego wieku; wrażenie było tém większe, im bardziéj jego praca odbijała się od nędznych prac jego poprzedników. W r. 1839, na ponowne żądanie stanów, rząd potwierdził Palackiemu tytuł. Nazwano go późniéj Ojcem Ojczyzny i słusznie, zawsze bowiem jego głowa była pełna praktycznych i sprytnych planów, dobro narodu na celu mających. Całe życie zeszło mu na obmyślaniu tego dobra. Jak zaś w istocie stał on się w krótkim czasie osią, wokoło któréj obracały się sprawy narodowe, dowodzi list Szafarzyka do Kollara, gdzie wprost powiada: „Bez Palackiego w żaden sposób rzeczy nie idą"; gdy zaś Palacki był chwilowo nieobecny, patryoci byli bezradni i jedyném wyjściem dla nich było wezwać go do natychmiastowego powrotu na placówkę. Dowodem tego sprytu i energii patryotycznéj jest założenie „*Maticy czeskiéj*" około r. 1830. Instytucya ta istnieje dotychczas i oddała niesłychane usługi sprawie odrodzenia Czechów, ma za zadanie wydawać książki czeskie, a przez to szerzyć oświatę i podnosić literaturę narodową. Takiéj instytucyi

oddawna sobie życzyli patryoci, spodziéwali się oni nawet początkowo, że tę rolę Muzeum Czeskie obejmie. Aby rząd pozwolił wprost na założenie towarzystwa, mającego na celu pielęgnowanie języka i literatury czeskiéj — co do tego żaden rozsądny człowiek łudzić się nie mógł, Palacki jednak umiał powoli i po cichu tak sprawą pokierować, że rząd swojéj aprobaty nie śmiał odmówić. Pierwotnie postanowił on wydawać razem z innymi encyklepedyę czeską. Dla uniknięcia nieprzyjemności ewentualnych, z prywatnéj porady najwyższych urzędników krajowych, wydawnictwu temu dało firmę „Muzeum", i przyjęło Presla, Jungmanna, Palackiego, mających być redaktorami pojedyńczych działów encyklopedyi, jako członków nowoutworzonego wydziału muzejnego dla wspierania literatury czeskiéj. Korzystając z przysługującego sobie prawa, wydało Muzeum odezwę do patryotów z prośbą o składki na utworzenie zakładu wydawniczego, któremu nadano imię „*Matice Česka*" [1]). Po zebraniu dostatecznych funduszów, zarzucono myśl encyklopedyi jako przedwczesną, a postanowiono wydawać naukowe prace. Najpierw wydała Macierz wspomniany już wyżéj „Słownik" Jungmanna, drugiém dziełem był w r. 1832 przez Palackiego wydany „Katalog wyższych urzędników czeskich-ziemskich jak i dworskich, aż do czasów ostatnich", który jest nieodzownym podręcznikiem dla każdego dzieje czeskie studyującego. Macierz spełniała w pewnéj mierze rolę przez długi czas, zgodnie z pierwotnym planem Palackiego, Akademii Czeskiéj, która dopiéro w r. 1890 powstała, dzięki wspaniałemu zapisowi mieszczanina Hlavki.

Akademia petersburska traktowała wówczas z Czelakowskim, z Hanką i Szafarzykiem, aby przesiedlili się do Rosyi. Palacki spostrzegł, że przez to cenne te siły byłyby bezpowrotnie dla ojczyzny zgubione, postanowił więc usunąć to niebezpieczeństwo. Wyrobił tedy pierwszemu pensyę roczną u ks. Kińskiego [2]), Szafarzykowi zapewnił stałą pensyę roczną na 5 lat z tym warunkiem, aby osiedliwszy się w Pradze pisał odtąd po czesku. Na pensyę tę złożyło się 9 patryotów, wśród których był Palacki skarbnikiem, pozostało to jednak dla Szafarzyka tajemnicą na zawsze. W dwa lata późniéj, 1835 r., wydał on znowu nakładem Macierzy, swoje wiekopomne „Starożytności słowiańskie". Nigdy patryotyczna ofiarność nie została wspanialéj odpłacona; było to bowiem dzieło, które rehabilitowało niejako Słowian w oczach

---

[1]) Na jakiś czas musiano z rozkazu rządu tę nazwę instytucyi zawiesić.

[2]) Hanka ze względów domowych (opór żony) nie opuścił Pragi.

Europy z potwarzy niemieckich kronikarzy-zoilów, było przytém tak znakomite, że przez długie czasy Słowianie mogli go z dumą cytować, jako dowód stopnia swojéj kultury. Tymczasem w pracy nad historyą Palacki nie ustawał, obok krajowych archiwów starał się wyzyskać wszystkie znaczniéjsze zagraniczne, w r. 1837 uzyskał pozwolenie korzystania z najbogatszego na świecie archiwum watykańskiego, gdzie téż w przeciągu 10 tygodni przejrzał 45,000 dyplomatów, a 400 odpisał. W tak znacznéj mierze żadnemu z historyków świeckich nie pozwolono po owe czasy z téj niewyczerpanéj kopalni źródeł korzystać. Materyały zebrane przez siebie złożył Palacki w Muzeum, stały się one główną podstawą regestów czeskich Erbena i Emlera, którzy podjęli się téj pracy według jego planu. Sam zaś wydał zbiór formularzy listów, dyplomatów z XIII — XV w., jeden z pierwszych w Europie, i wskazał w jaki sposób należy z tego rodzaju źródeł korzystać. W r. 1840 rozpoczął wydawać „*Archiv Český*", zawierający dokumenta wyłącznie w języku czeskim pisane, aż po r. 1526. Za jego życia wyszło tomów 6—dziś już historyk korzystać może z 16 tomów— jest to nieprzebrana studnia wszechstronnych o średniowiecznych Czechach informacyi. Tegoż roku wydał z Szafarzykiem razem: „*Die ältesten Denkmäler der böhmischen Sprache*", zawierające obok tekstów krytyczne uwagi. W roku następnym ogłosił „*Der I-te Mongoleneinfall*" w 600-letnią rocznicę tego okropnego faktu, uwzględniające głównie pobyt Tatarów na Morawie. Po śmierci pierwszego prezesa „Muzeum", Kaspara hr. Sternberga, zyskał wielki wpływ na tę instytucyę i starał się o pomnożenie zbiorów, zwłaszcza działu historycznego, który dotychczas był po macoszemu traktowany. Następnie agitował w tym kierunku, aby stany zbudowały wielki pałac na cześć zmarłego cesarza nazwany „Franciseeum", w którymby pomieszczone zostały wszystkie instytucye za jego panowania powstałe, a przedewszystkiém Muzeum, ale stany po rozwadze znalazły tańsze rozwiązanie kwestyi; cesarzowi Franciszkowi I postawiono pomnik, a na Muzeum zakupiono niezbyt kosztowny dom, z którego je przeniesiono po śmierci Palackiego do wspaniałego pałacu na Wacławskiém Namieściu. Podobne znaczenie jak dla Muzeum, którego Palacki był kierownikiem, ma jego działalność dla „Czesk. Towarz. Nauk", jako sekretarza najlepszego, jakiego kiedykolwiek ta instytucya posiadała; on téż głównie się przyczynił do zeprowadzenia zupełnego równouprawnienia języka czeskiego w jéj łonie. W konstrukcyi historycznéj doszedł Palacki w r. 1845 do r. 1419, to jest do śmierci Wacława Luxemburskiego. Oczywista, każdy nowy tom przedstawiał więcéj materyi spornéj mię-

dzy autorem a cenzurą, która jego surowego a trzeźwego sądu o kościele katolickim, jego patryotycznéj czci dla Husa, heretyka i buntownika, znieść nie mogła; ze sporów tych, dzięki swéj powadze naukowéj, wychodził zawsze obronną ręką. Obok cenzury i niechęć stanów rosła, irytowali się ich członkowie, że Palacki ma odwagę wygłaszać otwarcie swe zdania w dziele, do którego go najęli, i co gorsza pisać historyę narodu czeskiégo, kiedy oni się czują Niemcami. Nie brakło i krytyka — był nim Niemiec Hötler, prof. uniw. praskiego, gorący katolik, którego Palacki w świetnéj polemice z kretesem pokonał. Te wszystkie spory i ruch w r. 1848 skłoniły go jednak, że drugą część III tomu wydał już po czesku, a innéj osobie poruczył jéj przetłómaczenie na niemieckie i tak postępował do końca swego dzieła do r. 1526 (II część V tomu). Powaga jego naukowa była tak powszechnie w świecie znana, że cesarz Ferdynand mianował go jednym z pierwszych członków świeżo (1847 r.) założonéj Akademii wiedeńskiéj, w któréj łonie zaraz zainicyonował wielkie wydawnictwo: „*Monumenta conciliorum gener. XV s.* Z kolei przystępował on do opracowania dziejów XV w.; aby sobie ułatwić pracę i oprzéć na pewnych podstawach, wykonał z prawdziwie benedyktyńską pracowitością monumentalne dzieło: „*Popis kralestvi Českeho*“ (1848). Jest to ogromny katalog topograficzno-genealogiczny, ułożony alfabetycznie. Ważności i pożytku tego wydawnictwa nie potrzeba wykazywać temu, kto zna nasz „Słownik Geograficzny”, do którego po części jest ono podobne.

VI.

Zbliżył się tymczasem rok 1848, data ważna w dziejach Europy. Gorączka rewolucyi i żądza wolności nie ominęły Austryi ani Czechów. Dla nich rok ten — wiosna ludów — miał nawet większą doniosłość niż dla reszty Europy. Oni, co dotąd nie śmieli nawet otwarcie swego bytu narodowego bronić, zdobyli się na program polityczny. Stworzył im go znowu Palacki. Już około roku 1843 wyższa szlachta oburzała się na absolutne rządy wiedeńskie i domagała się dla siebie w sejmach większéj władzy, przynajmniéj takiéj, jaką się jéj ojcowie w XVIII wieku cieszyli. Pragnąc się oświecić co do ewolucyi, jakiéj uległa konstytucya Czech, wielu z tych panów słuchało wykładów Palackiego w téj kwestyi w domu ks. Szwarcenberga. Skutek był widoczny, bo stany tak energiczną rozwinęły działalność [1]) w następnych latach aż po rok

---

[1]) Sejm stanów w 1847 r. przedstawił rządowi adres do monarchy i wywód praw swoich, w których obu domagał się uznania czeskiego prawa państwowe-

1848, że Karol Hawliczek, gorący patryota, dziennikarz głośnego imienia, przepowiadał w kółku przyjaciół, że jeśli tak daléj pójdzie, Czesi zyskają zupełną autonomię, jaką mają Węgrzy. Palacki nie mógł teraz pozostać bezczynnym. Rewolucyjny ruch niemiecki i węgierski groził rozbiciem państwa austryackiego. Czechy miały się stać częścią zjednoczonego państwa niemieckiego, rezultaty pracy regeneracyjnéj byłyby zagrożone, może nawet poszłyby na marne. Wobec tego nic dziwnego, że dla uratowania Czechii chwycił on się oburącz idei państwa austryackiego. Na pierwsze wieści o agitacyi wielko-niemieckiéj zebrał on literatów praskich, tak Czechów jak i Niemców, którzy uchwalili i podpisali deklaracyę, zobowiązującą ich do obrony konstytucyjnéj Austryi i uprawnienia obu narodów w Czechach. Była to tymczasowa redakcya programu politycznego patryotów czeskich. Po ogłoszeniu konstytucyi w Austryi, umieścił Palacki w „Pragskich Nowinach" popularny wykład pod tytułem: „Co to jest konstytucya?" Gdy z Frankfurtu otrzymał wezwanie, aby wziął udział w tak zwanym „*Vorparlament*", mającym opracować ustawę wspólną dla całych Niemiec, odpowiedział na to listem otwartym, który zawierał dokładnie sformułowane *credo* jego politycznych przekonań. Treść jego jest mniéj więcéj taka: Jestem Czechem, wszystko, co mam i co mogę, oddałem na usługi swego narodu, który, acz mały, nigdy się do związków narodowo-niemieckich nie poczuwał. Zresztą zgromadzenie frankfurckie dąży do obalenia państwa austryackiego, które tak jest naturalne i konieczne, że gdyby nie istniało, musiałoby w interesie całéj Europy być utworzone, dla tego też udziału w jego obradach wziąć nie mogę.

W „*Narodnim Wyborze*" reprezentacyi przez Czechów naprędce zebranéj, Palacki zajął pierwsze miejsce, bo jego program w całości został przyjęty. Zaraz przedstawiono rządowi petyta, w których żądano przedewszystkiém utworzenia z Czech, Moraw i Szląska jednéj całości autonomicznéj z naczelnym rządem i sejmem wspólnym w Pradze. Morawianie zrozumieli to w ten sposób, że będą podlegać gubernium i sejmowi krajowemu czeskiemu [1]), i założyli protest przeciw takiéj pod-

go. „*Das böhmische Staatsrecht*" po raz pierwszy tu w formie publicznéj występuje. Prof. Goll wskazuje na widoczny, jeżeli nie osobisty wpływ Palackiego, to wpływ jego dzieł na powstanie obu pism.

[1]) Istotnie druga petycya, uchwalona w Pradze w łaźni Świętowacławskiéj (11 marca) naruszała historyczne prawa Moraw, ale Palacki na nią się nie zgadzał i w manifeście w ich obronie wystąpił.

rzędności swego kraju. Wtedy Palacki, który nigdy nie zapominał, że jest „rodem Morawianin, a narodem Czech", w imieniu Czechów napisał (7 maja) odezwę do swych rodaków Morawian, upewniając ich, że Czechy nie myślą zamienić Moraw w swoją służebnicę, owszem poręczają im zupełną równorzędność, o rozłące jednak myśleć one nie powinny, skoro przez lat 1000 stały obok Czech ściśle z niemi związane do tego stopnia, że mówić można tylko o jednéj historyi obu krajów.

W dwa dni późniéj powołano Palackiego do Wiednia i ofiarowano mu tekę wyznań i oświaty, on jednak postawił warunek, aby rząd austryacki zerwał ze zgromadzeniem frankfurckiém i stanął w poprzek jego wielko-niemieckim zapędom. Jakkolwiek w zasadzie godzono się na to, uważano podobne palenie mostów za przedwczesne i ryzykowne. Palacki wobec tego wyjechał ze stolicy ku wielkiéj uciesze Niemców, którzy widzieli w jego powołaniu do gabinetu słowiańszczenie Austryi i gotowali nawet zamach na jego życie.

Zanosiło się na to, że dwór wiedeński, skłoniony duchem czasu i swém ciężkiém położeniem, przyzna krajom korony św. Wacława takie swobody polityczne, jakiemi cieszyły się przed dniem na Białéj Górze. Tymczasem bez przyczyny i bez przygotowania, głównie z chęci naśladowania Wiednia, wybuchła w Pradze rewolucya, która rozproszyła obradujący tamże pod kierownictwem Palackiego Zjazd Słowiański [1]). Zaszkodziło to i sprawie autonomii w takim stopniu, że po nasze czasy nie zdołano tego odrobić. Cesarz Ferdynand I pozwolił bowiem, jako król czeski, na sejm ziem czeskich, który już nawet był zwołany, ale nie mógł wśród zawieruchy przyjść do skutku, odbycie zaś jego stanowiłoby bądź co bądź bardzo ważny prejudykat na przyszłość. Do końca życia ubolewał Palacki, że nie posłuchano jego próśb i upomnień, aby strzeżono się gwałtów i nie apelowano do miecza na poparcie swych praw, albowiem był przekonany, że na tym sejmie w spokoju naród czeski dosiągłby był téj miary praw, któréj dotąd nie ma. Wśród rewolucyi zajął on stanowisko pośredniczące; starał się nie dopuszczać do starć, któreby kopały przepaść między krajem a dworem i utrudniały pojednanie.

Wkrótce po stłumieniu przez wojska niemieckie pod wodzą Win-

---

[1]) Trzeba jednak przyznać, że Palacki nie był autorem tego zjazdu, mającego być manifestacyą wszechsłowiańską w przeciwstawieniu do pangermanizmu konstytuanty frankfurckiéj, sam on zresztą wyznaje, że był prezydentem „*bezděky a vice jen dle jména!*".

dischgrätza powstania praskiego, zwołano ogólno-austryacki parlament, do którego aż sześć okręgów wyborczych wybrało Palackiego; świadczy to o jego ogromnéj popularności naówczas. W obradach ogólnych nie brał on wybitniejszego udziału, bo nań, jak ona najzdolniejszego z 5-ciu członków komisyi, mającéj przygotować projekt przyszłéj organizacyi Austryi, spadł cały ciężar téj pracy. Oczywiście wychodzący z pod jego pióra projekt był oparty w zupełności na idei federalizmu ludów pod berłem Habsburgów żyjących. Wielka ta idea stała się niemal wyłączném hasłem politycznem jego ziomków i jedném z naczelnych godeł, pod któremi szereguje się cała Słowiańszczyzna austryacka do walki z duszącym ją niemieckim systemem centralistycznym.

W ciągu téj pracy ofiarowano mu po raz drugi tekę oświaty, ale nie przyjął jéj i teraz, aby nie drażnić swém wyniesieniem Niemców i nie popchnąć ich do opozycyi w chwili, kiedy jego ideał państwa austryackiego miał się urzeczywistnić.

Tymczasem jednakże wybuchła w Wiedniu ponowna ruchawka (w październiku), która rozproszyła większą część konstytuanty; w imieniu posłów czeskich, którzy również uciekać co prędzéj musieli z obawy, aby rozjuszeni Niemcy nie zgotowali im wszystkim losu ministra Latoura wystosował Palacki memoryał do ces. Ferdynanda, żądający powtórnego zebrania konstytuanty w Kromieryżu, co się téż stało. Tu jednak nad jego projektem obradował wydział trzydziestu deputowanych, w którym mieli większość Niemcy; ci oczywiście przeparli jego odrzucenie. Palacki postanowił wtedy bronić federalizmu w pełnéj izbie. Do tego jednak nie przyszło, bo rząd zamknął parlament, a ogłosił konstytucyę oktrojowaną, która nigdy nie weszła w życie.

Mimo pełnéj poświęcenia i zaparcia się działalności politycznéj dla dobra ojczyzny, spotkała jednak wielkiego Czecha u garści radykałów, chcących wywołać znowu w stolicy nadwełtawskiéj powstanie, tak zacięta nienawiść, że go razem z Hawliczkiem umieścili na czele listy proskrypcyjnéj. Również i dwór wiedeński, który w najcięższych czasach miał w nim silną podporę i który się wtedy z jego poglądami po części solidaryzował, bo go dwa razy na swego ministra powoływał, zapomniał o tém wszystkiém. Uznano go winnym udziału w spisku słowiańskim (tak nazywano wszystkie objawy solidarności słowiańskiéj, Zjazd Słowiański i Słowiańską Lipę) i korzystając ze sposobności ostréj krytyki, jaką napisał przeciw konstytucyi oktrojowanéj w „Narodnich Nowinach" (21/X—1849) (redagowanych przez słynnego Hawliczka), dziennik zawieszono, a jego chorą żonę nastraszono, że za dalsze takie postępowanie zostanie natychmiast wtrącony do więzienia. Odtąd, ule-

gając prośbom żony, nie tykał wcale polityki. Ale i w dziedzinie literatury i pracy kulturalnéj spotykały go prześladowania coraz wstrętniejszéj reakcyi. Doszło nawet do tego, że z powodu cichéj namowy i pogróżek dyrektora policyi Sacher-Masocha (imię to i w Galicyi bardzo niemiłe przywołuje nam wspomnienia), udającego po judaszowsku patryotę, nie wybrano go członkiem wydziału „Muzeum Narodowego", którą to godność od lat 9 piastował (na 52 głosy otrzymał tylko 2!) [1]) Fakt ten dotknął go bardzo boleśnie, było to dlań bowiem *votum* nagany ze strony kwiatu inteligencyi czeskiéj za jego stanowisko polityczne. Dopiero w r. 1861 otrzymał od „Muzeum" zaszczytne zadosyćuczynienie za tę krzywdę. Jeszcze przed „wypędzeniem" z Muzeum wziął on rozbrat ze szlachtą, która zawiodła się w swych nadziejach, że Palacki będzie jéj praw obrońcą. Szlachta wycofała się z ruchu narodowego, ponieważ miał cechy na wskroś demokratyczne; zaczęła nawet występować z Muzeum.

Przeczuwając, że wnet zapanuje coraz bardziéj reakcyjny absolutyzm z obostrzoną cenzurą, śpieszył Palacki czém prędzéj z opracowaniem dziejów husytyzmu. Pisał on ten tom (ukończony w r. 1851) po czesku, ale stany czeskie, które się ciągle niecierpliwiły, że dzieło powoli postępuje, zabroniły mu wydania tekstu czeskiego przed niemieckim i ogłoszenia publicznie, że tekst niemiecki jest przez kogo innego tłómaczony.

Roku 1867 doszedł on ostatecznie w opracowaniu „*Dejin*" do wygaśnięcia Jagiellonów (1526). Po za tę datę już się nie posunął, ale z 1870—72 przerobił ponownie całość dziéjów husytyzmu i wydał je po czesku w 3 tomach.

Dopiero po 10 latach, po ogłoszeniu dyplomu październikowego w 1860, wstąpił Palacki znowu na pole polityki praktycznéj, podpisując na pierwszém miejscu petycyę, ułożoną i przedstawioną tronowi przez swego zięcia Riegera, z prośbą o pozwolenie wydawania dziennika czeskiego, ale zarazem zawierającą cały program narodowy. W nowéj konstytucyi widział on ustrój państwowy dość sprawiedliwy, uwzględniający wedle możności na równi potrzeby centralizacyi państwowéj i autonomii narodowéj. Niestety, Schmerlingowski patent lutowy z 1861 oktrojował tę konstytucyę, zmieniwszy ją w duchu germanizacyi i centralizacyi. W nowym ruchu politycznym był Palacki pierwszym wodzem Czechii razem z Riegerem i Braunerem. Gdy ich prasa niemiecka, ziejąca namiętną nienawiścią do ruchu narodowego

---

[1]) Jeden z tych dwu głosów dał najwierniejszy jego przyjaciel, Szafarzyk.

czeskiego, obsypywała gradem obelg i potwarzy, lud czeski w odpowiedzi na tę zajadłą kampanię dziennikarską wybrał wszystkich trzech we wszystkich prawie miastach czeskich i wielu gminach wiejskich honorowymi obywatelami. W kilka tygodni po uzyskaniu mandatu do sejmu krajowego 1861, w którym Niemcy, mając większość, nadużywali swéj przewagi z największą bezwzględnością, został zamianowany dożywotnim członkiem austryackiéj izby panów, którą jednak po krótkim czasie przestał odwiedzać, spotykając się na każdym kroku z zasadniczą nieprzyjaźnią. Sprzeciwiał on się również wtedy obesłaniu przez Czechów rady państwa, ale dla ważnych powodów ustąpił; abstynencya jednakże, późniéj na jego życzenie przeprowadzona, nie przyniosła narodowi spodziewanych korzyści i została po jego śmierci zaniechana.

Organem jego były z początku „*Narodni Listy*”, późniéj zaś (1863—66) „*Narod*”, w którym ogłosił największą swą pracę polityczną: „Idea państwa austryackiego” (*Idea státu Rakouského*) 1865. Późniéj na zarzuty ze strony Młodoczechów odpowiadał w polemicznych broszurach: „Kilka słów o religii i wierze” (1873), „O rozterce w narodzie czeskim” (1875) i innych. Większość swych drobniejszych prac i artykułów, w języku czeskim pisanych, zebrał i wydał pod tytułem: „*Radhost*” [1]) (3 tomy 1871 — 73), umieszczając na końcu „*Doslov*”, rzecz wydaną także po niemiecku pod nagłówkiem: „*Politisches Vermächtniss*” (Testament polityczny), a zawierającą między innemi i poglądy na kwestyę socyalną, a mianowicie robotniczą. Palacki ostrzega przed gwałtami i nadużyciami i spodziewa się wiele od rozumu i sprawiedliwości innych klas. Niemieckie drobiazgi polityczne wyszły pod napisem: „*Gedenkblätter* (1879), historyczne zaś — pod tytułem: „*Zur böhmischen Geschichtsschreibung* (1871). Zajmował się nadto wydawnictwem źródeł, jako to: „*Urkundliche Beiträge*” (tom I—1860, tom II—1873) i „*Documenta Mgri Johannis Hus*” (1873).

Ostatnie lata swe spędzał [2]) posiwiały w pracy dla narodu, otoczony czcią powszechną, któréj wyrazem była składka, wynosząca skromną, co prawda, sumę 15,000 złr. Złożono mu ją w ofierze od narodu 1866 r. Palacki połowę téj sumy przeznaczył na pomnożenie biblioteki Muzeum narodowego, drugą zaś połowę na wydawnictwo czeskich źródeł historycznych. Dotąd wydano już 5 tomów z tłómacze-

---

[1]) Za tytuł wziął on nazwę góry, w pobliżu któréj leży jego rodzinna wioska.

[2]) Aż do śmierci swéj żony w 1860 przesiadywał P. najwięcéj w jéj majątku, Lobkowicach; odtąd, oddawszy Lobkowice synowi Janowi, przemieszkiwał latem u swego zięcia, Riegera, we wsi Malce, a zimą w Pradze.

niem źródeł, w obcych językach pisanych, na czeskie. Cześć swą wyrażał dlań długi szereg towarzystw naukowych czeskich i obcych, mianując go swym członkiem. W założonym przez siebie związku „Svatobor", mającym na celu opiekę nad czeskimi literatami i ich rodzinami, był aż do r. 1875 prezesem. Razem z tą godnością złożył prezesostwo w Czeskiém Towarzystwie naukowém. Czuł bowiem już zbliżający się koniec swego życia. Na wiosnę r. 1876 obchodzono uroczyście bankietem ukończenie i wydanie w języku czeskim ostatniego dotąd brakującego tomu jego „*Dějin*" (1253—1403). Wkrótce jednak nastąpiło tak znaczne pogorszenie w jego zdrowiu, że nie mógł wyjechać z Pragi na wypoczynek, jak radzili lekarze, lecz umarł w stolicy na rękach swéj córki, otoczony całą rodziną, dnia 26 maja. Strata wodza wzruszyła do głębi najszersze masy narodu. Równie wspaniałego pogrzebu, w którymby wzięły udział tak liczne tłumy, nie oglądała Praga od 1379 r., kiedy odprowadzano do grobu pierwszego ojca ojczyzny, ces. Karola IV.

VII.

Gdyby Palacki, umierając, spojrzał wstecz na 60-cio lecie swéj usilnéj pracy na niwie narodowéj, mógłby z dumą oglądać stokrotne plony swych zasiewów; mimowoli nasuwa się na myśl ewangeliczna przypowieść o ziarnku gorczycznén... Nie wszystko on zdziałał, bo nie brakło mu współpracowników, tak z początku — swych rówieśników, jak i poźniéj — liczniejszych sił młodszych. Był on nietylko człowiekiem wszechstronnéj pracy, ale także jéj organizatorem, twórcą programów. Skreślony przez niego program życia narodowego jest tak bogaty, że dotąd nie stracił swego znaczenia i mieć go będzie w przyszłości. Zawsze on stał na czele hufca, walczącego w sprawie Czechii piórem i na mównicy; jako przewodnik, wskazywał rodakom drogę wśród pomroki absolutyzmu i bezdroży początków życia konstytucyjnego. Któż bowiem był bardziéj do tego upoważniony i przygotowany, jeśli nie ten, co najlepiéj poznał przeszłość narodu i wżył się w nią, najwięcéj myślał o jego prawach i zadaniach? Palacki jeden wiązał przeszłość Czechów z ich teraźniejszością. Z jego imieniem, czy jako twórcy, czy inicyatora, czy też jako działacza, łączy się prawie każde ważniejsze przedsiewzięcie narodowe, prawie każda narodowa instytucya, słowem jest on uosobieniem wszystkich dążności i interesów narodu czeskiego.

Przybywszy do Pragi, istotnie nie mógł napewno powiedziéć, czy swemi wysiłkami nie otoczy tylko bladą aureolą skroni konającego du-

cha narodowego. Pół wieku zaledwie upłynęło—a jaka zmiana! Naród, który nie był siebie świadom, nie upominał się o swe prawo do życia, okazał tyle inercyi życiowéj, rozwinął taką spotęgowaną działalność na każdém polu, że Palacki mógł z zupełną stanowczością powiedzieć, że Czesi zachowają swą narodowość, pokąd *sami* będą chcieli, i umiérał bez trosk. Naród, jego ukochane dziecko, w tak świetnéj teraźniejszości miał zadatek na świetniejszą przyszłość. — Nie trzeba bowiem zapominać, że odrodzeniu w dziedzinie ducha towarzyszy szybki rozwój pod względem ekonomicznym. Czechy należą do najbogatszych krajów w Europie; wszystkie, nawet najwybredniéjsze potrzeby zdolne są zaspokoić fabryki czeskie. Gdy polska wieś bieli się w dali i szarzeje, wieś czeska się czerwieni, bo jest murowana i dachówką kryta. Czesi, których liczba w ciągu wieku wzrosła z 2 milionów do 6, szczycą się swą narodowością, oświatę uważają za najsilniejsze palladyum swego bytu, pracowitością przewyższają Słowian innych, a nawet Niemców. W tych ich cnotach leży tajemnica ich siły. Czechia, jaka jest obecnie, jest owocem, jest cudem pracy bez wytchnienia i bez wątpienia.

Wizerunek „Wielkiego Czecha" byłby niezupełny, gdybyśmy nie skreślili jego poglądów estetyczno-filozoficznych, historycznych i politycznych.

Jako student preszburski, zaczął Palacki pisywać poezye, naśladujące klasyków i Klopstoka, lecz jeszcze w liceum począł je uważać za grzeszki młodzieńcze, nowsza krytyka twierdzi jednakże, że zbyt nisko oceniał swój talent poetycki. Mimo to nie wyrzekł się poezyi na zawsze, owszem w przyszłości obiecywał sobie napisać tragedyę „Jan Hus", późniéj myślał o wielkiéj epopei, przedstawiającéj walkę narodów z Napoleonem.

Jako filozof, był on zdeklarowanym wielbicielem mędrca królewieckiego. Przyszedł do tego po wielkiéj walce duchowéj, która się w nim odbywała od 1818 do 20. Demon sceptycyzmu metafizycznego i religijnego zatrząsł nim — tak opowiada sam o sobie — tak silnie, że w umysłowości jego pozostała tylko ruina, z któréj sobie na nowo musiał zbudować podstawy poglądu na świat. Grad pytań się narzucał, a odpowiedzi na nie się nie zjawiały... Przesilenie to jednak przebył szczęśliwie. Fanatyzm lat chłopięcych nie wrócił, ale z nim przepadła i cała wiara katechizmowa. Bardzo wysoko stawiał on przez całe życie chrześcijaństwo, ale sympatya jego pozostała przy protestantyzmie, w którym się wychował; na katolicyzm zapatrywał się z objektywnością filozofa i historyka. Goll powiada, że byłoby bardzo dobrze, gdyby tak katolicy, jak i protestanci, zachowywali w historyografii taki objektywizm, jakim odznaczał się Palacki. Jakkolwiek z dumą podnosi on,

że husytyzm otwiéra nowy wiek w dziejach chrześcijaństwa, jako zwiastun i poprzednik reformacyi, to jednak zdobywa się na jego krytykę i zarzuca mu, że gdy z początku, zrzucając ciężki balast powagi hierarchicznéj, stanowił postęp i wywołał doniosłe skutki, popadł późniéj pod władzę kalikstyńskiego rygoryzmu, powagi jeszcze uciążliwszéj dla ducha, niż kościół rzymski. A nawet wychwalana przezeń „Jednota braci czeskich” nie wydawała mu się doskonałą bez zarzutu, bo była regułą zakonną, jako taka nie była dostępna dla całości narodu i normalną pracę kulturalną na drugi plan usuwała. W r. 1820 sformułował on w dzienniku swoje wyznanie wiary: ...Wierzę, że jest jakaś Zwierzchnia Moc, która stworzyła wszechświat i rządzi nim... Objawienia nie chcę się tykać... Jestem przekonany o rzeczywistości nieśmiertelności, ale nigdy o niéj rozmyślać nie będę. Widzimy więc, że w poglądach swych religijnych unikał Palacki ile możności, dogmatów i roztrząsania ich. Tém właśnie odznaczała się wiara „Jednoty brackiéj”, do któréj jego przodkowie należeli. To, co inni ganili „Jednocie”, że w jéj dogmatyce jest coś niepewnego, to cenił w niéj Palacki; zwłaszcza najwyżéj stawiał ją dla tego, że na pierwszém miejscu kładła ludzkość (*humanitas*) i praktyczną miłość bliźniego, ostatecznym celem i racyą bytu naszego jest dla Palackiego właśnie „czyste człowieczeństwo”; „najwyższą i najświętszą powinnością człowieka jest — być człowiekiem”. Wiara i filozofia były dla niego dwoma stronami téj saméj kwestyi, obie wskazywały mu drogę do jednego celu, to jest: do „Królestwa Bożego”.

Palacki stoi na stanowisku subjektywizmu, który jest kamieniem węgielnym filozofii Kanta, ale nie we wszystkiém podobała mu się jego krytyka, w niektórych rzeczach go opuszcza i kroczy własną drogą. Różni się od niego przedewszystkiém w kwestyi Boga, świata i ducha. Kant uważa je za idee transcendentalne (*Vernunftbegriffe*), o których conajwięcéj możemy miéć problematyczne pojęcie; nie może więc być mowy o racyonalnéj psychologii, kosmologii i teologii. Dla Palackiego „realny byt ducha” *(das reale Sein des geistigen Prinzip)* (jak się wyraża) jest wprost postulatem filozofii i to nie dla tego, że myślimy (*cogito*), ale dla tego, że istniejemy (*sum*). Również dla tego, że mamy wrodzone upatrywanie jednéj przyczyny wszelkiéj przedmiotowości, postulatem filozoficznego myślenia musi być rzeczywiste istnienie Boga, podobnie się rzecz ma i ze światem, który též jest „*das reale Prinzip*”.

Drugie ważne odszczepieństwo od filozofii Kanta popełnia Palacki w estetyce, dla któréj znalazł formułę w dziele Bakona „*De augmentis scientiarum*, mianowicie w jego tezie: *poësis narrativa est divinitatis cuiuspiam particeps.* Palacki podstawia tu zupełnie słusznie

obszerniéjsze pojęcie: sztuka — *ars* i jeszcze ogólniejsze *krasa* — *pulchrum*. *Krasa* (piękno) nie jest subjektywnym wytworem *a priori* ducha ludzkiego, ale należy do istoty Boga i jest jedną z jego cech, ponieważ zaś podnosi naszego ducha i prowadzi go do Boga, czyni przeto Boga naszym udziałem. Już z natury wrodzona, przyświeca człowiekowi *iskra boża* w głębinach jego duszy, ale jest ona słaba i łatwo zgasnąć może; zadaniem człowieka jest pielęgnować ją i rozwijać, bo z niéj pochodzi wszystko, co mamy w życiu pięknego i wzniosłego. Tę iskrę bożą i dążenie do Boga nazwał on po czesku *božnością*, którą rozkłada na trzy idee: prawdę, dobro i piękno, będące jéj formami. W ten sposób zlał on estetykę z metafizyką w jedną całość i pojęcie bożności, które jest identyczne z ideą wszechludzką (*humanitas*) Kollara i Herdera, uczynił fundamentem swéj filozofii narodowéj. Jako naczelną zasadę swéj etyki, postawił ów głęboko humanitarny kategoryczny imperatyw natury: „nie czyń drugiemu — co tobie nie miło" i uwzględniał etyczne motywy w dziejach. Te filozoficzno - religijne poglądy są kluczem do zrozumienia jego poglądów historycznych i działalności politycznéj.

VIII.

Już za pobytu na Węgrzech na ławie szkolnéj i późniéj interesował się Palacki obok historyi i obecnym biegiem wypadków, czytał gazety, zwłaszcza pilną uwagę zwracał na państwa, w których po kongresie wiedeńskim dotrzymano obietnicy przypuszczenia poddanych do współrządów, jak to sam notuje w swym dzienniku. Był on już wtedy liberalny i całą swą sympatyę zwracał ku rządom konstytucyjnym, ale niechętnie patrzał na rewolucye, na przyśpieszanie naturalnego tempa życia społeczeństw.

Przybywszy do Pragi, zastał tam martwą ciszę polityczną, któréj sam też nie mógł przerywać. Nie znamy dokładnie jego przekonań politycznych z tego czasu, bo ich nie wyrażał; publicznie mówić nie było wolno, a pisać, nawet prywatnie, było bardzo niebezpiecznie. Wszakże wiedząc, że w niczém mniéj, jak co do poglądów swych zasadniczych, się nie zmieniał i że instruował opozycyę stanową w piątym lat dziesiątku, możemy mu śmiało przypisywać te same zasady polityczne, co i późniéj. Ze szlachtą utrzymywał dobre i ścisłe stosunki, co dla obu stron było bardzo korzystne. W program Palackiego wchodziło uświadomienie narodowe szlachty czeskiéj, zwłaszcza magnatów, co się je-

dynie w drobnéj cząstce spełniło [1]). Był on przekonany, jak to wyraził w liście do Kollara (1832), że „dopóki nie pozyskamy sobie wyższéj szlachty, dotąd dla nas nie będzie ratunku". Stąd to pochodziło, że choć w r. 1848 odsunął się od szlachty i prawie z nią zerwał—(szlachta też sama, nierada, że Palacki nie zabiéra się do bronienia jéj interesów „stanowych", cofnęła się i padła w objęcia reakcyi)—robił dla niéj, dla katolicyzmu i konserwatyzmu ustępstwa w teoryi i praktyce i dłoni podanéj przez Clam-Martinica i garść szlachty nie odepchnął, gdy ponownie czynnéj jął się polityki.

W pierwszym okresie swéj działalności politycznéj, jako prawdziwy liberał, głosił Palacki hasła przyjęte przez rewolucyę francuską. „Swoboda, równość i braterstwo wszystkich w państwie żyjących jest, jak przed tysiącem lat, tak i teraz hasłem naszém" — woła on w manifeście Zjazdu Słowiańskiego. Oczywista, te zasady wydają mu się „pierwotném dziedzictwem ojców naszych, Słowian". Podamy tutaj krótkie streszczenie jego poglądów politycznych. Największy dar Boży, swoboda, jest warunkiem szczęścia człowieka i jego godności. Panuje ona tylko tam, gdzie wszyscy używają wspólnego prawa i mają równą miarę uprawnień i obowiązków; precz z feudalizmem i przywilejami! Granicę swobody stanowi boskie przykazanie: „nie czyń drugiemu, co tobie niemiło". Jak w łonie społeczeństwa jednostki, tak wśród ludzkości narody powinny się cieszyć zupełném równouprawnieniem bez względu na liczebność i potęgę polityczną, bo natura nie zna panujących, ani służebnych narodów. Powyższa zasada moralna i narody obowiązywać powinna, bo prawo narodów jest w rzeczywistości prawem natury. Austrya obejmuje tak wiele narodów różnorodnych, że słusznie poczytać ją można za miniaturę ludzkości, żąda więc Palacki, aby Austrya, jeżeli chce istnieć nadal, stała się monarchią konstytucyjną, w któréj wszystkie narody będą sobie równe. To nie da się przeprowadzić przy centralizacyi, ale w formie federacyi, bo Austrya nie może być państwem jednego narodu (Niemców), wtedy bowiem indywidualność narodowa reszty ludów byłaby zagrożona. Czesi i inni Słowianie austryaccy, jako narody małe, są skazani na assocyacyę, a gwarancyę swobody dać im może Austrya jedynie, ale Austrya z rzeszą niemiecką nic wspólnego nie mająca. Jest ona im potrzebna dla obrony przed pangermanizmem, a z drugiéj strony przed pochłonięciem przez Rosyę.

[1]) Dziś spełnienie tego życzenia jest odsunięte w dalszą przyszłość, niż było przed 1848 r.

Jakże pragnął Palacki urządzić stosunki wewnętrzne Austryi w swym projekcie, który w Kromieryżu odrzucono? Austrya miała się dzielić na 4 grupy: 1) polską, 2) czeską, 3) niemiecką i 4) illirską, które miały mieć wspólne: 1) cesarza i jego dom, 2) sprawy zagraniczne, 3) sprawy wojskowe, 4) ogólne finanse, 5) sprawy handlowe i środki komunikacyjne. Sprawami temi miało kierować pięciu ministrów wspólnych (z prezydentem na czele). Każdą grupą miał kierować minister ziemski z pięciu radcami ministeryalnymi dla spraw wewnętrznych, sądownictwa, przemysłu, finansów i kredytu. Na sejm wspólny miały wysyłać corocznie do Wiednia swych delegatów (jeden delegat na 150,000 mieszk.) sejmy prowincyonalne, wybierane co 3 lata (jeden poseł na 15.000 głów). Później żądał on utworzenia dla spraw ogólnopaństwowych rady stanu.

Program Palackiego, wychodząc z zasady federacyjnéj, nie był identyczny z programem historycznego prawa czeskiego państwowego, bo i dziś oba te programy, choć się niejako pokrywają, tylko do pewnego czasu mogą iść ręka w rękę. Historyograf Czech podporządkował programowi nowszemu austro-federalistycznemu program czeski prawno-państwowy, który postawił Brauner i któremu on z początku ulegał. Dopiero, gdy burze święto-duszne [1]) tamten zdruzgotały, wystąpił ze swoim. Program prawno-państwowy począł się na nowo od r. 1860 krzewić wśród Czechów pod wpływem szlachty. Palacki starał się wtedy swój program do opinii powszechnéj przystosować i zlać go z programem prawno-państwowym.

Przedstawicielem liberalizmu był Palacki i w drugiéj epoce swego zawodu politycznego, ale nie chciał mieć nic wspólnego z niektóremi wstrętnemi i płaskiemi poglądami, które z liberalizmem łączono, jak materyalizm i stawianie egoizmu jako zasady naczelnéj życia ludzkiego. Swobody się nie wypierał, bo ona nie sprzeciwia się moralności i prawom innych i, co z tém związane, najwyższym celom i zadaniom państwa. Jakkolwiek robił on daleko idące ustępstwa dla szlachty, nigdy jéj politycznych przywilejów przyznać nie chciał.

Swój pogląd na stosunki polityczne w Austryi zmienił Palacki o tyle, że gdy poprzednio pragnął on oprzéć ustrój Austryi na podstawie wyłącznie etnograficznéj, teraz przejął się poglądami węgierskiego barona Eötvösa, który w dziele swém *„die Garantien der Macht u. Einheit Österreichs*, w r. 1859 wydaném, postawił teoryę *indywidualiz-*

---

[1]) W Zielone Świątki trwające.

mów historyczno-politycznych. Oczywiście przez to zmieniły się tylko zasady filozoficzno-prawne i szczegóły, ale główne zarysy jego idealnéj organizacyi państwa austryackiego pozostały te same; nie będziemy więc tutaj ich powtarzać.

W głównem swém dziele politycznem: „Idea państwa austryackiego„ opiera się Palacki zresztą na tych samych podstawach, co dawniéj. Austrya powinna się stać objawieniem i wzorem równouprawnienia narodów, bo tę rolę natura jéj przeznaczyła. Nie może to nastąpić za centralizacyi ani dualizmu, bo dualizm tworzy tylko dwie centralizacye, jest złem podwójném, ale jedynie w formie federacyi grup krajów, nie zaś ludów historycznie i geograficznie do siebie przynależących. W Austryi ma przecież panować prawo i ustawa (t. j. wola wszystkich w państwie żyjących); z jakiéj tedy racyi mają ulegać jednemu lub dwom narodom inne? Czyż mają one spełniać rolę narzędzi, służących właścicielowi do osiągnięcia jego własnych celów?

Nietrudno dostrzedz, że cała polityka Palackiego jest kontynuacyą filozofii wszechludzkiéj (humanitarnéj) Kollara i jego niepolitycznego programu wzajemności słowiańskiéj, ale w kierunku praktycznym i narodowym (a nie plemiennym). Związek ten tém pewniejszym się nam wyda, jeżeli zważymy, że i Kollar kładł największy nacisk na austroslawizm, i że Palacki w rozwiązaniu kwestyi równouprawnienia ludów w Austryi widział rozstrzygnięcie pytania, czy idea wszechludzka może się na ziemi urzeczywistnić. Marzył on bowiem, jak i Kant, że zniknie „tyrania ras" i zapanuje wieczny pokój wśród ludów.

W kwestyi robotniczéj żądał on, jak już wyżéj wskazywaliśmy, sprawiedliwości, ale drogi do naprawy, jakie podaje socyalizm, uważał za błędne i bezbożne. W taktyce i teraz nie odstąpił dawnych poglądów; oświatę uważał za broń najpotężniéjszą, choć nie jedyną; usilnie ostrzegał przed używaniem przemocy, bo to miecz obosieczny, zwłaszcza ze względu małéj liczby Czechów, a radził jedynie postępowanie lojalne, sprawiedliwe i w granicach ustaw. Ale zarazem przyszedł on do przekonania, że Czesi, na niczyje łaski liczyć nie mogą i nie potrzebują, i nie waha się wypowiedzieć tych słów pełnych świadomości narodowéj siły: *„Byli jsme před Rakouskem, budeme i po něm!"*

Aby nie pozostawić luki, nie możemy przemilczéć stosunku Palackiego do Rosyi i jego podróży na wystawę etnograficzną w Moskwie w r. 1867. Wszechsłowiańskie uczucia i sympatye znalazły w jego umyśle najżywszy oddźwięk w latach młodzieńczych i na starość, kiedy doznał już tyle zawodów w szrankach polityki. Widzieliśmy, że

w r. 1848 upatrywał racyę bytu Austryi w oporze przeciw pangermanizmowi i panslawizmowi. Późniéj silna reakcya centralistyczna zrodziła w liberalnych głowach Hawliczka i jego myśl, że jeżeli ma się znosić absolutyzm, to już lepiéj rosyjski niż austryacki, był to jednak tylko argument użyty w walce politycznéj, ale nie brany na seryo. Powoli jednakże sympatye jego do Rosyi stawały się coraz żywsze, w „Idei państwa austryackiego" zmieniła się jego zasada: Austrya przeciw Rosyi na aksyomat: Austrya obok Rosyi; punktem kulminacyjnym tych objawów była owa głośna pielgrzymka Czechów z Palackim na czele na wystawę etnograficzną w Moskwie i do Petersburga. Wpłynęła na to okoliczność, że po cesarzu Mikołaju I wstąpił na tron Aleksander II, monarcha pragnący postępu, który już początek swych rządów zaznaczył doniosłemi reformami, i że wielu najpoważniejszych uczonych i publicystów rosyjskich jaknajlepsze stosunki z Czechami utrzymywało (Pogodin) i zawsze o nich przychylnie się wyrażało. Zwłaszcza, kiedy wskutek r. 1866 tak się ułożyły sprawy wewnętrzne w Austryi, że Niemcy i Madziarzy utwierdzili swą przewagę nad innemi ludami i stworzyli uciążliwe dla nich warunki bytu przez swój gruby, jednostronny despotyzm plemienny, Palacki widział w Rosyi jedyną osłonę dla Słowian zachodnich.

Zaraz po téj wycieczce, podczas któréj Czesi byli przyjmowani z serdecznością i honorami, nastąpiła pod tym względem reakcya, albowiem opinia publiczna w Austryi z oburzeniem to przyjęła i zarzuciła przywódcom ruchu narodowego czeskiego zdradę państwa, a nawet zdradę swéj narodowości. Wtedy oni widzieli się zmuszeni oczyścić z zarzutów w manifeście, zaprzeczającym jakoby wchodzili z rządem rosyjskim, który nic dla Czechów nie zrobił, w jakiekolwiek tajne układy i zamierzali nakłonić naród do wyrzeczenia się swéj mowy i literatury, stosunki utrzymuje jedynie naród z narodem z powodu pokrewieństwa plemiennego. Palacki miał jeszcze kilka razy sposobność wypowiedzieć swój pogląd na stosunek Rosyi do Czechów; przytoczymy tutaj jego słowa z „Dosłowia" do Radhost'u: „Odpowiem Rosyanom, że Czesi swą narodowość więcéj niż od tysiąca lat bynajmniéj nie na to z niewypowiedzianém poświęceniem bronili i zachowali, aby się jéj zrzec za lada grzeczne słówko", i oświadcza, że jego politycznym ideałem jest i nadal federacyjna Austrya. W polemice zaś z prof. Makuszewem oświadczył on: „Gdybyśmy mieli przestać być Czechami, to nam wszystko jedno, czy się staniemy Niemcami, Włochami, Madziarami, czy téż Rosyanami. Czesi (jednakże) zachowają swą narodowość, dopóki będą chcieli. Nie każdemu ludowi Opatrzność pozwoliła być

ekstensywnie wielkim, ale intensywnie stać się wielkim leży w mocy każdego, który nie lekceważy swego ludzkiego przeznaczenia."

Palacki, jak i Hawliczek, nie był republikaninem, ale demokratą, bo widział, że nie monarchia jest przeciwieństwem demokracyi, lecz arystokracya. Przez demokracyę rozumié on konstytucyonalizm, jest jednakże przeciwnikiem powszechnego głosowania i przypomina, że demokracya jest to rządzenie ludem za jego zgodą, a nie oznacza wcale rządów ludu. Hawliczek był radykalniejszy, pragnął największego udziału w rządzie państwa szerokich mas ludu, pozbawionych dotąd praw politycznych, i jest oczywiście zwolennikiem powszechnego głosowania. Mimo to zasadniczych różnic między nimi nie było żadnych; federalizm historyka przyjął za swój program dziennikarz, dedykował mu „Ducha Nowin narodowych" i dał mu stałą gościnę w swym dzienniku. Obaj stali się koryfeuszami przeciwnych sobie obozów politycznych: Palacki Staroczechów, Hawliczek Młodoczechów, ale żaden, powiada prof. Masaryk, nie cieszyłby się z postępków swych duchowych dzieci, które zbyt jednostronnie pojęły i przeprowadzały ich myśli. Stosunek do szlachty stanowił główny powód rozdziału na partye; pod jéj wpływem wyszli Staroczesi na jednostronnych konserwatywnych polityków, wobec czego Młodoczesi po śmierci Palackiego ujęli ster polityki narodowéj i stali się wyłącznymi reprezentantami narodu na zewnątrz. Palacki był całą duszą historykiem, historyzm téż zawiódł go w wielu kwestyach politycznych na drogę konserwatywną; w swym federalizmie był on nieco doktrynerski, choć umiał się ustrzedz nieopatrznéj ideologii. Celem jego polityki było: 1) aby Czesi nie zatracili swéj narodowości, 2) aby sami o swych losach decydowali, czyli innemi słowy pragnął on dla swego narodu takich warunków bytu, któreby dawały zasadnicze korzyści niezawisłości politycznéj bez niéj saméj, albowiem marzyć o niéj wydało się mu szaleństwem.

Palacki był człowiekiem silnych przekonań i silnéj woli, do Pragi przybył już jako dojrzały mąż i od téj chwili wcale się nie zmienił, ulubioném jego słowem było: niezłomny. Dyskusyę i spór prowadził, dopóki nie stracił nadziei, że go posłuchają, gdy widział, że to niemożliwe, milknął i wycofywał się. Późniejsza jego „polityka bierna" wynikała z téj właściwości jego charakteru — dobréj, ale złe owoce rodzącéj.

W polityce czynnéj i biernéj nie był tak szczęśliwy, jak na polu historycznéem, aby mógł dumne „*Exegi monumentum*" wygłosić, bo

polityka i życie polityczne było dlań tylko środkiem do daleko rozleglejszego celu, którym była pełnia bytu narodowego, jak się wyraził prof. Goll.

IX.

Pozostaje nam jeszcze skréślić znaczenie Palackiego, jako historyka. Dziejopisarstwo uważał on za święty urząd w służbie ludzkości, którego najpierwszym obowiązkiem jest szukać i bronić prawdy. „Dzieje narodu czeskiego" były zadaniem jego całego życia i same miały swoje zadanie: napisane były w służbie narodowèj, miały być środkiem do obudzenia narodu i wychowania go. Palacki wierzył, że jednostki i narody mogą się uczyć z historyi, i żądał, aby się uczyły. Do mniemania o dydaktyczném jéj znaczeniu doszedł już w młodym wieku i pozostał przy niém do końca. „*Dějiny*" są zwierciadłem nietylko przeszłości Czech, ale także są odblaskiem doby, w któréj powstały, i doby, któréj zawdzięczał swój pogląd na świat wielki historyograf, nie mamy bowiem powodu przeczyć, że Palacki wycisnął na swém dziele piętno swego wielkiego ducha, swéj subiektywności. Bogactwo treści, krytyczne opracowanie, szlachetna tendencya i piękna forma zapewniają „*Dějinom*" poczestne miejsce w rzędzie klasycznych utworów historycznych, nigdy one nie pójdą w zapomnienie. Dla Czechów są one czémś więcéj, są księgą zakonu, któréj główne idee, wyczytane z przeszłości narodu przez głęboki umysł Palackiego, stały się najcenniejszym majątkiem duchowym Czechii.

Wielki Czech był nawskroś jednolitym człowiekiem; zasady, któreśmy powyżéj wyłuszczyli, znajdują się oczywiście i w jego pracach historycznych, i stąd właśnie przenosił je w sferę swego działania politycznego. Zasadnicze myśli swéj historyozofii wyłożył on w niemieckiém dziele „*Das Hussitenthum*" (1868), ale pochodzą one z czasów przed opuszczeniem Węgier i niejednokrotnie już okolicznościowo były wyrażane. Historya wogóle, powiada on, jest to konieczny sąd świata nad tymi, co działali w przeszłości, sąd tylko ludzki, a więc ani nieomylny, ani dostateczny. Każde zdarzenie historyczne przedstawia się jako starcie, spór dwóch prądów, dwóch potęg, którego to sporu osądzenie o tyle jest trudniejsze od zwykłego, że świadków do przesłuchania w téj sprawie szukać musimy między martwymi, dlatego tém silniéj trzymać się musimy zasad krytyki historycznéj, aby późniéj nie uledz potępieniu za stronniczość. Antagonizm dwóch sił, z których walki tworzą się dzieje i wynika postęp, spotykamy także i u Rankego, uchodzącego za największego historyka naszego wieku.

Jako dziejopisarz, daje Palacki pogląd na technikę swéj pracy i pozwala się wszechstronnie kontrolować; nie lekceważy literatury monograficznéj, a odmienne swe zdanie stara się zawsze uzasadnić. W pracy swéj starał się wyzyskać wszystkie źródła, które tylko mogły być mu dostępne, dlatego też odbywał on dalekie podróże po całéj Europie, poszukując źródeł historycznych czeskich i to przeważnie nie mogąc jeszcze korzystać z obecnych środków komunikacyjnych. Archiwa i biblioteki około 70 miast dostarczyły mu materyałów do jego prac historycznych. Paryż i Królewiec, Medyolan i Wrocław, Rzym i Budapeszt należą do téj liczby. Należy także przypomniéć, że i do Pragi w r. 1823 wybrał się Palacki w celu poszukiwań materyałów historycznych, których odtąd aż do śmierci zbiérać i wydawać nie przestał. Pracował w historyi wszechstronnie, wszystkie objawy życia ludzkiego i wszystkie jego warunki zarówno go zajmowały. Obok historyi politycznéj, uwzględniał numizmatykę i językoznawstwo, wciągał do badań historycznych statystykę, pisał prace z zakresu historyi społeczeństwa, literatury, sztuki; bardzo umiejętnie badał rozwój prawa czeskiego, dla dyplomatyki zrobił on bardzo wiele przez zwrócenie uwagi na formularze i przez krytyczne opracowanie dokumentów klasztornych. Ponad wszystkiém panuje bystry duch jego krytyczny. Był on mistrzem w krytyce źródeł, ustalał zasady jéj metody i znakomicie je stosował w konstrukcyi. Obok nieocenionéj „*Würdigung*”, o któréj w życiorysie wzmiankowaliśmy, pisał i późniéj liczne prace z zakresu krytyki źródeł. Oprócz przytoczonych w ciągu opowiadania naszego znaczniejszych prac, zostawił też Palacki mnóstwo drobniejszych rozpraw.

Był on pierwszym historykiem czeskim, który dotrzymywał kroku całéj współczesnéj historyografii. Nieraz większą jest zasługą postawić kwestyę, niż dać na nią odpowiedź, a on właśnie we wszystkich swych pracach z niesłychaną bystrością i śmiałością dotyka każdego objawu życia społecznego w przeszłości i stara się wszystkie zagadnienia rozwiązywać. Zwłaszcza trafnie pojął on i posługiwał się metodą porównawczą, szukając u obcych, sąsiadów i pokrewnych światła, którego w domu brakowało (np. w kwestyi prawa staroczeskiego).

„*Dějiny*” to potrójny wielki czyn kulturalny, naukowy i narodowy, poświęcił mu też autor całe życie; chciał napisać całość, ale tego nie dokonał, za to jakość tego, co pozostawił, nagradza brak całości. Już około 1850 r. począł powątpiewać, czy mu życia starczy na wykonanie zamierzonego dzieła; postanowił dociągnąć tylko do bitwy na Białéj górze (1620), późniéj przekonał się, że i to jest kres za daleki, zawiadomił tedy 1862 r. stany, że zdoła tylko doprowadzić swe dzieło do wygaśnięcia dynastyi Jagiellonów (1526) i prosił, aby do dalszéj

pracy powołano młodszego historyka ze świéżemi siłami. Tym jego następcą w urzędzie historyografa miał być Gindely, ale później zaniechano go, był bowiem i narodowo i wyznaniowo bezbarwnym; w chwili, kiedy przestał pracować stary Palacki, nie było nikogo, ktoby był zdolny kontynuować jego „Dzieje".

Palacki kréślił obraz przeszłości Czech, jako „Ojciec ojczyzny", z przejęciem się i miłością.

Wyższe duchy dziejopisarskie twierdzą, że bezstronność jest wysoko podnoszona tylko w przedmowach, wymagają więc tylko od historyka, aby wszelkie źródła wyzyskał i brzmieniu tekstów, bez najgruntowniejszego uzasadnienia ile możności innemi wiarogodniejszemi źródłami, nie sprzeciwiał się, bo wiedzą, że w konstrukcyi i przedstawieniu wypadków nie można się oderwać od własnych przekonań. Otwarcie też orzec musimy, że hasłem jego „*Dějin*" wogóle jest: „*pro populo bohemico*", pojedyńcze zaś części są apologią pewnych prądów i osób. Wiele ustępów, a zwłaszcza tom pierwszy jest przestarzały, najważniejszą część dzieła, dzieje XV-go wieku, co do wielu szczegółów sprostował Tomek na podstawie obszerniejszych źródeł; jest to naturalny skutek postępu w dziejopisarstwie i nic nie ujmuje autorowi. Całego dzieła rozbiérać nie możemy, podniesiemy tylko partye doskonalsze i ważniejsze. Szósta księga, obejmująca czasy Przemysława Ottokara II, jest obroną tego znakomitego króla słowiańskiego a zarazem popisem Palackiego w przedmiocie krytyki i artystycznego przedstawienia, podobnie pełnego dodatnich stron nabiéra postać cesarza Karola IV-go, naszkicowana jego piórem. Doba husycka jest u niego najważniejszą w historyi czeskiéj, gdyż miała znaczenie powszechnodziejowe, widział on w niéj pierwsze starcie się katolicyzmu z protestantyzmem. Husytom przypadło zadanie przedsięwziąć pierwszą walną próbę reformacyi chrześciaństwa na podstawie rozumowego wykładu Pisma świętego, przedsięwzięcie się atoli nie udało, bo ducha inicyatywy i postępu, który był z początku, wkrótce brakło.

Główną treść i znaczenie dziejów czeskich upatrywał Palacki w stosunkach i walkach Słowiańszczyzny z Rzymem i Niemcami, ale ponieważ z Rzymem Czechy nie stykały się bezpośrednio, ale tylko przez Niemcy, więc właściwie tylko zetknięcia z tymi ostatnimi stanowią niejako osnowę dziejów czeskich. Niemcy, Czesi i Polacy należą, zdaniem Palackiego, do téj saméj sfery kultury, która wynikła z syntezy chrześciaństwa, helenizmu i politycznych instytucyi rzymskich, więc przeciwieństwo Słowian i Niemców nie opiéra się na podstawie różnic kulturalnych, ale wynika ze sprzeczności charakterów narodowych (u Niemców: wojowniczość, silna organizacya, arystokracya

i poddaństwo; u Słowian: pokojowe rolnictwo, luźna wolność, demokracya i równość). Zaznaczyć tu musimy, że Palacki pod wpływem teoryi prawa natury i dzieł Rousseau'a wyrobił sobie bardzo idyliczne wyobrażenie o pierwotnych stosunkach u Słowian, podobnie jak i Lelewel i wielu innych, i wyobrażał sobie, że współczesny mu rozwój stosunków społeczno-politycznych w zachodniéj Europie jest właśnie powrotem całego świata cywilizowanego do prasłowiańskiéj idyli, czyli inaczéj urzeczywistnianie postulatów postawionych przez filozofię XVIII-go wieku i rewolucyę francuską uważał za słowiańszczenie się Europy.

Oczywiście, że oprócz zatargu tych trzech potęg na ziemi czeskiéj musiały mieć miejsce i wzajemne wpływy. Zwłaszcza Słowiańszczyzna, jeżeli nie chciała zginąć w nierównéj walce, musiała zaczerpnąć wiele z pożytecznych dla siebie elementów obcych. Dosadnie wyraża się prof. Goll, że „w częściowéj germanizacyi widział Palacki obronę przeciw zupełnemu zniemczeniu", a więc wpływy te grały rolę szczepienia ospy. Słowianie przez długie czasy byli prawie wyłącznie bierni, dopiéro husytyzm był objawem ich czynnego odporu. Była to walka słowiańskiego ducha demokratycznego z niemiecką zasadą społeczną, arystokracyą,—bój swobody i niezależności pod względem umysłowym właściwéj Słowianom przeciw dogmatycznemu autorytetowi germańsko-rzymskiemu,—pogrom chrześciańsko-feudalnego kosmopolityzmu średniowiecznego przez zasadę narodowości żyjącą wówczas najsilniejszém życiem wśród Słowian. Wojny husyckie, budząc miłość ojczyzny i dumę narodową we wszystkich warstwach narodu czeskiego, przybrały od razu charakter boju plemiennego na śmierć i życie między Niemcami a Czechami.

Jak w dziejach ogólnych stał Palacki po stronie protestantyzmu, tak znowu w historyi husytyzmu sympatyzował ze stronnictwem najradykalniejszém, z Taborytami, a to dlatego, że oni mieli zasady i twardo przy nich stali. W dalszym ciągu swego przedstawienia brał on w obronę Jerzego z Podjebradu; uważał tego jedynego króla-husytę za ideał monarchy, za najmilszego sobie bohatéra, bo był on mimo wiedzy i woli przedstawicielem nowoczesności. Narzucenie ludowi sielskiemu więzów niewolnictwa *(porobienie)* za rządów „króla-dobrze". Władysława Jagiellończyka, uważał on za najfatalniejszy błąd zwyrodniałéj szlachty feudalnéj. Skutki tego pognębienia młodszéj braci były straszne i nastąpiły wkrótce. Naród, który wydał w XV-ym wieku takie mnóstwo znakomitych wodzów i bohatérskich wojsk, że cała Europa drżała przed nim i stała im otworem, nie miał dość sił dla obrony własnéj, dla ratowania swego życia w krytycznych dniach sejmu krwawe-

go (1547) i bitwy białogórskiéj (1620); była to kara boża za wyparcie się ideałów słowiańskich przez szlachtę.

Jeszcze słów parę o stanowisku urzędowego historyografa Czech w ich dziejopisarstwie. Jest ono niesłychanie doniosłe, bo był to talent historyczny pierwszéj wody. Dość wspomniéć, że prof. Goll wykazał, iż prawie wszystkie ważniejsze wydawnictwa źródłowe i prace konstrukcyjne, które powstały w Czechach mniéj więcéj od piątego dziesiątka lat wieku bieżącego aż dotąd, nie przekroczyły jego programu pracy historycznéj i zawdzięczają swój początek albo bezpośrednio jemu, albo jego inicyatywie, lub przynajmniéj on ich potrzebę i doniosłość odczuwał i oceniał. Stworzył on również czeską szkołę historyczną, która przezeń sięga tradycyi Dobrowskiego. Tomek z jego szkoły wyszedł, ale stoi samodzielnie obok niego, jako drugi wielki historyk czeski.

Na zakończenie pozwolę sobie sparafrazować podniosłe słowa znakomitego historyka kultury czeskiéj, Zygmunta Wintera, poświęcone uczczeniu Palackiego („*Zlata Prahá*”, 10 czerwca 1898 roku): Był „Wielki Czech” jednym z największych, jakiego Czechia miała. W nim były uosobione wszystkie kierunki i ideały pracy narodowéj, które teraz mają zastępy pracowników.

Zaczął od „Krasy”, pisał poezye i zamierzał w świątecznéj szacie natchnionego pieśniarza wiernie służyć u ołtarza Prawdy, Krasy i Cnoty. Choć porzucił poezyę, Krasie wiary dochował, i ona dała mu tę piękność języka, którym przemawiał, i tę plastyczną formę, w którą wléwal swe nieśmiertelne dzieła.

Był filozofem, głosił sprawiedliwość, prawdę i ludzkość. Ojczyzna, wolność i ideał ludzkości były mu trzema przewodniemi gwiazdami, ale najjaśniéj przyświecała mu pierwsza. Duchy podłe lub nikłe wołały doń: Czechy nie mają wielkich dziejów, nie mają bytu, gdzie jest czeska ojczyzna?! Potężnym głosem odpowiedział: Sława narodów nie polega na ich liczebności, ani na ilości krzywd wzajem sobie zadanych. Czesi wiedli wojny za swobodę i tolerancyę przekonań religijnych. Chlubą narodu jest jego duch, który za wielkie idee żyć i umrzéć gotów. Takiego ducha miał naród czeski i dlatego godzien jest żyć w rocznikach ludzkości. I Palacki stał się wielkim historykiem Czech. Z pyłów archiwów wydobył na światło dzienne wspaniały obraz państwa czeskiego — z źródeł zagrzebanych w niepamięci opisał złotém piórem prawdziwe rysy przodków narodu, ich wielkie

czyny i grzechy. Oczyścił wielkie postaci panteonu czeskiego z jadowitéj rdzy, którą je pokryły wiekowa nienawiść i ślepota. Udowodnił, że wśród narodów kulturalnych Czechom należy nie ostatnie miejsce, ale jedno z pierwszych.

„Dziejami" swemi budził naród, a gdy ten naród zgłosił się do swych praw, które mu się wobec Boga i świata należą, Palacki stanął na jego czele, ale był wodzem nietylko politycznym, on wiódł naród z wielką, gorącą miłością, podnosił, ostrzegał, pocieszał. Przez to stał się „Ojcem swego narodu".

Fr. Bujak.

ZE WSPÓŁCZESNÉJ POEZYI NIEMIECKIÉJ.

Niema to, jak dawne czasy.

(Rudolf Baumbach).

Bajarze i kronikarze
Przedziwne prawią nam dziwy
O staréj żółtéj landarze,
Jeżdżącéj przez nasze niwy...
Przed każdą karczmą na chwilę
Tłum się wylewał z kolasy...
Dziennie robiono trzy mile —
Niema to jak dawne czasy!

Komu się miejsce udało
Zamówić w stosownéj porze,
Ten żegnał rodzinę całą,
Jakby miał jechać za morze...
Dukaty niepostrzeżenie
Zaszywał w pończochy, w pasy...
Krócice chował w kieszenie —
Niema to, jak dawne czasy.

Gdyś nieraz w zadumie rzewnéj
Śnił w drodze o łóżku miłém,
Zaburczał pocztylion gniewny:
„Do stu piorunów! Zbłądziłem!"
Wyjąc, tuż wilki mkną zgrają...
Niema schronienia! Wkrąg lasy!
Drżąc biédne szkapy parskają —
Niema to, jak dawne czasy!

Inna przyjemność junacka
W téj znów mieściła się grozie,
Kiedy landara znienacka
Z trzaskiem padała w wąwozie...
Nieraz ku wielkiéj radości
Tylko oś pękła kolasy,
Czasem łamano i kości —
Niema to, jak dawne czasy!

Lecz dom leśnika ponury
Był okropności koroną!
Już podejrzane figury
Wyprzęgły czwórkę zmęczoną...
Szykują dla gościa łóżko,
Z podełba patrząc, dryblasy...
Brrrr... z pokrwawioną poduszką —
Niema to, jak dawne czasy!

Bez śladu giną tak goście,
Setka za setką przepada...
Aż ślą siepaczy Ich Moście
Ździwieni Panowie Rada...
Ci pogrzeb sprawiają społem,
Z leśnika zdzierają pasy,
A potém łamią go kołem —
Niema to, jak dawne czasy!

Tylko, żeś pieśniarz...

(Juliusz Wolff).

Spotkałem dziewczę w krużganków cieniu,
Ściskam, całuję wbrew pozwoleniu,
Lubo się wzdraga, broni przez chwilę,
Lecz wnet już wszystko przyjmuje mile.
„Jedno to powiem ci — rzecze — ty brzydki,
Tylko, żeś pieśniarz — więc... znoszę te zbytki,
Tylko, żeś pieśniarz!"

Dzięki ci za to! O nie zapomnę!..
Miałem o sobie mniemanie skromne:
Lecz wy, dziewczęta, ach! miejcie wszędzie,
W słowach i czynach, cnotę na względzie...
Przed każdym chłopcem więc — strzeżcie swe progi...
Jeśli nie pieśniarz — to schodźcie mu z drogi...
Jeśli nie pieśniarz!

Lecz pieśniarzowi wierzyć możecie,
I na niejedno pozwolić przecie,
I nie odmawiać czegoś koniecznie...
Na wszystko zawsze zgadzać się grzecznie...
Ach! jakżeż cieszę się — przyznam Wam szczerze...
Jako sam pieśniarz — więc pewny w téj mierze...
Jako sam pieśniarz!..."

Przełożył z niemieckiego

Władysław Nawrocki.

SĄD PRZYSIĘGŁYCH. *)

II.

Żadna instytucya, stworzona przez ludzi, nie może stanowić doskonałości bezwzględnéj, wszystko ma swoje słabe strony, każda rzecz na jakimś punkcie szwankuje. Instytucye społeczne, oprócz słabych stron, nieodzownych w każdém dziele ludzkiém, mają jeszcze tę niedogodność, że nie mogą trwać długo bez zmiany. Życie zmienia się bezustannie, jedna chwila nie jest podobna do drugiéj, każda sekunda przynosi nową myśl, nowe pojęcie, nowy pogląd na rzeczy. To, co było dobrém wczoraj, może być złém dziś i odwrotnie. Cały postęp ludzkości polega na tém, że odrzucamy to, co spełniło już swoje zadanie, pozbywamy się rzeczy przestarzałych, a na ich miejsce stawiamy nowe. Ale gruntowne zmiany odbywają się rzadko, po większéj części do rzeczy już istniejącéj dodajemy nowy szczegół — stawiamy podpórki, albo też odejmujemy to, co już przestało być potrzebne — obcinamy zeschłe gałązki. I zdarza się najczęściéj, że to, co w obecnym stanie nie odpowiada wymaganiom współczesnych, po niewielkich zmianach staje na takim poziomie, na jakim chciałyby go widzieć wymagania społeczeństwa. Często jedna tylko drobniutka śrubka wy-

---

*) Patrz „Ateneum“, sierpień r. b., str. 192.

maga naprawy, i cała maszynerya zacznie funkcyonować bez zarzutu. Tak właśnie rzecz się ma z sądem przysięgłych w jego obecnéj formie. W zasadzie, ten rodzaj sądu więcéj, niż każdy inny, nadaje się do spełniania wysokiéj funkcyi wymiaru sprawiedliwości na polu prawa kryminalnego, lepszym jest od wszystkich innych, ale nie idealnym. Czasy, kiedy na sąd przysięgłych patrzono z bezwzględnym zachwytem, minęły już bezpowrotnie: dziś zaczynamy w nim dostrzegać coraz więcéj drobnych niedokładności, które przy pewném staraniu i dobréj woli możeby się dały usunąć w drodze prawodawczéj. Niedokładności tych jest dosyć dużo, a niektóre z nich są tak znaczne, że znaleźli się pisarze, którzy chcieli ukuć z nich broń do zupełnego zwalczenia sądów przysięgłych. Ale szeregi obrońców téj instytucyi są liczne i silne: niejednokrotnie wykazano już przeciwnikom, że zarzuty ich, o ile tyczą się sądu przysięgłych w zasadzie, nie mają racyi bytu, o ile zaś uderzają w pojedyńcze szczegóły, częstokroć są zupełnie słuszne i zasługują na uwagę, ale nie stanowią broni przeciwko saméj instytucyi. Sąd przysięgłych w téj formie, w jakiéj, za przykładem Francyi, przyjęła go Europa kontynentalna, zasługuje na takie cząstkowe zarzuty i wymaga reform. To też wołają o to wszyscy prawie zwolennicy tego rodzaju sądów. Bardzo szczegółowy i zasługujący na bliższe rozpatrzenie projekt pożądanych zmian w sądzie przysięgłych daje nam cytowany powyżéj artykuł Raula de la Grasserie, p. t. „*Des origines, de l'évolution et de l'avenir du jury*" [1]) w „*Revue internationale de sociologie*" z r. 1897 [2]). Po krótkim wstępie historycznym, autor porównywa sąd przysięgłych angielski, jako prototyp, z francuskim, jako imitacyą, i przychodzi do wniosku, że angielski, jakkolwiek jeszcze nie doskonały, bez porównania wyżéj stoi od jego przeróbki francuskiéj. Znaczną różnicę w organizacyi sądu przysięgłych w Anglii a we Francyi tłómaczy on bardzo słusznie zasadniczą różnicą charakterów narodowych obu krajów. „Kraje anglo-normandskie, anglo-amerykańskie i skandynawskie — podług słów autora — są to kraje indywidualizmu, każdy oddaje tam społeczeństwu tylko cząstkę niezbędną swéj istoty, reszta zaś pozostaje w nietykalném i nienaruszoném posiadaniu jednostki; we Francyi zaś i wogóle w krajach romańskich, a także czysto germańskich (dodajmy od siebie: i słowiańskich), społeczeństwo pochłania jednostkę: bez względu na to, jakim jest układ tego społeczeństwa, monarchiczny, arystokratyczny, czy demokratyczny, jest ono i za-

---

[1]) „O pochodzeniu, rozwoju i przyszłości sądu przysięgłych."

[2]) Str. 497—514, 612—657 i 708—733.

wsze pozostaje kierującém *(autoritaire)*" [1]). Ta różnica w stosunku jednostki do społeczeństwa jest główną przyczyną tego, że angielska forma sądu przysięgłych nie przyjęła się we Francyi, że Francya wprowadziła cały szereg zasadniczych zmian, które w znacznéj części okazały się wadliwemi i w rezultacie zupełnie skaziły pierwotny charakter instytucyi. O ile sąd przysięgłych angielski może funkcyonować, jak się należy, i w zupełności odpowiada potrzebom i wymaganiom narodu angielskiego, o tyle znów francuska przeróbka stała się nienaturalną i na to, żeby spełniać należycie swoje zadanie, wymaga wielu, bardzo wielu zmian. Następnie autor daje cały szereg projektów reformy, projektów, z których jedne są zupełnie słuszne, inne trochę przedwczesne, inne jeszcze zupełnie zbyteczne, albo też niemożliwe do zastosowania w praktyce. Ponieważ francuski sąd przysięgłych niczém prawie nie różni się od rosyjskiego, więc projekty autora dadzą się zastosować jednakowo do prawodawstw obudwu państw. Rozpatrzmy każdy z nich po kolei: 1) Przedewszystkiém nie podoba się autorowi sposób, w jaki się rekrutują przysięgli. De la Grasserie słusznie wysunął tę kwestyę na pierwszy plan, ponieważ jest ona najważniejszą i może najtrudniejszą do rozstrzygnięcia. Najważniejszą jest dlatego, że działalność każdego sądu zależy przedewszystkiém od ludzi, którzy go składają, a szczególnego znaczenia nabiéra ta kwestya w sądzie przysięgłych, sądzie, rozstrzygającym nie na zasadzie zgóry nakréślonych formułek, lecz tylko podług tego, co mu dyktuje wolne, niczém nie krępowane sumienie. Trzeba więc koniecznie, warunek to *sine qua non*, żeby sumienie to nie było chwiejne, żeby spokojnie można było na niém oprzéć przyszłość podsądnego. Daléj, ażeby spełniać trudne obowiązki sędziego, ażeby umiéć z surowego materyału złożyć całokształt pojęcia o sprawie, ażeby odróżnić treść od szczegółów, fałsz od prawdy, patos i retorykę od poważnych argumentów, przysięgły musi posiadać pewną dozę rozwoju umysłowego, obycia, doświadczenia życiowego, poglądy jego powinny być mniéj więcéj skrystalizowane, ustalone. Chcąc, żeby społeczeństwo miało zaufanie do sądu i wierzyło w słuszność jego wyroków, trzeba żeby na przysięgłych nie ciążyła żadna skaza, któraby mogła podać w podejrzenie ich bezstronność. A znaléść większą ilość ludzi, którzyby odpowiadali powyższym warunkom, nietak łatwo. To też na żadnym może punkcie nie projektowano tylu reform, żadnego szczegółu nie zmieniano tyle razy, o żadnym nie pisano tak dużo, jak o tym właśnie. Każdy kraj inaczéj normuje sposób

[1]) „*Revue*“, str. 612.

wybierania przysięgłych, każde prawodawstwo wprowadza inne ograniczenia.

W Anglii do księgi przysięgłych *(juror's book)* zapisują wszystkich obywateli w wieku od lat 21 do 60, umiejących czytać i pisać, nie karanych sądownie i odpowiadających pewnym ściśle określonym wymaganiom majątkowym. Nie mogą być przysięgłymi: parowie, sądownicy, adwokaci, duchowni i służący. Prócz tego, jest kilkanaście kategoryi osób, które mają prawo zrzec się obowiązków przysięgłego, jako to: członkowie izby gmin, wojskowi, niektórzy urzędnicy, lekarze, aptekarze i inni, a także i ci, którzy pełnili już funkcye przysięgłych w tym samym roku. Ze wszystkich imion, mających być zapisanemi do księgi przysięgłych, starsi dozorów kościelnych *(church wardens)* i nadzorcy biednych *(oversers)* układają listy alfabetyczne, które wywieszają się w ciągu trzech tygodni na drzwiach kościoła, a następnie, po zatwierdzeniu i poprawieniu przez małą sesyę sędziów pokoju, zapisują się do księgi. Księga oddaje się szeryfowi, który na każdy okres sesyi sądowych wyznacza z kolei 48 do 72 przysięgłych.

We Francyi przysięgłym może być każdy obywatel, mający 30 lat skończonych, umiejący czytać i pisać po francusku, posiadający wszelkie prawa obywatelskie i polityczne i nie pozbawiony prawa być przysięgłym na mocy wyroku sądowego. Nie mogą być przysięgłymi: deputowani, ministrowie, niektórzy urzędnicy, sędziowie, nauczyciele ludowi, duchowni, wojskowi i służący. Mają prawo nie być przysięgłymi: mający więcéj niż 70 lat życia, ci, którzy byli przysięgłymi w bieżącym lub ubiegłym roku, i ci, którzy się utrzymują z codziennéj pracy rąk. Z osób, ulegających zapisaniu do kategoryi przysięgłych, formują się trzy listy: roczna, kwartalna i sesyjna. Lista roczna, czyli departamentalna, składa się z 400—600 osób (1 na 500 mieszkańców— w departamencie Sekwany — 3,000), mieszkających w danym departamencie. Uformowaniem téj listy zajmują się dwie komisye: kantonalna, składająca się z merów pod przewodnictwem sędziego pokoju, i okręgowa — z sędziów pokoju i członków rady generalnéj pod przewodnictwem prezesa trybunału cywilnego pierwszéj instancyi. Komisya kantonalna układa listy pierwiastkowe w kantonach i przesyła je do komisyi okręgowéj, która formuje listę okręgową i listę przysięgłych zapasowych. Komisya okręgowa ma prawo zamieszczać i te osoby, które zostały opuszczone przez komisyę kantonalną. Listy okręgowe składają w kancelaryi trybunału, który ma sądzić z udziałem przysięgłych. Pierwszy prezes tego trybunału układa z nich ostateczne listy roczne: zasadniczą i zapasową. Z list rocznych prezes sądu z przysię-

głymi na 10 dni przed rozpoczęciem okresu sesyi wyjmuje 40 imion przysięgłych (36 zasadniczych i 4 zapasowych).

W Niemczech przysięgłym może być tylko poddany niemiecki, mający 30 lat skończonych, nie pozbawiony tego prawa przez sąd i nie zostający pod sądem na zasadzie oskarżenia o przestępstwo, które może pociągnąć za sobą pozbawienie praw. Nie mogą być przysięgłymi: służący; osoby, które w ciągu ostatnich trzech lat otrzymały wsparcie z kasy biednych; ci, którzy mieszkali w danéj gminie mniéj niż przez dwa lata; cierpiący na takie choroby umysłowe lub fizyczne, które nie pozwalają im spełniać funkcyi przysięgłych; następnie: ministrowie, członkowie senatu wolnych miast, sędziowie, prokuratorzy, urzędnicy policyi, duchowni, nauczyciele ludowi, wojskowi w armii czynnéj i wszyscy urzędnicy, którzy mogą być podani do dymisyi bez własnéj o to prośby. Uwalniają się od obowiązku być przysięgłymi: członkowie ciał prawodawczych; lekarze; aptekarze, nie mający pomocników; osoby, które pełniły obowiązki przysięgłego lub *schöffen*'a w roku ubiegłym; mający więcéj niż 65 lat i wszyscy ci, którzy udowodnią, że nie mogą ponosić wydatków, połączonych z funkcyą przysięgłego. Z osób, które mogą być przysięgłymi, przedstawiciele gmin układają listy pierwiastkowe (*Urliste)*, ogłaszają je i przyjmują uwagi od wszystkich, a następnie wraz z temi uwagami odsyłają do sędziego powiatowego (*Amtsrichter*), pod którego przewodnictwem zbiera się komisya, złożona z urzędnika, naznaczonego przez rząd, i siedmiu wybieralnych mężów zaufania. Komisya, po przejrzeniu uwag, układa listę kandydatów w liczbie trzy razy większéj, niż potrzeba przysięgłych na dany rok. Listy kandydatów (*Vorschlagsliste)* przesyłają się do prezesa sądu ziemskiego, który je przedstawia sądowi na zebraniu, złożoném z pięciu członków. Zebranie wybiéra odpowiednią liczbę zasadniczych i zapasowych przysięgłych i układa z nich listy roczne. Następnie, najmniéj na tydzień przed sesyą z przysięgłymi, prezes sądu ziemskiego na publiczném posiedzeniu sądu wobec przedstawiciela prokuratury wyjmuje losem 30 imion, z których formuje się lista sesyjna (*Spruchliste*).

W Rosyi przysięgłym może być poddany rosyjski, znający język rosyjski, umiejący czytać po rosyjsku, mający 25 — 70 lat życia, mieszkający w danym powiecie nie mniéj jak dwa lata i odpowiadający wymaganiom majątkowym, określonym przez art. 84, 87 i 88 urządzeń i instytucyi sądowych. Nie mogą być przysięgłymi: pozostający pod sądem, skazani na karę nie mniejszą niż więzienie, wydaleni przez wyrok sądowy z urzędu; pozbawieni stanu duchownego; wydaleni ze społeczności szlacheckich, miejskich lub włościańskich niewypłacalni;

dłużnicy; pozostający pod opieką za rozrzutność; ślepi, głusi, niemi i pozbawieni rozsądku; służba domowa i ci, którzy wpadli w ostateczną nędzę; prócz tego: duchowni, urzędnicy państwowi pierwszych czterech klas; sądownicy oprócz honorowych sędziów pokoju, komisarze sądowi, rejenci, urzędnicy prokuratury, wice-gubernatorzy, urzędnicy policyi, niektórzy inni urzędnicy, wojskowi armii czynnéj, nauczyciele szkół ludowych, parafialnych i początkowych miejskich i urzędnicy zarządów kwarantannowych. Uwalniają się od obowiązków przysięgłego osoby, które spełniały tę funkcyę w bieżącym lub ubiegłym roku, o ile w danéj miejscowości znajdzie się dostateczna ilość przysięgłych. Z wszystkich, którzy mogą być przysięgłymi, w każdym powiecie formują się listy ogólne, układane osobno dla każdéj kategoryi osób, wskazanych przez art. 89 urz. inst. sąd., przez prezesów miejscowych komisyi (*uprawa)* powiatowych ziemskich, prezydentów (*gołowa)* miast, naczelników ziemskich lub koniecznych członków komisyi włościańskiéj i naczelników policyi miejskiéj i ziemskiéj. Ułożone alfabetycznie listy ogólne przed 1 czerwca st. st. każdego roku przesyłają się do prezesa miejscowéj komisyi do układania list kolejnych, który po sprawdzeniu tych list ogłasza je drukiem przed 1 października [1]). Komisye do układania list kolejnych składają się w każdym powiecie pod przewodnictwem powiatowego marszałka szlachty z powiatowego członka sądu okręgowego, naczelników ziemskich, sędziów wiejskich (a gdzie ich niema — z sędziów pokoju, prezesa zjazdu sędziów pokoju i koniecznego członka powiatowéj komisyi włościańskiéj), naczelnika powiatu (*isprawnika*), policmajstra, prezesa powiatowéj komisyi ziemskiéj, prezydenta miasta powiatowego, podprokuratora sądu okręgowego i trzech lub więcéj osób, delegowanych przez powiatowe zebranie ziemskie. Prócz tego, przewodniczący ma prawo wzywać na posiedzenia komisyi miejscowych sędziów śledczych i inspektorów podatkowych z głosem decydującym na równi z innymi członkami komisyi. Tak utworzona komisya układa listy kolejne przysięgłych zasadniczych i zapasowych, wyznacza przysięgłych na każdy okres sesyi i zawiadamia każdego z nich, w jakim miesiącu ma być przygotowanym do stawienia się w charakterze przysięgłego. Na trzy tygodnie przed rozpoczęciem sesyi sądowych, sąd okręgowy na posiedzeniu publiczném przegląda listę osób, mających pełnić funkcye przysięgłych w da-

---

[1]) Na Litwie i Ukrainie prezesi komisyi do układania list kolejnych, przed ogłoszeniem list ogólnych, przesyłają te listy gubernatorom, którzy w ciągu miesiąca mają prawo wykreślić osoby, uznane przez nich za nieodpowiednie do pełnienia funkcyi przysięgłych.

nym okresie i, po wykreśleniu imion nieodpowiednich, wybiéra losem 30 przysięgłych zasadniczych i 3 zapasowych na cały okres sesyi. Jak długo trwa okres sesyi z przysięgłymi, prawodawstwo nie określa; trwa on zwykle mniéj więcéj około dwóch tygodni.

Widzimy więc, że wybór przysięgłych we wszystkich krajach w znacznéj mierze zależy od władzy administracyjnéj. Różnica jest tylko w szczegółach. Nie ulega kwestyi, że urzędnicy administracyjni, czy to będzie *overser* lub szeryf angielski, czy merowie francuscy, czy przedstawiciele gmin niemieccy, czy téż naczelnicy ziemscy lub prezydenci miast rosyjscy — w każdym razie urzędnicy ci wywrą niezaprzeczony wpływ na ogólny skład przysięgłych, wyłączą osoby, z jakichbądź powodów niedogodne dla administracyi, uformują listy z tych jedynie, którzy będą się zgadzali z ich zasadami. „Niezależność przysięgłych, powoływanych przez jakiekolwiek władze, jest zawsze podejrzaną” [1]). A przecież jedną z największych zalet sądu przysięgłych stanowi ta właśnie niezależność od władzy, która w żadném z obecnych państw europejskich nie występuje w zupełnéj czystości. De la Grasserie widzi to, uznaje słabą stronę teraźniejszego systemu i, ażeby zupełnie usunąć wpływ władzy administracyjnéj na wybór przysięgłych, a jednocześnie osiągnąć drugi cel — sądzenie przez równych — proponuje: 1) układać listę roczną z wszystkich wyborców i 2) wybierać z niéj losem komplet przysięgłych na każdą sesyę. Ale spostrzega on w téj chwili, że taki sposób rekrutowania przysięgłych mógłby dać w rezultacie komplety, złożone z samych analfabetów, ludzi o bardzo słabéj inteligencyi, którzy byliby zdolni do rozstrzygania zaledwie najprostszych spraw. Ażeby zapobiedz temu, autor proponuje układać ze wszystkich obywateli, mających prawo głosu na wyborach, nie jedną listę, lecz trzy: do pierwszéj weszłaby arystokracya umysłowa, t. j. ci, którzy otrzymali wykształcenie średnie (*secondaire*), do drugiéj — burżuazya, to jest wszyscy, którzy płacą podatki z nieruchomości lub opłacają patenty, do trzeciéj — proletaryat, t. j. osoby, żyjące z pracy rąk własnych; od każdego z przysięgłych byłoby wymaganém przynajmniéj wykształcenie elementarne (*primaire*). Do kompletu przysięgłych wybieranoby losem równą ilość przysięgłych z każdéj listy. „W ten sposób sąd przysięgłych będzie złożony z jednakowéj ilości przedstawicieli każdéj z klas, z których się składa społeczeństwo; oskarżony znajdzie tam równych sobie, a poszkodowany, co jest także sprawiedliwém, znajdzie tam również swoich.”

---

[1]) „W kwestyi sądów przysięgłych“ przez W. „Gazeta Sądowa“ z roku 1896, nr. 36, str. 567.

Zdaje mi się, że projekt ten nie wytrzymuje żadnéj krytyki. Przedewszystkiém, zkąd autor projektu wziął taki podział społeczeństwa na klasy? Co jest w tym podziale zasadniczym punktem, oddzielającym jedną klasę od drugiéj? Jeśli robimy klasyfikacyę, czy to przedmiotów, czy ludzi, musimy przedewszystkiém obrać jakąś cechę charakterystyczną, która, będąc coraz inną w każdéj klasie, służyłaby nam za zasadę podziału. Możemy dzielić przedmioty na białe, czerwone, niebieskie — wtedy zasadą podziału będzie kolor; na okrągłe, owalne, prostokątne— zasadą podziału będzie kształt; na gorące, ciepłe i zimne — zasadą będzie stopień temperatury; ale coby nam powiedziano, gdybyśmy zechcieli podzielić przedmioty na czerwone, zimne i okrągłe? Powiedzianoby zapewne, że klasyfikacya nasza nie ma racyi bytu, ponieważ jeden i ten sam przedmiot może być jednocześnie czerwonym, zimnym i okrągłym. Ten sam zarzut można postawić autorowi powyższego projektu. Jego klasy nie mają zasady podziału: człowiek, który otrzymał średnie wykształcenie (1 klasa), może jednocześnie płacić podatki z nieruchomości, nie przynoszącéj mu czystego dochodu, np. z niezabudowanego placu (2 klasa), i utrzymywać się z pracy rąk własnych (3 klasa). Na jakiéj liście umieścimy nazwisko takiego człowieka? Przypuśćmy jednak, że podział podług takiéj zasady dałby się uskutecznić—czy wtedy w jednéj klasie znajdą się rzeczywiście ludzie należący do jednéj kategoryi społecznéj? Najwięcéj równości dałaby może pierwsza lista, chociaż i na niéj obok uczonego profesora uniwersytetu moglibyśmy znaleść hreczkosieja, który skończył wprawdzie gimnazyum przed 30 laty, ale dziś, zajęty bezustannie gospodarstwem, nie pamięta już nic z tego, co się wtedy uczył, i od bardzo dawna czytuje tylko pisma brukowe. Ale za to co za olbrzymia odległość mogłaby się znaleźć w drugiéj klasie pomiędzy milionerem, włościaninem i posiadaczem sklepiku z pieczywem w mieście, albo w trzeciéj klasie między artystą malarzem lub literatem, którzy nie mają patentów gimnazyalnych, a robotnikiem fabrycznym! Czy można się zgodzić, że bankier należy do téj saméj klasy społecznéj co włościanin, literat co robotnik, profesor uniwersytetu co hreczkosiéj? Podział na klasy, proponowany przez de la Grasserie, nie da się więc zastosować w praktyce i nie prowadzi do poważnych rezultatów. Z jednéj strony nie osiąga on tego, o co najbardziéj idzie autorowi, t. j. zapewnienia tak oskarżonemu, jak i poszkodowanemu równych im sędziów, z drugiéj strony nie usunie wpływu władzy, bo musi przecie istnieć jakiś urząd, któryby się zajął podziałem obywateli na klasy i ułożeniem list.

Rekrutowanie przysięgłych ze wszystkich bez wyjątku obywateli, odpowiadających zgóry określonym przez prawo warunkom, zawsze

musi prowadzić do pewnego wpływu urzędników, układających listy. Warunki, wskazane przez prawo, muszą być zawsze ogólnikowe, przepisy ustawy, jako układane przez ludzi tylko, nie mogą dać doskonałych i wyczerpujących wskazówek i zawsze będzie można rozmaicie je tłómaczyć, zawsze musi istnieć organ, rozstrzygający wątpliwości, układanie list przysięgłych musi być powierzone jakimś urzędnikom, którzy nie potrafią stanąć na absolutnie objektywnym pukcie widzenia i w każdym razie będą się kierowali swemi osobistemi poglądami. Zdaje mi się, że jedyném rozwiązaniem téj zawiłéj kwestyi byłoby pozostawienie wszystkim obywatelom państwa prawa wybierania przysięgłych, tak samo, jak wybierają deputowanych, prezydentów, wójtów, sędziów gminnych i t. p. Jeżeli społeczeństwa nasze nie wahają się oddać w ręce wybieralnych deputatów najważniéjszéj strony działalności państwowéj—prawodawstwa, jeżeli powierzają im stanowienie niewzruszalnych praw, to dlaczego w téj saméj drodze nie mogliby wybierać przysięgłych? Czuję, że przeciwnicy tego systemu wytoczą przeciwko mnie całą baterye takich argumentów, jak agitacya kandydatów, zależność od wyborców, wpływ wyższych klas społeczeństwa ze szkodą niższych i t. p. i t. p. Zgadzam się, że np. wybory do parlamentu są połączone ze wszystkiemi temi niedogodnościami. Ale w danym wypadku niedogodności usuną się same przez się. Agitacyi kandydatów nie będzie, bo nikomu nie może bardzo zależéć na tém, żeby go wybrano przysięgłym; stanowisko przysięgłego nie daje ani dochodu, ani wpływu, jest to raczéj ciężki obowiązek, niż pożądane prawo. Dla téj saméj przyczyny przysięgli nie będą zależnymi od poglądu swoich wyborców; każdy z nich będzie mógł zupełnie spokojnie sądzić tylko podług swego sumienia, bo przedewszystkiém wyborcy prawie nigdy nie będą wiedzieli, na którą stronę głosował ten lub inny przysięgły, a powtóre, jeżeli poglądy przysięgłego nie podobają się wyborcom, to czém go oni ukarzą? Nie wybiorą go po raz drugi? Tém lepiéj dla niego, bo nie będzie zmuszony do wykonywania trudnéj i odpowiedzialnéj pracy, do straty drogiego czasu. A trudno chyba przypuszczać, że znajdzie się przysięgły, któryby umyślnie źle sądził, żeby nie być wybranym na przyszły rok! Ci zaś, którzy wszelkiemi siłami chcieliby się uchylić od spełniania obowiązków przysięgłych, znajdą na to sposób przy każdym systemie. Wpływ wyższych klas społeczeństwa ze szkodą niższych nie znalazłby tu zastosowania, ponieważ klasy wyższe przy wyborach starają się o przeprowadzenie swoich kandydatów dlatego jedynie, że ci kandydaci po objęciu mandatu będą ewentualnie postępowali zgodnie z życzeniami swoich protektorów, a na przysięgłego te życzenia nie mogą wywierać najmniejszego wpływu. Prawo głosowania na przysię-

głych mogłoby być dane wszystkim obywatelom pełnoletnim, z wyjątkiem pozbawionych tego prawa na mocy wyroku sądowego. Każdy wyborca złożyłby do urny kartkę z kilkoma, np. trzema lub czterema, nazwiskami; pewna, określona ilość nazwisk tych, którzy otrzymali najwyższą ilość głosów, uformowałaby listę przysięgłych na dany okres sesyi sądowych. Ilość przysięgłych ulegających wybraniu mogłaby być zgóry określoną dla każdego okręgu sądowego. Możnaby także określić minimalną ilość głosów, jakie należy otrzymać, ażeby módz być przysięgłym, i, w razie potrzeby, zarządzać wybory dodatkowe. Pewnym kategoryom osób możnaby dać prawo zrzeczenia się mandatu. Na specyalne żądanie wybranego, sędziowie koronni rozstrzygaliby, czy ma on prawo zrzec się obowiązków przysięgłego, i w razie decyzyi twierdzącéj wykreślaliby go z listy, o ile znalazłaby się dostateczna ilość innych przysięgłych do zastąpienia wykreślonych. Przy takim systemie, nie byłyby potrzebne ograniczenia; każdy wyborca mógłby być przysięgłym, o ileby nie został pozbawionym tego prawa na mocy wyroku sądowego, po za tém społeczeństwo samo segregowałoby kandydatów, a gdyby wyborcy złożyli mandaty w złe ręce, to sami by na tém ucierpieli. Tylko przy systemie wyborów można osiągnąć zupełną niezależność od władzy.

2-o Ażeby dać możność obywatelom niezamożnym (zaliczonym do trzeciéj z pomienionych klas) brania udziału w sądzie przysięgłych bez wielkiego uszczerbku pod względem majątkowym, de la Grasserie proponuje płacenie przysięgłym honoraryum za każdy dzień zajęty... „Co dzień, mówi on, słyszymy skargi z téj racyi; udział w sądzie przysięgłych jest zaszczytem, którego każdy stara się uniknąć, ponieważ jest on połączony z wydatkami... Świadek ma prawo do zapłaty, sędzia do pensyi, ekspert do honoraryum, dla czego przysięgły ma być wyjątkiem [1])?" Słusznem jest żądanie, żeby za każdą pracę otrzymywano odpowiednie wynagrodzenie, ale zdaje mi się, że w danym wypadku urzeczywistnienie tego projektu zmieniłoby zupełnie treść sądu przysięgłych. Przysięgły — to sędzia, do którego wszyscy mają zaufanie, ponieważ nie kieruje się on żadnemi innemi pobudkami, prócz głosu wolnego sumienia, nie zależy od nikogo, nie jest zmuszony dogadzać niczyim zachciankom, nie jest skrępowany żadnemi więzami. Gdyby urząd przysięgłego stał się płatnym, w téj chwili rozpoczęłaby się agitacya, wielu, bardzo wielu ludzi niezamożnych zrobiłoby z tego sposób zarobkowania, udział społeczeństwa w wymiarze sprawiedliwości zmieniłby się w rze-

---

1) „*Revue*" str. 631.

miosło, przysięgłymi staraliby się zostać przeważnie ludzie, którzy nie umieją, lub nie chcą w inny sposób zarabiać na swoje utrzymanie, a więc ludzie po większéj części bardzo nizko stojący pod względem umysłowym lub moralnym. Brzęk złota zgrzytnąłby fałszywym akordem w harmonii sprawiedliwości. Ponieważ jednak są ludzie, którzy dużo tracą na tém, że, będąc przysięgłymi, nie mogą przez tenczas pracować na utrzymanie, a muszą za wszystko drogo płacić, szczególniéj jeśli mieszkają nie w tém mieście, gdzie się odbywa sąd, możnaby dawać takim przysięgłym nie pieniądze, lecz mieszkanie i utrzymanie przez czas trwania sesyi na koszt rządu, lub uzyskiwać potrzebną na to sumę z majątku skazanego wraz z innemi kosztami sprawy. Możnaby to rozciągnąć na wszystkich przysięgłych, mieszkających po za obrębem tego miasta, gdzie się odbywa sąd. Przysięgły miałby prawo korzystać z należnego mu mieszkania i utrzymania, lub też zrzec się tego i utrzymywać się na swój koszt. I jedno i drugie przysięgli otrzymywaliby w naturze, bez prawa zamiany na pieniądze, lub ustępowania swych praw komu innemu. Zapełnie słusznym jest także zwrot kosztów podróży.

3-o Następnie autor uważa, iż należy zmniejszyć liczbę przysięgłych w każdym komplecie. Dwunastu — liczba tradycyjna, nie kwestyonowana prawie przez nikogo — wydaje mu się za dużą. Według jego zdania „obrady idą lepiéj i staranniéj, jeżeli liczba obradujących jest mniejszą. Przy liczbie dwunastu jest wiele prawdopodobieństwa, że przynajmniéj połowa członków, dzięki swéj niższości lub brakowi energii, pozostaje bezczynną i bez osobistego zbadania sprawy zastosuje się do zdania tego, kto najenergiczniéj dowodzi... W sądach, złożonych z trzech członków, każdy oponuje innym z pewnym zapałem i chce, żeby jego zdanie przeważyło, w sądach liczniéjszych — pięciu lub siedmiu — nie każdy już może argumentować. W komplecie, złożonym z dwunastu, bardzo wielu będzie tylko głosowało. Im bardziéj zmniejsza się liczba obradujących, tém obrady są staranniejsze.” [1]) Wszystkie te argumenty możnaby zakwestyonować. Widzieliśmy nieraz bardzo liczne zebrania, gdzie dysputa była bardzo ożywioną i nieliczną, gdzie wszyscy zgadzali się ze zdaniem jednego. Z drugiéj zaś strony zmniejszenie liczby przysięgłych mogłoby źle wpłynąć na wszechstrononość ich poglądu na życie; im jest więcéj obradujących, tém więcéj można znaleść sposobów zapatrywania się na sprawę, tém więcéj prawdopodobieństwa zrozumienia oskarżonego, odczucia pobudek, ja-

---

[1]) „*Revue*“ str. 632.

kie kierowały jego czynami. Wobec tego zdaje mi się, że niema poważnego powodu do zmniejszenia tradycyjnéj dwunastki na mniejszą liczbę. Wniosek o zmniejszeniu liczby przysięgłych przechodził pod obrady komisyi do przejrzenia ustaw sądowych i został odrzucony 22 głosami przeciwko 4. [1]) Byłoby może słuszniéj nie wyznaczać do każdéj sprawy przysięgłych zapasowych, oddając sprawę w razie ustąpienia jednego lub dwóch przysięgłych do rozstrzygnięcia pozostałych, w liczbie nie mniejszéj jednak niż dziesięciu.

4-o Daléj autor zatrzymuje się nad kwestyą, kto ma być przewodniczącym w komplecie przysięgłych. Obecnie jest to jeden z przysięgłych, wybierany w jednych krajach losem, w innych przez głosowanie współtowarzyszy. De la Grasserie uznaje oba sposoby za nieracyonalne, ponieważ los jest ślepym i może wybrać najmniéj zdolnego, a głosowanie przysięgłych, którzy po większéj części widzą się po raz pierwszy, nie może również być miarodajném. Ponieważ bardzo często może zachodzić potrzeba udzielenia informacyi prawnych przysięgłym, więc byłoby słuszném, według słów autora, żeby informacyi tych udzielał nie sąd koronny, lecz jeden z przysięgłych, mianowicie przewodniczący. Dla tego też radzi on powierzać tę funkcyę specyalistom prawnikom, przeważnie adwokatom. Wprowadzenie tego projektu w życie byłoby może pożądaném, gdyby nie to, że w takim razie sąd przysięgłych straciłby swoją cechę charakterystyczną, jako sąd społeczeństwa, sąd obywateli, wyrokujący na zasadzie nie formułek prawnych, lecz wolnego sumienia, zbliżyłby się więcéj do typu sądów mieszanych; prócz tego samo wykonanie byłoby u nas możliwém tylko w większych miastach, na prowincyi zaś, gdzie cały kontyngens prawników danego okręgu sądowego składa się, prócz sędziów, z pięciu lub sześciu adwokatów i tyluż rejentów, po większéj części bardzo słabo znających prawo kryminalne, przewodniczący przysięgłych musieliby się rekrutować ciągle z tych samych kilkunastu osób, które wobec tego wkrótce zmieniłyby się na stałych sędziów. Argument, że przysięgli nie znają się i przez to nie wiedzą, kogo wybrać na przewodniczącego, jest słuszny tylko dla pierwszych spraw danego okresu sesyi, bo późniéj przysięgli poznają się już wzajemnie i wiedzą, kto najwięcéj odpowiada warunkom wymaganym dla przewodniczącego.

5-o Ażeby w zupełności urzeczywistnić ideę sądu przez równych, de la Grasserie proponuje w niektórych sprawach wprowadzić do składu przysięgłych kobiéty. „W pewnych kwestyach — mó-

[1]) Patrz Miklaszewski, *loc. cit.* „Gazeta Sądowa“ z 1897, Nr. 32, str. 517.

wi on — niesłusznėm jest, żeby kobiéta była sądzoną przez mężczyznę, tak samo, jak byłoby niesłusznėm, żeby mężczyzna był sądzonym przez kobiétę: idzie tu o przestępstwa nie ściśle płciowe, ale wynikające z namiętności. W pierwszych udział kobiéty w charakterze przysięgłego byłby nietylko nieużytecznym, ale wprost rażącym (*choquant*), a zresztą istnieją wstrętne przestępstwa, jednakowo potępiane przez ludzi obojga płci. Ale zupełnie jest co innego, jeżeli idzie o namiętności, o przestępstwa, których bliższą lub odleglejszą przyczyną jest namiętność, pobudka, wynikająca z różnicy płci. Naprzykład w razie zemsty, dokonanéj przez kobiétę na osobie mężczyzny, który ją uwiódł, opuścił, lub złamał wierność małżeńską. Tak samo w wypadkach zbrodni dzieciobójstwa, którego odległa przyczyna zawsze się kryje w mężczyźnie. Czy w tych sprawach sąd mężczyzn jest sądem równych? Jeżeli nie, to trzeba wprowadzić do tego sądu zupełną równość, pierwszy i nieodzowny warunek sprawiedliwości. Można to zrobić tylko przez wprowadzenie w tych sprawach kobiét do sądu przysięgłych." [1])

Jest to projekt, nad którym warto się zastanowić. Na pierwszy rzut oka wydaje się on jednym z wielu wybryków na polu przesadzonéj emancypacyi kobiét i mimowoli wywołuje uśmiech na ustach, szczególniéj jeżeli (stosując się do poprzednich projektów autora zmniejszenia liczby przysięgłych i wybierania po dwóch z każdéj klasy społecznéj) wyobrazimy sobie komplet przysięgłych, złożony w połowie z mężczyzn w połowie z kobiét, do którego wejdą naprzykład: inżynier i nauczycielka (1 kl.), włościanin, właścicielka domu (2 kl.), szewc i praczka (3 kl.). Ale jeżeli weźmiemy dwunastu przysięgłych wybieralnych, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że kobiéty według tego projektu mają przyjmować udział w sądzeniu niektórych tylko spraw i to takich, w których oskarżona spełniła przestępstwo dlatego właśnie, że jest kobiétą, i że jako taka była postawioną w innych warunkach, niż mężczyzna, to strona humorystyczna zniknie, i zaczniemy się przychylnie zapatrywać na cały projekt. Wszak uznaliśmy, że jedną z najważniejszych zalet sądu przysięgłych jest wszechstronność poglądu na życie, powodująca, iż między przysięgłymi zawsze znajdzie się przynajmniéj jeden, który zrozumie oskarżonego, postawi się w jego położeniu, który zna te okoliczności, w jakich działał oskarżony, odczuwa stan duszy, jaki go popchnął do spełnienia inkryminowanego czynu. A któż lepiéj zrozumie kobiétę, niż kobiéta? Czy mężczyzna potrafi tak dokładnie odzwierciadlić sobie stan duszy matki-dzieciobójczyni w chwili zabójstwa, czy odczuje tę straszną walkę, toczącą się w duszy nieszczęsnéj, walkę, do

---

[1]) „*Revue*“ str. 635 i 636.

któréj staje z jednéj strony instynktowna miłość macierzyńska i wrodzone każdemu człowiekowi uczucie litości, nie pozwalające znęcać się nad maleństwém, tak bardzo niewinném i tak bardzo bezbronném, a z drugiéj strony uczucie wstydu i bezsilności wobec przyszłego losu swego i dziecka, uczucie tak silne, że zwycięża wrodzone instynkta, zwycięża głos sumienia i obawę kary — wszystko razem na tle podrażnienia wywołanego przez chorobę? Mężczyźni znają te uczucia z nazwy, ale czy odczują oni podobną sytuacyę tak silnie, jak kobiéta, która, jeżeli nie byla w takiém położeniu, to w każdéj chwili może się w niém znaleźć, kobiéta, która jedna tylko może w swoim umyśle znaleść wytłómaczenie tych czysto kobiécych uczuć. Projekt wprowadzenia kobiét do sądu przysięgłych w niektórych specyalnych sprawach — zasługuje na poparcie. Zarzucić mu można to jedynie, że w naszych warunkach, kiedy kobiéta przyjmuje tak bardzo mały udział w życiu społecznem, kiedy przeważna ilość naszych kobiét składa się z gospodyń, nie widzących nic po za swoim domem i banalnemi stosunkami z podobnemi sobie, z napuszonych sawantek, lub tak zwanych panien na wydaniu, kiedy przeciętna kobiéta z wyższéj klasy pochłonięta jest domem, bezmyślném życiem towarzyskiém i drobnemi ploteczkami, a z niższych klas — gospodarstwem, dziećmi i także drobnemi ploteczkami, kiedy kobiéty z szerszym poglądem na życie stanowią dość rzadki wyjątek i są przywilejem tylko nielicznych większych centrów życia umysłowego — dzisiaj projekt ten wydaje mi się jeszcze przedwczesnym. Może doprowadziłby on do pożądanych skutków we Francyi lub Anglii, ale nie u nas. Pomimo całego uznania dla płci pięknéj, nie powierzyłbym naszym paniom udziału w sądzie przysięgłych.

6-o. Istnieje cały szereg spraw, do rozstrzygnięcia których byłby pożądanym specyalny komplet przysięgłych, złożony z fachowców, z ludzi którzy jedynie dzięki ciągłemu obracaniu się w danéj sferze stosunków potrafią się zoryentować w ogromie materyału, odróżnić doniosłość najdrobniejszych odcieni, uchwycić treść wśród masy nic nieznaczących szczegółów. Są to wyjątkowe sprawy o wielkie oszustwa giełdowe, o nadużycie urzędników, o bankructwa, o fałszowanie dokumentów, o malwersacye w interesach finansowych. „Przysięgli — mówi de la Grasserie — będą oszołomieni masą cyfr, które oskarżyciel i oskarżony wprowadzą w grę przed nimi... Niezbędnym jest tu specyalny skład przysięgłych, znający się na rzeczy, wybranych losem z pomiędzy ludzi, posiadających odpowiednie wiadomości techniczne [1]). Projekt

---

[1]) „*Revue*“ str. 636.

ten jest zupełnie słusznym i byłoby pożądaném jaknajprędsze wprowadzenie go w życie. Cała trudność polegałaby na tém, jakie sprawy oddać tym specyalnym przysięgłym i w jaki sposób ułożyć odpowiedni komplet specyalistów. Trudność ta dałaby się może usunąć, gdyby powierzyć sądowi określanie w każdym poszczególnym wypadku, czy dana sprawa ulega sądzeniu zwyczajnych przysięgłych, czy też niezbędnym jest komplet specyalny. Obie strony w procesie — jak oskarżyciel, tak i oskarżony — powinnyby mieć prawo żądania, ażeby ich sprawa była rozstrzyganą przez specyalnych przysięgłych. Co się tyczy samego ułożenia kompletu sądu, to możnaby zarządzić pomiędzy ludźmi danego fachu specyalne wybory do każdéj sprawy; a chcąc usunąć wpływ osób interesowanych przy wyborach, możnaby zarządzić wybór znacznie większéj ilości przysięgłych, np. 36 lub 48 (o ileby się znalazło tylu odpowiednich fachowców), i z téj liczby przed samém rozpoczęciem sesyi wybrać losem dwunastu. Wniosek wprowadzenia specyalnych przysięgłych został przyjęty przez komisyę do przejrzenia ustaw sądowych, która jednomyślnie uznała za pożądane, oprócz powierzenia im spraw wyjątkowych, „wprowadzić specyalnych przysięgłych do rozpoznawania spraw ogólnych w miejscowościach, w których, z powodów politycznych lub innych miejscowych, uznanoby za niemożliwe wprowadzić zwykły sąd przysięgłych.” [1])

7-o. Określiwszy w ten sposób pożądany skład kolegium przysięgłych, de la Grasserie przechodzi do drugiéj części składowéj sądu— do sędziów koronnych — i uznaje, że obecność obok prezydującego dwóch członków sądu jest zupełnie zbyteczna. Na poparcie tego powołuje się on na przykład Anglii, gdzie obok przysięgłych zasiada jeden tylko sędzia — prezydujący, sam rozstrzyga kwestye prawne, sam spełnia te obowiązki, które na kontynencie są powierzone trzem sędziom koronnym. „Jaka jest rola tych dwóch członków? — zapytuje autor. Dopóki werdykt nie zostanie wyrzeczony, jest ona prawie żadną. To prawda, że sąd koronny rozstrzyga kwestye prawne, ale kwestye te zdarzają się rzadko. Po werdykcie członkowie obradują i głosują w kwestyi kary. Określeniem winy nie mają celu nawet się zajmować. W rzeczywistości rola członków sądu jest męcząca z powodu połączonych z nią nudów; uwaga, jaką zwracają oni na przebieg sprawy, jest po większéj części niepotrzebną stratą czasu. Są to praktykanci, którzy wprawiają się do prezydowania w przyszłości, — na tém właściwie kończy się ich rola.” Argumenty powyższe są zupełnie słuszne. Koronni członkowie sądu są w znacznéj większości spraw niepotrzebnym ba-

---

[1]) Patrz Miklaszewski *loc. cit.* № 30 str. 484.

lastem. Bywają jednak wypadki, kiedy obecność obok prezesa dwóch sędziów koronnych jest nietylko bardzo pożądaną, ale nawet niezbędną, a mianowicie sprawach, w których przed sąd kryminalny wytoczoną zostaje akcya cywilna [1]. Wtedy do rozstrzygnięcia akcyi cywilnéj koniecznym jest udział dwóch członków sądu — cywilistów, którzy wraz z prezydującym decydowaliby w kwestyach z prawa cywilnego. Uniknęłoby się przez to smutnych — a niestety, niezbyt rzadkich — wypadków, kiedy sąd, złożony z kryminalistów, nie ma pojęcia, jak sobie poradzić z zawiłemi kwestyami prawa cywilnego. Zupełne zaś odłączenie akcyi cywilnéj od sprawy kryminalnéj jest prawie zawsze bardzo uciężliwém dla stron i sądu, a często okoliczności sprawy tak się składają, że, gdyby powód cywilny musiał osobno wytaczać akcyę po skończeniu sprawy kryminalnéj, to sąd byłby zmuszony drugi raz powtarzać całą sprawę, badać tych samych świadków, sprowadzać tych samych ekspertów i dowody rzeczowe, co byłoby zbyteczną stratą pracy i czasu. Bez porównania jest praktyczniéj, kiedy ten sam przebieg sprawy rozjaśnia jednocześnie stronę kryminalną i cywilną. Tak więc w sprawach z akcyą cywilną niezbędnym jest udział dwóch członków sądu, cywilistów, którzyby mieli głos tylko w kwestyach z prawa cywilnego. W sprawach bez akcyi cywilnéj udział członków sądu jest zbytecznym. Cały komplet sądu powinien się składać z prezesa i przysięgłych.

8-o. Po określeniu składu sądu, de la Grasserie zadaje pytanie, jakie mają być jego funkcye. W Anglii jest dwa rodzaje przysięgłych: wielkie *jury*, które decyduje o oddaniu pod sąd, i małe *jury* — właściwy sąd przysięgłych — które sądzi. We Francyi i wogóle na lądzie stałym Europy oddanie pod sąd jest powierzone organom koronnym: we Francyi — izbie oskarżeń *(chambre de mises en accusation)*, w Rosyi — prokuraturze i izbie sądowéj [2], a w sprawach z prywatnego oskarżenia—osobie prywatnéj. Otóż system kontynentalny zupełnie się nie zgadza z zapatrywaniami autora. Według jego zdania nie dosyć jest powierzyć przysięgłym ostateczne zdecydowanie o winie lub niewinności oskarżonego; samo oskarżenie i oddanie pod sąd jest krokiem tak ważnym, że nie można go stawiać lekkomyślnie. Podczas sądzenia przez przysięgłych wchodzi w grę życie lub swoboda oskarżonego, a przy oddawaniu pod sąd — jego honor, droższy dla niejednego od życia. Sam fakt znajdowania się pod sądem jest dla bardzo wielu tak

---

[1] To jest, kiedy poszkodowany żąda sądownie od oskarżonego wynagrodzenia za stratę materyalną, spowodowaną przez przestępstwo.

[2] W warszawskiéj izbie sądowéj istnieje w tym celu osobny wydział, zwany izbą oskarżeń.

ciężką karą, że wymierzanie jéj powinno być połączone z takiemi samemi ostrożnościami, jak i wyrokowanie ostateczne. Powierzyć oddawanie pod sąd organom koronnym znaczyłoby skazić (*fausser*) całą procedurę kryminalną: „dawna izba rady, tak samo jak dzisiejsza izba oskarżeń, są to maszynerye, funkcyonujące bez korzyści; jest to tylko kontrola hierarchiczna; rola ich polega jedynie na klasyfikacyi oskarżenia.“ [1]) Te same mniéj więcéj poglądy zawiera utarte u nas żartobliwe wyrażenie: „izba oskarżeń—to stempel” [2]), które dowodzi, że zatwierdzanie aktów oskarżenia przez izbę jest w większości wypadków czczą formalnością, polegającą na przyłożeniu stempla. Inaczéj spełnialiby obowiązek oddania pod sąd specyalnie do tego wybrani przysięgli, osobne *jury* oskarżenia, złożone według projektu autora z trzech przysięgłych pod przewodnictwem sędziego śledczego, który miałby tylko głos doradczy. Takie *jury* oskarżenia — mówi autor — miałoby jeszcze jedną przewagę, a mianowicie odjęłoby sądowi połowę spraw, nawet tych w których wydawałoby decyzye oskarżające. W procesie angielskim, w razie przyznania się oskarżonego do winy, nie staje on przed przysięgłymi, lecz tylko przed sędzią koronnym, który sam określa karę. Dla czego i na kontynencie przyznanie się nie mogłoby uwalniać oskarżonego od przykrości stawania przed sądem, słuchania całego przebiegu sprawy? „Byłoby to dlań oszczędzenie wstydu, dla państwa oszczędność kosztów, dla wszystkich oszczędność czasu” [3]). W razie przyznania się, *jury* oskarżenia samo określałoby karę, bez potrzeby oddawania sprawy przed właściwy sąd przysięgłych.

Trudno się nie zgodzić w zasadzie z tym projektem. Bywają sprawy, w których przeciw oskarżonemu są bardzo poważne poszlaki, formalnie wina jego jest prawie dowiedzioną, a jednak każdy prawie, kto bliżéj wejrzy w szczegóły sprawy, pomimo wszelkich dowodów winy, przychodzi do przekonania, że oskarżony jest niewinnym. Tymczasem wobec poważnych poszlak ani sędzia śledczy, ani prokurator, ani izba nie mają prawa uwolnić go od stawania przed sądem, Sprawy takie kończą się zwykle uniewinnieniem, ale kto odejmie oskarżonemu przykrość i wstyd publicznego badania, a często nawet zamknięcia w więzieniu śledczém. Jeżeli w kwestyi winy przy ostatecznym sądzeniu

---

[1]) *Revue* str 639.

[2]) Na akcie oskarżenia, zatwierdzonym przez izbę, powinny być napisane wyrazy: „zatwierdzony przez izbę oskarżeń w dniu ...“ Wyrazy te zwykle odciskają się za pomocą stempla kauczukowego, co dało powód do przytoczonego tu żartu.

[3]) *Revue* str. 641.

nie wystarcza formalna teorya dowodów, nie wystarcza sąd płatnego rutynowanego urzędnika, to dlaczego wystarczałoby to w kwestyi oddania pod sąd, które bądź co bądź nakłada, chwilowo przynajmniéj, piętno hańby na oskarżonego i jego rodzinę, odrywa ojca od dzieci, męża od żony, zadaje cierpienie częstokroć zupełnie niesłuszne? Oddanie pod sąd nie ma tak decydującego znaczenia, jak wyrokowanie ostateczne, ale niemniéj przeto pociąga za sobą takie poważne następstwa, że powierzenie téj funkcyi niezależnym obywatelom byłoby bardzo pożądane.

Co się tyczy drugiéj części tego projektu — określenia przez *jury* oskarżenia kary w razie przyznania się, to uważałbym za słuszne wprowadzić maleńką poprawkę. Są sprawy, i takich jest bardzo wiele, w których oskarżony, żałując spełnionego czynu, a częściéj jeszcze widząc, że i tak będzie skaranym, przyznaje się poprostu do winy i opowiada otwarcie, jak przestępstwo zostało spełnioném. Ale zdarza się także, że, pomimo przyznania się, wina oskarżonego nie jest jeszcze bardzo pewną; niejeden przyznaje się do winy, któréj nie spełnił, ażeby w ten sposób ukryć inne przestępstwo, uchronić siebie lub innych od większego złego, niż kara, jaka mu grozi. Bywały np. wypadki, że młody człowiek, schwytany w nocy w pokoju kobiety, udawał złodzieja, ażeby uchylić podejrzenie schadzki, albo złoczyńca, schwytany w chwili, kiedy zadawał śmiertelny cios, wymyślał na poczekaniu romantyczne historye o zazdrości, zemście i t. p., ażeby się uchronić od większéj kary za rozbój. Są i takie sprawy, w których oskarżony przyznaje się do spełnienia zarzucanego mu czynu, ale obstawia go takiemi warunkami, które zupełnie zmieniają doniosłość przestępstwa. We wszystkich tych sprawach przyznanie się oskarżonego nie może być wystarczającém trzeba zebrać wszystkie możliwe dane, wyświetlić prawdę z całą bezstronnością, zbadać okoliczności łagodzące i obciążające i wtedy dopiéro wyrokować. Określenie kary przez *jury* oskarżenia na zasadzie prostego przyznania się do winy mogłoby i powinno znaleźć zastosowanie w sprawach najprostszych, w których przyznanie się dostatecznie wyjaśnia sprawę, a dalsze badania nie prowadziłyby do niczego. Ale w kwestyach więcéj skomplikowanych, pomimo przyznania się, sprawa powinna iść przed właściwy sąd przysięgłych. Cała trudność polega pozornie na tém, jak przeprowadzić granicę pomiędzy sprawami najprostszemi i więcéj skomplikowanemi. Granicy téj nie może określić prawo, wskazać ją można tylko w każdym konkretnym wypadku. Zdaje mi się, że byłoby najsłuszniéj, gdyby prawo określiło, jako regułę, ostateczne wyrokowanie *jury* oskarżenia we wszystkich wypadkach przyznania się, z tém jednak zastrzeżeniem, żeby, jak samemu *jury*, tak i ka-

żdéj ze stron (oskarżycielowi i oskarżonemu) przyznane było prawo żądać oddania sprawy do właściwego sądu przysięgłych i żeby żądaniu takiemu, wygłoszonemu przed wydaniem wyroku przez *jury*, nie wolno było odmówić. W ten sposób oszczędziłoby się dużo pracy sądom, a z drugiéj strony wszystkie sprawy, rzeczywiście wymagające rozstrzygania przez sąd przysięgłych, byłyby mu oddawane.

9-o. Przechodząc następnie do sposobu prowadzenia sprawy, de la Grasserie proponuje, wobec poprzedniego badania oskarżonego przez *jury* oskarżenia, nie badać go już w sądzie i wprost przejść do badania świadków. Świadków ma badać nie prezes sądu, jak jest obecnie, lecz strony, prezes zaś miałby tylko prawo zadawać pytania dodatkowe.

Dlaczego sąd nie ma badać oskarżonego? „To już nie czas szukać przyznania się — mówi autor —, o ile oskarżony miał się przyznać, to powinien był to uczynić przed *jury* oskarżenia" [1]). Tak więc autor nie przypuszcza możliwości zniesienia przez oskarżonego taktyki postępowania? nie przypuszcza, że oskarżony, który, czując się winnym, nie przyznał się dla jakichbądź powodów przed *jury* oskarżenia, może po dłuższym namyśle zechciéć się przyznać, co najczęściéj znakomicie dopomoże do wyświetlenia prawdy. Dlaczego, jeżeli winny zechce się przyznać, sąd ma mu zabronić mówić? Prócz tego ogólnie wiadomo, że przysięgli często kierują się nie tyle zeznaniami świadków, ile tém, co mówi oskarżony, jak się tłómaczy, czy nie plącze się w odpowiedziach, czy na każdą poszlakę winy znajduje logiczne i prawdopodobne wyjaśnienie, częstokroć tylko zestawienie odpowiedzi oskarżonego ze zeznaniami świadków może dać odpewiedni materyał do wyrokowania. „Teoretycy — mówi Ł. Fatiejew — chcieli zredukować do zera znaczenie zeznań oskarżonego w sądzie, ale życie sprzeciwia się teoryi; przy każdém przestępstwie społeczeństwo przedewszystkiém zadaje pytanie: jak sam oskarżony tłómaczy swój czyn? Słucha ono tego tłómaczenia z całą uwagą i wiadomo przecie, że często się zdarzają wypadki zupełnego uniewinnienia oskarżonego, który przyznał się do spełnienia przestępstwa, ale przytoczył takie poważne motywy uniewinniające, że wobec nich sumienie sędziów oburzyłoby się na wyrok skazujący. Społeczeństwo wymaga i ma prawo wymagać od swego członka, który spełnił przestępstwo, odpowiedzi i objaśnień o pobudkach i celu przestępstwa; ma prawo żądać od niego sprawozdania z jego czynów, i żądanie to zostaje wywołaném przez dążenie nie tyle do wyszukania i ukarania winowajcy, ile do wykrycia prawdy, któréj nikt nie może tak dobrze wyświetlić, jak ten, czyj czyn pogwałcił spokój społeczeństwa." [2]) Badanie

---

[1]) „*Revue*" str. 641.

[2]) Ł. Fatiejew. „*K woprosu o zakluczitielnoj rieczi predsiedatiela*". *Żurnal Graždanskawo i ugołownawo prawa.* Maj 1885, str. 78.

oskarżonego to jeden ze sposobów wyświetlenia prawdy, a sposobów tych nigdy nie jest za wiele; sąd nie powinien żadnego z nich odrzucać.

Kwestya, kto ma zadawać pytania świadkom — strony czy prezydujący, należy do zasadniczych reguł procedury wogóle i tyczy się tak samo sądów przysięgłych, jak i wszystkich innych. Rozstrzyganie jéj leży po za obrębem niniejszéj pracy. Zwrócę tu tylko uwagę, że przy nizkim wogóle poziomie wykształcenia sfery, z któréj się przeważnie rekrutują u nas podsądni i oskarżyciele prywatni, badanie świadków przez strony byłoby możliwém tylko w tych sprawach, w którychby ze strony oskarżenia stawał prokurator lub adwokat, a ze strony oskarżonego wykwalifikowany obrońca. Tymczasem w naszych sądach we wszystkich prawie sprawach z prywatnego oskarżenia oskarżyciel nie ma adwokata, a oskarżony bardzo często również obchodzi się bez obrońcy. Strony w takich wypadkach nie umieją badać świadków i badanie mogłoby się zmienić w czczą gadaninę, nie mającą nic wspólnego ze sprawą.

Tak samo ogólnéj treści jest słuszna zresztą uwaga autora, że procedura obecnie jest zbyt skomplikowana, zanadto najeżona formalnościami, których niezachowanie prowadzi do bezcelowego częstokroć uchylania wyroków w drodze kasacyi.

10-o. Najważniejszym punktem, treścią całego postępowania przed sądem przysięgłych—jest stawianie pytań, na które mają odpowiedzieć przysięgli. System angielski i kontynentalny zasadniczo różnią się od siebie pod tym względem. Pierwszy zupełnie odrzuca stawianie przysięgłym pytań, drugi przyjmuje je do nieskończoności. De la Grasserie tak opisuje system kontynentalny: „Każdy fakt jest przedmiotem osobnego pytania. Przypuściwszy, że podsądny jest oskarżony o spełnienie stu kradzieży—będzie sto pytań. Następnie osobne pytanie się stawia, co do każdéj okoliczności obciążającéj, o tém, czy oskarżony małoletni działał ze zrozumieniem i t. d... Jeżeli w toku rozpraw istota przestępstwa się zmienia, należy postawić pytanie dodatkowe co do nowego przestępstwa. Jeżeli każdy czyn został spełniony przez kilku wspólników, o każdym z nich należy postawić osobne pytanie. Widać z tego, do jakiéj olbrzymiéj cyfry może dojść ilość pytań, jaka subtelna analiza jest konieczną, ażeby je ułożyć, jak bardzo przysięgli muszą wysilać umysł, żeby się nie zgubić w chaosie.“ [1]) W systemie angielskim tego wszystkiego niéma. Przysięgli odpowiadają tylko „*winien*" lub „*nie winien*." Przyczyną téj różnicy jest fałszywy podział na sędziów

---

[1]) „*Revue*“ str. 642.

faktu i sędziów prawa, wzięty przez Francyę z sądów pretorskich w Rzymie i sztucznie zaszczepiony na angielskiéj płonce. Że podział ten nie ma racyi bytu, zdaje się, nie ulega już dziś wątpliwości. Co w sprawie kryminalnéj jest kwestyą faktu, a co kwestyą prawa? Czy prawo jednego narodu nie określa tego, co u innego jest uważaném za kwestyę faktu, i odwrotnie? Czy wszystkie kodeksy nie wkraczają w kwestyę faktu, określając takie rzeczy, jak włamanie przy kradzieży, podział ran na lekkie i ciężkie, jak usiłowanie, przygotowanie, wspólnictwo, ukrywanie i t. p. i t. p.? Wszystko to są bardzo zawiłe kwestye prawne, a jednak w każdym konkretnym wypadku rozstrzygają je przysięgli, jako kwestye faktu. Zachodzą wprawdzie pytania czysto formalne, których rozstrzyganie wszyscy jednomyślnie powierzają sędziom koronnym bez udziału przysięgłych, ale to nie są kwestye prawa w tém znaczeniu, jak je rozumié podział francuski, są to drobne, często bardzo słuszne formalności, które prawo określa i które mogą być rozstrzygane tylko przez specyalistów prawników, kwestye czysto proceduralne, tyczące się strony, że tak powiem, zewnętrznéj, formalnéj, nie mające bezpośredniego związku z treścią sprawy, nie należące do prawnéj, ani do faktycznéj strony. W takich kwestyach powinni decydować sędziowie koronni, ale nie widzę przyczyny, dla któréj wszystkie inne nie miałyby być oddane do rozstrzygnięcia przysięgłym. Byłoby daleko prościéj i logiczniéj, zamiast mydlić oczy przysięgłym setką różnorodnych pytań o niezrozumiałych subtelnych odcieniach, dać im możność wytworzenia sobie całokształtu pojęcia o sprawie i odpowiedzenia krótko a węzłowato: „winien" lub „nie winien". Za podstawę werdyktu przysięgli mogliby wziąć akt oskarżenia i wyrzec, czy oskarżony jest winien tego, o co go oskarżają, czy téż może jest winien czego innego. Obok odpowiedzi „winien" lub „nie winien", przysięgli powinni miéć prawo wyrokowania całemi zdaniami: „winien, że... i t. d." Uniknęłoby się przez to masy nieporozumień i trudności, a że taki werdykt nie wpłynąłby ujemnie na określenie kary, zobaczymy poniżéj.

11. Ze sposobem stawiania pytań i redagowania werdyktu nierozłącznie wiążą się kwestye, czy i w jakim stopniu przysięgli mają przyjmować udział w określaniu kary i czy wogóle kwestya kary ma być poruszana wobec przysięgłych przed wygłoszeniem przez nich werdyktu.

Trzeba przedewszystkiém odpowiedziéć na ostatnie pytanie: czy kwestya kary ma być poruszaną wobec przysięgłych przed wygłoszeniem werdyktu. Zdawałoby się, że może być jedna tylko odpowiedź: tak. A jednak prawie wszystkie prawodawstwa zabraniają stronom

i prezesowi nawet wspominać o karze podczas debatów i zakaz ten do ostatnich czasów był tak stanowczym, że przekroczenie go pociągało za sobą bezwarunkową kasacyę wyroku. Prawodawstwa wychodzą z téj zasady, że gdyby pozwolić stronom mówić o karze, to niejeden obrońca starałby się wzruszyć niedoświadczonych przysięgłych, malując przed ich oczami przesadzone obrazy o strasznych cierpieniach, jakie czekają podsądnego w razie skazującego wyroku, o zimném ostrzu gilotyny lub zimniejszych jeszcze przestrzeniach Syberyi, o ciężkiéj pracy w kopalniach rtęci, zatruwającéj organizm i wyniszczającéj siły, o samobójstwach i obłąkaniach w więzieniu i t. p. i t. p. I wtedy przysięgli wobec całéj grozy przyszłego położenia nieszczęsnego, mogliby się zawahać przed skazaniem nawet zdeklarowanego przestępcy, mogliby uznać, że kara jest za surową i uchylić ją przez werdykt uniewinniający. „A i tak mamy zadużo uniewinnień!" — wołają zwolennicy téj zasady, nie spostrzegając jednak, że walczą bronią obosieczną, która coraz bardziéj zaczyna się zwracać przeciwko nim. Ukrywanie przed przysięgłymi kary, jaka grozi podsądnemu, nietylko nie zmniejsza liczby wyroków uniewinniających, ale może ją nawet powiększyć. „Praktyka — mówi Koni—wskazuje wypadki, kiedy podsądny, oskarżony o spełnienie przestępstwa, niezbyt zwykłego, chociaż pociągającego za sobą bardzo niewielką karę, pomimo wyraźnych dowodów i nawet własnego przyznania się do winy, ze ździwieniem wysłuchiwał wyroku uniewinniającego, opartego jedynie na mylném przekonaniu przysięgłych, że za dany czyn, zamiast umiarkowanéj kary poprawczéj, grozi ciężka kara główna, przekonaniu, którego przewidziéć i uprzedzić nie mógł nawet prezes, również pozbawiony prawa mówienia o karze... W zwykłych sprawach przysięgli dowiedzą się o karze na samym początku sesyi, po wysłuchaniu paru wyroków, a w sprawach względnie rzadkich zostają wprowadzeni w błąd albo przez niespodziane i nieokreślone uwagi stron o „tundrach północy", „lodowéj nocy syberyjskiéj", „długoletnich ciężkich robotach" i t. p. — uwagi, chowane na sam koniec, przyczém, w razie przerwania mowy przez prezesa, mówca odpowiada: „skończyłem", — albo też przez mylne wskazówki samozwańczych znawców kodeksu, należących wypadkiem do kompletu przysięgłych" [1]).

Czy nie byłoby daleko słuszniéj otwarcie powiedziéć przysięgłym, jaka kara grozi oskarżonemu? Niepewność co do kary nie powstrzymywałaby ich od wydawania wyroków skazujących, a z drugiéj strony w sprawach, gdzie grozi większa kara, przysięgli wobec niéj staranniéj-

---

[1]) Koni, *loc. cit.*, str. 38 i 39.

by słuchali debatów, więcéj, niż zwykle, skupialiby uwagę; ci nawet, którzy przeciętnie mogliby lekkomyślnie zapatrywać się na swoje obowiązki, wobec grozy ciężkiéj kary poważniéjby się brali do rzeczy. Sędziowie koronni i przysięgli powinni wszelkiemi siłami dopomagać sobie wzajemnie, współdziałać w trudnéj pracy wykrycia prawdy, a każde współdziałanie ogromnie się utrudnia, jeżeli jeden z współdziałających musi coś ukrywać przed drugim. „Czy można—zapytuje Łozina-Łozinskij — wymagać od przysięgłych zupełnie szczeréj odpowiedzi na pytanie, czy ukarać człowieka, ukrywając przed nimi, jaka kara mu grozi, t. j. dowodząc względem nich braku szczerości?... Sumienie przysięgłych nie godzi się z tém niedomówieniem; szukają oni odpowiedzi na pytanie o wielkości kary i czasem znajdują tę odpowiedź pomiędzy sobą, czasem biorą ją z poprzednich wyroków, czasem formują sobie o niéj przesadzone pojęcie, ale w znacznéj większości wypadków boją się jéj, jak czegoś nieznanego, tajemniczego. Zagadka — to najgorszy przewodnik przy wymierzaniu sprawiedliwości" [1]). To téż i teorya i praktyka przechylają się powoli na stronę, przeciwną dotychczasowym poglądom: wskazywanie przysięgłym kary, jaka grozi oskarżonemu, zostało obecnie prawie jednomyślnie uznaném za słuszne. Ogólne zebranie starszych prezesów i prokuratorów izb sądowych rosyjskich z d. 29—31 grudnia st. st. 1894 r. dziewiętnastu głosami przeciwko jednemu wyrzekło, iż należy pozwolić stronom i prezesowi mówić przysięgłym o karze [2]). Komisya do przejrzenia ustaw sądowych przyjęła tę zasadę jednomyślnie [3]).

12. Na pytanie, czy przysięgli mają przyjmować udział w określaniu kary, de la Grasserie nietylko odpowiada twierdząco, ale nawet pragnie powierzyć to określanie wyłącznie przysięgłym bez udziału sędziów koronnych. „Dlaczego — zapytuje on — przysięgli, którzy mogą wyrzec, że oskarżony jest winnym, że wina jego jest ciężką, lekką, lub bardzo lekką, nie mogliby określić stopnia wielkości téj winy?" [4]). Przysięgli, którym prawo pozwala, oprócz uznania samego faktu winy, wskazywać także okoliczności łagodzące i obciążające, powinni, według zdania autora, ściśle określić stopień winy oskarżonego i zastosować odpowiednią karę. Ale skąd przysięgli mają brać skalę do mierzenia, jaka kara odpowiada danemu stopniowi winy? Można i nawet

---

[1]) M. Łozina-Łozinskij. „*Reforma suda prisiażnych*". „*Żurn. Min. Just.*", październik, 1896, str. 109 i 110.

[2]) Koni, *loc. cit.*, str. 54.

[3]) Miklaszewski, *loc. cit.*, Nr. 31, str. 498.

[4]) „*Revue*", str. 646.

trzeba określić podług głosu sumienia, czy oskarżony jest winien, czy nie, ale co do wymiaru kary sąd musi koniecznie trzymać się zasad kodeksu. W przeciwnym razie za spełnienie tego samego przestępstwa jeden oskarżony mógłby być skazany na śmierć, a inny na zapłacenie rubla kary! A przecie przysięgli kodeksu nie znają. Niewiele im pomoże wskazanie kary podczas debatów, bo jeżeli przysięgli odrzucą ten lub inny szczegół w całokształcie spełnionego czynu, kara może się bardzo zmienić. Inna kara grozi za zabójstwo obmyślane i nieobmyślane, za kradzież z włamaniem i bez włamania, za podpalenie domu mieszkalnego i niemieszkalnego, za zadanie rany ciężkiéj i lekkiéj. Dopiéro po wygłoszeniu werdyktu można wskazać normalną karę, jaką prawo stanowi za dany czyn, a zrobić to może tylko sąd koronny, jako znający się na przepisach kodeksu. A kiedy sąd koronny określi już normalną karę, przysięgli powinni miéć prawo wyrzec, czy uznają tę karę za słuszną, czy téż nie. Jeżeliby przysięgli uznali, że kara, określona przed sąd, jest zbyt małą, to sąd wskazałby im oznaczone przez dany artykuł kodeksu *maximum* kary, i w granicach tego *maximum* przysięgli określiliby ostateczną karę. W razie zaś uznania kary za zbyt surową, co zdarzałoby się bez porównania częściéj, przysięgli mieliby również prawo zmniejszać karę w granicach prawnych, a w razie, gdyby *minimum* wydało się im jeszcze zbyt surowém, podać wyrok do łaski monarszéj. Projekt ten, podany przez Łozina-Łozinskiego [1]), bardziéj, niż wszystkie inne, trafia mi do przekonania. Przy takim systemie przysięgli, wydając werdykt, nie będą się krępowali wielkością kary, ponieważ będą mogli zmniejszać ją lub powiększać dowolnie. Uniknie się kolizyi pomiędzy sądem koronnym i przysięgłymi, kolizyi, zdarzającéj się bardzo często w takich wypadkach, kiedy np. przysięgli uznają, że wina oskarżonego jest lekką, a sąd zastosuje karę zbliżoną do *maximum*, lub odwrotnie. Uniknie się zupełnéj samowoli przysięgłych, jakaby panowała, gdyby tylko oni określali karę, ponieważ sąd koronny będzie się zawsze trzymał w granicach kodeksu. Uniknie się demoralizacyi, jaką rozsiewają wyroki, uniewinniające zdeklarowanych przestępców dlatego jedynie, że przysięgli obawiali się narazić oskarżonych na zbyt surową karę. Z przysięgłych zostanie zdjęty „ciężar, który każe im poświęcać sprawiedliwość w imię miłosierdzia" [2]). Nie należy zapominać, że z punktu widzenia polityki kryminalnéj da-

---

[1]) *loc. cit.*, str. 112. Autor proponuje dać przysięgłym tylko możność zmniejszania kary. Zdaje mi się, że w niektórych, rzadkich zresztą, wypadkach należałoby im pozwolić na powiększenie kary do prawnego *maximum*.

[2]) Łozina-Łozinskij, *loc. cit.*, str. 112.

leko ważniejszém jest skazanie przestępcy, niż zadanie mu cierpień przez karę. Celem sądownictwa kryminalnego jest wykrycie i potępienie jaknajwiększéj ilości przestępców, nie zaś surowe ich ukaranie. Lepiéj ukarać słabo wszystkich, którzy na to zasługują, niż zastosować surowe kary do niewielu, a innych puścić bezkarnie. Idzie przedewszystkiém o to, żeby każdy zły czyn został napiętnowany, jako taki, przez sumienie społeczne. Mniéj lub więcéj surowa kara to rzecz drugorzędna dla celów ogółu. A praktyka dowodzi, że im mniéj surowemi są kary, tém prędzéj podnosi się stan moralny społeczeństwa. „Im więcéj miłosierdzia i pobłażania dla przestępcy, tém lepiéj i dla niego i dla społeczeństwa, którego on jest członkiem—mówi Łozina-Łozinskij.—Dlatego téż, jeżeliby skutkiem rozszerzenia prawa przysięgłych na złagodzenie kary było nietylko zmniejszenie ilości wyroków uniewinniających, ale i zniżenie kar wogóle, to powitalibyśmy ten skutek z radością w imię wymiaru sprawiedliwości na zasadach prawdy i miłosierdzia i z punktu widzenia rozsądnéj polityki kryminalnéj" [1]).

13. Debaty skończono, werdykt wygłoszono, karę wskazano, wyrok odczytano oskarżonemu. Zachodzi pytanie, czy wyrok ten ma być prawomocnym? Podług zasady przyjętéj na całym świecie przez praktykę i teoryę, wyrok sądu przysięgłych staje się prawomocnym z chwilą odczytania go podsądnemu i nie ulega zaskarżeniu w drodze apelacyi. Można go uchylić w drodze kasacyi, jeżeli sąd kasacyjny uzna, że zostało pogwałconém prawo, albo ważna forma procedury. Uchylony wyrok uważanym jest za niebyły, nowy komplet sądu przysięgłych rozpatruje sprawę od początku. Przepis taki jest koniecznym dlatego, że mogą się zdarzyć wypadki, kiedy, nie mówiąc już o wyraźném pogwałceniu prawa, nawet niezachowanie formalności proceduralnéj może wywrzéć tak stanowczy wpływ na przebieg sprawy, że bez tego wyrok byłby zupełnie innym. Naprzykład, badano świadków bez przysięgi, albo nie zawiadomiono obrońcy oskarżonego o terminie sprawy, albo nie przyjęto od oskarżonego dokumentu, stwierdzającego ważne dla sprawy fakty. W takich razach wyrok musi być uchylonym, sprawiedliwość wymaga żeby sąd powtórnie rozpatrywał sprawę. Niestety, słuszny ten przepis prawa dał powód do ogromnéj ilości nadużyć: niejeden oskarżony podaje skargę kasacyjną dlatego jedynie, że spodziéwa się łagodniejszego wyroku przy powtórném sądzeniu, a czasem idzie mu tylko o odroczenie terminu kary. Kasowanie wyroków stało się w ostatnich czasach bardzo częstém, dzięki mnóstwu formalności, jakiemi jest najeżona dzisiejsza procedura. Wpływa to ujemnie na wy-

---

[1]) Łozina-Łozinskij, *loc. cit.*, str. 115.

miar sprawiedliwości, społeczeństwo traci zaufanie do sądu, którego wyroki często zostają uchylane; przestępca przestaje obawiać się kary, wiedząc, że dzięki kasacyi będzie mógł na długi przeciąg czasu odroczyć jéj wykonanie; obrońcy, widząc że sprawa przyjmuje zły obrót, starają się umyślnie o niezachowanie formalności, ażeby późniéj miéć powód do kasacyi; sami nawet przysięgli mniéj starannie spełniają swe obowiązki, nie będąc pewni, czy wyrok ich uzyska moc obowiązującą. To téż w najnowszéj teoryi wyraźnie daje się spostrzedz dążenie do pewnego ograniczenia kasacyi. De la Grasserie proponuje cały szereg zmian, mających na celu zmniejszenie ilości wyroków kasowanych. Przedewszystkiém proponuje on szczegółowe określenie przez prawo, jakie formalności są tak ważne, że niezachowanie ich pociąga za sobą kasacyę wyroku. Projekt ten jest niewykonalny z dwóch powodów: przedewszystkiém, wszelkie wyliczenie jest zawsze niezupełném, trudno przewidziéć, jaka formalność będzie w danym wypadku ważną, a jaka nie, a powtóre, gdyby prawo wyrzekło, że niezachowanie pewnych formalności nie może pociągać kasacyi wyroku, to tém samém upoważniłoby sąd i strony do niezachowywania ich wcale: formalności są zwykle uciążliwemi, wymagają pracy i straty czasu,—jeżeli można się ich pozbyć, tém lepiéj, a przecie prawo nie na to ustanawia formalności, żeby je można było omijać. Każda forma kryje w sobie jakąś treść, niezachowanie jéj może źle wpłynąć na przebieg sprawy. A jeżeli bez danéj formalności może się obejść, to czy nie lepiéj odrzucić ją zupełnie?

Daléj autor radzi, żeby prezes sam poprawiał te błędy, które zostaną zauważone podczas debatów. Uwaga to zupełnie słuszna, ale nie rozwiązująca kwestyi. Prezesi w obecnych sądach także poprawiają zauważone niedokładności, ale to nie przeszkadza bynajmniéj oskarżycielowi lub oskarżonemu żądać kasacyi na zasadzie takich błędów prawnych lub proceduralnych, o których nie było nawet mowy podczas debatów.

Następnie, ażeby zmniejszyć ilość skarg kasacyjnych, uniknąć zwłoki i przeciągania spraw, nadać wyrokom moc więcéj bezwzględnie obowiązującą, autor proponuje... wprowadzić do sądów przysięgłych apelacyę (!). I we Francyi i w Rosyi, w razie werdyktu skazującego, sędziowie koronni, jeśli mniemają, że oskarżony jest stanowczo niewinnym, mają prawo odesłać sprawę do innego kompletu przysięgłych, — wyrok powtórny ma już moc obowiązującą. Otóż de la Grasserie nietylko radzi to prawo sądu odsyłania do innego kompletu rozszerzyć i na wypadek werdyktu uniewinniającego, jeżeli sąd koronny uzna, że oskarżony jest winnym, lecz nawet chciałby prawo takiego odsyłania

dać stronom w drodze zwykłéj skargi apelacyjnéj. Główną zasadą apelacyi w sądach koronnych jest to, że w wyższéj instancyi sądzą urzędnicy starsi, poważniejsi, lepiéj znający się na rzeczy, mogący poprawić błędy, popełnione przez mniéj doświadczonych sędziów niższéj instancyi. Autor uznaje tę zasadę i widzi doskonale, że w sądzie przysięgłych traci ona zastosowanie: drugi komplet przysięgłych pod żadnym względem nie przewyższa pierwszego i niema zasady uchylania wyroków, wydanych przez pierwszy. Ażeby się uchronić od tego zarzutu, proponuje on system następujący. Od pierwszego wyroku prezes i strony mieliby prawo założyć apelacyę do innego składu sądu przysięgłych, z tym jednak warunkiem, że w razie wyroku skazującego, oskarżony mógłby żądać tylko zupełnego uniewinnienia, a nie złagodzenia kary, z wyjątkiem wyroków, skazujących na śmierć lub na dożywotnie ciężkie roboty. Jeżeliby drugi komplet wydał wyrok zgodny z pierwszym, wyrok taki byłby ostatecznym i nie mógłby być uchylonym nawet w drodze kasacyi. W razie zaś niezgodności drugiego wyroku z pierwszym, sprawę rozstrzygałby ostatecznie trzeci komplet sądu przysięgłych. Widzimy więc, że projektowany system jest bez porównania więcéj skomplikowanym niż dzisiejszy, jedna i ta sama sprawa przechodziłaby przez kilka sądów, bo nic przecie nie powstrzymywałoby skazanego od apelacyi. A nuż drugi komplet uniewinni! Autor spostrzega tę słabą stronę i, ażeby usunąć lekkomyślne, nieuzasadnione apelacye, radzi powiększać o jedną czwartą termin kary dla tych, którzy podadzą apelacyę i zostaną skazani wyrokiem drugiego sądu. Sprawdza się tu przysłowie, że lepsze jest nieprzyjacielem dobrego — kto chce się poprawić, ten zawsze brnie jeszcze daléj: autor daje skazanemu prawo apelacyi i za skorzystanie z tego prawa grozi ciężkiemi karami! Skazany na 20 lat ciężkich robót za zbrodnię podania apelacyi zostałby skazany jeszcze na pięć lat! Skazany wyrokiem pierwszego sądu, który, uważając się za niewinnego, chce korzystać z prawnéj drogi ratunku, miałby za to być karany ciężéj, niż za sfałszowanie podpisu lub kradzież z włamaniem!

Już same te warunki, jakiemi autor próbuje obstawić prawo podawania apelacyi, wyraźnie przemawiają przeciwko projektowi. Dziś, kiedy cały świat dąży do możliwego skrócenia procedury i ułatwienia wymiaru sprawiedliwości, wprowadzenie do sądu przysięgłych apelacyi, powodującéj zwłokę i komplikującéj postępowanie sądowe, musiałoby doprowadzić do ruiny całą instytucyę przysięgłych. A przecie autor radzi wprowadzić apelacyę dlatego właśnie, żeby uniknąć zwłoki, powodowanéj przez uchylanie wyroków w drodze kasacyi!

14. Ostatni projekt, któremu de la Grasserie poświęca najwięcéj miejsca i zapału, ma na celu rozszerzenie kompetencyi sądu przysięgłych. Że sądowi temu należy oddać wszystkie sprawy kryminalne z wyjątkiem czysto formalnych wykroczeń policyjnych, to zdaje się, nie ulega kwestyi. Mówiliśmy o tém powyżéj. Ale autor chciałby powierzyć przysięgłym rozstrzyganie wszystkich spraw, nietylko kryminalnych, lecz także administracyjnych i cywilnych. Nie miejsce tu dowodzić, że sądownictwo administracyjne i cywilne niczém się nie różnią od siebie, że podział ten jest sztuczny, wytworzony dopiéro w bieżącém stuleciu przez francuską władzę wykonawczą, która czuła się zbyt potężną, ażeby módz stawać narówni ze zwykłymi śmiertelnikami przed sądem cywilnym. Starałem się dowiéść tego obszernie w innném miejscu. Wspominam o tém jedynie dlatego, ażeby módz nie mówić osobno o sądownictwie administracyjném i odpowiedziéć tylko na pytanie, czy przysięgłym należy powierzyć rozstrzyganie spraw cywilnych. Co powiem tu o sądownictwie cywilném, to samo da się całkowicie zastosować i do administracyjnego.

Chociaż sądownictwo cywilne i kryminalne mają na celu jedno i to samo — wymiar sprawiedliwości, chociaż i jedno i drugie w teraźniejszych czasach jest w znacznéj części powierzone jednym organom sądowym, chociaż procedura cywilna ma wiele wspólnych cech z kryminalną, to jednak zachodzi pomiędzy niemi zasadnicza różnica. Sądownictwo cywilne ma na celu załagodzenie kolizyi pomiędzy jednostkami, sąd zaczyna działać wtedy dopiéro, kiedy się wszczął spór, kiedy do jednego prawa roszczą pretensyę dwie osoby, kiedy jednostka nie otrzymuje od innéj tego, co jéj się z prawa należy. W sprawie cywilnéj przed sądem stają dwie strony i każda z nich dowodzi swoich praw; czyje dowody są lepsze, czyje położenie więcéj odpowiada przepisom kodeksu, ten wygrywa. I choćby sędziowie byli najmocniéj przekonani, że np. weksel został oddawna zapłacony, jeżeli wierzyciel podaje weksel do sądu, a wystawca nie zaprzecza długu, sąd musi nakazać uiszczenie waluty. W sądownictwie cywilném prawda formalna ma i musi mieć przewagę nad materyalną. Zadanie sędziego polega na zbadaniu argumentów stron, na ocenieniu siły dowodowéj aktów, na określeniu, czy dokumenty odpowiadają przepisanéj przez prawo formie, czy dane wyrażenie w akcie odpowiada danemu wyrażeniu w kodeksie. W sądzie kryminalnym przed sędziami staje dusza ludzka, badanie odtwarza żywy czyn żywego człowieka, sędziowie porównywają nie martwe litery, lecz czyny danéj jednostki z czynami innych ludzi. Społeczeństwo żąda od sądu kryminalnego nie wyliczenia, czyje dowody przeważają, lecz oceny postępków podsądnego, uznania czynu za godny

uczciwego człowieka, lub napiętnowania go, jako zły i szkodliwy. Tutaj w grę wchodzą nie cyfry, nie forma aktu, nie formułki prawne, lecz samo życie danego osobnika, jego charakter, pokusy, na jakie wystawił go kaprys losu, i czyn, jako odźwierciadlenie tego wszystkiego. Prawo cywilne — to matematyka, prawo kryminalne — to psychologia. Na to, żeby być dobrym psychologiem, trzeba tylko znać życie, rozumiéć, jakie pobudki pchają ludzi do czynu, odczuwać cudze uczucia i cierpienia. Żeby być dobrym matematykiem, trzeba przedewszystkiém poznać zasady matematyki, zyskać wprawę w używaniu cyfr i znaków, umiéć wykonywać zawiłe działania. Od psychologa-kryminalisty żądamy serca i znajomości ludzi, od matematyka-cywilisty — wyrobionego umysłu i znajomości prawa. Przysięgli, jako sędziowie niefachowcy, mogą określić wartość danego czynu, pobudki, jakie kierowały podsądnym, mogą wyrzec swoje przekonanie o tém, czy oskarżony spełnił przestępstwo, — i zrobią to lepiéj, niż sędziowie koronni; ale na to, żeby wykonać matematyczne działanie nad artykułami kodeksu cywilnego, niezbędni są wykwalifikowani i rutynowani prawnicy. Chcąc oddać sprawy cywilne sądom przysięgłych, trzebaby przedtém nauczyć przysięgłych prawa cywilnego ze wszystkiemi jego zawiłościami. De la Grasserie czuje, że zwykli przysięgli nie podołaliby tu swoim obowiązkom i radzi wybiérać do sądów cywilnych — tylko tych przysięgłych, którzy otrzymali wykształcenie średnie, przyczém w zakładach naukowych średnich należałoby wprowadzić obowiązkowy wykład początków prawa. Ponieważ i takie elementarne wykształcenie prawne nie wystarczałoby jeszcze do rozstrzygania zawiłych kwestyi prawa cywilnego, autor proponuje drobną zmianę: tylko doprowadzić prawo do większéj prostoty [1]) i nic więcéj! A zatém projektowany „sąd przysięgłych" składałby się tylko z wykształconych prawników i jeszcze dla nich trzebaby zmieniać prawo obowiązujące. *Sic!*

Ażeby lepiéj poprzéć swoją kruchą argumentacyę, autor powołuje się na to, że już w Rzymie istniały sądy przysięgłych do spraw cywilnych i nietylko funkcyonowały dobrze, ale nawet bardzo się przyczyniły do rozwoju prawa cywilnego. Argument ten byłby poważnym, gdyby nie to, że sądy cywilne rzymskie nie miały, niestety, nic wspólnego z sądem przysięgłych. Autor sam tak opisuje skład sądu rzymskiego: „Każdy powinien był sam sobie obrać sędziego. Wymagane były tylko dwa warunki, żeby sędzia wybrany został przyjęty przez stronę przeciwną i żeby był zdolny do pełnienia tych obowiązków; jeżeli strony

---

[1]) „*Revue*", str. 717.

nie mogły się zgodzić na jednych i tych samych sędziów, to po pewnéj ilości prób, albo ten, kto odmawiał bez powodu, był uważany za niema jącego słuszności, albo też ciągnięto losy... Co rok układano listę obywateli, z których strony mogły wybiérać sędziów, każdy miał jednak prawo wybrać sędziego i po za listą" [1]). A więc były to zwyczajne sądy polubowne, ogólnie znane, ale nie roszczące nawet pretensyi do nazwy sądów przysięgłych. Sądy te miały jedyną wspólną cechę z dzisiejszemi sądami przysięgłych, mianowicie podział na kwestyę faktu i prawa — sędziowie wybrani rozstrzygali kwestye faktu, o stronie prawnéj decydował pretor. A przecie autor sam poprzednio dowodził, że podział ten nie ma racyi bytu.

Również nie wytrzymuje krytyki i powoływanie się autora na to, że we Francyi istnieje już rodzaj sądu przysięgłych do spraw administracyjnych: mianowicie w kwestyi wywłaszczenia decyduje tak zwane *jury d'expropriation*, złożone z dwunastu właścicieli ziemskich pod przewodnictwem sędziego pokoju lub członka trybunału cywilnego. Członków tego *jury* wybiéra trybunał cywilny, z listy ułożonéj przez radę generalną. Tak utworzone *jury* orzeka bez apelacyi, czy dane grunta mają uledz wywłaszczeniu i jaką cenę należy za nie zapłacić. Widzimy, że to *jury* jest tylko najzwyczajniejszą komisyą z obywateli danéj miejscowości, którzy, znając miejscowe warunki i ceny ziemi, najlepiéj mogą decydować w kwestyi wywłaszczenia. Z sądem przysięgłych to *jury* ma tylko wspólną nazwę.

Co się zaś tyczy istnienia sądów przysięgłych do spraw cywilnych w Anglii, to przedewszystkiém i tam oddawna już daje się spostrzedz wyraźna tendencya do ograniczenia udziału przysięgłych w sprawach cywilnych: w razie żądania którejkolwiek ze stron, sprawę rozstrzyga sąd koronny bez udziału przysięgłych; a powtóre, sam fakt istnienia danéj instytucyi w jednym kraju wcale jeszcze nie dowodzi potrzeby wprowadzenia jéj w innych, szczególniéj wobec całego szeregu przeciwnych argumentów.

15. Oprócz wymienionych powyżéj, de la Grasserie podaje cały szereg innych projektów, tyczących się rozmaitych dziedzin prawa. Projektuje on zupełny rozdział pomiędzy sądownictwem cywilném i kryminalném, zniesienie prawa władzy najwyższéj na ułaskawienie przestępców, usunięcie wielu formalności z procedury, niektóre zmiany w sposobie robienia ekspertyz lekarskich nad podsądnymi zdradzającymi pewne objawy obłędu, proponuje nawet pewne zmiany w zakresie

---

[1]) „*Revue*", str. 500.

szkolnictwa i t. p. Wszystkie te projekty, z których bardzo wiele jest słusznych, nie mają bezpośredniego związku z sądem przysięgłych.

Streszczając w paru słowach to, cośmy dotychczas powiedzieli, możemy postawić następujące tezy:

1) Sąd przysięgłych jest najlepszym ze znanych obecnie rodzai sądów kryminalnych.

2) Należy mu powierzyć tylko sprawy kryminalne i przytém wszystkie, z wyjątkiem czysto formalnych wykroczeń policyjnych.

3) Sąd przysięgłych w téj formie, w jakiéj istnieje w Rosyi, w zasadzie odpowiada wymaganiom teoryi.

4) Byłoby pożądaném wprowadzić doń niektóre zmiany w szczegółach, a mianowicie: rekrutować przysięgłych za pomocą wyborów; dać przysięgłym, nie mieszkającym w tém mieście, gdzie się odbywa sąd, mieszkanie i utrzymanie, na koszt rządu lub oskarżonego, przez cały czas trwania sesyi; do niektórych spraw wprowadzić specyalnych przysięgłych; usunąć dwóch członków sądu, zasiadających obok prezesa, a w sprawach z akcyą cywilną dołączyć do prezesa dwóch członków sądu cywilistów z głosem decydującym w kwestyach z prawa cywilnego; powierzyć oddawanie pod sąd specyalnemu *jury* oskarżenia, któreby samo określało karę w niektórych wypadkach przyznania się podsądnego do winy; nie stawiać przysięgłym osobnych pytań, lecz pozostawić im prawo wyrokowania całemi zdaniami na zasadzie aktu oskarżenia; znieść zakaz wskazywania przysięgłym kary podczas debatów; pozwolić przysięgłym zmniejszać lub powiększać normalną karę, określoną przez sąd koronny na zasadzie ich werdyktu, a w razach wyjątkowych projektować zupełne lub częściowe ułaskawienie skazanego.

Aleksander Mogilnicki.

Z literatury filozoficznéj amerykańskiéj.[1]

Ktokolwiek przybywa do Stanów Zjednoczonych z Europy, spostrzega natychmiast pewną różnicę w życiu umysłowém i typie myślenia tych warstw, które zwykle zaliczamy do inteligencyi. Różnica ta, jak pokazuje bliższa obserwacya, polega na stosunkowo rozległym wpływie religii i bardzo ograniczonéj, rzec można, prawie żadnéj roli filozofii w wytwarzaniu poglądu na świat i zasad postępowania.

Przeciętny amerykanin inteligentny zadawalnia zwykle potrzeby w tych dwóch kierunkach przy pomocy presbyteryaństwa, metodyzmu, baptyzmu, kongregacyonalizmu, lub innego, z pomiędzy niezliczonych wyznań protestanckich, których cechą zasadniczą jest to, iż nie oddzielają zupełnie starego testamentu od nowego, uważając oba za jedną nierozerwalną i harmonizującą z sobą całość, wskutek czego wysoka i czysta etyka chrześciańśtwa zostaje nieco skażona przez domieszkę pojęć starohebrajskich, wytwarzając niekiedy takie dziwolągi, jak wielożeństwo Mormonów, prześladowanie

---

[1]) Przy układaniu niniejszego przeglądu posługiwaliśmy się cennemi wskazówkami, zawartemi w artykule Josiah Royce, p. t. „*Systematic Phylosophy in America during 1894, 1895 and 1896*“, umieszczonym w „*Archiv für Philosophie*“, 1897 r., t. 22.

najniewinniejszych zabaw, np. gry w piłkę w niedzielę (którą tu nazywają „*sabbathem*") i t. p. Ci, którzy dorośli do potrzeby jakiéjś filozofii niezależnéj i mają ją do użytku swego, należą do rzadkich stosunkowo wyjątków, a filozofii katedr naukowych i do dziś dnia daleko do tego, żeby była wolną od wpływów protestancko-purytańskich. Ten to typ umysłowości amerykańskiéj, obok wybujałego industryalizmu, mówiąc nawiasem, czynił kraj ten tak mało sympatycznym dla natur artystycznych, dla duchów wolnych, jak John Ruskin lub William Morris.

Ostatnie dwa lat dziesiątki zaprowadziły wszakże pod tym względem znaczne zmiany. Ogół czytający wprawdzie również mało, jak i przedtém, potrzebuje filozofii: za dowód tego służy zupełny niemal brak popularniejszych wydawnictw peryodycznych filozoficznych i brak artykułów filozoficznych w czasopismach ogólnéj treści. Wiele natomiast uzyskano pod względem wolności słowa na katedrach filozoficznych i wyzwolenia ich z pod wpływu teologii, z którą uprzednio były często połączone w osobie jednego profesora.

Walka o wolność myśli filozoficznéj w téj sferze nie była hałaśliwa i skończyła się zwycięstwem filozofii, a trzeba oddać pod tym względem słuszność protestantyzmowi amerykańskiemu, że chociaż pragnie, o ile może, wycisnąć swoje piętno w zakresie życia praktycznego, nie krępuje wszakże myśli teoretycznéj i — dziś przynajmniéj — z milczącym szacunkiem ustępuje miejsca uczonym w decydowaniu o rzeczach naukowych, a nawet sam zapożycza się od nich. Nierzadko słyszymy w kościołach — zwłaszcza bliżéj ku zachodowi — mowę o ewolucyonizmie i wprowadzanie jego zasad do pojęć religijnych lub o zastosowaniu zasad kantyzmu do teologii; w wykładach teologii i krytyki biblijnéj profesorowie starają się pogodzić stanowisko swoje z najnowszemi wymaganiami wiedzy i t. p.

Dzięki téj taktowności, walka, o któréj wspominałem, nie przybrała tu charakteru hałaśliwego i publicznego, jaki miały wystąpienia materyalizmu wobec religii w Niemczech na początku drugiéj połowy bieżącego stulecia. Prawo swobody przekonań filozoficznych zostało uznane po krótkim, gdzieniegdzie może zaciętym oporze, który wszakże nie wykroczył po za ściany zakładów naukowych, a dziś, pomimo przeważnie religijnego tonu życia i charakteru uniwersytetów, nikt nie myśli o wykluczaniu Darwinów lub Millów, Lewisów lub Spencerów i t. p. pisarzy z czytelni publicz-

nych, ani téż darwinizmu, ewolucyonizmu lub pozytywizmu z przedmiotów wykładów naukowych.

Ważnym czynnikiem w tém przeobrażeniu był rozwój wielu dawnych kolegiów, t. j. zakładów naukowych wyższych, obejmujących tylko jeden, dwa lub trzy wydziały o kierunku praktycznym (przeważnie prawo, medycynę, teologię), lub téż nawpół średnich szkół ogólnie kształcących (*undergraduate schools*) w uniwersytety, obejmujące *quadrivium* europejskie, a więc wciągające w swój zakres filologię, historyę, filozofię i wiedzę przyrodniczą.

Umiejętności te, o interesie przeważnie teoretycznym, prawdziwe „*humaniora*", budzą zamiłowanie do badań, nie mających na celu innych widoków prócz poznania prawdy, i stopniowo wyrabiają potrzebę harmonii i jedności w poglądzie na świat, z któréj wykwita filozofia. Owoce wszakże tego rozwoju wyższych zakładów naukowych należą do przyszłości; dziś bowiem, jak to nadmieniłem, dają się dostrzedz tylko w jednostkach wyjątkowych: ogólny typ całego życia amerykańskiego i charakter umysłu yankesa zostają w rażącéj sprzeczności z każdém badaniem teoretyczném; uderza to przybysza odrazu w odpowiedziach i zwrotach praktycznych, które nadaje Amerykanin jego płynącym z ciekawości zapytaniom czysto teoretycznego charakteru. Pytacie się o jakąś miejscowość — odpowiadają wam jak się do niéj dostać; o jakiś przedmiot użytku — słyszycie zapytanie wzajemne: czy pan chce kupić, czy sprzedać; o gmach lub inny okaz sztuki — odpowiadają wam, ile kosztował. Umysł Amerykanina jest wogóle przeciwnym biegunem owego Hellena starożytnego, który szczyt rozwoju duchowości widział w podziwianiu harmonii przyrody i badaniu jéj tajemnic.

Obok tych wpływów ogólnéj natury, jakie wynikły ze zdobycia niezależności myśli filozoficznéj i wzrostu wykształcenia teoretycznego, na rozwój dziziejszéj filozofii amerykańskiéj oddziaływały téż bezpośrednie wpływy literatury angielskiéj i niemieckiéj.

Z pierwszéj najbardziéj popularnym tu kierunkiem jest ewolucyonizm i to — jak wogóle w krajach o słabym rozwoju myśli filozoficznéj — w formie raczéj spencerowskiéj, niż ściśle filozoficznéj. Spencer jest dosyć czytywany i cytowany, jako powaga w literaturze amerykańskiéj: „Amerykanie byliby się bardzo ździwili, pisze jeden z profesorów uniwersytetu chicagoskiego [1]), gdyby dowiedzieli się, jaką znikającą wielkością stał się dziś Spencer w Anglii."

1) Zuebelin w „*Journal of Sociology*", 1897.

Z wpływów niemieckich najmocniéj odbił się hegelianizm. Amerykanie odrzucili Hegla — dogmatyka, budującego systemat, ale przyjęli jego krytycyzm, jego pracę analityczną, gotującą materyał do syntezy.

Zupełny brak przedstawicieli nowokantyzmu w filozofii amerykańskiéj jest bardzo zrozumiały. Kierunek ten wymaga subtelnego wyrobienia myśli, na które nie było jeszcze czasu w tym kraju, zaczynającym dopiéro filozofować i wkraczającym na tę drożynę, którą Europa zaczęła już od dwóch dziesiątków lat opuszczać.

Z pisarzy amerykańskich w dziedzinie filozofii tylko psychologowie, jak James [1]), Ladd, znani są w Europie.

Literatura peryodyczna filozofii w Ameryce ma kilku poważnych przedstawicieli. Piewsze miejsce zajmuje wśród nich dwumiesięcznik, wychodzący przy *Cornell University* (w mieście Itaca, stanu New-York), p. t. „*Philosophical Revue*“, pod redakcyą d-ra Creighton. Jest to pismo przeważnie akademickie.

Kwartalnik „*The Monist*”, wychodzący w Chicago pod redakcyą P. Carusa, reprezentuje przeważnie filozofię niemiecką i francuską i nie ma ścisłego związku z piśmiennictwem krajowém, ani też, zdaje się, wpływu na nie. Większa część artykułów nadchodzi z Europy w obcych językach i tłómaczy się w redakcyi. Piszący więc nie zna zupełnie swoich czytelników, ani zagadnień, które ich obchodzić mogą. Poziom jego jest przystępniejszy, więcéj zbliżony do popularnego. Nie jest on w związku z żadném ciałem naukowém, będąc wydawnictwem ściśle prywatném.

Dwa czasopisma, poświęcone psychologii, umieszczają także artykuły, dotyczące teoryi poznania i inne zostające w ścisłym związku z filozofią teoretyczną; są to: „*American Journal of Psychology*”, wydawnictwo *Clark University*, redaktorem jego jest prezydent tego uniwersytetu, C. Stanley Hall i „*Psychological Revue*“, wydawane przez prof. Baldwina z Princeton N. J. (jeden ze słynnych uniwersytetów) oraz prof. Cattel z *Columbia University* w N. Yorku. — Wreszcie zagadnieniom etyki poświęcony jest kwartalnik „*International Journal of Ethics*”, wydawany w Filadelfii pod redakcyą główną Burnsa Westona, umieszczający także artykuły europejskich pisarzy.

---

[1]) Pisał o nim p. Wł. Dawid w „Przegl. Pedagogicznym“. Obacz także „*Année Philosophique*“ za r. 1890—7.

Pionierem wydawnictw filozoficznych niezależnych w tym kraju był „*Journal of speculativ Philosophy*", obecnie zawieszony. Prócz tego umieszczają artykuły filozoficzne pisma pedagogiczne: „*The Educational Review*" w N. Yorku pod redakcyą prof. Butlera i „*The New World*" — organ liberalnéj szkoły teologicznéj w Bostonie.

Rozejrzmy się teraz w kilku wybitniejszych dziełach z ostatnich lat kilku.

„Filozofia Umysłu" [1]) Ladd'a nie jest prostym wykładem psychologii, lecz próbą jéj filozofii. Przedewszystkiém autor ustala realność istoty umysłu (*mind*) i jéj niezależność od realności ciała, nie wpadając przytém w dawną substancyonalizacyę dualistyczną ducha i ciała.

„Istota realna" duszy objawia się nam:

1) przez jedność świadomości w każdym momencie;

2) przez trwałość pamięci i wyrażającą się w niéj metafizycznie realną tożsamość;

3) przez skuteczną samo-czynność (*effective self-activity*) istoty świadoméj.

Nie są to fakta oddzielne od procesu świadomości. *Ego* (jaźń), czyli świadomość, stanowi ową istotę realną ducha, któréj nie należy szukać po za nią. Nie należy wszakże utożsamiać owéj jaźni, czyli *ego*, z jego stanami poszczególnemi. Jedność pamięci oraz czynność dają prawo określać ducha, jako źródło owéj czynności, jako istotę trwałą w czasie, coś więcéj nad proste stawanie się lub „sposób zapatrywania się", lub wreszcie pewną grupę treści.

Ladd skłonny jest prędzéj zbliżać niż oddalać od siebie i przeciwstawiać (jak to czyni np. Wundt) substancyę materyalną od istoty rzeczywistéj duszy. Odrzucając dawne wyobrażenie o jakiémś substancyalném podścielisku (*substratum*) zjawisk duchowych, stara się Ladd tak uogólnić pojęcie rzeczywistéj istoty ducha, ażeby mogło objąć sobą również i świat zewnętrzny.

Pod względem poglądu na całość świata oraz stosunek ducha do ciała nie przyjmnje Ladd żadnego z istniejących w filozofii stanowisk. Filozofia umiejętna, zdaniem jego, musi być oparta na dualizmie, gdyż umysł jest przynajmniéj liczebnie czémś innćm niż istoty fizyczne. Pogląd jego można nazwać teizmem monistycznym, który różni się bardzo od kursującego dziś monizmu *à double aspect*. Umysł jest realnością odmienną od ciała, które uważać na-

---

[1]) „*The Philosophy of Mind*".

leży raczéj za systemat realności; lecz związek ich z sobą jest dla nas stracony w niedostępnéj jego komplikacyi. Oba typy, pod którémi przedstawia nam się świat, różnią się od siebie tém, że gdy wiemy bezpośrednio przez świadomość, czém jest umysł, nic nie wiemy o wewnętrznéj istocie (*inside)* materyi.

Stosunek pomiędzy duszą a ciałem znany nam jest, jako ściśle przyczynowy w obu kierunkach; lecz jak wewnętrza istność umysłu, tak i charakter przyczynowości lepiéj znany jest nam przez samoczynny umysł, niż przez doświadczenie fizyczne. Ladd występuje przeciwko teoryi równoległości zjawisk cielesnych i duchowych z całą znajomością argumentacyi przeciwników i poddaje obszernéj i wyczerpującéj krytyce poglądy Höffdinga, dotyczące tego przedmiotu [1]). Z drugiéj strony niepodobna odrzucić wpływu warunków cielesnych na działalność umysłową; sam autor traktował ten przedmiot w innych dziełach [2]); jedyną więc teoryą, która może przezwyciężyć te trudności, jest dualizm, uznający oddzielność obu istności, lecz zarazem i skomplikowaną zależność ich przyczynową.

„Należy zauważyć, powiada Ladd, że kursujący monizm psychologiczny staje się agnostycyzmem dogmatycznym w tym punkcie, w którym prawdziwy monizm filozoficzny zaczyna ujmować termina swego zadania. Wkrótce wykażemy, iż teorya ta bezużyteczną jest dla nauki psychologicznéj w tych właśnie punktach, gdzie nauka ta najwięcéj potrzebuje pomocy, oraz że jéj metafizyka opiéra się na niedostatecznéj refleksyi. Przeciwnie, przyjęcie immanencyi umysłu absolutnego w tym świecie przyrody, do którego należą zarówno ciało, jak i dusza ludzka, jest jedynym wymagalnikiem, który może nadać trwałą podstawę całemu królestwu wiedzy psycho-fizycznéj" [3]).

W ostatnim rozdziale tego dzieła, pod charakterystycznym tytułem „Stanowisko umysłu ludzkiego w przyrodzie", czytamy:

„Istota świata, którego wszelkie poszczególne istoty są tylko częściami, powinna być tak pomyślana, aby była przyczyną wszystkich związanych wzajemną zależnością egzystencyi i czynności" [4]). Jest to „przyczyna wszechświata" (*the World-Graund*), któréj istotę,

---

1) *l. c.*, str. 319—333.

2) Zwłaszcza w „*Psycology descriptive and explanatory*", N. Y., 1894 i „*Physiological Psycology*".

3) *l. c.*, str. 318—319.

4) *l. c.*, str. 411—412.

jako umysłu i jako *ens realissimum*, obiecuje traktować w osobnym tomie [1].

„*The First Steps in Philosophy*" Saltera poświęcona jest analizie dwóch najważniejszych pojęć z filozofii teoretycznéj i praktycznéj: pojęć materyi i obowiązku.

Co do pierwszéj, autor zachowuje stanowisko idealizmu. „Materya nie jest przyczyną naszych wrażeń, ani téż metafizyczném podścieliskiem po za niemi, lecz jest nazwą ogólną wrażeń, uważanych ze strony przedmiotowéj."

„Siła nie jest istnością tajemniczą po za zjawiskami materyalnemi, lecz jest temiż zjawiskami, rozważanemi w pewnych ich stosunkach do siebie."

„Wyjawicielem i prawdziwym nieprzyjacielem iluzyi nie jest żadna tak zwana rzeczywistość zewnętrzna i niezależna od nas, lecz samo doświadczenie."

Pozostawiając na późniéj zbadanie doktryny o rzeczywistości transcendentalnéj, bezwzględnéj, autor dodaje do tego idealizmu fizycznego czyli zmysłowego, jako współwzględnik, realizm metafizyczny, czyli nadzmysłowy, w duchu Kanta w dziedzinie praktycznéj.

Druga połowa tomu, p. t. „*Duty*" (obowiązek), roztrząsa źródło poczucia obowiązku moralnego. Obowiązek jest żądaniem samourzeczywistnienia. „Prawdziwa cnota nie jest pojedyńczym, lub specyalnym skończonym aktem, lub nawyknieniem, lecz dobrowolném naszéj istoty oddaniem się całkowitéj idei."

Salter jest także autorem dzieła, p. t. „Religia etyczna" [2].

„*Noel Winter*" jest zdaje się tylko pseudonimem autora książeczki, pod tytułem „*Pan-Gnosticism*" [3]. Jest to raczéj zbiór aforyzmów filozoficznych dotyczących, poznawalności świata. Wyjmujemy z niego kilka myśli głównych:

„Niepoznawalność (*Inscrutability*) jest złudzeniem".

„Możliwe jest poznanie każdéj rzeczy, co do któréj możliwą jest niewiedza."

---

[1] Inne filozoficzne i psychologiczne dzieła tego autora są: „*Psychology descriptive and explanatory*", N. Y. 1894. „*Introduction to Philosophy, being an inquiry after a rational system of scientific principles in their relation to ultimate reality*", 1891. „*Outlines of physiological Psychology*" i „*Elements of physiological Psychology*".

[2] „*Ethical Religion*", Chicago, 1892.

[3] „*Transantlantic Co*", N. Y., 1895.

„Nie możemy wykroczyć po za świadomość zjawiskową, lecz wynik jéj, przeciwstawność zjawiskowa „rzeczy“ i „wiedzy o rzeczach“ ma swoją ewolucyę; śledząc tę ewolucyę, przychodzimy do przekonania, że ani idealistyczne sprowadzenie rzeczy zjawiskowych do spraw podmiotowych (umysłu), ani bezwzględne odróżnienie rzeczy, jako „niepoznawalnych“, od poznania, jako przedmiotowego, nie daje się obronić.“

Autor ustanawia pojęcie „świadomości przedzjawiskowéj“, t. j. stanu świadomości, poprzedzającego rozdwojenie poznania na wewnętrzne i zewnętrzne — stanu, którego bliższą i mniéj spekulacyjną charakterystykę mógłby znaleźć w pierwszych krokach myśli filozoficznéj w jéj dziejowym rozwoju. Wogóle w wynikach swoich autor zbliża się do realizmu typu Avenariusa.

Dziedzina historyi filozofii wogóle najmniéj jest przedmiotem badań samodzielnych w Ameryce, chociaż istnieje tu koło wielbicieli Platona, wydające pismo, bardzo zresztą mało komu znane, a poświęcone wyłącznie jego filozofii [1]) Natomiast przekłady kilku z najlepszych wykładów niemieckich historyi filozofii wykonane i wydane były w Ameryce; między innemi także znane czytelnikom polskim „Dzieje filozofii Nowożytnéj“ Falkenberga [2]), wydane prawie jednocześnie z przekładem polskim i rosyjskim; przekład Erdmanna [3]) i inne.

Zanim przejdziemy do filozofii praktycznéj oraz filozofii poszczególnych gałęzi wiedzy, kilka słów poświęcić wypada dziełku, które, zostając pozornie w styczności z pedagogią, w rzeczywistości zdaje się, że jest wstępem do dalszych spekulacyi kosmologicznych. Mam na myśli „Rozwój umysłowy dziecka i rasy“ [4]) Baldwina (profesora w Princeton). Są to spekulacye o ewolucyi przyzwyczajenia, a zwłaszcza o utworzeniu nowych nawyknień pod wpływem przystosowania się. Autor kładzie wielki nacisk na wpływ naśladownictwa w rozwoju umysłowości — czynnik, który już Tarde wyzyskał w swojéj teoryi socyologiczno-prawnéj. Z filozofii biologicznéj [5])

---

[1]) „*Bibliotheca Platonica*“, wydawana przez T. M. Gohnsona w Osceola, Missouri (St.-Clair Co), od r. 1889. Dwumiesięcznik.

[2]) Przez Armstronga N. Y. 1893.

[3]) Przez W. S. Hough, prof. uniwersytetu stanu Minnesota, 1892.

[4]) „*Mental Development in the Child and the Race*“. Mc. Millan. N. Y. 1895.

[5]) Licznym próbom amerykańskiéj filozofii biologicznéj w duchu naukowego transformizmu poświęcimy osobny artykuł.

udzielamy tu miejsce dziełu dr. Goulda, p. t. „*Meaning and Method of Live. A search for Religion in Biology*“, 1893. Świat fizyczny jest królestwem czystego mechanizmu. Wieczność atomów przyjęta jest za pewnik. „Świat nie mógł powstać, gdyż w takim razie usprawiedliwiona byłaby obawa jego zagłady.” Świat organiczny wszakże celowością swoją zmusza do przyjęcia istnienia rozumu kierowniczego, który zwykle nazywają Bogiem. Niedorzeczném wszakże jest uważać go za byt bezwzględny oraz za twórcę. Autor nazywa go „*Biologos*”. „*Biologos*, powiada autor, jest istotą skończoną, która pragnie życia i walczy o nie, gdzie tylko wydarzy się sposobność ku temu, pośród wrogiego mu mechaniczno-fizycznego porządku i z tym porządkiem, aby wywołać jak najdoskonalsze formy życia. Metoda jego jest stopniowa, podobnie jak i nasza, gdy staramy się opanować przyrodę. Dla tego téż nie jest ona stwarzaniem, lecz ewolucyą. Główną trudność w téj walce z wrogim życiu porządkiem fizycznym stanowi niezupełnie dotąd przez *Biologos* rozwiązane zadanie odżywiania. Na téj trudności polega powolność ewolucyi. Złe wszelkiego stopnia — są to „koszta sprawy” (*expences of the process*), wymuszone od *Biologos* przez wrogi mu porządek mechaniczny. Śmierć nie jest jego celem, lecz koniecznością, wymuszoną przez zagadnienie odżywiania, Autor ilustruje swoje poglądy przykładami na wzór Schopenhauera i Hartmanna, z którego to ostatniego „Nieświadomém” ma pewne pokrewieństwo *Biologos*. Pomimo fetyszystycznéj formy, w którą wciela się idea ewolucyi („*biologos*”), poglądy autora nie są w tak rażącéj sprzeczności ze współczesnemi dążnościami transformizmu naukowego, jakby się wydawać mogło. Zrezygnowanie mianowicie z nadziei czysto mechanicznego wyjaśnienia powstawania form organicznych, ukryte w przeniesieniu czynników rozwoju do elementarnych, obdarzonych „zdolnością do doskonalenia się“ pierwiastków protoplazmy, które znajdujemy w teoryach Nägelego i Weissmanna, jest tu podniesione do zasady i wyrażone w sposób jaskrawy, jako walka życia ze światem mechanicznym; czysto fizyologiczna zaś zagadka śmierci, którą Weissmanna, Götte i inni usiłują połączyć z biologiczną teoryą rozwoju, jest i tu z nią ściśle związana.

Ewolucyonizm amerykański przybiera odmienne kształty i usiłuje on raczéj konstatować fakty, niż je tłómaczyć mechanicznie i rozwija się drogą wytkniętą przez Lamarka, t. j. kładąc szczególny nacisk na oddziaływanie czynników zewnętrznych i szukając ogólnych formuł, wyrażających te oddziaływania. Do przedstawicieli

jego należą: Cope, Osborn, Paekard, Hyatt, Brooks, Ryden, Dall, Orr i inni. Przedmiot to wszakże zbyt obszerny, abyśmy mu mogli udzielić miejsca w tym krótkim przeglądzie literatury filozoficznéj.

Dzieło Goulda, będące próbą wytworzenia religii biologicznéj, jest wyrazem zaznaczonego na początku stanu umysłów tego kraju, odpowiadającego fazie, w któréj filozofia jeszcze się nie oddzieliła od religii i rozwiązanie zagadnień filozoficznych przybiéra formy religijne. Objawem téj saméj dążności jest „Towarzystwo Kultury Etycznéj" — próba wytworzenia religii, opartéj na zasadach etycznych, wyższych i bardziéj społecznych niż dotychczasowy indywidualizm. Towarzystwo to miéwa odczyty w rozmaitych miastach i szerzy swoje wydawnictwa. Do tegoż rodzaju przedsięwzięć należy wydawnictwo miesięczne, p.t. „*Open Court*" w Chicago. Skład redakcyi jest ten sam, co i w „*Monist*". Zadaniem wydawnictwa jest szerzenie zasad „Religii Wiedzy."

Czém jest Religia Wiedzy? O tém poucza nas książeczka pod tym samym tytułem, napisana przez redaktora „*Open Court*", któréj drugie wydanie opuściło prasę w zeszłym roku [1]) Mówiąc krótko, jest to złocona pigułka, mająca ułatwić Amerykanom przełknięcie gorzkawych wyników materyalistycznego monizmu niemieckiego. Ponieważ wydawnictwo to istnieje już od lat wielu, a połączone jest z wydawnictwem całego szeregu bardzo dobrych książek popularnonaukowych [2]), pozwolimy więc sobie udzielić nieco więcéj miejsca rozbiorowi zasad „Religii Wiedzy."

Dążeniem wszelkiéj religii jest wyrobienie przekonań, które przewodniczyć by mogły w życiu człowieka, dać pociechę w smutku i uświęcić cele życia. Zadaniem wiedzy — metodyczne dążenie do prawdy.

Religia Wiedzy uznaje za prawdę tylko to, co jest naukowo dowiedzione. Zasad religii wiedzy jest pięć, które zresztą wszystkie wynikają z jednéj: 1) szukać prawdy, 2) przyjąć prawdę, 3) odrzucić to, co nie jest prawdą, 4) ufać w prawdę, 5) żyć w prawdzie.

---

[1]) P. Carus. „*Religion of science. Second edition, revised and enlarged.*" Chicago, 1896.

[2]) Przekłady popularnych dzieł Maxa Müllera, Ribota, Macha, Freytaga, Bineta, Noiré'go oraz oryginalne utwory Romanes'a, Cope'a i innych wchodzą w skład „*Religion of Science Library.*"

Nie ma różnicy w prawdzie religii a wiedzy, prawda jest jedna. Wiedza jest otoczona świętością, jéj prawda jest prawdą świętą. Religia wiedzy nie ma dogmatów, t. j. twierdzeń, któreby mogły się ostać wbrew wynikom wiedzy, ale ma wiarę, to jest zaufanie w prawdzie, czyli przekonanie, że prawdę można znaleźć i że prawda jest jedynym odkupicielem.

Nauki Religii Wiedzy są wynikami doświadczenia nie jednostki, lecz rasy: muszą one być dowiedzione i zawsze podlegają krytyce. Religia Wiedzy nie przywiązuje wewnętrznéj wartości do symbolów samych przez się, lecz tylko do ich znaczenia. Nie oponuje przeciwko obrządkom, lecz nie przepisuje żadnych specyalnych form, jako właściwych téj religii i niezbędnych do zbawienia.

Oto jest treść jéj nauk: 1-o Każdy czyn ma nieuniknione następstwa dobre lub złe; 2-o Przepisy moralne, na które zgadzają się prawie wszystkie istniejące religie, są poprawne; 3-o Co jest dobre, a co złe, powinno być wykryte drogą naukową; 4-o Religia Wiedzy przyjmuje wyroki nauki.

Uczeni, jako poszukujący prawdy, są prorokami Religii Wiedzy; lecz powaga ich polega jedynie na znalezionéj prawdzie, nie na ich osobie. Prawdę powinniśmy przyjmować, jaką jest, gdyż nie od nas zależy jéj ukształtowanie.

Jaka jest najwyższa powaga Religii Wiedzy? „To, co wiecznie-trwałe w istnieniu, jest ostateczną powagą dla naszego postępowania i, jako takie, w języku religii nazywa się Bogiem". Owém, wiecznietrwałém jest prawo natury, którego niejako częściowym objawem jest prawo moralne. Przepisy religii są to formuły, uczące człowieka postępować zgodnie z owém prawem. „Wiedza, chociaż nie mówi o Bogu, uczy o Nim, gdyż każde prawo natury jest częścią istoty boskiéj."

Etyką Religii Wiedzy jest etyka obowiązku. Obowiązek wymaga, abyśmy szli drogą postępu, chociaż przytém ilość szczęścia nie wzrasta, lecz raczéj ubywa.

„Natura nie uwzględnia naszych teoryi. Nasze teorye powinny się stosować do natury. Powinniśmy rozwijać się i postępować, a szczęście nasze jest tylko przypadkowym rysem w losach naszego życia. Rozważając obowiązki życia nie powinniśmy i nie możemy pytać, czy posłuszeństwo zwiększy czy zmniejszy nasze szczęście." Etyka Religii Wiedzy streszcza się w tych 3-ch punktach: 1-o Poznaj siebie i prawa twego bytu. 2-o Naucz się obowiązków, które z tych praw wynikają. 3-o Spełniaj te obowiązki bez zachwiania.

Żadna religia dotąd nie obeszła się bez nauki o duszy i nieśmiertelności. Nie brak téż jéj i w Religii Wiedzy. Łatwo się domyśléć, że jéj psychologia jest nawskroś sensualistyczna. Dusza jest tylko zbiorem stanów psychicznych — myśli, uczuć i chęci. Skoro więc niéma indywidualnéj duszy, jak pojmować jéj nieśmiertelność?

Nieśmiertelność polega na dziedziczności zasobów, zdobytych przez poprzednie pokolenia, a wchodzących jako składniki do naszych myśli i przekonań.

Taką jest w ogólnych zarysach Religia Wiedzy; widzimy tu pełno reminiscencyi z filozofii XVIII w. i dzisiejszych odłamów materyalizmu. Przyrodzone prawo moralne przypomina zasadniczą myśl kołłątajowskiego „Porządku fizyczno-moralnego", pisanego przed stu laty; myśl pojednania religii z wiedzą—Pierwsze Zasady" Spencera, a życie wieczne w całości — „nieśmiertelność podmiotową" Comte'a, który ją jednak bardziéj po ludzku pojmuje. Jest tu i zabarwienie pesymistyczne w duchu Hartmanna. Nie mało téż i sprzeczności w téj nauce. Autor nie dostrzega, że nibyto odrzucając „niedowiedzione" dogmata, buduje cały gmach swój na wierze w poznawalność prawdy, która jest nietylko niedowiedzionéma twierdzeniem dogmatycznéma, ale i przez wielu zaprzeczanéma. Uznanie *consensus omnium* (zgody powszechnéj) za probierz w ocenie zasad moralnych (nauka 2) jest również niefilozoficznym eklektyzmem jak i sprzecznéma z twierdzeniem, iż moralność ma być opartą na wiedzy. To zaś ostatnie (nauka 3) jest i dogmatyczne i błędne. Wiedza daje nam środki przewidzieć następstwa pewnych faktów, lecz nie oceny ich. Wiedza uczy nas, że dawka trucizny sprowadza śmierć, lecz nie mówi, czy złém, czy dobrem jest zadawanie śmierci. Nie sądzimy też, aby Religia Wiedzy mogła zadość uczynić wymaganiom, jakie sam autor postawił dla religii, t. j. pocieszenia w utrapieniu i uświęcenia celów życiowych. Jest ona tylko sformułowaniem t. zw. „poglądu na świat naukowego", którego nie przerobią na religię takie frazesy, jak np., że „prawda otoczona jest świętością", lub nazywanie praw przyrody „nadosobowym (*superpersonal*) Bogiem". Pogląd zaś ten zawiera bardzo mało pierwiastków pociechy. Fryderyk II, złamany niepowodzeniami, daremnie szukał pociechy w poemacie Lukrecyusza „O naturze rzeczy". „Znalazłem tam tylko konieczność złego i brak lekarstwa na nie", pisał po odczytaniu 2-ej pieśni. Również wątpliwém jest, aby myśl o dziedziczności zasobów psychicznych mogła była pocieszyć Kochanowskiego po stracie Urszuli.

Z tém wszystkiém jest pewne świeże tchnienie w téj książce, a tchnienie to zawdzięcza podniesieniu dwóch zasad, które od czasów Kopernika stają się coraz bardziéj charakterystycznemi cechami myśli nowożytnéj, a można rzec, że streszczają w sobie główne hasła oświaty. Są niemi — żądanie, abyśmy prawdę przyjmowali taką, jaka jest, nie cofając się przed niemiłemi dla nas następstwami, i obowiązek postępu, t. j. doskonalenia się, niezależnie, a nawet wbrew myśli o szczęściu własném.

W. M. Kozłowski.

FINIS

GIACOMO LEOPARDI.

(W setną rocznicę urodzin poety).

Życie hr. Jakóba Leopardiego, największego włoskiego poety nowożytnych czasów, jest zbiorem wszelkich nieszczęść, jakie człowieka nawiedzić mogą. Pochodził ze znakomitego rodu, a ograniczone środki materyalne, jakiemi rozporządzał, nie mogły go przed nędzą ochronić; z dziwakiem ojcem, opanowanym wpływami Jezuitów, żył w ciągłém rozdwojeniu; od dzieciństwa słabowity, z rachitycznie ukształtowanym szkieletem, nie znał ni szczęśliwéj młodości, ni zdrowia; uzbrojony w erudycyę, która wzbudzała podziw w rodakach i cudzoziemcach, jeden z najgłębszych znawców starożytnego świata, nigdy nie mógł wywalczyć sobie stanowiska, odpowiadającego jego nauce i zdolnościom; powołany do najświetniejszych, jakie poezya dać może, laurów, wskutek cierpień potęgujących się z każdym rokiem, wpadł w przygnębienie i skończył na zupełnéj sprzeczności z prądami, ożywiającemi współczesnych; obdarowany przez naturę gorącém sercem i namiętném pragnieniem miłości, mniemał, że ma dokoła siebie wystygłe dusze i że mu pozostaje tylko jeden „z tego morza cierpień" ratunek — śmierć. Ją to, jak lubego, dawno wyglądanego przyjaciela, w wierszu „Miłość i śmierć" temi wita słowy:

„Nigdy nadzieja próżna, która krzepi
Świat ten i świata tego trwożne dzieci,

Pocieszać mię nie zleci,
Ni się mi głupia hardéj myśli czepi,
Ciebie jednéj i owéj
Pory czekam majowéj,
Gdy mi dasz głowę pochylić uśpioną
Na twe dziewicze łono" [1]).

Wreszcie przychodzi doń upragniona śmierć, w dali od miejsc rodzinnych i wyrywa go z ramion wiernego przyjaciela, który przez siedm ostatnich lat życia pielęgnował go i pocieszał, a potém zamknął mu oczy, pogrzebał go, postawił mu pomnik, opisał żywot, wreszcie zebrał i wydał jego pisma.

Giacomo Leopardi urodził się w d. 29 czerwca 1798 r. w Recanati, mieście Marchii ankońskiéj, w pobliżu Loreto, sławnego miejsca pielgrzymek. Ojcem jego był hrabia Monaldo Leopardi, znany w swym czasie z chybionych spekulacyi ekonomicznych i rozmaitych pism treści politycznéj, stanowiących rażące przeciwieństwo z poglądami syna. Matką poety była margrabina Adelaida Antici, która — twierdzimy to na zasadzie listów przez nią i do niéj pisanych — zajmowała w rodzinie podrzędne stanowisko i w żadnym kierunku najmniejszego wpływu na syna nie wywierała. Pierwszymi domowymi nauczycielami młodego Jakóba byli dwaj duchowni. Od czternastego roku życia, zostawiony samemu sobie, uzupełnił swe wykształcenie, prowadząc dalsze studya w bogatéj bibliotece ojcowskiéj, przechowanéj do dnia dzisiejszego w domu Leopardich w Recanati, wraz z napisem umieszczonym przez ojca poety nad wejściem do niéj: „*Filiis, amicis, civibus Monaldus de Leopardis bibliothecam a. MDCCCXII.*" Księgozbiór ten stał się źródłem niezmiernéj jego wiedzy. Tam młody samotnik poznał bez pomocy nauczyciela języki: grecki i hebrajski, z nowych zaś: francuski, hiszpański i angielski. Z największém zamiłowaniem studyował greczyznę. W dzieciństwie niejedną noc bezsennie przepędził, pracując nad ulubionymi autorami. Oto co mówi brat poety, Carlo, w liście pisanym do wydawcy „*Epistolario di Giacomo Leopardi*", t. I, str. 12: „Zapewne, że nikt nie może dać lepszego świadectwa jego pracowitości odemnie, ponieważ w czasach tych zawsze z nim sypiałem w jednym pokoju. Kiedym się późno w nocy obudził, nieraz widziałem go, pracującego na klęczkach przy biurku, by módz korzystać z dogasającéj świécy do ostatniéj chwili." Kto inny znów, przyjaciel młodości,

---

[1]) Wszystkie cytowane przez nas urywki wzięte zostały z przekładów E. Porębowicza („Wybór pism G. Leopardiego". Warszawa, 1887, „Bibl. naj. utw. lit. europ.").

poety, Pietro Giordani, w przedmowie do zbioru filologicznych studyów Leopardiego „*Firenze Le Monnier*”, str. 14) pisze co następuje: „Przyswoił on sobie nietylko wszystko to co znane było starożytnym, mianowicie zaś Grekom, lecz poznał również najbardziéj drobiazgowe szczegóły tyczące się ich obyczajów myśli i uczuć, tak że wydawał nam się jednym z nich, i to jednym z największych. Nieraz mi to na myśl przychodziło, że gdybyśmy mogli jeszcze snuć marzenia platońskie, powiedziałbym wtedy, że była to jedna z dusz, przeznaczonych od natury do wcielenia się w Grecyi, w czasach Periklesa i Anaksagorasa, nie wiem z powodu jakich błędnych zarządzeń z zejściem na ziemię opóźniona i to w dniach tak smutnych dla naszéj ojczyzny.” Pierwsze prace Leopardiego, zajmujące się starożytnościami greckiemi i literaturą grecką, ukazały się w r. 1816, w Medyolanie, w piśmie „*Spettatore italiano e straniero*”, które wydawał F. A. Stella. Wielkie wrażenie wywarły dwa greckie wiersze, napisane i ogłoszone przez Leopardiego w ośmnastym roku życia. Nastrojone na nutę Anakreona, uchodziły za oryginały tego poety, dopóki Leopardi nie wyjaśnił uczonym, że sam jest ich twórcą. Jeden z tych wierszy zwrócony jest do miłości, drugi zaś do księżyca. Jednocześnie z niemi wydrukowany został „przekład świéżo odkrytego” „Hymnu do Neptuna” wraz z „oryginalnym” tekstem greckim, zaopatrzonym w konjektury i uwagi hermeneutyczne, których uczoność wprawiła w podziw nawet tych, co domyślali się mistyfikacyi. W następnym (1818) roku ukazały się w Rzymie dwie pierwsze *Canzony* Leopardiego: „Do Włoch” i „Do Dantego”. W obu skarży się poeta na polityczny upadek ojczyzny. Italia wydaje mu się piękną niewiastą, lecz, mówi on:

. . . . dzisiaj rozstrojoną
Z lauru skroń nosisz i odkryte łono.
Ha! Jakiż widok krwawy.
Ile łez, potu!... Tak-że, piękna pani,
Tak że cię widzę? W niebo ręce wznoszę,
Ziemi pytając proszę:
Kto ją ku temu przywiódł? I to boli,
Że łańcuchami ma skute ramiona...

Tak bez zasłony, z włosy rozdartemi,
W mdłém opuszczeniu usiadła na ziemi,
Skłoniła na kolana
Twarz swą i płacze...
Płacz, bo masz czego, Italio, przez losy
Na zwycięstwa wskazana
Czyli cię pieszczą, czy zadają ciosy.

Drugą strofę kończy poeta temi słowy:

Nikt-że nie pomści cię, nikt nie osłoni
Z pośród twych dzieci?... Hej! broni tu, [broni.

Sam ja bój stoczę, sam nadstawię ciała.
Dajcie niebiosa, proszę, by krew moja
Zniczem dla piersi italskich się stała.

Następnie skarży się, że synowie Italii w obcych ziemiach za obcą walczyli sprawę i wspomina najpiękniejsze czasy starożytnéj Hellady,

kiedy jéj dzieci wspólnemi siłami zwycięsko odparli najazd perski. Wreszcie wprowadza poetę Simonidesa, który, podług świadectwa Diodora, przy zwycięskim obchodzie na polu bitwy pod Termopilami, opiewał czyny bohatérów padłych za ojczyznę:

> Prędzéj wydarte z nieba, wpadłszy w morze,
> Zasyczą gwiazdy gasnące w głębinie,
> Niżeli zaszczyt wieczny
> I pamięć o was zginie.
> Grób wasz ołtarzem będzie: tu niewiasty
> Przychodząc, dzieciom będą ukazować
> Ślady krwi waszéj; tu ja się położę
> O, moi święci, i będę całować
> Ten oto głaz, murawę,
> Co od krańca do krańca
> Ziemi przywodzi w pamięć waszą sławę.
> Gdybym tam z wami był! gdyby i moją
> Krwią święta matka ziemia zwilgotniała!
> Lecz skoro wzbrania mi losów zesłanie,
> Abym za Grecyą zemdlałe powieki
> Zamknął gdzieś na majdanie,
> Niechaj z bożéj opieki
> Przetrwa czcigodnéj sławy panowanie
> Krainy waszéj wieszcza
> Na przyszłe wieki; póki waszéj stanie.

Druga *Canzona* „Do Dantego" została napisaną z powodu zawiązania się we Florencyi związku, mającego na celu postawienie w mieście tém pomnika dla największego poety włoskiego. Leopardi maluje upadek ojczyzny od czasów Dantego, uderza w haniebne dla Włoch rządy Napoleona, kiedy synowie Italii ginęli tłumnie w śniegach Rosyi, a sztuki włoskiéj arcydzieła bywały za Alpy wywożone.

Po dwu latach (1820) ogłoszoną została trzecia *Canzona* do Angela Mai, jednego z najznakomitszych filologów włoskich, który odkrył liczne fragmenta z dzieł starożytnych pisarzy i umiał je odczytać z palimpsestów, który przywrócił Euzebiusza, — który wszakże najbardziéj wsławił się odnalezieniem i wydaniem ksiąg Cycerona *de Republica*. *Canzona* ta, zdaniem wielu, najpiękniejsza z pośród poezyi Leopardiego, jest skargą na upadek piśmienniczéj potęgi Włoch. Poeta przeprowadza przed naszemi oczyma Dantego, Petrarkę, Tassa; a z nowszych Alfieriego i gorzko nad tém ubolewa, że współczesność nie zna wielkich duchów i że wszystkich nęci spokojna przystań mierności. W końcu zwraca się do wielkiego uczonego i życzy mu szczęśliwego uwieńczenia trudów. „Budź umarłych — mówi do niego — podczas, gdy śpią ży-

wi, martwym ustom dawnych bohatérów powróć ich mowę, ażeby ten haniebny wiek powstał do szlachetnego trudu.

Poezye te wymierzone z młodzieńczym zapałem przeciw współczesnemu nastrojowi Włoch, a odznaczające się krzepkim językiem i skończoną doskonałością formy, wywarły wielkie w całym kraju wrażenie. Z ciekawością dowiadywano się, kto to jest, ten dotychczas nieznany młodzieniec, który, w smutnych czasach restauracyi, pod uciskiem księży i obcego panowania, umiał rozpłomienić poczucie narodowe, wskazać Włochom ich samych i dawną ich wielkość, nawiązując słowa swe do politycznych *Canzon* Petrarki: „*O aspettata in ciel*", „*Spirto gentil*" i „*Italia mia*".

A sam poeta, którego sława rosła z dniem każdym, przebywał jeszcze podówczas w ojcowskim domu w Recanati, skąd nie wydalał się do 24-go roku życia, w istnéj katowni stosunków rodzinnych, otoczony nie rozumiejącymi go karłami, nie domagając na zdrowiu z powodu zbyt surowego, jak mniemał, dla Włoch klimatu, narażony na brak wszystkiego tego, czego pragnął, zwłaszcza zaś na brak środków pieniężnych, niezbędnych dla porzucenia domu rodzicielskiego. Już w kwietniu 1817 r. pisze do Giordani'ego („*Epistolario*", t. I, str. 33), broniącego przed nim Recanati: „Łatwo ci mówić: Plutarch i Alfieri kochali swą Cheroneję i swe Asti. Kochali je, nie mieszkając w nich. W ten sposób i ja kochać będę rodzinne gniazdo moje, będąc zdala odeń; teraz je nienawidzę, gdyż w niém mieszkam; ponieważ to nędzne miasto, wyłączając rodzinę moją, żadnego mi dobrodziejstwa nie wyświadczyło." Mówiąc daléj o duchowéj fizyognomii grodu rodzinnego, tak ją charakteryzuje: „Wszystko tu jest głupstwem i martwotą. O literaturze nikt nie słyszał. Do nazwisk: Pariniego, Alfierego, Montiego, Tassa, Ariosta i wszystkich innych trzeba objaśniający komentarz dodawać. Niema tu nikogo, coby sobie zadawał trud zostania czémś, nikogo, coby się czuł nieprzyjemnie dotkniętym mianem nieuka." A nieco niżéj: „Bóg stworzył świat tak pięknym, ludzie niejednéj pięknéj rzeczy dokonali, jest tak wielu ludzi, których każdy nie pozbawiony rozsądku poznać pragnie; ziemia pełna jest cudów; a ja, w ośmnastym roku życia, powiedziéć muszę: mam żyć w téj dziurze i mam umiérać, gdziem się urodził? Powietrze w mieście tém jest wysoce zmienne, wilgotne, dla nerwów szkodliwe i trudne wprost do zniesienia dla pewnych organizmów. Dodaj jeszcze do tego ową upartą straszliwą melancholię, która mnie trawi i pożera, żywi się pracą i wzrasta bez pracy. Wiem wprawdzie, czém jest owa luba melancholia, to źródło piękna; jest ona słodszą od rozkoszy i radości; znałem i ją, lecz teraz już jéj nie znam wcale."

Podobne skargi znajdujemy w wielu jego listach. Oto w jaki sposób postępowano z nim w domu rodzicielskim („*Epistolario*”, t. I, str. 86): „Jestem młokosem i jako taki jestem traktowany, nietylko w domu, gdzie mnie uważają za dzieciaka, lecz i po za domem. Jeżeli kto odbierze list odemnie, a potém ujrzy tego nieznanego mu Jakóba, uważa mnie albo za ducha zmarłego przed trzydziestu pięciu laty dziadka, mego imiennika, albo też za lalę domową i sądzi, że mi zaszczyt osobliwy czyni, jeżeli on, osoba dorosła, odpisuje młokosowi; załatwia więc sprawę w dwu wierszach, z których jeden zawiéra ukłony dla mojego ojca. W Recanati obchodzą się ze mną jak z młodzieniaszkiem, darząc mnie nadomiar przezwiskami: arcy-mędrka, filozofa, pedanta, pustelnika i Bóg wié jakiemi jeszcze.” Daléj znów pisze: „Czy wiécie, że bajoka nawet wydać nie mogę. Lecz ojciec zaopatruje mnie we wszystko o co poproszę i chce, żebym go prosił o wszystko. Ja zaś, mając do wyboru proszenie i nieposiadanie, wybieram to ostatnie, chyba że potrzeba lub gorące pożądanie jakiéj książki, zbyt mi doskwiera. Powiadam: pożądanie jakiéj książki; gdyż nigdy niczego innego prócz książki nie pożądałem, wyjąwszy chęci rozporządzania od czasu do czasu parą koni powozowych, któréj dotychczas ojciec mój nie zaspokoił, gdyż wmówił w siebie to, czego ja dotychczas w siebie wmówić nie mogę, że w domu powinienem odgrywać rolę popychadła.” Do tego wszystkiego dołączył się zły stan zdrowia, podkopanego chorobą zdawna nurtującą w organizmie, obecnie zaś nadwyrężonego gorączkową pracą. Już w r. 1817 często pisuje o tém do Giordaniego („*Epistolario*”, t. I, str. 61): „Nieszczęśliwym mnie czyni przedewszystkiém brak zdrowia; pomijając już bowiem to, iż nie jestem jednym z owych filozofów, którzy nie dbają o życie, widzę się zmuszanym trzymać się zdala od miłości mojéj, moich studyów. Co myślisz o tém, drogi Giordani, w jaki sposób czas przepędzam? Wstaję dość późno, ponieważ obecnie chętniéj śpię niż czuwam. A potém błądzę tu i owdzie, aż do obiadu, nie otwiérając ust do nikogo, ani do książek nie zaglądając. Po obiedzie błąkam się w podobny sposób, aż do kolacyi. Po posileniu się, jeżeli coś jem wogóle, czytam przez godzinę, i to z częstemi odpoczynkami. Jest to obecny mój tryb życia, trwający już od sześciu miesięcy. Drugą rzeczą, która mnie nieszczęśliwym czyni, jest myślenie. Sądzę że wiész, lecz mam nadzieję, żeś się sam nie przekonał, do jakiego stopnia myśl może być męczarnią dla tego, co myśli nieco odmiennie niż inni, — jeżeli ma nad nim moc — jeżeli, sądzę, człowiek taki niema nic, coby go zajęło lub rozerwało, za wyłączeniem studyów, które, ponieważ ducha na uwięzi trzymają, więcéj szkody przynoszą niż pożytku. Dla mnie myśl oddawna stała się przyczyną

takich cierpień, zawsze mnie bowiem jak i obecnie, tak doszczętnie opanowywa, że dzieje się to z wielką dla mnie szkodą i zabije mnie, jeżeli stosunki moje się nie zmienią. Samotność nie jest dla tych, co się sami w sobie trawią." W innym znów liście (t. I, str. 66) powiada: „Myśl zawsze była dla mnie katem i zniweczy mnie, jeżeli w téj samotności w mocy jéj pozostanę." Najgorszém było to, iż do jego cierpień dołączyła się jeszcze choroba oczu, która na cały rok 1819 uniemożliwiła mu pracę. Pisze o tém: „Przez długi czas wierzyłem w to niezłomnie, iż umrę w przeciągu paru lat. Wszakże odkąd przekroczyłem rok dwudziesty, mogłem się przekonać (nie mówię: mogłem sobie pochlebić, ponieważ nie widzę do tego powodu), że nie zagraża mi konieczność tak wczesnéj śmierci, i że przy zachowaniu ciągłéj pieczołowitości żyć jeszcze mogę, — wprawdzie życie to z wielką biédą wlec trzeba będzie i tego życia, które zwykle ludzie wiodą, ani połowy nie będzie ono warte, wobec ciągłego wystrzegania się najdrobniejszych przypadków i najbardziéj błahych ostrożności, któreby mogły zaszkodzić mi lub mnie zabić. Gdyż w przeciągu siedmiu lat gorączkowéj, desperackiéj pracy, w wieku, w którym budowa mego ciała powinna była wykształcić się i wzmocnić, do szczętu się zniszczyłem. Zniszczyłem się nieszczęśliwie na całe życie, doprowadziłem wygląd mój do zupełnego wynędznienia i zniweczyłem w sobie ową całą istotną część człowieka, zwracającą na siebie uwagę tłumu, z którym na tym świecie obcować trzeba. I to nietylko samego tłumu, lecz każdego tego, który życzy sobie, by wewnętrzne obdarowanie nie ujmowało całéj zewnętrznéj ozdoby i który smuci się, znajdując je nagiém i nieprzybraném, potęgując zaś jeszcze moc naturalnego prawa, o które cała, tak nazywana, mądrość bezsilnie się rozbija, ledwie się zdobyć może na odwagę kochania tego, w którym nic pięknego niema prócz duszy. Temi i tym podobnemi nieszczęściami obdarowała natura moją istotę, zostawiając mi dość rozsądku na to, bym jasno widział i wiedział, czém i jak się stałem oraz dość serca dla przeświadczenia się, że radość nie dla niéj jest przeznaczoną, że przybrać musi żałobę, a melancholią wziąć za niedostępną towarzyszkę. Wiem tedy i widzę, że życie moje tylko nędzném być może; lecz mnie zwątpienie jeszcze nie ogarnia. Niechby to życie choć jakąkolwiek wartość miało, a ja bez tchórzostwa będę usiłował przedrzéć się przez jego szlaki. Dożyłem tak bolesnych czasów, iż mi się wydaje, że oczekują mnie jeszcze gorsze. Właśnie jednak dlatego nie wątpię, iż zniosę i te gorsze. Świata jeszcze nie widziałem; wszakże, kiedy go zobaczę i poznam ludzi, dopiéro wtedy napewno, pełen goryczy, będę się musiał zamknąć sam w sobie, nie ze względu na nieszczę-

ście, któreby mnie spotkać mogło i przeciw któremu spodziéwam się uzbroić w niezłomny upór, ni téż ze względu na liczne okazye, które ranić będą moją miłość własną, ponieważ jestem zdecydowany nie korzyć się przed nikim i ponieważ moje życie pogardą za pogardę, szyderstwem za szyderstwo płacić będzie—lecz dla tych rzeczy, które serce moje ranić będą, a które nie każą długo czekać na siebie."

Ten nastrój duchowy nieszczęśliwego poety stawał się z każdym dniem bardziéj posępnym i gorzkim, aż wreszcie przeszedł w rozpacz. W marcu 1820 r. pisze do Giordani'ego: „I ja wzdycham z gorącą tęsknotą do pięknéj wiosny, od któréj spodziéwam się przynajmniéj, że będzie mi lekarstwem na wyczerpanie mego ducha. Parę wieczorów temu, zanim udałem się na spoczynek, otworzyłem okno w moim pokoju: ujrzalem jasne niebo, czarowny blask księżycowy, owiał mnie ciepły powiew wietrzyka, usłyszałem dalekie szczekanie psów — wtedy zbudziły się we mnie dawne obrazy i zdało mi się, że czuję poruszenie w sercu, tak iż krzyczéć począłem, jak obłąkany: o zmiłowanie się nademną błagałem przyrodę, któréj głos zdało mi się, że słyszę po tak długim czasie. I kiedy rzuciłem wzrok na dawny stan mojéj duszy, w którym istotnie się znajdowałem i gdy mi na myśl przyszło, że oto na chwilę znowu weń zapadam, wtedy osłupiałem ze zgrozy, nie mogąc zrozumiéć, jak można znosić życie bez złudzeń, bez żywych uczuć, bez fantazyi i zapału, które jeszcze przed rokiem je wypełniały, uszczęśliwiając mnie bez względu na moje cierpienia. Teraz jestem zwarzony, jak sucha trzcina i żadna namiętność nie znajdzie już dostępu do mojego biédnego serca, nawet wiekuista i wszechpotężna moc miłości została we mnie w młodzieńczym wieku zniweczoną." Myśl o samobójstwie często powraca w listach jego i poezyach. Tak np. w liście z kwietnia 1820 r., pisanym do przyjaciela, adwokata bolońskiego, P. Brighenti'ego, który zajmował się drukiem i wydaniem pierwszych kanzon poety („*Epistolario*", t. I, str. 185): „Myśl jeszcze o mnie jedynie, jako o najbardziéj zrozpaczonym człowieku na ziemi, którego włos tylko przedziela od wyzwolenia się na zawsze z nędzy obciążonego przekleństwami żywota." Ojciec sprzeciwiał się drukowi kanzon, o których była mowa, opiérał się również życzeniu syna, pragnącego opuścić dom rodzicielski, a przynajmniéj nie chciał mu tego ułatwić udzieleniem jakichkolwiek środków, i tak jęczał nieszczęśliwy poeta pod rodzicielską opieką, pod uciskiem duchowego osamotnienia i strasznych cierpień fizycznych, aż do listopada 1822 r. Nareszcie ojciec zaaprobował wyjazd syna do Rzymu, jak się zdaje, w nadziei, że da on się tam prędzéj nakłonić do obrania stanu duchownego, w którym rokowano mu świetne na przyszłość widoki, dotychczas bowiem każdą w téj

materyi propozycyę bez namysłu odrzucał, co zresztą z niesłabnącą energią powtarzało się i późniéj, bez względu na fatalne jego położenie.

Spotykamy więc poetę w listopadzie 1822 r. w Rzymie, gdzie przebywał do maja roku następnego. Z pobytu w mieście tém sam niezupełnie był zadowolony. Potęga starożytnego świata, którego ruiny tu go powitały, nie wywarła, zdaje się, wielkiego na nim wrażenia, nie znajdujemy przynajmniéj śladów tego ni w jego listach, ni w poezyach. Potęga starożytnego świata rozpościérała się dlań w dziełach dawnych pisarzy, a nie w ruinach wiecznego miasta. Badacze starożytności drobiazgowością swą i pogardą dla każdego innego kierunku w literaturze i filologii, obmierzili mu wrażenie, podobnież jak to czynią ze wszystkimi wstępującymi po raz pierwszy do świętego miasta. Tém silniejsze wrażenie wywarł na nim grób Tassa, odszukany przezeń w klasztorze St. Onofrio. Pisze o tém do swego brata Karola („*Epistolario*”, t. I, str. 292): „W piątek d. 15 lutego 1823 r. odwiedziłem grób Tassa i płakałem nad nim. Jest to pierwsza i jedyna przyjemność, jakiéj doznałem w Rzymie. Droga jest daleką i idzie się tam tylko dlatego, by grób zobaczyć. Czyżby wszakże nie można było przyjść i z Ameryki, dla zaznania rozkoszy łez, choćby tylko przez dwie minuty? Wielu doznaje niemiłego uczucia, odnajdując popioły Tassa w kącie nędznego kościołka, przykryte i zaznaczone jedynie płytą kamienną, długą i szeroką około półtoréj piędzi. Ja pod żadnym warunkiem nie chciałbym szukać tych popiołów pod grobowcem. Pojmujesz, jakie mnóstwo wrażeń wywołuje przeciwieństwo pomiędzy wielkością Tassa i nędzą jego grobu. Lecz nie możesz mieć najmniejszego wyobrażenia o innym kontraście, jakiego mianowicie doznaje oko przyzwyczajone do niezwykłego przepychu i wspaniałości rzymskich pomników przy ich zestawieniu z małością i nagością tego grobu. Czuje się posępną i wstrząsającą pociechę na myśl, że jednak to ubóstwo wystarcza do zajęcia i rozpłomienienia potomności, w tém miejscu, gdzie najpyszniejsze mauzolea, jakie Rzym zawiéra, ogląda się z zupełną obojętnością względem osób, dla których zostały wzniesione, o których imię nawet nikt nie pyta, jeżeli zaś to czyni, to wyłącznie dla samych pomników, z któremi imię to ściśle nieraz jest związane.” Czy Leopardi, pisząc to, odczuwał podobieństwo, zachodzące pomiędzy jego losem a losem Tassa, z większą nawet dla jego cierpień przewagą? Giordani w następujących słowach zestawia los obu poetów (*Proemio* do „*Studi filologici*”, str. 23): „Nieszczęścia Tassa sławne są na świat cały. Był on wielkim we współczesnym mu wielkich wieku, a olbrzymem w porównaniu z karłami XIX-go stulecia, niemniéj wszakże Leo-

pardi jest wyższym od niego i jako poeta i jako filozof. Z Tassem obelżywie obeszli się ludzie, Leopardiego okrutnie sponiewierała natura; stąd liczne skargi Tassa przeciw ludziom wymierzone, a bezustanne żale Leopardiego na naturę; pierwszy od trzydziestego roku aż do śmierci ubogim był i chorym. Życie Tassa zostało opanowane przez fantazyę, która mu rozsądek odebrała; przeciwnie zaś Leopardi posiadający o wiele potężniejszą i bardziéj płodną fantazyę, obwarował się rozsądkiem i nigdy nie wyszedł po za jego granice. I właśnie rozsądek ten był dlań katuszą, odbiérając mu pociechę, którą inni ze swych złudzeń czerpali. Wielki epik przeciwstawił dumnemu tyranowi i prześladującéj go zawiści dworaków, poczucie własnéj wyższości, użyte przez prześladowców, jako świadectwo przeciwko niemu; poeta-filozof czuł odrazę i rozgoryczenie, spowodowane mrokiem, w jakim żył i uważał go może za jedyną swego bezpieczeństwa przyczynę. Tassa tak bolało własne nieszczęście, że o powszechném nie myślał; serce Leopardiego zostało śmiertelnie ugodzone ostrym pociskiem natury, która w stosunku do poety, jak zresztą i do całego rodzaju ludzkiego była rozrzutną w rozsiewaniu zwodniczych nadziei."

Nowożytni Rzymianie i Rzymianki również nie nazbyt Leopardiemu imponowali. Ciągle się uskarżał na ich nieuctwo, bezmyślne rozrywki, na zawiść i próżność tamtejszych literatów, wyrażając się natomiast z zupełném uznaniem o cudzoziemcach, zwłaszcza zaś o Niemcach, których w mieście tém poznał; jaknajpochlebniéj odzywał się również o stosunkach panujących w domu holenderskiego posła, Reinholda. Z Niemców, z którymi Leopardi poznał się w Rzymie, przedewszystkiém wymienić należy Niebuhra, ówczesnego posła dworu berlińskiego przy Watykanie. On to mianowicie polecił poetę sekretarzowi stanu, kardynałowi Consalviemu, na posadę, któréj obsadzenie mogło nastąpić natychmiast po przyjęciu przezeń święceń duchownych. Ponieważ jednak Leopardi nie chciał się na to zgodzić, musiał się więc wyrzec wszelkich na nią widoków. Niebuhr starał się następnie o wyrobienie mu profesury filologii starożytnéj w Berlinie, lecz starania te nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Niemiecki uczony opuścił Rzym, nazawsze wszakże zachował serdeczną życzliwość dla wielkiego poety i wybitnego filologa.

Niebawem nadesłał mu przez Bunsena egzemplarz opracowanego przez się wydania Flawiusza Merobauda. W przedmowie dołączonéj do drugiéj edycyi, nader zaszczytnie wyraża się o młodym swym przyjacielu [1]).

---

[1]) Wiele szczegółów, tyczących się pobytu Leopardiego w Rzymie i jego stosunków z Niebuhrem i Bunsenem, znaléść można w dziełku: Christian Karl

Leopardi najwięcéj pracował w Rzymie po bibliotekach, sporządził katalog rękopisów greckich, znajdujących się w Barberinie i wydrukował w dziennikach rzymskich parę artykułów treści filologicznéj. Jego zamiar wyjazdu zagranicę z jaką znakomitością angielską, niemiecką lub téż rosyjską i poszukiwania szczęścia na obcéj ziemi spełznął na niczém i poeta w maju 1823 r. powrócił do Recanati, wzbogacony jedynie rozwianemi złudzeniami. Melancholijny nastrój jego nie zmniejszył się bynajmniéj, czego dowodzą liczne skargi, rozsiane w listach do brata, Karola. Co pod tym względem zawdzięcza Rzymowi, dowiadujemy się ze słów następujących („*Epistolario*", t. I, str. 285): „Jakkolwiekbądź do radowania się nie jestem zdolny, a zdolność tę utraciłem na zawsze, niemniéj wszakże Rzym tę mi przynajmniéj korzyść przyniósł, że udoskonalił nieczułość moją w stosunku do mnie samego, tak iż obecnie patrzę na moje życie, szczęście i nieszczęście, jak na życie, szczęście i nieszczęście każdego innego człowieka."

Powróciwszy do ojcowskiego domu w Recanati, poeta znowu dwa lata w cierpieniach i samotności przepędził.

Na ten czas przypada wydanie pierwszego zbioru jego poezyi („*Canzoni*", Bologna, 1824), dokonane z Recanati. Zawiéra ono dziesięć utworów wraz z dedykacyami, oraz uwagi w przeważnéj części natury językowéj. Nie będę się tu rozwodził nad treścią tych poezyi, chcę tylko podnieść to, iż, pomijając ogłoszone już dawniéj utwory, we wszystkich pozostałych jaknajwyraźniéj przebija się ów rozpaczliwy nastrój, ów pesymizm i owa zupełna współczesności pogarda, które poznaliśmy dostatecznie z listów poety. W formie panuje surowa petrarkijska kanzona, kiedy w języku dostrzegamy wyraźny wpływ studyów klasycznych, tak np. składnia i liczne zwroty są na łacinie wzorowane. Ukryty pod pseudonimem sam Leopardi napisał krytyczną recenzyę tego zbioru poezyi, chłoszcząc w zjadliwych wyrazach ignorancyę rodaków („*Nuovo Ricoglitore*", Medyolan, 1825 r.): „Oto dziesięć kanzon i więcéj niż dziesięć wybryków. Po pierwsze: Między dziesięcioma kanzonami żadnéj miłosnéj. Powtóre: Nie wszystkie i nie zupełnie pisane w stylu Petrarki. Po trzecie: Styl w nich nie arkadyjski; nie znajdziesz w nich ani stylu Chiabrery, ani Testiego, ani Filicai, ani Guidi'ego, ani Manfrediego, ani Pariniego, ani Montiego; słowem, nie podobne są do żadnéj lirycznéj poezyi włoskiéj. Po czwarte: Nikt nie odgadnie ich treści z tytułów; często nawet od pierwszego wiersza

---

Josias Frhr. v. Bunsen. *Aus seinen Briefen und nach eigener Erinnerung geschildert von seiner Witwe*, t. I, Lipsk, 1868, str. 224.

przybiéra poeta kierunek, któregoby się czytelnik najmniéj spodziéwał. Naprzykład oda na ślub, ani o łożu małżeńskim, ani o pasku, ani o Afrodycie, ani nie mówi o hymenie. Canzona do Angela Mai mówi o wszystkiém, tylko nie o manuskryptach. Oda do zwycięzcy w turnieju nie jest naśladowaniem Pindara; inna do wiosny nie opisuje ani łąk, ani krzaczków, ani kwiatów, ani gazonów, ani liści. Po piąte: Motywy opracowane w nich nie mniéj są nadzwyczajne. Jedna nosi tytuł: „Ostatni śpiew Safony", ma odmalować nieszczęścia duszy subtelnéj, czułéj, szlachetnéj i kochającéj, umieszczonéj w ciele zarazem brzydkiém i młodém; przedmiot takie nastręczający trudności, że nie przypominam sobie sławnego autora w starożytnych lub naszych czasach, któryby się zużytkować go ośmielił, z wyjątkiem pani Staël, która traktuje go we wstępie do Delfiny, ale w odmienny sposób. Inna kanzona, zatytułowana: „Hymn do patryarchów", zawiéra panegiryk obyczajów Kalifornii i twierdzi, że wiek złoty nie jest bajką. Po szóste: Wszystkie pełne są lamentu i melancholii, jakby świat i ludzie byli czémś smutném i jakby życie ludzkie było nieszczęśliwe. Po siódme: Nie czytając ich z uwagą, nie rozumié się nic; tak, jak gdyby Włosi czytali z uwagą. Po ósme: Zda się, jakoby poeta pisząc je, postawił sobie za zadanie zmusić czytelników do myślenia, — tak, jak gdyby powinno coś zostać w głowie, gdy się włoską książkę czyta, lub téż jak gdyby to już był czas do zbiérania myśli, zanim się pisać rozpocznie. Po dziewiąte: tyle tam znajduje się dziwactw, ile sądów np. że po odkryciu Ameryki ziemia wydaje się nam mniejszą niż przedtém; że przyroda przemawiała do starożytnych, inaczéj powiedziawszy, umiała ich natchnąć, nie odsłaniając przed nimi swych tajników; że im więcéj odkryć czyni się w naukach przyrodniczych, tém bardziéj wzrasta w wyobraźni naszéj pojęcie o nicości wszechświata; że wszystko na téj ziemi jest czczością, oprócz cierpienia; że cierpienie lepszém jest od nudy; że nasze życie tylko uczucie pogardy wzbudzić może; że wobec istnienia złego, téj egzystencyi koniecznością pocieszają się duchy pospolite, nie zaś wielkie, że wszystko we wszechświecie jest tajemnicą, oprócz naszego nieszczęścia. Po dziesiąte, po jedenaste, po dwunaste i t. d."

O swém ówczesném życiu, o swéj beznadziejności, o zupełnym braku możności wyrwania się z pęt tego życia, pisze poeta w maju 1825 r. do Giordani'ego („*Epistolario*", t. I, str. 352 i 353): „Pracuję dniem i nocą, o ile zdrowie moje mi pozwala. Gdy mi odmawia pozwolenia, przechadzam się w przeciągu miesiąca po pokoju, tam i napowrót; potém znowu powracam do pracy; oto jest moje życie. Co się zaś tyczy rodzaju moich studyów, to uległy one zmianie, ponieważ i ja

zmieniłem się. Wszystko co trąci czułością i patetycznością nudzi mię, wydaje mi się żartem i śmiesznèm dzieciństwem. Ja potrzebuję tylko prawdy, którą wcześniéj tak nienawidziłem i do któréj taki wstręt czułem. Z prawdziwą rozkoszą sięgam coraz to głębiéj w nędzę ludzi i rzeczy, dotykam jéj i zimny dreszcz czuję, zgłębiając tę nieszczęsną straszną tajemnicę życia. Dostrzegam wprawdzie, że odkąd namiętności zgasły we mnie, nie znajduję w studyach żadnego innego źródła zadowolenia, oprócz czczéj ciekawości, któréj zaspokojenie również jest rozkoszne, czego dotychczas pojąć nie mogłem, dopóki mi w sercu ostatnia tlała iskierka. Wiodę tu żywot beznadziejny. Chętnie rzuciłbym się w ramiona przypadkowi, któryby mi pozwolił zarobić w jakiém wielkiém mieście piórem na kawałek chleba; lecz nie widzę żadnéj drogi do zdobycia tego, co by mi pozwoliło nie umrzéć z głodu, nazajutrz po opuszczeniu domu. To też obecnie nic robić i niczego spodziewać się nie mogę."

Udając się następnie w Lipcu 1825 r. przez Bolonię do Medyolanu, na wezwanie księgarza Stelli, w sprawie wydania i przekładu Cycerona, Leopardi spodziewał się ujść ze szponów śmierci. Już wszakże w początkach Października znajdujemy go znowu w Bolonii, po odrzuceniu téj nieodpowiadającéj jego zapatrywaniom wydawniczéj propozycyi. W Bolonii żył z lekcyi oraz z dziesięciu skudów miesięcznéj zaliczki, wypłacanych mu przez Stellę na poczet dzieł, które po napisaniu miały się ukazać nakładem tego wydawcy.

Z miasta owego wydalił się Leopardi tylko nakrótko dla odwiedzenia Rawenny; bawił w niéj do Listopada następnego roku, dokonawszy przez ten czas przekładu męczeństwa świętych ojców z góry Sinai, na język włoski XIV wieku, naśladując tak doskonale styl i formy językowe, że praca ta uchodziła za dzieło z epoki Dantego. Po za tém opracował nowe wydanie Petrarki i zaopatrzył je objaśnieniami, które przez swą zwięzłość i trafność sądu wyrobiły mu opinię wytrawnego znawcy języka ojczystego, co poprzednio, przy innych jego pracach, miało miejsce z językami starożytnymi. To wydanie Petrarki ukazało się następnie nakładem księgarskiéj firmy Le Monnier we Florencyi i należy do najbardziéj rozpowszechnionych. Na ten czas wreszcie przypada nowy zbiór poezyi i przekładów Leopardiego, wydany 1826 r., w którym znajduje się piękny wiersz do Carla Pepoli'ego i wiele drobnych prozaicznych pism, drukowanych poprzednio częścią we Florenckiéj „Antologia", częścią zaś w Medyolańskiem piśmie „Raccoglitore."

Podczas tego pobytu w Bolonii poznał Leopardi hrabinę Malvezzi, kobietę wielkiego wykształcenia, a przytem niepospolitego ducha, studyującą z zamiłowaniem łacińskich pisarzy, czego pięknym dowodem jest

dokonany przez nią przekład „*Somnium Scipionis*" Cycerona. Leopardi często się z nią spotykał, przy czem rozpłomieniało się łatwo zapalające się serce nieszczęśliwego poety; swój stosunek do niéj sam najlepiej maluje w liście do brata Karola („*Epistolario*" T. I, str. 456): „Poznałem kobietę, która teraz większą część życia mi wypełnia. Nie jest ona młodą, lecz posiada wdzięk i piękną duszę, które młodość zastępują, czasowych złudzeń stając się powodem. (Wierz mi, ponieważ tego poprzednio nie uważałem za możliwe). W pierwszych dniach po jéj poznaniu opanował mnie pewnego rodzaju szał i gorączka. Mówiliśmy ciągle w żartach o miłości, łączyła nas wszakże tylko tkliwa, pełna łagodnego uczucia przyjaźń, związana z zobopólném zaciekawieniem i wzajemnem oddaniem się, co zdaje się być miłością, pozbawioną niepokoju. Ceni mnie ona wysoko; kiedy jéj co z utworów mych przeczytam, nieraz płacze serdecznie, lecz bez affektacyi; wszelkie pochwały są mi obojętne, te jednak co z jéj ust pochodzą, burzą mi krew i zniewalają duszę. Miłuje filozofię oraz umiejętności wyzwolone i jest znawczynią w ich zakresie; nigdy nie brak nam przedmiotu do rozmowy, prawie co wieczora bawię u niéj odkąd zadzwonią na Anioł Pański aż do północy i czas ten chwilą mi się wydaje. Zwierzamy sobie wszystkie nasze tajemnice, karcimy się wzajemnie, zwracamy sobie uwagę na błędy nasze. Jednem słowem znajomość ta stanowi godną uwagi epokę w mojém życiu, strzegąc mnie od zbłądzenia i przekonywując, że są jeszcze na tym świecie uciechy, które za niemożliwe uważałem, oraz że jestem jeszcze zdolny do dłuższych złudzeń, sprzeciwiających się poznaniu i zakorzenionym we mnie odmiennym przyzwyczajeniom. Ona obudziła serce moje ze snu, a właściwie z zupełnéj martwoty, w której od tylu lat spoczywało".

Pomimo to zobopólna skłonność nie posunęła się daléj. Nic się przynajmniéj o tém nie dowiadujemy ni z listów poety, ni z jego biografii, skréslonéj przez Ranieri'ego. Zdaje się wszakże, iż kobiecie spragnionéj rozgłosu w sferach literackich, w których obracał się Leopardi, pochlebiało to uwielbienie, bynajmniéj przez poetę nie ukrywane; nie darzyła jednak wzajemnością schorowanego wielbiciela, który przez długi czas łudził się, że ją posiądzie, a gdy mu się oczy otworzyły, rozczarowanie swe srodze przebolał.

Zimę 1826/27 r. przepędził Leopardi w Becana; z nadejściem wiosny spotykamy go na drodze do Florencyi. Po krótkim pobycie w Bolonii, w czerwcu przybywa do stolicy Toskańskiéj na czas dłuższy — tu jednak dotkliwe cierpienie oczu męczyło go przez całe lato, nie pozwalając opuszczać domu, ani téż pracować. Tylko odwiedziny rozmaitych wybitnych osób, Włochów i cudzoziemców, bawiących we

Florencyi, jak np. Niccoliniego, Gino Capponi'ego, Frulani'ego, Giordani'ego, Colletty, Manzoni'ego który tu przybył z Medyolanu, wreszcie Bunsena, co w przejeździe do Rzymu dowiadywał się czy odniosły skutek starania się jego o posadę — osładzały samotność i cierpienia Leopardiego, oddalając od niego czarne duchy melancholii, napastującéj poetę podczas téj przymusowéj bezczynności. Zimę 1827/28 roku przepędził w Pizie, znęcony łagodnym klimatem tego miasta. Nieźle mu się tu wiodło i we wszystkich listach chwalił doskonałe powietrze, ciepły blask słoneczny, piękność miasta i uprzejmość jego mieszkańców. Napisał tu parę drobiazgów prozą, najwięcéj zaś czasu poświęcił ułożeniu wypisów włoskich, które w dwu tomach wyszły w tymże roku, nakładem Stelli w Medyolanie. Lato 1828 r. znowu przebył we Florencyi, szczęśliwiéj niż przed rokiem, skarżąc się wszakże niemal w każdym liście na lichy stan zdrowia. Spotkał tu znowu starych przyjaciół, zbierających się przeważnie w czytelni wydawcy „Antologii”, księgarza Viesseux. W kole tém położono podwaliny pod odrodzenie Włoch, dążąc drogą studyowania umiejętności historycznych i prawnych do wykształcenia narodowéj partyi liberalnéj, która odrzucając tajemne związki i spiskowanie, domagała się prawa swobodnego rozwoju, liberalnych instytucyi oraz usunięcia obcych wpływów—i wszystko to ostatecznie zdobyła. Leopardi obracał się w tém kole, zachowując się jednak chłodno w obec jego dążeń, nie dla tego by miał hołdować absolutyzmowi (jak się tego dowieść starają Witte[1]) i Rath), lecz ponieważ na zasadzie swych pesymistycznych poglądów filozoficznych na naturę człowieka i społeczeństwa, nie wierzył w taką doskonałość ni wogóle ni też w jednostkach. O dążeniach owego koła pisze poeta do Giordani'ego (*Epistolario*, T. II str. 98): „Widuję się tylko z Viesseux'm i jego towarzyszami; w ich zaś nieobecności, co się często zdarza, czuję się tu jak w pustyni. Zresztą poczyna mnie już irytować wyniosła pogarda dla piękna i literatury, z którą tu się każdy otwarcie nosi, zwłaszcza, iż mi się w głowie pomieścić nie może, by korona ludzkich umiejętności miała tkwić na szczycie polityki lub statystyki. Co więcéj, ta namiętność do liczb, owe polityczne i prawodawcze urojenia rozśmieszają mnie poniekąd, przywodząc mi na pamięć filozoficzne rozważania szeregu prób, czynionych, poczynając od Sofoklesa aż do dni naszych, a zmierzających do ulepszenia ustroju

---

[1]) Witte, który w kole tém poznał Leopardiego, i pisząc w parę lat potém recenzyę o niemieckich przekładach Kannegiessera z tego poety, opowiada o swoich z nim stosunkach, pomieszał polityczne pisma Leopardich ojca i syna, ztąd chaos i nieporozumienie.

państwowego i zapewnienia ludom szczęścia — prób, których zupełną nieużyteczność właśnie te rozmyślania mi wykazały, i pokornie zapytuję; czy można zapewnić szczęście ludom, nie dając go jednostkom. Są one przez samą przyrodę skazane na niedolę, nie zaś przez człowieka, ni przez przypadek. I jako pociecha w tak nieuchronném nieszczęściu zdaje mi się posiadać pewną wartość zagłębianie się w istotę piękna, namiętność, fantazya i szereg rozmaitych złudzeń. Sądzę więc, że to co zachwyca, jest rzeczą najpożyteczniejszą z pożytecznych, więc i literatura w istocie jest pożyteczniejszą niż wszystkie te w najwyższym stopniu suche umiejętności, które choćby i osiągnęły swój cel, nie wiele przyłożyłyby się do rzeczywistego szczęścia ludzi, będących przecie jednostkami a nie ludami. Lecz kiedy one swój cel osiągną? Chciałbym, ażeby mi to rozjaśnił który z naszych profesorów „umiejętności historycznych".

Zdanie swe o tym kierunku jeszcze obszerniéj i wyraźniéj wypowiada poeta w wierszu zwróconym do Gino Capponi'ego. Wyśmiewa tam mrówczą pracę statystów, dziennikarską zmienność zapatrywań politycznych, przemowy o wolności i braterstwie, postęp w przemyśle i wogóle rodzaje przepisów na poprawę świata.

Pogląd ten na beznadziejność panujących wówczas na świecie stosunków jest następstwem oddziaływania na poetę jego cierpień osobistych i obejdzie się bez komentarzy, kiedy wspomnimy, że rozwinął się w czasach restauracyi, w takim kraju, jak Włochy, które jęczały pod uciskiem systemu Metternicha, kiedy sam naród ciemiężony na poczekaniu z pośród siebie potrzebne do sprawowania rządów niecne dostarczał kreatury. Nie godzi się wszakże piętnować Leopardiego mianem wrogo usposobionego dla wolności. Błędem z jego strony było tylko to, że w owéj sprawie zajął absolutne niepraktyczne stanowisko, z którego nie mógł wprost dojrzéć celu, zakreślonego przez obcujące z nim koło, a mogącego, jak przyszłość pokazała, być osiągniętym.

W lecie 1827 r. zakończył życie młodszy brat poety, Luigi. Zgon jego, stanowcze żądanie rodziny, która po długiéj rozłące pragnęła mieć Giacoma przy sobie, głównie atoli brak środków, pozwalających prowadzić byt samoistny w dali od Recanati, zniewoliły go do powrócenia w jesieni do domu. Czego się tam spodziewał, wypowiada w liście do przyjaciółki w tych paru słowach: „Oczekuje mię w Recanati straszna noc". (E p i s t o l a r i o, T. II str. 91).

I rzeczywiście: przeczucie nie zawiodło go; bawił w rodzinném mieście od Listopada 1828 r. do Maja 1830; wyjechawszy wtedy, nigdy już do Recanati nie powrócił.

Czas ten należy do najposępniejszych okresów jego życia; nie był w możności tworzyć, a myśli trawiły go; w listach nazywa Recanati swém więzieniem, piekłem, a życie w niém — męką czyscową; daléj znów mówi: „Skonałbym ze złości, obrzydzenia i melancholii, gdyby się z tego umiérało". Szuka rozmaitych sposobów dla wyrwania się z domu, lecz w wielkiéj jego ojczyźnie, nie było dlań miejsca. Nareszcie ofiarowano mu w Parmie, jakby na szyderstwo — profesurę nauk przyrodniczych. Najgorszą była dla poety zima 1829/30 r., mroźna i niezwykle długa. Wtedy to właśnie powstał wiersz „*Le ricordanze*" (Wspomnienia), w którym w gorzkich wyrazach skarży się na ojczyznę i zmarnowane życie. Sądził, że w wierszu tym wyśpiewał sam sobie pieśń grobową; lecz powracająca wiosna znów go ożywiła, dobywając mu z piersi prześliczną pieśń przebudzenia (*Il risorgimento*).

Zapewne nowemi siłami natchnęła go i na duchu podniosła nadzieja wydobycia się po ośmnastomiesięcznym pobycie z owego rekanateńskiego więzienia. Nieszczęśliwi zawsze szukają po za sobą źródła swych cierpień i sądzą, że wyzwolą się z pod ich władzy, zmieniając miejsce pobytu, porzucił więc Leopardi po raz ostatni ojczyste miasto i rodzinę, by już nigdy ich nie ujrzéć. W Maju 1830 r. przez Bolonię udał się do Florencyi.

I znowu rozpoczęło się dawne życie i stosunki z przyjaciółmi, trwające do 1 października 1831 r. Ponieważ Leopardi się przekonał, że nie jest już w możności pracować, mianowicie zaś nie poczuwał się do sił, potrzebnych do opracowania i uporządkowania mnóstwa filologicznych manuskryptów, powierzył je więc przyjacielowi, filologowi szwajcarskiemu, Ludwikowi von Sinner, który uczynił pomiędzy nimi wybór i ogłosił go drukiem p. t. *Excerpta ex schedis criticis Jacobi Leopardii, comitis. Bonnae*, 1834. Sposobność korzystania z rękopisów filologicznych Leopardiego mieli również redaktorowie nowego wydania Didot'a dzieła Henryka Stephanusa: *Thesaurus, lingue graecae*. Po śmierci Sinnera rękopisy te złożono we Florencyi w Biblioteca Magliabecchiana, gdzie się dotychczas znajdują.

Podczas pobytu we Florencyi Leopardi wydał nowy zbiór swych poezyi (*Canti del Conte Giacomo Leopardi, Firenze, per Guglielmo Piatti*, 1831), złożony z dwudziestu trzech utworów, pomiędzy któremi znajdowało się wiele nowych, powstałych po wydaniu edycyi bolońskich (r. 1824 i 1826). Poświęcił go swym przyjaciołom florenckim, żegnając się w tém poświęceniu z ulubionemi studyami w następujących wyrazach. „Spodziewałem się, że ukochane przezemnie studya byłyby mi w moim wieku podporą i sądziłem, że po utracie wszystkich innych uciech oraz przyjemności, związanych z dzieciństwem i młodocianemi

laty, znajdę w nich skarb, którego mi ni przemoc, ni los zawistny, nigdy odebrać nie będą mogły. Już wszakże w dwudziestym roku życia jedyne to dobro zostało mi do połowy zmniejszone wskutek słabości oczu i całego organizmu, która mi wprawdzie nie odebrała życia, lecz i nie dała nadziei rychłego zgonu — obecnie zaś zaledwie w dwudziestym ósmym roku, dobro to w zupełności i, o ile sądzić mogę, już na zawsze zostało mi odebrane. Nie wolno mi się skarżyć, drodzy moi przyjaciele, przeświadczenie o wielkości mojego nieszczęścia nie pozwala mi na to. Wszystko postradałem; jestem suchym pniem, który wszakże czuje jeszcze i cierpi. Was tylko pozyskałem w tym czasie, i wasze towarzystwo, zastępujące mi pracę i wszelkie inne uciechy, ukołysałoby prawie doszczętnie moje cierpienia, gdyby właśnie te moje cierpienia pozwoliły mi tak się niém cieszyć, jakbym tego pragnął i gdybym nie wiedział, że los pozbawi mnie i téj jedynéj rozkoszy, zniewalając mię do przepędzenia pozostających mi lat żywota, zdala od wszelkiéj uciechy, jaką towarzystwo podobnych wam ludzi dać może w takiém miejscu, gdzie umarli lepiéj od żywych się czują. Lecz pozostanie mi miłość wasza i trwać będzie może jeszcze wtedy, kiedy to martwe już ciało, w popioły się rozsypie".

Z owych przyjaciół, pomijając Ranieri'ego, o którym również tu mowa będzie, duchowo najbliższymi byli mu Giordani i Colletta. Dla scharakteryzowania całego koła i samego poety oraz dla ocenienia przynajmniéj jednego, przez obu reprezentowanego, kierunku literackiego o mężach tych nieco obszerniej pomówić należy. Usprawiedliwi to zresztą i znaczna ilość ich listów, pisanych do Leopardiego, podobnież jak i liczne jego odpowiedzi. Naturalnie, iż cała wymiana listów pomiędzy poetą, a témi, tak wybitne stanowisko w literaturze włoskiéj zajmującemi osobistościami, została dawno drukiem ogłoszoną.

Pietro Giordani liczył już 43 lat, wiele przeżył i posiadał znane już w ojczyznie swéj nazwisko, kiedy ośmnastoletni Leopardi listownie z Recanati doń się zwrócił, przesyłając mu parę pierwszych swych prac filogicznych, za pośrednictwem Stelli, księgarza z Medyolanu, gdzie przemieszkiwał Monti, wybitny naówczas poeta, Mai, najznakomitszy z włoskich filologów i gdzie przebywał również Giordani, biorący udział w wydawnictwie *Biblioteca Italiana*, poświęconém literaturze, sztuce i nauce. Giordani miał już natenczas czynną przeszłość za sobą. Urodzony w początkach 1774 r. w Piacenzy, uczęszczał do miejscowego kolegium św. Piotra, gdzie go wyróżniała gorliwość i znajomość starożytnych języków. W dalszym ciągu prowadził studya na uniwersytecie parmeńskim; tamże się doktoryzował i otrzymał dyplom adwokacki. Dla uniknięcia wywieranego nań przez matkę, a ograni-

czającego horyzont jego myśli, wpływu, wstąpił do klasztoru i został Benedyktynem w r. 1797. Po zwycięstwie Francuzów pod Marengo i przejściu północnych Włoch pod panowanie Napoleona, porzuciwszy klasztor, udał się do Medyolanu, gdzie został mianowany sekretarzem organizującego się w mieście tém rządu tymczasowego. Na tém stanowisku odznaczył się, jako pożyteczny pracownik i awansując po szczeblach administracyi doszedł w r. 1802 do jeneralnego sekretarstwa prefektury niższego okręgu rzeki Po. Lecz przemiana porządku rzeczy, zaszła we Włoszech, a z taką początkowo radością powitana przez wszystkich zwolenników postępu i nowożytnych idei, pod nową władzą coraz to większą poczęła wszystkich poić goryczą — co, w połączeniu z dążeniem młodego uczonego do pracy naukowéj, zniewoliło go do porzucenia swego stanowiska i poszukiwania innego, bardziéj odpowiadającego jego pragnieniom i zdolnościom. Ofiarowano mu katedrę nauk przyrodniczych w liceum w Como, której naturalnie przyjąć nie mógł, poczém w r. 1803 r. sprawował zastępczo obowiązki profesora wymowy łacińskiéj i włoskiéj na uniwersytecie bolońskim, będąc jednocześnie koadjutorem przy miejscowéj bibliotece. Skromna pensya zniewalała go do uzupełniania środków na życie przepisywaniem, z którego to zródła jeszcze więcéj dochodu czerpać był zmuszony, gdy mu jedno z zajmowanych miejsc odjęto pod pozorem, że pełnienie dwu obowiązków przez jednę i tę samą osobę sprzeciwia się regułom administracyjnym. W 1803 r. otrzymał z Rzymu zwolnienie od ślubów zakonnych, wkrótce poczém opuściwszy Bolonię, nie bacząc na szczupłe środki, przedsięwziął wędrówkę po kraju, dla obeznania się z jego stanem. Już w r. 1802 rozpoczęła się piśmiennicza jego działalność, dopiéro wszakże wypowiedziana w d. 16 Sierpnia 1807 r. w Cesena pochwalna mowa, któréj przedmiotem był Napoleon, pozyskała mu wielki rozgłos. Wszakże bynajmniéj nie oddziałało to korzystnie na jego losy, ponieważ przed potężnym władcą w służalczych pochlebstwach się nie płaszczył, co naówczas niezbędne było do zrobienia karyery.

Poczynając od maja 1808 roku, aż do sierpnia 1815 r., był Giordani podsekretarzem w akademii bolońskiéj; wtedy to powstawały doskonałe jego rozprawy, śród których wyróżnić należy pochwalną mowę na Canovę. Po upadku Napoleona rząd papieski wydalił Giordaniego z Bolonii, pod pozorem, że nie zrodził się w państwie papieskiém, właściwym jednak owego wydalenia powodem, była mowa, którą wypowiedział w mieście tem podczas uroczystego obejmowania władzy papieskiéj przez delegata stolicy apostolskiéj, ks. Giustinianiego. To zmusiło go do przesiedlenia się do Medyolanu, kędy go nawiedziły

pierwsze listy Leopardiego. Niebawem wszakże miasto to opuścił, udając się do Parmy, gdzie mu ofiarowano katedrę języka i literatury greckiéj, oraz urząd sekretarza uniwersytetu i zkąd dopiero po śmierci ojca, umożliwiającej mu, dzięki odziedziczonemu majątkowi niezależną egzystencyę, przeniósł się w r. 1817 do Piacenzy. Odtąd przebywał na przemiany w Wenecyi, Bolonii, Szwajcaryi i Rawennie; w r. 1822 bawiąc w Turynie, dowiedział się, że, jako podejrzanemu o udział w spisku Carbonarów, wzbroniono mu powrotu do Lombardyi, po dwu latach zakaz ten objął i Parmę. Udał się tedy do Toskanii, która naówczas dawała schronienie tylu innym wygnańcom i zajął się we Florencyi gorliwie współpracownictwem w wydawanéj przez Viesseux'a „Antologii", o któréj nieraz już powyżéj wspominaliśmy. Ztąd to zwiastował on światu w gorących wyrazach imię i wielkość Leopardiego, tu też w r. 1827 dzień w dzień z nim, jako przyjaciel, w kole powyżéj wymienionych mężów obcował. W listopadzie 1830 r. wydalono Giordaniego i z Florencyi, że jednak przez ten czas zniesiono zakaz pobytu w Parmie, udał się więc do tego miasta. Tu wreszcie, złamany na ciele i duchu, w d. 1 Września 1848 r. życie zakończył.

Ze względu na wykształcenie swoje i poglądy, Giordani jest dziecięciem XVIII w.; wyrósł on na tym samym gruncie, co i encyklopedyści. Posiadając niepospolitą erudycyę, wszechstronnością swą i kierunkiem studyów, podobny był uczonym epoki aleksandryjskiéj — pisma zaś jego przypominają częścią Lucyana, a częścią Senekę. Talent Giordaniego najświetniej przejawia się w drobnych rozprawach rozmaitéj treści, większego bowiem dzieła nie stworzył, nosząc się tylko przez całe życie z planami. Dla romantycznego kierunku w literaturze, który się pojawił w początku drugiego dziesiątka bieżącego stulecia, a o którym niżéj obszerniéj pomówimy, nie miał zmysłu, zachowując się względem niego raczéj nieprzychylnie. Talent Giordaniego przejawił się głównie w formie jego utworów, odznaczających się wytwornym stylem oraz czystym, prostym językiem. Wzorując się na zabytkach piśmiennictwa greckiego, był on zapamiętałym wrogiem gallizowania języka włoskiego, które w dwu ostatnich stuleciach, tak się rozpanoszyło w jego ojczyźnie. Jakkolwiek przez całe życie hołdował idejom narodowym i liberalnym, dla nich pracował i cierpiał za nie, zdaje się, że nie żywił sympatyi dla ruchów 1847 i 1848 r. Zbyt się może już naówczas zestarzał i zobojętniał, albo téż przeczuwał bezskuteczność dążeń, mających na celu zreformowanie papiestwa i postawienie go na czele Włoch.

O literackiej swéj działalności w jednym z listów do przyjaciela mówi temi słowy: „Prace moje są drobiazgami. Gdyby czyniono po-

ważniejsze studya, nie obsypywano by ich tak rozrzutnie pochwałami. Mam nadzieję, że kiedyś będziecie czytali lepsze rzeczy; będzie to jednak zawsze niczém dla tego, który tworzyć chce i umié, a czego mi odmówiła natura oraz okoliczności.[1])

Przyjaźń jego dla młodszego o dwadzieścia cztery lata Leopardiego jakkolwiek zbyt obfituje w wyrazy, jest niemniéj wzruszającą. Wszakże z jego sposobu wyrażania się musimy wiele odliczyć na karb pieszczotliwéj formy korespondowania, którą na południu Europy posługują się i mężczyźni. Przyjaźń łącząca Giordaniego z Leopardim była głównie spowodowana współczuciem, jakiém go przejmowały cierpienia poety, co, prawie jeszcze dzieckiem będąc, otworzył serce swoje przed mężem, u którego znalazł zrozumienie i pracy swojéj i bólów, czego znaleźć nie mógł w swém otoczeniu w Recanati. W maju 1828 roku (*Epistolario*, II str. 80) pisze Leopardi do Giordaniego: „Ostatniego roku poznałeś mię lepiéj niż przedtém (mieszkali razem we Florencyi); mogłeś widzieć, że jestem niczém, nieraz ci o tém mówiłem; to samo powtarzam wszystkim tym, którzy chcą się dowiedzieć czegokolwiek o mojém życiu w istocie. Lecz przez to nie zmniéjszy się twoja dla mnie życzliwość, oparta na przymiotach mojego serca, oraz na owéj dawnéj, czułéj miłości, którą zaprzysiągłem tobie w najwcześniejszym mego nieszczęśliwego żywota rozkwicie, któréj zawsze ci potém dochowywałem i dochowam aż do śmierci. I wiesz (albo przypomnij sobie), że, z wyjątkiem mojéj rodziny, jesteś jedynym człowiekiem, którego miłość wydawała mi się zawsze schronieniem oraz kolumną do podparcia zmęczonego mego żywota". Wszakże z drugiéj strony serdeczny ten stosunek, opiéra się na jednakowéj filologicznéj podwalinie wiedzy ich i zdolności, wreszcie ze strony Giordaniego na uznaniu w Leopardim wielkości i poetyckiego geniuszu oraz na błędnym kierunku romantycyzmu, który podług mniemania Giordaniego, powinien był znaleźć w młodym rekanateńczyku groźnego przeciwnika.

W podobnych warunkach co i z Giordanim zaprzyjaźnił się poeta z Colletą. Starszy o dwadzieścia trzy lata od Leopardiego, miał on za sobą czynny żywot, był już bowiem mężnym wodzem, inżynierem cywilnym, konstytucyjnym ministrem wojny w czasie ruchów neapolitań-

---

[1]) Najkompletniejsze wydanie jego utworów zostało opracowane przez A. Gussalli'ego (Medyolan, 1854) i mieści się w 13 tomach z dodatkiem. Pierwsze siedm tomów zawierają życiorys oraz obszerną korespondencyę, stanowiącą ważny przyczynek do dziejów ówczesnego ruchu literackiego i politycznego. Wybór pism jeszcze za życia Giordaniego ukazał zię we Florencyi w 1846 r. powiększony w trzeciém wydaniu (Florencya, Le Monnier, 1857) do dwu tomów z dodatkiem.

skich 1820 r., więźniem stanu w zamku St. Elmo i w Brünn, w czasach zaś o których obecnie mówimy pędził, jak wielu innych znakomitych Włochów, wygnańczy żywot we Florencyi. Jego poglądy polityczne i literackie dążenia opierają się na hasłach wielkiéj rewolucyi, na którą własnemi patrzał oczyma i do któréj brzemiennych w następstwa dla jego ojczyzny wypadków sam czynną przyłożył rękę. Wrogo usposobiony dla dążeń restauracyi oraz dla rozkwitającego w owe właśnie czasy romantyzmu, nie widział wszakże po swojéj stronie przeważnéj części młodego pokolenia i tylko w Leopardim, podobnież jak i Giordani, powitał wschodzącą gwiazdę nowych czasów. Sam wykształcony przez życie praktyczne, przez studya matematyczne oraz lekturę Tacyta, nie mógł się bynajmniéj zachwycać średniowiecznemi upodobaniami romantyków, ich starożytnym, napuszonym i przesadzonym stylem, oraz dokonywanemi przez nich wykopaliskami zdań całych i wyrazów. Sam chory i złamany, w przeciągu ostatnich lat życia zajęty był prawie że wyłącznie pisaniem „Historyi królestwa neapolitańskiego, od 1734 do 1825 r.” Nie mając majątku, żył w cichém odosobnieniu, poświęcony tylko pracy, która wydawała mu się zadaniem jego życia i do któréj nikt nie dorósł w takim jak on stopniu, ponieważ od wejścia Francuzów, aż do swego wygnania albo we wszystkiém, o czém opowiada i to na wybitnych stanowiskach, brał udział, albo téż był naocznym i to bardzo bliskim świadkiem, zaszłych naówczas wydarzeń. Leopardi zetknął się osobiście z Collettą dopiéro, jak się zdaje, w Pizie w 1820 r. Nieznośne położenie, w jakiém się poeta znajdował w Recanati zimą 1828/29 r. spowodowało to, że się zwrócił do Colletty, rozwodząc się w gorzkich skargach nad niemożliwością pozyskania zasiłku od ojca oraz nad zerwaniem stosunku z księgarzem Stellą. Daléj pisze (*Epistolario* II str. 122): „Gdybym tylko znalazł jaką posadę, na któréj nie wiele potrzebowałbym pracować, mam tu na myśli publiczną zaszczytną posadę (bowiem takie nie wymagają zwykle wielkiéj pracy) przyjąłbym ją jaknajchętniéj; tu w państwie rzymskiém, gdzie wszystko tylko dla księży jest i dla mnichów, nie mogę atoli znaleść nic podobnego; a po za krajem cudzoziemiec jakież może miéć nadzieje otrzymania posady”? Daléj mówi o swoich planach literackich: „Same już tytuły dzieł, które chciałbym napisać, parę stron zajmują, a do wszystkich mam mnóstwo materyału, częścią w głowie, częścią już na papier rzuconego”. Coletta ze swéj strony wypowiada nadzieję zobaczenia go znowu w krótkim czasie we Florencyi, mówi o swéj Historyi, z któréj sześć ksiąg już wykończył, dodając, że pozostałe cztery księgi w przeciągu dwu lat opracować zamierza. Spodziewa się ze strony Leopardiego wielu

rad oraz poprawek przy przeglądaniu tego dzieła i dodaje (*Epistolario*, II str. 414): „Mam nadzieję, że będziesz pisał, że uszczęśliwisz przyjaciół tym dowodem lepszego zdrowia, że uradujesz Italię i nauczysz. Nigdy piękny styl nie był tak, jak teraz, potrzebny; ponieważ nawet ci, co chcą pisać czystym językiem, sądzą, że znaléść go można w autorach XIII-go wieku, oraz że język ten jest lepszy, im więcéj zawiéra wyrazów i zwrotów z tego czasu. Poglądy te, w połączeniu z zamiłowaniem trudności oraz stosowania niespotykanych we współczesnym języku wyrażeń, sprowadzają zawikłania, codziennie uszy nasze i mózg biczujące. Ty, Giordani i kilku jeszcze innych umiécie połączyć z czystością jasność oraz szlachetność stylu. Giordani jest bankrutem, na innych spuścić się nie chcemy, któż pozostanie, jeżeli Leopardi nas opuści? Pisz, mój przyjacielu, nie zabijaj zarodka piękna, który przyroda oraz nauka złożyły w tobie." Jakie wyobrażenie miał Colletta o znaczeniu Leopardiego wypływa z drugiego listu („*Epistolario*", II, str. 418), w którym powiada: „Nie ogłosiłbym mojego dzieła, zanim był go nie przeczytał i nie poprawił. Sto razy bez trwogi, w niebezpieczeństwie, śmierci czoło stawiłem, a przedłożenie publiczności dziesięciu ksiąg historyi dreszczem mnie przejmuje. Teraz, gdy pewien smak, tak obcy mojemu stylowi, wyniośle i zwycięsko przez Italię przeciąga, pisma moje mogą się niepodobać. Zawsze żywiłem nadzieję, że duchy Giordaniego i Leopardiego, nie bacząc na głupstwa mody, wzniosą się nakształt dwu pomników i że my, autorowie mniejszéj miary, w ich cieniu spoczywać będziemy mogli; nieliczni i słabi pozostaną tylko wystawieni na strzały romantyzmu."

Leopardi zaś wylicza dzieła, które jeszcze napisać zamierza („*Epistolario*", II, str. 128); Colletta, podobnież jak i Botta, radzi mu ogłosić na nie przedpłatę, gdy wszakże na to Leopardi nie zgodził się, Colletta przy pomocy swych przyjaciół zebrał sumę, która umożliwiła nieszczęsnemu poecie opuszczenie Recanati i przesiedlenie się do Florencyi. Leopardi przyjmuje to z zachwytem i rozrzewnieniem, pisząc do Colletty („*Epistolario*", II, str. 144): „Po szesnastu miesiącach strasznéj nocy, po życiu, przed którém niech Bóg strzeże najgorszych wrogów moich, list twój stał mi się pierwszym światła promieniem, bardziéj błogosławionym, niż pierwszy błysk świtania w okolicach podbiegunowych.

Jak to już wyżéj widzieliśmy, nie spełniła się nadzieja Colletty: Leopardi nie zdobył się na nowe dzieło — mógł on zaledwie zająć się przygotowaniem nowego (1831 r.) wydania swych poezyi, przyczém przejrzenie i korektę zmuszony był powierzyć swym przyjaciołom. Colletta sam był chory, forma poświęcenia: „Moim florenckim przyjaciołom" nie spodobała mu się, ponieważ Leopardi zmieszał go w niém bez różnicy wraz z innymi przyjaciółmi. Nie mógł on często odwie-

dzać biédnego poety, gdyż sam właśnie ciężko zapadł na zdrowiu i zmarł już w d. 11 listopada 1831 r. Znakomite jego dzieło: „*Storia del reame di Napoli dal 1734 sino al 1825*", wykończone przezeń za życia, ukazało się wszakże dopiéro po śmierci autora; złączony związkami przyjaźni z całém florenckim kołem Gino Capponi wzniósł mu wydaniem jego „Historyi" we Florencyi 1849 roku piękny pomnik biograficzny.

Po tém zboczeniu, spowodowaném, a jak nam się zdaje i usprawiedliwioném, chęcią zapoznania czytelników z „florenckimi przyjaciółmi" znowu powracamy do rozważania nowego zbioru poezyi, noszącego to zagadkowe poświęcenie.

Przedewszystkiém w nim rzuca nam się w oczy wyraźna różnica zachodząca pomiędzy utworami z tego wydania, a młodzieńczemi dawniéj ogłoszonemi poezyami. Surowa forma Petrarkijskiéj kanzony została najzupełniéj zarzuconą. Miejsce jéj zajęła swobodniejsza forma, złożona ze strof nierównéj, dowolnéj długości i posługująca się rymem tylko w tych miejscach, gdzie sam przez się swobodnie i naturalnie się pojawia. Zawsze wszakże znajduje się w niéj rym na końcu strofy, przytém dość często daje się spotykać rym w średniówce (t. zw. *rimalmezzo*, t. j. rymowanie ostatnich sylab wiersza nie z końcem, lecz ze średniówką wiersza następnego), powodujący pewien melodyjny spadek tonów, niezwykłą wyrazistość języka oraz delikatne skojarzenie myśli—subtelności, na które zwykle tłómacze Leopardiego najmniejszéj nie zwracają uwagi. Po za tą swobodną formą kanzony znajdujemy w zbiorze tym i *verso sciolto*, odpowiadający niemieckiemu pięciostopowemu jambowi, oraz angielskiemu *blankverse*, używanemu przez Shakespeare'a i Miltona. Lecz nietylko w formach wiersza, i w języku przejawia się dążenie do prostoty; nie znajdujemy tu już latynizmów, spotykanych w pierwszych płodach poetyckiéj twórczości Leopardiego, a zdradzających zbyt wyraźnie filologiczne jego studya; nie ma również tego przepychu wyrazów i owéj napuszonéj emfazy, zawsze nieodłącznéj od piśmiennictwa narodów południowych; nie widzimy tu również najmniejszego śladu epigramatycznego ostrzenia myśli (*concetti*), będącego zawsze dla Włocha przedmiotem podziwu. W wyborze wyrazu poeta zawsze umié być trafnym, parafrazy i epitety skąpo są stosowane, wszędzie występuje potężna prostota, nagość i prawda. To co Pliniusz mówi o rzeźbie greckiéj: *graeca simplicitas est nihil velare*, Leopardi wziął widocznie za dewizę dla swéj poezyi i to ją téż czyni tak różną o całe niebo od pozostałéj liryki włoskiéj. Umié on zawsze dać swym myślom najjaśniejszy i najprawdziwszy wyraz, tak, że nam się wszystko szczerze odczutém, nie zaś wypracowaném wydaje.

Kiedy w Ruth'a „Historyi Włoch od r. 1815 do 1850" (Heidelberg, 1867, t. I, str. 33) czytamy, że Leopardi położył zasługi raczéj w sprawie języka, budowy wiersza i rymu, aniżeli w dziedzinie myśli, wydaje nam się, że krytyk zna poetę tylko ze słyszenia. Przeciwnie, rym u Leopardiego pojawia się nie szukany, a jego umiłowanie prostéj, nagiéj prawdy, nieodwołalnie odrzucać każe podobne posądzenia o dbałość zewnętrzną, lubo forma nie była dlań ni obojętną, ani też podrzędną rzeczą i lubo on sam, podobnież jak i my, wyznawał, że w poezyi, jak w każdém prawdziwém dziele sztuki, forma i treść w doskonałą całość zléwać się powinny. Po za literaturą starożytną kształcił się Leopardi i na poezyi północnych narodów, mianowicie zaś Anglików, o któréj tak często mówi z podziwem, gdy o ojczystéj poezyi wyraża się w sposob następujący: „Robieniem wierszy i temi podobnemi głupstwami (mówię tu wogóle) wyświadczamy tylko tyranom naszym przysługę, zniżając do poziomu igraszki i rozrywki piśmiennictwo, które mogłoby odrodzonéj naszéj ojczyźnie trwałą stać się podwaliną" („*Epistolario*", I, str. 458). Oceniają go też ziomkowie podług wartości. Znakomity krytyk De Sanctis (docent prywatny w Neapolu, wychodźca, za czasów Cavoura minister oświaty, obecnie zaś deputowany i redaktor florenckiego pisma „*Italia*") oto w jaki sposób wyraża się o języku Leopardiego („*Saggi critici.*“ *Napoli*, 1866, str. 194): „Dziś, gdy tyle przestarzało się myśli i obrazów z powodu długiego ich używania, nic można o zwyczajnych rzeczach mówić w sposób prosty, bez obawy uśpienia czytelnika. Stąd to poszukiwanie wyrazów, to gromadzenie przenośni, ten szał tonów, ta epigramatyczna ostrość, ta osobliwość w obrazach, to wyrafinowanie w uczuciach: wszystko tylko tymczasowo zaradcze przeciw pospolitości. Leopardi zaś umiał w poezyi wskrzesić dawną prostotę, prawdę przyrody, odmładzając cały świat poetycki i przywracając mu pierwiastkową jego dziewiczość. Opowiada on rzeczy niezwykłe, obchodzące się bez zewnętrznych ozdób, same przez się piękne; nadaremnie szukałbyś u niego porównań i metafor, podobnież jak i zwracających na siebie uwagę niezwykłych wyrażeń; przed naszemi oczyma staje żywy obraz, gdy wywołujące go słowa znikają." W inném miejscu (str. 178) ten sam krytyk powiada: „Giacomo Leopardi przywrócił nam poezyę w wielkim stylu. Jego liryka daje nam dokładny obraz wszechświata, widzianego z téjże wyżyny, z któréj nań patrzał Dante; z tą wszakże różnicą, iż Dante, dogmatycznie i po doktrynersku posiadał podstawę, potrzebną do stworzenia epopei, kiedy Leopardi, po rozbiciu wszelakich podstaw, z tak wielkim sceptycyzmem, płynącym z rozumu i z tak wielką wiarą ukrytą w sercu, mógł i powinien był dać nam tylko lirykę, ten wyraz wewnętrznego rozdwojenia,

tę skargę na zgon poetyckiego świata, saméj nawet poezyi [1]). Doprowadza nas to do treści ogłoszonego we Florencyi zbiorku poezyi Leopardiego — byłoby więc właściwém zastanowić się nad nią, jak to uczyniliśmy powyżéj z pierwszymi utworami poety; zachowujemy to wszakże na późniéj, chcąc dać wizerunek Leopardiego na tle współczesnych mu prądów i zjawisk piśmiennictwa europejskiego. Przedtém niech uwagę naszą zatrzyma dalszy ciąg i koniec smutnego życia poety.

W d. 1 października 1831 r. udaje się on nagle do Rzymu dla przepędzenia tam zimy, nie zawiadamiając o tym zamiarze ni rodziny swéj, ni swych przyjaciół florenckich. Co go do tego znagliło, wyjaśnia nam pisany do brata Karola list poety, w którym powiada („*Epistolario*", II, str. 169): „Rzecz prosta, że nie domyślasz się powodu mojéj wycieczki do Rzymu, jeżeli nawet moi przyjaciele florenccy, posiadający wiele danych, na których zbywa tobie, gubią się w rozległém polu domysłów. Proszę cię, zwolnij mnie od opowiadania ci długiego romansu o wielu bólach i wielu łzach. Jeżeli się kiedy zobaczymy, może będę miał siłę opowiedziéć ci wszystko. Na teraz wiédz, że pobyt w Rzymie jest dla mnie gorzkiém wygnaniem, oraz że myślę jaknajprędzéj powrócić do Florencyi. Zaklinam ciebie, strzeż się, nie pozwalając domyślać się, że w mojém oddaleniu się od Florencyi tkwi tajemnica. Mów o zimnie, o moich planach zdobycia szczęścia i o temu podobném. Wybacz mi, że jestem taki lakoniczny, lecz brak mi odwagi mówić więcéj." Nieszczęśliwy poeta, niedołężny, chory i od natury zewnętrznie w najwyższym stopniu upośledzony, obdarowany wszakże pożądającém miłości sercem [w jednym ze swych listów („*Epistolario*", II, str. 95) powiada nawet: nie potrzebuję ni znaczenia, ni sławy, ni tym podobnych rzeczy, lecz potrzebuję miłości"] widział we współczuciu, okazywaném mu przez wykształconą i piękną Florentynkę od-

---

[1]) Że zresztą Leopardi i po za granicami swéj ojczyzny powołanych znalazł sędziów, a więc tu przynajmniéj słów parę poświęcić im należy. W literaturze niemieckiéj zajmowali się nim Witte oraz Reumont, dwaj wybitni znawcy piśmiennictwa włoskiego, podobnież Ebert i A. Wolff w dziełach swych jego dziejom poświęconych. Z krytyków francuskich wyróżnić należy pracę Sainte-Beuve'a: („*Revue des deux mondes*", wrzesień, 1844, str. 910); A. Bouché Leclerq: „*G. Leopardi, sa vie et ses oeuvres*", Paryż, 1874; E. Caro: „*Le pessimisme au XIX s.*", Paryż, IV wyd.; A. Lacaussade: „*La poesie de Leopardi en vers français avec une introduction*", Paryż, 1889. W naszéj literaturze zajmowali się Leopardim: E. Porębowicz („Doskonały przekład wyboru pism, poprzedzony wstępem biograficzno-krytycznym". Warszawa, Lewental, 1886); M. Zdziechowski („Byron i jego wiek". Kraków, Spółka wydawnicza, 1894, str. 383); Tomasz Zawadzyński („Dwaj poeci włoscy XIX wieku". Warsz., 1873) M. T. S. („Pesymizm i jego poeci"—„Niwa", 1881, t. I).

bicie własnych jego dla niéj uczuć, odwzajemnienie jego miłości i—ujrzał się boleśnie zuwiedzionym. „*Leopardi non era fatto da amore*" [1])—mówi jeden z jego współczesnych, świadomy tego gorzkiego zawodu. Prawie na pewno twierdzić można, że pomiędzy wierszami: „*Aspasia*" i „*A se stesso*", ogłoszonemi dopiéro w wydaniu z r. 1836, — a tém zdarzeniem, które do szczętu serce jego zdruzgotało, ścisły zachodzi związek. Poeta opowiada o Aspazyi, jak ją ujrzał po raz pierwszy i mówi potém:

. . . . . . „Wtedy méj duszy
Jawił się nowy raj i ziemia nowa
I nowe słońce. W piersi niebronionéj
Grot mi utkwiłaś wtedy, co utkwiony
W sercu do dziś dnia noszę śród katuszy."

Następnie mówi o swojém złudzeniu, mówi, że w niéj spodziéwał się znaléść wcielenie swego ideału [2]) i kończy słowami:

. . . . . . „Dziś zaklęty
Czas runął, a z nim połamana w szczęty
Zabawka. Tém się cieszę. Więc choć wstrętne
Stały się długą niewolą i pustką
Rozum i wolność, na ich uścisk chętne
Prężą ramiona. A jeżeli życie
Próżne miłości i rozkosznych złudzeń
Jest pośród zimy bez gwiazd nocą czarną,
Już mi pociechę i zemstę nie marną
Przynosi, że tu pośród traw i mięty,
Leżąc, po nieba, po morza błękicie,
Po ziemi wzrokiem krążę — uśmiechnięty."

W wierszu „Do siebie" znajdujemy namiętny wylew serca, spragnionego szczęścia, a stale zawodzonego. Poeta mówi o ostatniém swém złudzeniu, które uważał za mające trwać nieskończenie, które się wszakże rozwiało, zostawiając mu świat zimnym i pustym, ten świat, który nie jest godzien westchnienia. Późniéj zwraca się do siebie ze słowami: „Uspokój się i zrozpacz po raz ostatni. Jedna niezawodna twemu plemieniu — śmierć. Wzgardę ci sądzi brutalna moc, co z cienia tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi i nieskończona nicość wszechstworzenia."

Jest to okrzyk nieszczęśliwego serca, które zwątpiło o Bogu, o świecie i o samym sobie. Można miéć pojęcie, jak przepędził Leopardi tę zimę w Rzymie, z taką goryczą w duszy. Zdrowie jego było tak słabe, że rzadko mógł swój pokój opuszczać; w połowie marca

---

[1]) Leopardi nie był stworzony do miłości.

[2]) Porównać z wierszem „Do swéj pani".

1832 r. wyjechał poeta z wiecznego miasta, nie zwiedziwszy ni św. Piotra, ni Koloseum, ni Forum, ani téż żadnego z licznych muzeów. Powrócił do Florencyi, gdzie pozostał do jesieni następnego roku. Listy z tego czasu pochodzące są coraz oszczędniéj i coraz krócéj pisane. Cierpienie oczu nie pozwalało mu prawie na żadne zatrudnienie, tak więc posiadane przezeń środki do pracy, mające umożliwić mu egzystencyę, wdali od miejsca rodzinnego, nie miały dlań żadnéj wartości, nie mógł z nich bowiem korzystać. Rozpoczyna się najgorszy okres jego życia, kiedy, wzbogacony rozmaitego rodzaju zawodami, upadły na zdrowiu i pozbawiony środków, któreby mu skromny byt zapewnić mogły, w listach swych do rodziny daje głos tylko skargom na brak powszedniego chleba. Jakkolwiek będzie to bolesném, nie wolno nam rzucić zasłony na tę najposępniejszą kartę nędznego żywota poety. Ojciec, o najskrajniejszych „czerwono-reakcyjnych" przekonaniach, anonimowy autor „sławnych" „*Dialoghetti sulle materie correnti nell' anno 1831*" oraz „*Prediche di D. Musoduro*", z których pierwsze uchodziło za dzieło syna Giacoma, przeciw czemu ten publicznie bronić się musiał, nie chciał, czy téż nie mógł utrzymywać syna na obczyznie; ten zaś był zdecydowany, jak sam powiada, chyba już tylko jako trup do Recanati powrócić. Tak więc, jakkolwiekbądź jego rodzice pozostawali przy życiu, poeta, ojcu zupełnie duchowo obcy, był pozbawionym rodziny sierotą. Pomimo tego rozdwojenia był on wszakże zmuszony stale uciekać się do najuniżeńszych próśb. Tak więc pisze do ojca („*Epistolario*", II, str. 197): „Nie wiem, czy stosunki rodzinne pozwolą ci, mój ojcze, wyznaczyć mi mały zasiłek, w ilości dwunastu skudów miesięcznie. Z dwunastu skudów i we Florencyi wyżyć po ludzku niepodobna, a jednak Florencya jest najtańszém z pośród miast włoskich. Lecz ja nie myślę o tém, by żyć po ludzku. I przymuszę się do takich ograniczeń, że mi, podług mojego obrachunku, wystarczy dwanaście skudów. Lepszą byłaby śmierć, lecz jéj trzeba z rąk Boga oczekiwać." W inném znów miejscu powiada: „Nie jestem w stanie sam się utrzymać, że zaś żebrać nie mogę, znajdę się więc w nieuchronnéj konieczności zakończenia śmiercią głodową." To znowu: „Jeżeli kto równie szczerze i gorąco pożąda śmierci, jak to ja oddawna czynię, nikt wszakże nie wyprzedza mnie pod tym względem. Przyzywam Boga na świadka prawdy tych słów moich. On wié, w ilu gorących modlitwach doń się zwracałem, dla wybłagania téj łaski i jak, przy najmniejszéj nadziei bliższego lub dalszego niebezpieczeństwa życia, radośnie biło serce moje. Gdyby śmierć zależała odemnie, na nowo świadczę się Bogiem, nie zwracałbym się do ciebie, ojcze mój, z podobną mową; bo życie n a j a k i é m b ą d ź m i e j s c u stało mi się

wstrętne i pełne męki.” Coraz częściéj powraca też myśl o samobójstwie, lecz wyznaje, że brak mu do tego odwagi. W jak mroczną noc melancholii zapadł ten szlachetny duch, nie w następstwie urojonych lub przesadzanych, lecz rzeczywistych cierpień, które nie z jego wypływały winy, najlepiéj dowodzi nam krótki dyalog, skréślony prozą, a wydany p. t. „Dyalog pomiędzy Tristanem i jego przyjacielem” w ogłoszonych we Florencyi w r. 1831 „*Operette morali*”. „Mówiąc w zaufaniu — powiada Tristan do przyjaciela — uważam ciebie oraz wszystkich innych za szczęśliwych, lecz ja, za twojém i stulecia pozwoleniem, w najwyższym stopniu jestem nieszczęśliwy; uważam się za takiego i wszystkie pisma obu światów nie przekonają mnie, że jest inaczéj.” Przyjaciel odpowiada: „Nie znam powodów tego nieszczęścia, o którém mówisz. Lecz czy kto osobiście szczęśliwym jest, czy też nieszczęśliwym, nikt oprócz niego samego wyrokować nie może, a jego własny sąd w téj sprawie nie może być błędny.” Tristan odpowiada: „Masz słuszność! Po za tém wszakże powiadam tobie, że się nie poddaję mojemu nieszczęściu, że nie skłaniam głowy przed przeznaczeniem i że się nie godzę z niém, jak to czynią inni. Mam odwagę pożądania śmierci i pożądania jéj gorącéj, niż jakiéjkolwiek innéj rzeczy, i to tak namiętnie i szczerze, jak na świecie niewielu, podług mego najgłębszego przekonania, jéj pożąda. Nie mówiłbym tak do ciebie, gdybym nie był pewien, iż gdy nadejdzie godzina, czyn karać będzie kłamstwo nie zaś słowa moje; gdyż jakkolwiekbądź nie widzę jeszcze końca mego żywota, wszakże wewnętrzne przeczucie mi powiada, że godzina, o ktoréj mówię, nie jest daleką. Jestem zbyt dojrzały dla śmierci, zbyt niedorzecznéem i nieprawdopodobném wydaje mi się, — jakkolwiekbądź duchowo już jestem martwy, a bajka życia pod każdym względem zdaje się we mnie być rozegraną, — bym miał jeszcze czterdzieści albo pięćdziesiąt lat wytrzymać, jak to mi przyroda zagraża. Już na samą myśl o tém zimny dreszcz mną wstrząsa. Wszakże, jak to ma miejsce ze wszystkiém złem, które, że tak powiem, przewyższa siłę wyobraźni, i to wydaje mi się snem, złudzeniem, którego urzeczywistnienie jest niemożliwe. Tak, kiedy mi kto mówi o dalekiéj przyszłości, o czémś, co kiedyś na mnie czeka, nie mogę się powstrzymać od śmiechu, tak mocno wierzę w to, że droga, po któréj kroczę, nie jest już daleka. I mogę powiedziéć, że jest to jedyna myśl, która mnie przy życiu utrzymuje. Książki i prace, co do których nieraz się dziwię, że je tak kochałem, wielkie zamiary, nadzieje sławy i nieśmiertelności — są to rzeczy, z których nawet śmiać się jest już poniewczasie. Nie wyśmiewam planów oraz nadziei bieżącego wieku; z całéj duszy życzę im najlepszego powodzenia oraz chwalę, podziwiam i czczę

głośno, szczerze dobrą wolę; wszelako nie zazdroszczę potomności, ani tym, którzy długo jeszcze żyć mają. W innych czasach zazdrościłem głupcom, kpom oraz tym, którzy są wielkiego o sobie mniemania i chętnie byłbym się z którym z nich zamienił. Dziś nie zazdroszczę ni głupcom, ni mędrcom, ni wielkim ni małym, ni słabym ni też potężnym. Zazdroszczę umarłym i z nimi jedynie na los chciałbym się zamienić. Każdy jaśniejszy obraz, każda myśl o przyszłości, która mnie w méj samotności nawiédza i z którą czas mój przepędzam, jedynie śmierć zawiéra w sobie i od niéj jest nieoddzielną. Téj tęsknoty za nią nie mąci mi już — jak to przedtém bywało — ni wspomnienie młodocianych marzeń, ni myśl, żem żył napróżno. Gdy przyjdzie śmierć, umrę z takim spokojem i zadowoleniem, jak gdybym się na świecie niczego więcéj nie spodziéwał, niczego więcéj nie pożądał. Jest to jedyne dobrodziejstwo, które mnie z losem pogodzić może. Gdyby mi z jednéj strony ofiarowano szczęście i sławę Cezara lub Aleksandra, od wszelkich plam wolne, z drugiéj zaś — pewność, iż dziś jeszcze będę mógł umrzéć, i gdyby mi wolno było wybiérać, powiedziałbym: chcę dzisiaj umrzéć — i nie żądałbym czasu do namysłu."

Zbliżamy się do ostatniego okresu tego chmurnego żywota, kiedy siły poety wzmacniają się nieco, kiedy przynajmniéj czasowo cierpienia jego się zmniejszają, stając się łatwiejszemi do zniesienia, kiedy pielęgnowany przez wiernego przyjaciela, zdaje się zapominać niedolę lat wcześniejszych i kiedy jaśniejsza wieczorna zorza opromienia jego żywot, w ślad za którą bez długiéj walki wieczna noc śmierci następuje.

Do jesieni 1833 r. pozostał Leopardi we Florencyi, poczém wolno podróżując, z odpoczynkami, przez Rzym, gdzie miesiąc zabawił, udał się do Neapolu, kędy w d. 2 października zawitał. Była to ostatnia stacya niespokojnéj wędrówki jego żywota. Pozostał w mieście tém aż do śmierci, t. j. przez ostatnie cztery lata życia. Znalazł widocznie przystań spokojną: już nie tak rozgłośnie skarży się na swe cierpienia, jak poprzednio, stan jego oczu z powodu skutecznéj kuracyi znacznie się poprawił, zdaje się, że znikło również ciągłe pragnienie zmiany miejsca pobytu. Młody neapolitańczyk, Antonio Ranieri, o dziesięć lat młodszy od Leopardiego, przejęty dlań fanatyczném uwielbieniem, odszukał go w Pizie, zbliżył się do poety, zamieszkał wraz z nim we Florencyi i wreszcie namówił go do przesiedlenia się do Neapolu. I tu Leopardi mieszkał wraz z Ranierim w jednym domu, naprzemiany na *via Capodimonte*, w wyżéj położonéj dzielnicy Neapolu, lub w należącym do zamężnéj siostry Ranieri'ego domku z ogrodem, położonym niecopodal Wezuwiusza, w pobliżu Portici. Polepszony stan zdrowia

pozwalał mu na przechadzki i na rozkoszowanie się czarowną naturą w tym ogrodzie Europy. Często wędrował do Mergelliny, przez Posilipp, lub téż brzegiem morza do Pozzuoli i Cumej; z Capodimonte schodził do katakumb i od podnóża Wezuwiusza do Pompei i Herculanum. Urok téj pięknéj okolicy, zdrowe powietrze, serdeczny stosunek z kółkiem znajomych, częste odwiedziny wszystkich wybitniejszych cudzoziemców, zwłaszcza zaś przyjaźń Ranieri'ego i pieczołowitość młodszéj jego siostry, Paoliny — wszystko to zdawało się powstrzymywać postęp choroby, na którą Leopardi od wielu lat się uskarżał. Znowu więc począł się oddawać myśli, że długo mu jeszcze żyć sądzono i począł wierzyć, że jego dolegliwości, jeżeli nie znikły, to się uspokoiły przynajmniéj.

Do cudzoziemców, mieszkających w tym czasie w Neapolu i prawie codzień widujących Leopardiego, należeli, zmarły następnie jako profesor uniwersytetu w Halli, filolog H. W. Schulz, który w piśmie „*Italia*” (II rok. Berlin, 1840, str. 237) poświęcił mu biograficzne wspomnienie i parę jego poezyi prozą błędnie i niedołężnie przełożył,— oraz znany powszechnie poeta niemiecki, hr. August von Platen-Hallermünde.

Oto co mówi pierwszy z nich o wzajemnym stosunku obu poetów („*Italia*”, r. II, str. 262), a co dla nas, jako opowiadanie naocznego świadka, nie może być obojętném, zwłaszcza, że i osobistość Platena, który był serdecznym naszym przyjacielem, interesować nas powinna: „Do najbardziéj zażyłych przyjaciół Leopardiego i Ranieri'ego [1]) zaliczał się w tym czasie hr. August Platen, którego pewnego dnia z nimi zapoznałem. Platen czytał właśnie z podziwem poezye Leopardiego, ten zaś przeciwnie po raz pierwszy posłyszał nazwisko niemieckiego poety. Pierwsze spotkanie było sztywne i grzeczne, ponieważ Platen przy zawieraniu znajomości bywał zawsze małomówny i skrępowany. Niebawem wszakże zawiązał się serdeczny, przyjazny stosunek pomiędzy tymi niepospolitymi ludźmi i nie było dnia, żeby Platen nie odwiedził, przynajmniéj na godzinę, swego chorego przyjaciela. Pod niejednym względem obaj poeci byli duchowo sobie pokrewni. Obaj byli fanatycznymi czcicielami starożytności i obaj wnosili do ojczystych swych piśmiennictw klasycznego ducha i formę klasyczną. U Platena dowodzi tego niepospolicie kunsztowny język i rozległa wiedza; był on wszechstronniéj obdarowany i posiadał rozleglejszy widnokrąg poetycki. Leopardi stał za to bardziéj na gruncie klasycznym i podziw dla starożytnego świata był jedną z właściwości jego ducha.

---

[1]) Ranieri jest w posiadaniu pewnéj ilości włoskich listów Platena.

Leopardi, którego całe życie jest jedną wielką skargą na upadek ojczyzny, musiał wysoko cenić obcego pieśniarza, co w ostatnich dziełach swych zdradzał szczególne upodobanie dla włoskiéj średniowieczyzny. Obaj poeci czuli się nieszczęśliwymi z politycznych i osobistych względów. Północno-wschodnie stosunki europejskie zamroczyły strasznemi obrazami ostatnie dni życia Platena. Przytém zdawało mu się, że jego naród nie poznał się na nim i to, niesłuszne zresztą, uczucie osobiście w najwyższym stopniu skromnego poety wzmacniane było przez myśl, że został on powołany do dzieł większéj miary, aniżeli te, które stworzył. Z głębokiém przeświadczeniem porzucił kiedyś myśl eposu walki Niemiec z Napoleonem o wyzwolenie a poetyckie jego uczucie znalazło potężny wyraz w satyrze, biczującéj współczesne stosunki, które po owéj walce nie pozwalały rozwijać się jego ojczyźnie. Z wyżyny Alp zstąpił w krainę piękną, by znaléść świat dla poematu bohaterskiego, który nosił w sobie. Wszelako duch na tém wielkiém cmentarzysku przeszłości nawiedzał jeden po drugim elegijne światy myśli, czarowne zaś obrazy teraźniejszości, unoszące się nad grobami, dostarczały mu przędzy do sielankowych kreacyi; poeta zaś spoczął w rozmarzeniu w otaczającym go poezyi świecie, ponieważ nie musiał go tworzyć, by żyć wraz z nim, a siłę i natchnienie, które bogactwo epizodów w epicką całość splatać powinny, może dać tylko ojczyzna i to kraj, rozpłomieniony przez poezyę nadziei naszych czasów. Tak więc pod niebem włoskiém stopniał bohatérski poemat Platena i rozwiał się w tęczowe promienie. Poeta poświęcił Italii, do któréj w połowie należał, wspaniałe swe ody, sonety i sielanki. Leopardi był w mniejszym stopniu kosmopolitą, niż Platen, żył tylko dla Włoch i we Włoszech, jego osobista niedola utożsamiała się w nim z uczuciem upadku jego narodu. Podobnież jak zwątpił o jego odrodzeniu, tak téż i nie szukał dla siebie żadnéj pociechy, żadnéj sławy, żadnéj trwałości dla swego imienia i dla swéj duszy po zgonie. Obaj poeci posiadali element satyryczny: w Platenie satyra wypływała raczéj z duchowéj wyższości, niż z ostrego dowcipu... w Leopardim zaś — z melancholii oraz z poczucia nicości całego człowieczeństwa."

Platen podczas swego pobytu w Neapolu poświęcał się więcéj studyom historycznym. Sam zapewne nie czuł tego, że siła jego twórcza już się wyczerpuje, co wielu chciało utrzymywać, a co pozornie słusznem zdawać się mogło z jego przedmowy do ogłoszonych w r. 1833 „Dziejów królestwa Neapolitańskiego", oraz z poprzedzającego dzieło to motta: *Altri studi men dolci* i t. d., które zostało wzięte z wiersza Leopardiego do hr. Carla Pepoli'ego. Na ten okres życia Platena przy-

padają jeszcze pieśni polskie oraz hymny, a więc korona jego twórczości poetyckiéj.

Leopardi opracował w tym czasie nowe wydanie swych „*Operette morali*" (*Firenze*, Piatti, 1834), w którém znajduje się wyżéj wymieniony dyalog pomiędzy Tristanem i jego przyjacielem, napisał ostatnie canzony: „*Il tramonto della luna*" i „*La ginestra*", skreślił jeszcze parę drobniejszych prozaicznych utworów, „*Il Copernico*", „*Dialogo di Plotino e di Porfirio*", oraz większą ilość krótkich myśli, trafnych zdań, tyczących się świata i ludzi — wszystko to ukazało się dopiéro po śmierci poety w opracowaném przez Ranieri'ego wydaniu (*Firenze*, 1845, *Le Monnier*). Najwięcéj wszakże sił i czasu poświęcił wtedy Leopardi wykończeniu satyryczno-politycznego poematu bohatérskiego „*Paralipomeni della Batrachomiomachia*", który podobnież, dopiéro po jego zgonie, w r. 1842 został przez Ranieri'ego w Paryżu u Baudry'ego wydany [1]). Poemat ten, składający się z ośmiu pieśni, jest napisany najpiękniejszemi oktawami, jakie w nowożytnéj poezyi włoskiéj znaléść można. Treść jego stanowi satyra na nieszczęśliwą rewolucyę neapolitańską z r. 1820, zakończoną opanowaniem królestwa przez Austryaków — walka jest w niéj przedstawiona pod postacią żartobliwie przez Homera opowiedzianéj wojny żab z myszami. Leopardi chłosta w swym poemacie śmieszne sprzysiężenia Carbonarów i słomiany ogień ich liberalizmu. Pod koniec ostrze swéj satyry zwraca poeta przeciw wierzącym wszystkich czasów, i to w sposób, znany już nam z prozaicznych pism jego. Pomiędzy przeczeniami wszelakiéj wiary i wszelakich nadziei, tu i owdzie przebłyskują wspaniałe myśli, pełne zapału, tchnącego z młodzieńczych jego poezyi dla wolności i potęgi ojczyzny, oraz pełne nadziei lepszéj przyszłości dla ludzkiego rodu. Nigdy wszakże satyra ta nie będzie się mogła cieszyć zupełném uznaniem, że względu na jéj pesymistyczny, wszystkiemu przeczący radykalizm.

Mówiliśmy o podobieństwie Leopardiego z Platenem w ich pracach i poglądach, mieli oni wszakże jeszcze jedną wspólną właściwość, która pierwszego z nich nieraz trwogi nabawiła, a która na drugiego zabójczo oddziałać miała, przypłacił ją bowiem życiem — była to obowa przed cholerą. Choroba ta, do któréj teraz w Europie coraz bardziéj się przyzwyczajamy, wydawała się naówczas wielu osobom trwo-

---

[1]) Prócz tego ukazały się jeszcze po śmierci Leopardiego: „*Epistolario, raccolto e ordinato da P. Viani*", 2 voll. 3 impr., Firenze, 1864; „*Studî filologici, raccolti e ordinati per cura di P. Giordani e P. Pellegrini*", 2 ed., Firenze, 1852. Wreszcie „*Saggio sopra gli errori degli antichi, publicato per cura di P. Viani*", 6 impress., Firenze, 1864.

żliwszego ducha straszliwą marą, pewnym zwiastunem śmierci. Pojawiła się właśnie w r. 1835 w Toskanii i innych częściach Włoch, w latach 1836 i 1837 w przerażający sposób srożyła się w Neapolu. Leopardi przeniósł się z miasta do leżącego u stóp Wezuwiusza, otoczonego ogrodem domku, skąd dopiéro w lutym 1837 r. do Capodimonte powrócił. Platen, jak wiadomo, już w r. 1835 uszedł przed chorobą z Neapolu do Sycylii i niebawem, w grudniu tegoż roku, w Syrakuzach, jeszcze przed wybuchem epidemii życie zakończył, zabity chorobą, którą sam za cholerę uważał i któréj śmiertelne zejście sam błędném leczeniem spowodował [1]. Schulz pisze: „Leopardi został głęboko wstrząśnięty wiadomością o śmierci Platena i byłby chętnie oddał resztę dni swoich za przyjaciela.” Zdawna już pojawiały się u niego oznaki wodnéj puchliny, widocznie w następstwie organicznéj wady serca. Nie widział wroga, który go już pochwycił, a myślał wciąż o cholerze, przed którą chcąc ujść za wszelką cenę, pragnął powrócić do stóp Wezuwiusza, do swego domku z ogrodem. Podczas, gdy powóz, mający go tam zawiéść, stał już przed bramą, popołudniu w dniu 14 czerwca 1837 r., po krótkiéj walce ze śmiercią, w ramionach wiernego przyjaciela ostatnie wydał tchnienie.

Ostatniém pismem, jakie wyszło z rąk jego, był list, skréślony do ojca na ośmnaście dni przed śmiercią. Pisze w nim: „Jeżeli ujdę przed cholerą, jak tylko zdrowie na to mi pozwoli, uczynię wszystko dla zobaczenia ciebie, w jakiéjbykolwiek to mogło być porze. Muszę się bowiem śpieszyć, teraz istotnie o tém przekonany, com zawsze przewidywał, że kres przez Boga mojemu życiu zakréślony nie jest już daleki. Moje cierpienia fizyczne, ciągłe i niewyleczalne, doszły takiéj gwałtowności, że daléj iść nie mogą; ufam, że pokonawszy nareszcie słaby opór, jaki im stawia moje konające ciało, doprowadzą mnie na wieczny odpoczynek, którego tak chciwie pożądam, nie z heroizmu, ale dla katuszy mąk, które cierpię. Dziękuję najczuléj tobie i matce za dar dziesięciu skudów, całuję ręce obojgu, ściskam braci i proszę wszystkich polecić mnie Bogu, aby, skoro was raz jeszcze obaczę, piękna i prędka śmierć położyła koniec mym męczarniom fizycznym, które innym sposobem wyleczyć się nie dadzą.”

Ostatniemi słowami Leopardi'ego były: „*Ci vedo più poco — apri quella finestra—fammi veder la luce!* [2]. W podobny sposób przemawiał Goethe, zmagając się ze śmiercią

---

[1] Patrz: A. Ranieri, „*Notizia intorno alla vita ed agli scritti di Augusto Conte di Platen*“ w jego „*Opere*“. Milano, 1864, tom III, str. 107.

[2] Tu widzę mniéj—otwórz to okno—daj mi ujrzeć światło.

Leopardi zmarł w trzydziestym dziewiątym roku; żył tylko o parę tygodni dłużéj od Platena, który go w zejściu do grobu poprzedził.

Policya sanitarna w Neapolu wydała postanowienie, na mocy którego ciała umarłych podczas panowania cholery, miały być bez żadnéj różnicy grzebane na cmentarzu cholerycznym, i to w przeciągu dwudziestu czterech godzin od chwili śmierci. Pozostawało więc jeszcze Ranieri'emu zadanie oddania ostatniéj przysługi ciału przyjaciela: wyłączenia go od nieuchronnego pochowania we wspólnym grobie. Zadanie nie było łatwe, wobec rozsrożenia się epidemii w mieście liczącém półmiliona mieszkańców. Udało mu się wszakże za pomocą przekupienia policyi obejść to prawo i ciało zostało pochowane w sklepach kościoła San Vitale, leżącego po za obrębem Neapolu, w miejscowości zwanéj Fuorigrotta, przy drodze, wiodącéj do Pozzuoli. Tam spoczywa śmiertelna powłoka poety w pobliżu grobów Wergiliusza i Sannazzara. W przedsionku kościoła, nieopodal wejścia, wzniósł Ranieri ubóstwianemu swemu przyjacielowi pomnik, z ułożonym przez P. Giordaniego napisem:

Al Conte Giacomo Leopardi Recanatese,
Filologo ammirato e fuori d'Italia,
Scrittore di filosofia e di poesie altissimo,
Da paragonare solamente coi Greci,
Che finì di XXXIX anni la vita,
Per continue malattie miserissima.
Fece Antonio Ranieri,
Per VII anni fino all' estrema ora congiunto
All' amico adorato. MDCCCXXXVII. [1])

Na cokóle pomnika znajduje się w płaskorzeźbie ptak Minerwy, sowa, siedząca na starożytnéj lampie, otoczona kołem w kształcie węża; na frontonie widnieje motyl, unoszący się pomiędzy wawrzynowemi i dębowemi gałęziami.

(Dok. nast.) *G. B.*

---

[1]) Hrabiemu Jakóbowi Leopardiemu, rekanateńczykowi, filologowi, podziwianemu i po za granicami Włoch, najznakomitszemu (w zakresie) filozofii i poezyi pisarzowi, do porównania tylko z Grekami, który w trzydziestym dziewiątym roku zakończył życie, z powodu ciągłych chorób nieszczęśliwe. Postawił Antonio Ranieri, przez siedem lat aż do ostatniej godziny złączony z ukochanym przyjacielem. 1837.

PSYCHOLOGIA SEKT.

Scipio Sighele. „*La psychologie des sectes.*“ — „*Bibliothèque Sociologique Internationale*“, XIII. Paris, V. Giard & E. Brière, 1898, II, 228.

Psychologia zbiorowisk ludzkich: tłumu, narodu, rasy jest obecnie jedném z najbardziéj uprawianych pól naukowych. Nauki społeczne (nie wyłączając ekonomii, którą pewien uczony niemiecki określił jako część psychologii stosowanéj) spodziéwają się na téj drodze dojść do pewnych rezultatów naukowych, których napróżno szukały w zastosowaniu zasad biologii lub psychologii indywidualnéj; — psychologia spodziéwa się, że badaniem „duszy zbiorowéj“ wyjaśni pytania, których dotąd ani „samoobserwacya jednostki“ ani „psychofizyka“ rozwiązać nie były w stanie.

Oprócz socyologów i psychologów, badaniem psychologii zbiorowisk ludzkich zajmują się jeszcze kryminologowie. Badają oni „przestępstwo tłumów“, jego psychologiczne warunki, jego karygodność i grunt, na którym zbrodnia indywidualna wyrasta, sferę, w któréj się rodzą przestępcy. Zajmuje ich przedewszystkiém moralność grup społecznych, — porównanie jéj z tém, co można nazwać moralnością indywidualną, przyczyny psychologiczne różnicy między moralnością indywidualną a moralnością zbiorową, i oddziaływanie pojęć etycznych grup społecznych na pojęcia etyczne jednostek. Autor powołanéj w tytule książki, docent uniwersytetu w Pizie, należy właśnie do téj ostatniéj kategoryi badaczów.

Jego poprzednie prace: „Tłum zbrodniczy“, „Zbrodnia we dwoje“, „Kraj urodzonych zbrodniarzy“, „Teorya pozytywna wspólnictwa“ — dotyczą wyłącznie prawa kryminalnego; jest on przytém Włochem a na końcu książki zamieszcza, jako dodatek, rozprawę „Przeciwko parlamentaryzmowi“.

Dodatek ten do pewnego stopnia wyjaśnia nam ostateczny cel pracy. Autor w zasadzie nie jest przeciwny parlamentaryzmowi, jako takiemu; ale z goryczą myśli o obecnym parlamentaryzmie włoskim, mającym dziś słusznie smutną bardzo opinię. Przypuszcza on jednak, że i ten parlament zreformowany „mógłby żyć czas jakiś bez hańby, a nawet może z chwałą... bo parlamentaryzm jest trucizną, która stosownie do użytéj dozy zabija lub leczy“. Środek, jakim Sighele chciałby poprawić parlament włoski, jest nawet dość prosty: zmniejszenie liczby deputowanych, a tém samém podniesienie ich horyzontu moralnego i etycznego, zwiększenie realnéj ich pracy i odpowiedzialności. Podstawą psychologiczną, na któréj Sighele opiéra swoje przekonanie o skuteczności proponowanego środka jest wiara w to, że poziom umysłowy i moralny każdego tłumu, każdego zbiorowiska ludzi zmniejsza się proporcyonalnie do zwiększania się tłumu. Jest to, jeśli nie całkowite, to częściowe ograniczenie wiary w zasadę kolegialności, postawienie rozumu i moralności jednostki ponad rozum i moralność zbiorową.

Sighele wierzy twierdzeniu Nordaua, że w zgromadzeniu złożoném z 20 ludzi, nawet téj inteligencyi co Goethe, Kant, Helmholtz, Shakespeare lub Newton — w kwestyach życia praktycznego — wypowiedzianoby wiele mów niesłychanie rozumnych, ale decyzya tego zgromadzenia nie wyszłaby z rzędu przeciętnych. Dusza ludzka—mówi on—nie jest cyfrą, i z połączenia w jedném działaniu wielu inteligencyi nie otrzymujemy ich sumy, ale, jak w zjawiskach chemicznych, jakiś nowy zupełnie związek. Zaufanie do słuszności tego, co postanowi „większość“, według Sighele'go, ma podstawę racyonalną o tyle tylko, o ile chodzi o „większość w czasie“, t. j. w długim szeregu lat, a nie w danym momencie historycznym. Przekonania dzisiejszych większości były niedawno przekonaniami mniejszości, a mimo to i wtedy były słuszne. Wszelka opinia, najracyonalniejsza i najsprawiedliwsza jest początkowo tylko zdaniem mniejszości i dlatego większość w danym momencie czasu nie zawsze ma słuszość. Aby większość o ile można jak najczęściéj miała słuszność, trzeba, aby ta większość przedstawiała istotny wybór inteligencyi narodu, aby nie ulegała porywom rozhukanych namiętności, nie poddawała się sugestyom mówców i dziennikarzy.

Im zgromadzenie jest liczniejsze, tém łatwiéj ulega wszelkiéj sugestyi i autosugestyi, porywom namiętności wywołanych talentami krasomówczemi parlamentarnych retorów i kłamstwami dzienników. Tylko ograniczenie liczby posłów zamknie miernościom umysłowym drogę do parlamentu, podniesie ich poziom intelektualny i etyczny, zmniejszy korupcyę a tém samém uleczy obecny parlament.

I.

Praca Sighele'go o „Psychologii sekt“ jest właściwie tylko fundamentem dla powyższéj opinii w kwestyi parlamentaryzmu; autor bada wogóle „moralność grup społecznych”. Dla niego „sektą“ jest każda partya polityczna, religijna lub społeczna, przez prawo nie uznana, nie mająca legalnego gruntu.

Jako kryminolog z powołania, wprowadza on czytelnika w sferę swych badań od strony prawa kryminalnego uwagą, że w biegu cywilizacyi zbrodnia i przestępstwo nie tyle zmniejszają się co do treści, ile raczéj zmieniają formę. Z dzikiéj, gwałtownéj, brutalnéj — zbrodnia staje się chytrą i podstępną; okrucieństwó ustępuje miejsca podstępowi, walka prowadzi się raczéj mózgiem niż muskułami. Sycylijscy bryganci sprowadzili zbrodnię do form umowy i opodatkowania i są w bliskiém powinowactwie z deputowanymi i dziennikarzami, sprzedającymi swoje wpływy i swe milczenie bankom i bankierom. Dowodzi to, że i zbrodnia ulega co do swéj formy prawu ewolucyi, a zmodyfikowana, rozszerza się śród wszystkich klas społecznych nie budząc już tego wstrętu, jakiby wzbudzała w dawnych formach, prowadzących za sobą widoki krwi, trupów i zniszczenia. Zamiast krwi — złoto, zamiast męczarni — sprzedajność, zamiast gwałtu — podstęp. Nawet w zbrodni człowiek staje się bardziéj ludzkim. Cywilizacya ma swoje właściwe jéj typy przestępstw, które tém niemniéj są przestępstwami. Kryminologowie zwrócili już dawno na to uwagę, ale zdaniem Sighele'go nie zwrócili uwagi na to, że ta sama ewolucya, te same dwa typy przestępstwa wykryć się dają w przestępstwach grup społecznych zbiorowych. I tu formy przestępstw zmieniają się: inne są przestępstwa narodów dzikich, inne narodów ucywilizowanych, inne są formy przestępstwa klas społecznych wyższych, a inne niższych. Klasy wyższe uległy już ewolucyi cywilizacyjnéj, niższe są reprezentantami dawniéj przebytych stadyów dzikości i barbarzyństwa.

Wady klas panujących są skutkami wad istniejącéj organizacyi społecznéj, są wadami społeczeństwa umierającego;—wady klas rządzonych są patologicznemi zwiastunami nowych kierunków rodzących się dopiéro. Klasy rządzące są ostrożne, umiarkowane, zestarzałe; klasy rządzone gwałtowne, zuchwałe, nierozważne, bezczelne i silne. Przestępstwa pierwszych są przestępstwami większości, przestępstwa drugich przestępstwami mniejszości. Mniejszość, która władzę ma dopiéro zdobyć, musi miéć więcéj energii, aby cel osiągnąć. Większość trzymająca władzę w ręku jest już zwycięstwem osłabiona. Klasy rządzone w walce z przeciwnikiem o wiele potężniejszym znajdują środki zrównoważenia sił w gwałcie i odwadze.

Nie można w zasadzie nie przyznać słuszności Sighele'mu w tém, co mówi o ewolucyi przestępstwa, — nie można jednak w wielu miejscach zgodzić się na jego twierdzenia. Jakim sposobem klasy niższe, które podług niego w społeczeństwie (stosując się do biologicznego prawa Haeckla) mają reprezentować stadya cywilizacyjne już przebyte, barbarzyńskie, są jednocześnie przedstawicielami nowych kierunków, — to pozostanie tajemnicą autora. Nie można też bez zastrzeżeń przyjąć jego zdania, że ewolucya formy przestępstwa nie zmienia w niczém typu przestępstwa, że pomiędzy rozbojem na publicznéj drodze a grabieżami na giełdzie nie ma żadnéj różnicy: na giełdzie zjawiają się tylko ci, którzy grać chcą, w interesach podejrzanego charakteru biorą udział ci, którzy chcą interesa robić. W przestępstwie trudno jest oznaczyć, co stanowi treść jego, a co formę; a pomiędzy oszustwem i rabunkiem jest coś więcéj niż różnica w saméj formie.

Najsłabszą częścią pracy Sighele'go jest niewątpliwie I-szy rozdział, noszący tytuł „Ewolucya grup społecznych“. Dla Sighele'go ewolucya ta zaczyna się na tłumie, kończy na państwie, a może i na rasie. Idąc za bardzo powierzchowną i nienaukową klasyfikacyą Le Bon'a, rozróżnia Sighele tłumy jednorodne i różnorodne, i dzieli: pierwsze — tłumy jednorodne na bezimienne (czasowe) i imienne (raczéj stałe, do których zalicza zebrania, parlamenty), — a drugie—różnorodne, dzieli na sekty (stronnictwa), kasty i klasy. Nie będziemy ani bliżéj wchodzić w objaśnienia tego bardzo niejasnego podziału, ani zajmować się jego krytyką, tém więcéj, że bardzo gruntowny rozbiór téj klasyfikacyi już opracowano w naszéj

literaturze peryodycznéj [1]. Zwrócić uwagę tylko musimy na parę szczegółów koniecznych dla dokładnego zrozumienia pracy Sighele'go.

Sądzi on, że w tendencyi czasu leży obniżenie wpływu jednostki i dążenie tłumu do despotyzmu; losy świata zależą coraz więcéj nie od jednostek, któreby mówiły: „państwo to ja“, ale od tłumu, tego tłumu, który swą wdzięczność wyraża krzyżowaniem. Ten wzrastający wpływ tłumu na rządy zmusza coraz bardziéj rządzących do badania psychologii tłumu. Pomiędzy tłumem i państwem — różnica główna leży w ich celu: — tłum ma cel jeden, nieokréślony, chwilowy; państwo ma cel stały, okréślony, wieczny. Dlatego téż tłum jest sam niezorganizowanym i nieokréślonym, państwo—okréśloném i zorganizowaném stale. Ogniwa pośrednie pomiędzy tłumem a państwem: sekty, klasy, kasty — stosownie do trwałości ich celu, mają więcéj lub mniéj okréśloną i zorganizowaną formę.

Sektą dla Sighele'go jest zbiór jednostek różnych urodzeniem, wychowaniem i zajęciem, związanych dobrowolnie węzłem wspólnych przekonań, wiary, ideałów. Na gruncie téj wspólności wytwarza się wspólność uczuć, dążeń i siła. Sekta jest tłumem wytworzonym na podstawie dobrowolnego doboru, stałym; jestto tłum w stanie chronicznym, tak jak tłum jest sektą w stanie ostrym, a jeśli tłum porównać można do kupy piasku — obrazem sekty jest bryła marmuru. Wspólna idca i wspólny cel stanowią węzeł łączący w jedno członków sekty.

Kasta dla Sighele'go jest związkiem ludzi, opartym na wspólném zajęciu—źródle utrzymania; klasa—związkiem indywiduów mających wspólne interesy. Sighele zna tylko 2 klasy: posiadającą i robotniczą, rządzącą i rządzoną, a ile razy mówi daléj o walce klas, te tylko dwie klasy ma na myśli. Państwo znów identyfikuje z narodowością, któréj podstawą jest wspólność języka. Rasa zaś jest tłumem nieokréślonym, który może obejmować kilka państw.

Państwo jest końcowym wyrazem ewolucyi tłumu. Prawa psychologiczne, rządzące tłumem i państwem, są różne, ale różnica ta wyjaśnia się psychologią ogniw pośrednich, które téż należy zbadać. Do téj pory zajmowano się tylko psychologią jednostki i społeczeństwa. Według Sighele'go, każde stadyum uspołecznienia ma swą odrębną psychologię, która zbadana być powinna, przyczém

[1]) Dr. Z. Balicki. „Głos“, n-ra 12, 13 i 15 r. b. i „Przegląd Filozoficzny“ zesz. III, 1898, str. 114.

stanowczo zaprzecza zdaniu Spencera jakoby psychologia zbiorowa była tylko odbiciem psychologii jednostki.

Zdaniem jego każda forma uspołecznienia ma swoje odrębne prawa psychologiczne, różne nietylko od praw psychologii indywidualnéj, ale także i między sobą. Między psychologią jednostki a psychologią społeczeństwa istnieje nie jeden łącznik — *trait-d'union*—ale kilka, a wszystkie wymagają specyalnego zbadania.

II.

Kwestya wolnéj woli człowieka, podług Sighele'go, jest oddawna ostatecznie załatwioną. Rozum ludzki—jest to król konstytucyjny, bez źdźbła wolnéj woli: panuje, ale nie rządzi. Człowiek działa, ale postępkami jego kierują: jego przodkowie, społeczeństwo, w którém żyje, otoczenie; wpływy całych tłumów decydują o postanowieniu, które zapada pod czaszką ludzką. Jeśli od czynu ludzkiego odjąć wszystkie wpływy zewnętrzne, zarówno ze zbrodniarza, jak i z genialnego wynalazcy nic nie pozostanie. Z pewnego punktu widzenia wszystkie zbrodnie są zbrodniami zbiorowemi; z innego punktu wszystkie, jako wykonane przez indywiduum, są tylko indywidualnemi. Między osobnikiem a grupą społeczną, do któréj on należy, zachodzą nieustające zjawiska intelektualnego przesiąkania (endosmozy i exosmozy), a wpływy te stale i koniecznie wywołują zmiany powolne, nieobliczone i nieobliczalne.

Ocenienie moralnéj wartości jednostki, zbadanie jéj etyki, będzie zawsze niedokładne, jeśli go nie połączymy ze zbadaniem wartości moralnéj, etyki, psychologii, grupy społecznéj, do któréj ona należy.

Sekta jest to zarodek, drożdże każdego tłumu, każdego zbiorowiska ludzi. Niebezpieczeństwo istnienia sekt leży w łatwości, z jaką one rozszerzają się, gromadzą tłumy, poruszają niemi i wywołują namiętności niszczycielskie i bezmyślne. Na scenie porusza się tylko tłum, za kulisami działa sekta.

W krajach konstytucyjnych są stronnictwa, w krajach niekonstytucyjnych — sekty, ale i w krajach konstytucyjnych stronnictwa, których prawo nie uznaje, muszą istniéć w formie sekt; bo stronnictwo każde jest sektą dopóty, dopóki idea, o którą ono walczy, nie ma prawa być publicznie wyznawaną. Sekta i partya są formami następczemi; uprawnienie idei stanowiącéj węzeł sekty stanowi o formie; jeśli idea nie zostaje nigdy uprawnioną, sekta pozostaje

sektą nazawsze. Sekta zwykle jednak zostaje stronnictwem, stronnictwo z czasem staje się większością, a gdy idea sama straci na wartości, sekta wraca do stanu mniejszości, a w końcu umiéra. Stronnictwo, powracając do stadyum sekty, zastępuje gwałtowność i odwagę chytrością i oszustwem, i tém utrzymuje się przy władzy; broni swéj władzy z taką samą energią, jaką rozwijało dla jéj zdobycia. Czasami sekta nawet zostawszy stronnictwem, jeśli w formie stronnictwa istnieje krótko, zatrzymuje metody działania sekty (Jakobini, 1789—1793).

Instynkt wrodzony, pewne prawo natury, podług Sighelego, stwarza w każdém zbiorowisku ludzkiém władzę. Jest to prawo życia zwierzęcego, które doprowadza do organizacyi całości i podporządkowania jednych części organizmu drugim. Organizm zwierzęcy nie może się obejść bez mózgu, zbiorowiska ludzkie bez kierownika. Początkowo zbiorowisko cierpi, znosi władzę choć jéj nie ustanawia, nie wybiéra. Z czasem ta władza staje się świadomą, żądaną i ustanawianą. Grupy stałe i uprawnione mają kierowników ustanawianych świadomie i prawnie.

W tłumie kierownik jest często niewidzialnym, a jego urok jest w stosunku odwrotnym do legalności i świadomości jego ustanowienia. Wpływają na to elementa psychologiczne, zarówno indywidualne jak i zbiorowe. Gorąca wiara i oddanie się idei tworzą kierownika, który znów sam jest tylko narzędziem idei, kierowanym przez swą wiarę i hypnotyzowanym przez swą ideę. Mózg jego zawiéra tylko jedną myśl i właściwie nie należy do niego. Pogarda i prześladowanie podniecają go i skłaniają do poświęcenia wszystkiego na ołtarzu idei, bez względu na instynkt samozachowawczy. Są to organizacye wyjątkowe, często psychopatyczne i w tém leży ich wyjątkowa siła. Ze wszystkich sił, które kiedykolwiek były w rozporządzeniu ludzkości, mówi Sighele,—wiara jest siłą najpotężniejszą. Aby jéj innym udzielić, trzeba ją miéć samemu i dlatego kierownicy sekt zjawiają się samorzutnie (*par génération spontanée*). Nigdy kierownicy legalni nie dochodzą do tego wysokiego stopnia wpływu i potęgi; tłum idzie za nimi prowadzony strachem, przyzwyczajeniem, obowiązkiem lub rozumem, bo tłum ten nie jest zahypnotyzowany. Członkowie sekty łatwo ulegają hypnotyzmowi idei, bo zwykle są w ciągłém ze sobą zbliżeniu, w stanie ciągłego podniecenia, dalecy od rozwagi i do grona sekty wchodzą tylko ci, którzy poczuwają się dobrowolnie do wspólnéj wiary lub idei.

Energia — jak mówił Mazzini — magnetyzuje tłumy, a im tłumy są bardziéj zrozpaczone i rozegzaltowane, tém więcéj są jednorodne, trwałe i potężne. Ideałem sekty jest jednostajne tętno uczuć i myśli, jakby jedna dusza i jedno ciało, do których dochodzi się za pośrednictwem wysokiego stopnia opanowania z jednéj, a uległości z drugiéj strony.

W grupach niestałych, nielegalnych, w tłumie władza jest bardziéj energiczna, a posłuszeństwo bardziéj ślepe. Tłum — jak mówi Tarde — ma tylko te pomysły, które mu sugestyonowano; dlatego téż tłum jest łatwą ofiarą każdego, kto chce zostać jego kierownikiem, bo niema w nim niezgody — tylko ryk jednobrzmiący. Niezgoda tłum unicestwia.

W sekcie świadomość jest większą, mimo to wyrazy: dyskusya i bunt, muszą być nieznane. Sekciarze mają jedną duszę i jedno ciało i tém przypominają nam społeczeństwa starożytne. Duch starożytnych społeczeństw odżywa i trwa w sekcie: pochłaniają one całego człowieka, czynią go swém narzędziem, ślepém a wierném. Jest to organizacya społeczna najpierwotniejsza i najwsteczniejsza. W pierwotném społeczeństwie zakaz myślenia na własną rękę jest podstawą konieczną, dobrodziejstwem, źródłem cywilizacyi. Ta sama zasada trwa do dziś dnia w organizacyi wojskowéj i we wszystkich organizacyach zaczątkowych, nawet w rodzących się szkołach filozoficznych i estetycznych. Dopiéro po peryodzie uległości absolutnéj przychodzi peryod dyskusyi i niepodległości indywidualnéj. Sekta jest pierwotném stadyum każdego uspołecznienia i musi zachować metodę działania właściwą wszystkim pierwiastkowym zbiorowiskom ludzkim.

Jak sekta jest rozwijającym się tłumem, tłumem w stanie dynamicznym, — tak tłum jest sektą w stanie statycznym, jeśli tylko chce działać w pewnym celu, jeśli potrzebuje stoczyć walkę zbiorową. Tłum działa natychmiastowo, sekta zwolna lecz stale i skutki téj walki wnikają głębiéj. Tłum działa na razie, w uniesieniu, bez świadomości i rozwagi. Sekta działa powolnie, zwykle chytrze, w razie potrzeby gwałtownie, ale zawsze idzie za kierownikiem, któremu przyświéca cel określony i jasny. Tłum może popełnić zbyteczne okrucieństwo; sekta, jeśli jest kierowana przez ludzi rozumnych, rzadko dopuszcza się zbrodni i błędów.

Wszystkie te różnice podług Sighelego dowodzą, że sekta jest łącznikiem między tłumem i organizacyami społecznemi wyższemi, jak klasy, kasty i korporacye. Zawsze dążąca do przewrotu i zmiany sekta, w ofiarach, które cywilizacya w swym pochodzie pozo-

stawiła po drodze pobudza ducha rewolucyi, upadłych i zdeptanych podnosi, łączy w zawiązki dysolucyi społecznéj, a jednocześnie wytwarza z nich ziarno społecznego odnowienia i dalszego postępu.

III.

Moralność, podług Sighele'go, zależy od stopnia szerokości dł ugości geograficznéj, klimatu, gruntu, od epoki historycznéj i organizacyi społecznéj. Nie wyczerpuje to jednak wszystkich różnic etycznych. W jedném i tém samém indywiduum ludzkiém etyka jest różną stosownie do tego, czy myśli ono i działa, jako osobnik, czy téż jako członek pewnéj grupy społecznéj. Indywiduum różne ma przekonania moralne, jako człowiek prywatny, obywatel, deputowany, członek pewnéj kasty lub klasy, członek narodu lub zgromadzenia. Goethe mawiał o sobie, że jest jako poeta polyteistą, jako naturalista panteistą. Sighele przytacza cały szereg faktów i orzeczeń, dowodzących tego „zdwojenia się moralności" w indywiduum ludzkiém (str. 104), a między innemi przypomina, jak pewien obecnie panujący na jachcie swym publicznie wygłosił pochwałę pojedynków, a zaraz potém odprawił nabożeństwo niedzielne. „*Te Deum*" odprawiane we wszystkich krajach chrześciańskich cywilizowanych po otrzymaniu wiadomości o zwycięstwie jest także jednym z objawów tego „zdwojenia" moralności w człowieku.

Cała dzisiejsza ludzkość cywilizowana wyznaje urzędowo zasady moralności chrześciańskiéj, — ale ogranicza jej działanie tylko do spraw indywidualnych, co się zaś tycze obcoplemienców, ludzi innéj narodowości, to rządzi się względem nich do dziś dnia religią pogańską nienawiści. Do dziś dnia panują w tych stosunkach zasady dwunastu tablic rzymskich „*Contra hostes aeterna auctoritas*".

„W stosunkach międzynarodowych, mówi Sighele, „panuje moralność dzikości — ta moralność, która pochwala mord i kradzież, jeśli ofiarą jest członek obcego plemienia, a która karze te same czyny, jako zbrodnie, jeśli ofiarą jest członek tego samego plemienia" (str. 107).

Tu pojęcie patryotyzmu wyznacza granice uczuciom moralnym, do czego nie ma prawa i zmienia charakter moralny jednéj i téj saméj czynności, stosownie do tego czy popełnioną została z téj, czy

z tamtéj strony granicy. Herbert Spencer zaznacza różnice w kodeksie moralnym rzeczywistym i nominalnym, — i widzi, że w gruncie rzeczy świat najwyższą wagę i dziś przywiązuje do cnót wojennych. W klasach cywilnych i wojskowych panuje milczące uznanie dla politycznego rozboju i nikt nie protestuje przeciwko rzeziom, które się przykrywają nazwami „nieszczęść” lub „kar“ politycznych.

Nie można zaprzeczyć, mówi daléj Sighele, że akceptujemy bez zastrzeżeń rozbój polityczny; śmierć wydaje się nam najzaszczytniejszą, jeśli nastąpiła na polu walki, choćby nawet ta walka, była epizodem zbrodniczego zaboru; nikt nie protestuje ani przeciwko rzeziom politycznym, jak rzezie w Armenii, ani przeciw hekatombom robotników, które tak często zdarzają się w kopalniach, a które chrzczą mianem „katastrof“, gdyż przyczyny ich są przypadkowe.

Sighele sądzi, że sam „patryotyzm“ nie wystarcza do wytłómaczenia tego „zdwojenia moralności“, którą obserwujemy w jednostce; przyczyna jest głębsza i powszechniejsza. Moralność indywidualna jest ściśle określona, surowa i absolutna (?) Ale moralności społeczne, — t. j. kodeksy moralne grup społecznych są elastyczne i plastyczne. Wynika to stąd, że po za nimi stoi prawo samoobrony, instynkt zachowawczy, który panuje nad temi kodeksami moralności.

Każde jestestwo organiczne, aby żyć, musi wykonywać czynności dwojakiego rodzaju: wewnętrzne, oparte na współdziałaniu i zewnętrzne skierowane ku obronie. Stąd rodzą się dwa rodzaje moralności — obadwa równie konieczne. Gdyby plemię nie uważało mordu, łupiestwa i wojny za uprawnione w stosunkach z obcemi plemionami, wkrótce wytępiliby je obcy; przeciwnie, gdyby tolerowało takie czyny śród członków własnych, dopuściłoby się na sobie powolnego samobójstwa” (str. 112). Społeczeństwa cywilizowane odziedziczyły ten przepis moralny, przerabiają go i poprawiają daléj. Cywilizacya zwiększyła ilość grup społecznych, skomplikowała sytuacyę; stworzyła solidarność rodziny, stronnictwa, prowincyi i narodu, i wszyscy czujemy, że te różne moralności są potrzebne. Gdyby stronnictwo nie broniło swych członków, rozpadłoby się natychmiast; gdyby ludzkość cała poczuła się solidarną, patryotyzm zniknąłby i z nim razem zniknęłaby moralność specyalnie narodowa. Cokolwiek jednak sądzimy o wartości tych narodowych moralności, jakiekolwiek mamy zdanie o tém, czy one będą trwały, czy znikną, tymczasem należy stwierdzić, że one istnieją, że są k o n i e c z n e, i że każdy człowiek potrzebuje wielu moralności różnych, odpowiednio do różnych środowisk, w których mówi i działa. Ogół błądzi, wierząc w istnienie mo-

ralności jednéj, wiecznéj i jednakowéj, — sądzi że człowiek bywa albo całkowicie łajdakiem albo całkowicie uczciwym — moralnym.

Każda organizacya, każda grupa społeczna ma swoją moralność zmienną, stosownie do warunków jéj istnienia i stąd powstaje niemoralność moralnych. Niemoralność polityczna jest niemoralnością tylko o tyle, o ile ją porównywamy z moralnością prywatną: „wzięta sama w sobie jest tylko „przepisem postępowania koniecznego dla rozwoju grupy politycznéj, a tém samém, jak wszystko, co jest konieczném, nie może być z pewnego punktu widzenia niemoralną" (str. 122). To nie jest bynajmniéj, twierdzi Sighele, paradoksem. Kto aprobuje morderstwo na wojnie, ten akceptuje dwie różne moralności: ogólnie ludzką i narodową, i akceptować musi resztę, a mianowicie, że każda organizacya społeczna może miéć swoje przepisy moralności, obowiązujące członków téj organizacyi dopóty, dopóki są jéj członkami. Był czas, mówi Sighele, że i nasz, włoski patryotyzm, był stronnictwem — sektą, i wtedy pochwalaliśmy zbrodnie, jakie w imię interesów téj sekty popełniano na niewinnych poddanych i oficerach austryackich. Granica między narodowością, stronnictwem politycznéem i sektą jest tak subtelna, że jéj ściśle określić niepodobna i ktokolwiek pochwala zbrodnie patryotyczne, w imię interesów narodowości i państwa popełnione, ten musi akceptować zbrodnie sekciarskie i stronnicze, i zgodzić się na różną niemoralność różnych grup społecznych. Instynkt samozachowawczy istnieje tak samo w państwie, jak w narodowości, w stronnictwie i sekcie. Nie trafia nam to rozumowanie do przekonania tylko dla tego, że wszyscy jesteśmy członkami pewnéj narodowości, wszyscy jesteśmy patryotami, a nie wszyscy jesteśmy członkami pewnéj sekty lub pewnego stronnictwa. Bezwątpienia, zarówno sekta, stronnictwo jak i indywiduum może przekraczać granice samoobrony. Tłum bardziéj impulsywny przekracza je jeszcze więcéj niż indywiduum, a nakoniec śród tłumu znajdują się często „kryminaliści z urodzenia", których postępowanie spada na odpowiedzialność całéj sekty. Nie zmienia to jednak zasady samego kryteryum.

W każdéj zbrodni sekty motywem, pobudką zasadniczą jest dążenie do zachowania istnienia lub rozwoju sekty (st. 128) często źle zrozumiane i źle wykonane — a tém samém często nieodpowiednie i przeciwne istotnym celom sekty. Jednak instynkt samozachowawczy nie tłomaczy wszystkiego (str. 129) —nie tłómaczy nam, dlaczego człowiek prywatnie uczciwy, tak łatwo

staje się przestępcą politycznym. Na gruncie idej, przekonań i wiary sekty, rodzi się nowy ideał sprawiedliwości, odrębny od ideału człowieka prywatnego, namiętność, która burzy ideały moralności prywatnej i popycha mężów stanu i spiskowców do kłamstw, kradzieży i morderstwa.

Czyn popełniony bez pobudek egoistycznych własnego interesu — w interesie sprawy ogólnéj sekty, partyi, narodu i państwa oceniamy inaczéj, niż czyn popełniony dla własnéj korzyści; jest to to samo prawo psychologiczne, które spostrzegamy codziennie, widząc kobiety, któreby niewątpliwie wolały raczéj umrzeć z głodu, niż prosić o jałmużnę dla siebie, żebrzące na cele filantropijne; to samo prawo psychologiczne, skutkiem którego usprawiedliwiamy mordercę, który dopuścił się zbrodni pod wpływem słusznego uniesienia, a potępiamy bezwzględnię mordercę dla rabunku. Morderca w sprawie ogółu nietylko jest usprawiedliwiany, ale często zyskuje sławę bohatera lub męczennika. Zbrodnie w celach altruistycznych popełnione bywają nieraz z zupełną wiarą w moralność dokonanego czynu i dla nich opinia publiczna ma nietylko usprawiedliwienie, ale nawet pochwałę. Bardzo często ten altruizm jest zwykłą halucynacyą, pokrywającą nizki egoizm; sekta usposabia do takich halucynacyi i zboczeń umysłowych, objawy autosugestyi wytępiają do gruntu pojęcia moralności prywatnéj. Wobec interesów partyi, narodu i państwa życie jednostki, dziesiątek, setek i tysiąców zdaje się nie miéć wartości, i na téj drodze granic nie ma.

Sumienie łatwo uśpić — stąd szereg zbrodni popełnionych w imię interesów państwa; na tym gruncie wyrosły i prześladowania chrześcian w Rzymie i teroryzm we Francyi. Przekonanie, że cel uświęca środki, jest jedném ze zwykłych przekonań ludzi politycznych—jednym z punktów ich bezustannéj uwagi — i czasami przechodzi w „*idée fixe*". Każdy mąż stanu ma umysł skierowany przedewszystkiém do jednego celu: dojść do władzy, a gdy raz do niéj dojdzie, myśli tylko o tém, jak się u władzy utrzymać; sądzi on, że téj władzy używa dla dobra ogółu i chętnie popełnia „niedelikatności" dla trwałego uszczęśliwiania ogółu tą władzą.

Nie bez wpływu na łatwość, z jaką moralność prywatna ustępuje w sumieniu jednostki miejsca moralności sekciarskiéj, jest pewien kult dla siły, odwagi i energii, jaki spotykamy często w niższych warstwach społeczenych. W każdéj sekcie tkwi duch buntu i brutalności i z łatwością pobudza do obniżenia działalności wpływów moralnych; są to atawistyczne wpływy przeszłéj dzikości.

W tłumie wrzask podnieca odważnych do użycia siły — do zbrodni — których są automatycznymi sprawcami. To, co w tłumie następuje nieświadomie, w oka mgnieniu, to samo staje się w sekcie ze świadomością i zwolna. Sumienie sekciarzy zanika — moralność się obniża — a za popełnioną zbrodnię bardziéj odpowiedzialnym jest tłum i sekta, niż bezpośredni sprawca. Umiéć zabić i umieć umrzeć jest ideałem sekciarza.

Wielki niezaprzeczenie wpływ na zbrodnie i przestępstwa polityczne ma nakoniec mniejsza, lub większa pewność ich bezkarności. W przestępstwach politycznych prawdopodobieństwo bezkarności wzrasta czasem aż do pewności. Cnota dla cnoty była i jest zawsze rzadkością; — dla większości ludzi życie jest kompromisem między złem większém i mniejszem, między któremi trzeba umiéć wybrać to, co grozi najmniejszém cierpieniem osobistém. Jeśli kary i hańby można uniknąć—zbrodnia dla bardzo wielu staje się mniéj wstrętną; obawa kary i hańby powstrzymuje wielu od „niedelikatności". Jest to niezawodnie jedna z przyczyn, dla których ludzie częściéj decydują się na przestępstwa polityczne, niż na przestępstwa prywatne. Przedajność prasy ratuje tu mężów stanu dla których nadużycie jest tylko drogą boczną, a krótszą. Dla ministra u władzy bezkarność jest zapewniona dopóty, dopóki trwa jego władza,—a serwilizm otoczenia nie jest słabszym od przedajności prasy. Każda dyktatura prowadzi do samowoli, niesprawiedliwości i zbrodni,—jest to rodzaj psychologicznego alkoholizmu przechodzącego łatwo w obłęd. Tyberyusz zdaniem Tacyta był: „*vi dominationis convulsus et mutatus*".

IV.

Instykt samozachowawczy każdéj sekty, kryteryum etyczne specyalne dla zbrodni w celach altruistycznych, kult siły i odwagi, a wkońcu prawdopodobieństwo lub pewność bezkarności, sądzi Sighele, prowadzą do tego, że moralność polityczna jest daleko mniéj rozwinięta niż moralność indywidualna. Czyny uważane za godne nagany, niemoralne znikają najprzód ze sfery czynów prywatnych, a dopiero potém ze sfery publicznéj, z obyczajów politycznych. Kłamstwo, krzywoprzysięstwo, trucizna, zabójstwo, w moralności prywatnej, oddawna uznano za zbrodnie; spotykamy się jednak z niemi często w obyczajach politycznych wieków średnich. Indywiduum jest zawsze moralniejsze od ludzi politycznych, a im więcéj rozszerza się sfera działania człowieka, témbardziéj etyka jego jest wyrozumiałą.

Grupa ludzi, twierdzi Sighele, zbiorowość jest zawsze jako całość mniéj moralna, niż pojedynczy człowiek. Produkt intelektualny i moralny zbiorowiska jest zawsze gorszy niż suma jego umysłowych i etycznych wartości; zachodzi tu zawsze zmiana i zmniejszenie wartości.

Możnaby sądzić, że uspołecznienie pogarsza człowieka, że im bardziej rozszerza się zakres jego działalności, témbardziéj obniża się inteligencya i moralność zbiorowa.

Oddawna téż zauważono, mówi Sighele, że moralność polityczna jest zawsze niższa od moralności indywidualnéj. Już Plato radzi filozofowi trzymać się zdala od polityki i do dziś dnia spotykamy się często z opinią, że moralność wogóle podnosi się z wyjątkiem moralności politycznéj. Maxime du Camp powtórzył zdanie pewnego ambasadora, że polityka jest szantażem, targiem, a często rozbojem, („*affaire de chantage, marchandage, souvent de brigandage*"). Dość przeczytać opinię Macaulay'a o Robercie Walpole'u, aby się przekonać, jak wiele wyrozumiałości ma świat dla utalentowanych przestępców politycznych. Polityka zawsze demoralizuje ludzi.

Jeśli takie są zasady stronnictw, stojących u władzy, mówi Sighele, łatwo zrozumiéć, jakiemi zasadami kierują się stronnictwa, nie mające prawnego istnienia, tj. sekty. Sekta, uciśniona i prześladowana nie może się posługiwać temi samemi środkami działania, jakich używają stronnictwa legalnie istniejące — gwałt, siła, odwaga muszą być głównemi środkami działania sekty. Dla wszystkich mniejszości działanie środkami legalnemi jest drogą zbyt długą.

Dlatego téż Sighele, sądzi, że człowiek polityczny i członek sekty nie mogą być prawdziwie moralnymi, istotnie uczciwymi ludźmi. W polityce być uczciwym jest to samo, co być niezręcznym, i dlatego Buckle sądził, że każdy mąż stanu jest kryminalistą, że nie można w historyi odnaleźć ani jednego wielkiego męża stanu, któryby był zawsze uczciwym. Mąż stanu w działaniu polityczném nie może się kierować zasadami moralności indywidualnéj; dla sekciarza być moralnym jest prawie niepodobieństwem. Mąż stanu musi kłamać, przekupywać dzienniki i sumienia. Sekciarz bez gwałtu i siły niczego nie dokona. Kto chce całe życie pozostać uczciwym, nie może być ani sekciarzem, ani członkiem partyi, ani mężem stanu. Dyplomata mówiący zawsze prawdę — jest niemożliwością. Tylko naiwni i hipokryci zaprzeczyć mogą tym faktom.

Probowano usprawiedliwić ten stan, dzieląc moralność na wielką i małą (Mirabeau). Moralność „wielka" usprawiedliwia zbrodnię popełnioną w celach altruistycznych. Być może, że w niektórych

wypadkach taka moralność ma racyę bytu, bo w polityce zwykle — „cel uświęca środki" ma grunt pod sobą. Są wypadki, np. dla dobra kraju, w których zbrodnią byłoby nie popełnić zbrodni. Ale jeśli zbrodnia nie jest bezwarunkowo konieczną—pozostaje zbrodnią. Powodzenie i waga interesów jest tu ostateczném kryteryum. Mali zbrodniarze są zawsze zbrodniarzami — wielcy zdobywają zaszczyty i władzę.

Powodzenie robi czyny polityczne bezprawne—prawnemi, bo zwycięstwo pociąga za sobą zgodę większości. Logika ta niczém zwalczyć się nie daje, jeśli tylko dla kogo większość decyduje o prawności lub nieprawności czynu.

Co do zdania, że polityka powinna być moralną, że polityka niemoralna prowadzi społeczeństwo do zguby, Sighele sądzi, że zasada ta jest niebiezpieczną, że społeczeństwo któreby probowało być moralném, zgotowałoby samo sobie ruinę. Zepewne ideałem męża stanu jest być uczciwym w polityce, ale dyplomacya bez kłamstwa, rząd bez samowoli, sekta bez czynów gwałtownych—to są rzeczy nie dające się pojąć.

W ostatecznym wniosku Sighele twierdzi, że moralność polityczna jest zawsze i z konieczności niższa od moralności indywidualnéj. Człowiek uczciwy z przekonania nie osiągnie w polityce żadnego celu, a genialni mężowie stanu nie byli nigdy uczciwymi. Buckle ma słuszność twierdząc, że naród lepiéj wychodzi na rządach genialnych zbrodniarzy niż na rządach uczciwych głupców. Oszust łupi sam, ale tylko sam; głupi pozwala łupić tłumowi innych. Wszystko to jest smutném, ale koniecznem,—a w gruncie rzeczy mniéj smutném, aniżeli się wydaje.

Jest bowiem w naturze rzeczy, twierdzi nasz autor, tajemnicze i dziwne prawo zrównoważenia (kompensacyi), które sprawia, że ze złego często rodzi się dobre. W naturze, jak dowiódł Darwin, trwają stale tylko te organa, które są użyteczne dla organizmu. Zbrodnia rozwija się i zmienia formę, trwała i trwa ciągle, musi więc mieć pewną użyteczność, musi społeczeństwu oddawać pewne usługi. Zbrodnia polityczna, sekciarska i patryotyczna jest zawsze pewnym rodzajem drożdży, wywołujących postęp. Już wojna, która jest zbrodnią „*en masse*" i niewolnictwo przyniosły cywilizacyi niezaprzeczone korzyści. Mężowie stanu — zbrodniarze—oddali nieraz wielkie zasługi cywilizacyi, zwyciężając hordy barbarzyńców. Zbrodnia ma więc pewne zadanie społeczne. Tylko opinia publiczna nie może się zdobyć na odwagę nazywania rzeczy po imieniu. Politycznym zbrodniarzom nie można mówić w oczy, że są zbrodnia-

rzami: chwali się ich, znosi—ale jeśli kto powié, że są oni koniecznością, tego świat wyklina.

Sighele nie ma zamiaru ani bronić ani idealizować zbrodni politycznéj — stwierdza tylko fakta, których zaprzeczać niepodobna (str. 178). Stany nienormalne i stany chorobliwe nie są téż bez pożytku. Wielcy „niezrównoważeni" byli nieraz promotorami postępu i uczciwość nie jest jedyném źródłem wszystkiego, co piękne. Zbrodnia może czasami rodzić dobre. Dla socyologa zbrodnia jest faktem, z którego nie samo wyłącznie złe tylko wypływa.

Nie należy jednak oddawać się złudzeniu, mówi Sighele, że zjednoczenie obu moralności: prywatnéj i politycznéj jest możliwe, że kiedyś ono osiągniętém zostanie. Byłoby to złudzeniem, a temu złudzeniu ulega pewna szkoła ekonomiczno-socyalna; sądzi ona, że osiągnięcie przez nią władzy usunie ze świata wszelkie zbrodnie, zarówno indywidualne, jak polityczne. Takim złudzeniom oddawali się zawsze wszyscy apostołowie rewolucyi. Żaden przewrót społeczny nie zmieni stosunków i warunków antropologicznych. Człowiek pozostanie zawsze człowiekiem i nigdy nie osiągnie doskonałości. Zbrodnia zniknąć nie może, a moralność polityczna nie osiągnie nigdy wyżyn moralności indywidualnéj. Medycyna i chirurgia nie usuną chorób i nigdy wielkie zbiorowisko ludzi nie będzie mogło w swém postępowaniu kierować się wyłącznie zasadami moralności indywidualnéj. Moralność grup ludzkich będzie zawsze inną. Obie moralności podnoszą się stale i podnosić będą, ale połączyć się nie mogą; jak dwie linie równoległe nie spotkają się nigdy. Spotkanie się ich w nieskończenie odległéj przyszłości jest przypuszczeniem metafizyczném, bezpłodném, odwodzącém od badania rzeczywistości.

Dzisiejsza ludzkość nie zdradza zamiaru rządzenia się zasadami bardziéj idealnemi; wojny nie zdają się zbliżać ku końcowi; równość intelektualna i moralna jednostek jest chimerą, a równość ekonomiczna, jeśli jest logicznie możliwą, w każdym razie w bardzo odległéj przyszłości. Walka klas społecznych trwać więc będzie zawsze Każda z tych klas postępować będzie według zasad swojéj moralności: klasy wyższe używać będą w téj walce środków bardziéj cywilizowanych, klasy niższe środków więcéj barbarzyńskich i dlatego też traktowane będą, jak przestępcy. Zbrodnie nieraz będą nazywane heroizmem, a heroizm zbrodnią i te heroiczne zbrodnie będą konieczne dla postępu. Zbrodnie sekt będą zawsze zasługiwały na wyrozumiałość, gdyż źródłem ich jest dążenie do czegoś lepszego, altruizm, który skłaniając człowieka do poświęceń dla potomności, tém samé wyróżnia go od bydląt.

V.

Praca Sighele'go dla nauki niewiele nowego przynosi; co najwyżéj stwierdzenie konieczności badań psychologii zbiorowisk ludzkich pośrednich między „tłumem“ a „państwem”, tych, jak mówi Sighele „*traits - d'unions*” stanowiących ogniwa przejściowe. Zasługuje ona więcéj na uwagę, jako zbiór zdań utartych, kursujących w opinii publicznéj, opartych, jakoby na obserwacyi faktów historych, z pretensyą do naukowéj powagi.

Zasadnicza teza Sighele'go: że poziom intelektualny i etyczny każdego zbiorowiska ludzkiego jest niższy od poziomu etycznego przeciętnych jednostek to zbiorowisko składających, — jest paradoksem — *à la* Nordau — bez żadnéj, ani naukowéj, ani historycznéj podstawy. Nawet analogia ze związkiem chemicznym jest bardzo źle użytą: z połączenia chemicznego dwóch ciał powstaje coś nowego do żadnego z obu ciał składowych niepodobnego, lecz o własnościach tego ciała, o jego wartości, nic z góry wiedzéić nie możemy. Zatém i ten tak wątpliwy argument nie pozwala nam nic wnioskować o charakterze zbiorowisk ludzkich.

Że patryota włoski patrząc na przedstawicieli narodu włoskiego—obserwując działalność parlamentu na Monte Citorio — może zwątpić o wartości parlamentaryzmu, temu się dziwić nie można. Jeśli jednak bierze za prawdę paradoks o poziomie intelektualnym i etycznym zbiorowisk ludzkich — dowodzi tém tylko jak łatwo umysł jednostki, choćby docenta uniwersytetu wpada w jednostronność, — i dowodzi tém samém jak uzasadnionym jest sceptycyzm ludzki co do wartości opinii indywidualnych, jak łatwo jednostką kierują uczucia i namiętności, jak potrzebna jest bezstronność w sądach i jak konieczne jest sprawdzenie każdego zdania indywidualnego, choćby przez porównanie go ze zdaniami innych indywiduów.

Sighele—a razem z nim wszyscy, którzy stracili wiarę w inteligencyę i etykę parlamentów, nie widzą, że występując przeciw parlamentaryzmowi — w imię argumentu Sighele'go — obalają jednocześnie zasady wszelkiéj kolegialności — zwalczają zaufanie do zdania wielu i bronią powagi zdania jednostki.

Gdyby paradoks Sighelego był prawdą rzeczywistą, należałoby nietylko znieść parlamenty—co w niektórych krajach możeby nawet nie było szkodliwém, ale należałoby znieść także wszelkie

władze i instytucye kolegialne, usunąć kolegialne sądy, trybunały i senaty, wszelkie rady stanu, rady państwa, ziemstwa i zebrania gminne, nawet rady zarządzające towarzystw akcyjnych i komitety instytucyi dobroczynnych, słowem wszelkie sądzenie i rządzenie oddać w ręce pojedyńczych osób.

Nie ulega wątpliwości, że wszelkie narady w zbyt wielkiéj liczbie osób niewiele przynoszą pożytku: zależy tu wiele od różnorodności jednostek, ich przyzwyczajeń i nawyku do tłumnych narad; od ilości wybitnych umysłów, zdolnych stanowić jądra przeważających opinii. Tłumne narady mają swą technikę i sztukę, któréj brak często najfatalniejsze wydaje rezultaty; brak organizacyi i karności w tłumie radzącym, jak i w każdym tłumie, prowadzi na manowce. Sighele nie zwraca uwagi na tę stronę kwestyi, wszelkie braki i niedostatki kolegialności bierze za wady organiczne i wypowiada zasadę bardzo pochlebną dla indywiduum ludzkiego, ale nie mającą ani naukowéj podstawy, ani praktycznéj doniosłości.

Bardzo wątpliwą też jest opinia Sighelego o możliwości „zdwojenia się moralności" w indywiduum ludzkiém. Trudno w to uwierzyć, aby człowiek, przekonany, iż posiada prawo popełniania przestępstw politycznych i sekciarskich, pozostał całkowicie uczciwym w życiu prywatném. Jeśli między tłumem a jednostką zachodzą stałe zjawiska przesiąkania, to zjawiska te są jeszcze częstsze i stalsze między dwoma sumieniami jednego indywiduum (jeśli je mieć ono może) i obniżanie się poziomu etycznego w sumieniu polityczyném musi wpływać na obniżanie się poziomu etycznego w sumieniu prywatném. Pokolenia wychowane bez pojęć o sprawiedliwości politycznéj, muszą powoli zatracać pojęcia sprawiedliwości prywatnéj. Niewolnictwo demoralizuje i niewolników i ich panów; plantatorzy kolonialni, zatraciwszy pojęcie sprawiedliwości względem niewolników, — straciwszy sumienie jako klasa, powoli zdemoralizowali się jako jednostki. Rzymianie przyuczywszy się łupić prowincye—łupili potém Rzymian: legiony wydały pretoryanów. Fakt ten tak często i stale powtarza się w historyi, że „zdwojenie sumień" i „zdwojenie moralności" nie wydaje się możliwém w życiu rzeczywistém.

Niemniéj fałszywą jest końcowa teza Sighele'go, że zbiorowiska ludzkie nie mogą kierować się zasadami etyki obowiązującemi w postępowaniu jednostki, że każdy członek sekty, członek partyi, mąż polityczny, z konieczności musi być niemoralnym. Tezę tę opiéra Sighele na instynkcie samozachowawczym każdego zbiorowiska ludzkiego, jako na argumencie głównym i na trzech argumentach dodatkowych: wyrozumiałości dla zbrodni popełnianych

w celach altruistycznych, uznaniu dla siły i odwagi i prawdopodobieństwie (ewentualnie pewności) uniknięcia kary. Co się tyczy argumentów dodatkowych, Sighele ma słuszność po swéj stronie: niewątpliwie grają one w psychologii zbrodni, przestępstw i niedelikatności politycznych bardzo wielką rolę. Inaczéj jednak jest z argumentem głównym: instynktem samozachowawczym sekty, partyi, państwa i narodu, który jako argument tutaj jest zupełnie bez wartości.

Instynkt samozachowawczy ani jednostki, ani społeczeństwa nigdy nie może być źródłem zbrodni lub przestępstwa. Zbrodnia jest targnięciem się na cudze istnienie, na cudze prawa, albo przekroczeniem granic samoobrony; nie może powstać tam, gdzie takiego targnięcia się nie ma. Dopóki żadne indywiduum i żadna grupa społeczna nie wkracza w granice praw cudzych, dopóty nie zachodzi potrzeba obrony—i dlatego domniemanym, koniecznym motywem wystąpienia w życiu instynktu samozachowawczego jest tylko napaść z zewnątrz. „Motywem zasadniczym—mówi Sighele—przestępstwa sekty jest zawsze samozachowanie lub rozwój sekty.“ Sekta sądzi, że ma prawo istnienia i „rozwoju“, przyczém Sighele nie zastrzega, czy rozwój ten ma się odbywać bez naruszenia praw innych grup spółczesnych, czy też bez względu na te prawa.

A jednak w rozwiązaniu tego pytania leży jądro kwestyi. Badając psychologię sekt, Sighele powinien był pójść jeszcze daléj, jeszcze głębiéj i zapytać się, dlaczego sekta, partya, państwo i naród są zawsze skłonne nie szanować praw istnienia innych sekt i partyi, i naruszając ich prawa, twierdzić, że działają tylko w interesie swego istnienia lub swego koniecznego rozwoju.

Wynika to z natury rzeczy: z wiary, że idea, która stanowi węzeł łączący sektę ma wartość prawdy bezwzględnéj, któréj zrealizowanie w życiu przyniesie korzyść nietylko członkom sekty, ale i ogółowi. Ta sama wiara kieruje stronnictwami politycznemi zarówno postępowemi, jak konserwatywnemi, demokratycznemi, jak i arystokratycznemi. Każda sekta religijna, sądzi, że tylko na jéj łonie człowiek może dostąpić zbawienia, każde stronnictwo polityczne monopolizuje dla siebie zdolność rządzenia dobrze krajem, każdy naród uważa się za niosącego naprzód pochodnię cywilizacyi, i każda z tych grup społecznych: sekta, stronnictwo i naród, przekonana jest (albo udaje, że jest przekonaną), że rozwój jego, zapewniając panowanie jéj zasadom, uszczęśliwi świat cały a na gruncie tego przekonania czynności swe naruszające prawa innych sekt, stronnictw

i narodowości, uważa nie za naruszenie ich praw, ale za czynności wywołane koniecznością samoobrony lub naturalnym i koniecznym rozwojem idei, których jest przedstawicielem.

Gdzie w tych wypadkach kończy się dobra, a zaczyna zła wiara—o tém bardzo trudno sądzić. To pewna, że w historyi ludzkości nie brak rzezi milionów dla zapewnienia rozwoju pewnych idei, szczególnie jeśli te rzezie zapewniały korzyści wyznawcom.

Sighele niejednokrotnie wspomina o halucynacyach altruizmu, o autosugestyi sekty. Nie podkréśla jednak, że ta autosugestya i halucynacya wynika z natury rzeczy, że każda idea sekciarska opiéra się na wierze w absolutną prawdę wyznawanéj idei, że każde stronnictwo z natury rzeczy musi uważać tylko siebie za zdolne dobrze rządzić krajem; że każdy silnie rozbudzony patryotyzm prowadzi do przekonania o ogólnie ludzkiéj wartości narodowych idei. Im silniéj rozbudzone są uczucia sekty, stronnictwa i narodowości, tém większa jest skłonność do zatarcia granicy między samoobroną a napaścią, prawem do życia jednych a chęcią rozwoju drugich, — aż w epokach silnego poruszenia sekt, stronnictw i narodowości poczucie sprawiedliwości między grupami społecznemi znika zupełnie i sprawdzają wtedy słowa św. Augustyna „*quid sunt sine justitia civitates—nisi magnae societates latronum?*"

Gdy się namiętności uspokoją, gdy idee sekty, stronnictwa i narodowy szowinizm upadną, — wtedy dopiéro prawda wraca do praw swoich, a historya określa wartość etyczną wypadków. Zbrodnia zostaje nazwana zbrodnią—w sądzie ostatecznym historyi ustaje „zdwojenie moralności", a powraca zasada „*suum cuique.*"

VI.

Jakkolwiek Sighele zaznacza, że w pracy swéj ma zamiar stwierdzać tylko fakty, nie zaś wnosić obronę za zbrodnią polityczną i sekciarską, to jednak dowodzenie, że zbrodnie w polityce są koniecznością i że zbiorowiska ludzkie muszą mieć moralność inną niż indywidua ludzkie — w ostatecznym wywodzie jest obroną politycznych i sekciarskich zbrodni, przestępstw i „niedelikatności".

Mimowoli przychodzi na myśl porównanie jego argumentów z argumentami polityka, uważanego przez szereg wieków za sumę polityczněj niemoralności, porównanie z treścią „Księcia" Mikołaja Machiavelli.

„Książę" jest też płodem patryotycznego oburzenia, rezultatem reakcyi przeciw rzeczywistości. „Historya Włoch w XV-ym i XVI wieku — mówi C. Ferrari w przedmowie do francuskiego wydania „Księcia" [1]) — jest historyą żałoby i hańby." W téj epoce Machiavelli pisze rady dla księcia, których etyczna podstawa streszcza się najlepiéj w tym znanym ustępie z XVIII go rozdziału:

„Każdy rozumié, jak godném jest pochwały w księciu jeśli dotrzymuje wiary, działa otwarcie i bez podstępu; lecz doświadczenie naszych czasów przekonywa, że wielkich rzeczy dokonali tylko ci panujący, którzy nie wiele cenili swe słowo, którzy potrafili zręcznie oszukać innych, i którzy w końcu umieli zwyciężyć tych, co zawierzyli ich uczciwości..." — „Gdyby ludzie byli uczciwi, zasada ta byłaby złą, ale ponieważ są złymi i dalekimi od dotrzymywania słowa nie powinieneś i Ty swojego dotrzymywać, a nie zabraknie Ci nigdy sposobów usprawiedliwienia się z jego niedotrzymania."

Dla Machiavellego polityczna nieuczciwość ma swoje usprawiedliwienie w politycznéj nieuczciwości innych, a w stosunku z uczciwymi jest złą, potępienia godną. Dla Sighele'go obojętną jest rzeczą, czy druga strona w stosunku jest uczciwą lub nieuczciwą, obojętném jest, czy sekta, stronnictwo lub naród broni się czy napada, czy walczy w obronie swego istnienia, czy dla zapewnienia dalszego swego rozwoju; obojętną jest rzeczą, czy w tém dążeniu do rozwoju narusza czy nie narusza praw innych. Sighele konstatuje fakty: kto chce żyć, kto chce się rozwijać, ten z konieczności wyzbywa się ideałów moralności i sprawiedliwości indywidualnych, i musi popełniać czynności, które ze stanowiska etyki „indywidualnéj" nazywają się „niedelikatnościami", przestępstwami i zbrodniami.

Zapomniał tu przedewszystkiém, że „konieczność" w świecie zjawisk społecznych nie ma nigdy tego znaczenia, co w świecie zjawisk fizycznych; że gdyby przyszło do stwierdzania, czy w danym wypadku przestępstwo było koniecznem? tylko w wyjątkowych razach takie stwierdzenie mogłoby nastąpić, a tém samém wogóle wypadków według opinii nawet Sighele'go — zbrodnia pozostałaby zbrodnią. W każdym danym wypadku opinia o „konieczności" jest opinią indywidualną sekty, — tak samo jak i opinia o tém, czy w danym wypadku zachodzi wypadek samoobrony, czy naruszenie praw innych. Cały sąd etyczny o wartości moralnéj czynności wydaje indywiduum lub grupa społeczna zainteresowana i dlatego też sąd

[1]) „*Bibliotheque Nationale*", 1867, str. XII.

ten jest bez najmniejszéj wartości. W opinii sekty, stronnictwa, narodu—słuszność będzie zawsze po jego stronie, bo ono samo przesądza, jak daleko sięgaja prawa jego rozwoju i co jest do tego rozwoju konieczném, a wtedy naturalnie wszystko, co mu korzyć przynosi, jest konieczném i moralném.

W zasadach „Księcia" dla usprawiedliwienia postępowania przeciwnego etyce wymaganém jest przekonanie, że i strona przeciwna jest niemoralną; niebezpieczeństwo leży w tém, że o moralności danéj grupy społecznéj sądzi inne indywiduum lub grupa bez apelacyi; — wedle zdania Sighelego—niemoralnym wolno być zawsze, bez względu na dobrą wiarę strony drugiéj, byleby zachodziła „konieczność".

To téż zdanie Sighele'go — a właściwie dzisiejsze przekonania politycznéj moralności — są etycznie niższemi od opinii wyrażonych w „Księciu". Sighele sądzi, że obie moralności indywidualna i polityczna mimo różnicy ich poziomu, wznoszą się ciągle i dążą do jakiegoś nieziszczalnego ideału. Jeśli jednak te fakta, które stwierdził są rzeczywiste, jeśli jego tezy są prawdziwe, to moralność polityczna dzisiejsza w porównaniu z moralnością XVI w. cofnęła się, i jeśli może, jak twierdzi Sighele, uległa ewolucyi co do formy, porzuciła truciznę, sztylet i krzywoprzysięstwo — to co do treści uległa chyba ewolucyi wstecznéj.

Czy świat dziś jest bardziéj moralny niż był, czy mniéj moralny — tak w swéj etyce indywidualnéj, jak i w etyce grup społecznych tego pytania rozwiązywać tu nie mamy zamiaru. Wiemy tylko, że po epokach postępu następują epoki cofania się i że świat od czasu do czasu przechodzi epoki cywilizacyjnego, intelektualnego i etycznego upadku. Dla nas książka Sighele'go jest jedną z poszlak, że epoka obecna jest epoką upadku pojęć etycznych w moralności politycznéj, któréj przyczyn szukać należy w rozbudzeniu namiętności klasowych, narodowych i rasowych.

Roznamiętnienie walki, jak sam Sighele słusznie zaznacza, prowadzi z konieczności do altruistycznych halucynacyi, politycznych autosugestyi „kulturträgerskiego" obłędu zacierającego pojęcia sprawiedliwości, usuwającego z sumień ludzkich zasadę *„suum cuique"*. Że śród takiego pomieszania pojęć rodzą się teorye „konieczności zbrodni", że potém wobec jéj potworności trzeba się powoływać „na tajemnicze prawo zrównoważenia", które sprawia, że i ze złego dobre wyrasta, i że stany nienormalne i chorobliwe są dla człowieka pożyteczne, to już naturalnie z samych założeń wynika. W ten sposób rozumując, możemy twierdzić, że skoro nigdy zbrodnia z oblicza ziemi nie zginie, że skoro tém samém jest ona „konie-

cznością społeczną“, to jako taka „z pewnego punktu widzenia nie może być niemoralną, bo jest konieczną“.

Historya zanotowała na kartach swoich rozwój jednéj sekty, któréj dzieje, w pierwszych wiekach jéj istnienia, są pełnemi zbrodni na niéj popełnionych, a nie notują ani jednego faktu zbrodni, dokonanéj przez jéj członków ani dla jéj rozwoju, ani dla jéj samoobrony. W ciągu paru wieków sekta ta, złożona pierwiastkowo z garści ludzi, opanowała cały ówczesny świat cywilizowany i z nauki głoszonéj przez nieznanego proroka z nad Jordanu stała się potęgą wszechświatową. Historya téj sekty dowodzi, że gdzie węzłem łączącym sektę jest prawda — i tylko prawda — bez domieszki egoistycznych interesów i altruistycznych halucynacyi, tam sekta zawsze ma pewność osiągnięcia zwycięstwa — nawet wtedy, gdy nietylko sama nie popełnia „koniecznych zbrodni“, ale wtedy, gdy nie używa prawa samoobrony wobec dopełnianych na niéj „koniecznych zbrodni“.

Historyę téj sekty znamy wszyscy tak dobrze, że zwykle o niéj zapominamy.

Ludynia, 2 sierpnia 1898 r. *St. Piotrowski.*

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Kazimierz Król i Jan Nitowski. „Podręcznik do nauki literatury polskiéj.“ Połowa I (str. 1 do 210). Warszawa, nakładem Michała Arcta, 1898 r.

Dawno już żadna praca nie była oczekiwana z taką niecierpliwością przez wszystkich interesujących się naszém piśmiennictwem, jak niniejsze, zapowiadane od kilku miesięcy dziełko dwóch doświadczonych pedagogów. W saméj rzeczy, oddawna już wszystkim wykładającym, jak również i studyującym literaturę ojczystą, dawał się odczuć brak jakiegokolwiek podręcznika, który możnaby obrać za przewodnika dla siebie czy dla innych w badaniu przeszłości naszego piśmiennictwa, nie obawiając się być sprowadzonym na manowce. Dawniejsze dzieła w tym przedmiocie, wobec ciągłego wzrostu nauki, nowych odkryć i t. d., nie mogą już obecnie wystarczać. Najlepszy dotychczas podręcznik Adama Kuliczkowskiego w ostatniém nawet swojém wydaniu jest zupełnie wyczerpany, a zresztą i w nim nie są uwzględnione najnowsze odkrycia.

Prawdziwie więc obywatelski czyn spełnili pp. Król i Nitowski, dając nam swój podręcznik, wybornie zastosowany do użytku szkolnego. Z natury rzeczy dziełko tego rodzaju nie może rościć pretensyi do oryginalności; musi ono być zawsze w mniejszym lub większym stopniu kompilacyą; chodzi tylko o to, by ta kompilacya była rozumna i umiejętna. Podręcznik niniejszy wymaganiom tym odpowiada w zupełności. Autorowie na każdym kroku liczyć się musieli z rozmiarami „podręcznika”; usunęli więc z niego wszystko, co powiększałoby jego obję-

tość, nie wpływając bynajmniéj na podniesienie jego użyteczności. „Kładąc więc głównie nacisk na charakterystykę dzieł autorów wybitniejszych“, jak powiadają w przedmowie, „i wogóle ich działalności pisarskiéj”, pominęli wszystko, co mogłoby tylko niepotrzebnie przeciążać pamięć ucznia, jako to: „nic nieznaczące szczegóły biograficzne”, „wnioski i sądy, naciągnięte na zbyt obszerne ramy”, wreszcie wszelką polemikę, jak rzecz w zasadzie swojéj niepedagogiczną.

Podzieliwszy historyę naszego piśmiennictwa na 6 okresów, przyczém okres Piastowski i dobę humanizmu złączono w jedną epokę, na co się w żadnym razie zgodzić nie można, autorowie układają materyał swój w następującym porządku: najpierw podają treściwą, ale wcale udatną charakterystykę każdego okresu, potém zaś rozpatrują oddzielnych przedstawicieli tych okresów, poetów (wprzód polskich, następnie łacińskich) i prozaików, dzieląc jeszcze tych ostatnich na kronikarzy, pisarzy politycznych, mówców i t. d. W sylwetce każdego z pisarzy znajdujemy: 1) daty urodzenia i śmierci; 2) krótki życiorys, złożony z najważniejszych szczegółów, z pominięciem strony anegdotycznéj; 3) wyliczenie dzieł, możliwie wyczerpujące, i ich charakterystykę, gdzieniegdzie krótkie streszczenia i wreszcie wyborne charakterystyki samych pisarzy i ich znaczenia w literaturze ojczystéj. Już z tych kilku rysów widać, że pp. Król i Nitowski doskonale pojęli zadanie swe pedagogów-popularyzatorów, témbardziéj że tak w życiorysach, jak i bibliografii nie omieszkali skorzystać z najnowszych nabytków nauki.

I to jeszcze przyczynia się do pożyteczności dziełka, że autorowie starali się oddzielić rzeczy ważniejsze od mniéj ważnych, wysuwając na pierwszy plan autorów i dzieła pierwszorzędnéj wagi; rzeczy zaś drugo- i trzeciorzędne, wyróżnione drobniejszym drukiem, mogą być dzięki temu z łatwością opuszczone przez wykładającego. Do zalet podręcznika zaliczyć jeszcze należy skrzętne notowanie polskich przekładów utworów, pisanych po łacinie, a należących do naszéj literatury, jak kronik, wierszy i t. d , i wreszcie odnośniki, w których wymienione są główniejsze studya i monografie, tyczące się oddzielnych autorów.

Jak widzimy więc, praca pp. Króla i Nitowskiego zapełnia poważną lukę w naszéj literaturze pedagogicznéj i może zastąpić cały szereg monografii, nie dla każdego przystępnych; jedném słowem, przyznajemy chętnie, że mamy tu do czynienia z wybornym podręcznikiem szkolnym, opartym na najnowszych studyach monograficznych, tém-bardziéj, że cechują go takie zalety stylu, jak treściwość, a zarazem

ścisłość, i po za tém żywość wykładu w charakterystykach epok, pisarzy i ich utworów.

Ponieważ jednak praca pp. Króla i Nitowskiego jest najlepszym i jedynym podręcznikiem do historyi naszego piśmiennictwa, który śmiało można polecić tak pedagogom, jak i samoukom, i który prawdopodobnie w szerokiém będzie użyciu, niepodobna pominąć pewnych jego wad i usterek, nieuniknionych w każdém tego rodzaju wydawnictwie; są one jednak nieliczne i bynajmniéj nie zmniejszają wartości podręcznika.

Najważniejszym brakiem dziełka jest jego układ wadliwy. Nie mówię tu o podziale pisarzy pewnéj epoki na poetów i prozaików, bo nie chcę roztrząsać kwestyi, jaka metoda jest bardziéj pedagogiczna, czy rozpatrywanie utworów jakiegoś okresu według działów, czy też w chronologicznym porządku; mam tu na myśli podział poetów XVI w. na polskich i łacińskich. Przedewszystkiém podział taki nie da się nigdy ściśle przeprowadzić, gdyż wszyscy prawie poeci XVI w. (prócz najpóźniejszych) pisali potrosze w obu językach; a potém, metoda ta, szczególniéj w takim porządku (polscy, potém łacińscy poeci), sprawia takie zamieszanie chronologiczne, że np. Janickiego († 1543 r.) znajdujemy po Zimorowiczach, z których jeden urodził się w r. 1597, a drugi — w r. 1604, potém Sarbiewskiego (ur. w r. 1595), a wreszcie pomniejszych poetów łacińskich: Pawła z Krosna († po r. 1518), Jana z Wiślicy († po r. 1516), Jędrzeja Krzyckiego i Jana Dantyszka. Lepiéjby już było ten porządek odwrócić i wprzód rozpatrywać poetów łacińskich, lecz w takim razie znów Sarbiewski znalazłby się przed Rejem i Kochanowskim.

I w poszczególnych działach możnaby cokolwiek zmienić porządek. Np. miejsce Sępa Szarzyńskiego i pod względem literackim i chronologicznie jest tuż po Kochanowskim, a nie między Zimorowiczami i Zbylitowskimi; Twardowskiego należało postawić przed Opalińskim i t. d.

Co się zaś tyczy pojedyńczych usterek, to przedewszystkiém zauważyć musimy, że dział zabytków średniowiecznych polskich jest zamało uwzględniony: nie znajdujemy tu ani najstarożytniejszego świeckiego wiersza polskiego: „Pieśń o zachowaniu się przy stole", jak również pierwszego dyalogu w naszéj literaturze: „Rozmowa śmierci z magistrem"; za to pomieszczono tu „Pieśń o pruskiéj porażce", któréj późniejsze pochodzenie zdaje się nie ulegać żadnéj wątpliwości. Za autora „Kroniki wielkopolskiéj" p. Nitowski wraz z Małeckim uznaje Godysława Baszka, kustosza poznańskiego; wobec tego jednak, że dowody Małeckiego nie są dość przekonywające, lepiéjby rozpatrywać tę „Kro-

nikę" anonimowo. Nie można mówić o Długoszu, że „usiłuje on zachować możliwą bezstronność" wobec jego wrogiego stanowiska względem polityki Kazimierza Jagiellończyka, którego robi warchołem, najbliższych zaś jego doradców i pomocników—zgrają karyerowiczów.

W charakterystyce Kochanowskiego, zresztą wybornéj, należało zaznaczyć, iż „Zgoda" powstała z natchnienia biskupa Padniewskiego, tak jak „Satyr" inspirowany był przez Myszkowskiego; nie można również zgodzić się na to, że Kochanowski „dogmatów wiary nie tykał nigdy i pozostał katolikiem"; przeczą temu niektóre treny (szczególniéj X i XI), najbardziéj przejęte sceptycyzmem, przeczy oda łacińska na cześć żonatego biskupa, Andrzeja Dudycza, i niektóre fraszki, wystawiające na śmiéch duchowieństwo i nawet papieża. — Kochanowski za bardzo był humanistą-klasykiem, za bardzo Rzymianinem, żeby dogmatów wiary wogóle dotykać. — Datę urodzenia Miaskowskiego według wszelkiego prawdopodobieństwa należy posunąć o 2 lata, wypadnie więc ona w r. 1551, nie zaś w r. 1549. Szarzyńskiego nazywa p. Nitowski za Faleńskim pierwszym romantykiem polskim, to samo miano spotyka Andrzeja Morsztyna, poniekąd Twardowskiego i innych poetów XVII w.; należy być ostrożnym w szafowaniu tego rodzaju epitetami, by nie wprowadzać zamętu w pojęciach nieprzygotowanego czytelnika, który, nie znając dokładnie literatury narodów romańskich, gotów wziąć za jedno romantyzm Szarzyńskiego czy Morsztyna, Twardowskiego czy Potockiego i wreszcie Mickiewicza czy Słowackiego.

Przekład „Jerozolimy wyzwolonéj" Tassa przez Piotra Kochanowskiego należało więcéj uwzględnić wobec olbrzymiego wpływu, jaki wywarł on na rozwój naszéj epiki do Mickiewicza włącznie, jak tego dowiódł Chlebowski; 10 wierszy o tym przekładzie, tak popularnym w XVII w., to stanowczo za mało. Zbyt pobieżnie również traktowane są kazania sejmowe Skargi, chociaż do pewnego stopnia wypełnia ten brak doskonała ogólna charakterystyka znakomitego kaznodziei; prócz tego w literaturze o Skardze opuszczono takie zasadnicze dzieło, jak Maur. Dzieduszyckiego „Piotr Skarga i jego wiek".

Pomiędzy utworami Twardowskiego nie znajdujemy „Satyra na twarz Rzpltéj", przypisywanego dawniéj Andrzejowi Rysińskiemu; co się tyczy jego „Nadobnéj Paskwaliny", to nietylko „wyrzeka się ona próżności", ale nawet zakłada klasztor i zostaje jego ksienią. — Charakterystyka Andrzeja Morsztyna wypadła trochę za pochlebnie; po gruntowném studyum porównawczém Porębowicza nie można już unosić się nad uczuciową stroną jego poezyi, przedstawiającą miłość we wszystkich odcieniach, a témbardziéj nad stylem, w którym jakoby „miara

artystyczna" miała być „umiejętnie zachowaną" i obrazowość rzadko dochodzi do przesady.

Wszystkie te drobne usterki nie obniżają poziomu pożyteczności pedagogicznéj omawianego podręcznika, témbardziéj jeżeli porownamy je z potwornemi błędami dawniejszych historyi naszéj literatury. Jeżeli zaś nie pominąłem tych usterek, to tylko dlatego, że uważając prace pp. Króla i Nitowskiego za najlepszy i jedyny podręcznik, pragnąłbym, aby w drugiém wydaniu te drobne nawet niedokładności mogły być usunięte. Ilustrowany wydanemi obecnie przez P. Chmielowskiego wypisami do literatury polskiéj, podręcznik niniejszy, umiejętnie przez pedagogów użyty, oddać może niepospolite usługi.

H. Galle.

Aniela Szyc. „Gramatyka języka polskiego dla dzieci zaczynających uczyć się systematycznie z przykładami, ćwiczeniami i wskazówkami dla nauczycieli". Nakład i własność Michała Arcta. — Warszawa, 1898.

Z prawdziwą przyjemnością konstatujemy na polu naszéj pedagogii coraz bardziéj wzmagający się ruch wydawniczy podręczników, opartych na wymaganiach racyonalnéj metodyki, liczącéj się z pojęciami i psychologią dziecka. Teraz nauczyciel nie ma takiego kłopotu z wyszukaniem odpowiedniego podręcznika, jak przed 10 łaty, mając do wyboru doskonałe dziełka, zawierające wskazówki systematycznego dyktanda, ćwiczeń stylistycznych i t. d.

Do szeregu książek szkolnych tego rodzaju przybywa obecnie wymienione w nagłówku dziełko. Nie jest właściwie systematyczny kurs gramatyki, ale raczéj zbiór ćwiczeń, przeznaczonych dla dzieci od lat 8 do 12 a doprowadzających stopniowo do pojęć gramatycznych, wraz ze wskazówkami dla nauczyciela, jak należy z tych ćwiczeń korzystać.

Autorka powiada w przedmowie, iż kierowała się zasadami metodycznemi, uznanemi w teoryi przez większość pedagogów; a główniejsze z nich są następujące: 1) wszelkie objaśnienia gramatyczne powinny się wspierać na materyale językowym, poznanym przez mówienie i czytanie, i wynikać naturalnie z jego rozbioru, 2) zdobyte tym sposobem zasady powinny znajdować zastosowanie w różnorodnych ćwiczeniach ustnych i piśmiennych, 3) wykład gramatyki powinien rozwijać w uczniach zdolność logicznego myślenia. W myśl tych zasad autorka w następujący sposób prowadzi swoje wykłady. Chodzi np. o to, by uczeń nauczył się rozróżniać rodzaje rzeczowników. Na początku więc wykładu znajdujemy kilka powiastek, w których użyte

są same tylko rzeczowniki męzkie, żeńskie lub niejakie; z tych powiastek uczeń wybiéra rzeczowniki, a nauczyciel drogą porównania ich pomiędzy sobą doprowadza go do pojęcia o rodzaju. Następuje powtórzenie, t. j. krótka, treściwa definicya prawidła językowego, wypływającego z poprzedniego wykładu; wreszcie autorka podaje ćwiczenia gramatyczne, z których nauczyciel wybiérać może trudniejsze lub łatwiejsze, stosownie do poziomu rozwoju umysłowego dziecka. Czasem zamiast powiastki na czele wykładu znajdujemy wierszyk; wykład gramatyczny przeplatają uwagi ortograficzne czasem ułożenie ćwiczeń lub odpowiednich dyktand na prawidła gramatyczne pozostawia autorka nauczycielowi. Widzimy więc wszędzie umiejętne stosowanie indukcyi pedagogicznéj, oddawna uznanéj za jedyną metodę nauczania; pod tym więc względem podręcznik nie pozostawia nic do życzenia i może być bardzo użytecznym, szczególniéj w ręku umiejętnego i inteligentnego pedagoga. Bo też książka niniejsza przeznaczona jest tylko dla nauczyciela, uczeń powinien ją mieć w ręku tylko o tyle, o ile przepisuje z niéj powiastki i wierszyki, służące za punkt wyjścia do wykładu, oraz przykłady.

Szkoda tylko, że ta metodyczność, tak ściśle przestrzegana w szczegółach, nie tak skrupulatnie zachowaną jest w ogólnym układzie książki. Wykłady i prawidła rozmieszczone są w niéj według odwiecznego porządku części mowy (rzeczownik, przymiotnik, zaimek i t. d., kończąc na wykrzykniku); co się tyczy oddzielnych części mowy, np. rzeczowników, to najprzód rozpatrają się podziały ich, potém rodzaj, liczba, przypadki. Wskutek tego, pojęcia gramatyczne podają się dziecku nie według stopnia ich trudności, ale podług szematu, z góry nakréślonego. Należało więc lepiéj ten odwieczny porządek naruszyć i objaśniać dzieciom materyał gramatyczny w sposób bardziéj odpowiadający prawidłowéj indukcyi, t. j. poczynać od najprostszych pojęć, chociażby z różnych dziedzin gramatyki czerpanych, i iść do coraz trudniejszych, coraz bardziéj skomplikowanych. Każde dziecko, mniéj czy więcéj rozwinięte, zrozumie różnicę między męzkim i żeńskim rodzajem, lub między liczbą pojedyńczą a mnogą, ale nie każdemu da się wytłómaczyć różnica pomiędzy rzeczownikami zmysłowemi a umysłowemi, lub piérwotnemi a pochodnemi; tymczasem u p. Szyc wykład o tych ostatnich poprzedza wszystkich inne. Wszak autorka sama zerwała poniekąd z tradycyonalnym porządkiem, wprowadzając do etymologii pewne zasadnicze pojęcia ze składni i ortografii; należało i w saméj etymologii zmienić ten porządek w imię wymagań racyonalnego szkolnictwa. Obecnie, zadanie to pozostawione jest

nauczycielowi, który, trzymając się wybornych wskazówek metodycznych, zawartych w oddzielnych wykładach p. Szyc, może zmienić tylko ich porządek, opuszczając lub pozostawiając na późniéj to, co wydaje mu się nieopowiedniém do poziomu umysłowego ucznia. *H. G.*

Wł. Weychertówna. „**Stylistyka** oraz teorya prozy i poezyi do użytku szkolnego“. Nakład Michała Arcta. Warszawa, 1898.

Niniejszy podręcznik rozpada się na dwie główne części. Pierwsza z nich obejmuje właściwą „stylistykę”, t. j. naukę o stylu. Po krótkim wstępie autorka poucza, jakie są warunki dobrego stylu, a mianowicie: j a s n o ś ć, c z y s t o ś ć, polegająca na unikaniu barbaryzmów, z których główniejsze wymieniła autorka w kilku kolumnach (galicyzmy, rusycyzmy, germanizmy), wreszcie p o p r a w n o ś ć stylu. Przechodząc do zalet stylu pięknego, autorka konstatuje, że jest ich trzy: harmonia, ozdobność i pełność. Ozdobność polega na właściwém użyciu figur retorycznych, czyli p o s t a c i m o w n y c h, jak chce autorka w imię puryzmu językowego; pełność zaś — na prawidłowéj budowie okresów — postaciom więc mownym i okresom poświęca autorka dwa następujące rozdziały, opracowane w sposób zupełnie zadawalniający. Kończy tę pierwszą część rozdział o dyspozycyi wypracowań, gdzie autorka podaje prawidła, według których budować należy ćwiczenia stylistyczne, jak: opis, opowiadanie, charakterystyka, rozprawa i list; wykład ten ilustrują umiejętnie dobrane przykłady.

Co się tyczy wogóle przykładów, to wychodząc z założenia zaznaczonego we wstępie, że uprzednia lektura „odpowiednich utworów najlepszych pisarzów“ powinna służyć „za punkt wyjścia dla nauczyciela do wyprowadzania prawideł stylistycznych“, autorka starała się o jak najlepszy dobór urywków i utworów naszych poetów i prozaików. Trzeba przyznać, że w większości wypadków wywiązała się z tego zadania zupełnie dobrze: przykłady wybornie ilustrują wykład teoretyczny.

Druga część zawiera teoryę prozy i poezyi. Zaznaczywszy, na czém głównie polega różnica prozy a poezyi, autorka podaje podstawowe zasady sztuki rymotwórczéj w naszym języku i kończy ten oddział wyjaśnieniem główniejszych sposobów wiązania strofek, jako to: tercyna, strofa saficka, sekstyna, oktawa, tryolet i sonet. Jakkolwiek rozdział ten nie wyczerpuje całéj mnogości form wersyfikacyjnych w naszym języku, wymaganiom jednak podręcznika odpowiada w zupełności. Co do przykładów, kilka drobnych zastrzeżeń. Wiersza „Wylatuj, a okiem słońca...” nie można oznaczać przez: amfibrach+

daktyl + chorej, gdyż akcent logiczny żadną miarą nie może padać na spójnik *a* (str. 86), jak również nie można akcentować przyimka *o* w wierszu: „A zastaw się *o* swój lud poganinowi" (str. 87). Wiersz „Polecęż ja, polecę" nie jest prawidłowym anapestem, pomimo zastrzeżenia autorki, iż w wyrazie polecęż dla śpiewności przenosimy akcent na ostatnią głoskę (str. 92). W ogóle anapest, właściwie mówiąc, nie istnieje w naszéj mowie, jak również i spondej, gdyż te przykłady spondejów, jakie podaje p. Weychert na str. 92: Idź stąd, stań tam, nie są wcale spondejami, lecz chorejami lub jambami, zależnie od tego, czy akcent logiczny pada na pierwszy, czy drugi z tych dwóch jednozgłoskowych wyrazów.

Po tym wstępie następuje teorya prozy, którą autorka dzieli na prozę opisową, historyczna, (biografia, pamiętniki, historya), naukową i wreszcie wymowę. Pozostałą część podręcznika zajmuje teorya poezyi. Podzieliwszy utwory poetyckie na cztery główne działy: poezyę epiczną, liryczną, dydaktyczną i dramatyczną, autorka rozbiéra kolejno typowe formy każdego z tych działów, mając zawsze na oku naszą literaturę i stąd téż głównie czerpiąc przykłady. Możnaby téj części zarzucić, że trochę zamało uwzględniona w niéj jest historya poszczególnych rodzajów utworów poetyckich; możnaby poczynić te lub owe sprostowania lub dopełnienia, np. w rożdziale o poemacie możnaby dodać kilka słów o poemacie lirycznym, jak odnośne utwory Byrona lub Słowackiego, lub o poemacie opisowym, jak „Ogrody" Delille'a lub „Zofjówka" Trembeckiego, która w swoim czasie cieszyła się tak mało zasłużoną popularnością; możnaby, jako przykład psalmów w opracowaniu poetyckiém, podać „Skargi Jeremiego" lub „Melodye biblijne" Ujejskiego i t. d. Wogóle jednak część ta, jak i cały podręcznik, czyni zadość wszelkim wymaganiom pedagogicznym. Wobec tego, że nasza literatura szkolna tak uboga jest w tego rodzaju podręczniki, oparte na zasadach racyonalnéj pedagogii, praca p. Weychert w użyciu szkolném może okazać się wielce pożyteczną.

Jedną rzecz tylko w téj drugiéj części należy sprostować, a mianowicie pomieszczoną na str. 115 wiadomość, jakoby pieśni aojdów, wchodzące w skład „Iliady" i „Odyssei" zebrane zostały „za czasów Pizystrata w Aleksandryi w wieku VI przed Chrystusem"; nastąpiło to rzeczywiście w VI w. i za czasów Pizystrata, ale nie w Aleksandryi, lecz w Atenach. Do drobnych usterek zaliczyć należy jeszcze pewne małe niedokładności w cytatach, np. z „Farysa" lub z „Dziadów". Nie można również zgodzić się na to, iż autorka, nie uznając zasad ortograficznych, przyjętych przez Akademię Umiejętności,

trzyma się odmiennéj pisowni, np. zmiękcza *g* w wyrazach obcego pochodzenia, jak: g i e r m a n i z m, g i e o g r a f i a, lub w końcówkach wyrazów cudzoziemskich pisze stale *ja*, jak: a l e g o r j a, i r o n j a. Nie chodzi tu o to, która pisownia jest bardziéj zgodną z prawidłami i duchem języka, lecz we wszystkich p o d r ę c z n i k a c h należałoby trzymać się już jednéj pisowni, by nie wprowadzać zamętu w pojęciach ucznia, który w jednym podręczniku znajdzie taką pisownię, w drugim—inną, w trzecim zaś—jeszcze inną. *H. G.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Pierre Boyé.* **Les derniers moments du roi Stanislas** (Nancy, Sidot frères. Cracovie, G. Gebethner et Comp., 1898, str. 48). -- Sześcioletnie rządy Stanisława Leszczyńskiego nie zapisały się świetnemi zgłoskami w pamięci narodu. Król, ustępując, uchodząc raczéj przed Augustem II, opuścił kraj, którego już nigdy nie miał ujrzéć więcéj. Osiadłszy we Francyi, w Lunéville, żyje wspomnieniami przeszłości, literaturze zostawia spuściznę w pracy: „Głos wolny wolność ubezpieczający", — wreszcie wegetuje, doczekawszy późnéj starości. — Ostatnie chwile jego życia skréślił p. Piotr Boyé w szkicu: *„Les derniers moments du roi Stanislas"*, którym poprzedza mające się wkrótce ukazać obszerne dzieło o Stanisławie Leszczyńskim. W broszurce omawianéj opisuje autor, powołując się na źródła rękopiśmienne przeważnie, smutny wypadek poparzenia, jakiemu uległ król Stanisław podczas pożaru w swéj sypialni. Z raportów o tym wypadku p. M. de Lucé do ministra spraw zagranicznych w Paryżu dowiadujemy się szczegółów o stanie, w jakim się król znajdował aż do ostatniéj chwili życia. — Poprzestając na krótkiéj wzmiance, postaramy się zamieścić na tém miejscu obszerniejszy rozbiór zapowiedzianéj pracy p. Boyé, który, jak to widać ze studyum p. t. *„La cour de Lunéville en 1748 et 1749 ou Voltaire chez le roi Stanislas"* (Nancy, 1891), oddał się z zamiłowaniem badaniom nad historyą życia i panowania Stanisława Leszczyńskiego.

L. R.

— Z dniem 1 października 1898 r. wychodzić zacznie pierwsze u nas czasopismo, grze szachowéj poświęcone, p. t. **Tygodnik szachowy,** przy współpracownictwie pierwszorzędnych sił miejscowych oraz mistrzów zagranicznych, pod redakcyą p. *W. Dzierzbickiego.* Program „Tygodnika" zawiéra: artykuły, partye szachowe z rozbiorem, zadania

w dyagramach, ilustracye, portrety, rysunki, skrzynkę do listów, odpowiedzi redakcyi, ogłoszenia, oraz dodatki bezpłatne do pisma, w których, na początek, rozpoczęte zostanie w niedługim czasie tłómaczenie podręcznika szachowego Dufresn'a, a następnie tłómaczenie takiegoż wielkiego podręcznika Bilguer'a.--Prenumerata wynosi: rocznie rubli 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1, wraz z przesyłką. Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i agentury ogłoszeniowe w państwie rosyjskiém i zagranicą. Najlepiéj jednakże należność przesyłać wprost do redakcyi, pod adresem: Tygodnik Szachowy, Warszawa, Nowy-Świat 26.

= Ze spadku po zmarłéj d. 12 września 1876 r. ś. p. Józefie Sierakowskiéj, przeznaczoną została przez jéj spadkobierców, aktem urzędowym w dniu 19 lutego (2 marca) 1888 r. zeznanym, na własność Kasy pomocy naukowéj imienia Józefa Mianowskiego suma 6,600 rubli, jako fundusz żelazny, od którego procenty obracane być mają na zapomogi, stosownie do celów Kasy, dla synów podupadłych lub zubożałych właścicieli ziemskich, wyznania rzymsko katolickiego, z gubernii Płockiéj, a w ich braku dla innych osób wedle uznania zarządu kasy.—W myśl powyższego przeznaczenia funduszu, zatwierdzonego przez rząd, komitet zarządzający Kasą wzywa osoby, pracujące na polu naukowém, a chcące ubiegać się o zapomogę, aby w ciągu trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia złożyły w biurze komitetu (Niecała, Nr. 7), lub do rąk jednego z członków komitetu stosowne podanie, z wyszczególnieniem podjętych prac naukowych i miejsca stałego zamieszkania. Kandydaci, roszczący prawo do pierwszeństwa w otrzymaniu zapomogi, winni dołączyć do podania akt urodzenia i wiarogodne zaświadczenie, że pochodzą od podupadłych lub zubożałych właścicieli majątków ziemskich w gubernii Płockiéj. W końcu nadmienia się, że stosownie do § 2 ustawy Kasy, zapomogi mogą otrzymywać tylko poddani rosyjscy, o ile nie przebywają zagranicą bez pozwolenia rządu, i że wedle zastrzeżenia przez władzę postanowionego, zapomoga przyznana kandydatowi, kształcącemu się w jakimbądź zakładzie naukowym okręgu naukowego warszawskiego, będzie wypłacona dopiéro po zatwierdzeniu wyboru przez kuratora tegoż okręgu.

W Warszawie, d. 16 września 1898 roku.